

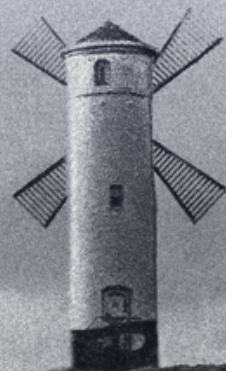
ŚLADY



ZBRODNI

JAROSŁAW SOKOŁ WYSPA ZERO

NOWA POWIEŚĆ
TWÓRCY SERIALU
CZAS HONORU



JAROSŁAW SOKÓŁ

WYSPA ZERO



Zapraszamy na www.publicat.pl

Projekt okładki
MARIUSZ BANACHOWICZ

Koordynacja projektu
NATALIA STECKA

Redakcja
JACEK RING

Korekta
MAGDALENA SZAJUK

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Copyright © 2020 by Jarosław Sokół

Polish edition © Publicat S.A. MMXX (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved.

ISBN 978-83-271-6049-2

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp

I. Grupa operacyjna

II. Władza

III. Sojusznicy

IV. Nowy koszmarny świat

V. Najbardziej przeceniony ludzki organ

VI. Kości naszych umarłych

VII. Werwolf

VIII. Kiedy rozum śpi

IX. Człowiek bez duszy

X. Jedno święte słowo

XI. Transporte

XII. Teoria numerów

XIII. Kłopoty z pamięcią

Posłowie

Przypisy

Pastor Günther Friedke nie sprawiał wrażenia człowieka, któremu pozostało mniej niż dwadzieścia cztery godziny życia. Przeciwnie, był pełen planów na przyszłość, rozterek i osobistych uraz, jak każdy, komu wydaje się, że będzie żył jeszcze co najmniej pół wieku. Nie miał żadnych złych przeczuć ani poważniejszych dolegliwości. W ostatnim dniu życia nurtowały go przyziemne, ale dość pilne kwestie.

Przede wszystkim sprawa portretów towarzysza Stalina. Oczywiście, że od razu kazał porozwieszać je we wszystkich urzędowych pokojach w ratuszu, ze swoim gabinetem burmistrza na czele. Kłopot w tym, że portrety przysłane z sowieckiej komendantury wojennej nie pokrywały się rozmiarami z niedawno zdjętymi, które pozostawiły po sobie jaśniejsze prostokąty na ścianach. Niedobrze to wyglądało. Pastor wahał się, czy poprosić komendanturę o większe portrety, czy też nakazać przemalowanie ścian.

Innym problemem były nowe nazwy ulic. Męczył się całą noc, żeby sporządzić dla pułkownika Osipowicza długą listę propozycji, i właśnie przyszła z komendantury odpowiedź. Pułkownik wykreślił na czerwono większość zaproponowanych nazw. Właściwie ostał się tylko Marks, Engels i Róża Luksemburg. Nawet Goethe i Heine zostali wykreśleni. Dlaczego dawna Göringstrasse^[1] nie mogła nosić teraz nazwiska Heinego? Co pułkownik miał przeciwko Heinemu? Czyżby nie wiedział, że ten wielki niemiecki poeta był za poprzednich rządów całkowicie zakazany, a jego książki demonstracyjnie wrzucano do ogniska podczas zjazdów partyjnych w Monachium? Pastor widział to na własne oczy, kiedy jeszcze był członkiem Partii. A poza tym Heine to przecież Żyd, a bolszewicy podobno kochali Żydów. Nic nie można było z tego zrozumieć.

Albo taki Brecht. Toż to komunista pełną gębą! Wszystko, co pisał, było tak przesiąknięte fanatyczną wiarą w wyższość sowieckiego systemu, że w ogóle nie dawało się tego czytać, nawet gdyby nie było zabronione. Czy naprawdę nie można nazwać jednej małej uliczki nad morzem nazwiskiem Bertolda Brechta? Pastor musiał koniecznie porozmawiać o tym osobiście z pułkownikiem.

Kolejna kwestia była znacznie poważniejsza. Dzień wcześniej z komendantury przyszło pismo nakazujące sporządzić listę osób na wyjazd do pracy przy odbudowie Związku Sowieckiego, ze szczególnym uwzględnieniem „byłych

aktywistów partii nazistowskiej i kolaborantów hitlerowskiego reżimu”. Pastor zdawał sobie sprawę, że takie samo pismo dostał też landrat Stanzel i szef niemieckiej policji pomocniczej Knopf. Obaj ci łajdacy z pewnością zabrali się już ochoczo do roboty. Pastor Friedke był prawie pewny, że jego nazwisko figurowało na ich listach na czołowym miejscu. Od początku chcieli się go pozbyć. Za dużo o nich wiedział. Właściwie powinien bez wahania odpłacić im pięknym za nadobne. Wziął nawet kartkę papieru i zaczął pisać:

Lista zakwalifikowanych na wyjazd do pracy przy odbudowie Związku Sowieckiego:

- 1. Franz Stanzel – element kryminalny.*
- 2. Edwin Knopf – zbrodniarz wojenny.*

A Wieseborn? Oczywiście, to nazwisko powinno bezwzględnie znaleźć się na liście.

3. Paul Wieseborn –

Pastor zawahał się. Co właściwie miałby napisać przy nazwisku Wieseborna – łajdak? Złodziej żon? A może po prostu „mój osobisty wróg”?

Zmiał kartkę i wyrzucił ją do kosza. Nie był już pastorem, ale przecież nie przestał być chrześcijaninem. I nie chodziło o żadną miłość bliźniego, wybaczenie czy inne dogmaty. Friedke zdawał sobie sprawę, że właśnie tego chcieli ich nowi sowieccy panowie – żeby donosili na siebie nawzajem, gryźli się jak psy i taplali w błocie. Pewnie dlatego zrobili go burmistrzem. Były pastor ewangelicki na garnuszku sowieckiego pana – trudno o lepszy przekaz dla całego miasta. Skoro nawet pastor był świnia, to dlaczego zwykli Niemcy nie mieliby zachowywać się podobnie?

Wiara Friedkego przypominała kościół imienia Marcina Lutra, w którym był przed wojną pastorem: leżała w gruzach, ale jakaś jej część, podobnie jak ocalała w amerykańskim bombardowaniu wieża kościelna, wciąż pięła się ku niebu. Nic nie mógł na to poradzić i dlatego siedział bezradnie nad pustą kartką papieru, głowiąc się, kogo pierwszego z mieszkańców Swinemünde wysłać na pewną śmierć do Związku Sowieckiego.

Okolo dziewiątej do jego biura wpadł zupełnie roztrzęsiony szyper Neupert. Opowiadał z przejęciem o jakichś Polakach, których przywiózł rano kutrem. Bredził, że przyjechali przejąć miasto w imieniu polskiego rządu i tak dalej. Pastor poczęstował go gruzińskim koniakiem i spokojnie przemówił mu do rozumu. Nie było mowy o żadnym wcieleniu miasta do Polski. Swinemünde miało pozostać w sowieckiej strefie okupacyjnej, a przecież każde dziecko wie, że Sowieci to naród pazerny na cudzą własność i raz zrabowanych ziem za darmo nie oddadzą, zwłaszcza Polakom. Neupert kiwał głową w odrętwieniu, podczas gdy pastor tłumaczył mu cierpliwie wszystkie te polityczne oczywistości. Lubił tego człowieka. Dzięki niemu do miasta w ogóle docierała jakaś żywność ze Stettina. W dodatku Neupert pływał z zaopatrzeniem nie tyle dla zysku, ile ze szczerą troską o miasto. Po śmierci ostatniego z synów nie pozostało mu już nic innego, o co mógłby się troszczyć. Niestety, ostatnio wyraźnie szwankował na umyśle. Stał się nieobliczalny. Potrafił wpaść w szal z błahego powodu, a potem równie nagle się uspokoić. Posiedział jeszcze przez chwilę, słuchając wywodów pastora, a potem dopił swój koniak i wyszedł.

Pastor Friedke zasiadł znów za biurkiem. Była już dziesiąta, a wciąż nie wpisał na listę wyjazdową ani jednego nazwiska. Lada chwila mógł zadzwonić telefon z komendantury albo co gorsza pułkownik Osipowicz mógł odwiedzić go osobiście.

Upłynął najwyżej kwadrans, kiedy na zewnątrz rozległy się jakieś okrzyki. Wyrzął przez okno. Na placu przed ratuszem grupka obszarpańców stała wokół pomnika cesarza Wilhelma. Dwóch na zawody pluło na pomnik, reszta śmiała się do rozpuku. Pastor zadrżał na widok biało-czerwonej flagi na ramieniu jednego z bandytów, ale nawet kiedy jeden z nich zauważył go w oknie i gromada ruszyła w stronę ratusza – nawet wtedy nie ogarnęło go żadne przeczucie nadchodzącego końca.

I GRUPA OPERACYJNA

1

Piła, 19 godzin wcześniej

Naprawdę nie było to najgorsze wyjście. Wielu chłopaków wstępowało do milicji. Tylko tak można było ukryć się przed ankietami i formularzami personalnymi, biurami meldunkowymi, niebezpiecznymi pytaniami o udział w konspiracji i o przebieg służby. Poza tym Adam Kostrzewa nie zamierzał być ludowym milicjantem ani chwili dłużej niż to konieczne. Dostanie się do Swinemünde i zniknie.

– Ty, przystojniak, co tak stoisz, jak kutas na weselu? Bierz tę paczkę, kozia twoja mać! – Głos sierżanta Kwasigrocha oderwał go na chwilę od sporu z własnym sumieniem. – Boisz się, że ci ten elegancki kapelusik spadnie? Rudolf Valentino się znalazł. Pies was wszystkich trącał, milicjanci z bożej łaski. Jeden lepszy od drugiego.

Ładowali przewiązane sznurkiem paczki na otwartą platformę ciężarówki pod Urzędem Repatriacyjnym w Pile.

– Co to właściwie jest, obywatelu sierżancie? – spytał Lońka Kacp, błyskając dwoma złotymi zębami na przedzie, którym między innymi zawdzięczał swoje nowe przezwisko w specjalnej grupie operacyjnej milicji wyjeżdżającej do Swinemünde. Miał nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu i gdyby nie złote zęby, wyglądałby na dzieciaka.

– Propaganda – odparł Kwasigroch. – Mamy to rozlepić po drodze.

– Zaraz, zaraz – zaniepokoił się Wasilewski, przeraźliwie wychudły mężczyzna w trudnym do określenia wieku. Przestał nawet na chwilę kaszleć. – Ja na żadną propagandę nie wyrażałem zgody. Zgłosiłem się tylko do administracji.

– Znaczy jak, to wszystko jest papier? – rzucił rozczarowany Poezja, ogromne chłopsko, na którym wielki talerzowy diegtariew^[2] wyglądał jak zabawka. – Nic do żarcia ani do picia?

– Można widzieć? – spytał Waszyngton, wysoki czterdziestolatek z grzywą siwiejących włosów, które rzeczywiście upodobniały go nieco do prezydenta Waszyngtona ze znanego powszechnie wizerunku na jednodolarówce. Swój pseudonim zawdzięczał jednak bardziej charakterowi niż podobieństwu do amerykańskiego prezydenta. Każdą rzecz oceniał według jej wartości w dolarach, a starannie zapakowane paczki mogły przecież skrywać jakiś cenny ładunek.

– Tomasz niewierne, kozia wasza mać! – zirytował się sierżant Kwasigroch i rozdarł pierwszą z brzegu paczkę. – Macie, nażryjcie się!

Wepchnął garść ulotek w ręce Poezji. Wasilewski wziął jedną z nich.

– „Nad Odrę, po ziemię ojców i dobrobyt” – odczytał na głos.

– Ładnie napisane – ocenił Lońka. – Trafia do przekonania.

– Może tobie, chłopcze – zirytował się Wasilewski. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale znów chwycił go atak kaszlu.

Poezja porozumiewawczo trącił łokciem Adama.

– Idę o zakład, że po drodze nam wykituje – szepnęła, wskazując na zanoszącego się kaszlem Wasilewskiego.

Adam nie przyjął zakładu, choć w zasadzie zgadzał się z ogólną oceną stanu zdrowia kaszlącego. Człowiek ten bardziej przypominał mumię niż żywą istotę. Ważył najwyżej pięćdziesiąt kilo, a spod wacianej kufajki wyzierał mu obozowy pasiak, niczym druga skóra, której jego organizm nie był już w stanie z siebie rzucić. Kiedy kaszlał, wydawało się, że jego krucha klatka piersiowa za chwilę pęknie i rozpadnie się. Trudno było doprawdy zrozumieć zasady rekrutacji panujące w Milicji Obywatelskiej.

– I wszędzie jest to samo? – Najbardziej rozczarowany zawartością paczek był Waszyngton. Nic nie irytowało go bardziej niż rzeczy pozbawione wartości w wymienialnej walucie.

– Tu masz inne – powiedział Lońka, rozrywając drugą paczkę, w której znajdowały się plakaty innego koloru.

– Kto ci pozwolił rozrywać, kozi synu! – wściekł się Kwasigroch. – Będzie czas, to każdy dostanie swoją część do rozwieszania.

– A to dobre! – Lońka zaśmiał się, pokazując wszystkim kolorowy plakat, na którym wielki ludowy żołnierz z karabinem górował nad przerażonym karzełkiem z tabliczką „AK” na szyi. Z wykrzywionych ust pokurcza wydobywało się coś w rodzaju fontanny śliny. Podpis na plakacie wyjaśniał: „Olbrzym i zapluty karzeł reakcji”^[3].

Poezja ryknął tubalnym śmiechem.

– Ten mały trochę do ciebie podobny!

Lońka wcale nie poczuł się urażony. Zdawał sobie sprawę, że nie jest przystojniakiem.

– A ten dryblas ma taką samą głupią gębę jak ty! Idzie jak muł przed siebie i nawet nie patrzy, czy wlezie w gówno.

– Zamknij się jeden z drugim! – Sierżant Kwasigroch wyrwał plakat z rąk Lońki.

– Tu nie ma nic do śmiechu! Kto się jeszcze raz zaśmieje, wylatuje z oddziału.

Lońka i Poezja umilkli natychmiast. Sierżant dał się już poznać jako zagorzały przeciwnik wszelkiej ludzkiej radości. Wpadał we wściekłość, ilekroć ktoś się roześmiał. Diabli wiedzą, do czego jeszcze był zdolny.

– Ja nie mam zamiaru tego rozwieszać – oznajmił Adam.

– Ani ja – poparł go Wasilewski.

Kwasigroch obrzucił ich pogardliwym spojrzeniem. Po Wasilewskim spodziewał się tylko, że wyciągnie nogi, zanim zarazi ich jakimś świństwem. Wiadomo było, że oświęcimiaczy roznosili różne choroby. Nowego oceniał natomiast jako cwaniaka, z którym będą jeszcze kłopoty. Jemu samemu plakat też się nie podobał, ale co miał powiedzieć ubowcom – że go nie weźmie, bo obraża uczucia jego podwładnych?

– No i pies wam mordę lizał – skwitował krótko. – Do wozu. Dostyc tego gadania.

Waszyngton wsiadł do szoferki za kierownicę, a reszta wdrapała się na platformę. Przystrojona na przedzie biało-czerwoną flagą ciężarówka ruszyła do Swinemünde.

Wasilewski przysiadł się do Adama. Z bliska wyglądał jeszcze gorzej: cerę miał żółtą jak u woskowej lalki, policzki zapadłe.

– Zdaje się, że obaj tu nie pasujemy – powiedział porozumiewawczo.

Adam oparł głowę o platformę i zamknął oczy, żeby pokazać, iż nie szuka przyjaciół ani konwersacji. Wasilewski nie dawał jednak za wygraną.

– Moje nazwisko Dunin-Wasilewski. Byłem kiedyś profesorem antropologii, ale to dawne dzieje.

Adam skinął zdawkowo głową, podał mu rękę i znów zamknął oczy, żeby uwolnić się od natręta.

– Śpi pan? Też bym chętnie zasnął, ale się boję.

– Czego?

– Bo widzi pan, każdy sen jest jak dalszy ciąg obozu...

Naraz dopadł go kolejny atak kaszlu. Zaczął rządzić, a oczy wyszły mu na wierzch.

– Sierzancie, chyba będziemy mieli pierwszy pogrzeb! – zawołał wesoło Lońka, ale Poezja szturchnął go w bok, przypominając, że dopiero co uniknęli wyrzucenia z grupy.

Wasilewski zamachał przecząco rękami. Powoli dochodził do siebie.

– Dziękuję za troskę, chłopcy, ale mam wielkie plany co do Swinemünde! – oznajmił i zwrócił się wyjaśniająco do Adama: – Chcę otworzyć tam polską bibliotekę i zorganizować kursy czytania i pisanie.

Adam położył się ostentacyjnie na boku, z paczką ulotek pod głową, wściekły i rozdrażniony. Każda wzmianka o obozie tak na niego działała. Za nic nie mógł pozwolić, żeby odkryto, że też siedział w Auschwitz. Byłaby to najprostsza droga do katastrofy. Całe szczęście, że trafił tam, kiedy jeszcze nie tatuowano numerów. Ale i tak nie był całkiem bezpieczny. Wystarczyło tylko pogrzebać w obozowych archiwach. Na pewno coś się zachowało. Cała nadzieja w tym, że zanim zaczną grzebać, będzie już na środku oceanu.

Odruchowo dotknął mocno podniszczonej pocztówki z Argentyny, którą trzymał w kieszeni. Przybrudzona panorama Buenos Aires była jego jedynym skarbem. Właściwie to ona trzymała go jeszcze przy życiu i pchała przed siebie. Nie miał pojęcia, czy ze Swinemünde w ogóle wypływały jakieś statki handlowe ani nawet jak miałyby się na któryś z nich dostać, ale na pewno były na to większe szanse w mieście portowym niż w Warszawie czy w Pile.

Czy nadal na niego czekała? Oczywiście, że czekała. Miał przecież pocztówkę z Argentyny.

– W las! Odbijaj w las, kozia twoja mać!

Ocknął się raptownie w potwornej pustce, która zawsze czekała na niego po przebudzeniu. Nic nie rozumiał. Ciężarówka, rzeżący silnik, jacyś nieznajomi, stado bydła pędzące w ich stronę drogą.

Sierzant Kwasigroch walił pięścią w szoferkę.

– Waszyngton! W las powiedziałem, kozi synu!

Silnik zarzęził jeszcze raz i wreszcie zaskoczył. Ciężarówka skręciła gwałtownie w leśną ścieżkę, w ostatniej chwili umykając przed ryczącym stadem krów.

Przypomniał sobie. Znał tych ludzi. Kwasigroch. Lońka Kacap. Poezja. Wasilewski. I Waszyngton za kółkiem. Grupa operacyjna.

– Co się dzieje?

– Ruskie pędzą bydło. Droga zablokowana – wyjaśnił Poezja.

Adam odwrócił się w stronę znikającej w oddali głównej szosy. Setki niemieckich krów pędziły nią na złamanie karku ku swojej nowej ojczyźnie w Związku Sowieckim.

Wkrótce las otulił uciekającą ciężarówkę ze wszystkich stron.

– Możesz zwolnić! – krzyknął Kwasigroch do kierowcy.

Poezja przeżegnał się z ulgą. Pędzące stado z jakiegoś powodu zrobiło na nim wstrząsające wrażenie.

– To jest zły znak – orzekł.

– Mało brakowało – zgodził się Lońka. – Krowy to nic, ale jakby kacapy nas dorwały, to z autem trzeba by się pożegnać. Ja ich dobrze znam.

– Nie o tym mówię! – zirytował się Poezja. – To jest zła wróżba na przyszłość. Tak to będzie wyglądać, jak oni wszyscy ruszą z powrotem z Berlina.

– Co ty gadasz? – zachnął się Kwasigroch. – Jacy wszyscy?

– Cała ruska armia. Milion chłopów. Kiedyś będą przecież wracać do siebie. Przetoczą się po nas jak potop.

Adam nie miał pojęcia, jak długo spał, ale chyba byli już głęboko na zachodzie, bo powietrze wyraźnie zmieniło woń.

– Mamy jakąś mapę? – spytał.

– Ty się drogą nie zajmuj – zbeształ go dowódca. – Sierzant Kwasigroch drogą się zajmuje.

– Co za ulga – burknął pod nosem Adam. W jednej chwili zmienił swoją opinię na temat dowódcy grupy operacyjnej: do tej pory uważał go za zwykłego gbura, a tymczasem sierżant okazał się gburem z manią wielkości.

Po dwóch godzinach jazdy leśnymi ścieżkami reszta grupy też zaczęła się niepokoić, zwłaszcza że żołądki przysychały już wszystkim do krzyża.

– Sierżancie, na pewno dobrze jedziemy? – spytał ostrożnie Poezja.

– Ty się drogą nie zajmuj – powiedział Adam. – Sierżant Kwasigroch drogą się zajmuje.

Sierżant posłał szydercy piorunujące spojrzenie i rzucił do Waszyngtona w szoferce:

– Jedź dalej!

– Tylko pół baku zostało!

– Jedź, mówię!

Wcale nie był pewny, czy leśna droga dokądś ich w końcu doprowadzi, ale musiał bronić słabnącego autorytetu dowódcy. Nie jego wina, że ubowcy nie dali im żadnej mapy. Jedyłą nadzieję pokładał w swojej wrodzonej intuicji, a ta podpowiadała mu, że jadąc na zachód, prędzej czy później muszą dotrzeć do Odry.

Miał rację. Niecałe dwie godziny później las się skończył i wyjechali na równinę, za którą srebrzyła się w zachodzącym słońcu wielka woda. Trochę za wielka jak na rzekę, ale trzeba było trzymać fason przed ludźmi.

– I co, kozie syny? – triumfował. – Jak sierżant Kwasigroch mówi, że dojedziemy, to dojedziemy.

Lońka otworzył usta w niemym zachwycie.

– To jest morze? – wyszeptał z nabożeństwem.

– Gównno, nie morze – wyjaśnił fachowo Kwasigroch. – Odra. Teraz wystarczy jechać w dół i wszystko w tym temacie.

– Moim skromnym zdaniem to jest zalew, a nie rzeka – zauważył Wasilewski. – *Stettiner Haff*.

– Co?

– Zalew Szczeciński – przetłumaczył Adam.

Kwasigroch spojrział bezradnie na wielkie połacie srebrzystej wody. Co racja, to racja, na rzekę nijak to nie wyglądało.

– No i pies trącał. Jest droga nad brzegiem. Tamtędy pojedziemy – zdecydował.
– Benzyna się kończy! – zawołał Waszyngton z szoferki.
– Jezu – jęknął Poezja. – Na głodno i chłodno będziemy nocować. A miało być lepiej po wojnie.

– Zamknij gębę! – fuknął sierżant Kwasigroch, choć wiedział, że na samych połajankach daleko nie zajędzie. U Berlinga było łatwiej: kiedy zaczynał się defetyzm, zawsze można było krytykanta wsadzić do ancla albo nawet rozstrzelać. A tu co miał zrobić? Odebrać takiemu kartki żywnościowe V kategorii na zmarznięte ziemniaki?

Nagle zza wzgórza wyłoniły się czerwone dachy jakiegoś gospodarstwa.

– Patrzcie! – zawołał Lońka. – Ale pałace!

Kwasigroch odetchnął z ulgą. Szczęście mu sprzyjało. Wyglądało na to, że właśnie znaleźli pierwszorzędne miejsce na nocleg. Kazał Waszyngtonowi jechać w tamtym kierunku. Ciężarówka przyspieszyła rażno na resztkach benzyny.

2

Gospodarstwo składało się z kilku budynków z solidnego pruskiego muru. Wszystkie były pokryte czerwoną dachówką. W sadzie stało rzędem kilkanaście uli, w których huczało jak w radiowych odbiornikach. Na podwórzu wielkie trupie muchy płąsały nad rozdętą jak różowy balon zdechłą świnia. Natura najwyraźniej nie posiadała się z radości, że może znów przejąć opustoszałe gospodarstwo. Świerszcze grały w zaroślach swoją buntowniczą symfonię na odejście człowieka.

– O matko, tu są wszystkie szyby! – szepnął z przejęciem Lońka.

Rzeczywiście, puste gospodarstwo sprawiało wrażenie, jakby nie tylko wojna w ogóle tędy nie przechodziła, ale nawet nie dotarł tu ani jeden szabrownik. Było to bardzo podejrzane. Kwasigroch sięgnął po służbowy pistolet.

– Strzelać tylko na mój rozkaz.

Właściwie mówił to tylko do Poezji, bo reszta nie dostała w Pile żadnej broni. Poezja chwycił swojego diegtariewa gotowy rzygać ogniem do całego batalionu Werwolfu ukrytego w domu z pruskiego muru, kiedy nagle zobaczył coś, co kazało

mu zmienić zamiar. Na wielkim dębie na podwórzu wisiało starsze małżeństwo, najwyraźniej niedawni gospodarze.

– Samoubijcy! – zawołał ze zdziwieniem w głosie Lońka. W głowie mu się nie mieściło, żeby ktoś mógł sam sobie odebrać życie, zwłaszcza teraz, kiedy szanse, żeby dożyć do następnego dnia, znacznie wzrosły.

– Raz, dwa, trzy, moje! – zawołał Poezja i rzucił się w stronę wisielców. Rzucił na ziemię diegtariewa, chwycił opartą o pień drabinę i wyjął z kieszeni nóż.

– Co robisz! – ofuknął go Kwasigroch. – Niech wiszą w cholerę!

– Powróż trzeba wziąć! – odparł, odcinając sznur, na którym wisiał mężczyzna.

Ciało rąbnęło o ziemię.

– Co?

– Powróż – wyjaśnił Lońka, oblatany w ludowych zwyczajach. – Na szczęście.

Kwasigroch wzruszył ramionami. Owszem, słyszał o tym, że sznur powieszony jest dobry na różne choroby, ale nie wierzył w to. W ogóle nie był szczególnie wierzący. Dotyczyło to zarówno kwestii religijnych, jak i komunizmu.

Poezja odciął kawał sznura, schował za pazuchę i podniósł z ziemi diegtariewa. Powieszoną kobietą nie zamierzał się interesować.

– Idziesz wreszcie, kozia mać?! – przynaglił go dowódca.

– Nie uważacie, panowie, że tych ludzi należałoby jednak pochować? – wypalił Wasilewski, który już od dłuższego czasu był bliski wybuchu.

– Stuknij się ty w ten oświęcimski łeb – powiedział Kwasigroch. – Albo ja cię stuknę, jak będziesz mi tu takie głupoty wygadywał. Wszyscy za mną.

Weszli do domu. Wnętrze było spełnionym snem szabrownika. Nic nie zostało tu jeszcze zniszczone ani rozkradzione. Na kuchni stały zielone emaliowane garnki, w kredensach piętrzyły się zgrabne stosy talerzy, na ścianie wisiała haftowana makatka opiewająca zalety porannego wstawania.

Waszyngton rozglądał się metodycznie, kalkulując w myślach wartość poszczególnych przedmiotów. Porcelana była do niczego – tania podróbka miśnieńskiej. Garnki całkiem dobre, ale zajmowały za dużo miejsca. W takim domu trzeba było szukać skarbów innego rodzaju.

– Chłopaki, bierzemy przede wszystkim sól i drożdże. To jest dzisiaj najlepsza waluta. No i cukier, ma się rozumieć.

Nagle Lońka zauważył na stole nadgryzioną zeschniętą kromkę chleba. Od razu chciał się na nią rzucić, ale Kwasigroch chwycił go za rękę.

– Nie widzisz, durniu, że specjalnie to zostawili?

Lońka cofnął rękę ze strachu przed trucizną, choć kiszki grały mu marsza.

– Wody też nie pić – rozkazał Kwasigroch. – Na pewno studnia tak samo zatruta.

– Zastrane fryce! – zirytował się Lońka, rzucając zdradziecką kromkę o ścianę.

Dla Poezji był to sygnał do tego, co najbardziej kochał – rozpierduchy. Spojrzał pytająco na sierżanta.

– Można, szefie?

Kwasigroch skinął głową. Sporo czytał książek historycznych i wiedział, że dawni wodzowie od czasu do czasu pozwalali swoim ludziom trochę sobie pofolgować. Nie było to nic złego, byle w granicach rozsądku.

Poezja z entuzjastycznym rykiem chwycił pierwszy lepszy garnek z brzegu i z całej siły walnął nim o podłogę. Garnek odbił się niemal pod sufit.

Lońka wrzasnął radośnie jak chłopak wpuszczony na boisko i natarł na kredens. Chciał obalić go na podłogę, ale ciężki mebel zaparł się mocno o ścianę. Trzeba było najpierw opróżnić półki. Lońka chwycił stos talerzy i zaczął ciskać jeden po drugim w ściany.

Tymczasem Poezja rozkręcał się coraz bardziej. Urwał nogę od krzesła i młócił nią w zapamiętaniu po całym salonie i kuchni. Szklanki pryskały deszczem drobnych okruchów, garnki fruwały w powietrzu. Kopał, deptał, walił, druzgotał.

Waszyngton na próżno próbował ratować co cenniejsze przedmioty.

– Chłopaki, sól i drożdże, szukajcie soli i drożdży! – przypominał daremnie.

Lońka i Poezja byli już tak upojeni dziełem zniszczenia, że rozwaliliby w drobny mak nawet złotą figurę, gdyby nawinęła się im pod rękę. W tej chwili mieli gdzieś takie przyziemne wartości jak sól i drożdże. Liczyła się tylko czysta dzika radość wypełniająca ich serca, a tej nie można było kupić nawet za dolary.

Sierżant Kwasigroch przyglądał się swoim szalejącym ludziom z pobłażaniem. Bawili się chłopcy, nie zamierzał im przeszkadzać. Miarka przebrała się dopiero wtedy, kiedy Lońka nagle ściągnął portki i kucnął pośrodku salonu.

– Co robisz?! – ryknął z wściekłością sierżant. – Tu nie wychodek!

Lońka spojrział na niego półprzytomnym wzrokiem, jakby ocknął się z głębokiego transu.

– Ale w ruskiej partyzantce zawsze tak żeśmy robili... – bąknął niepewnie.

– Teraz jesteś w polskiej milicji, a nie w ruskiej partyzantce! U nas kultura obowiązuje.

Lońka wciągnął z powrotem spodnie, szukając wzrokiem poparcia u Poezji, ale ten dyszał ciężko, oparty o rozwaloną szafkę kuchenną, i nie patrzył na niego.

– Dosyć zabawy – zarządził Kwasigroch. – Zostajemy tu na noc. Każdy niech poszuka sobie czegoś do żarcia.

Wasilewski podniósł z podłogi obtłuczony zielony garnek, pokazując go Adamowi.

– Tak właśnie wygląda nasza cywilizacja. W środku pusta, a na zewnątrz pokryta cieniutką warstwą kultury i zasad moralnych. Przy pierwszej okazji zasady moralne odpryskują jak emalia od garnka.

Adam nie słuchał. Nic go to wszystko nie obchodziło. Nazajutrz, a najpóźniej za dwa dni, znajdzie się w Swinemünde i opuści towarzystwo tych degeneratów raz na zawsze. Dotknął argentyńskiej pocztówki w kieszeni, upewniając się, czy jest na swoim miejscu. Tylko to się liczyło – nadzieja. A na razie trzeba było po prostu zaspokajać głód i pragnienie. Ruszył na poszukiwania razem z pozostałymi.

Soli i drożdży w domu nie znaleźli. Ale była prawdziwa kawa, było mleko i przede wszystkim kilka butelek mocnej nalewki z rokitnika. Wkrótce więc nastrój znacznie się poprawił. Choć nie mieli benzyny na dalszą podróż ani żadnego pomysłu, jak ją zdobyć, w izbie zapanował ogólny optymizm. Siedzieli przy stole i popijając na przemian kwaśną nalewkę i kawę słodzoną plastrami miodu z pasieki, rozkoszowali się chwilą.

– I co, źle w milicji, kochanie syny? – perorował sierżant Kwasigroch, przekonując bardziej samego siebie niż podwładnych. – Jest w co się ubrać, jest co zjeść, nawet pozwolenie na broń dali. Szkopy będą wiali na sam nasz widok w tym zaszranym Świniominde.

– Swinemünde – poprawił go nieśmiało Wasilewski, ale sierżant i tak spiorunował go wzrokiem.

– Jak tam wejdziemy, to najpierw trzeba obrobić apteki – zapalił się Waszyngton. – Ruskie na lekach się nie znają, więc pewnie nic jeszcze nie wywieźli, a teraz

jedna fiolka aspiryny jest tyle warta co kilo kawy.

– Sam se łaż po aptekach – obruszył się Poezja. – Ja od razu zajmuję największą willę nad morzem i biorę do siebie dwie albo trzy baby.

– Słyszałem, że w Niemczech za puszkę konserwy z Unry można mieć najpiękniejszą kobietę – rozmarzył się Lońka Kacap.

– A kto by za to płacił! – Poezja popukał się w głowę. – Mówisz tylko „Fraß kom” i bierzesz, co chcesz.

– Mamy przywracać porządek, a nie kraść i gwałcić – zaprotestował Wasilewski.

– Porządek porządkiem, a miłości człowiek potrzebuje – skwitował Poezja i wybuchnął głośnym śmiechem. Lońka zawtórował mu, uderzając dłońmi o kolana.

Kwasigroch zgasił ich jednym spojrzeniem.

– Oświęcimiak ma rację. Żadnego gwałcenia nie będzie. Niemców oznaczy się białymi opaskami i zagoni do roboty. Dostaną chleb i zupkę, a na noc do baraków. Nie będziemy się nad nimi znęcać ani palić ich w piecach. Kultura musi być zachowana.

– Cieszę się, że wreszcie to słyszę – powiedział z satysfakcją Wasilewski i zaniósł się atakiem kaszlu.

Poezja spojrzał znacząco na Lońkę, jakby chciał go uspokoić, że ich główny oponent i tak niedługo wyciągnie kopyta.

Nagle na podwórzu rozległ się jakiś hałas.

– Cicho! – rzucił Kwasigroch do kaszlącego, podkradając się do okna. – Niemcy!

Poezja chwycił opartego o ścianę diegtariewa i po chwili wszyscy wypadli na zewnątrz.

– *Halt!* – krzyknął w ciemność Kwasigroch.

Kilka ciemnych sylwetek buszujących na ciężarówce czmychnęło w różne strony. Poezja przeładował diegtariewa i bluznął ogniem w ciemność. Gdzieś w pobliżu rozległ się jęk.

– Dostał jeden!

Nasłuchiwali przez chwilę. Znów słychać było tylko świerszcze w zaroślach i odległe kumkanie żab.

– Zwiali – ocenił Lońka.

– Ciszej!

Z zarośli dobiegło słabe stęknienie. Kwasigroch dał Poezji znak głową, żeby to sprawdził. To on miał przecież najlepszą broń.

Poezja skinął głową i ruszył z diegtariewem wycelowanym w stronę, z której dobiegało ciche pojękiwanie. Po chwili zatrzymał się i przydeptał nogą jakąś zdobycz.

– Mam go!

Reszta grupy podbiegła do niego. W świetle zapałki zobaczyli obdartego chłopca, postrzelonego w łydkę. Poezja trzymał mu stopę na szyi.

– Mały Niemczak – rzekł Kwasigroch. – Podobno tu całe bandy takich grasują.

– Stuknąć go, sierżancie? – spytał Poezja.

– To tylko dzieciak – odezwał się Adam.

– Puścić za duże ryzyko – rozważał Kwasigroch.

– Możemy go zabrać ze sobą – zaproponował Wasilewski. – W Swinemünde na pewno są jakieś sierocińce. Ktoś się nim tam zajmie.

– Niemczaka chcecie niańczyć? – oburzył się Lońka.

Chłopiec uwolnił na chwilę szyję spod stopy Poezji.

– Sam jesteś Niemczak, skurwysynu! – warknął po polsku.

– Nasz – zdziwił się Waszyngton. – Ale rajzer! Daleko się zapuścił.

– Ja i tak bym go stuknął, sierżancie – przekonywał Poezja. – Nie wiadomo, z kim ta cholera trzyma.

– Gadaj, co tu robisz – rozkazał Kwasigroch.

– Jak weźmiecie mnie ze sobą, to powiem, skąd odpływa kuter do Swinemünde – odparł mały rajzer.

– Po co nam kuter, mamy auto.

– A benzynę z dupy weźmiecie?

– Podśluchiwał, drań – powiedział Poezja nie bez podziwu dla bezczelnego smarkacza.

Rajzer patrzył na górujących nad nim olbrzymów z bronią maszynową i wiedział już, że ma nad nimi miażdżącą przewagę.

3

Stary kuter sunął w dół Odry z monotonnym pyrkotaniem. Poranna mgła raz gęstniała jak mleko, to znów ustępowała raptownie, odsłaniając połacie rzeki, z której sterczały zwalone drzewa i kikuty zatopionych wraków. Trzeba było nie lada umiejętności, żeby nawigować w tym labiryncie, zwłaszcza że tylko główny tor był całkowicie rozminowany.

Szyper Neupert nie uważał swojej roboty za szczególnie trudną czy niebezpieczną. Do Swinemünde pływał co najmniej trzy razy na tydzień. Poruszał się tą trasą jak po znajomym zagraconym korytarzu. Pokonałby ją z zamkniętymi oczami. Znał na pamięć wszystkie zatopione wraki i inne podwodne przeszkody. Odkąd ustały bombardowania, rzeka stała się przewidywalna. Szkoda, że tego samego nie można było powiedzieć o przyszłości.

Przyszłość spędzała Neupertowi sen z powiek. Nie jego własna, prywatna. Ta w zasadzie niewiele go obchodziła. Miał sześćdziesiąt cztery lata i wszystko, co najlepsze, było już za nim. Jego starszy syn Karl zginął pod Stalingradem, a młodszego Huberta rozstrzelali jako dezertera gdzieś we Włoszech. Żona zmarła na tyfus, którym zaraziła się od polskiej robotnicy. Jutrzejszy dzień naprawdę był mu obojętny. Martwiła go tylko przyszłość Swinemünde, nadmorskiego miasta, w którym przyszedł na świat sześćdziesiąt cztery lata wcześniej.

Różne rzeczy słyszało się na ten temat. Optymiści mówili, że po konferencji pokojowej miasto wróci do Niemiec i wszystko będzie po staremu. Fataliści twierdzili, że cała wyspa Usedom znajdzie się w sowieckiej strefie, gdzie zostanie wprowadzony komunizm. Brzmiało to całkiem prawdopodobnie, ponieważ władzę w mieście od pewnego czasu sprawowała sowiecka komendantura wojenna. W gruncie rzeczy komunizm wcale nie byłby najgorszym rozwiązaniem. Z Rosjanami dawało się porozumieć. Owszem, kradli, gwałcili, wsadzali do więzień, ale samorząd zostawili w niemieckich rękach. Nawet policję utworzyli z samych Niemców. A na burmistrza dali byłego pastora Friedkego.

Niestety, była jeszcze jedna wersja rozwoju przyszłych wydarzeń – katastroficzna. Właśnie ta martwiła Neuperta najbardziej. Według niej Swinemünde miało w ogóle przestać istnieć. Katastrofiści głosili, że miasto zostanie oddane Polakom i przyłączone do ich nowego kraju, podobnie jak Breslau i Stettin. Brzmiało to jak jeszcze jedna z tych apokaliptycznych przepowiedni o losach

świata, które krążyły między ludźmi w ręcznych odpisach. Ale tego ranka wydarzyło się coś, co bezsprzecznie potwierdziło najgorsze obawy Neuperta: jego kuter opanowali Polacy.

Zjawili się na przystani znienacka, kiedy zamierzał już odbijać. Sześciu mężczyzn i dziecko. Wynędzniali, obdarci, cuchnący potem i spirytusem. Ale mieli rosyjski karabin maszynowy, więc trzeba było porzucić myśl o posłaniu ich do wszystkich diabłów. Olbrzym z karabinem dał mu na powitanie w twarz, a ten, który mówił całkiem dobrze po niemiecku, wyjaśnił, o co im chodzi. Chcieli płynąć do Swinemünde i nie mieli zamiaru za to płacić.

Neupert był wstrząśnięty. Dobrze, że znał rzekę jak własną kieszeń, bo inaczej z nerwów wpakowałby się w zatopioną barcę czy kuter, których nie brakowało. A więc tak miało się to wszystko skończyć? Ulice, parki, plaża, na której bawił się z synami już za chwilę będą tylko gorzkim wspomnieniem starego człowieka. Gartenstrasse^[4], gdzie był na pierwszej randce z Ulrike. Kleiner Markt^[5], gdzie pierwszy raz się pocałowali. Rathausplatz^[6], gdzie poprosił ją o rękę. Wszędzie tam miała teraz powiewać flaga, którą jego pasażerowie wieźli ze sobą, a on, Ulrike, Karl i Hubert zostali już skazani na najwyższą karę, o wiele gorszą od sowieckiego więzienia, gorszą nawet niż śmierć – na całkowite i ostateczne zapomnienie.

Właściwie Neupertowi pozostała już tylko jedna rzecz do zrobienia. Musiał zostawić po sobie niezbity dowód istnienia. Silniejszy niż metryka urodzenia, którą można spalić, czy wpis do księgi parafialnej, bo tę zwycięzcy pewnie wyrzucą na śmietnik. Musiał wedrzeć się przemocą do ich historii. Żeby nie mogli udawać, iż ktoś taki jak Albert Neupert, urodzony w Swinemünde w roku 1881, syn Alfreda i Marianne, ojciec Karla i Huberta, mąż Ulrike Blankert, nigdy nie istniał. Mógł tego dokonać tylko w jeden sposób: wystrzelać całą tę hałastę, ciała wrzucić do Odry, a potem zgłosić się dobrowolnie do nowej władzy i przyznać do zabójstwa. Nie miał rodziny, więc nie bał się, że za jego czyny odpowie ktoś jeszcze.

Zerknął w stronę skrzynki z narzędziami, w której leżał dobrze nasmarowany schmeisser z pełnym magazynkiem. Trzymał go na wypadek ataku szabrowników i w pewnym sensie taka właśnie była sytuacja. Banda złodziei chciała odebrać mu przeszłość i musiał się bronić. Strzelał całkiem dobrze, choć podczas wojny nie brał nawet udziału w ćwiczeniach Volkssturmu. Zresztą, taką bronią dziecko mogło załatwić cały oddział. Wystarczyło poczekać, aż wszyscy ustawią się w jednej linii, i pociągnąć serią.

Obrócił się dyskretnie od koła sterowego. Na razie jego pasażerowie byli rozproszeni po obu burtach kutra. Zachowywali się jak dzikusy. Rozochoceni pokazywali ciągle coś palcami i krzyczeli w swoim szeleszczącym języku. Zwykle widoki wydawały się im cudami świata – komin zatopionej barki, kormorany podrywające się z drzewa, wrak spalonego czołgu na brzegu, nawet pospolite mewy, które leciały jak zwykle w ślad za kutrem. Neupert postanowił poczekać, aż wszyscy zbiorą się na rufie. Wtedy pociągnie ze schmeissera.

– Pan zauważył, że ja w ogóle nie kaszlę w tym powietrzu? – zdziwił się oparty o burtę Wasilewski, oddychając głęboko.

– Mówmy sobie po imieniu – zaproponował Adam.

Sam nie wiedział, skąd nagle zebrało mu się na poufałość. Nie szukał przecież przyjaciół, a całą tę grupę operacyjną miał zamiar porzucić lada godzina. Zbliżali się do Swinemünde. Wyraźnie czuć było już morską bryzę. Może właśnie dlatego ogarnęło go coś, czego bardzo dawno już nie odczuwał – podniecenie na myśl o przyszłości.

Wasilewski wciągał chciwie powietrze, uszczęśliwiony, że znów może oddychać swobodnie.

– Dobrze, że uratowałeś tego dzieciaka. Co z jego nogą?

Adam rozejrzał się za rajzerem. Chłopak trzymał się na uboczu, skulony z zimna. Rana łydki okazała się powierzchowna. Zwykły opatrunek zatrzymał krwawienie.

– Będzie żył. Tylko diabli wiedzą po co.

Wasilewski położył mu rękę na ramieniu.

– Wiesz, że Eskimosi znają dwieście odmian śniegu?

– Ostatnio rzadko rozmyślałem o Eskimosach.

– Każdy z nas zna jeszcze więcej odmian strachu. Ty na pewno też, nie zaprzeczaj. Ale wiesz, który strach jest najgorszy? Ten przed odpadnięciem. Że nas odtrąca. Że zostaniemy całkiem sami.

– Ja się na psychologii nie znam, ale co to ma do rzeczy?

– Chcę powiedzieć, że ta wyspa to jest nas wszystkich wielka szansa. Dla tego chłopca też.

– Waszyngton już mnie przekonywał. Trzeba tylko przekupić ruską komendanturę, bo oni mają transport.

– Mam na myśli większe zyski. Możemy wreszcie zacząć coś budować. Razem.

– Wiem. Ojczyznę robotników i chłopów. Nie mogę się doczekać.

Wasilewski machnął lekceważąco ręką, niezrażony jego sarkazmem.

– Komunizm jest przejściowy. Popatrz na to inaczej. Ta chwila to *Stunde Null*, jak mówią Niemcy – godzina zero. Czas zaczyna teraz biegnąć od nowa, a my płyniemy na naszą wyspę zero, gdzie wszystko dopiero się zaczyna.

Adam pożałował, że wdał się w tę rozmowę.

– Sprawdź dzieciakowi opatrunek – powiedział i odszedł do siedzącego samotnie rajzera. Nic go ten szczeniak nie obchodził, ale chciał uwolnić się od Wasilewskiego. Irytowały go wszystkie te opowieści o braterstwie i jedności. Zawsze źle na nich wychodził.

Rajzer nie pozwolił się dotknąć.

– Skąd jesteś? – zapytał Adam.

– Nie twój interes – burknął smarkacz.

– Święta racja – przyznał Adam i usiadł z dala od reszty.

Nareszcie sam. Dotknął końcówkami palców pocztówki w kieszeni. Serce biło mu mocno. Kto wie, może jeszcze tej nocy wyruszy w dalszą drogę. Schował głowę między rękami, zakrywając uszy, żeby nie słyszeć głośnych śmiechów na rufie.

Milicjanci byli upojeni morskim powietrzem i zbliżającym się końcem podróży. Nawet sierżant Kwasigroch rechotał wesoło, popisując się umiejętnościami strzeleckimi. Kule z jego pistoletu za każdym razem trafiały w cel. Trudno było jednak spudłować z dwudziestu metrów w zatopioną barkę wielkości stodoły.

Adam nie cieszył się długo samotnością.

– Ty, Valentino, chodź no tutaj! – wezwał go Kwasigroch.

– O co chodzi? – Dźwignął się niechętnie z pokładu.

– Jak u ciebie ze strzelaniem?

– Co?

– Sierżant pyta, czy umiesz strzelać – objaśnił gorliwie Łońka.

– A ty co, tłumaczem jesteś? – ofuknął go Kwasigroch i zwrócił się do Adama: – W wojsku byłeś?

– Ankiety wypełniłem na UB.

– No, no, nie bądź taki drażliwy. Muszę wiedzieć, czy jak przyjdzie co do czego, to będzie z ciebie pożytek. Bo na tamtego zdechlaka to liczyć nie można. – Wskazał głową Wasilewskiego zapatrzonemu jak w transie w linię brzegową.

– Umieję – odparł Adam. – Jeszcze coś?

– Pokaż – rozkazał Kwasigroch, podając mu pistolet. – Wal w tamto zwalone drzewo.

– Jak taki kozak, to w mewę niech trafi – zakpił Poezja.

– A co ci ta mewa zrobiła? – spytał Adam.

– Nad mewą też się litujesz? Najpierw złodzieja nie chciał kropnąć, a teraz szwabskich ptaszków żałuje. Jakiś trefny nam się trafił, sierżancie.

Adam błyskawicznie uniósł pistolet w górę i wypalił.

– Gdzie strzelasz, kozia twoja mać, w chmury to każdy głupi...

W tym samym momencie pod nogi Kwasigrocha spadła na pokład mewa z przestrzelonym skrzydłem. Ptak trzepotał się jeszcze z krzykiem, kiedy Adam jednym ruchem skrzył mu łeb.

– Wystarczy? – Oddał pistolet oniemiałemu Kwasigrochowi i wrócił na swoje miejsce.

– Dobry jest – powiedział z podziwem Waszyngton.

Poezja splunął na martwego ptaka.

– A mnie się on nie podoba.

Kwasigroch obejrzał swój pistolet, jakby chciał odkryć sekret niezwykłego strzału. Miał rację, że od początku wyprawy nie ufał nowemu. Drań tylko sprawiał wrażenie frajera.

– Patrzcie! – krzyknął nagle Lońka. – Tam, tam!

Przed nimi z mgły wyłonił się cały szereg budynków z czerwonej cegły, nad którymi górowała wieża kościelna.

– Swinemünde! – zawołał Wasilewski.

Wszyscy oprócz Adama i rajzera rzucili się na dziób, żeby podziwiać cel swojej podróży. Szyper Neupert spojrzął na skrzynkę z narzędziami. Chyba wreszcie

nadeszła właściwa chwila. Czekał tylko, aż dołączy do reszty ten, który mówił po niemiecku i tak dobrze strzelał.

Adam nie widział jednak nic zachwycającego w portowym miasteczku. Był to tylko przystanek w jego długiej podróży, która dopiero się zaczynała. Spokojnie zbierał swoje rzeczy i szykował się do zejścia na ląd.

Kuter dobił do drewnianego pomostu. Szyper Neupert rzucił zręcznie cumy na stalowe pachołki i owinął ciasno wokół polerów na pokładzie. Serce waliło mu jak młot. Była to już naprawdę ostatnia szansa, żeby zmieść łajdaków do wody jedną celną serią, ale wciąż nie mógł się zdecydować.

– Zapytaj Szwaba, którądy do morza – nakazał sierżant Kwasigroch.

Adam przetłumaczył pytanie. Neupert z wahaniem pokazał ręką kierunek. Bezradnie patrzył, jak cała banda wyskakuje na drewniany pomost, a potem rusza betonowym nabrzeżem. Spoglądał na ich łopoczącą flagę i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to wcale nie oni oddalają się wśród budynków Swinemünde, tylko on z każdą chwilą maleje i znika na zawsze.

– Sierzancie, a czemu do morza? – spytał Lońka, kiedy znaleźli się na nabrzeżu.

– Zaślubiny zrobić – objaśnił Kwasigroch, który niósł na czele pochodu mocno już przybrudzoną biało-czerwoną flagę.

– Co?

– Dojdziemy, to zobaczysz. Nie będę języka strzępił.

Rajzer nie był ciekawy, na czym polegały czekające ich zaślubiny z morzem. Ledwo zrównali się z pierwszym budynkiem, czmychnął w brukowaną boczną uliczkę.

– Zaczekaj! – krzyknął za nim Adam.

– Niech idzie – powiedział Wasilewski. – Poradzi sobie.

Chłopiec zniknął za najbliższym rogiem, nie oglądając się za siebie. Adam miał ochotę zrobić to samo, ale nie byłoby to rozsądne. Musiał najpierw zorientować się w możliwościach, przygotować prowiant, zdobyć jakieś pieniądze, może nawet broń. Szedł więc w tym dziwnym karnawałowym pochodzie z biało-czerwoną flagą na przedzie, choć czuł się idiotycznie.

– Nasze dowództwo ma skłonności do opery – mruknął pod nosem.

Wasilewski uśmiechnął się, odsłaniając zepsute zęby. Miał powody do radości. Od kilku godzin nie zakaszał ani razu.

Miasteczko było mocno wyszczerbione po niedawnym bombardowaniu, ale schludne. Gruz na ulicach został już uprzątnięty w zgrabne kopce, a szkielety budynków grożących zawaleniem ogrodzono deskami. Ktoś zadał sobie też sporo trudu, żeby usunąć co bardziej rażące ślady niechlubnej przeszłości. Nigdzie nie było widać ani jednej swastyki, a w miejscu tabliczek z nazwami ulic ku czci nazistowskich wodzów widniały na murach jaśniejsze prostokąty. Wszędzie panowała niemal zupełna cisza. Na ulicach nie było ani jednego przechodnia. Czasem tylko udało im się uchwycić wzrokiem jakąś sylwetkę w oknie. Mieszkańcy patrzyli na nich ze zgrozą zza firanek.

– Boją się, skurwysyny – rzucił Lońka z satysfakcją.

– I słusznie – powiedział Poezja. – Można puścić serię po szybkach, sierżancie?

– Schowaj to, kozia twoja mać! – zrugął go Kwasigroch. – Jeszcze się nastrzelasz do Werwolfu.

Poezja posłusznie zarzucił ciężkiego diegtariewa z powrotem na plecy i przeżegnał się odruchowo, ponieważ właśnie mijali zbombardowany kościół, z którego pozostała sama wieża.

– Co ty? – zdziwił się Lońka. – Do szwabskiego Jezusa się modlisz?

– Kościół to kościół – odparł niepewnie Poezja, zdając sobie sprawę, że trochę się pospieszył z tym żegnaniem.

– Mnie tam wszystko, co szwabskie, brzydzi – zadeklarował Lońka. – Ich mowa mnie brzydzi i muzyka tak samo mnie brzydzi.

– Może dlatego, że nigdy nie słuchałeś Bacha – powiedział Wasilewski, puszczając oko do Adama.

– Mam to w dupie – zirytował się Lońka. – Wolę ruskiej harmoszki posłuchać.

– Jestem pewny, że będziesz miał w naszej nowej ojczyźnie mnóstwo okazji – rzekł Adam. Miał już serdecznie dosyć swoich kompanów. Mdlify go ich zadowolone z siebie gęby. Był wściekły, że musi uczestniczyć w tej operetkowej paradzie zwycięstwa.

– A ty to chyba w ogóle nie jesteś za demokracją – natarł na niego Poezja.

– Nie wiesz, co mówisz, człowieku – odparował Adam.

– Tyle wiem, że demokracja zaraz może dać ci po głębie!

– Spokój! – przywołał ich do porządku Kwasigroch. – Szkopy na nas patrzają. Później sobie dacie po mordach.

Poezja posłał Adamowi nienawistne spojrzenie, ale zamilkł.

Szli teraz nadmorską dzielnicą. Miejskie kamienice zmieniły się na okazałe wille z kolumnami i balustradami. W oczach Lońki były to pałace. Co rusz pokazywał któryś z nich palcem, wykrzykując z podziwem. Takiego przepychu nigdy jeszcze nie widział. Pomyśleć tylko, jakie skarby kryły się w środku!

Na Waszyngtonie też nadmorska dzielnica zrobiła wrażenie, choć jego zachwyty był bardziej praktycznego rodzaju.

– Boże, ile tu musi być skórzanych mebli! – zawołał z przejęciem. – Pamiętajcie, żeby skórę wykrajać jak największymi kawałami. A kryształów w ogóle nie brać. Ja na początku też łakomiłem się na kryształy, a to tylko kupę waży, w transporcie trudne i wcale tak dużo niewarte, bo na tandecie jest tego zatrzęsienie.

Nagle w oddali wyłoniła się dziwna budowla. Przypominała wielką otwartą muszlę, która wabiła ich do środka.

– Jaskinia jakaś czy co? – zdziwił się na głos Lońka, ale nikt nie potrafił mu odpowiedzieć.

Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli, że przed muszlą ziele wielki lej po bombie upstrzony roztrzaskanymi ławkami i stolikami. Z tyłu rozciągał się natomiast widok na morze.

– Matko Przenajświętsza! – wyszeptał Lońka ze zgrozą. Jak okiem sięgnąć wszędzie połyskiwało w majowym słońcu potężne lustro wody. Tym razem Lońka nie musiał już pytać nikogo o zdanie. To mogło być tylko morze.

Rzucił się przed siebie z radosnym krzykiem. Poezja i Waszyngton bez wahania ruszyli za nim, tak samo porwani przez zniewalający widok.

– Stać! – zawołał Kwasigroch, ale milicjanci nawet się nie odwrócili. Morze miało w ich oczach znacznie większy majestat niż jakakolwiek ziemską władzę.

Kwasigroch zaklął pod nosem i chcąc nie chcąc, też puścił się biegiem za swoimi ludźmi.

– Wspaniałe, nie uważasz? – powiedział podniecony Wasilewski.

– Morze jak morze – odparł Adam, wzruszając ramionami.

– Wspaniałe – powtórzył zafascynowany Wasilewski. – Jak wielka matka. Początek wszystkich rzeczy.

Przyspieszył kroku, nie zważając na świszczący oddech, jakby poddawał się potężnemu przyciąganiu morskiego krajobrazu.

Adam dotarł na plażę ostatni. Usiadł na piasku. Zaślubiny, które od początku podróży planował sierżant Kwasigroch, chyba niezupełnie przebiegały po jego myśli. On sam klęczał przy wbitej w brzeg biało-czerwonej fladze i mamrotał coś pod nosem. Nie wiadomo było, czy się modli, czy wypowiada magiczne zaklęcia władzy. Łońka i Poezja w wodzie po kolana chlapali się jak dzieci. Wasilewski zdjął buty i stał na mokrym brzegu z rozłożonymi rękami i zamkniętymi oczyma. Waszyngton siedział na piasku i łkał jak dziecko wpatrzony w horyzont.

Adam też wpatrywał się w horyzont. A właściwie w to, co było znacznie, znacznie dalej.

Czy jeszcze na niego czekała?

4

Pastor Friedke stał przy swoim biurku burmistrza, wyprostowany z urzędową godnością, kiedy gromada wtargnęła do gabinetu. Musieli to być ci, o których mówił Neupert, choć nie było z nimi żadnego dziecka. Zauważył, że wszyscy mają buty całe w piasku, a dwóch jest kompletnie przemoczonych. Pewnie szli prosto znad morza.

– Czym mogę panom służyć?

– Ty tu jesteś władza? – spytał Kwasigroch i kazał Adamowi przetłumaczyć pytanie.

– Jestem tymczasowym burmistrzem miasta z nadania rosyjskiej komendantury wojennej – odparł Friedke.

Kwasigroch, z flagą na ramieniu, wystąpił do przodu. Przygotował na tę okazję pewną urzędową formułkę, którą zapisał sobie na kawałku gazety.

– W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej – zaczął, lecz w tej samej chwili formułka rozsypała mu się w głowie. – A pies ci mordę lizał, kozi synu. Teraz my tu będziemy władza, fersztejen?

– To jest niemożliwe – zaprotestował stanowczo Friedke. – Proszę pokazać mi pełnomocnictwo rosyjskiej komendantury.

Adam przetłumaczył żądanie burmistrza.

– Poezja, pokaż mu – rozkazał Kwasigroch.

W takich sprawach Poezja nigdy nie dawał się dwa razy prosić. Rażno podskoczył do burmistrza i trzasnął go na odlew w twarz. Burmistrz zachwiał się, ale nie upadł. Dopiero drugi cios powalił go na podłogę.

– Możecie sobie pofolgować, chłopcy – powiedział Kwasigroch. – Musi być jasne, kto tu rządzi.

Oprócz Adama wszyscy ochoczo dołączyli do Poezji, kopiąc i okładając burmistrza. Nawet Wasilewski trącał go lekko butem.

– Chodzi o symbol – wyjaśnił Adamowi nieco zakłopotany i zwrócił się do reszty: – Panowie, wystarczy, już przekazaliśmy naszą wiadomość.

– Dobra – zgodził się Kwasigroch, podnosząc pobitego burmistrza za kołnierz. – My władza. Wła-dza. Fersztejen? No to teraz paszoł won.

Zaciągnął Friedkego do drzwi i kopnięciem wypchnął na zewnątrz. Grupa parsknęła śmiechem.

Adam rozejrzał się po gabinecie. Oczywiście, na ścianie wisiał portret Stalina, który zapewne zastąpił w tym samym miejscu Hitlera. Na regale stały w równym rzędzie segregatory i zeszyty z bieżącymi sprawami. Znał dobrze Niemców i ich chorobliwą manię utrwalania wszystkiego na piśmie. Intuicja podpowiadała mu więc, że wśród urzędowych akt mogła znajdować się odpowiedź na jedyne pytanie, które go interesowało: jak wydostać się na otwarte morze.

Nie pomylił się. Jeden z czarnych zeszytów opatrzono napisem *Transporte*. Przysunął się dyskretnie do regału. Reszta była na razie zajęta mocowaniem biało-czerwonej flagi za oknem.

– I co teraz, obywatelu sierżancie? – spytał Lońka podniecony całym niezwykłym porankiem.

– Jak co, w miasto idziemy! – Poezja klepnął go rubasznie w plecy. – Niemry tam na nas czekają.

– Nigdzie nie idziemy – ostudził ich zapal sierżant Kwasigroch. – Teraz będziemy urzędować.

– Co? – stęknął Poezja, rozczarowany.

– A ty myślałeś, że po co żeśmy tu przyjechali – dla zabawy? Władza to nie jest jakieś sranie w banię... Waszyngton, co robisz z tym fotelem?

Waszyngton stał przy skórzanym fotelu burmistrza z nożem sprężynowym w rękę i zastanawiał się, od której strony zacząć krojenie.

– Bardzo dobra skórka. Prima sort – wyjaśnił.

– Zostaw to, kozia twoja mać! – huknął Kwasigroch. – To jest teraz własność państwowa.

Rozsiadł się w fotelu i położył nogi na stole, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości co do jego nowej roli. Reszta grupy stała wciąż niepewnie pośrodku gabinetu, coraz bardziej rozczarowana. Tak dobrze się ten dzień zaczął, a miało się skończyć na zwykłym „urzędowaniu”, cokolwiek to znaczyło?

– No co się tak gapicie? Zajmować sobie pokoje. Będziemy urzędować od ósmej do czwartej, towarzysze. Na razie wam dziękuję.

Zasłonięty przez wychodzącą gromadę Adam już miał sięgnąć po zeszyt oznaczony napisem *Transporte*, kiedy usłyszał głos Kwasigrocha.

– Valentino.

Obrócił się. Zaczynał już przyzwyczajać się do nowego przezwiska.

– Skombinujesz jakiś klej i rozwieszisz na mieście plakaty.

– Ale to ja mam być od propagandy – zaprotestował Wasilewski.

– Ty się ledwo na nogach trzymasz. To wszystko, towarzysze – zakończył Kwasigroch oficjalnie.

Adam zerknął na zeszyt *Transporte*. Najważniejsze, że wiedział już, gdzie szukać. Postanowił wrócić tu w nocy.

Wyszedł z budynku z paczką plakatów i puszką kleju. Zadanie nawet mu odpowiadało. Nie dlatego, że wierzył w dobrobyt na ziemi ojców albo w to, że AK to zapluty karzeł reakcji. Plakaty pozwalały oznaczyć drogę do ratusza znacznie lepiej niż jakiegokolwiek krzyżyki kredą, którymi od pewnego czasu musiał sobie pomagać.

Tracił pamięć. Tak przynajmniej to wyglądało. Zapominał nie tylko nazwiska i adresy, ale też twarze i krajobrazy. Jego pamięć była jak kubeł nieczystości wypełniony po brzegi. Więcej nie mogło się już w nim zmieścić. Iloma to ludźmi

był w ciągu ostatnich lat? Kolejarzami, nauczycielami, blondynami, brunetami, synami niezliczonych ojców i matek, mieszkańcami miast i miasteczek Generalnego Gubernatorstwa. Nowe fakty po prostu przestały zapisywać się w jego głowie. Coraz częściej nie potrafił przypomnieć sobie wydarzeń raptem sprzed godziny. Najgorsze były pierwsze chwile po przebudzeniu, kiedy nie wiedział, kim ani nawet czym właściwie jest. Za każdym razem trwało to coraz dłużej. Leżał i patrzył w sufit albo w niebo, czekając z przerażeniem, aż biała dziura wypełni się na powrót wspomnieniami minionego dnia. Czy tak wyglądają początki obłędu?

Oznaczył budynek ratusza pierwszym plakatem i spojrzał w górę na zegar. Dochodziła dopiero jedenasta. Do nocy, kiedy zamierzał wrócić po zeszyt *Transporte*, zostało jeszcze mnóstwo czasu, ale było też sporo rzeczy do zrobienia. Prowiant na podróż, jakieś porządne ubrania, ewentualnie złoto i broń.

Skierował się do nadmorskiej dzielnicy. Tam mieszkali chyba najbogatsi. Droge znaczył kolejnymi plakatami. Był to naprawdę doskonały system. Duże kolorowe plakaty widać było z daleka i nie budziły takich podejrzeń, jak krzyżyki znaczone kredą. W Pile omal nie został rozstrzelany przez Sowietów jako bojowiec Werwolfu zostawiający tajemne znaki dla swoich.

Na szczęście tu Sowietci nie kręcili się masowo po mieście. Raz tylko ulicą przejechał ruski gazik z jakimś oficerem obok kierowcy, ale Adam ukrył się w porę w ciemnej bramie.

Mewy krzyczały nad jego głową, jakby chciały ostrzec mieszkańców nadmorskich willi przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Przystanął, próbując zdecydować się na któryś z domów. Nie miał żadnego doświadczenia w szabrowaniu. Wybrał na chybił trafił okazałą willę i zwyczajnie zapukał do drzwi. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że nic głupszego nie mógłby zrobić. Co niby miał powiedzieć gospodarzowi, który otworzyłby drzwi? A może od razu dać po mu gębie w stylu Poezji? Z wściekłością na samego siebie kopnął drzwi z całej siły. Puściły.

W domu panowała cisza. Słysząc było tylko brzęczenie much.

– Halo?! – zawołał.

Nikt nie odpowiedział.

Adam ruszył ostrożnie korytarzem, przygotowany w każdej chwili na atak. Do obrony wziął solidną rzeźbioną laskę, która stała oparta o ścianę w sieni.

Mahoniowa podłoga skrzypiała pod jego nogami. Brzęczenie stawało się coraz głośniejsze. Wyraźnie dolatywało z jednego pokoju.

Popchnął uchylone drzwi. Ze środka buchnął gwałtownie trupi odór, a kłęb wielkich much zawirował z jazgotem. Na haku od żyrandola wisiała zasuszona staruszka. Pod jej nogami leżało przewrócone krzesło.

Adam zatkał nos i zatrzasnął drzwi z powrotem. Nawet nie sprawdził, czy staruszka ma na palcu jakąś obrączkę. Zdawał sobie sprawę, że z takimi skrupułami majątku nie zbije, ale po prostu nie mógł się przemóc.

Na piętrze czekała go nagroda. W gabinecie wychodzącym na ogród był jeszcze jeden trup: mężczyzna w galowym mundurze Hauptsturmführera SS, z Krzyżem Żelaznym na szyi i odstrzeloną połową głowy. Martwy Hauptsturmführer siedział przy swoim biurku, a z jego głowy wygiętej do tyłu nad oparciem krzesła wypadł na podłogę kawał mózgu, o który biła się chmara much. Krok dalej połyskiwała w słońcu czarna parabelka. Adam chwycił pistolet, nie dowierzając własnemu szczęściu.

Przez ułamek sekundy wydało mu się, że znów jest coś wart – że właśnie przyszedł na miejsce zbrodni, a jego dawny szef, nadkomisarz Strzelczyk, każe mu zrekonstruować przebieg wydarzeń.

To proste, panie nadkomisarzu. Ten esesman planował to od dłuższego czasu. Nawet powiedział o tym matce – tej powieszanej staruszce z dołu, ale ta błagała go, żeby tego nie robił, że jeszcze jest nadzieja na ostateczne zwycięstwo i tak dalej. Ale gość wiedział swoje. Ubrał się odświętnie, założył swój Krzyż Żelazny i palnął sobie w łeb. Matka usłyszała strzał i kiedy zobaczyła, co się stało, zeszła do kuchni i się powiesiła.

Brawo, panie aspirancie. Będą z pana ludzie!

Ocknął się z idiotycznej wizji. Nadkomisarz Strzelczyk nie żył już prawie pięć lat. On też powinien podzielić los swojego szefa, ale zabrakło mu charakteru.

Dobra passa trwała nadal. W salonie znalazł stary zegarek w złotej kopercie, należący pewnie do powieszanej staruszki. Po prostu leżał na kominku obok rodzinnych zdjęć zastrzelonego esesmana z góry z czasów, kiedy był jeszcze

słodkim malcem. Miał teraz nie tylko na bilet trzeciej klasy do Buenos Aires, ale i na pierwsze dni nowego życia.

W kuchni najadł się do syta jakimś peklowanym mięsem ze słoika w spizarce, popijając kompotem z wiśni. Ogarnęło go błogie zmęczenie. Nie miał ochoty na dalsze szabrowanie. Miał już prawie wszystko, czego potrzebował na wyjazd – złoto i broń. Jakies ubrania zapewne też się znajdują. Na oko martwy esesman był mniej więcej jego budowy. Postanowił przespać się do nocy, kiedy będzie można iść do ratusza po zeszyt.

Położył się na sofie na oszklonej werandzie i zamknął drzwi. Nie dobiegał tu żaden smród z głębi domu, a że dzielił go z dwoma trupami? Cóż, umarli towarzyszyli mu nieustannie. Zdążył się przyzwyczaić.

Kiedy się obudził, było już ciemno. Znów ogarnęła go znajoma pustka, w której nie był nikim ani niczym. Upłynęła dobra minuta w potwornej ciemności, zanim wróciła mu świadomość. Swinemünde. Dom z dwoma trupami. Adam Kostrzewa. Ratusz. Zeszyt *Transporte*. Buenos Aires. Dotknął argentyńskiej pocztówki w kieszeni. Powoli zaczynał się uspokajać.

Nocą miasto wyglądało na całkiem wymarłe. W ciemnych kamienicach nie świeciła się ani jedna lampa. Żaden bezpieczny pies nie przebiegał po kałużach odbijających mizerny blask księżyca. Adam przemykał się krótkimi skokami od bramy do bramy. Plakaty się sprawdziły. Rozpoznawał je bez trudu w kluczowych miejscach trasy. Raz czy dwa wydało mu się, że ktoś go śledzi, ale było to zapewne tylko złudzenie.

Włamanie do ratusza nie nastręczyło mu żadnych trudności, zwłaszcza że pod władzą sierżanta Kwasigrocha rygor zamykania urzędowych drzwi na klucz przestał najwyraźniej obowiązywać. Adam wsunął się ostrożnie do środka i zamarł na chwilę, nasłuchując. Nie był pewny, czy milicjanci nie zostali tu na noc. W ratuszu panowała jednak zupełna cisza.

Gabinet burmistrza na piętrze też był otwarty, i to na oścież. Adam uśmiechnął się z satysfakcją na myśl, że przy takiej nieudolności władza ludowa może wkrótce sama się wykończyć. Nie zamierzał jednak na to czekać. Jeśli w ogóle miał jakąś przyszłość, to tylko w Buenos Aires.

Podszedł do regału. Nie było rady, musiał przyświecić sobie zapalką, żeby odczytać niemieckie nazwy zeszytów i segregatorów. Czy to możliwe? Zeszytu

oznaczonego napisem *Transporte* nie było na półkach. Musiał się pomylić. W końcu jego pamięć szwankowała, więc zeszyt wcale nie musiał stać tam, gdzie mu się wydawało. Wodził zapalką od samej góry aż do podłogi, ale nazwy *Transporte* nie dostrzegł nigdzie.

Dopalająca się zapalka oparzyła go w palce. Chciał zapalić następną, ale w tym samym momencie poczuł potężne uderzenie w głowę, jakby zwała się na niego cała kamienica.

Rąbnął twarzą o podłogę, ale z tego nie zdawał już sobie sprawy.

5

Było jasno. Leżał na jakimś dywanie w całkiem przyzwoitym pokoju. Nigdzie żadnego gruzu czy odłamków szkła. Okna też nie były zabite deskami, lecz pełne słońca, oszklone. Przestronny pokój przypominał trochę gabinet nadkomisarza Strzelczyka. Wszystko to wskazywało na rok trzydziesty siódmy, kiedy Adam stawiał się po raz pierwszy do pracy w pierwszym komisariacie. Tyle że nosił wtedy całkiem inne nazwisko. Jak właściwie się wtedy nazywał?

Podniósł się z podłogi. Zawirowało mu przed oczami. Usiadł na krześle, żeby nie zemdleć. Na głowie miał zakrzepłą krew. Ktoś musiał mu nieźle przyłożyć. Tylko tyle pamiętał – potężne uderzenie, a zaraz potem ciemność. Rozejrzał się, próbując rozpaczliwie przypomnieć sobie całą resztę – co tu robił, czy to była Warszawa, który był rok i jak się aktualnie nazywał.

Jego wzrok padł na portret Stalina. Generalissimus patrzył na niego spod krzaczastych brwi z wyraźną kpina. Oczywiście, że to nie był trzydziesty siódmy ani żaden gabinet nadkomisarza. W jednej chwili jego pamięć wypełniła się po brzegi jak przelana wanna. Adam Kostrzewa. Tak się teraz nazywał. *Transporte*. Tego wczoraj szukał. Wsadził rękę do kieszeni. Rzecz jasna, pistolet zniknął, tak samo jak złoty zegarek. Najgorsze jednak, że złodziej zabrał mu też argentyńską pocztówkę. Zaklął na głos.

Obmył ranę na głowie pod kranem w łazience. Niewiarygodne – wciąż mieli tu bieżącą wodę. W jednym z pokoiów znalazł apteczkę. Podczas bandażowania zrobiło mu się niedobrze, ale wytrzymał. Ocalił kolację z gościnnego domu pod dwoma trupami. Chciał wracać tam jak najszybciej, zanim w ratuszu zjawią się

znów milicjanci, ale wciąż wirowało mu przed oczami. Położył się na sofie w poczekalni dla interesantów, żeby dojść do siebie. Zamknął oczy.

Transporte. A więc nie tylko on chciał opuścić wyspę. Ten, kto dał mu w nocy po łbie, przyszedł do ratusza dokładnie w tym samym celu. Właściwie mógł to być każdy, ale Adam miał już na ten temat pewną teorię: któryś z towarzyszy milicjantów łągał w swojej sprawie.

Dlaczego pan tak uważa?

W miejscu ściany pojawiła się nagle monstrualnie wielka twarz nadkomisarza Strzelczyka.

Po pierwsze: ten, kto zabrał zeszyt, musiał znać dobrze niemiecki, a w naszym znakomitym towarzystwie podobno tylko ja mówię w tym języku. Któryś z nich musi więc z rozmysłem kłamać na swój temat.

Zeszyt mógł równie dobrze zabrać Niemiec.

Teoretycznie. W praktyce nie widzę powodu, dla którego jeden z pracowników burmistrza czy też on sam miałyby z narażeniem życia wykradać informacje o transporcie akurat dzisiejszej nocy. Pracownicy ratusza muszą i bez tego wiedzieć, jakie statki i kiedy zawijają do portu.

W takim razie nie wszystko jest jeszcze dla pana stracone.

Oczywiście, że też nie pomyślał o tym wcześniej! Wystarczyło odszukać burmistrza i po prostu zmusić go do mówienia. Gdzieś wśród papierów ratusza musiał znaleźć jego prywatny adres. Zerwał się z sofy, żeby wprowadzić plan w życie, ale było już za późno.

– Adam? – W drzwiach zjawił się nagle Wasilewski. Dyszał ciężko po wejściu po schodach, oparty o futrynę. – Na Boga, co ci się stało?

– Mały wypadek w piwnicy – skłamał Adam, dotykając bandaża na głowie. – Próba szabru zupełnie mi nie wyszła i musiałem wrócić tu na noc.

Nie spuszczał oka z Wasilewskiego. Czy to mógł być on? Z jednej strony trudno było uwierzyć, że ktoś taki mógłby wykrzesać z siebie tyle siły, lecz z drugiej

wydawało się to całkiem logiczne. Był w obozie, musiał znać niemiecki, a jeśli twierdził inaczej, to z jakiegoś powodu zwyczajnie kłamał.

– Pewnie też bym tu skończył, gdybym nie trafił na puste mieszkanie – wysapał Wasilewski, opadając na sofę obok Adama. – Cieszę się, że cię widzę. Wczoraj na mieście rzuciły mi się w oczy twoje plakaty.

– Moje?

– Wiesz, o czym mówię. Myślałem, że tego z zapluty karkiem reakcji nie powiesz.

– Dobrze kontrastował z kolorem ściany – odparł Adam zgodnie z prawdą.

– Wiem, że wcale nie jesteś takim cynikiem, za jakiego się uważasz. Dobrze, że wróciłeś. Będziesz potrzebny.

– Komu?

– Wiesz, że w tym kraju zostało tylko jakieś siedemdziesiąt tysięcy inteligencji? Ci, co przeżyli, mają obowiązki. Musimy nazwać ten świat na nowo, żeby wyjść z chaosu.

– Ja jestem z zawodu ślusarzem.

– Daj spokój. Myślisz, że którykolwiek z nas jest tym, za kogo się podaje? Nawet Poezja... zresztą to nieważne. Teraz trzeba przede wszystkim zbudować dział kultury i oświaty. Wbrew pozorom to jest pilniejsze niż sprawy bytowe...

– Zaczekaj – przerwał mu Adam, coraz bardziej zaintrygowany. – Coś wiesz o naszych towarzyszach?

– Po prostu widzę pewne rzeczy. Mówiłem ci, że byłem profesorem antropologii. Ludzie to przedmiot moich badań.

– Pamiętam. A czego mi nie mówiłeś?

– A co chcesz wiedzieć?

– Dlaczego udajesz, że nie znasz niemieckiego.

Wasilewski zamilkł na dłuższą chwilę.

– Nie udaję – powiedział w końcu cicho. – Po prostu nie mogę. Nie mogę.

Nagle wyprostował się jak struna, jakby usłyszał w głębi duszy znajomy ryk, który wyszedł przez jego własne usta:

– *Mützen ab!*^[7]

Wasilewski ściągnął beret mechanicznym, powtarzanym tysiące razy ruchem i przycisnął go kurczowo do boku.

– Mützen auf!^[8]

Wcisnął sobie beret na głowę wpatrzony rozpaczliwie gdzieś przed siebie.

– Wystarczy! – krzyknął Adam, chwytając się za głowę, jakby zaraz miała mu pęknąć. – Wystarczy, kurwa mać!

Wasilewski ocknął się z letargu i wolno przeniósł na niego wzrok.

– Teraz rozumiesz?

– Nie było pytania!

Czuł, że ból zaraz rozsadzi mu czaszkę. Jakby ktoś napełniał ją na siłę z otwartego kranu wspomnień.

– To może być wstrząśnienie mózgu – powiedział Wasilewski. – Daj, obejrzę.

– Zostaw.

Nagle wszystko ustało. Kran został zakręcony. Tylko pojedyncze krople skapywały jeszcze do jego przepełnionej pamięci.

– Poszukajmy czegoś do jedzenia – zachrypiał. Wcale nie czuł głodu. Chciał tylko zająć się czymś innym. Przesłuchanie Wasilewskiego było złym pomysłem. Oświęcimiak nie miał tyle siły, żeby powalić dwa razy cięższego mężczyznę jednym ciosem. Nadkomisarz Strzelczyk wyśmiałby taką hipotezę.

– Mam coś niecoś ze sobą – powiedział Wasilewski, sięgając do plecaka.

Zjedli w milczeniu trochę ugotowanej kaszy, którą Wasilewski znalazł w opuszczonym mieszkaniu. Powoli Adamowi wracała jasność myślenia. Musiał odnaleźć burmistrza. Może to jednak on zabrał ze swojego gabinetu zeszyt *Transporte* i dał mu przy okazji po łbie. Kto wie, co tak naprawdę tam się znajdowało. Burmistrz mógł przecież pomagać różnym faszystowskim łajdakom w ucieczce za morze i nie chciał, żeby kompromitujące go dokumenty wpadły w ich ręce.

Zanim skończyli jeść, w ratuszu zjawili się razem Waszyngton i Lońka. Obaj byli wyraźnie zaskoczeni, że nie przyszli pierwsi.

– A wy co tak późno? – rzucił prowokacyjnie Adam. – Już prawie szósta rano.

– Jak to mówią Niemcy, kto rano wstaje, ten ma złoto w gębie – odparował Waszyngton.

– Ja mam zawsze złoto w gębie! – Lońka zaśmiał się, błyskając dwoma złotymi zębami na przedzie. – A jak się dorobię, to cały przód sobie wstawię ze złota.

Adam podniósł wzrok na Waszyngtona, zaintrygowany. Ten też ukrywał się ze znajomością niemieckiego?

– To trochę inaczej idzie. *Morgenstunde hat Gold im Munde*^[9] – wyrecytował, nie spuszczać z niego wzroku.

– *Na ja!*^[10] – W tym samym momencie Waszyngton zorientował się, że wpadł w pułapkę. – Lepiej powiedz, kto ci tak przyłożył w łeb.

– Właśnie próbuję to ustalić.

– Spadł ze schodów, jak piwnicę przeszukiwał – wyjaśnił Wasilewski.

– Szabrować też trzeba umieć – powiedział tonem eksperta Waszyngton. – Nie wchodzi się do piwnicy bez świecy.

– Bóg zapłać za naukę. A do ratusza w nocy można?

– Co?

– Pełną aptekę żeśmy wczoraj znaleźli – przerwał im Lońka. – Powiedz im, Waszyngton.

Adam wolno przeniósł wzrok na chłopaka ze złotymi zębami. Właściwie jego też nie dawało się całkowicie wykluczyć. Może tylko udawał półgłówka.

– A ty od kiedy jesteś amatorem penicyliny? Myślałem, że trzymasz z Poezją.

– Ani mi on brat, ani swat. – Lońka wzruszył ramionami, spuszczać wzrok. Z pewnością coś ukrywał.

Waszyngton postanowił poszukać poparcia u Wasilewskiego.

– Przyuczam chłopaka. Pojętny jest. Sam mówiłeś, że każdy musi się rozwijać.

Wasilewski westchnął głośno.

– Mówiłem, że moralnie każdy powinien się podnosić.

W tym momencie na dole rozległ się rumor. Wybiegli z pokoju. Na posadzce w drzwiach ratusza leżał kompletnie pijany Poezja i bełkotał coś niezrozumiale, wodząc po nich mętным wzrokiem.

– Ten nawet z podłogi sam się nie podniesie, a co dopiero moralnie – powiedział Adam do Wasilewskiego. – Weźcie go z tamtej strony.

Dźwignęli olbrzyma pod ramiona i zaprowadzili do łazienki, żeby wsadzić mu głowę pod kran. Zimna woda zrobiła swoje. Poezja doszedł do siebie na tyle, że

przynajmniej ich rozpoznał. Wspólnymi siłami posadzili go na sofie w urzędowej poczekalni.

– Poezja, słyszysz mnie? – Adam chwycił go za klapy wojskowej kurtki i nim potrząsnął. – Jak się nazywasz?

– A ty co go wypytujesz? – stanął w obronie pijanego Waszyngton. – Z безпеki jesteś?

Fortel nie powiódł się. Zresztą Poezja wcale nie miał zamiaru wyjawić nikomu swojego prawdziwego nazwiska, nawet po pijanemu.

– Spokojnie, chcę tylko, żeby wytrzeźwiał, zanim sierżant przyjdzie.

– Nagle się zrobiłeś koleżeński. Daj chłopakowi spokój.

Adam wiedział, kiedy się wycofać. Wcześniej nie wziął tego pod uwagę, ale cała ta trójka mogła działać w zмовie: Waszyngton był ich mózgiem, Poezja pięściami, a Lońka chłopcem na posyłki. Jeśli zrobili to razem, to Waszyngton i Poezja pewnie weszli do ratusza po zeszyt, a Lońka stał na czatach na zewnątrz. Adam coraz bardziej nabierał przekonania do tej wersji wydarzeń. Było jasne, kto dał mu po łbie – najsilniejszy. Nadkomisarz zawsze powtarzał, żeby nigdy nie odrzucać najbardziej oczywistego rozwiązania. W dziewięciu wypadkach na dziesięć okazuje się trafne. Adam wciąż pamiętał przemowę, jaką szef poczęstował go na samym początku pracy w pierwszym komisariacie.

Wiem, panie aspirancie, że spodziewa się pan różnych tajemniczych spraw, wielkich zagadek, geniuszy zbrodni i takich tam. Niestety, u nas czegoś takiego nie ma. Nasi mordercy nie smarują na miejscu zbrodni żadnych cytatów z Biblii, nie wyrzynają na ciele denata egipskich hieroglifów i nie przysyłają nam zagadkowych listów, które trzeba odszyfrować, żeby odkryć następną ofiarę. Przeważnie nie potrafią w ogóle pisać ani czytać. Po prostu walą kogoś po pijanemu siekierą po łbie, a potem każą znajomej prostytutce zeznawać, że robiła im w tym czasie przyjemność. To wszystko. Proszę więc przyjąć, że najbardziej banalne rozwiązanie, jakie nasunie się panu podczas pierwszego przesłuchania, najczęściej okaże się trafne. Też żałuję, ale tak właśnie jest.

Poezja wybełkotał coś pod nosem.

– Co?

Adam nachylił się, żeby lepiej usłyszeć. Poezja cuchnęła potwornie spirytusem.

– Krzyż... – wybełkotał.

– Co? Mów głośniej.

– Krzyż splugawiony razem z młotem padnie...

– Bredzi – orzekł Wasilewski.

– Ja to znam! – zawołał Lońka. – „Krzyż splugawiony razem z młotem padnie i będzie Polska od morza do morza”. To z przepowiedni Wernyhory.

Adam odsunął się od bełkoczącego Poezji, rozczarowany. Przez chwilę wyglądało to naprawdę na jakąś zagadkę, której nie doczekał się nigdy w pierwszym komisariacie.

– Pięknie – bąknął. – Milicjanci kabalarze.

– Jest ślusarz, mogą być i kabalarze – powiedział Wasilewski, patrząc mu wyzywająco w oczy.

Adam spuścił wzrok, przeklinając w duchu chwilę słabości, w której wydało mu się, że oświęcimiakowi można zaufać. Drań nie był ani trochę mniej podejrzany od pozostałych. Kto wie, czy też nie uczestniczył w nocnej wyprawie na ratusz jako czwarty. To on mógł śledzić go w ciągu dnia. Sam mówił, że widział plakaty, które Adam rozwiesił na mieście. Oznaczało to, że podążał jego tropem albo przynajmniej szedł tą samą trasą.

Na razie niczego konkretnego nie udało się ustalić. Adam wciąż nie wiedział, co stało się z zeszytem *Transporte*, a tak naprawdę tylko to się liczyło. Zastanawiał się, czy w ogóle czekać na Kwasigrocha. Mógł od razu złożyć pastorowi Friedkemu prywatną wizytę i zapytać grzecznie, jak wygląda sytuacja z transportem morskim w Swinemünde i czy pastor nie mógłby w tej sprawie służyć mu pomocą.

Zwyciężyła ciekawość. Od lat nie czuł czegoś podobnego. Wspomnienia dawnej pracy w pierwszym komisariacie wydawały się zupełnie wyblakłe i przygniecione ciężkimi aktami z kolejnych lat. Teraz jednak ożyły w cudowny sposób. W pewnym sensie znów wykonywał tę samą policyjną robotę co kiedyś – wypytywał, snuł hipotezy, przedstawiał je nadkomisarzowi. Nie mógł darować sobie być może najważniejszego przesłuchania.

Sierżant Kwasigroch zjawił się punktualnie o ósmej, trzeźwy, ale za to wyraźnie roztrzęsiony. Nie patrzył w oczy, nie pohukiwał.

– Witajcie, towarzysze – powiedział służbowym tonem, który postanowił przyjąć wobec podwładnych jako nowy burmistrz. – Wejdźcie do mnie, odprawę trzeba zrobić.

Przeszedł obok Adama, zupełnie nie zwracając uwagi na jego obandażowaną głowę. To, rzecz jasna, też był jakiś trop, choć nie najlepiej mówił o inteligencji sierżanta. Prawdziwy sprawca raczej dopytywałby się głośno, żeby nie ściągać na siebie podejrzeń.

Nagle Adam zamarł. Na kołnierzu Kwasigrocha widniały drobinki krwi: jakby coś bryznęło na niego z pewnej odległości. Cała teoria o spisku czterech milicjantów runęła w jednej chwili. Ci czterej nie mieli ze sobą nic wspólnego. To sierżant omal nie zabił go w nocy. Od początku to wszystko zaplanował. Teatralne przedstawienia, komunistyczna bufonada. W rzeczywistości przyjechał do Swinemünde dokładnie w tym samym celu co Adam – żeby opuścić świat zgliszczy i ruin raz na zawsze. W gruncie rzeczy pozostali też tego chcieli, ale w tym wyścigu Kwasigroch właśnie wyprzedził ich wszystkich o duży krok.

Sierżant chrząknął, spoglądając po twarzach podwładnych. Czuł, że powinien mówić teraz do nich innym językiem niż dotychczas. Burmistrz nie może wyrażać się jak pierwszy lepszy trep. Nowy język władzy sprawiał mu jednak spore trudności. Znał tylko kilka zwrotów wyczytanych w lubelskich gazetach i zasłyszanych, kiedy był u Berlinga.

– Towarzysze – zaczął z namaszczeniem, naśladowując pewnego politruka, który tłumaczył mu kiedyś, na czym polegała wyższość komunizmu nad kapitalizmem. – Objęliśmy wczoraj władzę na tych starych piastowskich ziemiach...

– Sierżant coś jadł? – przerwał mu Waszyngton. – Bo całkiem dobrą kiełbasę znaleźliśmy.

– Nie przerywaj, kozia twoja mać! Do roboty żeśmy tu przyszli, a nie na jakieś sranie w banię! – huknął sierżant, ale zaraz zdał sobie sprawę, że znowu mówi po staremu. Trudna była ta nauka nowego języka. – Chciałem powiedzieć, że oficjalnie objęliśmy we władanie tę ziemię ojców, żeby ten...

Adam nie odrywał wzroku od czerwonych drobinek na kołnierzu. Czyżby to naprawdę była jego krew? W pierwszym komisariacie sprawę załatwiłoby się w dwadzieścia cztery godziny – wystarczyłoby zlecić analizę doktorowi

Menckenowi i po kłopotcie. Tutaj Adam musiał polegać na prymitywnych metodach.

– A sierżant ma krew na kołnierzu – wypalił nagle.

– Gdzie? – Kwasigroch wcale nie wyglądał na skonsternowanego. Potwierdzało to przypuszczenia, że był o wiele wytrawniejszym graczem, niż się wydawało. Ale czy wytrawny gracz pozwoliłby sobie na taki oczywisty błąd? – Pewnie zaciąłem się przy goleniu.

– Ale dzisiaj sierżant się nie golił – zauważył Adam, pokazując na dwudniową szczecinę na twarzy Kwasigrocha.

– A czy ja mówię, że dzisiaj! – wybuchnął sierżant. – Wczoraj, przedwczoraj – nie wiem. Co cię to obchodzi, kozi synu? Ty masz cały łeb we krwi i nie pytam czemu, bo mam to w dupie!

Umilkł, zdając sobie sprawę, że zupełnie wypadł z roli. Trudno, nowego języka trzeba najpierw się nauczyć. Na razie musi wystarczyć stary.

– Dosyć tego pierdzenia – zdecydował. – Rozdzielam zadania. Waszyngton – ty będziesz kierownikiem aprowizacji...

Nie zdążył dokończyć, ponieważ w tej samej chwili do gabinetu wpadł jakiś zdyszany nastoletni rudzielec. Musiał biec od dłuższego czasu. Na lewym ramieniu miał opaskę z sowiecką gwiazdą.

– Czy tu jest ta nowa polska policja pomocnicza? – wysapał po niemiecku.

– Jesteśmy Milicją Obywatelską, towarzyszu – odparł Kwasigroch, nie czekając na tłumaczenie. – A wy kto?

Adam spojrzał badawczo na sierżanta. Oczywiście, jeszcze jeden cholerny poliglota.

– Na co czekasz? – zreflektował się Kwasigroch. – Tłumacz.

Adam zwrócił się po niemiecku do intruza.

– Nazywam się Markus – odparł rudzielec. – Jestem w służbie porządkowej. Szedłem do pracy przez Adolf-Hitler-Platz... to znaczy Kleiner Markt^[11], a tam... pastor Friedke.

– Co pastor Friedke?

– Leży. Zabity. Skoro wy jesteście teraz nową policją, to musicie się tym zająć!

Adam powiódł wzrokiem po mężczyznach w gabinecie. Był przekonany, że wszyscy doskonale zrozumieli, co się stało, a przynajmniej jeden z nich wiedział na ten temat znacznie więcej.

II WŁADZA

1

– Trup jak trup. Leży i śmierdzi – orzekł obojętnie Lońka, strzykając śliną przez złote zęby.

– Ten jeszcze nie śmierdzi – zauważył rzeczowo Waszyngton. – Za świeży.

– Chłopcy – upomniał ich Wasilewski – to jest jednak człowiek.

– Chyba rzygnę – zdecydował wciąż skołowany Poezja i odbiegł do najbliższej bramy.

– I co niby mamy tu oglądać? – zirytował się Kwasigroch. – Zaraz dam temu ryzemu Niemczakowi po pysku. Tylko głowę zawraca.

Ruszył już w stronę Markusa, żeby spełnić swoją groźbę, ale Adam chwycił go za rękę.

– Smarkacz ma rację – powiedział. – Jest morderstwo, a my jesteśmy policją.

– Milicją – poprawił go Lońka.

– A gdzie tu widzisz morderstwo? Może ze strachu padł po tym, jak żeśmy go wzięli troszkę pod buty.

– Sam sobie tego kciuka nie odciął – odparł Adam, pokazując na denata. – Poza tym dlaczego leży akurat na środku miasta?

Pastor Friedke leżał na samym środku brukowanego placu, który jeszcze przed miesiącem nazywano na cześć Adolfa Hitlera. Na twarzy miał sińce po niefortunnym spotkaniu ze specjalną grupą operacyjną, ale poza tym na ciele nie było śladu ran postrzałowych, kłutych, ciętych czy rąbanych. Miał tylko odcięty kciuk, ale to nie mogła być przyczyna śmierci.

Adam patrzył na denata jak zahipnotyzowany. Stosy trupów czy doły wypełnione ciałami nie robiły już na nim większego wrażenia. Ale pojedynczy martwy człowiek specjalnie wystawiony na widok publiczny pośrodku centralnego

placu w mieście to było coś nowego. Ile osób zginęło w tej wojnie? Mówiło się o pięćdziesięciu milionach^[12]. Tyle trupów nie można sobie nawet wyobrazić. Były bezkształtną masą zrodzoną przez matkę Statystykę. Co innego pojedynczy nieboszczyk. Ten zawsze miał jakieś konkretne nazwisko oraz historię życia i śmierci.

Nachylił się nad ofiarą. Poczł dziwną ostrą woń.

– Co ty, Valentino? – Lońka się zaśmiał. – Jezu, trupa wacha!

Adam nie słuchał, zaskoczony swoim odkryciem. Ostrożnie obrócił ciało na bok. Na potylicy widniała zakrzepła rana po mocnym uderzeniu jakimś tępym narzędziem. To mogła być przyczyna śmierci, ale nie musiała.

– Nieźle mu ktoś przydzwonił – stwierdził Waszyngton.

Adam obrócił się do Markusa.

– Macie tu jakiś szpital? – spytał po niemiecku.

– Co tam do niego szwargoczesz? – skarcił go Kwasigroch. – Tłumacz od razu na nasze.

– Jakbyście nie rozumieli.

– Co?

– Spytałem go, czy jest tu szpital.

– Ciebie trzeba dać do szpitala. Temu już żadna lewatywa nie pomoże. – Kwasigroch trącił martwego pastora butem.

– Trzeba wykonać sekcję zwłok – ciągnął niezrażony Adam. – Zawsze tak się robi przy morderstwach.

– A ty skąd wiesz takie rzeczy?

– Czytałem w książkach.

Sierzant spojrzł z wahaniem na posiniaczoną twarz denata.

– Nie nasza sprawa – zawyrokował w końcu. – Jeśli o mnie chodzi, wszyscy Niemcy mogą się między sobą wytłuc.

– Wcale nie wiadomo, czy zabił go Niemiec.

Adam odruchowo spojrzł na kołnierz Kwasigrocha. A co, jeśli była to krew pastora?

– A kto?

– To właśnie musimy ustalić.

– „Ustalić”, „sekcja zwłok” – zadrwił Lońka. – Gadasz jak ubowiec.

– A ty jak ostatni dureń. Jest ofiara, musi być dochodzenie. Zdaje się, że mieliśmy tu zaprowadzać porządek. A może się mylę?

Popatrzył wyzywająco na Kwasigrocha. Wiedział, że nie powinien tak się zapalać. Nic go to nie obchodziło. Nie był już aspirantem pierwszego komisariatu. Nadkomisarz Strzelczyk rozkładał się w jakimś lesie w Palmirach, a jego resztki pewnie nigdy nie zostaną odnalezione. Adam tłumaczył sobie jednak, że zabójstwo pastora – instynkt podpowiadał mu, że jednak było to zabójstwo – miało ścisły związek z kradzieżą zeszytu oznaczonego napisem *Transporte*. Złodziej i zabójca byli albo jedną i tą samą osobą, albo współnikami. Odkrycie zabójcy leżało więc w jego interesie.

Poezja powrócił z bramy, wycierając usta rękawem. Wzrok miał już przytomniejszy i trzymał się lepiej na nogach.

– No, już jestem dobry – oznajmił. – Czyli o co chodzi z tym zabitym?

– Sierżant mówi, że nikt go nie zabił. Ze strachu padł i łbem wyrznął o ziemię – wyjaśnił Lońka.

– To zły znak – powiedział Poezja, wpatrując się w trupa. – Jest przepowiednia, że piasek będzie padać z nieba, a ludzie ze strachu umierać.

– Jeszcze nie wytrzeźwiałeś? – ofuknął go Kwasigroch. – Gdzie tu masz piasek?

Poezja zdał sobie sprawę, że było to trochę od rzeczy, ale skojarzyło mu się z piaskiem, który miał w kieszeniach po wczorajszych zaślubinach z morzem. Zawsze ilekroć wypił za dużo, krążyły mu po głowie różne straszne przepowiednie.

– Adam ma rację – odezwał się Wasilewski, wpatrzony w martwego burmistrza.

– To jest jakaś dziwna sprawa. Ten kciuk, na przykład. Po co ktoś go odciął. I jeszcze specjalnie ułożył mu ręce tak, jakby to miało coś znaczyć.

Rzeczywiście, ręce pastora nie leżały naturalnie. Spoczywały skrzyżowane na jego piersi, najwyraźniej ułożone przez mordercę.

– Moim zdaniem trzeba przeprowadzić dochodzenie – podsumował Wasilewski.

– Ktoś cię pyta o zdanie? – warknął sierżant Kwasigroch. – Detektywi, kozia wasza mać. Idziemy. Robota na nas czeka.

– A ciało?

– Niech leży w cholere. Niemcy sobie zabiorą.

– Nie możemy go tak zostawić – zaprotestował stanowczo Wasilewski. – To jest nie tylko niemoralne, ale i nieprofesjonalne.

– Jak? – Lońka zaśmiał się, rozbawiony profesorskimi słowami. – Sierzancie, oni obaj gadają jak ubowcy!

– Zamknij się – zgasił go Kwasigroch. – Wszystko w tym temacie. Idziemy.

Adam postanowił wytoczyć ostatni, najcięższy argument.

– Rosjanom to się nie spodoba.

Kwasigroch zatrzymał się w pół kroku.

– Co?

– Sowieckiej komendanturze wojennej. Jak dowiedzą się, że zostawiliśmy trupa, to nie będą zadowoleni. Zrobią swoje dochodzenie i wyjdzie im, że to my go zabiliśmy.

– Ciebie naprawdę lekarz powinien obejrzeć.

– Niemcy na pewno tak zeznają. Nie da się ukryć, że burmistrz został przez was pobity.

– Od tego na pewno nie wykitował.

Adam rozłożył bezradnie ręce.

– Bez śledztwa tego nie udowodnimy.

Kwasigroch zaklął pod nosem, wściekły, że od rana nic nie szło po jego myśli. Obiecywał sobie, że jako burmistrz Swinemünde będzie mówił i zachowywał się z godnością, a tu proszę, jeden trup i godność szlag trafił.

– Dobra, czyli co trzeba zrobić?

– Najpierw sekcję zwłok.

– Znasz się na tym?

Adam wzruszył ramionami.

– Nie jestem lekarzem. Dlatego pytałem Niemca o szpital.

Kwasigroch przez chwilę kiwał mądrze głową, jakby wazył w myślach różne możliwości.

– Dobra – zdecydował. – Zajmij się tym. Reszta wraca do ratusza.

– Ja pójdę z Adamem – zaoferował się Wasilewski.

– Idziesz z nami, oświęcimiak, i koniec dyskusji, kozia twoja mać! – wybuchnął Kwasigroch, wściekły, że i tak stracił już jednego z dwóch ludzi najbieglejszych w sztuce czytania i pisania, której z pewnością wymagała organizacyjna robota w ratuszu.

Adam został sam z nastoletnim Markusem i trupem burmistrza. Było wciąż wcześniej. Zapowiadał się pochmurny dzień. Od morza zawiewały czasem lodowate podmuchy.

– Zimno tu u was – powiedział Adam, kuląc się w swoim długim wytartym płaszczu.

Markus wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru tłumaczyć, że nie cierpi tej wiecznie omiatanej wiatrem dziury i że przyjechał tu tylko na chwilę, która przeciągnęła się do trzech lat.

– Skombinuj jakieś taczki i jedziemy do tego szpitala – zdecydował Adam.

– Co? – zdziwił się Markus.

– Taczki – powtórzył Adam. – *Karre*. Ciebie też mam uczyć niemieckiego? Na plecach tego trupa nie będziemy nieść.

Chwilę później załadowali ciało burmistrza na taczki, które Markus zarekwirował w zamkniętym sklepie ogrodniczym, i ruszyli w stronę szpitala. Pogoda wyraźnie się popsuła. Słońce zniknęło za siną zasłoną, wiatr przybierał na sile. Zanosilo się na deszcz.

Adam nawet nie pomyślał, żeby zaprząć do pchania taczek Markusa. Wydało mu się oczywiste, że to jego robota. Robił to setki razy. Czasem na taczkach leżał nie jeden, a dwa trupy. Co prawda ważyły tyle co jeden pastor Friedke, ale ich kończyny jeżyły się na wszystkie strony, przeważając taczki raz na jedną, raz na drugą stronę. Nie było łatwo utrzymać się w tempie wybijanym przez bęben:

Links, links, drei, vier,

Links, links, drei, vier!

Adam przystanął, żeby otrząsnąć się ze wspomnień. Cholerny Wasilewski – to on przypomniał mu o tym zdejmowaniu i zakładaniu czapek.

– Gdzie nauczył się pan tak dobrze niemieckiego? – Głos Markusa wyrwał go z odrętwienia.

– Powiedzmy, że byłem na obozie językowym.

– Przed wojną?

– Nie. Nie przed wojną. – Zwykle unikał mówienia czegokolwiek na swój temat, ale chciał po prostu zamknąć smarkaczowi usta.

Markus pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Pastor też był w obozie. W Dachau. Dobry człowiek. Antyfaszysta.

– Teraz tu są sami antyfaszyści – burknął Adam. – Zamknij się i prowadź do tego szpitala.

Koła taczek znów potoczyły się po nabrzeżu ze znajomym skrzypieniem. Najgorzej było zawsze na bramie. Orkiestra grała, bęben walił, kapo miarowo podawał krok: *Links, links, drei, vier...* a potem nagle wykrzykiwał: *Mützen...* Prawą rękę trzeba było położyć wtedy na czapce, ale jak to zrobić, skoro do pchania taczek potrzebne są obie? *Ab!* – padała następna komenda. Adam podstawiał kolano pod prawą rączkę taczek i jak najszybciej zrywał czapkę z głowy. Raz sztuka się nie udała. Taczki zachwiały się, trup wypadł w błoto, a na bramie zrobił się zator...

Wspomnienie było tak silne, że Adam omal nie przewrócił się z taczkami na nabrzeżu. Pot zalewał mu czoło.

– Dobrze się pan czuje? – zaniepokoił się Markus.

– A ty kto, lekarz? Bierz to. Teraz ty będziesz pchał.

Powoli się uspokajał. Od razu powinien oddać taczki smarkaczowi. I nie gadać na swój temat. Miał prowadzić śledztwo, a nie spowiadać się przed gówniarzem z Hitlerjugend.

– Ten wasz burmistrz. Dlaczego nazwałeś go pastorem?

– Bo był kiedyś pastorem.

– I co, stracił wiarę, bo Niemcy przegrały wojnę?

Markus wzruszył ramionami.

– Jeszcze przed wojną wywieźli go do Dachau. Dopiero co stamtąd wrócił.

Adam spojrzał na taczki. Coś mu się tu nie zgadzało. Pastor był zadziwiająco dobrze odżywiony jak na człowieka, który spędził całe lata w obozie koncentracyjnym.

– Z tego obozu wrócił sam?

– Z doktorem Spitzgauem.

– Co to za jeden?

– Właśnie do niego jedziemy. Przyjaźnili się w obozie. Pastor załatwił mu pracę w szpitalu, jak został burmistrzem.

– Czyli ten doktor i wasz burmistrz trzymali ze sobą?

– Jeszcze jak. Były nawet plotki... Zresztą, nieważne. O umarłych nie można źle mówić, bo to przynosi pecha.

Jakaś sylwetka mignęła między domami przy nabrzeżu. Adam odwrócił się błyskawicznie, ale nie zdołał nikogo zobaczyć. Nie miał już wątpliwości, że ktoś go śledzi. Na ułamek sekundy ogarnęła go panika. Jeśli dostanie się w ręce Sowietów, to koniec. Raz-dwa odkryją jego prawdziwe nazwisko. Na pewno mieli go na pierwszym miejscu wśród wszystkich poszukiwanych. Powinien wiać, a nie zabawiać się w milicyjnego detektywa.

Opanował się. Spokojnie, na ucieczkę przyjdzie jeszcze czas. Śledztwo w sprawie zabójstwa burmistrza i zaginionego zeszytu z napisem *Transporte* prowadziło go w tym właśnie kierunku. Im prędzej znajdzie zabójcę, tym szybciej znajdzie się na statku do Buenos Aires. Czy nadal na niego czekała? Chciał dotknąć pocztówki w kieszeni, ale natrafił na pustkę. Nawet to zostało mu odebrane.

Burmistrz i dyrektor szpitala. Przyjaciele z obozu. Może kochankowie. To wcale nie wykluczało, że jeden zabił drugiego. Wręcz przeciwnie. Zbrodnia z namiętności była całkiem prawdopodobna. Ale należało też zbadać inne możliwości.

– Dobra, czyli te gołąbki gruchały razem. A kogo mieli przeciwko sobie?

– Jak przeciwko?

– Władza to jest zawsze jedna sitwa przeciwko drugiej. Pytam więc, kogo mieli po przeciwnej stronie.

– Ja się na takich sprawach nie znam – odparł wymijająco Markus.

– Inaczej zapytam: burmistrz to jest cały niemiecki samorząd w mieście?

– No nie.

– Czyli kto jeszcze?

– Jest jeszcze landrat, pan Stanzel. No i szef policji pomocniczej pan Knopf...

– Ci dwaj trzymali z burmistrzem czy byli przeciwko niemu?

– Kiedy ja nie wiem takich rzeczy...

- Odpowiadaj!
- Ale to są tylko plotki...
- Gadaj.
- Mówi się, że burmistrz donosił na nich do Rosjan.
- Donosił? A podobno taki dobry człowiek. Co donosił?
- O jakichś sprawach z ich przeszłości.
- Jakich?
- Nie wiem, jak Boga kocham.
- Że nie zawsze byli antyfaszystami?
- Coś takiego, mniej więcej... – Wylękniony Markus spuścił wzrok. Za dużo powiedział. Zdecydowanie za dużo.

W krótkim przeblysku Adam zobaczył siebie jako aspiranta w pierwszym komisariacie. Może wcale nie oddalił się tak bardzo od tamtego człowieka. Wciąż potrafił prowadzić przesłuchanie. Jedna rozmowa i prośbę – od razu trzech podejrzanych. Nadkomisarz Strzelczyk na pewno by go pochwalił.

Nagle za jego plecami rozległ się okrzyk, którego nie spodziewał się już nigdy usłyszeć.

– *Hände hoch!*

Drogę zajechał mu gwałtownie rosyjski gazik. Ze środka wypadło trzech mężczyzn po cywilnemu, z policyjnymi pałkami. To nie byli Rosjanie. Nie dowierzał własnym oczom: wyglądało to na koszmarne sen. W jego stronę znów biegli uzbrojeni Niemcy, jakby wojna wcale się nie skończyła.

Adam postawił taczki z ciałem pastora Friedkego i wolno podniósł ręce.

2

Bolszewizm okazał się czymś zupełnie innym, niż włączano Edwinowi Knopfowi do głowy przez całe życie. Nawet jeśli był to żydowski wynalazek, to z Żydami miał teraz niewiele wspólnego. Wstyd się przyznać, ale do tej pory Knopf wyobrażał sobie sowieckiego komisarza mniej więcej tak jak na propagandowych rysunkach w „Stürmerze” – jako przygarbionego Żyda w czapce z czerwoną

gwiazdą i naganem w rękę. Tymczasem prawdziwi komisarze wyglądali prawie jak czyści nordycy, a do Żydów wcale ich nie ciągnęło. Wręcz przeciwnie. Taki pułkownik Osipowicz, na przykład, nie raz wypowiadał się przeciwko Żydom. To on uświadomił Knopfowi, że bolszewizm w gruncie rzeczy nie różnił się tak bardzo od narodowego socjalizmu.

W ogóle Edwin Knopf zmienił zdanie na temat Rosjan. Może i byli to untermensche, ale daj Boże takich untermenschów w konkretnej robocie. Nie mieli żadnych wahań ani wątpliwości. Zdawało się, że zasila ich czysty impet natury. Poza tym potrafili docenić fachowe umiejętności. Ledwo zajęli miasto, mianowali Knopfa komendantem policji pomocniczej w Swinemünde, choć na przesłuchaniu otwarcie zeznał, że walczył przeciwko nim pod Stalingradem. I to miał być ten niszczycielski żydowski bolszewizm, którym straszono go przez całą wojnę?

Pierwsze tygodnie na nowym stanowisku upłynęły jak piękny sen. Razem z nowym landratem – kierownikiem powiatu – założyli dochodowy interes. Swoją drogą, trudno było zrozumieć, dlaczego pułkownik Osipowicz mianował na stanowisko landrata takie zero jak Stanzel, ale z drugiej strony gość okazał się całkiem pożyteczny. Dolary i złoto popłynęły szerokim strumieniem. Według obliczeń Knopfa kilka miesięcy takiego ruchu w interesie wystarczy na pół wieku spokojnego życia w jakimś ciepłym kraju. Inna sprawa, że wcale nie miał wielkiej ochoty opuszczać gościnnego Swinemünde. Miasteczko było ciche i ładnie odżydzone, a poza tym oferowało naprawdę wielkie możliwości.

Niestety, sen – jak to ze snami bywa – skończył się dość przykrym przebudzeniem. Szybko okazało się, że burmistrz Friedke sypie im piasek w tryby. Najgorsze, że nie robił tego dla zarobku. Nawet nie rozładował samochodu z paczkami Unry^[13], który wysłali mu na zgodę, jakby amerykańskie papierosy, czekolada i sok pomarańczowy nie miały dla niego żadnej wartości. Przez pewien czas rozważali nawet, czy nie wziąć go na wspólnika, ale wtajemniczenie niepewnego człowieka – bądź co bądź byłego pastora – stwarzało za duże ryzyko.

Sprawy przybrały naprawdę niebezpieczny obrót, kiedy przyszło pismo z komendantury wojennej żądające wytypowania kandydatów na wyjazd na roboty do Związku Sowieckiego. Oczywiście, dostała je nie tylko policja pomocnicza, ale też urząd landrata. Tamtego ranka Stanzel wpadał do jego gabinetu i przynosił coraz gorsze wieści – niczym prawdziwy Hiob – choć za pierwszym razem zdawało mu się, że obwieszcza wybawienie.

- Też to dostałeś? – zawołał od progu, wymachując pismem.
- Oczywiście.
- No to mamy go!
- Kogo?
- Naszego burmistrza!
- Mówisz o pastorze Friedkem?
- A o kim? No to się drań doigrał. Zgnije w tajdze. Już go wpisałem na listę. Na pierwsze miejsce.
- Musisz go wykreślić. – Knopf stanowczo pokręcił głową.
- Oszalałeś? Wreszcie mamy szansę się go pozbyć! Ja go wpiszę, ty go wpiszesz, i tyle go widzieliśmy – *do swidania*, czy jak to się mówi po rusku.
- Nie możemy go wpisać. Drań ma na nas u siebie osobną kartotekę.
- Skąd wiesz?
- Mam swojego człowieka w ratuszu.
- I nic z tym nie robisz?
- Niby co?
- Nie wiem, zabrać mu tę kartotekę, postraszyć...
- Spokojnie. Wszystko jest pod kontrolą. Ja też wiem o nim co nieco.
- Więc co mamy robić?
- Nic. Dopóki my nie szkodzimy jemu, on nie szkodzi nam. A jak zacznie brykać, to wyciągnie się odpowiednie papiery.
- Jakie papiery?
- Nie chcesz wiedzieć.

Stanzel nie wyglądał na pocieszonego, kiedy wracał pieszo do siebie w obstawie Horsta i Ulfa, którzy jeszcze niedawno byli jego towarzyszami w celi. Nie zgadzał się z polityką równowagi sił, jaką prowadził Knopf. Uważał, że burmistrz jest nieobliczalny i że prędzej czy później doprowadzi do katastrofy. Można było temu zapobiec tylko w jeden sposób: uciszyć drania raz na zawsze. Horst i Ulf mogliby się tym zająć. Albo jeszcze lepiej Knopf. Dla niego zabić jednego człowieka to na pewno żaden problem.

Knopf też był tego ranka daleki od spokoju ducha. Choć starał się tego nie okazywać, pismo z komendantury zupełnie wytrąciło go z równowagi. Wcale nie miał pewności, czy Friedke postąpi jak człowiek racjonalny. Jakiemu byłemu duchownemu można zaufać? Tacy myśleli zupełnie inaczej niż normalni ludzie. Poza tym burmistrz musiał czuć się naprawdę pewnie, skoro rozpuszczał na mieście różne plotki na temat szefa policji i landrata. Być może robił to z rozmysłem, żeby popsuć ich dobre stosunki z komendanturą, a potem niespodziewanie uderzyć – na przykład za pomocą listy wytypowanych do wywózki na Syberię. W głębi duszy szef policji pomocniczej przyznawał rację landratowi, że burmistrza należało załatwić. Stanzel mógłby się tym zająć. W końcu miał pewne doświadczenie w takim cywilnym zabijaniu.

Zaledwie dwie godziny później Stanzel zjawiał się znowu, tyle że z szyprem Neupertem. Tym razem głosił prawdziwą apokalipsę.

– Edwin, musisz tego posłuchać! – zawołał Stanzel, bliski rozpacz. – Powtórz, Neupert, co mi powiedziałaś.

Neupert opowiedział o grupie polskich milicjantów, którzy wylądowali tego ranka w Swinemünde.

– Słyszałaś? – jęknął Stanzel. – To koniec. Polacy przejmują władzę.

– Spokojnie. Może to zwyczajni złodzieje.

– Niezwyczajni! – wybuchnął Neupert, zirytowany, że kolejny niemiecki urząd zamierzał go zbyć byle czym. – Mają mundury, broń, nawet polską flagę przywieźli! Dosyć tego zwodzenia. Najpierw burmistrz mnie zwodził, a teraz wy!

– Już dobrze, Albert – uspokoił go Knopf. – Zajmiemy się tym.

Neupert miał opinię człowieka niezrównoważonego, ale sprawa rzeczywiście wymagała zbadania. Knopf wysłał na miasto pieszy patrol, żeby zebrał jak najwięcej informacji o intruzach. Pierwszy raport nie był wcale pocieszający. Grupa mężczyzn z biało-czerwoną flagą faktycznie zachowywała się dziwnie jak na zwykłą bandę złodziei. Intruzi wtargnęli do ratusza, gdzie poważnie poturbowali burmistrza Friedkego. To można by jeszcze uznać za wydarzenie dość fortunate, ale potem przybysze nie dość, że nic nie ukradli, to jeszcze porozlepiali w całym mieście jakieś propagandowe plakaty po polsku. Tak nie postępowali zwykli złodzieje.

Kiedy Stanzel przybiegł do gabinetu Knopfa po raz trzeci, był już zupełnie załamany. Patrzył na współnika błagalnym wzrokiem, jakby czekał na proste żołnierskie rozwiązanie całej sytuacji.

– Coś musi być na rzeczy z tym przejmowaniem władzy – orzekł Knopf.

Stanzel jęknął w duchu. Nie takiego wniosku oczekiwał.

– Czyli co, wiejemy?

– Dla pewności trzeba sprawdzić w komendanturze, czy coś wiedzą.

Nie była to żadna genialna myśl, ale Stanzel poczuł się pokrzepiony. Wcale nie miał ochoty uciekać jak szcur, przynajmniej nie teraz. Na dobrą ucieczkę potrzeba było znacznie więcej dolarów, niż znajdowało się w jego sejfie. Tylko ludzie naprawdę zdesperowani decydowali się na wyjazd do jakiejś Boliwii czy Argentyny z pustymi kieszeniami. Stanzel nie potrafił wyobrazić sobie takiego życia.

W siedzibie komendantury wojennej przy dawnej Göringstrasse musieli najpierw znieść obowiązkową porcję upokorzeń, kiedy dyżurny, szeregowy czerwonoarmista, kazał im zameldować się regulaminowo po rosyjsku. Potem okazało się, że pajacowali na darmo, ponieważ pułkownika Osipowicza i tak nie było na miejscu.

– A kiedy będzie? – spytał Knopf po rosyjsku.

Dyżurny miał wielką ochotę chwycić bezczelnych Szwabów za karki i wyrzucić na zbity pysk, ale na widok prawdziwych amerykańskich papierosów Navy Cut zmienił wojownicze nastawienie.

– Jego baba przyjechała – powiedział, mrugając porozumiewawczo, i schował pudełko papierosów do kieszeni.

Była to i dobra, i zła wiadomość jednocześnie. Dobra, bo komendant Osipowicz na pewno nie brałby wolnego dnia, gdyby jego władza w mieście rzeczywiście była zagrożona. Zła, bo przyjazd żony oznaczał, że komendant może jeszcze długo być zajęty, podczas gdy Polacy robili, co chcieli. Już wyrzucili Friedkego z ratusza. W każdej chwili mogli wtargnąć do pozostałych urzędów.

Wyglądało na to, że tylko cud może uratować landrata Stanzla i komendanta policji Knopfa. I właśnie to wydarzyło się w ciągu najbliższej doby.

3

Musiała to być ta policja pomocnicza, o której mówił mu po drodze rudzielec. Funkcjonariusze sprawiali dość żałosne wrażenie. Nie mieli mundurów ani broni palnej. Byli ubrani w identyczne cywilne płaszcze i uzbrojeni jedynie w gumowe pałki, zapewne przejęte po prawdziwej przedwojennej policji. Posturą też nie imponowali. Na pierwszy rzut oka można było rozpoznać w nich byłych urzędników i nauczycieli.

Właściwie Adam miałby w walce z nimi spore szanse. Wystarczyło dobrze zacząć – złamać któremuś rękę czy nogę, a reszta poszłaby od razu w rozsypkę. Nie miało to jednak żadnego sensu. Byłoby jak przyznanie się do winy. Zatrzymali go przecież z trupem burmistrza na taczkach. Musiał uwolnić się w legalny sposób.

Siedziba policji pomocniczej też nie miała wiele wspólnego z prawdziwym komisariatem. Żadnej dyżurki ani krat. Zwykły urząd pośrodku miasta, i to dość obskurny, jakby całkiem niedawno przez pomieszczenia przeszła szarańcza, ogoławając je z dywanów, obrazów i roślin doniczkowych.

Adam został wepchnięty do dużego pokoju i posadzony na krzesło. Za biurkiem siedział łysy, przysadzisty jegomość w dwurzędowym garniturze i okrągłych okularach w połączonych oprawkach. Obok kręcił się niespokojnie elegant z idealnie przystrzyżonymi baczkami. Byli to pewnie ci niemieccy urzędnicy na sowieckich usługach, o których mówił rudzielec.

– Jestem Edwin Knopf, szef policji pomocniczej – oświadczył po rosyjsku łysielec w garniturze. – Jak się nazywasz?

Adam parsknął śmiechem. Może i nie było to zbyt rozsądne, ale naprawdę rozbawił go ten pulchny niemiecki „policjant” gadający po rosyjsku.

– Po co z nim w ogóle gadasz? – gorączkował się Stanzel. – Na miejscu powinno się go rozstrzelać. Powie się Osipowiczowi, że próbował uciekać czy coś w tym rodzaju.

– Z fiuta będziesz strzelał? Oficjalnie nie mamy żadnej broni.

– No to nie wiem – pałką albo coś. Ty się na tym znasz.

– Niby skąd?

– Przecież byłeś na froncie.

– Na froncie pałką się nie walczy.

– Nie wiem, Edwin, na litość boską! Czuję tylko, że jak oddamy go Rosjanom, to będą problemy.

– Jakie? Sprawa jest prosta: zabił burmistrza i chciał schować ciało.

– No to tym bardziej mamy prawo załatwić go na miejscu. Chcieliśmy pomścić przyjaciela.

Obaj roześmiali się mimo woli. Sprawy niespodziewanie przybrały szczęśliwy obrót. Jeszcze poprzedniego dnia wydawało się, że sytuacja jest beznadziejna, a tu proszę – nie dość, że Friedke nie żyje, to jeszcze jego morderca wpada im w ręce niemal na gorącym uczynku. Za jednym pstryknięciem palców jednocześnie pozbyli się niebezpiecznego rywala i zażegnali groźbę polskiej inwazji. Pułkownik Osipowicz na pewno wścieknie się, że pod jego nosem Polacy mordują mianowanych przez niego urzędników. Tak czy inaczej godziny milicjantów plądrujących Swinemünde były policzone. Spór między landratem a szefem policji pomocniczej dotyczył tylko szczegółów, jak najlepiej rozegrać całą sprawę.

– *Auf der Flug erschossen*^[14] – odezwał się po niemiecku Adam. – W waszych obozach to się sprawdzało, ale dzisiaj Rosjanie na pewno wam nie uwierzą.

Knopf i Stanzel spojrzeli na więźnia, jakby w nich piorun strzelił. Markus powiedział im, co prawda, że zatrzymany mówi po niemiecku, ale Markus wygadywał różne głupoty, na które nie warto było zwracać uwagi. Na przykład to, że Polak wcale nie chciał zakopać ciała burmistrza, lecz zawieźć je na sekcję zwłok do szpitala.

– Sukinsyn, rozumie, co mówimy! – zdziwił się Stanzel. – Zatłukę bandytę.

– Zostaw, Franz. To nie twoja robota.

– To zabierz go stąd, bo słucha!

Knopf przywołał dwóch swoich ludzi i kazał im zamknąć zatrzymanego w piwnicy. Po drodze Adam poważnie rozważał, czy nie podjąć walki. Podtatusiali konwojenci bez broni – jeden cherlawy o wyglądzie księgowego, drugi wąsaty, z piwnym brzuchem – nie byli groźnymi przeciwnikami. Nie wiedział jednak, ile właściwie osób pracuje w budynku i czy naprawdę nie mają ani jednej sztuki broni. Z rozmowy między landratem a szefem policji jasno wynikało, że tylko czekali na jakiś pretekst, żeby rozwalić go podczas próby ucieczki. Nie zamierzał iść im na rękę.

Wąsacz wczuwał się w swoją rolę. Co jakiś czas popychał go i mamrotał pod nosem różne groźby. Większość nie wykraczała poza mgliste obietnice ciężkiego pobicia, ale jedna była naprawdę niepokojąca.

– NKWD zrobi z tobą porządek.

Adam obrócił się.

– Mieliście mnie zawieźć do komendantury wojennej.

– A ty myślisz, że komendantura to co jest? Ruskie gestapo. Wsadzą ci tam gorący pogrzebacz w dupę i będziesz śpiewał jak słowik. Właż, bandyto!

Popchnął go do komórki i zatrzasnął okute blachą drzwi.

Przez dłuższą chwilę Adam stał bez ruchu. Nagle dotarło do niego, jak fatalny popełnił błąd, przyjeżdżając do Swinemünde. Sądził, że miasto znajduje się po prostu pod administracją Armii Czerwonej. Tymczasem sowiecka inwazja przebiegała przecież tak samo jak niemiecka. Najpierw szedł Wehrmacht, a za nim Einsatzgruppen, które pracowicie „oczyszczały” armijne tyły z elementów niepożądanych. U Rosjan było podobnie: najpierw przez front przetaczał się walec Armii Czerwonej, a potem jego śladem podążały hufce NKWD, z gotowymi listami proskrypcyjnymi elementów niepożądanych. Na jednej z takich list, na czołowym miejscu znajdował się Adam, tyle że pod swoim prawdziwym nazwiskiem.

Usiadł pod ścianą, wciąż porażony ostatnim odkryciem: z własnej woli znalazł się na prywatnym terytorium NKWD. Cały jego plan od początku nie miał żadnego sensu. Trzeba było raczej próbować przebić się do brytyjskiej strefy. Najgorsze jednak, że właśnie zaprzepaścił ostatnią szansę ucieczki. Pozwolił zapędzić się do piwnicy jak baran do rzeźni, zamiast złamać nos księgowemu, zaprawić wąsacza kolanem i wiać jak najdalej z tej przeklętej wyspy.

Rozejrzył się po komórce. Pod sufitem było niewielkie zakratowane okienko bez szyby, które wychodziło na miejski chodnik. Dla pewności sprawdził, czy kraty trzymają się mocno w murze, ale nawet gdyby udało mu się je wyrwać, nie precisnęłyby się przez wąski otwór. Ogarnęła go wściekłość na samego siebie. Na nic kilka lat kluczenia, zmieniania nazwisk i życiorysów. W końcu sam wpakował się w ręce NKWD. Nie pojedzie do Buenos Aires. Nigdy już jej nie zobaczy!

Przez dobrą minutę kopał w zapamiętaniu okute blachą drzwi komórki. Robiłby to jeszcze dłużej, gdyby nie poczuł na plecach czyjegoś wzroku. Odwrócił się.

Spomiędzy krat w górze patrzyła na niego w milczeniu brudna twarz dwunastoletniego chłopca.

– Rajzer! – krzyknął. – Co tu robisz?

Chłopiec patrzył dalej bez słowa, z rękami na kratkach, jakby po prostu przyglądał się dzikiemu zwierzęciu w zoo.

– Posłuchaj: idź do ratusza i powiedz tam, że Niemcy mnie zamknęli.

Rajzer nadal przyglądał mu się obojętnie.

– Słyszysz? Musisz mi pomóc. Niech sierżant i jego ludzie przyjdą mnie odbić.

Rajzer nie odpowiedział. Wrzucił tylko przez kraty jakiś metalowy przedmiot i zniknął.

– Zaczekaj!

Na podłodze leżała niemiecka parabelka – identyczna z tą, którą Adam stracił w ratuszu. Czy to możliwe, że zaprawił go wtedy dwunastolatek? Nie było czasu nad tym się zastanawiać. Adam podniósł pistolet i sprawdził magazynek. Pełny. Nie dowierzał własnemu szczęściu.

– Strażnik! – Załomotał w drzwi. – Chcę zeznawać!

Po dłuższej chwili wreszcie coś zaszurało po drugiej stronie.

– Czego tam?

Adam rozpoznał głos wąsacza, który tak obrazowo straszył go pogrzebaczem.

– Chcę złożyć zeznanie w sprawie śmierci tego waszego pastora.

– Tak cię przypiliło? W komendanturze zeznasz.

– Prowadź mnie do swojego szefa. Powiedz mu, że przyznaję się do winy.

Wąsacz naradzał się przez dłuższą chwilę z księgowym. Wreszcie obaj doszli do wniosku, że warto jednak zapytać Knopfa, czy nie chce widzieć się z więźniem. Księgowy pobiegł na górę. Wrócił po pięciu minutach. Strażnicy znów naradzali się ściszymi głosami. Adam wstrzymał oddech, ale nie mógł usłyszeć, o czym rozmawiali.

– Dobra, idziemy do szefa – powiedział głośno wąsacz. – Odsuń się od drzwi. Jak będziesz czegoś próbował, to zobaczysz swój mózg na ścianie.

Drzwi zgrzytnęły. Obaj strażnicy weszli do środka, żeby chwycić aresztanta pod ramiona.

Adam błyskawicznie sięgnął po parabelkę zatknietą za pasek na plecach.

– Obaj na ziemię – rzucił krótko.

Księgowy natychmiast rozpląszczył się na podłodze. Tylko wąsacz stał wciąż jak sparaliżowany, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu.

– Kładziesz się sam czy potrzebujesz pomocy? – Adam wsadził mu lufę parabelki w usta osłonięte sumiastym wąsem.

Poskutkowało. Wąsacz uklęknął i położył się na wydatnym brzuchu jak na pontonie. Adam nie mógł się powstrzymać, żeby nie kopnąć go w wielki zad.

– Leżeć tu, pajace.

Zamknął okute blachą drzwi na kłódkę i ruszył schodami na górę. Na parterze wyszedł prosto na starszą sekretarkę ze szklankami na tacy. Na widok nieznanego z pistoletem kobieta upuściła tacę. Szklanki rozprysły się w drobny mak. Z najbliższego pokoju wyjrzał zirytowany funkcjonariusz.

– Co tam się dzieje, do cholery?

Adam wycelował w niego broń i położył palec na ustach, ale w tym samym momencie z drugiej strony nadszedł inny urzędnik.

– *Hilfe!* – wrzasnął na widok człowieka z bronią. – Bandyci!

W całym budynku rozległ się tumult. Adam rzucił się w stronę wyjścia. Stało tam dwóch mężczyzn, którzy przez chwilę zastanawiali się, czy nie zasłonić drzwi własnymi ciałami, ale ostrzegawczy strzał kazał im zmienić decyzję. Padli na podłogę. Adam przeskoczył nad nimi i wypadł na zewnątrz.

W lewo czy w prawo? W każdej chwili mógł wpakować się w jakąś ślepą uliczkę. Nagle zauważył, że na rogu ulicy czeka na niego rajzer. Puścił się biegiem w jego stronę.

Biegli razem przez dobre pół godziny. Rajzer znał topografię miasta jak własną kieszeń. Kluczył, skręcał gwałtownie, wpadał do bram, przeskakiwał przez płoty, przecinał opuszczone sady i przydomowe ogródki. Adam z trudem za nim nadązał.

Wreszcie precyzyjnie przeszli przez dziurę w płocie na teren jakiegoś zakładu z wysokim ceglany kominem. Rajzer uchylił ciężką zardzewiałą bramę i wśliznął się do środka.

Znaleźli się w dużej hali wyłożonej białymi płytkami. Przypominała ogromną zdewastowaną łazienkę. Cuchnęło tu niemilosiernie. Pod sufitem wisiały rzędy zardzewiałych haków.

– Co to jest?

Rajzer bez słowa poszedł w kąt na swoje legowisko. Usiadł na starym sienniku i znów wlepił wzrok w swojego gościa.

– Rzeźnia – skonstatował na głos Adam, spoglądając na haki do wieszania świńskich półtuszy. – W takim smrodzie uwileś sobie gniazdko?

Rajzer wciąż milczał wpatrzony w niego czujnym wzrokiem, jakby nie był pewny, czy może mu zaufać.

Adam podszedł do legowiska.

– Skąd wytrzasnąłeś broń...?

Nagle na ścianie nad siennikiem zobaczył swoją pocztówkę z panoramą Buenos Aires.

– Ty szczurze! – Chwycił chłopca za gardło i przycisnął do siennika. – To ty mi dałeś po łbie!

Rajzer wierzgał rozpaczliwie, próbując uwolnić się od dłoni, która zaciskała się na jego gardle jak imadło.

– Nie ja... – wycharczał. – Puść...

– Dałeś mi po łbie i okradłeś! Gdzie jest zegarek?

Chłopiec pokazał na stertę szmat, która służyła mu za poduszkę. Adam puścił go i odepchnął na ścianę. Sięgnął pod szmaty. Było tam kilka schowanych drobiazgów, wśród nich zegarek w złotej kopercie.

– To nie ja... – wychrypiał rajzer, próbując złapać oddech.

– A kto? Wszystko to miałem wtedy przy sobie – spluwę, zegarek, pocztówkę. Ci dranie mieli rację, żeby cię załatwić.

Rajzer zachłysnął się mocno powietrzem.

– Byś mnie udusił, gnoju...

– Jeszcze to zrobię. Jesteś jak szczur. Człowieka już z ciebie nie będzie.

– Ja ci w łeb nie dałem. Patrzę – leży trup, to co miałem zrobić? Normalne, że cię obrobiłem.

– Co robiłeś w nocy w ratuszu?

– Za tobą polazłem.

– Po co?

– Myślałem, że się przydasz.

– Ja tobie? Do czego?

Rajzer wzruszył ramionami.

– Gadaj! Dlaczego za mną łazisz?

– Bo ty też chcesz wiać za granicę.

– Ja? Skąd ci to przyszło do łba?

– Inaczej byś tej kartki nie nosił. – Rajzer pokazał na argentyńską pocztówkę.

– Głupi jesteś. – Adam schował pocztówkę na swoje miejsce w prawej kieszeni.

– Gadaj lepiej, co widziałeś zeszłej nocy. Ktoś wychodził z ratusza? Któryś z tych, co przyплыnęli z nami kutrem?

– Może widziałem, może nie widziałem. A co ja będę z tego miał?

– Cały łeb i niepołamane kulasy. Wystarczy czy dołożyć ci kulkę?

– Ktoś wychodził. Zaraz po tym, jak ty tam wlałeś.

– Kto?

– Żaden z waszych. Baba.

– Kobieta?

– Przecież mówię. To pewnie ona cię zaprawiła.

– Jesteś pewny, że to była kobieta?

– Chłopy w kieckach nie chodzą. Zresztą papierocha zapaliła i przez chwilę było widać jej głowę. Nawet ładna.

– Rozpoznałbyś ją?

– A co mnie to obchodzi. Nie moja sprawa.

– Dopiero co mówiłeś, że łazisz za mną, bo mogę ci się do czegoś przydać.

Rajzer zawahał się.

– Jak mnie ze sobą zabierzesz, to ci ją pokażę. Wiem, gdzie mieszka.

– Niby dokąd mam cię zabrać?

Chłopak pokazał na pocztówkę ukrytą już w kieszeni właściciela.

– Nigdzie się nie wybieram – odparł Adam. – A ty co się tak palisz za granicę?

– Nie twój interes – odparł rajzer i obrócił się do niego plecami na legowisku.

– Święta racja. Ale może się jakoś dogadamy.

– Zabierzesz mnie?

– Już powiedziałem – nigdzie się nie wybieram. Zegarek mogę ci dać, jak mnie zaprowadzisz do tej kobiety.

– Chcę pocztówkę.

– A co ci tak na tej pocztówce zależy?

Adam zawahał się. W końcu jednak uznał, że ważniejsze od pocztówki było wydostanie się z wyspy.

– Dobra, idziemy – zdecydował.

– Jak się ściemni. Teraz za dużo ruskich. Koszary są niedaleko.

– No to piękną sobie wybrałaś dzielnicę.

– Tu nie włożą. Wszystko już wyszabrowane.

Adam rozejrzał się po zdewastowanej rzeźni. Rzeczywiście, nie było tu już nic więcej do zabrania. Oprócz beczek, które stały rzędem pod ścianą.

– A te beczki?

– Jakie beczki? – Rajzer wstał z legowiska, zaniepokojony. – Rano ich tu nie było.

Adam podszedł do pierwszej z brzegu i podniósł wieko. Ze środka buchnął ostry smród solonych ryb.

– Świeże śledzie! A mówiłeś, że ruscy tu nie włożą.

– O, psiakrew – przeraził się chłopiec.

– Wiejemy. Magazyn sobie tu zrobili. W każdej chwili mogą...

W tym samym momencie zardzewiała brama rzeźni rozwarła się na oścież. Jej skrzydła otwierali dwaj czerwonoarmiści z pepeszami. Trzeci toczył do środka kolejną beczkę.

Rajzer był przygotowany na coś podobnego. Za długo żył na ulicy, żeby zdawać się na samo szczęście. Każda jego kryjówka zawsze miała drogę ewakuacyjną. Bez namysłu dał susa w stronę kratki wentylacyjnej przy legowisku i zniknął w niewielkim otworze.

Adam spojrzał za nim bezradnie. Nie było szans, żeby zmieścił się w dziurze w ścianie, zwłaszcza że czerwonoarmiści zdjęli już z pleców pepesze.

– *Stoj!*

To nie był dobry dzień. Nie minęło jeszcze południe, a już drugi raz musiał podnieść ręce.

4

Dziwne było to ruskie gestapo. Tyle nasłuchał się na ten temat przez całą wojnę, że teraz, kiedy w końcu wpadł w ich łapy, spodziewał się najgorszego. Tymczasem wyglądało to na całkiem zwyczajne przesłuchanie. Owszem, przesłuchiwali fachowo, ale bez przesady. Żadnego przypalania, wbijania szpilek w głowę czy ściskania jąder obcęgami. Nawet paznokci nie wrywali. Po prostu – oficer zadawał pytania, a młody żołnierz walił gołą pięścią w pysk. Nie było żadnego mistrza ceremonii w skrwawionym fartuchu ani specjalnych narzędzi do szarpania, cięcia i gruchotania. Ten, kto opowiadał bajdy o „ruskim gestapo”, na pewno nigdy nie był na Szucha.

– No to jeszcze raz: wasze prawdziwe nazwisko – powtórzył pułkownik Arłam Osipowicz całkiem dobrą polszczyzną. Miał talent do języków. Oprócz polskiego znał też niemiecki, białoruski, ukraiński, a i po litewsku umiałby przesłuchiwać, gdyby zaszła taka potrzeba. Swój talent poliglotty odkrył w partyzantce. Właściwie wszystko, co dobre w jego życiu, wydarzyło się w partyzanckich latach na Białorusi. Ech, złote to były czasy. Aż żal wspominać.

Adam wytarł rękawem krew po ostatnim ciosie. Był lekko pokrzepiony własnymi przemyśleniami. Żadne tam gestapo. Najwyżej kripo na Daniłowiczowskiej^[15]. Dadzą parę razy po gębie i wypuszczą. Trzeba tylko twardo obstawać przy swoim.

– Już powiedziałem – odparł spokojnie – nazywam się Adam Kostrzewa...

Kanciasta pięść rąbnęła go w twarz jak cegła ciśnięta z bliskiej odległości. Omal nie spadł ze stołka. Młody żołnierz bił naprawdę mocno, choć wcale nie wyglądał na osiłka. Przeciwnie, był dość cherlawy. Miał najwyżej osiemnaście lat, a twarz wciąż pokrywały mu młodzieńcze krosty. Jego rubaszka, zapewne nieprana od początku sowieckiej ofensywy, zalatywała ostro potem.

Dzwoniło mu w uszach. Na razie smarkaczowi nie udało się poważnie go uszkodzić, ale była to tylko kwestia czasu. Musiał się ratować, jeśli nie chciał stracić reszty zębów, których nie wybili mu Niemcy podczas wojny.

– Mówię prawdę! – zawołał niepytany. – Możecie mnie zatłuc, ale nazwiska mi tym sposobem nie zmienicie.

Pułkownik Osipowicz ocknął się ze słodkich wspomnień z partyzantki na Białorusi. A to ciekawostka – zdechły pies jeszcze zawarczał. Podniósł rękę, żeby powstrzymać żołnierza, który już zamierzał się do kolejnego ciosu.

– Czekaj, Pietia – powiedział. – Trzeba wysłuchać zatrzymanego.

Po prawdzie, wcale nie miał zamiaru dochodzić wszystkich tych żmudnych szczegółów: a kto, a co, a jak. Sprawa był oczywista: złodziej złapany z bronią w rękę na miejscu kradzieży. Tak zapisał już nawet w oficjalnym raporcie. Dodał jeszcze „narodowość nieznana”, żeby nie wchodzić w niepotrzebne konflikty z Polakami. Pozostawało już tylko wybrać – „zastrzelony na miejscu” czy też „powieszony z wyroku komendanta wojennego”. Osipowicz zarządził przesłuchanie głównie po to, żeby Pietia wciągnął się w robotę. Teraz jednak naprawdę coś go zainteresowało: znał ten hardy ton, to wisielcze poczucie humoru. Wszyscy polscy oficerowie legioniści^[16], z którymi miał do czynienia w partyzantce, tak gadali. Jeden odszczekiwał się nawet, kiedy pakowali go półżywego do samolotu startującego do Moskwy. A to niespodzianka – najwyraźniej wpadł mu w ręce prawdziwy Białopolak^[17].

Osipowicz sięgnął po wysłużoną niemiecką kenkartę. Zdjęcie było całkowicie zalane atramentem. Jasne, że drań kłamał, wszyscy aresztowani kłamali. Tyle że ten tutaj ukrywał coś znacznie więcej niż prawdziwe nazwisko. Trzeba było zmienić metodę.

– Czyli twierdzicie, że to jesteście wy.

– Ja. Adam Kostrzewa, urodzony w tysiąc dziewięćset dziesiątym...

– Wystarczy.

Adam zamilkł posłusznie. Przestali bić, to najważniejsze. Miał rację – trzymać się jednej wersji, a jakoś z tego wyjdzie. Sprawdziło się to na prawdziwym gestapo, sprawdzi i tutaj.

– No dobrze, Kostrzewa, niech wam będzie. Powiedzcie teraz, po co tu przyjechaliście do Swinemünde.

Odetchnął z ulgą. Nareszcie. Od początku czekał na to pytanie, ale za każdym razem, kiedy próbował coś wyjaśniać, na twarz spadała mu koścista pięść młodego krasnoarmiejca.

– Jestem milicjantem ze specjalnej grupy operacyjnej. Kazali nam zabezpieczyć miasto i przygotować na przejęcie przez polską władzę...

Chyba nie była to dobra odpowiedź, bo pułkownik od razu skinął głową Pietii i po chwili twarda pięść walnęła przesłuchiwanego prosto w usta.

Adam spadł na podłogę, zupełnie zaskoczony. Co takiego powiedział źle?

– Mówię prawdę! – zaprotestował. – Polska władza ludowa mnie tu przysłała.

Omam nie zemdlilo go na sam dźwięk tych słów we własnych ustach. Tak się to mówiło: „polska władza ludowa”? Wcale nie był pewien.

– Co wy tu za głupoty wymyślacie? – Osipowicz był lekko rozczarowany. Niby Białopolak, a dureń. Może jednak był to tylko zwyczajny bandyta i szabrownik. – Przecież każde dziecko wie, że tu nie ma żadnej polskiej władzy, tylko nasza komendantura wojenna. Coś wam się w głowie poprzestawiało. Siadajcie.

Adam dźwignął się z powrotem na stół. Dotknął językiem zębów trzonowych – jakimś cudem były wciąż całe.

– Ja się na polityce nie znam – powiedział. – Kazali przyjechać, to przyjechałem.

– Kto kazał?

– Bezpieczeństwo w Pile. Mam pełnomocnictwo. Mogę pokazać.

Sięgnął do prawego buta. Pietia spojrział pytająco na pułkownika, ale ten pokręcił głową. Znowu dostrzegł w aresztowanym coś znajomego. Każdy „leśny” chował co cenniejsze przedmioty w bucie. Od partyzanckich przyzwyczajień trudno odwyknąć. Sam nieraz łapał się na tym, że wpychał sobie coś za cholewę, choć od dawna nie miał już takiej potrzeby. Może więc ten cały Kostrzewa rzeczywiście był legionistą?

Adam wyjął z buta złożony w kostkę papierek i położył go na stole.

– Tu jest wszystko napisane. Sam się do tej szwabskiej dziury nie pchałem.

Pułkownik Osipowicz spojrział z naganą na Pietię.

– Nie przeszukałeś go?

Pietia spuścił wzrok. Niedobrze, znowu będą wymówki.

– Nie wiedziałem, że buty też trzeba – bąknął zmieszany i lekko zirytowany. Starął się ze wszystkich sił, a i tak co rusz coś robił źle. Po prostu nie przyszło mu do głowy, żeby niuchać cuchnące buty aresztantów. W gaciach też miał im grzebać? Zaczynał myśleć z goryczą, że chyba nie nadaje się do tej roboty.

– Ech, Pietia, Pietia. – Pułkownik Osipowicz pokręcił głową. Nie miał cierpliwości do tego smarkacza. Ale był to syn Swiety, a więc prawie jak jego własny.

Rozprostował na stole kartkę. Widniała na niej urzędowa pieczęć Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Pile, z nowym polskim orzełkiem, bez korony. Zabawne było to ich nowe godło. *Ptica* przypominała oskubanego kurczaka.

– Czemu żeście od razu tego nie pokazali?

– Nie pytaliście.

Osipowicz zawahał się. Przed nim rzeczywiście leżał oficjalny rozkaz wyjazdu do Swinemünde dla obywatela Adama Kostrzewy. Oczywiście, nic to jeszcze nie znaczyło. Papier mógł być sfalszowany.

– Mam jeszcze legitymację – powiedział Adam. – Można?

Pułkownik skinął głową. Adam sięgnął znów do buta i wyjął nową legitymację Milicji Obywatelskiej, ze zdjęciem, wystawioną kilka dni wcześniej w Pile.

Pietia wbił wzrok w podłogę, przekonany, że jego dalsza kariera śledczego właśnie stanęła pod wielkim znakiem zapytania.

Osipowicz obejrzał legitymację ze wszystkich stron. Pachniała jeszcze farbą drukarską. Legioniści wciąż mieli własne podziemne drukarnie, a fundusze płynęły do nich szerokim strumieniem z Zachodu. Z jednej strony urzędowe dokumenty sojuszników należało uszanować, ale z drugiej pułkownik miał własny pogląd na całą sprawę, a własne poglądy szanował znacznie bardziej. Poza tym przesłuchanie zaczęło go nużyć. Chciał już wrócić na swoją kwaterę w nadmorskiej willi, gdzie czekała na niego Swieta. Martwił się o biedaczkę. Po powrocie z Ravensbrück całymi dniami tylko leżała i patrzyła w sufit. O żadnej miłości nie było mowy. Próbował raz czy dwa, ale było to jak kładzenie się do łóżka z trupem. A tak się cieszył, kiedy okazało się, że przeżyła wojnę.

– Papier każdy może dzisiaj podrobić – orzekł z irytacją. – Moim zdaniem przyjechaliście tu szabrować.

Kiwnął głową do Pietii, jakby na potwierdzenie, że raz podjętej opinii nie zamierza zmieniać.

Pietia ożywił się w jednej chwili. A więc nie wszystko jeszcze stracone. W wyobraźni widział już, jak powraca do rodzinnej wsi pod Mińskiem i przez

resztę życia wspomina z goryczą swoją krótką karierę na Zachodzie, a tu proszę – pułkownik dawał mu jeszcze jedną szansę. Wziął się ochoczo do roboty.

Grad ciosów zasypał aresztanta raz z prawej, raz z lewej strony. Z początku Adam trzymał się na stołku, ale szybko doszedł do wniosku, że większe szanse ma jednak w pozycji leżącej, więc przezornie zwałił się na podłogę i zasłonił twarz rękami. Rzecz jasna, Pietia od razu wziął go pod buty.

Pułkownik Osipowicz patrzył na aresztanta, który powoli zamieniał się w skrwawioną szmatę. Wcale nie sprawiało mu to przyjemności. Przeciwnie, ogarniały go coraz silniejsze mdłości. Nie chodziło o żadne współczucie czy tym podobne bzdury. Za dużo naoglądał się w życiu podobnych obrazków. Po prostu widok szalejącego Pietii niespodziewanie wydobył z jego pamięci scenę, o której bardzo chciał zapomnieć.

Było to wiele lat temu. Miał wtedy niewiele więcej lat niż Pietia. Brał udział w swojej pierwszej egzekucji na Łubiance. Skazaną była młoda dziewczyna, całkiem ładna, w sukience w niebieskie groszki. Trzęsła się tak, że nie mogła iść o własnych siłach i trzeba było ciągnąć ją korytarzem za nogi. W piwnicy, gdzie wykonywano wyroki, Osipowicz dostał do ręki pistolet, a właściwie pistolecik, zabawkę prawie. Strzelił jej w tył głowy, ale dziewczyna żyła dalej. Strzelił drugi raz, ale ciało ciągle się ruszało. Chciał strzelić trzeci, ale wtedy śledczy zabrał mu pistolet i wcisnął do ręki żelazny łom. Regulamin nie przewidywał więcej niż po dwie kule na skazanego. Osipowicz zabrał się do pracy. Dopiero po kilku minutach skrwawiona szmata w niebieskie groszki znieruchomiała.

Wszystko to stanęło mu teraz przed oczami z taką siłą, że omal nie zwymiotował.

– Nie kopać! – ryknął niespodziewanie. – Co to jest, job twoju mat’, przesłuchanie czy bijatyka w knajpie?

Pietia przerwał, oszołomiony. Jak to, nie kopać?

– No i co się gapisz, durniu? To nie jest Niemiec, żeby go tak brać pod buty!

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku – odparł Pietia bez przekonania. Znowu coś źle? Zupełnie nie rozumiał, w czym tym razem sprzeniewierzył się sztuce przesłuchiwanego zatrzymanego.

Osipowicz zapalił papierosa, ukrywając drżenie rąk. Powoli dochodził do siebie.

– Posadź go – rozkazał.

Pietia dźwignął zakrwawionego Adama jak worek ziemniaków i usadowił z powrotem na stołku.

– Kostrzewa, słyszycie mnie? – zwrócił się do aresztanta Osipowicz.

– Słyszę.

– Zapalcie sobie.

Adam sięgnął do podsunętej paczki papierosów. Były to amerykańskie lucky striki, z paczek Czerwonego Krzyża. Dodało mu to nieco otuchy, choć sytuacja wcale nie rozwijała się po jego myśli. Gestapo czy nie, wcale nie był już pewny, czy uda mu się ujść z tego wszystkiego z życiem.

– Ja do was osobiście nic nie mam – powiedział Osipowicz. – Są pewne podejrzenia i trzeba je sprawdzić.

– Możecie zadzwonić do Piły, tam wszystko potwierdzą.

– Dobra już. Niech wam będzie, że jesteście milicjantem i przyjechaliście tu oficjalnie.

Adam spojrział na niego z nadzieją.

– Taka jest prawda.

– Mnie co innego interesuje.

– Zamieniam się w słuch – odparł cierpko Adam, puszczając kółko z papierosowego dymu.

Legionista jak nic, upewnił się Osipowicz. Taki nawet na szubienicy nie traci fasonu.

– Co to jest? – Osipowicz wyjął z szuflady argentyńską pocztówkę i położył ją na stole.

– Pocztówka.

– A na pocztówce co?

– To nie wiecie? Buenos Aires. Takie miasto w Argentynie.

Pułkownik Osipowicz z trudem opanował się, żeby własnoręcznie nie trzepnąć bezczelnego legionisty w pysk.

– Wy mnie geografii nie będziecie uczyć. Mówię o tym, co z tyłu jest napisane. Kto jest „MS”?

– Pojęcia nie mam. Znalazłem to w jakimś domu. Widoczek mi się spodobał, to wziąłem.

Pułkownik Osipowicz westchnął z irytacją. Może i był to tylko zwykły złodziej, tak jak napisał już w raporcie. Tak czy inaczej przesłuchanie należało doprowadzić do końca, choćby dla pożytku Pietii.

– Dobra, Kostrzewa, dam wam ostatnią szansę. Skupcie się, bo teraz będzie najważniejsze pytanie. Kto wam organizuje przerzut do Argentyny?

– Co?

– Wiemy, że faszyci wieją na potęgę do Argentyny. To dlatego znaleźliśmy przy was tę pocztówkę z zaszyfrowaną wiadomością. Podajcie tylko jedno nazwisko organizatora przerzutu, a ocalicie życie.

– To jakaś bzdura. Jestem Polakiem, a nie żadnym faszystą.

Pietia obrócił się niepewnie do przełożonego. Nie chciał znowu narazić się na wyzwiska.

– Przesłuchiwać, towarzyszu pułkowniku?

Pułkownik Arłam Osipowicz nie odpowiedział od razu. Otworzył szufladę i wyjął stolarskie obcęgi.

– Teraz, Pietia, zrobisz mu manikiur.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku!

Adam patrzył na obcęgi w rękę zbliżającego się Pietii, coraz bardziej przekonany, że mimo pierwszego wrażenia wszystko odbywało się jednak dokładnie tak samo jak na Szucha.

III SOJUSZNICY

1

Prawdziwy Adam Kostrzewa był człowiekiem całkowicie do niego niepodobnym. Tryskał entuzjazmem i chęcią życia, jak gdyby świat wcale się nie skończył, ale właśnie zaczynał na dobre. Spotkali się zaledwie cztery dni wcześniej na dachu pociągu z repatriantami. Pociąg włókł się w tempie furmanki, ale i tak było to lepsze od koczowania na punkcie etapowym. W końcu przecież jechali, i to całkiem wygodnie, bo na leżąco, rozłożeni na własnych tobołkach i walizach. A że zimno, jak to na początku maja? Zawsze można było wleźć na postoju do środka „wołowego” wagonu i ogrzać się w ludzkim ścisku i zaduchu. Poza tym nikt z pasażerów szczególnie się nie spieszył do niepewnej przyszłości na niemieckiej ziemi. Nikt oprócz Adama Kostrzewy.

Był to mężczyzna mniej więcej w jego wieku – ani młody, ani stary. Porządne buty z cholewami, płaszcz bez jednej dziury i czarna fedora z wełnianego filcu z daleka ostrzegały, by mieć się przed nim na baczności. Jaki normalny człowiek chodził tak ubrany? Nic dziwnego, że jego nieustanne próby nawiązania rozmowy spotykały się na dachu tylko z majowym chłodem.

– I patrzcie państwo, taki mocarz, taki *Übermensch* i jak marnie skończył! – perorował nieustępliwie Kostrzewa. – Najpierw zastrzelił swoją babę i psa, a potem sam sobie kulkę w łeb wpakował.

Ludzie na dachu kiwali niepewnie głowami. Oficjalna wersja śmierci Adolfa Hitlera nie przemawiała nikomu do przekonania, głównie z tego powodu, że rozpowszechniały ją „lubelskie”^[18] gazety.

– Że babę, to rozumiem – odezwał się młodzieniec w połatanej jesionce, który od dłuższego czasu chciał jakoś dopiec zadufanemu w sobie Kostrzewie. – Ale psa za co?

Nieśmiały rehot rozszedł się po dachu. Ludzie unosili się ciekawie na łokciach, żeby popatrzeć na młodego zuchwalca, który wreszcie utarł nosa agitatorowi. „Co to za jeden”? – rozległy się szept, ale nikt nie potrafił powiedzieć o młodym człowieku niczego konkretnego poza tym, że jechał z Warszawy i że podróżował sam.

Kostrzewa nie miał poczucia humoru. Rozumiał tylko, że młody oberwaniec próbuje sobie z niego dworować.

– A pan w cyrku pracujesz? – natarł na chłopaka. – To są za poważne sprawy, żeby sobie żarty strugać.

Młodzieniec w jesionce połatanej kolorowymi łatami poczuł się wyraźnie urażony. Zdawał sobie sprawę, że wygląda jak cyrkowy klaun, toteż był szczególnie wrażliwy na krytykę.

– Ja żadnych żartów nie strugam – odarł spokojnie. – Mówię tylko, że wcale nie wiadomo, czy Adolf się naprawdę zastrzelił. Nie trzeba wierzyć we wszystko, co gazety wypisują.

Wśród pasażerów na dachu rozszedł się szmer podziwu dla młodzieńca. O, to już była prawdziwa odwaga. Przecież agitator mógł w każdej chwili okazać się ubowcem albo kimś jeszcze gorszym. Mało to słyszało się o tych nowych łapankach? Ubowcy potrafili wtargnąć do kina albo do publicznego szaletu, żeby sprawdzać kenkarty. A jeszcze gorsze było to ruskie gestapo – ci włązili nawet do kościołów podczas mszy, co za Niemca było w ogóle nie do pomyślenia.

– Pan coś masz przeciwko gazetom? – zaatakował Kostrzewa. – A może demokracja też się panu nie podoba?

– Bardzo mi się podoba. Mówię tylko, że pewne rzeczy są przed opinią publiczną ukrywane.

– Jakie?! – wybuchnął Kostrzewa. – Mów pan konkretnie albo trzymaj pan gębę na kłódkę.

– Proszę bardzo: istnieje podejrzenie, że Adolf Hitler żyje i został wywieziony do Moskwy.

– Że co?

– W Akademii Łomonosowa będą robione na nim eksperymenty.

– To żeś pan teraz powiedział! – Kostrzewa zaśmiał się. Wreszcie udało mu się przygwoździć ignoranta. – Eksperymenty! Niby jakie?

– Radzieccy uczeni chcą zbadać, ile człowiek na stanowisku może wypić – odparł poważnie młodzieniec.

Dowcip może i nie był pierwszej klasy, ale wśród repatriantów na dachu wywołał prawdziwą burzę. Śmiali się młodzi, starzy, kobiety, mężczyźni, śmiały się nawet kilkuletnie dzieci, choć zupełnie nie rozumiały, o co chodzi. Wszyscy patrzyli teraz na młodzieńca z podziwem. „Co to za jeden? Co to za jeden?” – niosło się po całym dachu, żeby zaraz zderzyć się z powracającą falą plotki: „Warszawiak. W powstaniu był. Szukają go listem gończym”. W mgnieniu oka niepozorny chłopak w połatanej jesionce stał się pistoletem poszukiwanym przez Urząd Bezpieczeństwa.

Kostrzewa kipiał z wściekłości. Że też dał się tak smarkaczowi wciągnąć w pułapkę! Niepotrzebnie w ogóle otwierał usta. Ludzie byli wciąż niewyrobieni politycznie i nie warto było podejmować z nimi poważnej dyskusji. Ale po prostu nie umiał się powstrzymać, kiedy widział przed sobą reakcyjnego ciemniaka. Najchętniej strzeliłby takiego w pysk. Kto wie, czy nie zdecydowałby się na to rozwiązanie, gdyby w tej samej chwili mocne szarpnięcie omal nie strąciło wszystkich z dachu.

Pociąg stanął gwałtownie przed czerwonym światłem semafora. Z przeciwnej strony zbliżał się z przeraźliwym gwizdem inny niezwykle transport. Sznur bydlęcych wagonów wił się po horyzont. Każdy z nich był wypełniony górą usypaną z innego rodzaju towarów, na której siedziało dwóch albo trzech czerwonoarmistów. Góra futryn okiennych jechała więc za górą sedesów, kaloryferów i rur kanalizacyjnych, po niej sunęła góra na wpół potrzaskanych sprzętów domowych: zegarów ściennych, żyrandoli, olejnych obrazów z połamanymi ramami; dalej piętrzyła się szczególnie wysoka góra maszyn z jakiejś fabryki, a zaraz po niej nadjeżdżał kopiec damskich sukienek, dziecięcych ubranek i męskich kapeluszy, na którym dwaj żołdaci grali w karty.

– Trofiejny – orzekł ginekolog z Berdyczowa, który jechał z żoną i dwoma córkami. Chciał rzucić jeszcze jakieś złośliwe słowo pod adresem Armii Czerwonej, ale powstrzymał się, spoglądając niepewnie na Kostrzewę. Nie chciał żadnych kłopotów. Miał zamiar założyć na Zachodzie prywatną praktykę specjalizującą się w skrobaniach dla zgwałconych Niemek. Sprawa była wyjątkowo delikatna, więc nie mógł narażać się nowym władzom.

– Co jest, mamusia? – zapytał niewidomy mężczyzna w wojskowym berecie z przedwojennym orzełkiem z koroną – godłem kraju, którego już nie było.

– Ruskie dobytek wywożą – odparła jego matka. – Oskubią wszystko do gołej ziemi. Nic dla nas nie zostanie.

– Takie jest prawo zwycięzców, droga pani – powiedział Kostrzewa, choć przed chwilą obiecał sobie, że więcej już się nie odezwie. – Wystarczy, że ziemie nam dali, miasta, drogi. Pierzyn nie ma im co żałować.

– Co dali, co dali! – wybuchnął niewidomy z przedwojennym orzełkiem na berecie. – A połowę kraju kto zabrał? Gdzie Lwów, gdzie Wilno? Wypędzili nas na te szwabskie ziemie jak psy!

– Ciszej, Heniu – szepnęła wyraźnie przestraszona matka. – Pan nie słucha, syn u Andersa był, pod Kasyno^[19] walczył – dodała trochę od rzeczy, jakby ciężkie przeżycia wyjaśniały zmącony umysł syna.

– Nie ma cicho, mamusia! – Niewidomy andersowiec nadal był w awanturnicznym nastroju. – Głośno trzeba to mówić, bo całkiem wezmą nas pod buty. Taka jest prawda – zgrabili nam więcej niż połowę kraju i co niby dali w zamian? Ziemie Odzyskane – śmiechu warte!

Nieśmiały szmer aprobaty rozszedł się po dachu. Pasażerowie kiwali do siebie głowami. Wreszcie ktoś odważył się powiedzieć na głos to, co wszyscy myśleli. Jechali na te Ziemie Odzyskane zupełnie bez serca.

– Najgorsze, że na tym zachodzie też długo miejsca nie zagrzejemy – dorzucił młody warszawiak w połatanej jesionce.

– Jak to? – zaniepokoił się były sklepikarz z Wilna. Miał zamiar założyć w Szczecinie sklep warzywny i bardzo zależało mu na stabilnej sytuacji politycznej.

– Podobno jest już decyzja, że całe te Ziemie Odzyskane wrócą do Niemiec po konferencji pokojowej. W radiu mówili. Tym bum-bum-bum^[20], ma się rozumieć.

Kostrzewa od razu dostrzegł okazję, żeby wziąć odwet na warszawiaku.

– I to jest najlepszy przykład, co się człowiekowi z mózgiem robi, jak słucha na okrągło Londynu – zadrwił. – To ciebie, człowieku, powinni zbadać w Instytucie Łomonosowa. Żadni Niemcy tu nie wrócą, a ci, co jeszcze zostali, też będą wyrzuceni. Dlatego te ziemie nazywają się odzyskane, bo je odzyskaliśmy raz na zawsze. Tak trudno to pojąć?

– Agitator, psiakrew – warknął niewidomy andersowiec. – Jeszcze pan powiedz, że to są stare piastowskie ziemie i tak dalej.

– Ciszej, Heniu – mitygowała go na próżno matka.

– A żebyś pan wiedział! – zajeżył się Kostrzewa. – Już tysiąc lat temu tu była Polska i teraz znowu będzie. I co z tego, że nam cały wschód zabrali? Tylko awantury tam ciągle były z Ukraińcami. Ja to się nawet cieszę, że już na Wołyń nie wrócę, chociaż jestem rodowity Wołyniak.

– Z pana taki Wołyniak jak z dupy radio – podsumował warszawiak.

Znów gruchnęła salwa śmiechu, jeszcze potężniejsza niż poprzednim razem. Teraz żart trafił nawet do dzieci. Ginekolog z Berdyczowa, który starał się zachować neutralność, też nie mógł powstrzymać się od spazmatycznego śmiechu.

Nagle ni stąd, ni zowąd na dach wagonu wspięło się z małpią sprawnością dwóch czerwonoarmistów z pepeszami.

– *Cziemodany dawaj!* – krzyknął pierwszy, kierując pepeszę w stronę matki andersowca.

Śmiechy zgasły w jednej chwili. Nie był to żaden patrol kolejowy, ale banda maruderów, która grasowała na tyłach sowieckiej armii, łupiąc kogo popadnie – uciekinierów, repatriantów, swoich, obcych, wrogów i sojuszników. Zdarzało się nawet, że okradali własne transporty.

W dole po nasypie biegło jeszcze kilkunastu żołdatów. Był to całkiem niezły dowodzony oddział. Podczas gdy jedni plądrowali wnętrza wagonów, inni czyścili dachy.

– *Słyszajesz, stara kurwa?! –* ryknął drugi, który pełnił w tym oddziale funkcję tłumacza. – *Cziemodany dawaj! Walizki!*

– Co się dzieje, mamusia? – zaniepokoił się andersowiec, kierując niewidzące oczy raz w stronę jednego, raz drugiego napastnika.

– Złodzieje! – krzyknęła w panice matka, przywierając do największej walizki, jakby wiozła w niej cenny skarb.

Był to poważny błąd. Żołdat rąbnął ją natychmiast kolbą pepeszy w głowę. Kobieta runęła bezwładnie z dachu na nasyp i znieruchomiała.

– Mamusia? – zaniepokoił się niewidomy syn.

– Towarzysze, tak nie można – zaprotestował ostrożnie Kostrzewa. – Jesteśmy wszyscy Słowianie...

Sołdat, który robił w oddziale za tłumacza, bez ogródek pociągnął w niego z pepeszy. Kostrzewa zdążył jeszcze popatrzeć na przeszyty serią brzuch, po czym zwałił się na nasyp w ślad za matką andersowca.

– Kto strzela? – dopytywał się na próżno niewidomy. – Sowieci? Mamusia!

Sołdat pociągnął jeszcze dwa razy serią w powietrze. Zawsze to działało. Jeden, dwa trupy i reszta bez szemrania oddawała bagaże. Tym razem trafili jednak na jakiś oporny transport. Trzeba było załatwić dla przykładu jeszcze jednego. Rozejrzał się po dachu.

– Ty. – Wskazał pepeszą. – Walizku dawaj.

– Nie mam żadnego bagażu.

Sołdat zawahał się. Strzelać czy rozwalić łeb? Zresztą co tu myśleć – kule na drzewach nie rosły. Rąbnął mocno kolbą.

Zapadła ciemność.

Kiedy się ocknął, żołnierzy już nie było. Pociąg stał cały czas pod semaforem, a na nasypie pozostał tylko osad po cofającej się fali terroru: rozbebeszone walizki, stłuczone szkło i porcelana, jakiś damski kapelusz uznany przez napastników za nieprzydatny oraz kilka trupów. Wśród nich krążył niewidomy andersowiec i potykając się o ostre kamienie, pytał daremnie: „Mamusia? Gdzie jesteście! Mamusia?”.

Przeszył go piekielny ból. Co się stało? Z jakiegoś powodu przyszło mu do najpierw do głowy, że Kostrzewa nie żyje, jakby było to coś niezwykle ważnego. Oczywiście, że to było ważne! Wreszcie pojawiała się szansa na jakieś dokumenty. Na nowe nazwisko. Kto wie, może nawet na nowe życie.

Kostrzewa leżał kilkanaście metrów dalej. Ktoś zdejmował mu właśnie płaszcz, ktoś inny buty. Byli to warszawiak i ginekolog z Berdyczowa.

– Precz! – krzyknął, ciskając w rabusi kamieniem z nasypu. Obaj czmychnęli jak szczury.

Z trudem dźwignął się na nogi i dotarł do martwego Kostrzewy. Zamknął mu oczy i sięgnął do kieszeni na jego piersi.

Nie rozczarował się. Kenkarta była na miejscu. Już miał odejść, kiedy nagle obrócił się i sięgnął po czarną filcową fedorę Kostrzewy. Kapelusz pasował jak

ulał.

Nie mógł oprzeć się radosnemu wrażeniu, że urodził się po raz kolejny.

2

Żaden był z niego legionista. Zemdlał już po pierwszym paznokciu. Inna sprawa, że Pietia całkiem spartolił robotę. Omal całego palca mu nie wyrwał. Nie dość, że sam upaprał się krwią, to jeszcze zachlapał całą podłogę.

– Durniu! – huknął pułkownik Osipowicz. – To jest mój gabinet, a nie jakaś rzeźnia!

Pietia patrzył bezradnie na swój upaprany mundur i na nieprzytomnego aresztanta na podłodze. W rękę trzymał wciąż zakrwawione obcęgi.

– Na co się gapisz? Zabieraj go stąd! Do niczego się nie nadajesz.

Pietia chwycił nieprzytomnego Adama za ręce i zaczął ciągnąć po podłodze do drzwi. Gardło miał ściśnięte z goryczy. Jeszcze nigdy w swoim młodym życiu nie czuł się tak upokorzony. No, może raz, kiedy Galina, córka sąsiada, powiedziała mu, że nie ma u niej żadnych szans. Wtedy też starał się ze wszystkich sił, ale cokolwiek by zrobił, wszystko obracało się przeciwko niemu. Dokładnie tak jak teraz: chciał po sobie posprzątać, a zrobił jeszcze większy bałagan, bo ciało aresztanta zostawiło na podłodze krwawy ślad.

– I przyślij mi tu tę Niemkę do sprzątnia! – krzyknął za nim pułkownik.

Wreszcie drzwi się zamknęły. Osipowicz został sam. Z irytacją kręcił głową do własnych myśli. Chłopak chyba naprawdę był do niczego. Od pewnego czasu coraz bardziej działał mu na nerwy. Właściwie było tak od powrotu Swiety z obozu, a ściśle mówiąc, odkąd okazało się, że Swieta też jest do niczego.

Wziął do ręki argentyńską pocztówkę. Była jak obrazek z przedwojennej przeszłości – ani jednej zrujnowanej kamienicy, ani jednego leju po bombie. Wierzyć się nie chciało, że wciąż istniały na świecie takie miasta. Nic dziwnego, że ktoś nosił tak niezwykły widoczek w kieszeni. Osipowicz też chętnie na niego patrzył, choć wcale nie zamierzał zamieszkać tam, gdzie nie ma komunizmu. Może więc aresztowany był zwykłym złodziejem, z fałszywymi papierami. Należało go po prostu powiesić i zamknąć całą sprawę.

Z drugiej strony tekst na pocztówce równie dobrze mógł być szyfrem. Jakaś „MS” podawała swój adres w Buenos Aires i pisała, że czeka tam z utęsknieniem. Nazwiska adresata na pocztówce nie było, podobnie jak znaczka czy stempla pocztowego. Kartka musiała więc zostać doręczona w kopercie.

Osipowicz przerwał na chwilę rozmyślenia, żeby wydać dyspozycje niemieckiej sprzątacze. Erica została polecona przez pastora Friedkego, więc pułkownik odnosił się do niej całkiem kulturalnie. Nie pozwalał jej macać ani nawet klepać po tyłku. Krótco wyjaśnił, że podłoga ma znowu błyszczeć jak psie jaja, i wrócił do oglądania pocztówki.

„971 Avenida 5 de Julio”. Im dłużej zastanawiał się nad tym adresem, tam bardziej nabierał przekonania, że jednak ma do czynienia z szyfrem. Ucieczki faszystów do Argentyny były faktem. Najgorsze, że jeden z kanałów przerzutowych prawdopodobnie znajdował się pod jego nosem, w Swinemünde. Jego najlepszy niemiecki szpicel ponoć na własne oczy widział w mieście Himmlera^[21] i Martina Bormanna^[22] zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Na pewno nie przyjechali tu na wypoczynek po wojennych trudach. Oczywiście, informator mógł też łąć, żeby przypodobać się nowemu chlebodawcy, ale dlaczego w takim razie znaleziono go następnego dnia z esesmańskim sztyletem w sercu?

Tak czy inaczej, była już piąta po południu, a więc najwyższy czas, by zakończyć urzędowanie. Osipowicz ociągał się jednak z pójściem do domu. Nic dobrego go tam nie czekało. Swieta leżała pewnie jak zawsze, z oczami wlepionymi w sufit i nie odzywała się ani słowem. Był to przygnębiający widok. Nowa Swieta miała się do dawnej jak flak do kiełbasy. Tylko z daleka przypominała tamtą gorącą czarnowłosą kobietę o oliwkowej skórze, która oplatała go nogami w mroźne noce na partyzanckim posłaniu. Najdziwniejsze, że wcale nie była tak monstrualnie wychudzona jak większość ludzi po obozach. Jakimś cudem udało się jej zachować całkiem sporo ciała, a co najważniejsze – piersi. Tego Osipowicz bał się najbardziej, kiedy jechał odebrać ją od Czerwonego Krzyża – że obóz zupełnie zniszczył te cudowne piersi, które grzały go na Białorusi jak dwie buzujące fajerki. Tymczasem wcale nie było tak źle. Nowa Swieta nie przypominała chodzącego szkieletu, jak inne były więźniarki, a pod nowym swetrem z Czerwonego Krzyża rysowały się całkiem dorodne piersi.

– Swieta! – krzyknął uradowany, chwytając ją w ramiona. – Swietuszka!

Niestety, była to tylko zewnętrzna powłoka dawnej Swiety. Teraz oblekała kogoś zupełnie obcego. Najlepiej widać to było w oczach. W środku zamieszkał ktoś inny – ni to kobieta, ni mężczyzna, ni człowiek, ni zwierzę. Jakaś przerażająca istota zagnieździła się w dawnej Swiecie niczym rak. Przez większość dnia milczała z oczami wlepionymi w ścianę. Za każdym razem kiedy spojrzała na niego z głębi swojego legowiska, przechodził go dreszcz.

Erica szorowała podłogę na kolanach. Osipowicz zdał sobie sprawę, że od pewnego czasu wpatruje się w jej tyłek w kwiecistym fartuchu. Nagle ogarnęła go przemożna ochota, żeby go obmacać, a może i coś więcej. Niestety, jako komendant wojenny nie mógł sobie pozwolić na takie ekscesy. Niemcy w miasteczku nie mogli zwątpić w to, że nowa władza jest mimo wszystko racjonalna i nie gwałci bez powodu. Takie rzeczy uchodziły, póki trwała wojna. Teraz trzeba było zmienić podejście do wielu spraw. Także do kobiet.

Osipowicz przygładził włosy, po czym nie spuszczać wzroku z pośladków Eriki, sięgnął do kieszeni po puszkę skondensowanego mleka z Unry. To powinno wystarczyć aż nadto.

– Frau Erica... – zaczął.

W tym samym momencie zadzwonił wewnętrzny telefon na jego biurku.

– Czego?

– Towarzyszu komendancie, te dwa Szwaby bardzo się tu awanturują na dole, że chcą mówić z towarzyszem. Dać po mordzie czy wpuścić?

– Jakie Szwaby?

– Te, co towarzysz komendant ich mianował. Szef milicji i ten drugi.

– Pół godziny niech zaczekają.

– Ale oni coś o jakimś morderstwie gadają. Że burmistrz zabity czy coś.

– Pastor Friedke zabity?

– Tak mówią. A, i że jakiś Polak go ukatrupił.

Erica patrzyła pożądliwie na puszkę skondensowanego mleka stojącą przed komendantem Osipowiczem. Niestety, puszka zniknęła w szufladzie biurka.

– Wpuścić natychmiast – rozkazał komendant, obracając się do sprzątaczk. – Skończycie później.

Erica skinęła głową i posłusznie zabrała wiadro. W drzwiach omal nie zderzyła się z Knopfem i Stanzlem, którzy wpadli do gabinetu zdyszani. Najwyraźniej biegli po schodach.

– Towarzyszu *Kommandant*, nieszczęście! – zawołał od progu Stanzel. – Burmistrz Friedke zamordowany!

– Zostaliśmy napadnięci, *Herr Kommandant* – wszedł mu w słowo Knopf. – Ten człowiek miał pistolet. Uważam, że jednak powinniśmy mieć jakąś broń na stanie.

– Zaraz, po kolei. Kto was napadł?

– Ten, co zabił burmistrza. Jeden z tych Polaków, co przejęli ratusz.

– Jakich znowu Polaków, o czym wy gadacie?

– Chcieliśmy od razu towarzysza komendanta powiadomić, ale towarzysz komendant był nieobecny... – trąknął Stanzel.

– *Herr Kommandant*, melduję, że nie było wcześniej możliwości kontaktu – przerwał mu Knopf.

– Nie wszyscy naraz! – zirytował się Osipowicz. – Co konkretnie się stało. Ty gadaj.

Wskazał na Knopfa. Szef niemieckiej policji pomocniczej, najwyraźniej zadowolony z wyróżnienia, chrząknął i zaczął rzeczowo relacjonować wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin. Osipowicz nie dowierzał własnym uszom. To, że ktoś bez jego wiedzy i zgody zabił mianowanego przezeń burmistrza, było dostatecznie bulwersujące, ale to, że jakaś banda obwołała się nową władzą w Swinemünde, przechodziło wszelkie pojęcie. To było przecież jego miasto.

Pułkownik Arłam Osipowicz bez namysłu podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu.

– Dyżurny, dzwońcie do batalionu – potrzebuję dwóch ciężarówek i pełnego plutonu z pepeszami. Natychmiast!

Ogarnęło go rozkoszne podniecenie. Znowu szedł do akcji, jak za partyzanckich lat na Białorusi. Było to znacznie lepsze niż niedoszłe pieszczoty z niemiecką sprzątaczką. Poza tym dzięki temu w ogóle nie musiał wracać do wielkiego pustego domu nad morzem, gdzie w jednym z pokoi leżała nieruchomo Swieta i od wielu godzin śledziła lot czarnej muchy.

3

Trudno byłoby ustalić, kto oddał pierwszy strzał – Rosjanie czy milicjanci w ratuszu. Może i rzeczywiście był to Poezja, który „otworzył ogień z karabinu Diegtiariew z okna na pierwszym piętrze od strony Rathausplatz”, jak utrzymywał potem Kwasigroch podczas przesłuchania. Sierżant krył w ten sposób samego siebie, bo na samym początku z premedytacją wycelował w dowodzącego akcją. Powiedział nawet coś w rodzaju, że ruskim wystarczy zabić komisarza, żeby reszta wzięła od razu nogi za pas. Poezja zdziwił się, że sierżant gadał, jakby nie pierwszy raz stawał przeciwko sojusznikom, ale co było robić? Podbiegł ze swoim diegtariewem i rzygnął ogniem w stronę atakujących, zgodnie z rozkazem.

Poezja nigdy nie potwierdził tej wersji, ponieważ uciekł tylnym oknem razem z Waszyngtonem. Wasilewski nie miał natomiast powodu, żeby twierdzić, że prawda była całkiem inna. Zresztą, cóż to jest prawda? Sam Kwasigroch często drwił sobie z tego pojęcia, nieświadomie powtarzając stare pytanie prefekta Judei. ^[23] W ciągu ostatnich lat większość słów zupełnie straciła na znaczeniu i była warta tyle, co przedwojenne grosze. Człowiek nie mógł już być pewny, czy dwa i dwa to cztery, a co dopiero czy dawne prawdy miały jeszcze jakikolwiek sens. Nie zabijaj. Niby słusznie, ale kogo? Wiadomo, że swoich nie powinno się zabijać, choć z drugiej strony, kto teraz swój, a kto obcy? Inna zagwozdzka: czcij ojca swego i matkę swoją. A jeśli matka była volksdeutschką, a ojciec ruskim żołdatem, który ją zgwałcił po pijanemu? I czcij tu teraz takich rodzicieli.

Podobne wątpliwości sierżant Kwasigroch miał wobec sojuszników. Raz widział w nich wyzwolicieli, a raz okupantów. Jednego dnia twierdził, że to przodujący postępowy naród, a innego przeklinał go jako azjatycką dzicz – rzecz jasna, pod nosem, kiedy nikt nie słyszał. Tę wewnętrzną walkę toczył, odkąd okazało się, że Rosjanie trzymają z Hitlerem. Teraz mało kto już o tym pamiętał, zresztą po co? Za takie gadanie można było w najlepszym razie wylądować w ubeckim więzieniu, a w najgorszym – w syberyjskim łagrze. Ale Kwasigroch pamiętał. Obraz niemieckich i sowieckich żołnierzy tańczących razem „kazaczoka” na ulicy wbił mu się w pamięć jak cierń i nijak nie można go było usunąć.

Było to w Brześciu, jakoś na początku wojny ^[24]. W mieście rządzą już Niemcy, ale życie toczyło się w miarę normalnie, zwłaszcza dla Kwasigrocha, który pracował tu jako woźnica w przedsiębiorstwie pogrzebowym „Jackiewicz i Syn”.

Widoki na przyszłość były zatem całkiem dobre: do wojska go nie wzięli, roboty stale przybywało, a rodziny żadnej nie miał, więc nie musiał martwić się o nikogo. Tylko żyć i używać życia. Niestety, któregoś ranka przyszli znieścacka Sowieci. Kwasigroch nie wierzył własnym oczom. Niemcy grzecznie salutowali wkraczającej Armii Czerwonej. Potem wszystko stało się jasne. Dranie byli już dawno ze sobą umówieni^[25]. Flaga ze swastyką w centrum miasta została uroczyście opuszczona, a na jej miejsce wciągnięto czerwony sztandar z sierpem i młotem. Wojska obu okupantów razem przemaszerowały przed trybuną, na której stali zgodnie oficerowie z niemiecką gapą na czapkach i sowieccy komisarze w skórzanych kurtkach. Defilada zakończyła się wspólną pijatyką. Właśnie wtedy Kwasigroch zobaczył obrazy, które raz na zawsze uprzedziły go do sowieckiego sojusznika, a wszystko to, co nastąpiło później, jeszcze bardziej pogłębiło jego niechęć. Oczywiście, dzięki późniejszym szkoleniom politycznym wiedział, że była to tylko burżuazyjno-reakcyjna fobia, którą odziedziczył po przodkach, ale mimo usilnych starań nie potrafił jej całkiem zdławić.

Teraz w Swinemünde musiał znów stawić czoło własnym demonom. Siedział w swoim nowym gabinecie i zastanawiał się, czy jeden z jego ludzi przypadkiem nie urwał się na Zachód. Kostrzewy nie było już dobre pół dnia, a więc albo spił się gdzieś do nieprzytomności, albo zwiął. Do tej pory nie sprawiał wrażenia trunkowego jak Poezja czy Lońka, ale nie można było wykluczyć, że odkrył jakiś dobrze zaopatrzony sklep z wódką czy choćby aptekę ze spirytusem. W takich sytuacjach nawet abstynenta ogarnia przemożna chęć napicia się. Kwasigroch dobrze znał to z własnego doświadczenia. Na widok markowej butelki z etykietą niejeden człowiek dostawał małpiego rozumu. W przypadku Kostrzewy bardziej prawdopodobna była jednak dezercja. Sierżant od początku mu nie ufał. Taki był z niego Kostrzewa, jak z Lońki hrabia Czartoryski. Kto wie, czy to nie on załatwił szwabskiego burmistrza. Niby dlaczego zjawił się akurat tego dnia z obandażowaną głową? Mogli mieć ze sobą jakieś wspólne interesy. Kostrzewa gadał po niemiecku, jakby był jednym z nich.

Nagle z zadumy wyrwał go głos Poezji, który wpadł do gabinetu z diegtariewem w ręku.

- Szefie, ruscy!
- Co?
- Ruscy idą!

Kwasigroch podbiegł do okna. Rzeczywiście, przed ratusz zajęły dwie sowieckie ciężarówki, z których wysypywali się uzbrojeni po zęby żołdaci. Nie wyglądało to na przyjacielską wizytę.

– Co robimy?

– Schowaj to żelazo, kozia twoja mać. Do sojuszników chcesz strzelać?

– Niby racja – odparł Poezja, niechętnie odwieszając diegtariewa z powrotem na plecy.

Do gabinetu wpadł jak burza Waszyngton.

– Sierżancie, ruscy idą! Trzeba wiać!

– Spokój, dumnie, normalne, że sojusznicy przyjechali. Gdzie Lońka?

– Jestem! – zawołał Lońka, wbiegając posłusznie do gabinetu.

– Ty mówisz najlepiej po rusku. Zejdiesz na dół i powiesz, że nowy burmistrz polskiego Świnioujścia zaprasza dowódcę bratnich wojsk radzieckich na rozmowę o przyszłości miasta. Zapamiętasz?

– Nowy burmistrz zaprasza... Czego burmistrz?

– Świnioujścia.

– A co to jest?

– Miasto. Tu, gdzie jesteśmy. Nowa nazwa. Nie dyskutuj, tylko powtórz, co masz powiedzieć.

– Świnioujście? – Poezja się skrzywił. – Co za dureń to wymyślił?

– Bardzo dobra nazwa, popieram! – zawołał Wasilewski, zjawiając się w drzwiach. – Trzeba nazwać świat na nowo. Inaczej nigdy nie wyjdziemy z chaosu.

– Mam w dupie twoje poparcie – ofuknął go Kwasigroch. – Znasz ruski?

– Niestety, bardzo pobieżnie.

– Nie szkodzi. Zejdiesz na dół z Lońką i przywitasz sojuszników.

– Ja? Z tego, co wiem, to pan sierżant bieglej włada...

– Sierżant oczekuje towarzyszy radzieckich w gabinecie burmistrza. Potrafisz powtórzyć?

Wasilewski posłusznie powtórzył formułkę.

– Bardzo dobrze. Obaj jazda na dół!

Lońka i Wasilewski kiwnęli do siebie głowami i ruszyli na powitanie Sowietów. Misja przebiegła chyba nie najgorzej, bo frontalny atak został na razie powstrzymany. Żołnierze otoczyli tylko gmach ratusza ze wszystkich stron, a Osipowicz wkroczył do środka.

Kwasigroch wstał zza biurka na widok sowieckiego pułkownika. Nie było w tym żadnej służalczości, wyłącznie kurtuazja. Nawet Napoleon wstawał na powitanie swoich generałów, jak twierdził autor pewnej książki, którą Kwasigroch przeczytał kiedyś w sowieckim więzieniu.

– Witam was jako przedstawiciela radzieckiej władzy wojskowej – wygłosił bez zająknięcia po rosyjsku. – Jestem sierżant Antoni Kwasigroch, tymczasowy burmistrz polskiego miasta Świnioujście.

Wyszła mu ta przemowa, nie ma co. W ogóle wojna bardzo go rozwinęła. Dawniej nawet nie podejrzewał siebie o takie ukryte możliwości. W czasach kiedy robił jako woźnica u Jackiewicza, ledwo zdanie potrafił sklecić, a teraz prozę – przemawiał niczym cesarz.

Pułkownik Osipowicz najwyraźniej miał na ten temat zupełnie inne zdanie, ponieważ zamiast odpowiedzieć w tym samym tonie, najpierw bluznął potokiem rosyjskich przekleństw, a potem podsunął pięść pod sam nos samozwańczego burmistrza.

– Swołocz jesteś, nie żaden burmistrz! – ryknął. – Paszoł won z mojego miasta albo każę was wszystkich rozstrzelać!

Każdy na miejscu Kwasigrocha zrozumiałby, że wcale nie są to czcze pogróżki, ale sierżant poczuł się osobiście dotknięty, a kiedy ktoś nastąpił mu na odcisk, tracił wszelki zdrowy rozsądek.

– Obrażacie legalną polską władzę – odparł z godnością. – Tu macie moje pełnomocnictwo. Jesteśmy specjalną grupą operacyjną. Swinemünde przechodzi pod polską administrację.

Osipowicz wziął od niego urzędowe pismo. O żadnym fałszerstwie nie mogło być mowy. Zaświadczenie jota w jotę potwierdzało słowa Kwasigrocha. W głowie się to wszystko nie mieściło. Co za dureń zgodził się, żeby oddać takie dobre miasto Polakom?

– Z tego, co wiem, to jest decyzja samego towarzysza Stalina – dodał Kwasigroch, jakby czytał w jego myślach – więc chyba nie będziecie stwarzać nam

tu przeszkód?

Osipowicz z najwyższym trudem powstrzymał się, żeby nie wyrznąć łajdaka w zęby.

– Kto wam pozwolił ubić naszego pastora! – wybuchnął. – To był dobry Niemiec, antyfaszysta!

– Mówicie o tym burmistrzu? To nie nasza robota. Już był trupem, jak poszliśmy go obejrzeć.

– Co znaczy „obejrzeć”?

– Przyleciał jakiś rudy Niemczak i wykrzykiwał, że skoro my jesteśmy teraz milicją w mieście, to musimy zająć się morderstwem burmistrza. Chłopaki chcieli z początku wyrzucić go na zbity pysk, ale ja zacząłem dopytywać. Szwab twierdził, że ktoś zabił burmistrza i porzucił ciało na głównym placu. No więc poszliśmy obejrzeć to zjawisko.

– I co?

– A co ma być? Kazałem jednemu odwieźć trupa do kostnicy, ale jeszcze nie wrócił.

Osipowicz milczał przez chwilę. A więc i to się zgadzało. Kostrzewa mówił prawdę, przynajmniej w części. Niepotrzebnie kazał zrobić mu ten nieszczęsny manikiur. Sprawę należało raczej załagodzić. Z drugiej strony trudno było pogodzić się z tym, że miasto miało przejść pod administrację polskich oberwańców. A może to jakaś pomyłka? Trzeba było sprawdzić rzecz w Moskwie. Osipowicz miał tam swoje kontakty z partyzanckich czasów.

– Dostaniecie inną siedzibę – zdecydował. – Tu nie możecie zostać. Daję wam kwadrans na opuszczenie ratusza.

W gruncie rzeczy guzik go obchodziło, gdzie ulokują się przekłęci milicjanci. Chciał po prostu wyjść z całej awantury z twarzą i dlatego postawił na koniec rozmowy to ultimatum. Nie mógł przewidzieć, że trafi na szaleńca.

– Kiedy nam tu dobrze – oświadczył hardo Kwasigroch. – Nigdzie się stąd nie ruszymy.

Osipowicz zaniemówił. Z taką głupotą jeszcze się nie spotkał. Wyciągasz do człowieka rękę na zgodę, a ten odgryza ci ją po sam łokieć. Co z takim zrobić?

– Jak sobie chcecie. – Osipowicz westchnął. – Macie kwadrans.

Po jego wyjściu Kwasigroch poczuł nagły przyływ mocy. Zdawało mu się, że podczas rozmowy urósł przynajmniej o pięć centymetrów. Rozpierała go duma.

– Może by jednak posłuchać – doradził nieśmiało Wasilewski. – Co za różnica, gdzie będziemy urzędować.

– I co jeszcze, może ogon podkulić? – zadrwił Poezja. – Ruski ma szacunek tylko do siły, tak samo jak Niemiec.

– Tylko gdzie ta siła – mruknął Waszyngton. – Bo mnie się zdaje, że mamy jeden pistolet i jednego diegtariewa.

– Sierżant wie, co robi – uparł się Poezja, spoglądając z pełnym zaufaniem na dowódcę. – Co robimy, szefie?

Kwasigroch pokiwał niejasno głową, co miało w jego przekonaniu wyrażać zadumę wielkiego stratega.

– Wasilewski i Lońka: zaryglować drzwi na dole – rozkazał. – Waszyngton, zejdziesz do piwnicy i sprawdzisz, czy tamtędy nie można się dostać do środka. Poezja, postaw maszynówkę w oknie od dziedzińca. Wszyscy czekać na dalsze rozkazy.

– Tak jest! – zawołał ochoczo Poezja.

Czekali. Rosjanie obstawiający ratusz też co rusz spoglądali na liczne zegarki, które część nosiła nie tylko na obu ramionach, ale też na łydkach. Najwyraźniej zamierzali dotrzymać warunków piętnastominutowego ultimatum.

W jedenastej minucie padł pierwszy strzał.

4

Pokój był biały i zupełnie pusty: żadnej pryczy czy krzesła. Może więc wcale nie ocknął się w celi. Tylko gdzie w takim razie? Ściany lepiły się od świeżej farby. Na szczęście w zakratowanym oknie nie było szyby. Inaczej w pięć minut udusiłby się od smrodu. Dźwignął się z podłogi i podszedł do okna, żeby zaczerpnąć powietrza, jak ryba na piasku. Okno wychodziło na brukowaną ulicę jakiegoś poniemieckiego miasteczka. Jak się tu znalazł? Nic nie pamiętał.

Ostry ból w lewej ręce przeszył go jednocześnie z nagłym strumieniem wspomnień. Manikiur. Ruskie gestapo. Adam Kostrzewa. 971 Avenida 5 de Julio.

Było tego tyle, że musiał usiąść na podłodze, by nie przewrócić się od ciężaru.

Po chwili opanował się na tyle, żeby trzeźwo ocenić sytuację. Wcale nie było tak źle, jak się spodziewał. NKWD dopiero instalowało się w mieście. Nawet aresztów nie zdążyli jeszcze przygotować, więc archiwa też mieli pewnie wciąż w powijakach. Na razie nic o nim nie wiedzieli. Trzeba było tylko wytrzymać kilka kolejnych przesłuchań.

Lewa ręka paliła go żywym ogniem. To cud, że drań nie wyrwał mu palca. Z drugiej strony powinien być smarkaczowi wdzięczny, bo dzięki jego nieudolności od razu stracił przytomność i ocknął się dopiero w świeżo odmalowanej celi. Na prawdziwym gestapo taka fuszerka byłaby nie do pomyślenia. Tam pozwalali zemdleć najwyżej na chwilę.

Nagle na korytarzu rozległ się jakiś tumult. Strażnicy prowadzili kolejnych więźniów: dwóch, może trzech. Raczej dwóch. Po chwili drzwi szczęknęły i do środka wepchnięto nowych aresztantów. Byli to Wasilewski i Kwasigroch.

– Adam! – Wasilewski wyraźnie ucieszył się na jego widok. – A my już myśleliśmy, że zwiąłeś.

– Ja też myślałem, że lepiej wam się powodzi – mruknął Adam.

Kwasigroch spojrzał na jego lewą dłoń pokrytą zakrzepłą krwią.

– Paznokcie ci robili – zauważył ze znanstwem. – Skurwysyny.

– Jak poprosicie, to wam też zrobią – odparł Adam. – A pozostali gdzie, na przesłuchaniu?

– Zwiali, tchórze! – wybuchnął Kwasigroch.

– Ja ich bynajmniej nie potępiam – powiedział Wasilewski. – Zresztą, może już planują, jak nas wyciągnąć.

– Prędeż ci rusek kiszkę z tyłka wyciągnie – rzucił z goryczą Kwasigroch. – Tchórze i już. Uciekli z pola walki.

– Ja bym tego tak nie określił – sprzeciwił się Wasilewski.

– Pytał cię ktoś, kozi synu? – Kwasigroch chwycił go z nienawiścią za waciak. – Tobie też powinienem kark skrócić, zdrajco jeden.

Szarpał nim tak gwałtownie, że mała zasuszona głowa Wasilewskiego omal nie oderwała się od tułowia. Przykro było na to patrzeć.

– Zostaw go. – Adam chwycił go za rękę.

– Teraz ty mi będziesz rozkazywał? Odsuń się, bo ci jeszcze bardziej ten burżuazyjny łeb rozkwaszę.

– Śmiało, towarzyszu sierżancie.

Kwasigroch spojrział na niego z wściekłością, ale puścił waciak Wasilewskiego. Jak każdy urodzony dowódca umiał właściwie ocenić siły.

– Zabierz sobie tego szczura – warknął. – Obaj jesteście siebie warci.

Adam usiadł z Wasilewskim w kącie świeżo wymalowanej celi.

– Byłby mnie udusił. Dziękuję.

– Co się tam stało w tym ratuszu?

Wasilewski opowiedział mu krótką historię obrony ratusza ze szczególnym uwzględnieniem własnego bohaterstwa.

– Gdybym od razu nie wywiesił białej flagi, już by było po nas. Powinni być mi wdzięczni, że ich uratowałem – podsumował. – Ktoś musi wreszcie zakończyć to szaleństwo zabijania.

– Powiedz to temu, co ukatrupił tego pastora.

– To jest akurat znak, że wracamy do normalności.

– Proszę?

– Nie zrozum mnie źle. Też uważam, że to okropna zbrodnia, ale przynajmniej znamy ofiarę z imienia i nazwiska. Możemy ją pochować i uczcić jej pamięć.

– Na mnie nie licz. Wystarczy, że próbowałem odwieźć trupa do kostnicy.

– Mówię w sensie symbolicznym.

– Nie chcę tego słuchać. – Adam pożałował, że stanął w obronie Wasilewskiego. Nie miał ochoty na górnolotne dyskusje. Lewa dłoń wciąż piekła go niemiłosiernie.

Nagle Kwasigroch, który stał przy zakratowanym oknie, zaklął na widok czegoś, co zobaczył na ulicy.

– Co tam się dzieje? – spytał Wasilewski.

– Jakaś ciężarówka podjechała. Pewnie po nas. Wywiozą nas do lasu i rozwalą, kozie syny.

Adam i Wasilewski podbiegli do okna.

– A, nie... Coś przywieźli. – Kwasigroch się uspokoił.

Z ciężarówki enkawudziści wynosili ciężkie skrzynie.

– I po co ten fatalizm? – powiedział z wyrzutem Wasilewski. – Dlaczego niby mieliby nas rozstrzelać? Jesteśmy legalnymi przedstawicielami polskich władz.

– Ty ich nie znasz, oświęcimiak. Prędzej czy później i tak nas rozwałą.

Adam patrzył w milczeniu na tajemnicze skrzynie, które enkawudziści wnosili do budynku komendantury. Pierwszy raz od początku całej eskapady musiał przyznać Kwasigrochowi całkowitą rację.

5

Gdyby pułkownik Arłam Osipowicz wierzył w Boga i tym podobne rzeczy, na pewno pobiegłby tego wieczoru do cerkwi, żeby podziękować za cudowne ocalenie. Kula wystrzelona z ratusza minęła jego głowę dosłownie o włos. Jeszcze teraz słyszał gwizd w lewym uchu, a prawa ręka drżała mu, kiedy nalewał sobie wódki. Pomyśleć tylko, że tak głupio mogło to życie się skończyć! Nie dopadły go nawet specjalnie wyszkolone antypartyzanckie oddziały Dirlewangera^[26], a tak niewiele zabrakło, żeby byle dureń roztrzaskał mu łeb przypadkowym strzałem. Na samą myśl o tym oburzenie odbierało mu oddech.

W pierwszej chwili chciał rozprawić się z „milicjantami” na miejscu. Miał już dać sygnał do natarcia na ratusz, kiedy w drzwiach pojawił się ten ludzki szkielet z białą flagą. „Nie strzelać! – skrzeczał po polsku. – Nie strzelać! Poddajemy się!” Co było robić? Od biedy można by potem trochę nabajdurzyć w oficjalnym raporcie. Osipowicz miał w tym pewne doświadczenie. Na Białorusi trzymał w oddziale specjalnego „dziejopisa”, który układał meldunki do sztabu. O, Kurasow to był prawdziwy mistrz słowa pisanego. Pod jego piórem zwykła wyprawa na baby do wsi zamieniała się w wielką partyzancką ofensywę. Niestety, utopił się na bagnach w czterdziestym trzecim. Poza tym tutaj i tak nie byłoby z niego wielkiego pożytku. Co innego partyzantka, co innego rządzenie w niemieckim miasteczku. Teraz wystarczyłoby, żeby ktoś doniósł, że Osipowicz łączy w raportach i *praszczej*^[27], wojenna komendanturo. Naprawdę nie było więc innej rady, niż przyjąć kapitulację „milicjantów” i zamknąć ich pod kluczem całych i zdrowych. Przynajmniej na razie.

Ponieważ cerkwi żadnej w Swinemünde nie było, a Osipowicz, choć ateista, odczuwał jednak z powodu cudownego ocalenia potrzebę rozmowy na tematy

wyższe, wsadził do teczki niedopitą butelkę wódki i kazał się wieźć prosto do doktora Spitzgaua. Droga wiodła wzdłuż betonowego nabrzeża. Szeroka rzeka nie była jeszcze całkiem oczyszczona. Dzioby i kominy zatopionych wraków sterczały z wody jak dziwaczne posągi, na których przysiadały gromadnie mewy. Pogoda popsuła się doszczętnie: niby maj, a niebo jak w listopadzie. Chmury były sine i nabrzmiałe niczym stado zdechłych krów na polu. Wyglądało na to, że lada chwila chluśnie z nich deszcz albo coś jeszcze gorszego.

Miejski szpital, ukryty wśród strzelistych sosen, był przepełniony do granic. Po wyzwoleniu miasta Osipowicz chciał pozbyć się dotychczasowych pacjentów – głównie ofiar amerykańskich bombardowań i rozbitków z Prus Wschodnich – ale wciąż brakowało transportu, a Czerwony Krzyż wcale nie kwapił się do ich przejęcia. Jedyne, co można było zatem zrobić, to wyrzucić Niemców na korytarz, żeby zwolnić sale szpitalne dla radzieckich żołnierzy, których przybywało każdego dnia. Tu wojna wcale się nie skończyła. Idąc zatłoczonym korytarzem, Osipowicz miał wrażenie, że znalazł się w samym środku jakiegoś oblężenia. Ranni jęczeli i przeklinali w dwóch językach. Niemiecki personel uwijał się wśród pacjentów jak w ukropie.

Doktor Spitzgau osłuchiwał właśnie jakiegoś zdechlaka, kiedy Osipowicz wszedł do jego gabinetu.

– Witajcie, doktorze! – zawołał radośnie od progu. Ucieszył go widok niemieckiego lekarza. Choć nie przyznałby tego na głos, naprawdę polubił sukinsyna, zwłaszcza odkąd Spitzgau obiecał mu wyciągnąć Świętę z jej dziwnej choroby. – Ruskij? – zwrócił się do cherlawego pacjenta.

– *Nein, nein...*

– No to paszoł won!

Pacjent posłusznie czmychnął z gabinetu.

– Mam coś dla was, doktorze – powiedział Osipowicz, po czym uroczyście wyciągnął z teczki napoczętą butelkę wódki. Oczy Spitzgaua zaświeciły się wyraźnie. Osipowicz wybuchnął śmiechem. To właśnie podobało mu się u niemieckiego doktora najbardziej – nawet nie próbował ukrywać, że jest moczymordą.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku – odparł Spitzgau po rosyjsku. – W sam raz na żałobę.

– A, no tak, przecież wy w żałobie – przypomniał sobie Osipowicz. – Ale ten, co ubił naszego Friedkego, jest już u mnie w areszcie.

– Kto? – Spitzgau poderwał się z miejsca.

– Konkretnie wam jeszcze nie powiem, bo najpierw muszę ich wszystkich przesłuchać.

– Jakich wszystkich?

– Tych polskich milicjantów. Na pewno jeden z nich go zabił.

Spitzgau opadł z powrotem na krzesło, jakby nagle stracił zainteresowanie sprawą.

– A tak. Słyszałem o tym. Podobno Neupert ich wczoraj przywiózł.

– Nawet do mnie dranie strzelali.

Spitzgau pokiwał głową, ale cała jego uwaga była już skupiona na butelce przyniesionej przez komendanta. Naraz ogarnęła go taka ochota na alkohol, że musiał hamować się ze wszystkich sił, by nie napić się prosto z butelki. W końcu komendant wyraźnie powiedział, że to prezent.

– Wy mnie w ogóle nie słuchacie.

– Słucham, słucham, towarzyszu pułkowniku. Po prostu... pić się chce.

Osipowicz roześmiał się. O, to właśnie lubił u tego Niemca. Nie owijał w bawełnę, nie kluczył, tylko prosto z mostu – prawie jak radziecki człowiek.

– Dajcie jakieś szkło.

Spitzgau rzucił się do gabloty po dwie menzurki. Osipowicz nalał hojnie, powyżej ostatniej kreski na przedziałce.

– Wasze zdrowie, doktorze.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku. Za Friedkego.

– Za Friedkego.

Wypili. Osipowicz z aprobatą spojrział na pustą menzurkę doktora. Niby Szwab, a proszę, pił jak mężczyzna.

– A jak żona? – spytał doktor Spitzgau, nalewając sobie kolejną menzurkę.

Osipowicz wzruszył ramionami.

– Nie ma o czym gadać.

– Lekarstwa bierze?

- Brać bierze, ale jak siedziała, tak siedzi.
- To jest normalne po obozie.
- Dziękuję wam za taką normalność.
- Chciałem powiedzieć, że jej przejdzie. Ja też ciągle jeszcze dochodzę do siebie.

Osipowicz pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Gdzie wy siedzieliście, bo zapomniałem?
- W Dachau.
- I Friedke tak samo?
- Gdyby nie on, rzuciłbym się na druty. Wypijmy za niego.

Osipowicz zawahał się. Polityka polityką, ale nie miał ochoty pić za żadnego Germańca, choćby i największego antyfaszystę.

- Czekajcie. Podobno on tu u was leży w trupiarni.
- Chcecie obejrzeć ciało?
- Chcieć to może ja i nie chcę, ale obowiązek wymaga.

Spitzgau z żalem odstawił menzurkę z wódką.

Wyszli z gabinetu i ruszyli zatłoczonym, hałaśliwym korytarzem. Sowieccy pacjenci w szpitalnych piżamach prężyli się na widok komendanta wojennego. Pruscy uciekinierzy, którzy dogorywali po kątach, patrzyli na niego obojętnie.

W szpitalnej kostnicy doktor jednym ruchem odkrył zwłoki pastora Friedkego, odwracając wzrok w drugą stronę.

– Przepraszam, towarzyszu pułkowniku, ale nie mogę... Co innego całe stosy trupów, a co innego jeden przyjaciel.

- Znaczy, nie kroiliście go?
- Mówicie o sekcji zwłok? Nie jestem patologiem. Oględziny zrobiłem. Zginął od uderzenia tępym narzędziem w tył głowy.

- A to? – Osipowicz wskazał na odcięty kciuk u prawej dłoni denata.
- To jest właśnie jakaś dziwna sprawa. Morderca odciął mu po śmierci kciuk.
- Po cholere?

Doktor Spitzgau się zawahał.

- Mam na ten temat pewną teorię.

- No to mówcie.
- Ale to tylko takie dywagacje. Nie jestem żadnym detektywem.
- Mówcie. W śledztwie wszystko może się przydać.
- Moim zdaniem morderca specjalnie chciał pokazać, że to robota szaleńca.
- Po co?
- Żeby zamaskować prawdziwy... jak to się mówi po rosyjsku?
- Motyw zabójstwa.
- Właśnie.
- Myślicie, że Polak taki spryciarz?
- Oni nie mają z tym nic wspólnego – zachnął się Spitzgau, ale natychmiast pożałował swoich słów. – To znaczy, tak mi się wydaje, towarzyszu pułkowniku.
- A to dlaczego?
- Tak uważam.
- Mówcie, do jasnej cholery, albo wezmę was do siebie na przesłuchanie! Wiecie coś czy nie?
- Nic nie wiem, towarzyszu pułkowniku. Po prostu za dobrze znałem Friedkego. Jak zrobiliście go burmistrzem, to wielu ludzi źle mu życzyło.
- Nazwiska.
- Nie mówię o nikim konkretnie. Różni faszyci. W tym mieście ich nie brakuje.
- Czyli uważacie, że to Niemiec go zabił?
- Nie wiem, ale tu się różne dziwne rzeczy dzieją.
- Niby jakie?
- Bandytyzm. Ludzie znikają bez śladu.
- Kto znika? Knopf mi o niczym takim nie meldował.
- Knopf! – Spitzgau się skrzywił.
- Coś macie do Knopfa?
- Nie, nie, skąd! – Spitzgau zamachał gwałtownie rękami, jakby nagle przestraszył się konsekwencji własnych słów. – Robi, co może w tej policji pomocniczej. I Stanzel jako landrat tak samo.

Osipowicz spojrział na niego zaintrygowany. Doktor wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale albo strach, albo skrupuły nie pozwalały mu złożyć normalnego

donosu. Oczywiście, można to było wydusić z niego z pomocą Pietii. Pułkownik nie chciał jednak zrażać do sowieckiej władzy jedyne go lekarza na wyspie. Po mordzie zawsze można człowiekowi dać. Cała sztuka to przeciągnąć go na swoją stronę.

– No, pooglądaliśmy, popiliśmy – podsumował. – A Swieta sama tam w domu siedzi.

– Wyjdzie z tego. Proszę dać jej trochę czasu.

– Ile?

– Góra miesiąc. Tylko niech bierze te lekarstwa, co jej dałem.

Osipowicz skinął głową. Rzucił ostatni raz okiem na zwłoki burmistrza Friedkego.

– Porządny był Niemiec. Pochowajcie go jak należy.

– Oczywiście, towarzyszu pułkowniku.

Doktor Spitzgau stał jeszcze przez dłuższą chwilę pośrodku kostnicy, jakby chciał upewnić się, że komendant nie wróci z jakimś podstępny pytaniem. Wreszcie odetchnął z ulgą i zakrył z powrotem ciało Friedkego. To była naprawdę niebezpieczna gra. Ręce drżały mu jeszcze z emocji. Na szczęście w gabinecie czekała na niego cała menzurka wódki, a nawet więcej, bo w butelce też coś jeszcze zostało.

6

W drodze na kolejne przesłuchanie Adam ułożył desperacki plan: kiedy znowu zaczną bić, rzuci się na przekłętego Pietię i trochę go poturbuje. Na pomoc nadbiegną żołdaci z korytarza i zaczną okładać go na oślep. Przy odrobinie szczęścia uda mu się zemdleć na samym początku i może znowu odeślą go do celi. Plan był dziurawy i właściwie nie trzymał się kupy, ale nic lepszego nie przychodziło mu do głowy.

Kiedy wepchnięto go do gabinetu, serce zabiło mu nadzieją: Pietii nie było w środku. Za biurkiem siedział tylko komendant Osipowicz i przeglądał jakieś zeznania.

– Siadaj – rzucił pułkownik niemal przyjaźnie. – Podobno w obozie siedziałeś.

Adam zamarł. Jego oddech zatrzymał się na chwilę.

– No, co? Normalne pytanie. Moja kobieta też siedziała. W Ravensbrück. A ty?

– To jakaś pomyłka. Nie to, żebym żałował, ale nigdy nie byłem w żadnym obozie.

– Nie? A ten mały Niemiec zeznał co innego.

– Jaki Niemiec?

– Markus Stilt. Nie pamiętasz go? Taki rudy. Pomagał ci taszczyć trupa.

– Ten smarkacz? A co on może wiedzieć.

– Podobno powiedziałeś mu, że znasz dobrze niemiecki, bo siedziałeś w obozie koncentracyjnym.

– Łże. W ogóle nic do niego nie mówiłem. Nie wdaję się w pogawędki ze Szwabami.

– Ale niemiecki znasz dobrze?

– Można tak powiedzieć.

– Skąd?

– Musiałem się nauczyć, żeby przeżyć.

– Znaczący interesy z nimi robiłeś?

– Można tak powiedzieć.

Osipowicz był zaskoczony. Nie spodziewał się tak łatwego sukcesu. Jeden manikiur, i to niepełny, a ten już zaczął śpiewać.

– No! – ucieszył się. – Opowiadaj. Jakie to były interesy.

– Bardzo proste. Oni mieli interes w tym, żeby mnie ukatrupić, a ja w tym, żeby do tego nie dopuścić.

Niewiele brakowało, a Osipowicz zerwałby się z wściekłością zaa biurka i wziął aresztanta pod buty, sprzeniewierzając się własnym zasadom przesłuchania. Tak łatwo dał się podpuścić! O, to jednak ciekawy ptaszek ten Kostrzewa.

– Czyli twierdzicie, że nigdy nie byliście w obozie koncentracyjnym. Tak mam zapisać?

– Dokładnie tak.

– A podwińcie no lewy rękaw.

Adam posłusznie wykonał polecenie.

– Teraz prawy.

Adam podwinął drugi rękaw.

– Koszulę na piersi rozepnijcie. Tutaj.

Adam rozchylił koszulę, ukazując lekko owłosiony tors. Tutaj też nie było żadnego tatuażu. Osipowicz spuścił wzrok na kartkę papieru, żeby ukryć rozczarowanie. Rano był prawie pewny, że znalazł rozwiązanie całej sprawy – Friedkego, Kostrzewy i argentyńskiej pocztówki. Friedke wpadł na trop szajki organizującej przerzut nazistów do Argentyny. Przechwycił informację o kurierze, który przyjeżdżał po kolejny „turnus”. Była zaszyfrowana na pocztówce z widokiem Buenos Aires. „971 Avenida de Julio 5” to po prostu kryptonim kuriera, który przedstawiał się jako Adam Kostrzewa, i jednocześnie hasło wywoławcze. Do tego momentu wszystko opierało się na intuicji Osipowicza, ale poranne przesłuchanie Markusa Stilta wreszcie dostarczyło mu dowodów. Kostrzewa siedział w obozie koncentracyjnym! Skoro tak, to musiał mieć gdzieś wytatuowany numer. Można było postawić dziesięć do jednego, że właśnie ten numer łądak wybierze sobie za swój kod wywoławczy w nowym interesie. Ci po obozach byli bardzo przywiązani do swoich numerów. Osipowicz widział to u Swiety: całymi dniami trzymała się za wytatuowany numer na lewej ręce, jakby bała się, że za drutami cyferki znikną bez śladu i pociągną ją za sobą w zupełną nicość. Było zatem więcej niż prawdopodobne, że numer na argentyńskiej pocztówce jest obozowym numerem Kostrzewy. Wystarczyło przeszukać odpowiednie rejestry, żeby odnaleźć jego prawdziwe imię i nazwisko. A wtedy drań nie miałby innego wyboru, jak wyśpiewać wszystko o swoich powojennych interesach z nazistami.

Niestety, Kostrzewa nie miał nigdzie tatuażu z numerem obozowym.

– Czyli piszemy „nie był w obozie”... – Osipowicz pochylił się jeszcze bardziej nad kartką papieru, udając skupionego na protokole. Twarz miał rozpaloną, oddech przyspieszony. Przez dłuższą chwilę fantazjował, co każe zrobić Markusowi za fałszywe zeznania, aż wreszcie doszedł do przekonania, że chłopak jest jednak niewinny, bo ten cały Kostrzewa, czy też „971 Avenida de Julio 5”, pewnie i jego wyprowadził w pole.

Adam zapiął z powrotem koszulę. Pierwsza runda zdecydowanie należała do niego. Postanowił przejść do ofensywy.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego mi nie wierzycie. Macie moje papiery, nazywam się Adam Kostrzewa i przyjechałem tu ze specjalną grupą...

– Zamknij się, bo zaraz tu zawołam Pietię! – wybuchnął Osipowicz. Nie miał tego w planie przesłuchania, ale po prostu nie wytrzymał. Ludzka rzecz. Co za dużo, to i świnia nie chce. Odrzucił pióro na biurko. Ta metoda zupełnie się nie sprawdziła. Legionistę, a za takiego uznał ostatecznie Kostrzewę, trzeba było podejść inaczej. Każdy z nich miał ten sam słaby punkt: wydawało mu się, że jest lepszy, silniejszy i sprytniejszy od innych.

– Wybaczcie, zły dzień miałem – powiedział, zmieniając nagle ton. – Wiem, że to nie wy ubiliście Friedkego. Możecie iść.

Adam był pewien, że się przesłyszał.

– Iść?

– Tak, jesteście wolni. Chyba że chcecie coś jeszcze dodać do swoich zeznań.

– Nie... – odparł Adam, oszołomiony. Takiego obrotu spraw zupełnie się nie spodziewał. – To znaczy, że mogę po prostu wstać i wyjść?

– Czy ja aż tak źle po waszemu mówię? Nie mam po co was dłużej trzymać. Nawet transport wam jakiś załatwię, żebyście wynieśli mi się jeszcze dzisiaj z miasta.

Adam wstał ostrożnie, wciąż podejrzewając jakiś podstęp.

– A Wasilewski i Kwasigroch?

– Ci, co z wami siedzieli? Ich też muszę przesłuchać. To jacyś wasi towarzysze broni czy jak?

Adam pokręcił stanowczo głową.

– Prawie ich nie znam.

– No i tym lepiej. Nie żal wam będzie, jak ich powiesimy.

– Powiesicie? Za co?

– Dla przykładu mówię. Jeszcze nie wiem. Może za zabójstwo Friedkego, może za inne sprawy. Nie wasza w tym głowa.

– Wasilewski tego na pewno nie zrobił.

– Czego?

– Nie zabił tego Niemca.

– Skąd wiecie?

– Po sile uderzenia. On ledwo trzyma się na nogach. Nie dałby rady uderzyć z taką siłą ciężkim narzędziem. A co dopiero przenieść zwłoki na główny plac w mieście.

– Skąd wiecie, że ktoś je przeniósł? Może tam dali mu w łeb.

– Wykluczone. Na bruku nie było śladów krwi, a rana na jego głowie była już zakrzepła, kiedy ją oglądałem. To znaczy, że zabójstwa dokonano gdzie indziej.

– Czyli gdzie go zatłukli?

– Nie wiem, może w jego mieszkaniu, może gdzie indziej. W każdym razie na pewno z dala od oczu przypadkowych świadków.

– No to po cholerę morderca miałby go potem przenosić na główny plac w mieście? Raz unika świadków, raz ich szuka – jakoś to się nie trzyma kupy, jak to wy mówicie po polsku.

– Trzyma. Co najmniej z dwóch powodów.

– Jakich?

– Sprawca przeniósł ciało na główny plac w mieście, żeby zademonstrować swoją siłę. To pierwsza wiadomość: mogę zrobić wszystko, nikt z was nie jest bezpieczny.

– A druga?

– Ostrzeżenie.

– Co?

– Trup wystawiony na widok publiczny ma ostrzegać tych, co na niego patrzą. Niemcy zawsze tak robili. Dlatego uważam, że waszego Friedkego zabił jakiś Niemiec.

Osipowicz kiwał głową niby obojętnie, rzeczowo, ale w rzeczywistości serce waliło mu pod mundurem. Ryba połknęła przynętę. Skąd niby zwykły milicjant miałby taką wiedzę o prowadzeniu śledztwa? O, trzeba było gruntownie sprawdzić tego Kostrzewę. Kto wie, czy nie było go na najważniejszych listach NKWD.

– To bardzo ciekawe, co mówicie. Skąd wy wiecie takie rzeczy, w policji robiliście czy jak?

Adam zdał sobie sprawę, że za bardzo się rozpędził. Oczywiście, drań zastawił na niego pułapkę. Wcale nie chodziło mu o żadnego Friedkego. To była po prostu dalsza część przesłuchania.

– W żadnej policji. Byłem przed wojną prywatnym detektywem – odparł bez wahania. – Powiedzieliście, że mogę iść...

– Tak, tak. Pozwólcie tylko jeszcze jedno pytanie. Widzicie, ja na tych kryminalnych sprawach tak dobrze się nie znam. Jestem żołnierzem. Ja tylko pytam, gdzie jest wróg i jaką ma siłę ognia.

– Pytajcie – odparł Adam, ukrywając zniecierpliwienie. Osipowicz wyraźnie grał przed nim głupszego, niż był w rzeczywistości.

– Ten kciuk odcięty. O co tu chodzi?

– Nie wiem. – Adam wzruszył ramionami. – Musi to być część wiadomości, którą umie odczytać tylko adresat.

– Kto?

– Ten, kogo morderca chciał ostrzec, wystawiając ciało na widok publiczny.

– Mówicie „ostrzec”. Ale przed czym?

– A skąd ja mam wiedzieć? To wy prowadzicie śledztwo – zniecierpliwiał się Adam. – Mogę już iść?

– Jeszcze jedną chwileczkę. Mówicie, że Wasilewski tego nie zrobił. A może ktoś inny z waszych towarzyszy.

– To nie są moi towarzysze.

– Nie? To nie jesteście komunistą?

– Chciałem powiedzieć, że ich nie znam. Nie mogę więc za żadnego ręczyć.

– Ale komunistą jesteście?

Adam zamilkł na chwilę. Nie miał już wątpliwości, że wszystko to było tylko przedstawienie.

– Więc jak to z wami jest? – nalegał Osipowicz, tłumiąc rozbawienie. – Wierzycie w zwycięstwo komunizmu na świecie czy nie?

– Powiedzmy, że jestem poszukujący.

Osipowicz wybuchnął niepoohamowanym śmiechem. Ech, ci legioniści! W gruncie rzeczy wszyscy byli tacy sami. Połaskocz takiego pod brodą, a prędzej zacznie śpiewać, niż gdyby wyrwać mu wszystkie paznokcie.

– Rozumiem, że będę jednak musiał zostać w areszcie – powiedział Adam z goryczą. Dał się wybadać jak dziecko. Komendant nigdy nie podejrzewał go o zabójstwo pastora. Pewnie w ogóle go ta sprawa niewiele obchodziła. Chodziło

mu przede wszystkim o niego. Teraz wiedział już, że w jego ręce wpadł przedwojenny policjant, i to nie żaden stójkowy, ale co najmniej aspirant kryminalny.

– Dobrze rozumiesz, Kostrzewa, czy jak tam się naprawdę nazywasz. Wartownik!

W drzwiach ukazał się żołnierz z pepeszą na ramieniu.

– Odprowadzić do celi.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku!

Wartownik energicznym skinieniem głowy pokazał Adamowi drzwi. Wyszli razem.

Osipowicz wziął głęboki wdech. Dobrze się ten dzień zaczął. W ogóle sprawy zaczęły przybierać lepszy obrót. Pal diabli przeklętych milicjantów, którzy rozpierzchli się po jego wyspie jak szczury. Z czasem wyłapie się ich tak samo, jak łapie się szczury – jednego po drugim. Najważniejsze, że ze Swietą było nieco lepiej. Rano zjadła trochę mielonki i nawet powiedziała ze dwa słowa. Lekarstwa Spitzgaua zaczynały chyba działać. Osipowicz pomyślał ciepło o szwabskim doktorze. Może i w innych sprawach sukinsyn też miał rację? Doktor twierdził to samo co Kostrzewa – że burmistrza zabił Niemiec, a przecież nie miał w tym żadnego interesu.

Postanowił się temu przyjrzeć. Teraz jednak ważniejsze było, żeby zbadać, jaki to gagatek siedział w jego areszcie. Koniec końców NKWD miało łapać nie tyle morderców, ile przede wszystkim wrogów sowieckiego państwa.

Podniósł słuchawkę telefonu.

– Dyżurny? Przyślijcie mi tu radiotelegrafistę. Depeszę trzeba wysłać do bezpieczeństwa w Pile w sprawie niejakiego Adama Kostrzewy.

IV NOWY KOSZMARNY ŚWIAT

1

Sześć dni wcześniej

Łysy urzędnik Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Pile patrzył na niego z powątpiewaniem ponad zsuniętymi na koniec nosa okularami.

– Jeszcze raz, jak nazwisko?

– Kostrzewa. Adam Kostrzewa. Tam jest napisane.

– Tak, tak... A imiona rodziców?

– Co to, przesłuchanie?

– Ależ skąd, po prostu te moje okulary są już do niczego. Musiałbym zmienić szkła, ale za co? Dwadzieścia cztery złote dziennie się tu zarabia, a kilo chleba na bazarze kosztuje dwadzieścia pięć. A słonina...

– Bogusław i Marianna – przerwał mu brutalnie Adam. Sytuacja żywnościowa łysielca nic go nie obchodziła. Miał drań z czego chudnąć. Ważył chyba ze sto dwadzieścia kilo. Musiał nieźle szmalcować podczas okupacji. Sam jego widok był nieprzyzwoity. Adam chciał jak najszybciej załatwić swoją sprawę i wyjechać z Piły. Wyjątkowo mu się ta dziura nie podobała – ruiny, smród i mnóstwo ubowców.

– Proszę?

– Pytaliście o imiona rodziców. Bogusław i Marianna.

– Tu jest napisane „Bogumił”.

Przekłeta pamięć. Znowu go zawiodła.

– Co za różnica? Jeden Boguś i drugi Boguś. Dacie mi tę przepustkę do Swinemünde czy nie?

– Po co tam właściwie chcecie jechać? Żadnych naszych tam jeszcze nie ma.

– Dobrze się czuję nad morzem.

Mecenas Łopuch od początku nie miał wątpliwości, że petent podszywa się pod kogoś. Instrukcja nakazywała meldować o każdym takim przypadku do Bezpieczeństwa. Tylko niby jak – przerwać rozmowę i iść do telefonu czy też poczekać, aż gość wyjdzie? Z drugiej strony mecenas Łopuch wcale nie miał ochoty zostać kapusiem. Przez całą okupację zachowywał się przyzwoicie aż do przesady. Nawet dawnych kolegów z zespołu adwokackiego nie sypnął, chociaż miał ku temu liczne powody.

– Widzicie, to nie jest takie proste... *De lege artis*^[28] to ta wasza kenkarta jest właściwie nieważna.

– Niby dlaczego?

– Zdjęcie jest całkowicie zniszczone. Nie można potwierdzić tożsamości posiadacza.

– Już wam mówiłem: Rosjanie napadli na pociąg...

Łopuch zamachał gwałtownie rękami, wskazując na ściany, jakby za każdą z nich siedział ubowiec z przytkniętym uchem.

– Dobra – poprawił się Adam. – Eskimosi napadli na pociąg i nieźle nam dopieprzyli. Mnie jeden przygrzał w piersi kolbą i strzaskał wieczne pióro w kieszeni. Pewnie wtedy to zdjęcie się zalało.

– Tak, tak, ja to rozumiem. Naprawdę chciałbym wam pomóc... Już wiem, tu niedaleko jeden Żyd założył zakład fotograficzny. Pójdziecie do niego i zrobicie nowe zdjęcie. Wklei się do kenkarty zamiast starego i przyłoży nową pieczęć. Narysuję wam drogę. Może tak być?

Adam odetchnął z ulgą. Nie spodziewał się aż takich utrudnień. W drodze do Piły bardzo przyzwyczał się do nowego imienia i nazwiska i naprawdę zaczął wierzyć, że nigdy nie nazywał się inaczej. Nowe imię nawet mu się podobało. Wziął od urzędnika karteczkę z naszkicowaną drogą do Żyda fotografa i wyszedł z pokoju.

Mecenas Łopuch długo patrzył na czarny aparat telefoniczny na biurku. Przez całą okupację zachowywał się przyzwoicie. Nieraz miał okazję sypnąć Stefaniaka czy Firstenberga, którzy wyrzucili go z zespołu adwokackiego jeszcze przed wojną. Zresztą, obaj i tak nie przeżyli. Tylko on przeżył. I co mu przyszło z całej tej przyzwoitości? Czy ktoś nagrodił go za to, że przed wojną stracił pracę za

bronienie w sądach oskarżonych o komunizm? I do tego jeszcze słonina była teraz po trzysta pięćdziesiąt złotych za kilogram, a masło po pięćset. Może nie miało to ze sobą bezpośredniego związku, ale w umyśle Łopucha, byłego mecenasa, a obecnie nędznie opłacanego urzędnika PUR-u, łączyło się w dojmujące poczucie niesprawiedliwości, które kazało mu w końcu sięgnąć po słuchawkę telefonu.

Majowe słońce oślepiło Adama, kiedy wyszedł z gmachu Urzędu Repatriacyjnego. Dzień był całkiem przyjemny – nie za ciepło, nie za zimno. Tylko głód doskwierał mu potwornie. Od dwudziestu czterech godzin nie miał nic w ustach. Przeszukał jeszcze raz kieszenie, żeby upewnić się, czy aby na pewno nie została mu jakaś skórka chleba. Niestety, cały jego dobytek składał się z karteczki z prymitywnym planem dojścia do Żyda fotografa, kawałka kredy, która wspomagała jego szwankującą pamięć, i mocno podniszczonej pocztówki z Argentyny. Przybrudzona panorama Buenos Aires była jego jedynym skarbem. Właściwie to ona trzymała go jeszcze przy życiu i pchała przed siebie. Nie miał pojęcia, czy ze Swinemünde w ogóle wypływały jakieś statki handlowe ani nawet jak miałyby się na któryś z nich dostać, ale na pewno były na to większe szanse w mieście portowym niż w Warszawie czy w Pile.

Rozejrzał się, czy nikt go nie obserwuje, i dyskretnie oznaczył róg urzędowego budynku kredą. Nie ufał za bardzo planowi, który wyrysował mu Łopuch. Poza tym z jego pamięcią znowu nie było najlepiej. Świadczyła o tym fatalna wpadka z Bogusławem. Miał szczęście, że urzędnik nie był zbyt rozgarnięty.

Według karteczki zakład fotografa znajdował się zaledwie trzy przecznice dalej – najpierw w lewo, potem prosto, w prawo i znowu w lewo. Ruszył w drogę.

Miasto było w gruzach. Wśród rumowisk i wyszczerbionych kamienic dawało się jednak bez większego trudu rozpoznać zarysy ulic, inaczej niż w Warszawie, gdzie rozciągała się jedna wielka pustynia. Przechodnie, głównie Niemcy, przemykali bojaźliwie z domu do domu. Adam zauważył, że kilku miało wymalowane na plecach wielkie swastyki. Musiała to być oddolna inicjatywa jakiegoś lokalnego kacyka, żeby oznaczyć niedawną rasę panów symbolem hańby. Dwóch podpitych berlingowców zaśmiewało się do rozpuku z dziewięćdziesięcioletniego starca ze swastyką na plecach. Jeden z nich wyrwał mu nagle laskę i dzielił go w pośladki. Starzec upadł. Na próżno usiłował podnieść się o własnych siłach. Bezradnie przebierał nogami i rękami jak chrapaszcz przewrócony na grzbiet. Berlingowcy zarykiwali się ze śmiechu.

Adam skręcił w lewo. Na razie wszystko się zgadzało. Dla pewności oznaczył dyskretnie róg ulicy kredą. Chciał już ruszyć dalej, kiedy nagle usłyszał za plecami ostry krzyk.

– *Stoj, sobaka!*

W jego stronę biegli dwaj czerwonoarmiści ze zdjętymi z ramion pepeszami. Z daleka widać było, że nie zamierzali bawić się w żadne sprawdzanie dokumentów. Ocenili już sytuację – ot, dywersant Werwolfu robił na murze znaki dla swoich. Adam zdał sobie sprawę, że kartka z wyrysowanym planem nie będzie świadczyć na jego korzyść, nawet gdyby dostał szansę na wyjaśnienia, a na to wcale się nie zanosilo.

Rzucił się w zgliszcza najbliższej kamienicy.

– *Stoj! Stoj!*

Seria z pepeszy zadudniła za jego plecami. Wbiegł po na wpół zawalonych schodach i wskoczył do jakiegoś mieszkania z urwaną przednią ścianą. Przebiegł przez zasypany gruzem salon do kuchni. Na szczęście tu też nie było ściany. Wyskoczył na rumowisko. Potknął się i stoczył w dół. Jakiś pręt rozdarł mu prawy rękaw i rozciął przedramię. Krzyknął z bólu.

Żołnierze byli już w górze. Wahali się, czy skoczyć z dwóch metrów na rumowisko. Koniec końców w przeciwieństwie do uciekiniera wcale nie musieli tego robić.

– *Job twoju mat'!* – zaklął jeden z nich i posłał w stronę Adama jeszcze jedną serię. Obaj stracili ochotę na dalszy pościg.

Biegł jeszcze długo, zanim zupełnie stracił oddech. Kręciło mu się w głowie – ze zmęczenia, z głodu, z utraty krwi. Nie mógł zemdleć. Usiadł na stercie gruzów i zwiesił głowę między nogami. Białe plamki przed oczami zaczęły ustępować.

Spokojnie, od wielu lat był to przecież jego chleb powszedni – głód, krew, ucieczka. Nic takiego się więc nie stało. Jeszcze tylko jeden skok – do Buenos Aires – i wszystko skończy się raz na zawsze. Tam czekała na niego Mira. Oczywiście, że czekała. Miał przecież pocztówkę z Argentyny.

Rozejrzał się. Nie było mowy, żeby sam odnalazł drogę. Najpilniejszą sprawą było jednak rozcięte ramię. Bez opatrunku długo nie pociągnie. Trzeba też zdobyć coś do jedzenia, a potem znaleźć jakiegoś przewodnika, który zaprowadzi go do fotografa i z powrotem do Urzędu Repatriacyjnego.

– *Frau!* – zawołał do na oko czterdziestoletniej Niemki, która przemykała się pod ścianą po przeciwnej stronie zrujnowanej ulicy. – *Warten Sie, bitte!*

Kobieta chciała rzucić się do ucieczki, ale zagroził jej drogę.

– Spokojnie, nic pani nie zrobię! – powiedział płynnie po niemiecku. – Potrzebuję jakiegoś bandaża. Może być prześcieradło.

Kobieta spojrzała na jego krwawiące ramię. To na pewno nie był Rosjanin, choć mówił ze słowiańskim akcentem. Polak? Też nic dobrego to nie wróżyło.

– Zrobię sobie opatrunek i pójdę – powiedział.

Niemka bez słowa kazała mu iść za sobą. Nie miała innego wyboru. Był szybszy, silniejszy. Należał do zwycięzców. Pozostała jej tylko nadzieja, że naprawdę odejdzie, kiedy już nasyci się jej ciałem. Zdarzali się i tacy.

Mieszkanie Giseli Feibert przypominało poczekalnię dworcową. Wszędzie siedzieli ludzie w płaszczach, z walizkami i pakunkami, gotowi do podróży. Było to kilka rodzin, które nie znały się nawzajem – uciekinierzy z Prus Wschodnich i Danzigu. Nie wiedzieli, kiedy będą musieli ruszyć znów w drogę, więc na wszelki wypadek nie zdejmowali płaszczy. Frau Feibert była w ich oczach aniołem zesłanym przez dobrego Boga. W tych czasach tylko anioł przygarniał do siebie obcych i jeszcze dzielił się z nimi ziemniakami.

Na widok gospodyni wchodzącej razem z przedstawicielem nowego Herrenvolku w mieszkaniu zapanował popłoch. Frau Feibert krótko zapewniła uciekinierów, że na razie nic im nie grozi, i zaprowadziła gościa do kuchni.

Adam podszedł do kuchennego kranu i odkręcił kurek. Niewiarygodne, wciąż mieli tu bieżącą wodę. Podstawił rękę pod kran i patrzył na krew spływającą do zlewu. Nagle ogarnęła go wściekłość. Wydało mu się oburzające to, że Niemcy mają wciąż bieżącą wodę.

– Może pan użyć tego – powiedziała Frau Feibert, podając mu czystą białą ścierkę.

Adam wyrwał jej ścierkę, demonstracyjnie przedarł ją na dwa pasy i zaczął bandażować ranę na przedramieniu.

– Ja to zrobię – zaofiarowała się Frau Feibert. Liczyła na to, że dzięki temu łagodniej się z nią obejdzie. Może nawet zostawi coś do jedzenia.

Adam odepchnął ją gwałtownie.

– *Weg!* – krzyknął. – Nie dotykaj mnie!

Frau Feibert cofnęła się z przestachem.

– Daj lepiej coś do jedzenia.

– Nic nie mamy.

Adam skończył bandażować ramię i zabrał się do przetrząsania szafek. Rzeczywiście, półki były zupełnie ogołoczone. Jeszcze bardziej go to rozwścieczyło. Cisnął o podłogę pustą porcelanową cukiernicą.

– Zaprowadzisz mnie do fotografa – rozkazał.

– *Wie, bitte?* – zdziwiła się Frau Feibert.

– Fotograf, nie rozumiesz? Gdzieś tu jest jeden Żyd, którego nie zdążyliście zagazować. Założył zakład fotograficzny. Zaprowadzisz mnie tam.

Frau Feibert ochoczo skinęła głową. Oczywiście, że знаła zakład fotograficzny Hirsta. Wszyscy starzy mieszkańcy Schneidemühl^[29] go znali. Powrót starego Hirsta był nawet sporym wydarzeniem. Uznano to za dobrą wróżbę. Jeśli Żydzi wracali, to oznaczało, że miasto też wróci do Niemiec.

Adam szedł ostrożnie za Niemką, rozglądając się za sowieckimi zuchami, którzy zobaczyli w nim szkopskiego dywersanta. Na szczęście żaden z nich nie odznaczał się szczególnym uporem. Po nieudanej pogoni obaj poszli zapewne snuć opowieści o Werwolfie przy butelce samogonu.

Frau Feibert z trudem tłumiła w sobie radość. Była już pewna, że zakończy ten dzień co najmniej ciężko okaleczona, a tymczasem nieznajomy Polak okazał się najlepszym człowiekiem, jakiego w ogóle spotkała w Schneidemühl od końca wojny. Nawet niczego nie zniszczył w domu. Stłukł tylko cukiernicę po matce, ale ta i tak była już wyszczerbiona i pęknięta. Poczowała niemal wdzięczność dla swojego gościa i chciała mu to jakoś okazać. Obróciła się do niego.

Adam szedł przed siebie nieobecny, wpatrzony hipnotycznie w kobiece łydki. Przypominały mu Mirę. Czy jeszcze na niego czekała? Odruchowo dotknął w kieszeni pocztówki z Buenos Aires.

– Pan jest Polakiem?

– Co? – ocknął się z zamyślenia.

– Pytałam, czy pan jest Polakiem.

Adam nie miał ochoty wdawać się w pogawędkę z Niemką.

– Daleko jeszcze?

– To tutaj – odparła Frau Feibert, pokazując lokal na rogu ulicy.

Okna były zabite deskami tak jak wszędzie, ale nad drzwiami pysznił się świeżo wypucowany szyld zakładu fotograficznego Hirsta.

Adam odetchnął z ulgą. Niemka mogła przecież wprowadzić go prosto w jakąś pułapkę. Spojrzał na nią życzliwiej. Miał nawet ochotę jej podziękować, ale to byłaby już przesada. Burknął tylko coś niewyraźnie, po czym odwrócił się plecami i wszedł do zakładu.

Frau Feibert stała jeszcze przez chwilę na ulicy i zastanawiała się, czy nie poczekać na tego wielkodusznego człowieka, który nie zgwałcił jej, nie okaleczył ani nie okradł. W końcu jednak zdała sobie sprawę, że to strata czasu, i zawróciła do domu, starając się nie przyspieszać kroku, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Adam wszedł do zakładu. W środku panowała niemal zupełna ciemność – w oknach nie było przecież szyb, tylko deski.

– Halo?! – zawołał.

– Adam Kostrzewa? – zapytał jakiś głos z tyłu.

Obrócił się gwałtownie.

– O co chodzi?

– Pójdziecie z nami.

Dwie ciemne postacie chwyciły go pod ramiona z obu stron. Zanim zdążył się zorientować, ilu jest napastników i czy mają broń, wyciągnęli go na jasne słońce i wepchnęli do czarnej cytryny^[30], która natychmiast podjechała pod zakład.

Przez chwilę rozważał, czy nie udałoby się jakoś załatwić skurczybyków i wyskoczyć po drodze. Raz tego dokonał. Nawet napisali o tym w podziemnej prasie w Warszawie. Ale wtedy miał przy sobie nóż, którego nie znaleźli przy rewizji. Czym miałyby ich teraz załatwić? Kredą?

Źle to wszystko wyglądało. Stało się to, czego tak długo udawało mu się uniknąć. Wpadł w ręce UB. Wszedł prosto w kocioł, który zastawili na niego po telefonie z Urzędu Repatriacyjnego. Nie docenił tamtego grubego łysielca. Drań musiał się połapać, że taki sam z niego Adam Kostrzewa jak Adam Mickiewicz. Długo nie potrwa, zanim dowiedzą się, kim naprawdę jest, a wtedy wiadomo, czapa. A był już tak blisko. Jeszcze tylko jedna ucieczka, jeden mały skok do Swinemünde, a potem przez ocean i wszystko skończyłoby się raz na zawsze.

Cytryna podjechała pod budynek Bezpieczeństwa. Urząd ten mieścił się w najbardziej imponującym gmachu w miasteczku i choć działał niespełna od miesiąca, zdążono wstawić w nim już wszystkie szyby, a nawet odmalować elewację. W środku też trwało malowanie i remont. Adam został wrzucony w kajdankach do odnowionego pokoju przesłuchań. Na ścianie wisiały już godło nowego komunistycznego państwa oraz portret prezydenta Bieruta. Adam skrzywił się z niesmakiem, choć nie potrafiłby powiedzieć, co budzi w nim większą odrazę – oskubany orzeł bez korony czy facet z wąsikami przypominający Hitlera, który przytył kilka kilogramów.

Oczywiście, sprawdził okienko w górze. O ucieczce nie było mowy.

Nie czekał długo. Wkrótce do pokoju wszedł z papierosem w ustach młody porucznik. Choć był dopiero około trzydziestki, włosy miał białe jak śnieg. Rzucił na stół zalaną atramentem kenkartę.

– To twoje papiery?

– Nazywam się Adam Kostrzewa, urodzony...

Nagle obaj zamarli, zupełnie osłupiali.

– To ty!?! – wykrztusił wreszcie porucznik. – Przeżyłeś.

– Ty też.

Porucznik chciał w pierwszej chwili wziąć go w ramiona, ale zrezygnował z tego pomysłu.

– Zapalisz?

Podsunał mu srebrną papierośnicę z monogramem „JB”. Ręce drżały mu z emocji.

– Moja, nie kradziona – powiedział, jakby czytał w myślach Adama. – Janusz Bender: to moje nazwisko.

– Bender – powtórzył wciąż osłupiały Adam. – Tak nazywał się tamten...

– Teraz ja się tak nazywam – przerwał mu porucznik. – Pal.

– Nie powiem, że mi miło – odparł Adam, sięgając po papierosa. – Ale dobrze jest zapalić przed mordobiciem.

Porucznik Bender wybuchnął śmiechem i podał mu ogień.

– Mordobicia nie będzie.

– To też już słyszałem – odparł Adam. – Jak będę sypał, to mnie zwolnicie i jeszcze dacie całusa w nagrodę.

Bender przyglądał mu się przez dłuższą chwilę bez słowa, mrużąc oczy od dymu.

– Nic się nie zmieniłeś. Pamiętasz, co mi powiedziałeś w Auschwitz, jak się pierwszy raz spotkaliśmy?

– Przypomnij mi.

– Że się odchudzasz.

– Teraz też mam kłopoty zdrowotne. Dlatego chcę jechać do Swinemünde. Pomożesz?

– Rozumiem, że się nie ujawniłeś, skoro masz lipne papiery.

– Są równie prawdziwe jak twoje.

– Ja nie mam wyboru, ale ty to co innego. Powinieneś się ujawnić i żyć normalnie.

– Kiedy ja zupełnie nie wiem, o czym towarzysz porucznik mówi.

– Daj spokój. Chcę dać ci szansę.

– Żeby kogoś sypnąć?

– Żeby zacząć żyć.

– W ludowym państwie robotników i chłopów?

– Innego teraz nie ma. I przez jakieś trzysta lat nie będzie. Chcesz to przeczekać?

– Nie rozumiem. Mam się do was zapisać czy jak?

– Do Bezpieczeństwa cię nie przyjmą, skoro jeszcze się nie ujawniłeś. Ale do milicji bez problemu.

– Do czego?

– Do Milicji Obywatelskiej. Wielu naszych tam się ukrywa.

– Waszych, znaczy z Bezpieczeństwa?

– Wiesz, o czym mówię.

– Niestety, nie umiem strzelać. Nigdy nie miałem w ręku broni.

– Dobrze się zastanów. Jutro wyjeżdża do Swinemünde specjalna grupa operacyjna milicji. Mają przygotować grunt pod przejęcie miasta przez polskie władze. Mógłbyś do nich dołączyć.

– Tylko najpierw muszę zacząć sypać?

– Nic nie musisz. Każę wystawić ci nowe papiery i rozkaz wyjazdu. Czy ja cię kiedyś zawiodłem? Przypomnij sobie, kto ci uratował tyłek w Auschwitz.

Adam zamilkł na chwilę. Nie mógł temu zaprzeczyć. Zawdzięczał życie mordercy, który przyjął nazwisko własnej ofiary.

2

Mieli sporo szczęścia z tym deszczem. Lunął zniecka, akurat kiedy Wasilewski wyszedł do ruskich z białą szmatą, żeby poddać ratusz. Waszyngton szybko dostrzegł szansę: kotara deszczu była tak gęsta, że bez trudu powinni za nią zniknąć. „Za mną!” – krzyknął i wyskoczył pierwszy z okna na parterze od strony kanału. Poezja i Lońka nie wahali się ani chwili. Pędzili obok siebie na złamanie karku. Ruscy zauważyli ich, nawet oddali kilka strzałów, ale w takim deszczu nie mieli szans ich trafić. Uciekinierzy dosłownie rozpuścili się w ulewie. Po chwili nie było już po nich śladu.

Zatrzymali się dopiero pod wielkim dębem na wzgórzu. Obaj byli całkiem mokrzy, jakby wyszli z morza. Deszcz szumiał ogłuszająco w koronie drzewa.

– Gdzie Waszyngton? – wysapał Poezja.

– Chyba przed nami biegł.

Rozejrzeli się. Byli na jakimś starym cmentarzu. Pod wysokimi drzewami na wzgórzu stały kamienne grobowce. Część była roztrzaskana przez amerykańskie bomby, które podziurawiły zbocze w kilku miejscach.

– Co robimy? – spytał bezradnie Lońka.

– Mnie się pytasz? Waszyngton wszystko wiedział.

– Mówił, że jakby co, to spotkamy się w gimnazjum przy Steinbrückstrasse^[31].

– Teraz tam nie pójdziemy. Trzeba zaczekać, aż się ściemni.

– Zamarzniemy tu. – Lońka trząśł się z zimna.

– Wygodny się zrobiłeś. Las już ci nie wystarczy?

– To nie jest las, tylko cmentarz.

– No i tym lepiej.

Poezja wybiegł z suchego kręgu pod dębem prosto w firany deszczu.

– Zgłupiałeś?

– Chodź, jest hotel dla jaśnie pana! – krzyknął, wskazując na okazały rodzinny grobowiec z prawdziwą okrętową kotwicą na postumencie.

– Co?

Poezja rzucił się już do grobowca, podniósł kamienną donicę i zaczął walić nią w kłódkę na żelaznej kracie. Przy trzecim uderzeniu kłódka spadła na ziemię.

– Pan hrabia będzie łaskaw – powiedział Poezja, wskazując na otwarty grobowiec.

– Co ty? Do grobu za życia?

– Wolisz moknąć, twoja sprawa. – Poezja wzruszył ramionami i bez wahania wszedł do grobowca.

Lońka stał przez chwilę, kurcząc się w ciężkiej, zimnej ulewie, ale w końcu też dał susa do środka.

Grobowiec rodziny Herbstów był solidnie wykończony, jak przystało na budowlę, która miała nieść rodowe nazwisko właścicieli przez kolejne stulecia. Taki był przynajmniej zamysł Josepha Herbsty, właściciela kilku kutrów rybackich w Swinemünde, który w roku 1933 poczuł gwałtowną namiętność do narodowego socjalizmu. Remontując i rozbudowując rodzinny grobowiec, Herbst szczerze wierzył, że jego ród przetrwa co najmniej do końca tysiącletniej Rzeszy, o której tak często mówił doktor Goebbels. Niestety, historia potoczyła się inaczej. Sam Herbst poległ pod Kielcami w pociągu urlopowym wysadzonym przez polskich partyzantów. Jego szczątków nigdy nie odnaleziono. Podobnie stało się z jego synami. Starszy Rolf został całkowicie rozerwany przez wybuch butli z napalmem, kiedy czyścił żydowską kryjówkę podczas powstania w warszawskim getcie. Młodszy Olaf poszedł na dno razem z całą załogą swojego U-Boota gdzieś pod Wyspami Owczymi i też nie można było sprowadzić jego szczątków do Swinemünde. W sumie więc grobowiec nie na wiele się do tej pory przydał. Leżeli w nim dziadkowie Josepha Herbsty i jeszcze czterech innych krewnych z czasów wcześniejszych, którzy w ogóle nie mieli w planach długiego trwania w pamięci potomnych.

– Tu przeczekamy – oświadczył Poezja. – Jak się zrobi ciemno, to pójdziemy poszukać tego gimnazjum.

– Na Steinbrückstrasse – przypomniał Lońka, szczekając zębami.

– Jeszcze ci zimno? Może włóż drewnianą jesionkę – zakpił Poezja, wskazując na ustawione pod ścianą jedna na drugiej stare trumny.

Obaj gruchnęli niepohamowanym śmiechem. Nareszcie nikt im tego nie zakazywał.

– Dowódca też dał nogę? – spytał Lońka.

– Kwasigroch? A pies mu mordę lizał.

– Do tej pory to ty go lizalesz. Po tyłku.

– Grzeczny dla niego byłem po prostu. Myślałem, że nam się przyda.

– Spieprzył nam nabożeństwo. Szaleju się opił, żeby do Rosjan strzelać?

– Patriota, kozia jego mać.

Na wspomnienie ulubionego zwrotu sierżanta znów wybuchnęli śmiechem.

Czas mijał, a wejście do grobowca ciągle zasłaniała kurtyna deszczu.

– Jakby chmura się oberwała – skwitował Lońka.

Poezja pokiwał smętnie głową. Sam tego nie rozumiał, ale jego nastrój zmieniał się równie często jak pogoda w tym przeklętym szwabskim miasteczku.

– Coraz gorzej jest. Wczoraj widziałem, że ptaki tu normalnie nie latają, ale całymi kupami. Po sto naraz albo i więcej.

– To jakiś zły znak? – zaniepokoił się Lońka.

– Straszna wojna idzie. – Poezja przeżegnał się szerokim znakiem krzyża. – Czwarta część narodu zginie. Niemcy przyjmą komunizm i staną murem za Rosją.

– I co, i co? – dopytywał się gorączkowo Lońka.

Poezja spojrział na niego, jakby nagle ocknął się z letargu.

– A skąd ja mam wiedzieć? Prześpij się. I tak do wieczora stąd nie wyleziemy.

Spali kilka godzin, wyciągnięci na betonowej podłodze. Kiedy się obudzili, w grobowcu panowała zupełna ciemność. Deszcz wciąż padał, ale słabiej. Wyszli ostrożnie na cmentarz.

– Tylko któredy teraz – zastanowił się na głos Lońka.

– Spytały w pierwszym lepszym domu.

– Doniosą ruskim.

– Dlatego muszą myśleć, że to my jesteśmy ruscy. Najlepiej, jak sam pójdziesz.

– Ja na ruskiego nie wyglądam. Nie pamiętasz, co mi Stolcke zawsze mówił? „Lońka, ja w tobie widzę prawdziwego Aryjczyka”.

– A ja ci mówię: otwórz tylko gębę i zapytaj po rusku o drogę. Zaufaj mi.

Lońka niechętnie wziął wciśniętego mu diegtariewa i poszedł do pierwszego domu w okolicy, w którym paliło się światło. Efekt rzeczywiście był piorunujący. Nie wiadomo, czy spowodował to widok sowieckiego karabinu maszynowego na ramieniu intruza, czy też błysk jego złotych zębów. W każdym razie gospodarz nie miał najmniejszych wątpliwości, że udziela wyjaśnień przedstawicielowi zwycięskiej Armii Czerwonej. Zdziwiło go tylko, że nocny gość nie zabrał mu nawet zegarka, ale złożył to na karb jego pośpiechu.

Okazało się, że Steinbrückstrasse leżała całkiem niedaleko. Przemknęli się szybko przez willową dzielnicę u podnóża cmentarza i już byli na miejscu. Przed nimi majaczył wielki, na wpół zburzony w bombardowaniu gmach z czerwonej cegły. Było to gimnazjum męskie imienia Adolfa Hitlera.

Weszli ostrożnie do środka. Poezja zapalił zapałkę. Jedno skrzydło leżało w gruzach, ale reszta gmachu pozostała prawie nienaruszona. Ruszyli szerokim korytarzem. Gruz chrząścił im pod nogami na kamiennej posadzce.

– Waszyngton? – zawołał półgłosem Lońka.

Nikt nie odpowiadał.

– Jesteś pewny, że tu mieliśmy przyjść? – szepnął Poezja.

– Głuchy nie jestem. „Jakby się zrobiło gorąco, to zbieramy się na Steinbrückstrasse w gimnazjum męskim”. Dokładnie pamiętam.

– No to może on zapomniał. Bo jakoś nikogo tu nie widzę.

Weszli do jednej ze szkolnych sal, przyświecając sobie zapałką. Podłoga zasłana była tynkiem z sufitu, a pośrodku stało kilka potrzaskanych prycz. Najwyraźniej szkolna sala służyła jeszcze niedawno jako coś w rodzaju szpitala polowego. O jej pierwotnym przeznaczeniu świadczyła tylko oberwana tablica za profesorskim podium. Obok znajdowało się wejście do kantorka.

– Poświeć mi tu – nakazał Poezja.

Lońka zapalił kolejną zapałkę. Zajrzeli do kantorka. Była to wąska rupieciarnia bez okna, wypełniona po sufit zakurzonymi pomocami szkolnymi. Większość stanowiły tablice ilustrujące ewolucję człowieka, wykaz znanych ludzkości

pierwiastków, modele geometryczne oraz słoje z okazami ryb, węży i jakichś zwierzęcych organów.

– Raz, dwa, trzy, moje! – zakrzyknął radośnie Poezja i rzucił się do słoja, z którego patrzyły wyłupiaste ślepie brzuchatej ryby.

– Na cholere ci to? – zdziwił się Lońka.

Poezja otworzył słoje, powąchał ciecz, po czym wziął sążnisty łyk.

– Całkiem dobry spirytus – orzekł ze znawstwem.

– Jeszcze ci zaszkodzi. – Lońka się skrzywił.

– Tylko te z węzami są szkodliwe. Inne można pić spokojnie. Chcesz łyka?

Lońka odsunął się z obrzydzeniem.

– Zaraz się porzygam.

Zapałka zgasła, pograżając ich obu w ciemności.

– No przyświeć, psiakrew! – zirytował się Poezja.

Nagle usłyszeli chrzęst dobiegający z sali. Ktoś był w środku. Zamarli.

– Lońka? Jesteście tu?

Znali ten głos.

– Waszyngton!

Lońka zapalił zapałkę. Z ciemności wyłoniła się znajoma twarz.

– Gdzie żeście się podziewali? Cały dzień na was czekam – powiedział Waszyngton. – A ty co robisz z tym słojem? To nic niewarte.

– On to gównu pije – wyjaśnił Lońka.

– Normalny spirytus – oburzył się Poezja.

– Zostaw to – powiedział Waszyngton, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Ślepy do niczego się nie przydasz.

– To samo mu mówię.

– Pieprzycie głupoty. Nie raz próbowałem i nic mi się nie stało.

– Zostaw, powiedziałem – powtórzył ostro Waszyngton. – Idziemy.

– Teraz? Dokąd?

– Czas wyrównać rachunki.

– To znaczy z kim konkretnie? – spytał Lońka.

– Ze wszystkimi – odparł Waszyngton w świetle gasnącej zapałki.

3

Edwin Knopf twierdził, że wojna skończyła się dla niego już w grudniu czterdziestego drugiego. Był wtedy łącznikiem zmotoryzowanym przy sztabie 16. Dywizji Pancерnej. Trwało oblężenie Stalingradu. Właściwie trudno było się połączyć, kto kogo oblegał. Jeszcze miesiąc wcześniej Sowieci zdawali się zupełnie wykończeni, a teraz napierali ze wszystkich stron, jakby na miejsce poległych natychmiast rodzili się nowi. Swoje ocalenie Knopf zawdzięczał szwajcarskiemu scyzorykowi z korkociągiem. Dostał go od matki, kiedy szedł na front, i nosił w prawej kieszeni spodni, żeby stale mieć go pod ręką. Na froncie co rusz trafiała się jakaś puszka do otwarcia albo sznurek do przecięcia. Scyzoryk leżał w kieszeni na jego udzie także, kiedy na początku grudnia czterdziestego drugiego Knopf jechał z meldunkiem do sztabu dywizji i wjechał prosto w zasadzkę. Ni stąd, ni zowąd ze śnieżnych zasp wyskoczyli po obu stronach drogi ruscy i zaczęli walić do samochodu z taką zawziętością, jakby od tego zależały losy całej bitwy o Stalingrad. Knopf nawet się nie ostrzeliwał. Patrzył ze zgrozą, jak pociski dum-dum rozrywają kabinę samochodu kawałek po kawałku, i miał tylko nadzieję, że nie dostanie w brzuch, ale w głowę, i że nawet nic nie poczuje. Kula trafiła go jednak w udo. Ból był tak potworny, że stracił przytomność. Ocknął się w sanitarce jadącej wśród śnieżnej zamieci. „No, bracie, ty chyba jesteś w czepku urodzony – powiedział sanitariusz. – Miałeś szczęście, z tym scyzorykiem!” Okazało się, że kula eksplodowała po trafieniu w szwajcarski scyzoryk w jego kieszeni. Wyrwała mu kawał mięsa, ale kość pozostała nienaruszona. Był to postrzał marzenie. Dzięki niemu sierżant Edwin Knopf został uznany za trwale niezdolnego do dalszej służby frontowej. Wrócił do Niemiec na leczenie, i to wcale nie jako inwalida.

Była to poruszająca historia, tyle że całkowicie nieprawdziwa. Nie zgadzało się w niej nawet nazwisko głównego bohatera. W rzeczywistości Edwin Knopf zmarł na skutek ran odniesionych pod Stalingradem w szpitalu w Mińsku. Jego towarzysz z sąsiedniego łóżka chętnie słuchał jego opowieści. Sam został też poważnie ranny w nogę, ale w zupełnie odmiennych okolicznościach. Niezbyt przejął się zgonem przypadkowego sąsiada. Przypomniał sobie jego imię i nazwisko dopiero kilka lat później, kiedy zaczęła się ta angielska propaganda o zbrodniarzach wojennych. Ponieważ nie miał ani ochoty, ani środków, by uciekać z Niemiec, pojechał na północ i zaszył się w nadmorskim miasteczku pod nazwiskiem dawnego

znajomego. Jako Edwin Knopf zdobył sobie nawet pewien szacunek. Po amerykańskim bombardowaniu własnoręcznie wyciągnął z gruzów kilkanaście osób. Jednym z uratowanych był rosyjski robotnik przymusowy. To on polecił go sowieckiemu komendantowi wojennemu, który na początku maja przejął władzę w mieście. Z początku Knopf był przerażony. Nie potrafił ukryć się pod przybranym nazwiskiem, żeby pchać się teraz na świecznik. Chciał nawet uciekać, ale doszedł to wniosku, że byłoby to jeszcze gorsze rozwiązanie. Wtedy od razu trafiłby na listę poszukiwanych. Zawsze uważał, że jeśli uciekać, to z głową, a przede wszystkim z pełnymi kieszeniami. Zgodził się więc zostać szefem niemieckiej milicji pod dowództwem NKWD.

Do tej pory nigdy pożałował swojej decyzji. Jeszcze raz potwierdziła się stara prawda, że pod latarnią jest najciemniej. Komendant Osipowicz wysłuchał jego stalingradzkiej opowieści, zebrał o nim kilka opinii w mieście i na tym się skończyło. Uwierzył czy nie – ważne, że nie drażył tematu. Knopf zauważył, że Rosjanie w ogóle złagodnieli, odkąd wygrali wojnę. Owszem, kogoś tam czasem rozstrzelali albo zgwałcili, ale nie robili już tego z taką samą pasją, z jaką do tej pory parli na zachód. Było to całkiem zrozumiałe: zemsta smakuje tylko wtedy, kiedy wróg jest jej godny. A gdzie była teraz niemiecka godność? Żadnej przyjemności nie ma w kopaniu skomlącego psa. Nic dziwnego więc, że od jakiegoś czasu ruscy bardziej przykładali się do wyłapywania rozmaitych „reakcjonistów” niż do polowania na niedawnych wrogów.

Oczywiście, Knopf zdawał sobie sprawę, że sowiecki żołądek to rozwiązanie tymczasowe. Kiedyś prawda musiała wyjść na jaw. W końcu wszystkie akta, zdjęcia i świadectwa urodzenia przestaną wirować w pijanym chaosie i znów powróci zabójczy porządek, w którym każdy ma przypisane tylko jedno nazwisko i jeden życiorys. Na szczęście do tej chwili było wciąż daleko. Na razie panował niepodzielnie błogi zamęt. Knopf czuł się w nim jak ryba w wodzie. Nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek utonie.

Interes szedł doskonale. Knopf musiał uczciwie przyznać, że była w tym spora zasługa Stanzla. Ogólnie biorąc, gość budził odrazę, ale miał jedną niezaprzeczną zaletę: jak nikt umiał organizować towar. Być może dlatego, że w przeciwieństwie do Knopfa nigdy nie był niemieckim patriotą. W czasie wojny siedział po prostu w więzieniu za pospolite morderstwo. Podobno zaprawił kogoś nożem po pijanemu. Wypuścili go dopiero, kiedy do miasta zbliżali się Rosjanie i brakowało

ludzi do Volkssturmu. Dali mu panzerfaust i wysłali na spotkanie sowieckich czołgów, ale Stanzel porzucił broń w rowie, wytrzasnął skądś czerwoną szmatę i skrzynkę wódki, po czym stanął przy drodze, żeby powitać wkraczające tanki. To zadecydowało, że uznano go za niemieckiego antyfaszystę i zrobiono landratem. Od razu zabrał się energicznie do roboty, czyli do zapełnienia swoich piwnic i kieszeni. Z początku chciał działać sam, ale Knopf szybko wybił mu ten pomysł z głowy. Nie było to zbyt trudne – Stanzel nie grzeszył odwagą i wystarczyło tylko trochę go przycisnąć, żeby zmienił zdanie. Niestety, mogło to kiedyś obrócić się przeciwko Knopfowi, toteż szef policji pomocniczej starał się nie dawać mu ku temu powodów. Nie tylko rozliczał się z nim uczciwie, ale też udawał serdecznego przyjaciela, cierpliwie rozwiewając jego lęki. A tych Stanzel miał niemało. Zwłaszcza sprawa polskich milicjantów nie dawała mu ostatnio spokoju.

– Jesteś pewien, że to już załatwione? – dopytywał się nie dalej jak kilka godzin wcześniej.

Knopf kolejny raz wyjaśnił, że cały kryzys został już zażegnany. Trzech siedziało pod kluczem u Osipowicza, a reszta zaszła się gdzieś w mieście.

– To znaczy uciekli? Czyli w każdej chwili mogą tu wpaść!

Knopf uspokoił go, że na ucieczkę z wyspy Polacy nie mieli żadnych szans. Jediną cywilną jednostką, która pływała po rzece, był kuter Neuperta, a ten na pewno nie dałby się drugi raz zaskoczyć. Całą bandę czekał więc ten sam los, zwłaszcza że durnie narazili się Osipowiczowi tym strzelaniem z ratusza. Komendant był na nich naprawdę cięty. Jednego zmaltretował podobno tak, że cała podłoga była we krwi.

– Skąd o tym wiesz? – zaciekawiał się Stanzel.

Knopf nie miał zamiaru zdradzać swojego źródła, zwłaszcza że dzięki niemu wiedział też dokładnie, o czym rozmawia się w siedzibie landrata.

– Takie pogłoski chodzą – odparł wymijająco Knopf.

– Ty draniu, jakiegoś ruskiego opłacasz!

– Powiedzmy.

Wybuchnęli śmiechem. Stanzel wcale nie byłby w takim dobrym nastroju, gdyby dowiedział się, że informatorem Knopfa w komendanturze wojennej była sprzątaczką Erica Pohl, kobieta, która sprzątała także u niego. To dzięki niej Knopf był chyba najlepiej poinformowanym człowiekiem w mieście.

Z informacji tych w żaden sposób nie wynikało, że nadciąga katastrofa. Friedke, ich najpoważniejszy rywal, nie żył, a polska banda została rozbita. Kto mógł przewidzieć, że sprawy przybiorą tak fatalny obrót?

Knopf szykował się już do snu w swoim domu przy Molenweg^[32]. Nie była to żadna wystawna nadmorska rezydencja, ale odznaczała się szczególnymi zaletami: ukryta wśród rozłożystych drzew nie rzucała się w oczy, a co najważniejsze – miała ogromną piwnicę, w której mieściły się spore partie towaru czekającego na transport. Jej poprzedni właściciele siedzieli w obozie w Sachsenhausen, w którym Sowieci trzymali teraz szczególnie zatwardziały faszystów.

Było już dobrze po północy, kiedy Knopf usłyszał walenie w drzwi na dole. Zaklął i zszedł w piżamie po schodach. O tej porze mogli to być tylko jacyś samowolni ruscy szabrownicy. Nie bał się. Wystarczyło powołać się na komendanta Osipowicza, a najtwardszy Rosjanin zwykle przeproszał i wycofywał się w popłochu.

– Kto jest?! – zawołał po rosyjsku.

– Przyjaciele – odpowiedział jakiś głos w tym samym języku.

– Jacy przyjaciele?

W odpowiedzi intruz znowu załomotał do drzwi. Przyjaciele? Może jednak był to ktoś od Osipowicza.

Knopf otworzył drzwi. W progu stało trzech mężczyzn: chłystek ze złotymi zębami, olbrzym z talerzowym diegtariewem na plecach i ten trzeci... Poznał ich od razu. Nogi ugięły się pod nim.

– Witaj, Manfred. Dawno się nie widzieliśmy.

Byli to ludzie, którzy wiedzieli o nim rzeczy, o jakich sam zdążył już zapomnieć.

4

Podróże niby kształcą, ale też męczą niemiłosiernie. Pułkownik Osipowicz zupełnie nie rozumiał ludzi, którzy w czasie wolnym od pracy ruszali a to do leśnej dachy pod miastem, a to do jakiegoś letniska. Lasu miał po dziurki w nosie, a zatłoczonymi letniskami gardził. Co to miało wspólnego z odpoczynkiem? Człowiek odpoczywa, kiedy leży we własnym łóżku, ze szklaneczką w ręku, ale

nie ordynarnego samogonu, tylko jakiejś kolorowej wódeczki, w której pływają kostki lodu, a z radia sączy się cicho dobra muzyka, na przykład jedna z melodii tego amerykańskiego Murzyna, co zaiwaniał na trąbce aż miło. Potem z łazienki wychodzi pachnąca mydłem kobieta i wślizguje się pod kołdrę. To się nazywało odpoczynek.

Tak właśnie Osipowicz wyobrażał sobie swoje życie po wojnie – jako leżenie na plecach w stanie nieprzerwanej błogości. Z początku wszystko szło w tym kierunku: zrobili go komendantem wojennym, zajął piękną willę z ogrodem i tarasem wychodzącym na morze, piwnicę miał pełną amerykańskiej whiskey, a co najważniejsze okazało się, że Swieta przeżyła obóz. Niestety, spełniony sen szybko zamienił się w koszmar. Otwarte morze okazało się sąsiedztwem raczej uciążliwym – nie dość, że widok monotony, to jeszcze od wody stale ciągnął ziąb. Kolorowa whiskey też lepiej wyglądała na obrazkach, niż smakowała. A Swieta – wiadomo, do miłości nadawała się teraz jak groch do pepeszy. Najgorsze jednak było podróżowanie. Jako komendant wojenny Swinemünde ciągle musiał gdzieś jeździć – a to na objazd po wyspie Usedom, a to na rozmowy do Stettina, a to jeszcze gdzieś indziej. Dlatego też na samą myśl, że ma w sprawie polskich milicjantów pojechać rozklekotanym gazikiem do Piły, robiło mu się niedobrze.

Znalazł inne rozwiązanie. Nie tylko wygodniejsze, ale też znacznie lepiej odpowiadające jego obecnej pozycji. Jak by to bowiem wyglądało, gdyby komendant wojenny zwycięskiej armii osobiście fatygował się do jej lokalnych pomocników? Kazał wysłać do Piły depezę następującej treści:

Do Polskiego Urzędu Bezpieczeństwa w Pile

Przysłać natychmiast przedstawiciela urzędu do miasta Swinemünde stop przywieźć akta personalne Adam Kostrzewa stop sprawa specjalnej grupy operacyjnej milicji stop wyjaśnić cele i zadania stop

Komendant Wojenny miasta Swinemünde

Pułkownik Arłam Osipowicz

Na odpowiedź trzeba było czekać zaledwie kwadrans. Pewnie tyle zajęło polskim bezpieczniakom, żeby się opanować.

Do Komendanta Wojennego miasta Swinemünde

*Przedstawiciel Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Pile w drodze stop
wszelkie żądane dokumenty do waszego wglądu stop serdeczne pozdrowienia stop
Kierownik WUBP w Pile*

Kpt. Stefan Kozioł

Osipowicz rozparł się z satysfakcją w fotelu. I to się nazywało załatwienie sprawy. Nie dość, że się zgodzili, to jeszcze pozdrowienia przysłali.

Przedstawiciel polskiego Bezpieczeństwa zjawił się w komendanturze jeszcze tego samego dnia, tuż przed końcem urzędowania. Osipowicz zbierał się na odwagę, żeby wrócić do Swiety, której znowu się pogorszyło, kiedy w drzwiach stanął polski porucznik z teczką w ręku. Był wysoki i zupełnie siwy, choć miał nie więcej niż trzydzieści lat.

– Porucznik Janusz Bender, Urząd Bezpieczeństwa w Pile – przedstawił się gość, trzaskając obcasami. – Życzyliście sobie z nami rozmawiać.

– A wy co tak szybko?^[33] – zdziwił się Osipowicz, ukrywając irytację, że będzie jednak musiał zostać w urzędzie dłużej. – Samolotem żeście przylecieli czy jak?

– Przywiozłem wam do wglądu teczkę Adama Kostrzewy – odparł porucznik, ignorując lekceważący ton Rosjanina. – O co jest podejrzany?

Osipowicz poczuł się lekko urażony hardym tonem zwykłego bezpieczeniaka.

– Siadajcie sobie. Możecie zapalić – rzucił szorstko.

Otworzył teczkę personalną Adama Kostrzewy. Jej zawartość zupełnie go zaskoczyła. Każda kolejna strona potwierdzała co do joty zeznania aresztowanego.

– Jeśli macie jakieś pytania, to ja chętnie służę – powiedział Bender, przypalając papierosa.

– Jakieś brednie mi tu żeście przywieźli!

– Coś tam się nie zgadza?

– Tu jest napisane, że przed wojną ten Kostrzewa był prywatnym detektywem!

– Takie są nasze ustalenia. Prowadził głównie sprawy rozwodowe. Miał biuro na Poznańskiej w Warszawie, nie pamiętam numeru, ale tam gdzieś powinno być...

– Jakie biuro! Przecież w kenkarcie ma zawód „ślusarz”.

– Wiecie, ludzie różne rzeczy podawali w kenkartach. Wobec Niemców lepiej było się nie przyznawać do inteligenckiego pochodzenia.

– Czyli inteligent?

– To znaczy z awansu społecznego. Rodzice Bogumił i Marianna byli chłopami, ale on wyjechał do Warszawy w trzydziestym...

– Co? „Walczył w szeregach Gwardii Ludowej^[34]”? – odczytał z niedowierzaniem Osipowicz. „Członek PPR^[35]”? Przecież gołym okiem widać, że to Białopolak!

– Kto, przepraszam?

Osipowicz zdał obie sprawę, że trochę się zagalopował. W końcu była to tylko jego prywatna teoria. Nie miał nic na jej poparcie. Zresztą co go to wszystko obchodziło? Niech zabierają sobie tego Kostrzewę i całą resztę w diabły.

– A pies was wszystkich... – Zamknął teczkę. – Powiedzcie lepiej, o co chodzi z tą całą grupą operacyjną. To wy żeście ich tu przysłali?

– Mają zabezpieczyć urzędy, zanim przyjedzie tu nasza administracja.

– Jaka wasza? My tu rządzymy. Komendantura wojenna Armii Czerwonej.

– Tymczasowo.

– Co?

– Cała wyspa przechodzi pod polską administrację.

– Kto to powiedział?

– Oficjalnie zostanie to potwierdzone na konferencji międzynarodowej.

– Nie było żadnej konferencji.

– Będzie najdalej za miesiąc^[36].

– Ja o żadnej polskiej administracji nic nie wiem! Póki co miasto jest nasze, więc zabierajcie swoją grupę operacyjną w cholere.

– Nie do mnie należy decyzja.

– No to żebyście nie mieli potem pretensji, jak ich tu powystrzelamy!

– Nie rozumiem, towarzyszu pułkowniku. Jesteśmy przecież sojusznikami.

– Tak? A kto mi mało w łeb nie strzelił? Sojusznicy, psia wasza mać.

– Ktoś z naszych do was strzelał? Zapewniam was, że wyciągniemy wszelkie konsekwencje.

– Już sobie wyciągnęliśmy, spokojna głowa.

– To znaczy... wszyscy nie żyją?

– Kto nie żyje? Trzech po kluczem, a trzech zwiąło. Ale ich też znajdziemy.

– Czyli Kostrzewa...

– Siedzi. Trochę oberwał, ale nic mu nie jest.

Porucznik Bender pokiwał głową.

– Rozumiem. Niezręczna sytuacja się zrobiła.

– Powinienem ich wszystkich powiesić. Nie dość, że do mnie strzelali, to jeszcze zatłukli mi burmistrza.

– Zabili Rosjanina?

– Jakiego Rosjanina – zachnął się Osipowicz. – Szwaba.

– Powiedzieliście „burmistrza”. Wyraźnie słyszałem.

– Wiem, co powiedziałem. Kogo miałem tu dać na urząd?

– Niemca zrobiliście burmistrzem?

– Nie Niemca, tylko antyfaszystę, porządnego człowieka. Nie będę się wam tłumaczył. Dobrej drogi.

Pułkownik Osipowicz wstał na znak, że uważa rozmowę za zakończoną.

– To wszystko? – zdziwił się porucznik.

– Macie jeszcze jakieś pytania?

– To wy mnie tu wezwaliście – odparł Bender z lekką pretensją w głosie. Nie po to pędził po dziurawych drogach na złamanie karku, żeby od razu wracać. Liczył przynajmniej na jakiś poczęstunek, jeśli nie na inne atrakcje. Tyle słyszało się o bajecznym życiu sowieckich komendantów w granicznych miasteczkach.

– I bardzo wam dziękuję, towarzyszu poruczniku – odparł z przekąsem Osipowicz. – Jedźcie, bo tu zmierzch za chwilę i bandyci na drogach.

– Prawdę mówiąc, to chciałem zanocować.

– A nocujcie sobie, nie moja sprawa.

– Gdzie?

– My tu hotelu nie prowadzimy. Zajmijcie sobie kwaterę u jakiegoś Niemca. Mam was uczyć, jak to się robi?

Porucznik Bender wstał z ociąganiem.

– A nasi milicjanci?

– Jak potwierdzi się, że ubili burmistrza, to każę rozstrzelać. A może nie? Zastanowię się.

– To znaczy, że jest prowadzone jakieś śledztwo?

– Nie wasza w tym głowa. Chcecie – jedźcie, nie chcecie – nocujcie. Możecie odejść.

Porucznik Bender trzasnął obcasami i wyszedł z komendantury. Na ulicy odetchnął z ulgą. W gruncie rzeczy rozmowa przebiegła całkowicie po jego myśli. Wyglądało na to, że udało mu się zniechęcić NKWD do bliższego zainteresowania Kostrzewą. Sporo się napracował nad jego aktami. Ułożył mu wzorcową legendę rozczarowanego przedwojennego inteligenta, który świadomie związał swój los z walką o władzę ludową. Życiorys Kostrzewy musiał być nieskazitelny. Od tego zależało także jego własne życie. Człowiek, który teraz nazywał się Adam Kostrzewa, był bowiem kluczem do prawdziwej biografii porucznika Janusza Bendera. Kiedyś pchali razem ten sam wózek z trupami. Teraz obaj jechali na jednym wózku. I to na linie zawieszanej nad przepaścią.

Zimny wiatr znad morza napełnił go niespodziewaną otuchą. Ruszył rażno na poszukiwanie kwatery na noc. Kto wie, może trafi mu się jakaś samotna i niebrzydka wdowa. Nawet przygotował się na taką ewentualność, zabierając z Piły tabliczkę prawdziwej kanadyjskiej czekolady i puszkę skondensowanego mleka. Za takie skarby mógł sobie zafundować noc nawet z dwoma wdowami. A Kostrzewą nie musiał się już więcej przejmować. Komendant wyraźnie zniechęcił się do grzebania w jego przeszłości. Albo go po prostu wypuści, albo rozstrzela, co byłoby jeszcze lepszym rozwiązaniem.

Po krótkim, lecz forsownym marszu opustoszałymi ulicami znalazł się w pięknie zadrzewionej alejce. Przystanął niezdecydowany, rozglądając się po okazałych willach z ogrodami. Było z czego wybierać. Nagle zauważył znajomy plakat propagandowy – był to ludowy olbrzym z karabinem depczący zaplutego karła z reakcyjnej AK. Plakat wisiał obok furtki stylowego domu z kolumnami. Porucznik uznał to za dobry znak. Skoro właściciele domu nie zerwali plakatu, to albo byli przychylnie usposobieni do nowej władzy, albo zbyt zdjęci strachem, żeby stawiać jej opór.

Bender otworzył furtkę i podszedł do drzwi domu z kolumnami. Wcale nie miał przecucia, że był to najgorszy wybór w jego życiu.

Ciekawa to była rzecz ten komunizm. W Niemczech zupełnie się nie przyjął, przynajmniej na razie, a tacy Rosjanie za jego pomocą podbili pół świata. Choćby tylko z tego powodu warto było przyjrzeć się temu wynalazkowi. Kiedy więc landrat Franz Stanzel wszedł przypadkiem w posiadanie oprawionego w skórę *Kapitału* Karola Marksa, od razu zabrał się do lektury. Książka bardzo go rozczarowała. Niby napisana po niemiecku, a nic nie można było z niej zrozumieć. Za każdym razem Stanzel przysypiał gdzieś około dwudziestej strony, a był przecież wytrawnym czytelnikiem i nie gardził żadnym gatunkiem ludzkiego piśmiennictwa. Z więziennej biblioteki w Swinemünde przeczytał praktycznie wszystko, co do czytania się nadawało. Dał radę nawet śmiertelnie nudnemu poradnikowi początkującego pszczelarza, choć w swoich planach po wyjściu z więzienia nie miał bartniczej kariery.

Książką, która najbardziej go poruszyła podczas długiej odsiadki, był *Hrabia Monte Christo*. Wcale nie dlatego, że zawierała praktyczne porady na temat ucieczki z więzienia, jak reklamowali ją starsi stażem towarzysze spod celi. Porady te były zresztą do bani: grzebać w ścianie dwadzieścia lat, żeby przebić się do sąsiedniej celi? Śmiechu warte. Albo udawać nieboszczyka, którego strażnicy wyrzucają do morza? Zupełnie niepraktyczne. W Swinemünde nieboszczyków do morza nikt nie wyrzucał. Co innego poruszyło Stanzla w ulubionej powieści wszystkich osadzonych. W historii nieszczęsnego Edmunda Dantesa znalazł odbicie własnego losu. Jego także dopadła potworna niesprawiedliwość. Został oskarżony o zabójstwo swojego pracodawcy, niejakiego Lösego, właściciela restauracji przy Skagerrakplatz^[37], gdzie Stanzel miał wątpliwą przyjemność harować jako kelner dwanaście godzin na dobę albo i więcej. A kim był ten cały Löse, jeśli nie zwykłym łajdakiem, który uczciwie pracującego człowieka traktował jak psa! W dodatku po jego śmierci wyszło na jaw, że drań ukrywał żydowskie pochodzenie w drugim pokoleniu. Stało się to, niestety, już w czasie, kiedy Stanzel odbywał karę. Na próżno pisał zażalenia do wszelkich możliwych urzędów w Berlinie. Daremnie powoływał się na ustawę o ochronie krwi niemieckiej i niemieckiej czci z września 1935 roku^[38], wykazując absurd wyroku sądowego, który skazywał prawdziwego Aryjczyka na dziesięć lat więzienia za zabójstwo zwykłego Mischlinga^[39] I stopnia. To miała być sprawiedliwość niemieckiego państwa? Zwłaszcza że z tym zabójstwem też nie było zupełnie tak, jak to przedstawiła policja. Wcale nie zadźgał tego przeklętego Mischlinga w żadnych

celach rabunkowych, ale w obronie własnej. Co miał robić, kiedy Löse rzucił się na niego z pięściami? W takich sytuacjach tylko Żyd nadstawia drugi policzek. Aryjczyk chwytą, co ma pod ręką, i walczy, a pod ręką Stanzla akurat znalazł się nóż kuchenny.

Urzędy milczały obojętnie. Z początku Stanzel zupełnie nie potrafił tego zrozumieć. W każdej gazecie, którą można było dostać na świetlicy, pełno było ataków na Żydów i mieszaińców. Sam Hitler ciągle grzmiał w radiowych przemówieniach, że trzeba im pokazać miejsce w szeregu. Co takiego zrobił więc Franz Stanzel, co nie zgadzałoby się z oficjalną polityką? Raczej medal powinni mu dać, a nie dziesięć lat odsiadki. Był tak rozgoryczony, że pewnego razu zerwał się na świetlicy z krzesła, kiedy puszczałi kolejne przemówienie Führera, i krzyknął: „Kłamstwo!”. Głupie to było, ale po prostu nie mógł już dłużej znieść bolesnego rozdźwięku między propagandą a rzeczywistością. Za swój wybuch słono zapłacił. Strażnicy skopali go tak, że przez trzy dni nie mógł chodzić.

A potem rozpoczęła się wojna. Wraz z nią pojawiła się nadzieja: skazani za pomniejsze przestępstwa byli często zwalniani i kierowani na front. Ci z większymi wyrokami trafiali natomiast do obozów koncentracyjnych, gdzie zostawali nadzorcami innych więźniów. Walka na froncie nie bardzo się Stanzlowi uśmiechała, nie miał natomiast nic przeciwko obozowi koncentracyjnemu. Proszę bardzo, niech go przeniosą. Chętnie pochodzi sobie z pałą na świeżym powietrzu. Na pewno było to lepsze od gnicia w celi.

Niestety, znów spotkał go zawód. Więzienie w Swinemünde pustoszało z każdym dniem, a po Franza Stanzla nikt się nie zgłaszał. Jakby nie nadawał się ani na ofiarę wojny, ani na obozowego kapo. Gdzieś tam na świecie przetaczała się wielka historia, upadały państwa, łopotały sztandary zwycięzców, a Stanzel trwał w swojej celi, zapomniany przez ludzi, wzgardzony przez prawo. Zupełnie jak Edmund Dantes.

Z czasem zaczął dostrzegać w swojej ulubionej historii źródło pewnej otuchy. Dantes po wyjściu z więzienia niesłychanie się przecież obłowił. I to gdzie – na wyspie! Stanzel wierzył, że czeka go podobny los. Wcale nie liczył na żadne przypadkowe odkrycie skrzyni ze złotem. Po prostu zdał sobie sprawę, że po przegranej wojnie wyspa Usedom, na której znajdowało się jego feralne więzienie, stanie się prawdziwą wyspą skarbów. Otoczona z jednej strony przez morze, z drugiej przez wody zalewowe, polegała całkowicie na dostawach z lądu. Ten, kto

kontrolował transport mięsa, soli i mąki, musiał w krótkim czasie wzbogacić się bardziej niż Edmund Dantes na odkryciu pirackiego złota.

Oczywiście, trzeba było zawczasu przygotować się do nowego porządku świata. Stanzel zaczął żywo interesować się przebiegiem wojny. Sytuacja przedstawiała się nad wyraz pomyślnie: III Rzesza przegrywała na wszystkich frontach. Po klęsce pod Stalingradem nabrał przekonania, że właśnie ze wschodu przyjdzie ostateczna zagłada. Zaczął więc uczyć się rosyjskiego. W północnym skrzydle siedział pewien profesor literatury słowiańskiej, który zgodził się udzielać mu lekcji za cztery papierosy dziennie. Cena była dosyć wygórowana, ale nie dla Stanzla, który rozwinął w więzieniu całkiem niezłe prosperujący interes polegający na pośrednictwie handlowym ze światem zewnętrznym.

Wreszcie sprawy zaczęły układać się po jego myśli. Niemcy ponosiły klęskę za klęską. Z jednej strony do Berlina zbliżali się Amerykanie, z drugiej ciągnęli Rosjanie, zgodnie z przewidywaniami Stanzla. W marcu na Swinemünde spadły tak długo wyczekiwane przez niego bomby. Przez chwilę liczył na to, że być może teraz otworzą wreszcie cele, ale przeklęta Rzesza trzymała go w zamknięciu jeszcze dwa miesiące. Dopiero na początku maja, kiedy do miasta zbliżały się sowieckie czołgi, wszyscy więźniowie zostali skierowani do Volkssturmu.

Stanzel tylko na to czekał. Śmiało wyszedł na spotkanie nadjeżdżającej kolumny czołgów ze skrzynką wódki i powiewając uszytą naprędce czerwoną flagą, zawołał całkiem niezłą ruszczyzną: „Witajcie, towarzysze, na niemieckiej ziemi i częstujcie się! Liga Niemieckich Komunistów was pozdrawia!”. Było to dosyć ryzykowne. Liga Niemieckich Komunistów nie miała u Sowietów żadnego autorytetu, zwłaszcza że powstała dopiero godzinę temu, a Stanzel był jej jedynym członkiem i zarazem przewodniczącym. Czołgiści mogli go więc bez wahania rozstrzelać albo rozjechać gąsienicami. Na szczęście trafił na człowieka światłego, jakim niewątpliwie był pułkownik Osipowicz. Nowo mianowany komendant wojenny miasta odkrył w więziennych papierach, że Stanzel rzeczywiście był tu notowany jako komunista i wichrzyciel, który publicznie pyskował na Führera. Takich zuchów było mu potrzeba. Bez wahania mianował go nowym landratem.

Interes od razu ruszył z kopyta. Pod względem charakteru nowa działalność Stanzla nie różniła się zasadniczo od tej, którą prowadził w więzieniu: nadal było to pośrednictwo w handlu z zewnętrznym światem, tyle że na znacznie większą skalę. Poszerzył się także asortyment. Nie były to już tylko papierosy i wódka, ale

właściwie wszystko, włącznie z żywymi ludźmi. Zyskiem dzielił się tylko z Knopfem, szefem policji pomocniczej. Dla Franza Stanzla nadeszły najlepsze dni jego życia. Miał nadzieję, że dawny porządek nigdy nie wróci, a sowiecki komunizm, który jawił mu się jako niekończący się karnawał, wkrótce zapanuje nad całym światem. Nic dziwnego, że nagła inwazja polskich milicjantów na wyspę tak bardzo wytrąciła go z równowagi.

Siedziba landrata mieściła się w okazałym domu z kolumnami przy Bismarckstrasse^[40], nieopodal na wpół zburzonego kościoła imienia Marcina Lutra. Było w tym coś symbolicznego, że stara opustoszała świątynia leżała w gruzach tuż obok ośrodka nowej władzy, pod którym stale kłębił się tłum interesantów. Landrat Stanzel wysłuchiwał uważnie każdego, kto przychodził z jakąś rozsądną prośbą i potrafił odwdziżyć się za jej załatwienie. Nie znosił natomiast wszelkich krzykaczy i histeryków. Dla tych był bezwzględny.

Nie dalej jak godzinę temu przyszła do niego, na przykład, kobieta z córką. Obie zostały zgwałcone przez kilku pijanych rosyjskich żołnierzy, zapewne przez rekonwalescentów z wojskowego szpitala. Z tymi bez przerwy były kłopoty. Wymykali się ze szpitala i dalej hulać po mieście.

– Ale czego wy ode mnie konkretnie chcecie? – zirytował się Stanzel.

– Jak to czego? – awanturowała się matka. – Zgwałcili nas!

– Piersi wam odcięli?

– Nie.

– A nasi odcinali piersi rosyjskim kobietom na wschodzie. Cieszcie się, że miałyście trochę przyjemności w tych trudnych czasach. A teraz poszły won.

Tak się teraz załatwiało sprawy. Bez żadnych ceremonii, papierków, protokołów, odwołań, tylko krótko, prosto z mostu. Nic nie wyrażało lepiej tej nowej metody urzędowania niż rosyjski zwrot „paszoł won”. Niby można było powiedzieć to samo po niemiecku, ale „geh weg!” wcale tak dobrze nie brzmiało. Tylko język rosyjski potrafił oddać gwałtowną i krewką naturę nowych czasów. Naprawdę ciekawa była to rzecz ten sowiecki komunizm.

– Szefie, znowu ten szyper przyszedł – zaanonsował kolejnego interesanta Rolf, kiedy już wyrzucił na zbity pysk obie zgwałcone.

– Neupert? A ten czego znowu?

– Mówi, że ma bardzo ważne wiadomości. Wpuścić?

Neupert wpadł do gabinetu landrata z rozpaloną twarzą.

– Jeszcze jeden przyjechał! Musicie coś zrobić! – zawołał od progu.

– Spokojnie, Albert, kto ci tam znowu przyjechał?

– Polak. Oficer. Oni naprawdę przejmują miasto!

– Uspokój się, nikt nie przejmuje miasta. Sprawa już się wyjaśniła.

– To dlaczego przysłali teraz oficera? Musisz natychmiast powiadomić komendanta!

Stanzel słuchał panicznej relacji szypra z początku z pobłażaniem, a potem z coraz większym niepokojem. Rzeczywiście, skoro sprawa milicjantów została wyjaśniona, to po jaką cholere w mieście wylądował właśnie polski porucznik? Działo się coś niedobrego.

– Zajmę się tym – powiedział ze ściśniętym sercem.

– Trzeba natychmiast powiadomić komendanta! – gorączkował się dalej Neupert.

– Wiem, co mam robić.

Zawahał się, czy także tej rozmowy nie zakończyć sakramentalnym rosyjskim zwrotem, ale w końcu Neupert nie był pierwszym lepszym interesantem, więc nie wypadało powiedzieć mu po prostu „paszoł won”. Zamiast tego Stanzel staroświecko podziękował szyprowi za informację, a po jego wyjściu zarzucił płaszcz i czym prędzej pobiegł do Knopfa, żeby podzielić się z nim swoim niepokojem.

Gdzieś w połowie Bismarckstrasse stanął nagle jak wryty. Z naprzeciwka szedł polski porucznik – młody, o zupełnie białych włosach, wypisz wymaluj jak ten z opowieści Neuperta. Rozglądał się po kamienicach, jakby szacował w myślach ich wartość.

Coś trzeba było wreszcie z tym zrobić.

V NAJBARDZIEJ PRZECENIONY LUDZKI ORGAN

1

– Kostrzewa!

Adam podniósł się z podłogi, zaskoczony. O tej porze na przesłuchanie? Nie było jeszcze ósmej. Komendant nigdy nie zaczynał urzędowania przed ósmą.

– *Wychadi!* – ryknął strażnik w otwartych drzwiach.

Kwasigroch i Wasilewski też byli zdziwieni niecodzienną porą przesłuchania, ale uznali to za dobry znak. Wreszcie coś się działo. Siedzieli już kilka dni i cela zaczynała cuchnąć.

– Dobrze – ożywił się Wasilewski. – Chcą rozmawiać.

– Tylko czemu z nim – obruszył się Kwasigroch. – Z najstarszym stopniem się rozmawia.

– Chętnie odstąpię wam ten zaszczyt – powiedział Adam.

– *Wychadi, job twoju mat'!* – zirytował się strażnik, chwytając Adama za kołnierz.

Wcale nie szli na przesłuchanie. Przynajmniej nie do pokoju komendanta. Nogi ugięły się pod Adamem, kiedy strażnik wyprowadził go przed komendanturę, gdzie czekała już z włączonym silnikiem ciężarówka z plandeką.

– *Dawaj w maszinu!* – rozkazał strażnik, wskazując głową pustą platformę.

Adam poczuł, że nie może oderwać nóg od chodnika.

– *Szto ty zdiosz? W maszinu dawaj!* – Strażnik szturchnął go w plecy kolbą pepeszy. Adam wdrapał się na platformę. Z rękami w kajdankach wcale nie było to takie proste.

Strażnik wskoczył za nim z małpią zwinnością, zamknął klapę i dał znak kierowcy. Ciężarówka ruszyła.

Serce waliło Adamowi w przeczuciu nadchodzącego końca. Co innego mogło to znaczyć? Wieźli go do jakiegoś lasu ze świeżo wykopanym dołem. Czekał tam już komendant Osipowicz, żeby osobiście strzelić mu w potylicę. Nie rozumiał tylko, dlaczego jechał sam. Wasilewskiego i Kwasigrocha na pewno czekał ten sam los, więc powinni załadować ich wszystkich razem. Miejsca pod plandeką nie brakowało. Może chodziło o to, żeby oszczędzić im niepotrzebnej zgrozy. Wiadomo, że nawet koń wyczuwa, kiedy prowadzą go na rzeź, i zalewa się łzami. Wzruszający był ten sowiecki humanitaryzm.

Lepiej było zginąć na miejscu. Zerknął na strażnika z pepeszą. Sługa dłużył sobie spokojnie w zębach, jakby w ogóle nie brał pod uwagę, że więzień może coś kombinować.

Ciężarówka jechała najwyżej czterdzieści na godzinę. Przy tej prędkości skok mógł się nawet udać. Trzeba było tylko zaprawić strażnika głową i zabrać mu pepeszę.

Adam już szykował się do ataku, kiedy samochód nagle się zatrzymał. Nic z tego nie rozumiał. Byli wciąż w mieście. Niemożliwe, żeby chcieli go tutaj rozstrzelać.

Strażnik opuścił z trzaskiem platformę ciężarówki.

– *Dawaj, wychadi* – rzucił, pokazując głową ulicę.

Adam wyskoczył niepewnie na bruk. Kilkanaście metrów dalej, na środku ulicy, stał krąg sowieckich żołnierzy i kilku cywilów. Gapili się na coś, co leżało pośrodku. O co tu chodziło?

– *Idi*. – Strażnik popchnął Adama w kierunku gapiów.

W kręgu stał także pułkownik Osipowicz. Z daleka zobaczył Adama i wyszedł mu na spotkanie.

– Jest dla ciebie robota, prywatny detektywie – powiedział. – Mamy następnego trupa. Tym razem to jeden z waszych.

Krąg gapiów rozstał się. Pośrodku ulicy leżał z rękami na piersi mężczyzna o białych włosach, w mundurze polskiego porucznika. Był to Bender.

– Podobno się znaliście – powiedział Osipowicz.

Adam patrzył na martwego Bendera z kamienną twarzą.

– Raz go widziałem, w Pile – odparł spokojnie. – Papiery mi wystawiał.

– No to już nikomu nie wystawi. Bierz się do roboty.

– Niby co mam robić?

– Ja mam cię uczyć? Śledztwo.

– A od czego jest ta wasza szwabska policja? – Adam wskazał głową Knopfa, który stał wśród gapiów i nie spuszczał z niego wzroku.

Osipowicz nachylił się do niego.

– Rób, co mówię, albo wszyscy zgnijecie w tej celi – syknął.

Adam podszedł do Bendera. Trup miał ucięte trzy palce prawej dłoni, która leżała ostentacyjnie na jego piersi, najwyraźniej ułożona przez mordercę.

– Moim zdaniem sprawa jest prosta, Herr Kommendant – odezwał się Knopf. – Zabił go ten sam drań, co załatwił Friedkego.

– A ty co uważasz, detektywie? – zwrócił się Osipowicz do Adama. – Dobrze mówi twój niemiecki kolega?

– Na to wygląda.

– Ale pewny nie jesteś?

Adam nie odpowiedział. Ostrożnie unióśł głowę Bendera. Widniał na niej zakrzepły ślad po uderzeniu tępym narzędziem.

– Pewne na razie jest to, że jego też przeniesiono tu po śmierci.

– To żeśmy od razy stwierdzili – powiedział Knopf. – Żaden detektyw nie jest nam do tego potrzebny.

– Zamknij się, Knopf – skarcił go Osipowicz. – Daj człowiekowi pracować.

– Kieszenie przeszukaliście? – spytał Adam.

– Kazałem zaczekać z tym na ciebie – odparł Osipowicz. – Dalej.

Adam zabrał się do przetrząsania kieszeni.

– Patrz, Pietia, ucz się – powiedział Osipowicz do swojego protegowanego, który gorliwie przyglądał się czynnościom śledczym.

Adam wyjął z kieszeni Bendera srebrną papierośnicę z monogramem „JB”. W środku było dwanaście cameli, nic więcej.

– Ja to zabezpieczę – rzucił Osipowicz.

Adam podał mu papierośnicę i zaczął rozpinać kieszeń na piersi munduru.

– Czego on tam szuka? – mruknął po niemiecku Knopf do stojącego obok Stanzla. – Mordercy wizytówek nie zostawiają.

– Ten zostawił – odparł w tym samym języku Adam, wyciągając z kieszeni szerniały ludzki kciuk.

– Co to jest? – zdziwił się Osipowicz.

– Podpis naszego mordercy – odparł Adam.

– Przecież to nie jest palec tego gościa – obruszył się Knopf. – Z jakiegoś starego trupa ktoś go odciął.

– Zgadza się – odparł Adama. – To kciuk pastora Friedkego.

– Skąd wiesz? – ożywił się Osipowicz.

– Tak myślę. Morderca chciał nam przekazać, że pastora Friedkego też załatwił. Zbadajcie ten kciuk, ale mogę się założyć, że mam rację.

– Słyszysz, Pietia? Ucz się. Weź ten paluch do zbadania – nakazał Osipowicz.

Pietia z obrzydzeniem wziął szerniały kciuk od Adama. Gdzie niby miał go schować?

– Ty też słuchaj, Knopf. Może czegoś się nauczysz – powiedział Osipowicz i zwrócił się do Adama: – Szukaj dalej, detektywie. Dobrze ci idzie.

Adam nachylił się nad denatem, pociągając nosem. Nie mylił się – wyraźnie poczuł tę samą ostrą woń, którą wydzielał trup pastora Friedkego.

– Jak pies się zachowuje – mruknął Knopf, zdeglustowany.

– I co tam wyczułeś? – spytał Osipowicz.

Adam postanowił na razie zostawić odkrycie dla siebie. Pokręcił głową. Już miał się podnieść z kolan, kiedy nagle zauważył, że z ust denata wystaje koniuszek papieru. Rozwarł mu szczęki.

Pietia obrócił głowę z obrzydzeniem. Coraz bardziej nie w smak była mu robota śledczego. Najpierw to całe bicie, a teraz jeszcze grzebanie w trupach.

– Patrz, Pietia, ucz się! – skarcił go Osipowicz. – Coś tam ma w gębie?

Adam wsadził dwa palce w usta Bendera i ostrożnie wyciągnął jakiś zmięty kolorowy papier.

– A to co znowu? – zawołał z rozbawieniem Osipowicz, jakby brał udział w pokazie przyjezdnego iluzjonisty.

– Zaraz zobaczymy. – Adam cierpliwie rozprostował papierową kulę. Był to znajomy plakat propagandowy z ludowym olbrzymem depczącym „zapłutego karła reakcji”.

– Co to jest? – zdziwił się Osipowicz.

– Wiadomość dla Polaków, żeby się stąd zabierali razem ze swoją propagandą.

Spojrzał w stronę niemieckich cywili, którzy stali w kręgu gapiów – Stanzla, Knopfa i doktora Spitzgaua.

– Łże, towarzyszu komendancie! – wybuchnął Stanzel, który od dłuższego czasu szykował się, żeby zabrać głos. – Żaden Niemiec tego nie zrobił!

– A ty skąd wiesz? – zirytował się Osipowicz. – Też jesteś detektywem? Sami detektywi na tej przeklętej wyspie. Słyszysz, Pietia? Dobrze trafiłeś.

Knopf pociągnął Stanzla za rękaw, dając mu oczami znak, żeby więcej się nie odzywał, bo tylko pogarsza sytuację.

– Można, *Herr Kommendant*?

– No, mów.

– Skoro ten zabójca to taki cwaniak, to plakat mógł specjalnie wepchnąć zabitemu do gardła, żeby zwalić winę na Niemców.

– Niby po co? – zadrwił Adam. – Przecież wiadomo, że Niemcy morderstwem się brzydzą.

– Nie odwracaj kota ogonem! – wybuchnął Stanzel. – Sami go zabiliście, a teraz zwalacie na nas!

– To znaczy kto? Bo ja od kilku dni siedzę w gościnie u waszych nowych panów.

– Adam potrząsnął ostentacyjnie kajdankami.

– Dosyć tego szczekania! – huknął Osipowicz. – Skończyłeś?

Adam skinął głową.

– No to koniec przedstawienia – zarządził Osipowicz i zwrócił się do Spitzgaua:

– Doktorze, zabieraj trupa. Pietia, zabezpiecz dowód rzeczowy. Reszta do swojej roboty.

Petia nie bardzo rozumiał, o co chodziło komendantowi z tym „zabezpieczeniem” i „dowodem rzeczowym”, ale dzięki wrodzonej inteligencji domyślił się, że chodzi o to, by po prostu schować papier wydobyty z gardła

zabitego. Wziął go ostrożnie od Kostrzewy i wsadził do teczki, obok szerniałego kciuka.

Stanzel chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Knopf pociągnął go za sobą. Dwóch żołnierzy chwyciło zwłoki Bendera i wrzuciło je na platformę ciężarówki, którą przyjechał Adam.

– Ty pojedziesz ze mną – powiedział Osipowicz do Adama, wskazując na swój prywatny gazik.

Była to dobra wiadomość. Widmo leśnego dołu rozproszyło się ostatecznie. Pojechali z powrotem do komendantury. Po drodze Osipowicz milczał, jakby coś intensywnie rozważał. Odezwał się dopiero, kiedy znaleźli się sami w jego gabinecie.

– Poprowadzisz to śledztwo – oznajmił.

– Ja? Dopiero co okładaliście mnie po mordzie.

– Czy ja cię po złości okładałem? Nawet Pietię zrugalem, jak chciał wziąć cię pod buty.

– *Bolszoje spasiba* – odparł z przekąsem Adam. Był to jeden z niewielu zwrotów, jakie znał po rosyjsku.

Osipowicz wybuchnął szczerym śmiechem. Mimo wszystko podobał mu się ten Białopolak. Marny był z niego komunista, ale do pewnych rzeczy nadawał się w sam raz. Na przykład do zrobienia porządku z niemiecką administracją w mieście. Knopf i Stanzel za bardzo już okrzepli na swoich stanowiskach. Oczywiście, można ich było w każdej chwili zdjąć, ale Osipowicz nauczył się w partyzantce, żeby niepopularne decyzje pozostawiać swoim oficerom. Jak świat światem ludzie zawsze chcą wierzyć, że car jest dobry, tylko ministrowie źli. Ludzi najlepiej brać za mordę w jedwabnych rękawiczkach. Wtedy nawet tego nie zauważą. Po co zrażać do siebie niemiecką ludność, skoro można było skierować jej gniew na Polaków, którzy właściwie spadli mu z nieba? Nawet jeśli prawdą było to, co ten zabity mówił o nadchodzącej konferencji pokojowej, to wiele jeszcze mogło się do tego czasu zmienić. Wiadomości o Polakach mszczących się za swoje krzywdy w niemieckich miasteczkach były teraz potrzebne jak życiodajny deszcz. Tymczasem Kostrzewa i polscy milicjanci przynosili je komendantowi na tacy.

– Będę z wami szczerzy – powiedział Osipowicz. – Ja też uważam, że wszyscy Niemcy to zbrodniarze i zbroje, a te dwa trupy to na pewno ich robota. Ale sytuacja

jest delikatna, więc potrzebuję twardych dowodów. No, a wiadomo, że od Knopfa ich nie dostanę. Zresztą, między nami mówiąc, to on też bandyta. Zapalicie?

Otworzył papierośnicę z monogramem Bendera. Adam chciał już wyciągnąć rękę po papierosa, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Nie mógł palić papierosów po człowieku, z którym kiedyś dzielił wspólne wszy. Pokręcił głową.

Osipowicz nie miał podobnych skrupułów. Zaciągnął się mocno camelem.

– Dobrze, kurewstwo – powiedział na wydechu. – Czyli tak: póki nie znajdę jakiegoś nowego burmistrza, możecie sobie urzędować w ratuszu. Żadnego samowolnego zajmowania domów nie będzie, szabrowania tak samo. Kwaterę przydzielę wam sam. Żołdu na razie dać nie mogę, ale żarcia ani wódki wam nie braknie. Aha, i Pietię weźmiecie do pomocy. Niech się chłopak szkoli.

– Jeszcze się nie zgodziłem.

Osipowicz spojrzał na niego zaskoczony.

– Na wolność nie chcecie iść?

– Co to za wolność na waszym pasku.

– Lepiej na pasku niż na sznurze – powiedział ostro Osipowicz. – Raz-dwa, decydujcie.

Adam milczał. Wstąpić do ludowej milicji to jedna rzecz, ale iść na współpracę z NKWD to coś zupełnie innego. Pomoc przyszła nieoczekiwanie ze strony nadkomisarza Strzelczyka. Wyraźnie usłyszał jego głos.

Co pan wyprawia, panie aspirancie? Zawsze pan marzył o takim śledztwie.

To nie jest moja sprawa, panie nadkomisarzu.

Bender to nie jest pańska sprawa? Zupełnie pana nie poznaję.

– Ostatni raz pytam – powiedział Osipowicz, mrużąc oczy z powodu dymu. – Idziesz na kwaterę czy do celi?

– A co z moimi... towarzyszami?

– Myślałem, że masz gdzie swoich towarzyszy.

– Nieważne, co o nich myślę. Są niewinni tak samo jak ja.

– Niewinne to jest dziecko zaraz po urodzeniu.

– Wiecie, o czym mówię. Bendera nie mogli zabić.

– Ale może stuknęli burmistrza.

– A kciuk? Jakim cudem znalazł się w kieszeni Bendera?

– Z tym kciukiem to jeszcze zobaczymy. Ale niech wam będzie: waszych towarzyszy też wypuszczę. Będziecie za nich odpowiadać. Żadnego szabru w mieście. Jasne?

Adam ledwo zauważalnie kiwnął głową.

– Czyli mamy umowę?

– Mamy umowę – odparł Adam ze ściśniętym gardłem.

– No, trzeba było tak od razu! – Osipowicz wstał uradowany i podszedł, żeby zdjąć aresztantowi kajdanki. – Teraz idźcie odpocząć, napić się wódki, a jutro od rana bierzcie się do roboty. O czwartej zdacie mi pierwszy raport.

Adam wstał z krzesła, rozmasowując przeguby.

– Też będę miał do was pytania – powiedział.

– A to ciekawe! – zawołał Osipowicz, jakby usłyszał dobry żart. – Pytajcie teraz. Śmiało.

– Co tu robił Bender?

– W Swinemünde? Ja go ściągnąłem. Przyjechał z informacjami.

– W jakiej sprawie?

Osipowicz spoważniał nagle.

– Nie kuś losu, człowieku. Bo zaraz zmienię zdanie.

Adam nie potrzebował pytać dalej. Zimny błysk w oczach komendanta był najlepszą odpowiedzią: Bender przyjechał, żeby potwierdzić legendę Adama Kostrzewy. I potwierdził. Choćby za to należała mu się sprawiedliwość.

2

Takiej niewdzięczności zupełnie się nie spodziewał. Kiedy szli pod adres wskazany przez komendanta, ani Kwasigroch, ani Wasilewski nie bąknęli nawet słowa podziękowania. Wasilewski prawie w ogóle się nie odzywał, pokaszując na zimnym wietrze, a sierżanta interesowało tylko jedno: kto będzie teraz dowodził.

– Czyli jak – dociekał bez ustanku – ruscy ciebie zrobili naszym dowódcą?

– Żadnym dowódcą – odparł po raz kolejny Adam. – Już mówiłem: mam poprowadzić śledztwo.

– A ja co?

– Będziecie mi pomagać.

– Sierżant ma być na posyłki u szeregowego? Tobie się od tego bicia we łbie pomieszało.

– Chcecie, to pomagajcie, nie – wasza sprawa. Moglibyście chociaż podziękować.

– Niby za co? I tak by nas puścili.

– Ja ci bardzo dziękuję, Adam. – Wasilewski zakaszłał. – Znowu coś gorzej z tym kaszlem.

Przez chwilę szli w milczeniu, rozglądając się za numerem domu zapisanym na kartce przez komendanta.

– Czyli konkretnie – zaczął znów Kwasigroch, którego myśli nie mogły oderwać się od tego samego tematu. – Znaczy, że uznali nasze pełnomocnictwo, tak?

Adam nie odpowiedział.

– Bo jak uznali, to znaczy, że grupa operacyjna powinna działać dalej.

– Jaka grupa – zirytował się Adam. – Jeden ledwo trzyma się na nogach, a połowa nawiała.

– Ogłosi się amnestię, to wrócą.

– To już nie macie ich za zdrajców? – zadrwił Adam. – Coraz mniej rozumiem z tej władzy ludowej.

– Panowie, to chyba tutaj – przerwał im Wasilewski, wskazując na niewielki narożny domek z ogrodem.

– Jakaś rudera – ocenił Kwasigroch. – Tyle jest dobrych domów w mieście, a człowiek w takiej norze musi się gnieździć.

– Poskarżcie się komendantowi – powiedział Adam i nacisnął dzwonek przy drzwiach.

Gospodyni musiała się ich spodziewać, ponieważ otworzyła prawie natychmiast. Była to Erica Pohl, sprzątaczką Osipowicza i Knopfa oraz informatorką jednego i drugiego. Zgrzebna chusta zakrywała szczelnie jej włosy, a znaczną część twarzy – kwadratowe okulary. Na sobie miała workowaty fartuch, a na nogach rosyjskie

walonki. Przypominałaby zakonnice z jakiegoś wyjątkowo ponurego zgromadzenia, gdyby nie cuchnęła z daleka cebulą i bimbrem.

– Jesteśmy od komendanta – wyjaśnił po niemiecku Adam, cofając się lekko z odrazą.

– *Bitte* – powiedziała cicho Erica i wpuściła ich do środka.

– Co za kłępa – mruknął Kwasigroch do Wasilewskiego. – Jednak Niemry są paskudne.

Erica spuściła wzrok, żeby ukryć błysk szalonej radości w oczach. Nie znała polskiego, ale było jasne, że nie widzieli w niej kobiety. Dokładnie o to jej chodziło. Od paru godzin, odkąd dowiedziała się, że musi przyjąć pod swój dach trzech mężczyzn od komendanta, robiła, co mogła, żeby zatrzeć w sobie każdy ślad kobiecości. Teraz serce zabiło jej nadzieją: może jednak nie będą gwałcić?

– Który z panów jest dowódcą? – spytała.

Kwasigroch natychmiast wyłowił z pytania kluczowe dla siebie słowo.

– Ja *Kommandant*. Bo co?

– *Bitte* – odparła Erica, wskazując na największy pokój, w którym stało szerokie łóżko z kotarą. – To jest pański pokój.

Oczy sierżanta zaświeciły się na widok królewskiego łóżka.

– No i prawidłowo – orzekł.

– A panowie będą spali tutaj – powiedziała Erica, wskazując na znacznie mniejszy pokój po drugiej stronie korytarza. Było tu tylko jedno łóżko oraz posłanie rozścielone na podłodze.

– Bardzo dobrze – powiedział Wasilewski. – Ja i tak na łóżku już nie umiem spać.

Adam rzucił się w ubraniu na łóżko. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Zamknął oczy.

Czy na niego czekała? Oczywiście, że czekała. Miał przecież... Nie, nie miał już pocztówki.

Poderwał się na łokciach. Musiał odzyskać pocztówkę. Mógł przecież zapomnieć ten numer!

– Złe sny? – spytał z podłogi Wasilewski. – Ja też boję się zasnąć. Zaraz te obrazy z obozu.

– Nie chcę słuchać o żadnym obozie.

– Masz rację. Nie można już o tym myśleć. Teraz wszystko się ułoży. Już zaczęło się układać.

– Nie widzę, żeby coś się zmieniło. Ciągłe trupy za nami chodzą.

– Twoim zdaniem kto ich zabił?

– Nie wiem. Jakiś zwyrodnialec. Nie brakuje ich w naszym towarzystwie.

– Myślisz, że to ktoś z naszych?

– Może twoich. Ja z wami nie mam nic wspólnego. Śpij.

Wasilewski położył się z powrotem na twardym posłaniu na podłodze, z oczami wbitymi w sufit.

– A wiesz, że jak zobaczyłem trupa burmistrza – odezwał się znowu – to pierwszy raz zdałem sobie sprawę, że wojna naprawdę się skończyła. W sensie symbolicznym, rzecz jasna.

– Bredzisz, profesorze.

– Mówię poważnie. To był jeden martwy człowiek. Nie cały stos trupów, ale nareszcie tylko jeden człowiek.

– I to cię cieszy?

– Nie rozumiesz. Ludzie dalej będą się mordować, ale już nie hurtem, całymi milionami. To chyba jest jakaś zmiana na lepsze, prawda?

– Też jestem zachwycony tym nowym wspaniałym światem – odparł cierpko Adam. – Śpij już, człowieku.

– Ślusarz cytuje Huxleya?

– Co? – zaniepokoił się Adam.

– *Nowy wspaniały świat*. To powieść Huxleya.

– Musiałem gdzieś to usłyszeć – mruknął Adam. – Dostyc gadania, śpij.

Obrócił się ostentacyjnie na drugi bok, rozdrażniony. Znowu dał się wciągnąć Wasilewskiemu w rozmowę. Trzeba uważać na tego człowieka. Może i nie był mordercą, ale donosicielem dlaczego by nie?

Nie mógł zasnąć. Myśli brzęczały mu w głowie jak rój much w domu zastrzelonego Hauptsturmführera. Zdał sobie sprawę, że wpakował się w pułapkę bez wyjścia. Śledztwo prowadziło go prosto do własnej zguby. Nie mógł odnaleźć mordercy, nie ujawniając przed Osipowiczem swojej prawdziwej przeszłości.

Musiał jak najdłużej kluczyć i wskazywać na fałszywe tropy. Nadkomisarz Strzelczyk nigdy nie zrozumiałby takiego postępowania.

Czy to znaczy, panie aspirancie, że nie zamierza pan szukać mordercy tych dwóch ludzi?

Nie mogę, panie nadkomisarzu. Chcę tylko odzyskać ten zeszyt i wynosić się z tej przeklętej wyspy.

Rozczarował mnie pan.

A potem twarz nadkomisarza zaczęła znikać pod łopatami piachu, które sypali na niego Knopf i Stanzel, podczas gdy Osipowicz stał nad rowem z gorącym pistoletem w dłoni. Jakiś przerażająco wychudły człowiek rzeził przez sen na podłodze w ciemnym pokoju.

Adam zerwał się zlany potem. Potworna pustka ścisnęła go ze wszystkich stron jak obręcz. Brakowało mu powietrza.

Wyszedł przed dom. Ostry wiatr przywrócił mu pamięć. Adam Kostrzewa. Nazywał się teraz Adam Kostrzewa...

Nagle w ogrodzie mignęła jakaś ciemna sylwetka. Odruchowo sięgnął do pasa, ale przypomniał sobie, że parabelkę też stracił.

To nie była sylwetka mężczyzny. Raczej chłopca.

– Rajzer?! – zawołał z nadzieją.

Sylwetka cofnęła się z powrotem pod drzewo poza światło księżyca. Adam ruszył w jej stronę.

– Rajzer, to ja!

W ciemności błysnął nóż. Adam odskoczył błyskawicznie na bok, chwycił napastnika za przegub i powalił na zimną trawę.

To nie był rajzer. Pod nim leżał piętnastolatek w obszarpanym mundurze Volksturm, wierzgając ze wszystkich sił.

– Ty sukinsynu – syknął Adam i ścisnął go za gardło.

Nagle z domu wypadła Erica w narzuconym pospiesznie szlafroku.

– Błagam, proszę go nie zabijać! – krzyknęła. – On tylko po jedzenie przyszedł!

– Ty też trzymasz z Werwolfem?!

– To mój syn!

Adam obejrzał się na nią zaskoczony. Piętnastolatek natychmiast skorzystał z sytuacji i wyrwał się na wolność. Adam chciał rzucić się za nim w pogoń, ale chłopiec był już za płotem.

– *Heil Hitler!* – krzyknął histerycznie, po czym zniknął w ciemności.

– To tylko mój syn, Hansi – powtórzyła Erica. – Pomieszało mu się trochę w głowie, ale on nic złego nie robi.

Z domu wyszedł zaspany Kwasigroch w kalesonach i podkoszulku.

– Co to za krzyki?

Erica spojrzała błagalnie na Adama.

– Jakiś pijany żołdat próbował się włamać – skłamał Adam.

– Kozie syny, nawet w nocy szabrują – zaklął Kwasigroch i wrócił do ciepłego domu, uspokojony.

Adam podniósł z trawy esesmański sztylet, który właściwie powinien tkwić teraz w jego brzuchu. Na klindze widniał wygrawerowany gotykiem napis *Meine Ehre heist Treue*^[41].

– Dziękuję – szepnęła z wdzięcznością Erica.

Adam odepchnął ją wściekle na bok i wszedł z powrotem do domu.

3

Upiory z przeszłości prześladowają wielu ludzi, ale zwykle robią to z umiarem, a nie wprowadzają się do nich na chama i chlają ich wódkę. Edwin Knopf zupełnie nie wiedział, co z tym zrobić. Wciąż był wytracony z równowagi po wizycie nocnych gości. Prędzej spodziewałby się, że psy w Swinemünde zaczną szczekać po rosyjsku, niż że kiedykolwiek zobaczy jeszcze tych trzech drani. Poważnie rozważał, czy nie zwrócić się o pomoc do Stanzla. Koniec końców gość był patentowanym mordercą, a jego goryle Horst i Ulf też musieli mieć diabła za skórą, skoro siedzieli z nim w jednej celi. Razem powinni bez trudu dać radę niespodziewanym gościom z przeszłości Edwina Knopfa. Ciało wrzuci się do Swine i po kłopotcie.

Niestety, coraz więcej wskazywało na to, że kłopoty zawitały do Swinemünde na dobre. Ledwo znikął jeden, a już pojawiał się następny.

– Detektywa sobie znalazł, niech go szlag – sarknął Stanzel, kiedy wracali razem z oględzin nowych zwłok.

– Co? – Knopf ocknął się z zadumy.

– Nasz nowy führer. Mówię, że znalazł sobie detektywa na twoje miejsce.

– Ja bym się tym za bardzo nie przejmował. Słowianie prędzej czy później biorą się między sobą za łby.

– Do tego czasu może coś wykryć.

– Czyli to ty zatłukłeś tego siwego?

– O czym ty mówisz?

– Spokojnie, nie mówię, że źle zrobiłeś. Niepotrzebnie mu tylko pakowałeś tę propagandę do gardła. Po co takie gesty?

– To nie ja, przysięgam!

– Dobra już, Franz. Jedziemy na jednym wózku.

– Nikogo nie zabiłem!

– To dlaczego boisz się, że coś wykryje?

– Mówię o transportach!

– Zostaw to mnie. Dla ciebie mam inną robotę. Trzeba kogoś załatwić.

– Jak to załatwić?

– Ja mam ciebie uczyć? Z tym siwym całkiem nieźle ci poszło.

Stanzel chwycił go za ubranie na piersi.

– Mówię ci, że to nie ja! To wy wszyscy jesteście mordercami. Myślisz, że nie wiem, co robiłeś na Wschodzie? Stalingradu to ty na oczy nie widziałeś.

Knopf spojrzał zimno na współnika. I pomyśleć, że takiego gada chciał przed chwilą prosić o pomoc. Za żadne skarby nie można było się przed nim otworzyć.

– W porządku, Franz. Pomyliłem się. Nie ty zatłukłeś tego siwego.

– Jasne, że nie ja!

– Niczym się nie martw, idź do biura. Później się odezwę.

Knopf patrzył na odchodzącego Stanzla całkiem innymi oczami niż do tej pory. Czyżby drań rzeczywiście coś wiedział? Było to raczej niemożliwe. Mógł co

najwyżej słyseć jakieś plotki rozpuszczane przez Friedkego, to wszystko. Tak czy inaczej Knopf musiał sam poradzić sobie z nieproszonymi gośćmi.

Wszyscy trzej byli już, mimo wczesnej pory, nieźle wstawieni.

– No, Manfred! – zawołał na jego widok ten, którego nazywali teraz Waszyngton. – Długo każesz na siebie czekać.

– Nazywam się Edwin Knopf.

– Też ładnie. O co tam chodziło?

Knopf popatrzył na całą trójkę. Jedno wiedział o nich na pewno: byli zdolni do każdej zbrodni. Sam ich przecież wyszkolił.

– Nie możecie zostać w mieście – odparł wymijająco. – Przerzucę was w głąb wyspy.

– Tak łatwo nas się nie pozbędziesz, Manfred – powiedział Waszyngton. – Chciałem powiedzieć „Edwin”.

Lońka i Poezja zarechotali wesoło.

– Mówiłeś, że przyjechaliście tu dla zarobku.

– Zgadza się. Dwadzieścia tysięcy dolarów będą cię kosztować nasze odwiedziny.

– I papiery – przypomniał Lońka.

– I papiery na wyjazd do brytyjskiej strefy. Czegoś nie zrozumiałeś czy ja tak źle mówię po niemiecku? Bo Poezja może ci przetłumaczyć.

– Ja chętnie – zaofiarował się Poezja.

– Zaczekajcie. Mówię tylko, że tu są większe możliwości. Razem możemy zarobić i sto tysięcy.

– Co znaczy „razem”?

– Proponuję wam spółkę. Nawet dobrze się składa, bo jeden wspólnik właśnie się nie sprawdził.

Waszyngton ożywił się wyraźnie. Knopf wiedział, w jaką nutę uderzyć. Charakter człowieka nigdy się nie zmienia, a wrodzonej chciwości nie da się zaspokoić.

– Niby co mielibyśmy robić?

– Nie słuchaj go, Waszyngton – ostrzegł go po polsku Poezja. – Już byliśmy pod jego komendą.

– Prawda – przytaknął Lońka. – Cud od Boga, że żyjemy. Ja żadnych jego rozkazów nie mam zamiaru więcej słuchać.

– Czekajcie, niech przynajmniej powie. Co to za spółka?

Knopf wyjął z kieszeni zdjęcie wycięte z kolorowego magazynu. Widniała na nim żelazna szafa wypełniona jakimiś urządzeniami.

– Co to jest?

– Maszyna tabulacyjna niemieckiej firmy Dehomag^[42]. Mam na to zamówienie. Jeśli mi to znajdziecie, to połowa zapłaty dla was.

– Nas drobnica nie interesuje.

– To nie jest żadna drobnica. Klient płaci za to sto tysięcy.

– Co? – Lońka wyrwał mu zdjęcie z ręki. – Przecież to szajs, nie mebel.

– Łże jak pies – orzekł Poezja. – Ma nas za durniów. Zaraz ci pokażę durniów, świński ryju.

– Przysięgam, że to prawda! – zawołał Knopf. – Sto tysięcy dolarów klient chce za to zapłacić. Tylko mi to znajdźcie, a pięćdziesiąt procent będzie dla was. Umowa stoi?

Poezja spojrzał pytająco na Waszyngtona.

– Nawet jeśli nie łże, to przecież sami możemy to opylić – powiedział po polsku.

– Czy ja wiem – zawahał się Lońka. – Tylko on ma dojście do tego frajera, co chce płacić.

– Zaraz go przycisnę, to wszystko wyśpiewa – zaoferował się Poezja. – Co tam kombinujesz, Waszyngton?

Waszyngton nie odpowiedział od razu. Umiał docenić rzeczowe argumenty. Od pewnego czasu cała zachodnia eskapada wisiała właściwie na włosku. Było tu nie tak, jak sobie wyobrażali. Rosjanie, brak mostów na rzece, kłopoty z paliwem. Nie wystarczyło skombinować ciężarówki, żeby żyć długo i szczęśliwie, szabrując apteki. Wspólnik na stanowisku wydawał się całkiem rozsądnym rozwiązaniem. Nawet jeśli miał nim być SS-Scharführer Manfred Stolcke, dowódca antypartyzanckiego oddziału w zachodniej Białorusi, który teraz nazywał się Edwin Knopf.

– Gdzie mamy tego szukać? – spytał.

4

Od czego proponuje pan zacząć?

To oczywiste, panie nadkomisarzu. Najpierw trzeba znaleźć rajzera. Tylko on może doprowadzić mnie do zeszytu Friedkego.

Mam na myśli śledztwo.

A ja mam dosyć ciągłego powtarzania, że nie będę chodził na ruskim pasku. Proszę mnie więcej nie nagabywać. Umarli nie mają głosu.

Od samego rana Adam męczył się, żeby zagłuszyć głos nadkomisarza Strzelczyka rozbrzmiewający w jego głowie. Trudno było doprawdy zrozumieć, dlaczego akurat teraz martwy zwierchnik tak się ożywił. Sam za życia nienawidził bolszewików, a teraz wymagał od swojego podwładnego, żeby ten z nimi współpracował. Był to oburzający pokaz hipokryzji. Właśnie dlatego Adam w końcu zdobył się na odwagę i wygarnął nadkomisarzowi to, co mu się należało.

– Od czego zaczniemy? – spytał Wasilewski.

Adam powrócił do rzeczywistości. Razem z Wasilewskim i Kwasigrochem siedzieli znów w ratuszu, tyle że tym razem to on zajmował fotel burmistrza. Wasilewski patrzył na niego z autentycznym podnieceniem. Śledztwo w sprawie morderstwa musiało wydawać mu się wielką intelektualną przygodą. Natomiast Kwasigroch w ogóle nie widział się w roli detektywa. Miał być dowódcą, burmistrzem, wodzem, władzą absolutną, namiestnikiem na podbitych terytoriach, a nie jakimś cholernym detektywem. Z goryczą świdrował wzrokiem uzurpatora, który rozsiadł się w jego fotelu.

– Najpierw trzeba zebrać jak najwięcej informacji o ofiarach – odparł mechanicznie Adam i od razu zdał sobie sprawę, że grzebanie w przeszłości Bendera wcale nie było mu na rękę. – To znaczy głównie pierwszej ofiary – poprawił się. – Tego niemieckiego burmistrza.

– Pastora Friedkego – podsunął gorliwie Wasilewski. – Co konkretnie nas interesuje?

– Wszystko. Rodzina, znajomi, co robił przed wojną, czy miał kochankę, z kim mieszkał, jakie książki czytał.

– Proponuję obejrzyć jego mieszkanie – powiedział nieśmiało Wasilewski. – Już znalazłem adres. Był na liście pracowników ratusza.

Usłużnie podał Adamowi kartkę papieru z listą nazwisk i adresów. Coraz bardziej zapalał się do śledztwa. Przynajmniej była to jakaś forma pracy umysłowej.

– Świetna robota. Zaraz tam pójde.

– Sam?

– To może być miejsce zbrodni, a wy nie macie doświadczenia w oględzinach. Lepiej jak zostanieie tutaj i zajmiecie się przesłuchiwaniem.

– Kogo?

– Podwładnych burmistrza. Macie tu dokładne adresy. Kwasigroch ściągnie ich do ratusza, a ty przesłuchasz.

– Ty sobie gęby Kwasigrochem nie wycieraj! – wybuchnął sierżant. – „Kwasigroch ściągnie”. A co to, kozia twoja mać, Kwasigroch jest do ściągnięcia? Do ściągnięcia to są gacie z dupy!

– Ale, towarzyszu sierżancie – uspokoił go Wasilewski. – Adam to z szacunkiem powiedział. Kto lepiej wykona milicyjną robotę niż wy?

– Wiesz, gdzie ja mam jego szacunek?

Adam nie był zupełnie zainteresowany tym, gdzie Kwasigroch przechowywał swoje urazy czy zawiedzione nadzieje, i wyszedł czym prędzej z ratusza. W pierwszej chwili w ogóle nie miał zamiaru iść do mieszkania Friedkego. Każdy pretekst, żeby pozbyć się towarzystwa swoich „podwładnych”, był dobry. Poza tym wierzył, że ledwo wyjdzie na ulicę, rajzer wyskoczy jak diabeł z pudełka i doprowadzi go do czarnego zeszytu.

Niestety, rajzera nigdzie nie było. Adam daremnie kręcił się po opustoszałych ulicach Swinemünde w nadziei, że zobaczy obszarpańca tuż za następnym rogiem. Wyglądało na to, że chłopak zniknął na dobre. Prawdopodobnie opuścił miasto, a może nawet i wyspę. Kto wie, czy nie trafiła mu się jakaś okazja i nie przedostał się do brytyjskiej strefy albo jeszcze dalej.

Musiał radzić sobie sam. Jeśli nie liczyć, rzecz jasna, uporczywego głosu martwego nadkomisarza Strzelczyka, który znów rozległ się w jego głowie.

Niech pan się weźmie w garść. Zamiast liczyć na pomoc dziecka, może warto jednak przeszukać mieszkanie denata?

Pomijając złośliwy ton, była to całkiem dobra rada. Adam tak bardzo skupił się na ponownym spotkaniu z rajzerem, że w ogóle nie podjął własnych poszukiwań nocnego gościa w ratuszu. A wskazówki mogły przecież znajdować się właśnie w prywatnym mieszkaniu pastora Friedkego.

Po niespełna kwadransie stał już pod okazałą kamienicą przy Grünenstrasse^[43]. Miasto było w ogóle niewielkie i w godzinę można było przejść je wzdłuż od starej rzeźni do brzegu Bałtyku. Adam rozejrzał się po okolicy. Nie mieszkało tu wielu ludzi. Większość mieszkań została opuszczona. Oznaczało to tylko jedno – ci, którzy zdecydowali się pozostać, musieli być ze sobą dość zżyci i wiedzieć o sobie niejedno.

Mieszkanie Friedkego znajdowało się na parterze, co znacznie ułatwiałoby wyniesienie zwłok bez zwracania uwagi sąsiadów. Oczywiście, jeśli pastor został zabity we własnym domu, co było tylko wysaną z palca hipotezą.

Adam otworzył drzwi za pomocą dwóch kawałków drutu. Nie była to umiejętność, która łączyła się z jego dawnym zawodem, a można powiedzieć, że wręcz przeciwnie. Otwierania zamków nauczył się na kursie dywersyjnym prowadzonym przez spadochroniarza z Anglii. Było to zaraz po ucieczce do lasu. Jak się wtedy właściwie nazywał?

Zamek ustąpił. Adam wszedł ostrożnie do środka, przygotowany na atak. W rękę trzymał bagnet, który zabrał synowi gospodyni. *Meine Ehre heist Treue*. Było to jak makabryczny żart – esesmańska klinga służyła mu teraz do obrony.

Już w przedpokoju stało się jasne, że znalazł miejsce zbrodni. Na podłodze widniała zakrzepła kałuża krwi. To tutaj pastor musiał oberwać w tył głowy. Otworzył drzwi, wpuścił napastnika do środka i niczego nie przeczuwając, ruszył przodem do pokoju, kiedy otrzymał śmiertelny cios.

Trochę było to wszystko za oczywiste. Adam pamiętał słowa nadkomisarza, że pierwsza hipoteza najczęściej się sprawdza, ale tak było w innym świecie. Po tym, co sam przeżył, miał prawo uważać, że mordercy bardzo się w ostatnich latach rozwinęli i że nie będą już powtarzać tych samych błędów co dawniej. A zabicie pastora w jego własnym mieszkaniu było poważnym błędem. Od razu zawężyło krąg podejrzanych. Pastor nie wpuściłby do mieszkania nieznajomego. Musiał być

z mordercą w całkiem dobrej komitywie, skoro nie tylko otworzył mu drzwi, ale też zaprosił go do środka i odwrócił się doń plecami.

Adam nie mógł oprzeć się uczuciu lekkiego rozczarowania. Czyli cała ta sprawa była banalnie prosta. Burmistrza zabił któryś z jego niemieckich rywali – Knopf albo Stanzel. Albo obaj. Wskazywało na nich także drugie morderstwo. Bendera tak samo uznali za zagrożenie dla własnych interesów w mieście i dlatego porzucili go na środku ulicy, wepchnąwszy mu do gardła plakat propagandowy dla wzmocnienia efektu. Tylko co znaczyły te ucięte palce? Prawdopodobnie nic. Pewnie chcieli w ten sposób skierować śledztwo na ślepy tor.

Wszedł do gabinetu. Zawalone papierami mahoniowe biurko i przeładowane książkami regały obudziły w nim nadzieję, że może wśród tego bałaganu znajdzie coś równie wartościowego jak zeszyt *Transporte*, za który pastor zapłacił własnym życiem. Zabrał się ochoczo do poszukiwań. Tylko to się teraz liczyło. Sprawa podwójnego morderstwa była w zasadzie rozwiązana.

Tak pan sądzi?

Oczywiście. Pastora zabili Knopf i Stanzel. Chcieli się go pozbyć i zdobyć zeszyt.

Sugeruje pan, że landrat i szef policji nie wiedzą, kiedy i jakie transporty przybywają do miasta?

Nie wiadomo, co naprawdę tam było. Nazwa może być przykrywką. Może pastor przechowywał tam jakieś materiały przeciwko nim.

W takim razie panu ten zeszyt do niczego się nie przyda.

Adam zamarł na chwilę przy regale. Nadkomisarz Strzelczyk zawsze potrafił jedną uwagą obalić całą misternie skonstruowaną teorię. To jedno się nie zmieniło. Rzeczywiście, jeśli Knopf i Stanzel zabili pastora, żeby zdobyć zeszyt, to musiało być w nim coś, co miało dla nich wielką wartość, lecz dla Adama nie miało żadnej. Jaki pożytek mógłby mieć z odkrycia, co ci dwaj robili podczas wojny albo jakie interesy prowadzili pod nosem sowieckiej władzy? Chciał przecież wyjechać stąd na zawsze, a nie tropić łajdaków i złodziei na jakiejś zapomnianej przez Boga niemieckiej wyspie.

Pozostawała nadzieja, że sprawa kradzieży zeszytu nie miała z zabójstwem burmistrza nic wspólnego. W końcu rajzer na własne oczy widział, że z ratusza

wychodziła jakaś kobieta, a nie Knopf czy Stanzel.

Pan za bardzo ufa temu chłopcu. Mógł zwyczajnie kłamać.

Adam z wściekłością cisnął kolejną książką o podłogę. To wszystko naprawdę nie miało sensu. Nieważne, kto zabił burmistrza i Bendera. Powinien po prostu wziąć za mordę landrata i szefa niemieckiej policji i wycisnąć z nich, jak przedostać się do brytyjskiej strefy. Reszta była bez znaczenia.

Nagle usłyszał, że ktoś wchodzi do mieszkania. Przypadł do ściany obok drzwi gabinetu i sięgnął po esesmański bagnet. Intruz zachowywał się głośno. Miał ciężkie buty, najwyraźniej wojskowe. Otwierał po kolei wszystkie drzwi w mieszkaniu, jakby czegoś szukał. Szabrownik? Mógł to być któryś ze zbiegłych milicjantów – Lońka, Poezja albo Waszyngton. Adam nie liczył jednak na serdeczne przywitanie. Przywarł mocniej do ściany, kiedy kroki zbliżyły się do gabinetu.

Był to wysoki sowiecki żołnierz. Ledwo wszedł do gabinetu, Adam błyskawicznie przyłożył mu bagnet do gardła.

– *Spakojna!* – zawołał żołnierz i dodał po polsku: – To ja, Pietia Fedoruk.

Adam ze zdumieniem rozpoznał młokosa, który jeszcze niedawno okładał go u Osipowicza jak worek treningowy.

– Ty? Co tu robisz?

– Szukam was. W ratuszu powiedzieli, żeście poszli mieszkanie trupa oglądać, no to jestem.

– Niby po co?

– Komendant kazał się od was uczyć.

Adam zdjął nóż z gardła Pietii. Chłopak od razu rozpoznał klingę z gotyckimi napisami. Nieraz widział taką u pojmanych oficerów germańców.

– O, esesmański! – zawołał z ożywieniem. – To wam też takie w wojsku dawali?

– Jakim „wam”?

– No, Białopolakom – odparł dyplomatycznie Pietia. W pierwszej chwili chciał powiedzieć „polskim faszystom”, ale komendant ostrzegł go, że polscy faszyci bardzo nie lubili, kiedy nazywać ich po imieniu.

– Dureń z ciebie, Fedoruk.

Pietia chciał już odpyskować, ale w porę przypomniał sobie rozkaz komendanta, żeby tylko słuchać i obserwować, a nie kłapać mordą. Utwierdził się jednak w przekonaniu, że wszyscy Polacy to w gruncie rzeczy faszysti, którzy trzymają ukryte w cholewach esesmańskie bagnety.

– Już żeście wykryli, kto ubił burmistrza? – zapytał pojednawczo. – Bo komendant mówi, że wy na pewno raz-dwa wykryjecie.

– Bardzo ładnie z jego strony. Zwłaszcza że niedawno chciał mi odbić nerki. Z twoją pomocą.

– Wybaczcie. – Pietia stropił się, spuszczał wzrok. – Taka robota. Ale teraz razem będziemy podejrzanym mordy obijać. Macie już jakichś podejrzanych?

– Tobie powinienem najpierw mordę obić, łajdaku. Gdzie się nauczyłeś po polsku?

– Ot, tak. W domu.

– Jesteś Polakiem?

– Boże broń. Ja z Białorusi. Tam się w różnych językach gadało. Ja nawet po żydowsku umiem. Powiedzieć wam pacierz po żydowsku?

– Możesz sobie darować.

– Powiem. *Bereszit bara Elohim et haszamaim...* Wiecie, co to znaczy?

– Nie jestem ciekaw.

– Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Dobrze, co nie? Niby Żydzi, a w to samo wierzą co my.

– Myślałem, że wy wierzycie w komunizm.

Pietia znowu przypomniał sobie surowe zalecenie komendanta i ugryzł się w język. I tak za bardzo się rozgadał. Nic nie mógł poradzić na to, że lubił czasem porozmawiać nie tylko o dupie Maryni. Na szczęście nadarzyła się okazja do całkiem płynnej zmiany tematu.

– O, Pan Jezus! – zawołał, podnosząc z podłogi niemiecką książkę otwartą na barwnym portrecie Syna Bożego. – Ładne zdjęcie się zachowało.

Według autora obrazka Jezus był niebieskookim blondynem z długimi włosami i brodą, przypominającym norweskiego narciarza wyczynowego. Książka nosiła

tytuł *Aryjskie korzenie chrześcijaństwa*. Adam nie mógł się oprzeć, żeby nie przeczytać fragmentu tego dzieła.

...jeśli zaś chodzi o kwestię rasowego pochodzenia chrześcijańskiego zbawiciela, to jego biologicznym ojcem był, jak wiadomo, rzymski legionista Tyberiusz Juliusz Abdes Pantera, którego nagrobek został odkryty w roku 1859 podczas budowy linii kolejowej w Bingerbrück. Co zaś się tyczy matki, to była ona z pochodzenia Galilejką, czyli pochodziła z rodu Samarytan, perskiego plemienia, które zostało kulturowo zjudaizowane, ale pod względem rasowym było czysto aryjskie, jak wszyscy starożytni Persowie. Stawia to w nowym świetle kwestię boskości zbawiciela, w którym powinniśmy przede wszystkim widzieć figurę „nowego Adama”, człowieka nieskazanego sprzed upadku w sodomię...

Adam cisnął nazistowskie brednie z powrotem na podłogę.

– Co za kretyn to napisał!

– Nasz pastor – odparł Pietia.

– Co?

– Günther Friedke – wyjaśnił Pietia, pokazując nazwisko autora na okładce książki. – To przecież nasz pastor.

Adam znów podniósł książkę. Z notki na ostatniej stronie jasno wynikało, że jej autorem był zamieszkały w Swinemünde pastor w kościele imienia Marcina Lutra.

– Mądry człowiek – orzekł z uznaniem Pietia. – Taką grubą książkę napisać. Ciekawe, jak długo mu zajęło. Ja bym pół życia pisał.

Adama zaciekało jednak coś zupełnie innego. Na drugiej stronie książki widniała wydrukowana dedykacja: „Dla Ilse, za całe dobro, które mi wyświadczyła”.

Musiał za wszelką cenę odnaleźć Ilse i dowiedzieć się, jakiego to rodzaju dobro świadczyła zabitemu pastorowi i czy świadczyła je także po jego śmierci.

5

Koniec świata miał swoje dobre strony. Nie trzeba już było przykładać się do czegokolwiek. Jeszcze kilka lat wcześniej Adam musiał każde miejsce zbrodni

badać centymetr po centymetrze. Zabezpieczać ślady. Opisywać krwawe rozbryzgi. Zdejmować odciski palców. Przesłuchiwać świadków. Nadzorować cały sztab ludzi pracujących nad szczegółowym raportem dla nadkomisarza Strzelczyka. A teraz proszę – wystarczyło rozejrzeć się pobieżnie po mieszkaniu, schować za pasek książkę o aryjskich korzeniach chrześcijaństwa i to wszystko. Nadkomisarz z pewnością nie posiadałby się z oburzenia na takie niedbalstwo.

Przecież pan nie przesłuchał nawet sąsiadów!

To nie jest konieczne.

Jak to nie jest konieczne? Ktoś mógł widzieć mordercę.

Nie interesuje mnie morderca, tylko Ilse, powiernica Friedkego. To ona mogła zabrać zeszyt z ratusza.

A nie przyszło panu do głowy, że mogła też zabić pastora, a potem tego pańskiego przyjaciela z UB?

To nie był mój przyjaciel!

Adam przystanął z wahaniem. Zimny wiatr znad morza chłodził jego rozpalone nadzieje.

– Czegoście zapomnieli? – spytał Pietia, równie podniecony postępami śledztwa.
– Możemy wrócić.

Pustymi ulicami miasteczka przemykali pojedynczy przechodnie. Nikt nie chciał ryzykować spotkania oko w oko z przedstawicielami zwycięskiej słowiańskiej rasy.

Adam pierwszy raz zdał sobie sprawę, że nowe fakty rzeczywiście stawiały poprzednią teorię pod znakiem zapytania. Skoro pastor Friedke nie był żadnym antyfaszystą, to prawdopodobnie miał do ukrycia tyle samo co Knopf i Stanzel. Nie wiadomo więc, kto kogo tak naprawdę szantażował. I za co właściwie pastor siedział w obozie? No i kim była Ilse, której dedykował dzieło swojego życia? Na wszystkie te pytania mógł odpowiedzieć tylko jego rzekomy przyjaciel, doktor Spitzgau.

– Nie. Idziemy – zdecydował Adam. – Mów, co jeszcze wiesz o tym doktorze.

Petia tylko na to czekał. Bardzo zapalił się do detektywistycznej roboty. Wreszcie było to coś w sam raz dla niego. Wymagało dużo gadania i główkowania, a nie ślepego wykonywania poleceń.

– No więc tak – odparł z ożywieniem – dobry Niemiec, w obozie siedział razem z pastorem, antyfaszysta...

– Konkretnie mów. Za co go wsadzili.

– Chyba przeciwko Hitlerowi był.

– Tak samo jak Friedke?

Pietia nie zauważył w pytaniu żadnego sarkazmu. Poza tym odkrycie książki o aryjskich korzeniach chrześcijaństwa wcale nie umniejszyło w jego oczach autorytetu zmarłego pastora, a wręcz przeciwnie.

– Wypisz wymaluj – potwierdził. – Dlatego Dziadzia wziął ich na stanowiska.

– Jaki znowu Dziadzia?

– Dziadzia Arłam. W partyzantce tak żeśmy komendanta nazywali.

– Osipowicza?

Pietia wybuchnął niespodziewanie śmiechem na wspomnienie sielskiego dzieciństwa w białoruskich lasach.

– A wiecie, jak jeszcze go zwaliśmy? Tylko musicie przysiąc na zdrowie towarzysza Stalina, że nikomu tego nie powtórzycie.

– Przysięgam. Żeby tak towarzysz Stalin jeszcze dzisiaj zdechł.

– „Ospowicz” go chłopaki nazwali. – Pietia roześmiał się. – Bo ma takie dzioby na gębie, po ospie.

– Bardzo zabawne, ale o doktorze miałeś mówić.

– Ale ja nie po złości to opowiadam. Dla mnie Dziadzia Arłam to jak ojciec rodzony. Ale jak ma być inaczej, skoro matka żoną jego jest. Wojenną.

– Twoja matka jest kochanką komendanta?

– Nie żadną kochanką, tylko żoną – obruszył się Pietia. – Wojenną.

Adam nie chciał ranić uczuć chłopaka. Machnął ręką.

– Dobra, żoną. Mów o doktorze.

– Bardzo dobry doktor. Fachowiec. Obiecał, że postawi matkę na nogi, i już zaczęło się jej poprawiać. Dziadzia Arłam mówi, że nawet zupę sama ugotowała.

– Twoja matka jest tu, w Swinemünde?

Pietia zawahał się, czy aby nie było to przeciwko zaleceniom komendanta, żeby nie kłapać za dużo mordą, ale uznał, że Dziadzi chodziło raczej o sprawy

polityczne, a nie prywatne. Poza tym musiał wreszcie wyrzucić z siebie to, co leżało mu na wątrobie. No bo nie było to całkiem w porządku, że Dziadzia mieszkał z matką bez ślubu. Co innego wojna, a co innego czasy pokojowe. W partyzantce była to rzecz normalna. Każdy leśny dowódca miał jakąś żonę wojenną, a niektórzy mieli nawet po dwie albo i trzy. Nikt nie robił Pietii przytyków z tego powodu, że jego matka sypia z Dziadzią. Przeciwnie, był to dla niego raczej powód do dumy.

Teraz sytuacja zupełnie się odmieniła. Nie można było już w prosty sposób wyjaśnić, kim dla Osipowicza była matka Pietii, a kim on sam – podwładnym, wychowankiem czy prywatnym kapusiem. Coraz częściej zauważał, że rozmowy milkły, kiedy się pojawiał.

Adam słuchał tego wszystkiego z pewnym zaciekawieniem. Co prawda, nic go nie obchodziły rozterki Pietii, ale nigdy by się nie spodziewał, że sowieckie życie erotyczne może być tak bardzo skomplikowane.

Zaszli pod szpital od strony podwórza. Gromada Niemek czekała tu w napięciu pod kuchennym oknem, skąd wydobywały się kłęby pary. Nagle w oknie ukazała się rumiana twarz krzepkiego rosyjskiego żołnierza, który podniósł wiadro i pokazał je zgromadzonym niczym monstrancję. Wśród kobiet zapanowało lekkie poruszenie. Najwyraźniej czekały właśnie na ten moment.

– *Bieritie, ženszcziny!* – krzyknął żołnierz i chlusnął zawartością wiadra na kobiety w dole. Były to wieprzowe flaki. Kobiety natychmiast rzuciły się na nie jak stado wron, przepychając się i dziobiąc nawzajem w walce o lepsze kąski.

Pietia pokręcił z niesmakiem głową na widok kobiet taplających się w świńskich flakach.

– A taka kultura miała tu być! – oburzył się. – Gdzie ta kultura, pytam się.

– Przestań już pieprzyć i prowadź do doktora – burknął Adam.

Nie widział żadnej sprawiedliwości w tym, że niemieckie żony i matki były gotowe poprzegryzać sobie nawzajem gardła za kawał świńskiej kiszki. Był to raczej dowód na to, że historia nie jest żadną nauczycielką życia, ale po prostu starą wariatką.

Doktora Spitzgaua zastali w przyszpitalnej kostnicy. Oglądał właśnie przez lupę jakieś żółtawe zwłoki na stole.

– My od komendanta, doktorze – wyjaśnił po rosyjsku Pietia. – Śledztwo prowadzimy. Towarzysz ma do was kilka pytań.

Spitzgau zamarł na chwilę, przyglądając się gościom. Od razu rozpoznał człowieka, który tak trafnie potrafił wnioskować z oględzin zwłok.

– To się dobrze składa, bo właśnie robię oględziny tego zabitego.

Adam poczuł, że przechodzi go dreszcz. Żółty manekin na stole od razu wydał mu się znajomy.

– To jest... Bender? – spytał cicho.

– Nazwiska nie znam, ale stwierdzam z całą pewnością, że miał pan rację w sprawie tego kciuka. Należał do Günthera. Proszę spojrzeć.

Spitzgau jednym ruchem odsłonił drugie zwłoki leżące na sąsiednim stole. W zsiniałym, niemal fioletowym trupie z trudem można było rozpoznać pastora Günthera Friedkego. Doktor podniósł jego okaleczoną prawą dłoń i przyłożył do niej szerniały kciuk.

– Widzicie, panowie? Pasuje jak ulał.

Pietia spojrział na Adama ze szczerym podziwem.

– Czyli dobrze mówiliście. Ten, co go zabił, pastora też załatwił.

Adam skinął głową. Mimo wszystko przyjemnie było dowiedzieć się, że nie stracił dawnej intuicji. Nawet nadkomisarz Strzelczyk musiałby to przyznać.

Dobra robota, panie aspirancie.

Dziękuję.

Ale wie pan, co to znaczy? Ofiar będzie więcej.

– O co chciał mnie pan zapytać?

– Co? – Adam oderwał wzrok od ręki martwego pastora.

– Miał pan do mnie jakieś pytania – przypomniał doktor Spitzgau.

– A, tak. Podobno dobrze znaliście się z burmistrzem.

– Siedzieliśmy razem w Dachau. To był nazistowski obóz...

– Nazistowski? – przerwał mu z sarkazmem Adam. – A cóż to za nowa narodowość?

– Chyba nie rozumiem pytania.

- Nieważne. Kiedy tam siedzieliście?
- Całą wojnę. Aż wyzwolili nas Amerykanie.
- Za co?
- Proszę?
- Za co wsadzili was do obozu. W końcu jesteście Niemcami.
- Nie każdy Niemiec był nazistą.
- Ale Friedke był.
- Günther? Nienawidził nazizmu tak samo jak ja.
- Z tej książki to nie wynika.

Adam wyjął zza paska dzieło pastora o aryjskich korzeniach chrześcijaństwa. Spitzgau patrzył na tytułową stronę jak osłupiały.

– Nie wiedziałem, że Günther coś takiego napisał. To musiało być dawniej, kiedy jeszcze należał do partii.

– Czyli jednak był nazistą.

– Był dobrym człowiekiem. Nawet jeśli kiedyś popełnił jakieś błędy, to odpokutował za nie tysiącrotnie.

– Kto to jest Ilse?

– Proszę?

– Zadedykował książkę jakiejś Ilse. Kto to dla niego był?

Spitzgau spojrział na dedykację w książce.

– To jego żona.

Adam ożywił się. Stawiałby raczej na kochankę. Poza tym w mieszkaniu Friedkego nie zauważył żadnych śladów kobiecej ręki.

– Żona? – zdziwił się.

– Młodsza o dwadzieścia lat. Świata poza nią nie widział.

– Przeżyła?

Spitzgau pokiwał smutno głową.

– Mieszka tu, w Swinemünde.

– Friedke mieszkał z żoną?

– Tego nie powiedziałem.

– Rozstali się?

– To tragiczna historia. Günther przez cały obóz marzył, że do niej wróci. Tylko to trzymało go przy życiu. Wierzył, że Ilse na niego czeka.

– Nie czekała?

Spitzgau pokręcił głową.

– Najgorsze, że związała się z łajdakiem, który odebrał mu kościół. To pewnie on na niego doniósł, że głosi kazania przeciwko nazistowskiej władzy. Pastor Paul Wieseborn. Nadal razem mieszkają. Dla Günthera to była gorsza udręka niż obóz spotykać ich razem na mieście.

– Nie chciał stąd wyjechać?

– Tysiące razy. Ale chyba wolał widywać ją z innym mężczyzną, niż nie widywać jej w ogóle. Poza tym nie tracił nadziei, że Ilse w końcu przejrzy na oczy.

Adam z trudem tłumił radość z wyniku przesłuchania. Wszystko układało się w dość oczywistą historię, z którą spotkał się już dziesiątki razy, tyle że z innymi nazwiskami i adresami bohaterów. Oto stary cap żeni się z cwana młodką, która po pewnym czasie przerzuca się na innego capa. Cap numer jeden cierpi i nagabuje bez przerwy wiarołomną żonę. Planuje nawet zabić jej nowego kochanka, ale cap numer dwa jest szybszy. Razem z młodką dają staremu w łeb i okradają go na koniec. Banalne, jak większość spraw, które Adam prowadził pod nadzorem nadkomisarza Strzelczyka.

Dopiero co był pan przekonany, że pastora zabili razem Knopf i Stanzel. A wcześniej podejrzewał pan, że zrobił to doktor Spitzgau.

Nic takiego nie twierdziłem.

Jak to, doskonale pamiętam: podejrzewał pan, że ci dwaj stali się w obozie homoseksualistami i jeden zabił drugiego z zazdrości. Proszę się nie wypierać.

Możliwe, ale to już nieważne. Teraz trzeba jak najszybciej odnaleźć Ilse.

– Wie pan, gdzie ona mieszka?

– Oczywiście. Günther codziennie chodził pod ten dom...

Nagle Pietia, który od dłuższego czasu nie przysłuchiwał się rozmowie, ale oglądał z zainteresowaniem oba trupy na stołach, zawołał:

– Towarzyszu doktorze, można o coś zapytać?!

– Przerwywasz przesłuchanie – upomniał go Adam.

– Wybaczcie, ale tu jakaś dziwna rzecz jest. A może to normalne, nie wiem. Trupy to ja tylko widziałem zgniłe, jak po lesie leżały.

– O co chodzi? – spytał Spitzgau.

– Bo oni obaj mają w tych samym miejscach takie kropki, jakby ktoś szpikulcem dźgnął. O, tutaj, patrzcie.

Pokazał palcem na niewielki ślad po ukłuciu na żółtawej piersi Bendera. Na zwłokach Friedkego ślad zdążył już wtopić się w ciemne plamy opadowe, ale dzięki lupie wciąż można go było zauważyć.

– Tak ma być? – spytał niepewnie Pietia.

– Rzeczywiście, jakby ukłucie – orzekł Spitzgau.

– Pośmiertne? – spytał Adam.

– Że jak? – oburzył się Pietia. – Po śmierci ktoś miałby ich jeszcze kłuć?

– Bez sekcji nie da się tego jednoznacznie stwierdzić.

Adam nie miał najmniejszej ochoty na ponowne badanie zwłok. Odkrył już to, co najważniejsze – kim była kobieta, która prawdopodobnie zabrała zeszyt. Reszta nie miała żadnego znaczenia. Kto i jak zabił Friedkego, a potem Bendera – niech zajmuje się tym Osipowicz razem ze swoim Pietią. Mogą mu nawet wysłać kartkę do Buenos Aires z wiadomością, kto okazał się mordercą. Z ciekawością o tym przeczyta przy kawie i rogalikach.

Chciał już przerwać debatę nad zwłokami i wyruszyć na poszukiwania Ilse, kiedy jego policyjne sumienie zaprotestowało gwałtownie głosem nadkomisarza Strzelczyka.

Powinien się pan wstydzić. Półanalfabeta okazał się lepszym detektywem od pana.

Ja tych zwłok dokładnie nie oglądałem.

Więc może najwyższy czas to zrobić, panie aspirancie?

– Dobrze, robimy sekcję – powiedział z westchnieniem Adam, po części do doktora Spitzgaua, a po części do siebie.

– Ja nie jestem z wykształcenia patologiem – odparł Spitzgau.

– Ani ja milicjantem. Niech pan się bierze do dzieła.

- Teraz?
 - Nie będziemy z tym czekać.
 - Mam pacjentów.
 - Trudno się mówi. Będę musiał powiedzieć komendantowi, że na razie brak wam czasu.
 - Ja mogę skoczyć do komendanta – zaofiarował się Pietia, mrugając porozumiewawczo do Adama. – Raz-dwa obróć.
- Doktor Spitzgau zdał sobie sprawę, że nie ma wyboru.
- Dobrze. Niech panowie zaczekają w moim gabinecie.
 - Idź, Pietia. Ja zostaję.
 - Kiedy ja też chcę patrzeć! – zaprotestował Pietia. – Komendant kazał się uczyć.
- Adam obrócił się do doktora, rozkładając bezradnie ręce.
- Słyszał pan. Młodzież chce się uczyć.
- Doktor Spitzgau bez słowa podszedł do przeszklonej szafki, w której leżała piła do rozcinania klatki piersiowej.

6

Jedni rodzą się wybitnymi wodzami, inni wynalazcami, ale są też tacy, którzy wybijają się ponad innych w każdej dziedzinie, czegokolwiek by się tknęli. Posadź takiego przed mikroskopem – od razu odkryje penicylinę; daj mu broń do ręki – trafi w oko przelatującą wronę. Sierżant Kwasigroch uważał się za jedną z takich właśnie wybitnych jednostek. Sam siebie nie przestawał zaskakiwać. Wiedział już o swoich talentach przywódczych, ale o tym, że drzemie w nim także geniusz policyjny, nie miał do tej pory pojęcia.

Rzecz wyszła na jaw krótko po wyjściu Kostrzewy. Sierżant serdecznie nie cierpiał tego człowieka. Już w Pile przeczuwał, że będą z nim problemy, ale nie podejrzewał, że aż takie. Łajdak praktycznie zajął jego miejsce. Co z tego, że Kwasigroch był wciąż najstarszy szarżą, skoro nawet kaszlący oświęcimiak miał go teraz za nic.

– Kogo najpierw przesłuchamy? – spytał Wasilewski, kiedy zostali sami w gabinecie burmistrza. – Ja proponuję sekretarkę.

– Nie będzie żadnego przesłuchiwanie.

– Jak to, przecież Adam wyraźnie kazał...

Była to iskra, która rozpałała Kwasigrocha do czerwoności. Zerwał się wściekle z krzesła i wybuchnął takim potokiem przekleństw, że wychudły Wasilewski skurczył się jeszcze bardziej. Sierżantowi Kwasigrochowi nikt nie mógł niczego „kazać”! A już na pewno nie pierwszy lepszy przybłęda w rodzaju Kostrzewy. Wielki detektyw! Inteligent w mordę kopany!

Z tymi słowami sierżant kopnął dla lepszego efektu kosz ze śmieciami. Wasilewski schylił się w ostatniej chwili, żeby nie oberwać w głowę. Kosz walnął o ścianę i z brzękiem spadł na podłogę. Był prawie pusty. Ze środka wyleciał tylko jeden zmięty paperek.

I tu właśnie objawił się policyjny geniusz sierżanta. Ktoś inny na jego miejscu nawet nie zwróciłby uwagi na niepozorną kulkę papieru. Kwasigroch, wiedziony niezawodnym instynktem, podniósł ją z podłogi i rozprostował. Z niemieckim nie było u niego najlepiej, ale od razu zdał sobie sprawę, co wpadło w jego ręce.

– Co tam jest? – zaciekawiał się Wasilewski.

Twarz Kwasigrocha się rozjaśniła.

– Masz, czytaj.

Wasilewski wziął od niego wygładzoną kartkę.

– „Lista zakwalifikowanych na wyjazd do pracy przy odbudowie Związku Sowieckiego...”

– Czytaj, czytaj.

– Jeden – Franz Stanzel, element kryminalny. Dwa – Edwin Knopf, zbrodniarz wojenny. Trzy – Paul Wieseborn.

Więcej nazwisk nie było. Wasilewski podniósł głowę i popatrzył pytająco.

– Myślicie, że to burmistrz napisał?

– A kto? W jego koszu było. Czyli wszystko jasne.

– Co jasne?

– Kto go zabił.

– Kto?

Kwasigroch spojrział na Wasilewskiego z irytacją. Niby człowiek wykształcony, a jak słabo rozumował.

– Jak to – jeden z tych trzech. Albo wszyscy razem.

– Ale dlaczego tak uważacie?

Kwasigroch uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Ech, oświęcimiak. Ja widzę, że do niczego się to twoje wykształcenie nie nadaje. Było tak: któryś z tych gości dowiedział się, że burmistrz chce go wysłać na białe niedźwiedzie, więc dał mu w łeb, a listę wyrzucił, zanim ten zdążył ją wysłać do ruskich. Proste?

– Ja bym coś takiego raczej spalił, niż wyrzucał do kosza w gabinecie ofiary.

– Może się zwyczajnie spieszył.

Wasilewski pokręcił stanowczo głową.

– To nie ma sensu. Burmistrz nie został zabity w swoim gabinecie – Adam mówił, że nie ma tu żadnych śladów krwi ani walki. Morderca musiałby więc przyjść tutaj specjalnie, żeby przeszukać papiery. Gdyby znalazł tę listę, na pewno nie wyrzuciłby jej do kosza w gabinecie, ale zabrał ze sobą.

– A ty co, też będziesz mi tu strugał detektywa? – wybuchnął Kwasigroch. – Mówię ci, że sprawa rozwiązana. Idziemy do ruskiego komendanta.

– Ale to Adam miał prowadzić...

– Ty się dobrze zastanów, oświęcimiak, z kim trzymasz, bo to jeszcze różnie może być.

Niejasna groźba podziałała piorunująco. Kwasigroch wiedział, w jaką stronę uderzyć. Tych po obozie wcale nie było trudno zastraszyć. Umieli tylko pyskować, ale jak przyszło co do czego, to odwaga od razu ich opuszczała. Każda oficjalna funkcja napawała ich zabobonnym wręcz lękiem, nawet tak osłabiona jak ta, którą wciąż formalnie sprawował sierżant Kwasigroch.

Jeśli dowódca specjalnej grupy operacyjnej liczył na wzmocnienie swojej pozycji, to gorzko się rozczarował. Raport z niespodziewanych postępów w śledztwie nie dość, że nie spotkał się z uznaniem komendanta wojennego, to jeszcze wprowadził go we wściekłość. Po części stało się tak dlatego, że na głowę pułkownika Osipowicza akurat zwała się sprawa o wiele ważniejsza niż zabójstwo jednego Niemca czy Polaka. Właśnie dostał rozkaz ze sztabu, żeby przygotować w mieście schronisko dla dipisów^[44] – powracających na zachód byłych więźniów

i jeńców różnych narodowości, którzy znaleźli się podczas wojny w Polsce. Tego tylko brakowało w Swinemünde – wielkiego ogniska tyfusu i innych chorób. Poza tym kto niby miał tych wszystkich ludzi wyżywić i opłacić ich dalszy transport?

Drugim powodem, dla którego pułkownik Osipowicz przyjął przełom w śledztwie wyjątkowo chłodno, była jego wrodzona pogarda dla wszelkiej maści donosicieli, a za takich właśnie uznał dwóch milicjantów, którzy przychodzili do niego za plecami swojego szefa.

– To Kostrzewa odkrył? – spytał pułkownik, obejrzawszy pomiętą kartkę z trzema nazwiskami.

– Ja – odparł z dumą Kwasigroch i dodał: – Kostrzewa to gówna w kiblu by nie odkrył.

Było to zupełnie niepotrzebne. W końcu to przecież ruski pułkownik mianował Kostrzewę głównym śledczym w sprawie, a więc uwagę o kiblu mógł wziąć do siebie. Tak się też stało.

– Gówno to wy mi tu przynosicie! – wybuchnął Osipowicz. – Amerykę odkryli, durnie – że Friedke pisał donosy na Stanzla i Knopfa. A czemu miał nie pisać? Oni też na niego pisali. Normalna sprawa.

– Ale może by ich chociaż przesłuchać – wyjąkał Kwasigroch, zupełnie zbity z tropu. Nie takiej reakcji spodziewał się po komendancie. Może nie od razu medalu, ale przynajmniej jakiej pochwały.

– Odpieprz ty się od moich Niemców! – huknął Osipowicz. – Stanzel i Knopf dla mnie pracują. Tylko ja ich mogę przesłuchiwać!

– A tego trzeciego? – bąknął Kwasigroch, żeby przynajmniej wyjść od komendanta z twarzą.

– Jakiego trzeciego?

– Tam jest jeszcze jakiś Wieseborn zapisany...

– Ten mnie nie interesuje! Możecie go nawet zatłuc. Ale od moich Niemców wara, zrozumiano?

– Tak jest.

– No to poszli won.

Kwasigroch ruszył czym prędzej do drzwi, unikając wzroku Wasilewskiego. Jednak niepotrzebnie wziął go ze sobą. Podwładny nie powinien widzieć, jak kopią

po tyłku jego szefa.

– I więcej mi tu nie przyłazić! – rzucił jeszcze Osipowicz. – Kostrzewa ma prowadzić śledztwo, a wy jesteście tylko do pomocy.

Niewiele było słów, które mogłyby Kwasigrocha bardziej zranić. Sierżant poczuł, jakby przełykał gorący ołów, ale co miał zrobić? Zaczerwienił się tylko po same uszy i wypadł czym prędzej z komendantury na ulicę. Tu też wcale nie było lepiej. Zimny wiatr znad morza chłostał go po twarzy jak uczniaka. W dodatku oświecimiak patrzył na niego z wyraźną drwiną.

– Nie poszło to najlepiej – zauważył Wasilewski. – Mówiłem, żeby poczekać na Adama.

Kwasigroch uspokajał się powoli. Wcale nie zamierzał pogodzić się z porażką. Nawet Napoleon czasem przegrał jakąś bitwę. W takich momentach grunt to umieć przedstawić sprawę z właściwej strony.

– Bardzo dobrze poszło – powiedział Kwasigroch, siląc się na beztroski ton. – Co to, ja nie wiedziałem, że nie pozwoli nam ruszyć tych dwóch?

– W takim razie po co nas tu przyniosło?

– Ech, oświecimiak, ty jednak słabo rozumujesz. Żeby dostać glejt na tego trzeciego!

– Wieseborna?

– A na kogo? Rusek wyraźnie powiedział, że tego możemy nawet zatłuc. No to słowo się rzekło, idziemy po sukinsyna.

Kwasigroch odwrócił się, ale kątem oka widział wyraźnie, że zdołał odzyskać przynajmniej część autorytetu u swojego jedyne podwładnego. Nastrój poprawił mu się w jednej chwili. Nawet chłostanie wiatru po twarzy nie wydawało mu się już tak obraźliwe jak przed chwilą.

7

Jeśli tak wyglądało ludzkie serce, to był to najbardziej przeceniony ludzki organ. Kawał szarego mięsa w ręku doktora Spitzgaua zapewne nie zainspirowałby żadnego poety. Rozlewał się w dłoni i do tego cuchnął niemiłosiernie.

– Tak wygląda serce? – odezwał się rozczarowany Pietia, który najwyraźniej miał w tej chwili podobne przemyślenia co Adam.

– Czują panowie tę woń? – spytał doktor, podsuwając im serce Bendera, który leżał na stole sekcyjnym z otwartą klatką piersiową.

Petia cofnął się z odrazą.

– Zabierzcie to świństwo! Cuchnie jak w chlewie.

Adam skinął rzeczowo głową. Był to ten sam zapach, który poczuł przy pierwszym i przy drugim denacie, tyle że dziesięć razy bardziej intensywny.

– Co to jest?

– Moim zdaniem fenol.

Adam poczuł, że wstrząsa nim mimowolny dreszcz.

– To znaczy, że Bender nie zginął od uderzenia w tył głowy?

– Nie. To go tylko ogłuszyło.

Przez dłuższą chwilę Spitzgau i Adam patrzyli sobie w oczy. Fenol. Nic więcej nie potrzebowali mówić.

– Ale o co chodzi? – zniecierpliwiał się Pietia. – Co to za fenol?

– Trucizna – wyjaśnił doktor Spitzgau. – Ktoś wstrzyknął ją ofierze w komorę serca.

– Czyli miałem rację! – ucieszył się Pietia. – Dobrze przyuważyłem!

– Głupi jesteś, Fedoruk – zgasił go Adam. – Tak zabijali ludzi w obozach, więc się zamknij.

Petia zaniemówił. Coś tam słyszał, że w obozach straszne rzeczy się działy, ale co konkretnie – nie wnikał. Wcale nie chciał dokładnie wiedzieć, co takiego robili w obozie jego matce, że nadal nie mogła dojść do siebie.

Kiedy minął pierwszy szok, Adam zdał sobie sprawę, że to odkrycie zmieniało właściwie wszystko. Nie mógł już po prostu odwrócić się do śledztwa plecami.

– Czy mam też otworzyć ciało Friedkego? – spytał cicho doktor Spitzgau.

Adam skinął głową.

Druga sekcja potwierdziła wyniki pierwszej. Serce pastora Friedkego było jeszcze bardziej naszprycowane fenolem. Jego ostra woń wypełniła całe prosektorium. Wszyscy trzej musieli wyjść na świeże powietrze, żeby nie zemdleć.

Adam sięgnął po papierosa, ale ręce za bardzo mu drżały i łamał jedną zapalną po drugiej.

Doktor Spitzgau podał mu ogień.

– Dziękuję.

– Pan powie komendantowi czy ja mam to zrobić?

Adam zdał sobie sprawę, że nie powinien okazywać słabości.

– Każdy niech robi, co do niego należy – odparł szorstko. – Może pan wracać do swojej roboty.

– Co mam zrobić z ciałami?

– Na razie niech leżą w kostnicy.

Spitzgau skinął głową i odszedł z powrotem do szpitala.

– Ale się narobiło, co? – Pietia był wyraźnie podekscytowany. – Dobrze nam razem idzie to śledztwo. Dajcie też zapalić swojemu asystentowi.

– Nie jesteś żadnym moim asystentem, gnojku – warknął Adam i ruszył przed siebie.

– A wy dokąd? Do tej baby mieliśmy iść.

Adam zawahał się. Rzeczywiście, chciał przecież przesłuchać Ilse, byłą żonę pastora, która być może zabrała z ratusza segregator. Nawet nie zapytał Spitzgaur o jej adres. Ledwo zdał sobie z tego sprawę, od razu usłyszał kpiący głos swojego nadkomisarza.

To już nie chce pan stąd wyjechać?

Oczywiście, że chcę. Po prostu tamto może poczekać.

Przyspieszył kroku. Myśli biegały mu po głowie we wszystkie strony jak mrówki. Nie miał żadnego konkretnego planu. Chciał tylko usiąść jak najszybciej w jakimś zacisznym pokoju w ratuszu i dojść ze sobą do ładu. Potrzebował trochę spokoju, nic więcej. Tymczasem w towarzystwie Pietii było to niemożliwe.

– Coś podobnego – ekscytował się cały czas jego samozwańczy asystent, truchtając tuż za nim. – Czyli to jednak jakiś szkop ich ubił. No bo jakże inaczej? Skąd by normalny człowiek znał się na takich rzeczach. Zastrzyk z fenola!

– Z fenolu – poprawił go ze złością Adam, choć miał już nie podejmować ze smarkaczem żadnej rozmowy.

– To musiał być jeden z tych, co robili te różne doświadczenia w obozach. Sukinsyn.

– Zamknij się na chwilę, człowieku.

Najgorsze, że nie można było odmówić Pietii daru logicznego rozumowania. Rzeczywiście, ostatecznie odkrycie wyraźnie wskazywało, że morderca był aż za dobrze obeznany z metodami zabijania w niemieckim obozie koncentracyjnym. Ale dlaczego nadal z nich korzystał? Tyle było znacznie prostszych możliwości. Skoro najpierw pozbawił obie ofiary przytomności, mógł potem zrobić z nimi, co chciał – zatłuc, zadusić, zastrzelić czy nawet utopić w kanale Swine. Po co zadawał sobie tyle trudu i w dodatku zostawiał tak ważny trop?

W ratuszu Adam też nie znalazł wyczekiwanej chwili skupienia. Ledwo weszli do środka, na spotkanie wybiegł im rozgorączkowany Wasilewski.

– Adam! Nareszcie jesteś! On naprawdę go zatłucze!

– Spokojnie. Kto kogo zatłucze?

– Kwasigroch. Tego Wieseborna. Aresztował go i teraz przesłuchuje.

Niemieckie nazwisko brzmiało znajomo, ale w ciągu ostatnich godzin wydarzyło się tyle, że pamięć Adama przypominała kipiący garnek. Większość szczegółów wyciekła zeń na dobre.

Z nieoczekiwaną pomocą przyszedł mu Pietia.

– Wieseborn? Ten kochanek żony pastora?

Wasilewski spojrzał na nich obu zaskoczony.

– Też go już przesłuchaliście?

– Gdzie on jest? – spytał Adam.

Wasilewski wskazał na gabinet burmistrza. Adam ruszył do drzwi. Wieseborn. Teraz sobie przypominał. Paul Wieseborn, też pastor. Odbił kościół Friedkemu, ale co najważniejsze, żonę Ilse, tę od dedykacji. Rozwiązanie samo pchało mu się w rękę.

Wieseborn siedział, a właściwie trzymał się na krześle naprzeciwko biurka. Trudno było określić jego wiek, ponieważ twarz miał rozbitą na miazgę jak surowy kotlet. Jego prawa ręka była amputowana aż do ramienia. Kwasigroch stał nad nim i okładał go metodycznie pięścią w czarnej skórzanej rękawiczce. Raz po raz

rozlegały się głucho uderzenia, jakby ktoś walił tłuczkiem w półtuszę w rzeźni. Najwyraźniej w rękawiczce Kwasigrocha był ukryty ołowiany kastet.

– Jeszcze chcesz, kozi synu? No to masz. Przyznaj się, bo zatłukę na śmierć.

– Kwasigroch! – krzyknął Adam.

Sierzant odwrócił się do niego z wściekłością.

– Co Kwasigroch? Towarzysz sierżant Kwasigroch, jeśli łaska.

– On ma już dosyć.

– Ty mi nie będziesz rozkazów wydawał.

Rąbnął Wieseborna z całej siły, żeby podkreślić, kto tu teraz rządzi.

– To jest hitlerowiec – dodał. – Możesz sobie zobaczyć, co żeśmy u niego znaleźli.

Pokazał na biurko, na którym leżała czapka oficerska Wehrmachtu z dość rzadkimi oznaczeniami. Pod gapą ze swastyką widniał chrześcijański krzyż. Adam wziął czapkę do ręki.

– Byłeś kapelanem Wehrmachtu? – zwrócił się po niemiecku do więźnia.

Wieseborn otworzył zapuchnięte oko. Po kilku godzinach brutalnego bicia wreszcie ktoś odezwał się do niego po ludzku. Skinął ciężko głową.

– Nie gadaj z nim! – wrzasnął Kwasigroch. – Ja go przesłuchuję. Nie widzisz, że to esesowiec?

– To są insygnia kapelana – odparł spokojnie Adam.

– A to? – Kwasigroch ściągnął rękawiczkę, pokazując ołowiany kastet na palcach. – Też u niego znalazłem. Tak wiernych spowiadał? No to teraz ja go wypowiadam.

Zamierzył się gołą ręką, żeby znów walnąć Wieseborna, ale Adam chwycił go za ramię.

– Wystarczy!

– Co, do sierżanta z łapami?

Chciał uderzyć go drugą ręką, ale Adam błyskawicznie wykręcił mu ramię na plecy.

– Posłuchaj mnie, towarzyszu sierżancie – syknął mu do ucha. – W ludowej milicji możesz być sobie nawet generałem, ale to śledztwo ja prowadzę, zrozumiałeś?

Kwasigroch pokiwał gorliwie głową. Adam puścił jego ramię i zwrócił się do Wasilewskiego:

- Kobiety Wieseborna też zamknęliście?
- Tylko jego. Sam był w domu.
- Dobra. Wynoście się wszyscy. Chcę go przesłuchać.

Wasilewski i Kwasigroch posłusznie wycofali się za drzwi. Tylko Pietia stał niewzruszenie w miejscu.

- Ty też.
- Ja muszę być przy wszystkim, co robicie. Taki rozkaz.
- Paszoł won! – ryknął Adam.

Podziałało. Młody czerwonoarmista w jednej chwili zamienił się w przestraszonego dzieciaka.

Wieseborn dźwignął z nadzieją głowę. Rozumiał tylko tyle, że cała awantura dotyczyła jakiegoś sporu o kompetencje. Nieraz był świadkiem podobnych scen we własnej armii.

- Nie zabiłem Friedkego – wykrztusił, plując krwią. – Nie zabiłem tego łajdaka.
- Podobno on też nie miał o tobie najlepszego zdania. Mówią, że na niego doniosłeś do Gestapo.

- Co niby miałbym na niego donieść?
- Że wygłaszał kazania przeciwko faszyzmowi.

Wieseborn parsknął czymś pomiędzy kaszlem a śmiechem.

- To był najbardziej zażarty nazista, jakiego znałem. Naprawdę wierzył w te wszystkie brednie o rasie. Napisał nawet książkę...

– O tym mówisz? – Adam wyjął spod kurtki dzieło o aryjskich korzeniach chrześcijaństwa.

- To była jego obsesja. Próbował nawet napisać aryjską wersję Nowego Testamentu, ale chyba nic z tego nie wyszło.

- Skoro był taki gorliwy, to dlaczego wylądował w obozie?
- Naraził się jakiemuś innemu durniowi z Deutsche Christen.
- Skąd?

– Deutsche Christen. Nazistowska wersja chrześcijaństwa. Friedke najpierw do nich należał – wtedy właśnie napisał tę książkę. Ale potem poróżnił się z nimi o jakieś kwestie teologiczne i wstąpił do Kościoła Wyznającego.

– A to co znowu?

– Luterkańska opozycja. Protestowali przeciwko podporządkowaniu Kościoła partii.

– Friedke też protestował?

– Raczej niemrawo. Przyłączył się do nich, bo myślał, że zrobi na tym karierę. Ale kiedy okazało się, że Kościół Wyznaniowy zdominowali antyfaszyści, próbował stworzyć skrzydło umiarkowane. Gestapo nie znało się na tych wszystkich subtelnościach i w trzydziestym ósmym Friedke został aresztowany i wysłany do Dachau. Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

Adam wziął ze stołu oficerską czapkę z dziwacznymi insygniami.

– Czyli do którego Kościoła ty należysz?

– Jestem zwykłym pastorem ewangelicko-augsburskim. W wojsku niosłem tylko posługę duchową naszym żołnierzom.

– W imię Marcina Lutra, który zalecał podpalać synagogi i burzyć żydowskie domy?^[45]

– W imię naszego Pana Jezusa Chrystusa, Żyda z urodzenia.

– Rozumiem. Ty tylko święciłeś karabiny i pojemniki z cyklonem B.

Wieseborn zamilkł na chwilę.

– Nie mówię, że my, Niemcy, jesteśmy niewinni – odezwał się cicho. – Ale Friedkego nie zabiłem. Nikogo nie zabiłem. Jestem pacyfistą.

– A ten kastet, którym okładał cię mój poprzednik?

– Trzymałem go dla obrony.

– Sowietów chciałeś kastetem straszyć? Nie wiem, czy jesteś pacyfistą, ale skończonym durniem na pewno.

– Nie Sowietów!

– A kogo?

– Friedkego.

– A więc jednak.

– Nie zabiłem go!

– Ale brałeś to pod uwagę?

– Bałem się, że to on pierwszy zaatakuje. Dlatego trzymałem w domu ten kastet.

– Rozumiem, że nie byliście przyjaciółmi.

– Ten łajdak nie miał żadnych przyjaciół.

– Spitzgau twierdzi co innego.

– Spitzgau! To jego niewolnik, a nie przyjaciel. Friedke ze wszystkich robił niewolników.

– Ze swojej żony też?

– Ilse nie ma z tym nic wspólnego! – zawołał, zrywając się krzesła.

– Odpowiedz na pytanie.

Wieseborn opadł z powrotem na miejsce, jakby nagle uszło z niego powietrze.

– Bił ją. Dlatego nie chciała mieć z nim do czynienia, kiedy wrócił.

Adam poczuł dreszcz podniecenia – niemal taki sam, jaki dawniej pojawiał się podczas zręcznie przeprowadzonych przesłuchań. Nareszcie zaczynało się to wszystko układać. Miał ochotę pobiec prosto do gabinetu nadkomisarza, żeby pochwalić się postęпами w śledztwie. Ale nie było już żadnego nadkomisarza. Pozostało tylko wspomnienie jego głosu.

– Gdzie ona jest?

Wieseborn pokręcił gwałtownie głową.

– Nie wiem. Zniknęła. Nie widziałem jej od kilku dni.

Kłamał. To było oczywiste. Adam nie miał wątpliwości, że znalazł się na właściwym tropie.

– Gdzie ona jest? – powtórzył.

– Nie wiem. Mówię prawdę. Kilka dni temu zniknęła.

– Mam tu zawołać z powrotem towarzysza sierżanta Kwasigrocha?

– Kiedy naprawdę nie wiem! Może wyjechała do matki, do Bremen.

Adam zastanawiał się już, czy naprawdę nie spełnić swojej groźby, kiedy do gabinetu wsunęła się ostrożnie głowa Pietii Fedoruka.

– Czego? Nie przeszkadzaj w przesłuchaniu!

– Ale ja właśnie w tej sprawie... Ta baba przyszła, coście jej szukali.

Adam zamarł na sekundę jak porażony prądem.

– Pilnuj więźnia! – rzucił i wybiegł z gabinetu.

– Tak jest! – odparł Pietia, uznając nowy rozkaz za powrót do łask.

Na korytarzu stała roztrzęsiona trzydziestoletnia blondynka. Żadna piękność – nogi krótkie, włosy rzadkie, w dodatku przetłuszczone. Adama najbardziej interesowały jednak jej silne ramiona, które bez większego trudu mogłyby zadać ogłuszający cios w głowę.

Na widok głównego śledczego rzuciła się na kolana, składając przed nim ręce jak przed kapłanem.

– Wypuście go! – zawołała błagalnie.

– Proszę wstać. Pani jest Ilse, żona pastora Friedkego?

– Tak, jestem Ilse Friedke. To ja zabiłam tego sukinsyna!

VI KOŚCI NASZYCH UMARŁYCH

1

Aż trudno uwierzyć, że kiedyś Osipowiczowi marzyła się robota komendanta wojennego. Było to jeszcze w partyzanckich czasach, kiedy mieszkał w leśnej ziemiance ze Swietą i jej nastoletnim synem Pietią, a jego ludzie nazywali go Dziadzią Arłamem. Nikomu nawet nie śniło się wtedy, że z Trzeciej Rzeszy zostaną tylko gruzy, a jej miasta będą okupowane przez Armię Czerwoną. Można byłoby więc uznać Dziadzię Arłama za wizjonera, gdyby swojego proroctwa nie wygłosił żartem i po pijanemu. Po prostu palnął na zebraniu dowódców oddziałów, że przyjdzie dzień, kiedy wszyscy będą wylegiwać się w puchowych kołdrach i pić prawdziwą wódkę, a nie samogon. Wiadomo, że po pijanemu ludzie różne rzeczy wygadują, więc na słowa Dziadzi Arłama prawie nikt nie zwrócił większej uwagi. Tylko Spirydenko, radiotelegrafista po kursie w Moskwie, który zawsze lubił się wymądrzać, powiedział z przekąsem:

– Chyba po śmierci w raju.

– Nie w żadnym raju, ale w Niemczech. Kto się zasłuży, dostanie tam własne miasto do zarządzania. Będziesz mógł tam sobie robić ze szkopami, co tylko będziesz chciał.

Wszyscy przy ognisku zarechotali. Na wyścigi zaczęli wymyślać, co takiego zrobiliby szkopom, którzy dostaliby się pod ich zarząd. Brzmiało to jak dobry żart, zwłaszcza że w tym samym czasie wokół obozowiska zacieśniało się niemieckie okrążenie.

Teraz komendantowi Osipowiczowi wcale nie było do śmiechu. Owszem, spał pod puchową kołdrą, a zwykłego samogonu nawet by już nie powąchał, ale za to żył ciągle w nerwach. W każdej chwili mógł przyjść z Moskwy szyfrogram odwołujący go ze stanowiska. Za co? A choćby za to, że pod jego bokiem grasowała jakaś wyjątkowo dobrze zorganizowana banda szabrowników. Właśnie przyszedł meldunek z Ahlbecku, nadmorskiej miejsciny położonej zaledwie kilka

kilometrów na zachód od Swinemünde. Trzech bandytów przyjechało tam ciężarówką i przez dobre kilka godzin plądrowało sklep po sklepie. Nie brali byle czego jak zwyczajni amatorzy – żadnych kryształów, obrazków czy innych pierdół. Załadowali co najcenniejsze rzeczy i zniknęli jak duchy. Sprawą trzeba było zająć się natychmiast, zanim jakiś sukinsyn doniesie do dowództwa, że Osipowicz nie radzi sobie w terenie.

Całkiem niezły donos można by też wypichcić na komendanta w związku ze sprawą ostatnich zabójstw. Dwa trupy w samym środku miasta – nie najlepiej świadczyło to o gospodarzu. Pal sześć Friedkego, ale polski porucznik zatłuczony podczas służbowego wyjazdu? I do tego te dziwactwa z urzniętymi paluchami. W gruncie rzeczy to ten cały Kostrzewa spadł komendantowi z nieba. Pozostawało wierzyć, że raz-dwa znajdzie zabójcę. Wierzyć i kontrolować, ma się rozumieć.

No i na końcu to przekłete schronisko dla dipisów. Doświadczenie podpowiadało Osipowiczowi, że sprawa mogła okazać się podstępna mina, która wysadzi jego władzę w powietrze. Wystarczyłaby jakaś mała epidemia tyfusu czy innego świństwa, żeby w sztabie uznali, że Osipowicz dłużej na komendanta wojennego się nie nadaje.

Sprawa numer trzy była zdecydowanie najgroźniejsza. Bandą z Ahlbecku mógł zająć się ktoś z jego ludzi. Nad śledztwem w sprawie Friedkego i Bendera miał pełną kontrolę. Natomiast zarazki, które wlekli ze sobą więźniowie obozów, mógł opanować tylko fachowiec.

Osipowicz już chciał wyruszyć do szpitala, żeby zrzucić sprawę na głowę doktora Spitzgaua, kiedy do jego gabinetu wpadł rozgorączkowany Pietia.

– Sprawa rozwiązana! Baba zabiła! – zawołał od progu.

Ktokolwiek inny na jego miejscu zostałby nie tylko wyrzucony na zbity pysk, ale też skończyłby w areszcie. Syn Swięty miał u komendanta szczególne względy.

– Nie drzyj mi się tu. Jaka baba, o co chodzi?

– Zastrzykiem w serce go dziabnęła, sucz jedna! Gada, że sama to zrobiła, ale idę o zakład, że razem z tym kochankiem!

Pietia zaczął z entuzjazmem opowiadać o niezwykłych postępach w śledztwie, jakie dokonały się od rana. Policzki płonęły mu z przejęcia. Osipowicz szybko pogubił się w całej tej plątanie – jakiś fenol, jakaś książka, jakiś drugi pastor, który odbił Friedkemu żonę. Zrozumiał z tego tyle, że Kostrzewa miał już

głównego podejrzanego i że okazała się nim kobieta. Wyglądało to na tyle poważnie, że komendant postanowił osobiście potwierdzić rewelacje Pietii.

Pojechali gazikiem do ratusza. Po drodze Pietia nie przestawał trajkotać.

– O, to jest jednak tęga głowa ten Kostrzewa! A my żeśmy mu tak mordę obili. Trochę ma o to żal, ale już się przekonał, że bez Pietii ani rusz. To ja żem odkrył, że tych dwóch ktoś szprycą dziabnął. No to dawaj ich na sekcję. Byliście kiedyś na sekcji? Przyjemny widok to nie jest, ale bardzo ciekawy. No i smród taki, że trudno wytrzymać. A ludzkie serce to w ogóle nie wygląda tak jak na obrazkach. Żaden tam czerwony pierniczek! Raczej kawał mięsiwa, ale taki, co by raczej na odpady poszedł. Widzieliście kiedyś ludzkie serce?

Umilkł dopiero wtedy, kiedy Osipowicz kazał mu zamknąć jadaczkę pod groźbą zwolnienia do cywila.

W ratuszu sytuacja wyglądała zupełnie inaczej, niż przedstawiał ją Pietia. Wcale nie panowała tu euforia z powodu wykrycia zabójcy. Przeciwnie, milicjanci sprawiali wrażenie, jakby stało się coś strasznego i dziwnego zarazem. Zwłaszcza Kwasigroch, który wybiegł komendantowi na spotkanie.

– Towarzyszu pułkowniku, musicie odsunąć go od śledztwa. To szaleniec. Albo gorzej – sabotażysta.

– A ty znowu swoje.

– Ale, towarzyszu pułkowniku, on wypuścił morderców!

Osipowicz spojrzał na stojącego obok Wasilewskiego. Były łągiernik wydawał mu się bardziej wiarygodny niż milicjant donosiciel.

– To prawda?

Wasilewski skinął głową. Też chyba nie mógł się w tym wszystkim połapać.

– Gdzie on jest?

Kwasigroch usłużnie poprowadził komendanta do gabinetu burmistrza.

Kostrzewa siedział za biurkiem i oglądał niemiecką czapkę oficerską z insygniami kapelana. Tylko tyle pozostało w pokoju po jej właścicielu, jeśli nie liczyć krwawych plam na dywanie. Ilse Friedke też nigdzie nie było.

– Kostrzewa! – krzyknął Osipowicz. – Zwolniliście morderców?

– To nie oni zabili Friedkego – odparł spokojnie Adam. – Bendera tym bardziej.

– Ale ta baba sama się przyznała! – zawołał wzburzony Pietia. – Na własne uszy słyszałem.

Adam posłał mu pogardliwe spojrzenie.

– I po co lecisz od razu do komendanta? Niepotrzebnie się fatygowaliście. Sprawa jest cały czas otwarta.

– To prawda, że ktoś się przyznał?

– Żona Friedkego. Chciała chronić swojego kochanka.

– Skąd wiecie?

– Bo ją przesłuchałem. Nie znała żadnych szczegółów morderstwa. Powiedziała, że zabiła go siekierą.

– To może zrobił to ten kochanek?

– Brałem to pod uwagę. Niestety, gość nie ma prawej ręki, a ten, który rąbnął Friedkego i Bendera, był praworęczny.

Osipowicz obrócił się ze złością do Pietii.

– I co mi głowę zawracasz? – huknął na struchlałego chłopaka.

– Ale, towarzyszu pułkowniku, skąd miałem wiedzieć, skoro on mnie do przesłuchań nie dopuszcza! „Paszoł won” do mnie powiedział. Jak byłem przy sekcji, to wszystko elegancko zostało rozwiązane. Raz-dwa żeśmy wykryli, co i jak z tym fenolem. Nie może tak być, że ja za drzwiami stoję, jak on szkopów przesłuchuje...

Osipowicz podniósł z irytacją rękę, żeby go uciszyć.

– Co to za historie z tymi zastrzykami w serce?

Adam krótko przedstawił mu wyniki sekcji przeprowadzonej przez Spitzgaua.

– Dobrze mówiłem – wtrącił Pietia. – To ja żem odkrył.

– Zamknij się, Pietia. Znaczy, macie jakiegoś podejrzanego czy nie?

– W tej chwili tylko jedna osoba przychodzi mi do głowy.

– Kto?

– Po pierwsze zabójca musiał być znajomym Friedkego, bo ten wpuścił go do domu. Po drugie musiał wiedzieć, jak wkleć się w serce i jak działa fenol. Wskazuje to na kogoś, kto był w obozie...

– Kto? Mówcie, bo nie mam czasu.

- To jest tylko hipoteza. Nie mam żadnych dowodów.
- Kostrzewa! Albo powiesz, albo wszyscy wracacie za kraty.
- Doktor Spitzgau.

Pietia prychnął lekceważąco.

- Ale wymyślił! A ja myślałem, że to inteligentny człowiek.
- Powtarzam – to jest tylko hipoteza.
- Do dupy ta twoja hipoteza – skwitował Osipowicz. – Spitzgau był całą noc ze mną, kiedy zatłukli pastora. Pojechaliśmy do Czerwonego Krzyża po moją kobietę.
- Razem ześmy jechali – potwierdził gorliwie Pietia. – Całą noc.

Adam rozłożył bezradnie ręce. W gruncie rzeczy nie stawiał na Spitzgaua. Gdyby nie został przyparty do muru, w ogóle nie wyjechałby ze swoją roboczą hipotezą.

- Tak jak powiedziałem: sprawa jest wciąż otwarta.

W rzeczywistości ostatnie godziny przyniosły mu znacznie poważniejsze rozczarowanie. Wcale nie chodziło o to, że Ilse Friedke nie zabiła swojego męża. O wiele bardziej rozczarującym odkryciem Adama było to, że to nie Ilse ukradła z ratusza zeszyt. Po prostu nie był jej do niczego potrzebny. Miała już oficjalną zgodę władz okupacyjnych na przesiedlenie do Bremen, gdzie mieszkała jej siostra. Lada dzień mieli wyjechać tam razem z Wiesebornem. Choć brzmiało to dosyć irytująco, ci dwoje naprawdę nie musieli kraść ani mordować, żeby rozpocząć nowe życie.

Osipowicz spojrział na zegarek ze zniecierpliwieniem. Mógł zajmować się albo bandą z Ahlbecku, albo schroniskiem dla dipisów.

- Detektywi, psia wasza mać – sarknął. – Więcej głowy mi pierdołami nie zawracać.

– Ja po was nie posyłałem. Gdyby nie wasz kapuś, dostalibyście normalny raport i nie byłoby zamieszania.

- Kto kapuś? – oburzył się Pietia. – Trzeba było nie mówić do mnie jak do psa!
- Pietia ma być przy każdym przesłuchaniu, jasne? – nakazał Osipowicz.

Pietia posłał Adamowi triumfalne spojrzenie.

- Rozumiem.

Osipowicz włożył z powrotem czapkę i już chciał wyjść z gabinetu, kiedy do środka wsunął się ostrożnie Wasilewski.

– Towarzyszu komendancie...

– A ty czego?

– Chciałem poruszyć kwestię pogrzebu.

– Jakiego znowu pogrzebu?

– Porucznika Bendera. I pastora Friedkego też, oczywiście. Skoro sekcja już jest zrobiona, to moglibyśmy ich pochować...

Osipowicz parsknął śmiechem. Z jakiegoś powodu pomysł obrzędowego pochówku wydał mu się zabawny.

– Zdurnieli! Pogrzeb będą wyprawiać. Co jeszcze, może jarmark też wam urządzić?

Nagle Adam doznał olśnienia. Pogrzeb. Oczywiście, jak mógł o tym wcześniej nie pomyśleć?

– Benderowi należy się pochówek – oświadczył nieoczekiwanie.

– No to go zakopcie, ileż to roboty?

– To będzie dobrze wyglądać w raportach – podsunął Adam. – Takie pojednanie narodów. Sowiecka władza urządza wspólny pogrzeb Niemca i Polaka.

Osipowicz spoważniał. Rzeczywiście, miał drań rację. Nadawałby się na dziejopisa w partyzantce.

– Ty mnie, Kostrzewa, nie będziesz uczył, jak pisać raporty – warknął dla porządku i dodał: – Róbcie, co chcecie.

I wyszedł. Adam odwrócił się do Wasilewskiego.

– Zajmijcie się tym z Kwasigrochem. Pietia niech też idzie z wami.

– Ja się na grabarza nie najmowałem – zaprotestował Pietia, wciąż obrażony za „kapusia”.

– Słyszałeś, co mówił twój komendant: masz być przy wszystkim, co ma związek ze śledztwem.

– A co ma grzebanie trupów do śledztwa.

– Morderca może pojawić się na pogrzebie.

Pietia był wyraźnie pod wrażeniem tej prostej myśli, ale nie chciał się do tego przyznać. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

– No dobra – powiedział, siląc się na obojętny ton.

Wasilewski ścisnął Adama lekko za ramię.

– Dziękuję – szepnął ze wzruszeniem. – Przywracasz mi nadzieję. Jesteś jak prawdziwy nowy Adam.

– A ty jesteś starym durniem. Nic cię ten Oświęcim nie nauczył – warknął Adam, strząsając z siebie jego rękę. – Bierzcie się do roboty.

Kiedy wreszcie został sam, poczuł przemożny głód. Od rana nie miał nic w ustach. Na szczęście, wychodząc od Frau Pohl, wsadził do kieszeni kromkę ciemnego chleba. W obozie nauczył się, żeby zawsze mieć przy sobie coś na później. Lata konspiracji tylko ugruntowały ten zwyczaj. Przeżuwając niemiecki chleb, czuł, jak supeł w żołądku rozluźnia się i znika.

Czyli jednak ma pan jakieś ludzkie uczucia, panie aspirancie.

Głód czuje nawet pies.

Mam na myśli pogrzeb. To chwalebne, że pomyślał pan o godnym pochówku dla tych ludzi.

Adam zaśmiał się na głos w pustym gabinecie. Zabrzmiało to dosyć upiornie i przypominało śmiech sowieckiego komendanta, więc zamilkł natychmiast. Czyżby sam zmieniał się niepostrzeżenie w sowieckiego człowieka?

„Godny pochówek” – tak rzeczywiście mógłby wyrazić się nadkomisarz Strzelczyk. Celował w takich górnolotnych sformułowaniach. Gdyby sam nie został pogrzebany w dole wypełnionym setką innych ciał, na pewno skrzywiłby się z niesmakiem na wieść, że godny pochówek Friedkego i Bendera wcale nie leży jego podwładnemu na sercu. Adam dawno już stracił wiarę i nadzieję na życie wieczne. Pozostała mu tylko konkretna nadzieja na życie z Mirą w Buenos Aires. A tę ożywiała równie konkretna wiara, że na pierwszym powojennym pogrzebie w mieście Swinemünde pojawi się rajzer.

Nowa moda szerzyła się wśród żołnierzy – zegarki na nogach. Osipowicz od początku widział w tym coś wyjątkowo nieprzyzwoitego. Na obu rękach, na przedramieniu – a noś sobie, bracie, tych zegarków, ile chcesz. Ale na nodze, jak lafirynda? Na takie zboczenie komendant nie miał zamiaru patrzeć przez palce. Zwalczał je równie zdecydowanie jak współżycie kilku naraz z tą samą kobietą. Nie tylko karał, ale też uświadamiał. Co prawda urządzenie pogadank wychowawczych nie należało do obowiązków komendanta, ale Dziadzia Arłam nic nie mógł na to poradzić, że wciąż czuł się kimś w rodzaju ojca dla swoich ludzi. Tłumaczył więc cierpliwie, żeby nigdy nie dobierać się kupą do jednej baby. Było medycznie udowodnione, że w ten właśnie sposób szerzy się franca i inne paskudne choroby: po prostu jeden zaraża drugiego. A przecież w ogóle nie było takiej potrzeby. Kobiet w Swinemünde nie brakowało. Wystarczyło powiedzieć do pierwszej lepszej „komm, Frau” i kobieta szła. A jeśli się opierała, to można było dać jej puszkę tuszonki albo suchary.

O ile sprawę intymnego pożycia żołnierzy udało się Osipowiczowi jako tako uregulować, o tyle walkę z nową zbereźną modą przegrywał na wszystkich frontach. Co drugi nosił teraz zegarek na kostce wokół nogi. Osipowicz na próżno grzmiał na świetlicy, że jest to wyuzdanie niegodne prawdziwego mężczyzny. Wyrwykowe kontrole potwierdzały, że moda przybiera na sile. A nie można było przecież rozkazać, by chodzili z podwiniętymi nogawkami.

Swoją drogą nawet Osipowicz musiał przyznać, że w zegarku było coś pociągającego. Sam miał ich chyba ze setkę. Oczywiście, trzymał je kulturalnie w szufladzie, a nie obwieszał się nimi jak Cygan podczas odpustu. Po prostu przyjemnie było wyłożyć je na stół i popatrzeć, jak cieniutkie wskazówki wędrują sobie z cichym cykaniem po cyferblacie. Człowiek odnosił wtedy wrażenie, że obcuje z najgłębszą istotą własnego życia. Cyk, cyk, cyk – tak zaiwaniał ludzki czas, a wątlej wskazówki nie dawało się nijak cofnąć. Jeszcze większy respekt wzbudzał widok ukrytego w środku mechanizmu. Kiedy odkręciło się tylną pokrywkę, oczom sowieckiego człowieka ukazywał się zachwycający system małych kółek i trybików – oto dopiero organizacja! Cała ta skomplikowana maszyneria przypominała ludzki umysł. Tak samo kręciły się w nim bez przerwy różne trybiki i tak samo nie sposób było odgadnąć, który do czego służy.

Szacunku do ludzkiego umysłu Osipowicz nie nauczył się na kursach NKWD. Nabral go wraz z doświadczeniem, i to wcale nie tym nabytym podczas

przesłuchań. Te raczej pokazywały, że człowiek jest urządzeniem prostym. Wystarczyło tylko trochę go przycisnąć, a niemal zawsze wychodziła z niego świnia. Co innego na froncie. Osipowicz nieraz widział, jak wąty smarkacz dźwigał na plecach rannego stukilowego chłopca. Taka siła mogła brać się tylko z umysłu, bo niby skąd?

Albo inna sytuacja: taki Andriejuszkin, wesoły chłopak z Mińska, zawsze pierwszy do zabawy i wygłupów. Nie było nikogo w oddziale, kto by go nie lubił. I nagle pewnego dnia ten wesołek zaczyna strzelać do wszystkich w obozie. Dziewięciu ludzi ubił, zanim powalono go na ziemię, a i wtedy potrzeba było czterech chłopca, żeby go obezwładnić. Co innego to było, jak nie siła płynąca z popsutego umysłu?

Osipowicz sięgnął po srebrną papierośnicę Bendera, którą postanowił „odziedziczyć” po polskim poruczniku. Zastanawiał się nawet, czy nie kazać zetrzeć inicjałów zmarłego i zastąpić ich własnymi. Bender pewnie też tak zrobił. Zabrał papierośnicę jakiemuś truposzowi i wygrawerował na niej swoje inicjały. Że niby taki z niego pan z dziada pradziada.

Swoją drogą to śmierć polskiego bezpieczeniaka była wcale nie gorszym przykładem na niezwykłość ludzkiego umysłu niż przypadek Andriejuszki. Kiedy skomplikowana maszyna w czasie zaczynała się, wtedy niemal zawsze działy się rzeczy straszne. Komu normalnemu przyszłoby do głowy, żeby wykończyć Friedkego i Bendera w tak cudaczny sposób? Normalny człowiek załatwiłby ich zwyczajnie nożem czy tam jakimś młotkiem, ale na pewno nie szpilą w serce, jak hitlerowski zboczeniec. No i, ma się rozumieć, nie robiłby tego całego cyrku z odcinaniem trupom palców.

Osipowicz wyjął papierosa, którego nie zdążył zapalić poprzedni właściciel. Nagle zauważył, że w środku papierośnicy było wygrawerowane coś jeszcze. Wyjął wszystkie papierosy. Na wewnętrznej ścianie widniał jakiś numer. Może był to po prostu numer seryjny pozostawiony przez jubilera, ale istniała też inna możliwość – że wygrawerował go sam Bender. „87”. Co to mogło znaczyć?

Komendant podszedł szybko do szafy pancerniej i wyjął ze środka karton, w którym przechowywał wszystkie przedmioty po denacie. Po kolei obejrzał każdy z nich z niejasną nadzieją, że znajdzie jakiś związek z numerem na wewnętrznej ścianie papierośnicy. Właściwie powinien zlecić to Kostrzewie, ale chciał poznać odpowiedź już teraz.

W dokumentach zmarłego nie było nic, co zwróciłoby jego uwagę. Brudna chusteczka do nosa zawierała jedynie informację, że jej właściciel był na bakier z higieną. Zmięty kawał plakatu wydobyty przez Kostrzewę z gardła denata też nic nowego do sprawy nie wnosił. Tak samo scyzoryk podłej jakości, którym Bender pewnie czyścił sobie paznokcie.

Osipowicz z irytacją wrzucił cały ten kram z powrotem do pudła. Nagle coś przykuło jego wzrok. Na boku scyzoryka był wygrawerowany niezgrabnymi drobnymi literami napis „Auschwitz”.

I jak tu nie wierzyć w potęgę ludzkiego umysłu, który w pięć minut potrafił rozwiązać zagadkę równie skomplikowaną jak mechanizm zegarka?

3

Niby trochę się ociepliło, ale nadal nie można było tego nazwać wiosną. Miasto spowijała wciąż mdła szaruga, jakby ktoś owinał je zawszonym kocem. Choć zbliżał się już koniec maja, pąki na drzewach wcale nie kwapiły się do otwarcia. Życie jakby przyczało się i wciąż czekało, czy można się wreszcie wychylić.

Adam szedł przez miasto, odnajdując drogę dzięki plakatom, które porozwieszał pierwszego dnia. Wszystkie wisały nadal na swoich miejscach, co bardzo dobrze świadczyło o rozsądku mieszkańców i fatalnie o ich odwadze. Adam raz po raz spoglądał wyzywająco w stronę poruszonej firanki albo dyskretnego cienia za oknem na piętrze. Tyle zostało z Herrenvolku^[46].

Rozglądał się też za czymś, a właściwie za kimś. Wciąż nie tracił nadziei, że z któregoś zaułka wychyli się rajzer, choć nie było ku temu żadnych podstaw. Tylko rajzer mógł ocalić Adama przed szalonym awaryjnym planem ucieczki z wyspy, który przyszedł mu do głowy tego ranka. Właściwie był to plan samobójczy. Gdyby jednak rajzer nie pojawił się w ciągu najbliższej doby, Adam nie widział innego wyjścia, niż zaryzykować to samobójstwo.

Po drodze do komendantury układał sobie w głowie główne punkty pierwszego raportu ze śledztwa – co mówić, co pominąć, a co zwyczajnie zełgać.

I to pan nazywa raportem, panie aspirancie?

Martwy nie zrozumie żywego, panie nadkomisarzu. Jeśli zaczną grzebać w przeszłości Bendera, to niedługo do pana dołączę.

Kiedy wszedł do gabinetu komendanta, od razu poczuł, że coś zmieniło się w ciągu ostatnich godzin.

– No, co tam mi mądrego powiecie, detektywie – zadrwił Osipowicz na powitanie.

Było to niepokojące. Zupełnie jakby drań wiedział coś więcej.

– Nowych ustaleń nie ma – odparł Adam, nieco zbity z tropu. – Z sekcji wynika...

– O tym waszym krojeniu trupów dosyć się nasłuchałem od Pietii. O Benderze co mi powiecie.

Adam zaniepokoił się. Od rana robił wszystko, żeby odwrócić uwagę od Bendera.

– Już wam powiedziałem: tak samo został ogłuszony i zabity zastrzykiem fenolu...

– A o tym co mi powiecie? – przerwał mu Osipowicz triumfalnie, kładąc na stole niezgrabny scyzoryk.

Adam poczuł, jak dreszcz przebiega mu przez całe ciało. Nadzieja, że Osipowicz nie zajrzy więcej do rzeczy Bendera, właśnie zgasła z sykiem.

– Scyzoryk – odparł, wzruszając ramionami. – O ile pamiętam, był w kieszeni Bendera.

– Gównu pamiętacie. A wiecie dlaczego? Bo dupa z was, nie detektyw!

Komendant ryknął śmiechem, zadowolony ze swojego dowcipu. W ogóle był w wyjątkowo dobrym nastroju. Adam postanowił to wykorzystać.

– Chodzi wam o ten napis „Auschwitz”?

Osipowicz spoważniał zaskoczony.

– To wiecie o tym i nic nie powiedzieliście?

– Nie widzę w tym nic ważnego.

– Jak to nieważne? Że Bender siedział w Auschwitz nieważne?

– Tak jest w jego papierach?

– W papierach nie ma, bo widać wolał się tym nie chwalić.

– Niby dlaczego?

– Ano dlatego – rzekł Osipowicz, otwierając srebrną papierośnicę. – Widzicie ten numer?

– Gdzie?

– Tu, taki mały. Osiemdziesiąt siedem.

– To może być seryjny numer jubilera.

– Albo jego numer z Auschwitz. Osiemdziesiąt siedem. Stary numer. Jeden z pierwszych, co tam siedzieli. A wiadomo, że te stare numery to były najgorsze zbiry, bo inaczej by tak długo nie przeżyli.

– Nie wszyscy.

– A czy ja mówię, że wszyscy? Ale nasz Bender na pewno. Dlatego to ukrywał. Założę się, że z niego był taki sam Bender, jak z was Kostrzewa.

Znowu gruchnął śmiechem. Wróciła mu pewność siebie.

– To nie jest żaden dowód. – Adam starał się mówić obojętnym tonem, jakby od odkrycia prawdziwej przeszłości Bendera wcale nie zależało jego życie. – Papierośnicę na pewno komuś zwędził, scyzoryk też. Kto jak kto, ale wy powinniście rozumieć takie obyczaje.

Nie było to zbyt rozsądne, ale Adam Kostrzewa pod żadnym nazwiskiem nie należał do ludzi rozsądnych, którzy tylko wyglądają zza zasłoniętych firanek. Zrobiłby w tej chwili wszystko, żeby zetrzeć z twarzy komendanta butny uśmiech.

Osipowicz walnął pięścią w biurko, aż scyzoryk Bendera podskoczył na dobry centymetr.

– Licz się ze słowami, swołocz! – huknął. – Nie będziesz mi tu obrażał wielkiego rosyjskiego narodu! Po co ja cię w ogóle wypuściłem? Do niczego się nie nadajesz. W pięć minut całą sprawę sam rozwiązałem.

Adam spokojnie przeczekał wybuch.

– To znaczy, że znaleźliście mordercę?

– Grunt, że wiem już, co to za jeden.

– Możecie mnie oświecić?

Osipowicz zawahał się, czy naprawdę nie zamknąć bezczelnego Polaka z powrotem, ale zdawał sobie sprawę, że nie miałyby to żadnego sensu.

– A choćby ten szkielet od was.

– Wasilewski?

– Siedział w Auschwitz? Siedział. To pewnie znali się z tym Benderem. Różne rzeczy tam między nimi mogły być.

– Zapominacie, że Wasilewski to jakieś pięćdziesiąt kilo skóry i kości. A oba ciała ktoś przytargał z miejsca zbrodni na ulice. Poza tym Wasilewski nie mógł zabić Bendera, bo w tym czasie nocował razem ze mną w jednym pokoju u Frau Pohl. No, a wiemy już, że Friedkego i Bendera zabiła jedna i ta sama osoba, która odcięła im palce.

– Nie mówię konkretnie, że Wasilewski! – zirytował się Osipowicz. – Jakiś inny więzień, po prostu.

– Kto?

– To już jest wasza robota. Ja wam tylko mówię, co ustaliłem.

– Że Bender miał przy sobie kradzione rzeczy?

– Nie wiadomo, czy kradzione!

– Ten numer to też tylko wasze domysły. Obejrzałem dokładnie ciało: nie miał żadnego tatuażu.

– Z tymi tatuażami też różnie było. Jednym tatuowali numery, innym nie – czort za szkopami trafi.

– No dobrze, założmy, że macie rację – Bender był w Auschwitz i starał się to ukryć.

– Tak było.

– W takim razie po co nosiłby przy sobie swój obozowy numer? I jeszcze ten scyzoryk.

– Niby słusznie mówisz, ale tak naprawdę to głupio.

– To mi wyjaśnijcie.

– Co mam ci wyjaśnić – jak ludzki umysł działa? To nie jest semafor na kolei – że jak zielone, to jedziesz, a czerwone – stoisz. Tym, co siedzieli, wszystko w głowach się popieprzyło. Oni nie mogą się od obozu odciąć, a już szczególnie od swoich numerów. Kto nie siedział, tego nie zrozumie. Ja to wiem, bo mam babę po obozie. A teraz wynoś się, bo zaczynasz mi działać na nerwy. Jutro chcę tu mieć na biurku listę podejrzanych.

Adam skwapliwie skorzystał z okazji i opuścił komendanturę. Sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę. Na razie udało mu się zamącić Osipowiczowi w głowie, ale na jak długo? W końcu komendant odzyska jasność widzenia i zacznie łączyć fakty. Nie było więcej czasu. Adam nie mógł już czekać na rajzera. Pozostał mu tylko szaleńczy plan, który nie miał większych szans powodzenia.

Tak czy inaczej trzeba było przynajmniej dobrze się przygotować. Ruszył szybkim krokiem na kwaterę.

Na szczęście Kwasigroch i Wasilewski jeszcze nie wrócili. Erica Pohl była w domu sama. Krzątała się wokół obiadu dla swoich lokatorów. Wyglądała inaczej niż poprzedniego dnia. Z rozpuszczonymi włosami, w normalnej sukience można ją było uznać za całkiem ponętą.

– Proszę mi przygotować prowiant na drogę i jakieś zapasowe ubranie.

– Pan już wyjeżdża?

– Komendant wysyła mnie na kilka dni w teren – skłamał Adam.

Erica skinęła głową, ale nadal nie ruszała się z miejsca.

– Dziękuję, że nie powiedział pan mi o Hansiem.

– Nie jestem donosicielem.

Erica przysunęła się do niego i otarła biodrami o jego rękę.

– Ty jesteś w ogóle inny od nich wszystkich – szepnęła. – Może pójdziemy do mojego pokoju?

Adam odsunął się gwałtownie, jak oparzony wrzątkiem.

– Prowiant i ubranie, słyszysz?! – krzyknął jej prosto w twarz. – Bo twój Hansie jeszcze dzisiaj będzie pływał w kanale z dziurą w głowie!

Erica zmieniła się na twarzy. Była przekonana, że o to mu chodziło. Skoro nie doniósł o Hansiem do komendanta, to czego innego mógłby chcieć? Teraz poczuła się jak szmata.

– Zaraz przygotuję – odparła z płonącymi policzkami i wyszła z pokoju.

Pół godziny później Adam, z plecakiem na ramieniu, był już na Schulstrasse^[47] przed na wpół zburzoną podczas ostatniego bombardowania kamienicą. Zachowało się w niej właściwie tylko jedno mieszkanie, z oknami zasłoniętymi tekturą. Nie było trudno tutaj trafić – ulica znajdowała się zaledwie dwie przecznice od kanału.

Zastukał do drzwi. Po chwili ukazała się w nich zapuchnięta, rozbita twarz pastora Wieseborna.

Przez moment bez słowa patrzyli sobie z Adamem w oczy.

– *Wer ist da?* – dobiegł ze środka zaniepokojony głos Ilse Friedke.

– W porządku, kochanie – odparł Wieseborn. – To swój.

Adam wszedł zdecydowanie do środka. To właśnie było jego wyjście awaryjne. Gdyby wiedział, że z odległości kilkudziesięciu metrów obserwuje go zza rogu budynku sierżant Kwasigroch, na pewno nie popełniłby tego błędu, ale ponieważ nie miał o tym pojęcia, wierzył, że mimo wszystko dopisze mu szczęście.

4

Trudno człowiekowi na stanowisku pogodzić się z myślą, że jakiś jego koncept może być funta kłaków niewart. Pułkownik Osipowicz długo więc obracał w rękach metalowy scyzoryk z ledwo zauważalnym napisem „Auschwitz”, jakby próbował przełknąć gorzką pigułkę, a właściwie cały ich zapas, który dostarczył mu Kostrzewa. Niestety, drań miał rację. W gruncie rzeczy ani scyzoryk, ani papierośnica nie stanowiły żadnego dowodu. Niejeden czerwonoarmista nosił przy sobie babski cyckonosz, a czy to od razu znaczyło, że był zboczeńcem? Po prostu spodobał mu się ciekawy przedmiot i wsadził go sobie do kieszeni, to wszystko. Tak jak z samogonem. Flaszkę zawsze każdy nosi przy sobie, ale przecież to wcale nie znaczy, że sam umie pędzić.

Osipowicz za bardzo jednak przyzwyczał się do swojego odkrycia, żeby tak łatwo dać za wygraną. Sięgnął po telefon i kazał dyżurnemu podstawić samochód. Postanowił pojechać do szpitala, żeby osobiście przekonać się, czy Bender rzeczywiście nie miał tatuażu z obozowym numerem. Kostrzewa mógł to zwyczajnie przeoczyć, tak samo jak przeoczył za pierwszym razem ślady po igle.

W szpitalnej kostnicy Kwasigroch i Pietia przenosili właśnie ciała obu denatów do drewnianych skrzyń. Doktor Spitzgau siedział przy stoliku i nalewał sobie do blaszanego kubka rozcieńczony spirytus. Musiał mieć już niezłe w czubie, bo język plątał mu się wyraźnie.

– Panowie, jeszcze raz wyjaśniam – bełkotał po rosyjsku – ciała trzeba przez noc trzymać w lodówce, bo rano będą cuchnąć. Jutro ich zapakujecie.

– Tylko przymiarkę robimy – odparł Pietia. – Czy wejdą.

Na widok wchodzącego komendanta Pietia się rozpromienił. Najwyraźniej doktor nie pił sam. Wskazywały na to dwa inne kubki na stole.

– Dziadzia Arłam! – zawołał, ale zaraz zreflektował się, że przy ludziach nie powinien pozwalać sobie na podobną poufałość. – Znaczy towarzysz pułkownik!

Doktor Spitzgau wyprostował się teatralnie jak struna i zsalutował, chwiejąc się na nogach.

– Melduję, towarzyszu pułkowniku, stan celi: pięciu, w tym jeszcze żywych trzech!

– Widzę, że zabawę tu sobie urządziliście.

– Ile my się nachodziliśmy za tymi trumnami! – zawołał Pietia. – Łatwo powiedzieć: pogrzeb. Ale jak pogrzeb, to musi być i trumna. A tu w całym mieście trumny jak na lekarstwo. Dacie wiarę? Całe szczęście, że polski towarzysz ma w tym fachu doświadczenie i sam potrafi trumnę zmajstrować. Popatrzcie tylko – robota prima sort.

Popukał w obie drewniane skrzynie po kolei.

– Prima sort – potwierdził z dumą Kwasigroch. – Tylko burmistrz za długi. *Zu lang.*

Pokazał z zatroskaną miną na skrzynię, z której wystawały kolana burmistrza Friedkego.

– Nie martwcie się – uspokoił go Pietia. – Nogi się trochę przytnie i będzie pasować.

– Wyciągnijcie Bendera – rozkazał Osipowicz.

– Dopiero co go zapakowaliśmy. Pasuje jak ulał. Piękny będzie pogrzeb.

– Słyszysz, co mówię? – przerwał mu surowo pułkownik. – Wyciągać go.

– Tak jest – odparł zdziwiony Pietia i dał Kwasigrochowi znak głową, żeby wyjąć Bendera z powrotem na stół.

– Podwiń mu rękawy – rozkazał Osipowicz.

– Jeszcze jakichś śladów po igle szukacie? Nie ma. Całe ciało dokładnie obejrzałem, bo na Kostrzewę to nie można liczyć. Po łebkach wszystko robi.

– Podwijaj!

Osipowicz pochylił się nad obnażonymi kończynami denata. Na prawym przedramieniu nie było nic, natomiast skóra na lewym była jakby spieczona.

– Co to jest?

– Nic takiego. Jakiś ślad po ranie.

– Nie ciebie pytam. Doktorze!

Doktor Spitzgau przyczłapał do stołu, starając się nie stracić po drodze równowagi.

– Według mojej profesjonalnej opinii mamy tu do czynienia ze śladem po oparzeniu głębokim drugiego stopnia, moi państwo.

– Nie pajacuj! – przywołał go do porządku Osipowicz. – Czy możliwe, że w tym miejscu był przedtem tatuaż?

– Oczywiście – wybełkotał Spitzgau.

Osipowicz wyprostował się z zadowoleniem. A więc wcale nie było przesądzone, że Bender w Auschwitz nie siedział. Zapewne nie było to jeszcze zwycięstwo, ale z całą pewnością pokrzepiający remis.

W domu czekała na pułkownika jeszcze lepsza wiadomość: Swieta ozdrowiała. Już kiedy podjechał do swojej nadmorskiej willi przy promenadzie, widać było, że coś jest nie tak. We wszystkich oknach paliło się światło, a ze środka dolatywała muzyka z patefonu. Osipowicz od razu pomyślał o bandzie z Ahlbecku i sięgnął po pistolet. Swojemu szoferowi kazał wziąć pepeszę i wejść przez taras, podczas gdy sam ostrożnie ruszył ku frontowi.

Ledwo wsunął klucz do zamka, drzwi otworzyły się na oścież. W progu stała Swieta. Miała na sobie kuchenny fartuch z obrazkiem pucułowatej niemieckiej gospodyni i napisem *Wie der Koch, so der Brei*^[48].

– Ile można na ciebie czekać? Pieczeń się przypali – powiedziała z wymówką, jakby przez ostatnie sześć lat ich jedyną troską była przypalona pieczeń.

Osipowicza jakby zamurowało.

– Swieta... – wyszeptał wreszcie. – Swietoczka...

Wyciągnął rękę, jakby chciał się przekonać, czy nie było to jakieś przywidzenie. Dotknął jej twarzy, ale zjawą wcale nie zniknęła.

– Teraz ci się na czułości zebrało? Obiad na stole. – Swieta odsunęła się ze śmiechem.

W tym momencie za jej plecami wyrósł szofer Mikutin, z pepeszą w ręku.

– Z tyłu czysto, towarzyszu pułkowniku.

– O matko! – przestraszyła się na jego widok Swieta, co jeszcze bardziej utwierdziło Osipowicza w przekonaniu, że była całkowicie normalna. Gęby Mikutina każdy by się przestraszył.

– Możesz iść, Mikutin. Wszystko jest w porządku.

Mikutin spojrział niepewnie na gospodynię. Słyszał, że babie pułkownika pomieszało się w głowie po obozie, ale ta tutaj na wariatkę wcale nie wyglądała.

– Mogę pod domem zostać.

– Jedź! – rozkazał pułkownik.

Obiad był kolejnym cudem, który podważył zaufanie Osipowicza do własnych zmysłów. Swieta podała prawdziwą pieczoną kurę. W całym domu unosił się jej rozkoszny zapach. Ale i to nie był żaden sen ani pijackie zwidy. Zresztą Osipowicz przez cały dzień nie wypił nawet kropli alkoholu. Dopiero teraz nalał sobie solidną porcję koniaku do szklanki, żeby trochę ochłonać. Ani na chwilę nie spuszczał oka ze Swiety, która zachowywała się jak zwyczajna żona przy zwyczajnym codziennym obiedzie. Jadła i trajkotała bez jednej przerwy o zupełnych bzdurach – a to o pogodzie, a to że ściany trzeba odmalować, bo w kilku miejscach farba odchodzi.

Osipowicz nie odzywał się ani słowem. Słuchał tylko i patrzył. Z początku był zachwycony cudownym ozdrowieniem. Błogosławił Spitzgaua i jego tabletki. Wkrótce jednak zachwyty zaczął ustępować miejsca irytacji. Swieta sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nic się nie stało – nie było wojny, wszy w partyzanckiej ziemiance, żadnej obławy, ucieczki przez bagna, Ravensbrücku, listu z Czerwonego Krzyża. A oni oboje przez całe życie mieszkali w nadmorskiej willi z tarasem, tocząc rozmowy o pogodzie i niezbędnych remontach: on – w swetrze domowej roboty i z fajką w gębie, ona – jak typowa niemiecka gospodyni z obrazka pod tytułem *Wie der Koch, so der Brei*. To nie było normalne. Pies trącał takie ozdrowienie.

– Skąd ty kurę wzięłaś? – odezwał się wreszcie Osipowicz. Chciał skierować rozmowę na konkretny temat, żeby przywrócić Swietę do rzeczywistości.

– A łążą po tarasie – odparła beztrąsko Swieta, ogryzając udko.

Osipowicz odwrócił się gwałtownie w stronę dużych oszklonych drzwi, które prowadziły na taras. Siedziało tam jak zwykle kilka pękatych mew.

Omął się nie zakrztusił. Wypluł natychmiast to, co miał w ustach, na podłogę.

– Chcesz nas otruć, wariatko!?! To są mewy! One ścierwo żrą, dlatego takie są utuczone!

Swieta zgasła w jednej chwili, jakby ktoś wyłączył jej w głowie światło.

– Mewy – powtórzyła bezwiednie.

Osipowicz wciąż pluł z obrzydzeniem na podłogę.

– Mewy, mewy. Na trupach karmione. Niech cię szlag.

Swieta wolno obróciła do niego głowę, jak mechaniczna lalka.

– Na trupach?

– A na czym? Tylko tego towaru teraz nie brakuje.

Swieta wstała jak półprzytomna, przewracając krzesło. W niczym nie przypominała już zadowolonej z siebie niemieckiej gospodyni. Wzrok miała znowu mętny, jak przez cały czas, odkąd odebrał ją z Czerwonego Krzyża.

– Swieta? Źle się czujesz?

Nie odpowiedziała. Ruszyła przed siebie, nie patrząc na krzesło pod nogami. Osipowicz w ostatniej chwili uratował ją przed upadkiem.

– Chodź, połóżysz się.

Położył ją w jej pokoju na piętze i okrył pledem. Chciał pogłaskać ją po włosach, ale skurczyła się cała ze strachu. Osipowicz cofnął rękę.

– Odpoczywaj sobie.

Chciał już wyjść, kiedy zobaczył wystający spod łóżka plik rysunków. To nad tym Swieta ślęczała całymi dniami w swoim pokoju. Wszystkie rysunki przedstawiały sceny z obozów. Były bardzo szczegółowe, jak zdjęcia robione z pamięci. Czuło się niemal udrękę na twarzach więźniów stojących w dwuszeregu na placu obozowym. Albo cierpienie mężczyzny w pasiaku skazanego na stójkę przy palu.

Nagle Osipowicz poczuł, że dreszcz przebiega mu po plecach. Mężczyzna w pasiaku był kubek w kubek podobny do białopolskiego detektywa Adama Kostrzewy.

– Świeta, ten też był w obozie? Jesteś pewna? Jak się wtedy nazywał?

Świeta wydała z siebie tylko przeciągły ryk i zwinęła się jeszcze mocniej w kłębek. Osipowicz przestał nią potrząsać. To nie miało sensu. W takim stanie nic z niej nie wyciągnie.

Zabrał rysunki i wyszedł z pokoju.

Kostrzewa jak żywy. Oczywiście, mogło to być tylko przypadkowe podobieństwo, ale jakoś za dużo przypadków nazbierało się tego dnia.

Zabrał się do oglądania pozostałych rysunków. Kto wie, kogo tam jeszcze rozpozna. Może na którymś był też Bender? Chociaż nie, ten siedział przecież w Auschwitz, jeśli w ogóle siedział...

Nagle rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Tak mógł pukać tylko podwładny. Pewnie Mikutin wrócił. Pułkownik Osipowicz wstał z irytacją. Miał zamiar zrugać szofera na czym świat stoi. Wyraźnie powiedział mu, że więcej go tego wieczoru nie potrzebuje.

W drzwiach nie stał jednak Mikutin, lecz polski milicjant – sierżant Kwasigroch.

– Czego? – huknął Osipowicz.

– Muszę z wami natychmiast porozmawiać. O Kostrzewie.

5

Tłumów nie było. Podwójny pogrzeb na pochyłym zboczu Alter Friedhof^[49] nie wzbudził w mieście takiego zainteresowania, jak można się było spodziewać. Z Niemców przyszli właściwie tylko ci, którzy nie mogli tego uniknąć, a więc szef policji pomocniczej Knopf ze swiątą, landrat Stanzel ze swoimi ludźmi z administracji powiatu i doktor Spitzgau, po części jako przyjaciel Friedkego, a po części z zawodowego obowiązku. Wszyscy stali w tęym milczeniu wokół dołu, w którym pracowało dwóch nastoletnich grabarzy – Markus i jego młodszy kompan. Wysokie drzewa liściaste na Alter Friedhof tworzyły w górze zielony dach, który chronił żałobników przed drobnym jak kasza deszczem.

Wasilewski był wyraźnie rozczarowany frekwencją, zwłaszcza że na cmentarzu nie było także Adama.

– Może coś mu się stało – niepokoił się na głos. – Na nocleg też się nie pojawił.

- Pewnie zabarłozył u jakiejś Niemry – podsunął Pietia.
 - Adam? To nie w jego stylu. On by nigdy kobiety nie zgwałcił.
 - A czy ja mówię o gwałceniu?
 - Kostrzewa już nie wróci – przerwał im stanowczo Kwasigroch. – Nie ma co się nim więcej zajmować.
 - A wy skąd wiecie? – oburzył się Wasilewski.
 - To już sprawa między mną a komendantem. Przyjdzie czas, to też się dowiecie.
 - Aresztowany?
 - Ja nic o tym nie wiem – zaprotestował Pietia.
 - Już i tak za dużo wam powiedziałem – odparł Kwasigroch, obrzucając ich obu wyniosłym spojrzeniem. Czuł, że znowu wraca na szczyt – może nie od razu na sam szczyt władzy w mieście, ale w każdym razie w jego pobliże. W końcu komendant musiał uznać jego pełnomocnictwo. Świadczył o tym dobitnie fakt, że poprzedniej nocy nie wyrzucił go ze swojego domu na kopach, ale wysłuchał z zainteresowaniem.
 - A komendant przyjdzie? – zaniepokoił się Wasilewski.
 - Czort go wie – odparł Pietia. – Od tego jest komendantem, żeby robić, co mu do głowy strzeli.
- Z dołu wyjrzał Markus, jeden z grabarzy.
- Chyba wystarczy taka głębokość, co? – zapytał, szukając wzrokiem kierownika całej imprezy.
 - Wyłaźcie już – rozkazał Knopf. – Nie będziemy tu sterczeć cały dzień na zimnie.
 - Ja tu decyduję, czy wystarczy, kozi synu – zrugął go Kwasigroch, przejmując dowodzenie nad ceremonią. – Kopać dalej.

Markus i jego pomocnik posłusznie wrócili do machania łopata. Pietia spojrzął z szacunkiem na sierżanta. Mimo młodego wieku znał się całkiem nieźle na meandrach władzy. Od razu potrafił rozpoznać, kto idzie w górę, a kto w dół. Jeszcze poprzedniego dnia polski sierżant był jak zbity pies, a teraz proszę – zachowywał się jak prawa ręka Dziadzi Arłama. Coś musiało wydarzyć się w nocy i na pewno miało to związek z tym, że Kostrzewa nie zjawił się na pogrzebie.

– Bardzo dobrze mu przygadaliście – podlizał się Pietia, na wypadek gdyby to teraz Kwasigroch miał zostać głównym śledczym. – Za bardzo się te nasze szkopy rozochociły.

Kwasigroch wzruszył ramionami. W wyobraźni wyolbrzymiał swoje wpływy i autorytet, toteż zdawało mu się, że nie potrzebuje już poparcia byle chłystka.

– Myślicie, że morderca tych dwóch już tu jest? – zagadnął go znowu Pietia.

– Niby po co miałyby przyłazić?

– Nie wiem, ale Kostrzewa mówił...

– Kostrzewa bzdury gadał. Jak ty byś kogoś zatłukł, to poszedłbyś na jego pogrzeb?

– A po cholere? Żeby mnie złapali? – obruszył się Pietia.

– To czemu myślisz, że ten, co zabił, jest od ciebie głupszy?

– Ja się nie zgadzam – zaprotestował Wasilewski. – Psychologicznie to jest bardzo prawdopodobne. Morderca Bendera i Friedkego ma wyraźną skłonność do ekshibicjonizmu, więc całkiem możliwe...

– Oświęcimiak! – przerwał mu ostro Kwasigroch. – Ja już ci raz powiedziałem: ty się zastanów, z kim trzymasz.

Wasilewski umilkł natychmiast. Przez dłuższą chwilę słychać było tylko chrzęst zmarzniętej ziemi i sapanie grabarzy amatorów. Przymusowi żałobnicy stali nad dołem w milczeniu, kuląc się w postawionych kołnierzach.

Od strony ulicy nadszedł pułkownik Osipowicz w asyście szofera Mikutina.

– Jest komendant! – ucieszył się szczerze Pietia.

– Jeszcze żeście ich nie pochowali! – zirytował się Osipowicz. – A ci, co tam tak kopią, skarbów szukają? Wyłazić mi już!

Markus i jego kompan ochoczo wyskoczyli z dołu z łopatami.

– Dalej – rozkazał Osipowicz. – Do dołu te skrzynki i zakopać. Dosyć tych ceregieli. Są ważniejsze sprawy.

– Czekaliśmy na Kostrzewę – skłamał Wasilewski, nie zważając na piorunujące spojrzenie sierżanta. – Ale coś się chyba stało, bo na noc też nie wrócił.

– Wasz Kostrzewa chciał nielegalnie wyjechać do amerykańskiej strefy – odparł Osipowicz. – Właśnie złapali go w punkcie kontrolnym.

Kwasigroch rozpromienił się. Była to najlepsza wiadomość, odkąd wylądował na tej niemieckiej wyspie.

– Ja draniowi nigdy nie ufałem. Nie wiem, czemu Bender w ogóle wziął go do naszej grupy.

– Spróbujcie się tego dowiedzieć – powiedział Osipowicz, jakby rzucał kość psu.

Kwasigroch poczuł, że nogi uginają się pod nim z radości, a w brzuchu łopocą rozkoszne motyle. Było to przecież wyraźne mianowanie na śledczego w miejsce skompromitowanego Kostrzewy.

– Tak jest, towarzyszu komendancie!

– Zaraz, dlaczego Adam miałby uciekać? – zdobył się na odwagę Wasilewski.

– Spytajcie raczej, jaki interes mieli ci Niemcy, żeby go ukrywać na swoim wozie.

– Adam z Niemcami?

– Dogadał się z żoną Friedkego i tym jej kochankiem, że przemycą go do Amerykanów. Pewnie dlatego wypuścił ich z waszego aresztu.

– Czyli miałem rację, że to oni zabili! – zawołał Kwasigroch. – Kto wie, czy nie w zмовie z Kostrzewą.

– Przesłuchanie wszystko wykaże – zawyrokował Osipowicz i wskazał głową na dwie trumny stojące na skraju dołu. – Dalej, zakopujcie ich, bo zimno się robi.

– Tak jest! – zawołał Kwasigroch i dał znak nastoletnim grabarzom, żeby wzięli się do roboty.

Markus i jego kompan nie mieli żadnej wprawy w pogrzebach, toteż opuszczanie ciężkich trumien na linach zajęło im sporo czasu.

– Pięknie się prezentują te nasze sosnowe jesioneczki. Aż żał zakopywać – powiedział Pietia porozumiewawczo do Kwasigrocha. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że na stanowisku śledczego nastąpiła w nocy zmiana. Trochę już przyzwyczał się do Kostrzewy, ale co zrobić, trzeba się odzwyczaić.

Kwasigroch nawet na niego nie spojrział. Też nie miał już wątpliwości, że Pietia nie jest mu więcej do niczego potrzebny, skoro w każdej chwili może sam zwrócić się do komendanta i zostanie wysłuchany.

Kiedy obie trumny były już na dnie dołu, Kwasigroch dał znak obu wyrostkom, żeby chwycili za łopaty, lecz nagle ni z tego, ni z owego Wasilewski wybuchnął:

– Chwileczkę! A mowa pogrzebowa? A kwiaty? To w ogóle nie jest pogrzeb!

Zaległa cisza. Kwasigroch patrzył na komendanta, spodziewając się, że zastrzeli zuchwalca na miejsca. Albo przynajmniej zdzieli go w pysk. Tymczasem Osipowicz wcale nie wziął krytyki do siebie.

– Księdza byście chcieli? – odparł wyraźnie rozbawiony. – Komunistów chowamy.

– Nie chodzi mi o metafizyczny wymiar, ale ludzki.

– Mówcie normalnie.

– Nie możemy ich tylko zakopać i rozejść się. Tak Niemcy robili.

– Co proponujecie?

– Laudację pogrzebową. Nie tych konkretnych zmarłych, ale życia, które tu ze sobą przynieśli.

– Normalnie mieliście mówić.

– Ktoś powinien wygłosić ostatnie pożegnanie.

– No to głoście.

– Ja?

– Śmiało. Tylko normalnie mówcie. Żeby nie tylko profesor mógł was zrozumieć.

Wasilewski chrząknął niepewnie. Wszystkie oczy skierowały się w jego stronę.

– Po niemiecku mam mówić? – spytał.

– Dla mnie możecie mówić nawet po chińsku.

Wasilewski skinął głową. Zaczął cicho, nieco bojaźliwie, potykając się o ostre niemieckie słowa, ale z każdym zdaniem rozkręcał się coraz bardziej.

– Zebraliśmy się tutaj...

Rozejrzał się dokoła.

– Zebraliśmy się tutaj... żeby pożegnać dwóch ludzi. Nie dwa miliony, nie dwa tysiące, ale tylko dwóch – waszego burmistrza Günthera Friedkego i naszego porucznika Janusza Bendera. Czy to byli dobrzy ludzie? Nie wiem. Pewnie zrobili tyle samo dobrego co złego. Czy ten, co ich zabił, jest złym człowiekiem? Tego też nie wiem...

– Co ty gadasz? – syknął mu do ucha Kwasigroch.

– Wiem natomiast – ciągnął Wasilewski coraz mocniejszym głosem – że w ostatnich latach morderstwo stało się potwornym banałem. Nie zabija się już pojedynczych ludzi, ale karczkuje całe ludzkie lasy, a ciała grzebie buldożerami. Śmierć nie jest już samotnym jegomościem z kosą na ramieniu, ale fabryką, która dzień i noc produkuje stosy bezimiennych trupów. A przecież każdy zmarły zasługuje na coś więcej niż tylko numer czy dziurka w perforowanej karcie. Każdemu, nawet największemu złoczyńcy, trzeba dać tabliczkę z jego imieniem i obola na drogę...

– Co mu dać? – szepnął Pietia do Kwasigrocha, ale sierżant tylko pokręcił głową, jakby opędzał się od natrętej muchy.

– Kończcie już – upomniał mówcę Osipowicz, który coraz mniej rozumiał z całej przemowy.

– Dlatego nie jest ważne – kontynuował niewzruszenie Wasilewski – czy burmistrz Friedke i porucznik Bender byli dobrymi ludźmi. Żegnając ich jako pojedynczych bohaterów, robimy to dla siebie – żebyśmy mogli zacząć liczyć czas na tej wyspie od zera. To jest wasza ziemia, ale odkąd spoczną w niej kości jednego z naszych umarłych – stanie się także nasza...

– No i bardzo pięknie – przerwał mu z irytacją pułkownik Osipowicz, zrywając z trawy dwa złotożółte mlecze. – Macie tu swoje kwiaty i kończymy przedstawienie.

Cisnął mlecze do dołu i dał znak grabarzom, żeby wzięli się do roboty.

Nagle o wieko trumny zadudniło kilka wielkich, ciężkich szyszek, które spadły znienacka gdzieś z góry. Osipowicz zbladł. To nie były szyszki.

– Granaty! – krzyknął, rzucając się instynktownie na ziemię.

Seria potężnych wybuchów wstrząsnęła całym zboczem. Słup ziemi zmieszanej z kawałkami sosnowych desek i ludzkich ciał sięgnął zielonego sklepienia na Alter Friedhof.

VII WERWOLF

1

Nowe czasy wymagały nowych rozrywek. Na przykład totalizatora, który przyjmowałyby zakłady, kto i kiedy pójdzie znowu siedzieć. Adam mógłby sporo zarobić, obstawiając przeciwko sobie. W ciągu zaledwie kilku dni udało mu się zaliczyć już drugie aresztowanie.

Tym razem sam był sobie winny. Jak mógł liczyć na to, że ruscy nie sprawdzą dokładnie każdego wozu przesiedleńczego, który wyjeżdżał do amerykańskiej strefy? W nowym totalizatorze takiego zakładu pewnie w ogóle by nie przyjęto.

Na swoją obronę miał tylko tyle, że właściwie spodziewał się tego. Od początku uważał, że to szaleństwo i samobójstwo chować się pod warstwą niemieckich kołder na furmance powożonej przez Wieseborna i jego kochankę. Ale pętla się zacieśniała. Osipowicz krążył wokół jego przeszłości jak wilk, który złapał trop. Także historia dwojga niemieckich kochanków przypomniawszała mu dobitnie, że powinien jak najszybciej ruszać w dalszą drogę. Do Miry.

Czy wciąż na niego czekała?

– Myśli pan, że nas rozstrzelają? – odezwał się pastor Wieseborn spod małego okienka w ich wspólnej celi.

– Was raczej nie – odparł Adam.

– A pana?

Adam nie odpowiedział. Nie miał ochoty na przyjacielskie pogawędki z niemieckim kapelanem, który jeszcze niedawno bez mrugnięcia powieki rozgrzeszał każdą zbrodnię przeciwko wszelkiej maści żydowskim i słowiańskim podludziom. Z drugiej strony musiał przyznać, że Wieseborn zachował się wobec niego lojalnie. Dotrzymał słowa danego podczas przesłuchania, choć ryzykował życie swoje i Ilse.

– Bolszewizm jest straszny. – Pastor Wieseborn pokręcił głową. – W tym jednym nasza propaganda nie kłamała.

– Niedługo znowu zaczniecie doceniać Führera – zauważył cierpko Adam.

– A wy ciągle będziecie nam wypominać przeszłość? – zirytował się Wieseborn.
– Wojna ma swoje prawa.

– My was do Warszawy nie zapraszaliśmy.

– Ani my was tutaj, a jednak przyjechaliście, i to razem z Armią Czerwoną, a tyle się mówiło, że Polacy to zagorzali katolicy i antykomuniści! I co? Gdzie teraz są ci polscy katolicy i antykomuniści?

– W różnych miejscach. Oświęcim, Brzezinka, Majdanek, Palmiry... Mam wymieniać dalej?

Wieseborn zamilkł na dłuższą chwilę.

– Nie spierajmy się – powiedział wreszcie cicho. – Jedziemy teraz na jednym wózku.

– Jechaliśmy, ale nic z tego nie wyszło.

Wieseborn uśmiechnął się słabo.

– Pan nie jest komunistą, prawda?

– Jestem człowiekiem, który pamięta za dużo.

Nagle z piwnicznego okienka w górze dobiegł tupot wojskowych butów. Słysząc było ożywione pokrzykiwania po rosyjsku i podjeżdżające raz za razem ciężarówki.

– Coś się chyba stało – zaniepokoił się Wieseborn.

– Jadą na jakąś akcję – wyjaśnił Adam, wsłuchując się w rosyjskie komendy.

– To dobrze dla nas?

– Zobaczymy.

Ciężarówki odjechały ze wściekłym warkotem. Na ulicy znów zaległa cisza.

Przez dobre dwie godziny nic się nie działo. Żadnego ruchu na zewnątrz, żadnych przesłuchań. Komendant Osipowicz rzeczywiście musiał być czymś bardzo zajęty.

Okolo południa ciężarówki powróciły. Adam i Wieseborn zamarli pod piwnicznym okienkiem, nasłuchując w napięciu tupotu i pokrzykiwań

enkawudzystów. Tym razem nie byli sami. Z ciężarówek wyładowywali jakichś cywili – najwyraźniej Niemców szturchanych kolbami.

– Zrobili łapankę – orzekł Adam. Dobrze znał te odgłosy.

– Co?

– To samo co wy robiliście w Warszawie.

– Niechże pan mówi jaśniej! Co tam się dzieje?

Wyjaśnienia nie były potrzebne. Po chwili tupot rozległ się w korytarzu, a potem drzwi celi otworzyły się ze szczękiem i do środka wepchnięto kilkunastu mężczyzn w różnym wieku. Wąska piwniczna cela zamieniła się w zatłoczony tramwaj. Wszyscy stali ściśnięci obok siebie jak sardynki w puszcze.

– Wypuście nas! Udusimy się tutaj! – wrzasnął histerycznie jakiś mężczyzna w kraciastym szaliku i zaczął kopać w drzwi.

Przerażony tłum zaczął w panice napierać w jego stronę. Coś trzeba było zrobić.

– Spokój! – krzyknął Adam. – Nikt się nie udusi. Jest dopływ powietrza.

Nikt go nie słuchał. Tłum napierał coraz bardziej. Słabsi zaczęli tracić równowagę.

– Uspokójcie się! Powietrza jest dosyć!

– To jeden z nich! Ja go znam! – krzyknął nagle nastoletni chłopak, który wydał się Adamowi znajomy. Był to Hansie, syn jego gospodyni, miłośnik esesmańskich pamiątek.

W tłumie znalazł się też szyper Neupert. Od razu rozpoznał Adama.

– Prawda! Przyjechał z nimi! Sam go przywiozłem!

– I co? – natarł na niego Adam. – Chcecie mnie załatwić? Śmiało.

Neupert zamilkł. Wydarzenia ostatnich dni przekonały go, że na niemiecką solidarność nie było co liczyć.

– Przestańcie – powiedział Wieseborn. – On jest tu takim samym więźniem jak ja. Co tam się stało?

– Powstanie! – zakrzyknął z entuzjazmem Hansie. – Werwolf wreszcie zaatakował!

– Co ty wygadujesz?

– To prawda! Wszystkich kolaborantów wytłukli!

- Co?
- Był atak – przyznał Neupert. – Ale nie wiadomo, czy to Werwolf.
- A kto? – zacietrzewił się Hansie. – Taką odwagę ma tylko germański wojownik!
- Przymknij się – uciszył go Adam. – Jaki atak, gdzie?
- Na starym cmentarzu – odparł Neupert. – Podczas pogrzebu Friedkego.
- Granatami ich obrzucali! – wykrzyknął z zachwytem Hansie. – Podobno na wszystkich drzewach wiszą teraz ich flaki.
- Boże, miej nas w swojej opiece – szepnął ze zgrozą Wieseborn.
- Bóg już nie jest po waszej stronie – powiedział Adam. – A ty konkretnie mów, niby czyje flaki tam wiszą?
- Wszystkich! Stanzel zabity, Knopf zabity...
- Knopf podobno przeżył – poprawił go Neupert.
- A Polacy? Tam było też dwóch polskich milicjantów.
- Załatwieni.
- Odwieźli ich do szpitala – poprawił chłopaka Neupert. – Wiem, bo Spitzgau mi powiedział.
- Czyli doktor przeżył?
- Szczęście w nieszczęściu – odparł Neupert.
- Gdzie tu nieszczęście?! – zawołał Hansie. – Nawet ruski komendant oberwał!
- To prawda? – spytał Wieseborn.
- Lekko ranny – przyznał Neupert. – Dostał jakiegoś szau. Od rana Rosjanie jeżdżą po mieście i wyciągają ludzi z domów.
- No to już po nas – orzekł Wieseborn i nie zwracając uwagi na drwiące spojrzenie Adama, przeżegnał się dyskretnie.
- Uwolnią nas! – zawołał Hansie. – To był dopiero pierwszy atak. Teraz Werwolf uderzy na miasto.
- Najpierw to ja ciebie uderzę – zagroził mu Adam. – Jeśli wszyscy faszyci byli takimi kretynami jak ty, to nic dziwnego, żeście tę wojnę przegrali. Lepiej już stul pysk, germański wojowniku.
- Wieseborn obrócił się z rozpaczą do Adama.

– Ale po co te aresztowania? Oni nie mają z tym nic wspólnego.

– A dla was miało to jakieś znaczenie? Rozwalaliście zakładników z byle powodu. Rosjanie nie są od was lepsi.

– I co teraz?

– Mogę powiedzieć panu dokładnie. Teraz szukają drutu. U Rosjan zawsze wszystkiego brakuje, więc zajmie im to kilka dni. My w tym czasie będziemy tu stali we własnych szczynach. Potem podjadą ciężarówki. Załadują nas i wywiozą do jakiegoś lasu. Tu macie sporo lasów, więc nie będzie z tym problemu. W lesie będzie już czekał na nas wielki dół. Pietia Fedoruk i inne zuchy z NKWD już go w tej chwili kopią. Potem zwiążą nam ręce z tyłu swoim cennym drutem i ustawią na brzegu tego dołu. Potem jakiś oficer, może nawet sam Osipowicz, wyciągnie pistolet i będzie każdemu po kolei strzelał w tył głowy. A później nas zasypią.

– To niemożliwe... – wyszeptał Wieseborn.

Adam rozłożył bezradnie ręce. Nigdy dotąd nikomu nie wyjawiał tego, co widział w pewnym rosyjskim lesie pod Smoleńskiem^[50]. Dopiero Wiesebornowi o tym powiedział, choć ten niczym specjalnym na to sobie nie zasłużył. Po prostu Adam bardzo się już zmęczył ucieczką, która trwała nieprzerwanie, odkąd zobaczył długie szeregi na wpół przegniłych ciał polskich oficerów. Były ich tam tysiące, ułożonych w kilku warstwach.

Teraz, kiedy wreszcie to powiedział, poczuł nawet coś w rodzaju ulgi.

2

Z medycznego punktu widzenia rana była niegroźna: odłamek granatu rozorał lewe ramię Osipowicza, ale nie uszkodził ścięgien ani kości. A jednak pułkownik został zraniony znacznie poważniej, niż wynikało to z pierwszych oględzin w szpitalu. Uszczerbku doznała bowiem jego dusza, a dla każdego Rosjanina, nawet komunisty, dusza była organem znacznie ważniejszym niż taka, dajmy na to, wątroba. Osipowicz zawsze uważał się za dowódcę sprawiedliwego i w gruncie rzeczy łagodnego. W partyzantce był dla swoich ludzi jak rodzony ojciec, a jeńców nigdy nie męczył ponad miarę. Kiedy został komendantem wojennym, starał się postępować tak samo. Żołnierzy traktował sprawiedliwie, a pokonany germański

naród – wręcz wielkodusznie. Ukrócił gwałty i samowolne grabieże, nie kazał mieszkańcom nosić żadnych opasek ze swastykami ani kłaniać się na ulicy. Ba, nawet mianował Niemców na wysokie stanowiska w mieście. Można powiedzieć, że serce przed nimi otworzył. I co? Jaka zapłata go za to spotkała?

– Mieliście szczęście – powiedział Spitzgau, bandażując ramię komendanta.

Osipowicz spojrzał na lekarza z pogardą. Cała jego gorycz skupiła się na tym jednym przedstawicielu zdradzieckiej rasy. Kto wie, czy ten też nie spiskował za jego plecami. Chętnie wsadziłby go za kraty razem z całą resztą, ale ktoś musiał zająć się dipisami, którzy mieli przyjechać do miasta lada dzień.

– Wasze właśnie się skończyło – warknął, wkładając z powrotem mundur.

– To musiał być jakiś pojedynczy szaleniak – powiedział ostrożnie Spitzgau. Był przerażony trwającymi od rana masowymi łapankami na ulicach. – Może ten sam, co zabił Friedkego i tego Polaka...

– Stul pysk! – huknął Osipowicz. – Ktoś cię pytał o zdanie? Prowadź do rannych.

Spitzgau zamilkł potulnie. Poszli do dużej sali, w której leżały razem wszystkie ofiary zamachu. Na jego widok Kwasigroch daremnie próbował podnieść się z łóżka.

– Towarzyszu pułkowniku, to Kostrzewa...

– Co Kostrzewa?

– Ten zamach...

– Kostrzewa od rana siedzi u nas za kratami.

– Wspólników ma... Poezja, Waszyngton, ten mały Lońka. Grali komedię, że się ze sobą żrą, ale razem działają...

– Gdzie oni są?

– Nie wiem, ukrywają się...

– To nie zwracaj mi głowy, durniu! – huknął Osipowicz i odwrócił się do Spitzgaua. – To wszyscy?

– W izolatce jest jeszcze Wasilewski, ten Polak po obozie. Nadal nie odzyskał przytomności. Raczej nie przeżyje – poważny uraz głowy.

– A reszta?

– Głównie rany kończyn, tak jak tutaj – odparł Spitzgau, zsuwając prześcieradło z Kwasigrocha. Jego prawa noga była obandażowana szczelnie od stóp aż po uda, a on sam dyszał ciężko, wyczerpany po nieudanej próbie wskazania winnego.

– A ten? – spytał Osipowicz, wskazując na zlanego potem, bladego Knopfa, który miał obandażowaną głowę.

– Stan jest poważny. Pęknięta śledziona.

– Będzie żył?

– Trudno powiedzieć.

Knopf próbował unieść się na łokciach, ale był na to za słaby. Z jego gardła wydobył się charkot.

– Co mówisz? – Osipowicz nachylił się nad nim.

– Szulc... – wycharczał Knopf.

– Jaki Szulc?

– Szulc ich nasłał...

– Kogo?

Knopf próbował powiedzieć coś jeszcze, ale oczy mu zmatowiały.

– Kogo nasłał? Jaki Szulc? Mów!

– Nie słyszy – powiedział Spitzgau. – Jest w malignie.

– Masz go podreperować, rozumiesz? On coś wie.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł Spitzgau.

Osipowicz rozejrzał się po sali nieco uspokojony. Z początku wyglądało to na jatkę, ale w gruncie rzeczy nie było tak źle: jeden zabity, dwóch ciężko rannych, reszta na pewno się wyliże. Najważniejsze, że nie zginął żaden Rosjanin. Stanzel to niewielka strata. Raz-dwa znajdzie się kogoś na jego miejsce. Knopfa trochę szkoda, ale może jednak wyżyje. Zwłaszcza że chyba coś wiedział. Choć z drugiej strony mogły to być tylko majaczenia w gorączce. Kim był Szulc? I kogo niby miał nasłać?

W komendanturze powitał go rozpromieniony Pietia. Co jak co, ale Osipowicz musiał przyznać, że w akcji chłopak zawsze rozkwitał. Niejeden dorosły robił w gacie, kiedy tylko zaczynała się strzelanina, a ten tylko nabierał rumieńców. Od dziecka taki był.

– Mamy go, towarzyszu komendancie! – zawołał, tryskając dumą. – Jednak wasz Pietia nadaje się na śledczego.

To była z kolei cecha, której u chłopaka nie znosił – skłonność do przechwałek.

– Kogo macie?

– Zamachowca. Zobaczcie, co żeśmy u niego znaleźli: nowiutki schmeisser – pysznił się Pietia, demonstrując niemiecki pistolet maszynowy. – Granaty też miał w schowku. Pięć mu jeszcze zostało.

– Powiesz wreszcie kto czy mam ci to z gęby wytrzasnąć?

– Neupert.

– Co?

– Tak jest. Ten szyper. Jakby głos taki usłyszałem: idź, Pietia – powiedział – na kuter tego Neuperta, co żeśmy go zamknęli, i przeszukaj. No i patrzcie, co znaleźliśmy!

Osipowicz obejrzał ze wszystkich stron schmeissera głównie po to, żeby ukryć przed chłopakiem, że policzki aż paliły go ze wstydu. Szyper Neupert! Prędzej spodziewałby się, że pierwszy zdradzi go taki Stanzel albo Knopf. A tymczasem Stanzel rozprysnął się po drzewach na Alter Friedhof, a Knopf walczył o życie w szpitalu.

– Więcej wam powiem – dodał Pietia. – Po mojemu to on zabił też tych dwóch.

– Skąd wiesz?

– Motyw miał.

– Co takiego?

– Motyw. Tak się mówi w śledztwie.

– Ty nie ucz ojca dzieci robić, gówniarzu. Jaki motyw?

– Więc tak: Friedkego uważał za zdrajcę i zabił go, żeby ostrzec innych. Wiem, bo przesłuchałem Markusa, jednego z tych grabarzy, co pracowali dla Knopfa. Przed samą śmiercią pastora Neupert łaził po mieście i rozpowiadał, że trzeba wziąć sprawy w swoje ręce, bo inaczej Polacy przejmą całą wyspę. U Knopfa też był. Tak samo u Stanzla.

– To by się nawet zgadzało – podchwycił Osipowicz. – Bendera też zabił dla ostrzeżenia. Wepchnął mu przecież ten polski plakat do gardła.

– No widzicie! – rozpromienił się Pietia. – To on!

– Dawaj go tutaj – rzucił Osipowicz.

– Tak jest!

Chwilę później strażnik wprowadził Neuperta do gabinetu komendanta. Ledwo drzwi się zamknęły, pułkownik skinął głową do Pietii, wskazując na aresztanta. Chłopak splunął w rękę i z całej siły rąbnął go pięścią w twarz. Do przesłuchiwania podejrzanych nie miał serca, ale tu chodziło o sprawę osobistą. Mało brakowało, a jego flaki też rozbryznęłyby się po drzewach. Poza tym był absolutnie przekonany, że ma do czynienia z mordercą, więc ręce go świerbiły.

Neupert upadł na podłogę, zupełnie zaskoczony. Krew buchnęła mu z ust.

– To twoje? – spytał Osipowicz, pokazując schmeissera.

Neupert rozpoznał broń. Nie było sensu zaprzeczać.

– Trzymałem dla obrony. Przed szabrownikami.

– Granaty też dla obrony?

– Do usuwania przeszkód na rzece.

Osipowicz znów dał Pietii znak głową.

– Zaczekajcie! – zawołał Neupert. – To nie będzie potrzebne. Przyznaję się.

– Do czego?

– Do czego chcecie. Tylko to musi być na piśmie.

– Przyznajesz się, że zabiłeś burmistrza Friedkego i porucznika Bendera?

– Niech będzie.

– Tak czy nie?

– Tak, to ja ich zabiłem.

– I do zamachu na cmentarzu?

– Tak, to ja was obrzuciłem granatami. Gdzie mam podpisać?

– Swołocz! – syknął z wściekłością Osipowicz i dał znak Pietii, który masował sobie dłoń rozbitą o zęby Neuperta.

– Można pod buty, towarzyszu pułkowniku? – spytał prosząco Pietia.

– Można.

Pietia rzucił się z ochotą do kopania mordercy i zamachowca – po głowie, po brzuchu, po kroczu. Tak się w tym zapamiętał, że Osipowicz musiał oderwać go od tej roboty, ciągnąc za kołnierz.

– Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Wystarczy, bo nic więcej nie powie.

Pietia dyszał ciężko. Pot zalewał mu czoło.

– Ale... już wszystko wiadomo – wysapał.

– Nic nie wiadomo. Sam tego wszystkiego nie zrobił.

Zwinięty na podłodze Neupert uniósł zakrwawioną twarz.

– Gdzie mam podpisać? – wycharczał.

– Co ci się tak pali? – zakpił Osipowicz. – Najpierw podasz nam nazwiska wszystkich członków Werwofu w mieście.

– Nie znam.

– Przypomnisz sobie. Masz moje słowo.

W oczach Neuperta, obojętnych od wejścia do gabinetu komendanta, błysnęło śmiertelne przerażenie.

3

Wychowanie korespondencyjne przyniosło fatalne skutki w rodzinie Eriki Pohl. Tylko na początku wydawało się jej doskonałym pomysłem, żeby Fritz udzielał Hansiemu ojcowskich pouczeń w listach z frontu. Syn nie mógł wychowywać się bez ojca, zwłaszcza jedynak. Ustalili więc wspólnie, że w każdym liście do domu jeden akapit będzie skierowany wprost do chłopaka, a Erica odczyta mu ten fragment w imieniu ojca.

Pierwsza ojcowska przemowa, napisana gdzieś na Kaukazie, zrobiła na dwunastoletnim Hansiem piorunujące wrażenie. „Drogi synu – pisał sierżant Fritz Pohl. – Wiem, że jest wam z mamą ciężko, ale jako niemiecki mężczyzna musisz być twardy”. Więcej wskazówek wychowawczych list nie zawierał, ale ta jedna wystarczyła, żeby przepełnić dwunastolatka poczuciem dumy i własnej wartości. Ojciec nazwał go mężczyzną! To zobowiązywało. Hansie z dnia na dzień odstawił dziecięce zabawki i zaczął zachowywać się jak godny namiestnik swojego ojca w ich domu w Swinemünde. Było to zabawne i urocze. Erica natychmiast napisała o tym do Fritza.

Odpowiedź przyszła po wielu tygodniach, w mocno podniszczonej kopercie. Słowa Fritza, a właściwie to, co było między słowami, potwierdzało plotki – na

Wschodzie nie wszystko szło dobrze. Niepokój o męża Erica zachowała dla siebie. Hansiemu odczytała tylko przeznaczony dla niego akapit, a właściwie znów tylko jedno zdanie: „Drogi synu, pamiętaj, że nie możesz okazywać słabości, bo nasi wrogowie tylko na to czekają”.

Hansie wziął sobie nową naukę do serca i od tej pory nie pozwalał już matce całować się na dobranoc. Przestał też opowiadać jej o zabawnych wydarzeniach w szkole czy na zbiórkach Hitlerjugend. W ogóle stał się małomówny. Przy obiedzie siedział wyprostowany z przesadnym dostojeństwem w swoim mundurku i odzywał się tylko półsłówkami, jakby wydawał rozkazy. To nie było już urocze. Erica poskarżyła się na dziwne zachowanie syna w kolejnym liście na Kaukaz.

Tym razem wychowawczy fragment listu ojca był nieco dłuższy, choć nadal niezbyt konkretny. „Drogi synu – pisał Fritz – potępiam surowo twoje niewłaściwe zachowanie wobec matki. Pamiętaj, że musisz być twardy i słuchać jej we wszystkim”. Hansie wysłuchał napomnienia z pokorą, po czym złożył obietnicę poprawy. Zrobił to jednak tak oficjalnie, jakby składał przysięgę organizacyjną. Erica była poważnie zaniepokojona. Chłopak pilnie potrzebował ojca. Niestety, o przyjeździe Fritza nie było co marzyć. Urlopy zostały wstrzymane. Można się było domyślić, że nie bez powodu.

Tymczasem Hansie zmieniał się coraz bardziej. Owszem, robił, co mu się kazało – ścierał łóżko, wynosił śmieci, podlewał kwiaty, ale sprawiał przy tym wrażenie oficera zmuszonego do wykonywania idiotycznych rozkazów. Czasem oficer nie wytrzymał i wybuchał z gwałtowną wściekłością. Kiedy stało się to pierwszy raz, Erica przestraszyła się nie na żarty.

„Drogi synu – upominał go w kolejnym liście Fritz – twoje zachowanie jest prawdziwie bolszewickie, niegodne Niemca i mojego syna”. Erica przeczytała ojcowskie potępienie z emfazą. Hansie był w szoku. Ojciec nazywał go bolszewikiem! Chłopak rzucił się do swojego pokoju i wybuchnął płaczem w poduszkę.

Przez następne miesiące naprawdę się starał. Chciał być wzorowym niemieckim synem, twardym i posłusznym zarazem. Miał jednak poważny kłopot z zastosowaniem obu tych ojcowskich instrukcji naraz. Rzeczy te wykluczały się nawzajem: jak miał jednocześnie być twardy i słuchać rozkazów kobiety? To po prostu nie miało sensu.

W tym czasie Erica zdawała już sobie sprawę, że wychowanie Hansiego przez listy załamało się tak samo jak ofensywa na Wschodzie. Ponieważ na przyjazd ojca nie było na razie szans, postanowiła przejść do działania. Podczas odczytywania kolejnych ojcowskich instrukcji, które znów były ogólnym napomnieniem do twardości, dodała jedno zdanie od siebie. „Doszły mnie słuchy, że zaniedbałeś się w algebrze – zmyśliła, fałszując styl Fritza. – Postępując w ten sposób, oddajesz pole Żydom, którzy do umiejętności liczenia przykładają dużą wagę”. Hansie spurpurowiał, ale nic nie powiedział. Oczywiście, listu Erica mu nie pokazała, zasłaniając się tym, że jego większa część dotyczyła prywatnych małżeńskich spraw.

Kłamstwo to doskwierało jej sumieniu aż do dnia, kiedy Hansie wrócił ze szkoły i położył na stole sprawdzian z algebry. Zdał go najlepiej w całej klasie. Mało tego, pozwolił nawet ucałować się za to w czoło.

Od tej pory Erica zaczęła dodawać od siebie coraz więcej. Dzięki temu ojcowskie instrukcje stały się nie tylko dłuższe, ale też bardziej konkretne. Nie mówiły już o ogólnej potrzebie nieugiętości charakteru, ale też dawały synowi praktyczne wskazówki, jak naprawić różne zaniedbania w domu i w szkole. Hansie stosował się do nich bez szemrania. W głębi duszy rosła w nim jednak odraza do matki za donoszenie o każdym jego występku. Coraz bardziej czuł się synem swojej ojczyzny niż Eriki Pohl.

Niestety, listy od Fritza były coraz rzadsze, a potem w ogóle przestały przychodzić. Erica pisała do męża niezmiernie często, ale odpowiedzi wciąż nie było. Pilnej ojcowskiej interwencji wymagał natomiast pomysł Hansiego, żeby wspomóc wysiłek zbrojny ojczyzny i wstąpić do Volkssturmu. Jako czternastolatek musiał mieć na to zgodę ojca. Erica niecierpliwie wypatrywała listu od Fritza, żeby odczytać chłopcu zdecydowaną odmowę. Wreszcie zdecydowała się na rozpaczliwy krok: sama napisała do siebie list od męża i wsadziła go do sfatygowanej koperty.

„Drogi synu – grzmiał z zaświatów głos sierżanta Fritza Pohla – doszły mnie słuchy, że pragniesz wstąpić do Volkssturmu. Jestem dumny z twojej decyzji, ale muszę cię prosić, abyś pozostał przy matce. Jest mi ona równie droga jak ty i będzie potrzebowała męskiej ochrony przed nadciągającymi hordami bolszewików i Żydów. Dlatego proszę cię usilnie o opiekę nad nią”.

Erica skończyła czytać i spojrzała w napięciu na syna. Nie była pewna, czy nie poniosła ją za bardzo pisarska fantazja, choć z drugiej strony „hordy bolszewików i Żydów” były w stylu Fritza. Sukces przerósł jej najśmielsze oczekiwania. Hansie objął ją opiekuńczo i zapewnił, że pozostanie u jej boku. Ujęło go zwłaszcza to, że tym razem ojciec kierował do niego prośbę, a nie rozkaz. Nie wstąpił do Volkssturmu. Erica odetchnęła z ulgą, przynajmniej na jakiś czas.

Do końca wojny napisała jeszcze kilka fałszywych listów od Fritza. Prawdziwy list nie nadszedł już nigdy. Nie dostała też żadnego oficjalnego zawiadomienia o jego śmierci na froncie, ale w głębi serca wiedziała, że nie żyje. Czuła to. Z wyjawieniem prawdy Hansiemu chciała poczekać aż do ostatecznej kapitulacji, żeby nie przyszło mu do głowy nic głupiego.

Kłamstwo wyszło jednak na jaw nieco wcześniej. Podczas amerykańskiego bombardowania Swinemünde^[51] Hansie zgłosił się do obrony przeciwlotniczej. Temu nie mogła już zapobiec. Przeżył, ale powrócił do domu zupełnie odmieniony. Podczas nalotów poznał syna mężczyzny, który był towarzyszem broni sierżanta Fritza Pohla. W ten sposób dowiedział się, że cała kompania ojca została całkowicie wybita przez bolszewików dwa lata wcześniej. Nikt nie ocalał. Kilku pojmanym jeńcom wyłupiono oczy i powieszono ich dla przykładu na słupach telegraficznych.

Hansie zażądał od matki wszystkich listów od ojca, jakie czytała mu przez ostatnie lata. Kiedy odmówiła, odebrał je siłą. Opór na nic się nie zdał. Hansie miał już piętnaście lat i był wzrostu dorosłego mężczyzny. Od razu poznał się na oszustwie: ostatnie listy Fritza Pohla były napisane ręką Eriki.

Uderzył ją w twarz.

Zniknął prawie na trzy miesiące. Erica odchodziła od zmysłów, rozpytując o syna po całym mieście. Podobno wstąpił do Volkssturmu i wyjechał, żeby bronić Berlina.

Pojawił się znienacka tuż po tym, jak do Swinemünde weszli Rosjanie. Źle wyglądał – brudny, wynędzniały. Nie chciał jednak nawet słyszeć o tym, żeby zdjąć podarty mundur Volkssturmu. Po prostu najadł się kartofli i wrócił do swojej kryjówki. Nie chciał z nią rozmawiać.

Od tej pory przychodził prawie co wieczór. Karmiła go, prała mu ubranie i błagała, żeby nie dał się wciągnąć w żadną partyzantkę. Rzesza została pokonana

i nic nie mogło tego zmienić. Wymyślał jej wtedy od ruskich dziwek i wykrzykiwał frazesy żywcem wyjęte ze starych audycji propagandowych – coś tam o niezłomnym germańskim duchu. Było to dalekie echo listów Fritza Pohla – tych pierwszych, pisanych jeszcze jego ręką. Trudno o bardziej przekonujący dowód, że korespondencyjne wychowanie zawiodło całkowicie.

Ostatni raz pojawił się, kiedy Erice dokwaterowano przymusowych lokatorów. Miał szczęście, że trafił na tamtego Polaka, który nie dość, że puścił go wolno, to jeszcze nie doniósł na niego Rosjanom. Oboje mieli szczęście.

Od tamtej pory Hansie zniknął na dobre. Erica nie miała pojęcia, gdzie się ukrywa ani czy naprawdę związał się z tymi szaleńcami z Werwolfu, którzy podobno nadal siedzieli po bunkrach i urządzali zasadzki na pijanych Rosjan. Kiedy usłyszała o zamachu na Alter Friedhof, serce stanęło jej z przerażenia. Czy to mógł być jej Hansie? Musiała odnaleźć go, zanim zrobią to Rosjanie.

Błąkała się półprzytomna po ulicach Swinemünde, zaglądała do ruin pozostawionych przez ostatni amerykański nalot, szukała w miejscach, w których Hansie lubił bawić się jako dziecko – w porcie koło hotelu Drei Kronen, na Kurhauspromenade, na szerokiej piaszczystej plaży przy molo... Wydmy! – przyszło jej nagle do głowy, kiedy wracała już zadrzewioną aleją Bismarckstrasse w stronę miasta. Wydmy zostały w ostatnich latach wręcz usiane solidnymi betonowymi bunkrami. Większość z nich przetrwała bombardowanie. Były to idealne miejsca na kryjówki.

Zawróciła gwałtownie, żeby rzucić się biegiem w stronę wydm, kiedy nagle stanęła jak wryta. Było za późno. Ulicą jechała otwarta rosyjska ciężarówka. Na platformie siedziało kilku cywili z podniesionymi rękami. Jednym z nich był Hansie. Spotkali się na chwilę wzrokiem.

Erica nie wiedziała, jak ani kiedy znalazła się w swoim domu. Z odrętwienia wyrwał ją dopiero skrzeczący megafon. Ulicą przejeżdżała rosyjska furgonetka, z zamontowanym na dachu głośnikiem. Ktoś obwieszczał łamaną niemieczyzną, że zarządzeniem komendanta wojennego w mieście zostaje wprowadzona godzina policyjna i że za ukrywanie członków Werwolfu, którzy dokonali bandyckiego zamachu na cmentarzu ewangelickim, grozi kara śmierci.

Skrzeczący głos przywołał Ericę do życia. Miała gdzieś godzinę policyjną. Włożyła buty i wyszła. W mieście była jedna osoba, która mogła jej pomóc: Edwin Knopf, szef niemieckiej policji. Rano słyszała, że przeżył zamach, więc powinien

być już u siebie. Musiał wstawić się za Hansiem u komendanta. Był jej to winien. Czas odebrać całą zapłatę za to, że pozwalała mu się obłąpać. Tym razem nie wykręci się byle konserwą z Unry. A jeśli będzie się opierał, powie komu trzeba, że kazał jej szpiegować podczas sprzątnia, co dzieje się w komendanturze.

Willa Knopfa przy Molenweg była pogrążona w ciemności, a na pukanie do drzwi nikt nie odpowiadał. Erica nie miał pojęcia, że Knopf walczy w tej chwili o życie w szpitalu. Przyszło jej do głowy, że raczej spił się po porannych wydarzeniach na cmentarzu i po prostu poszedł spać. Sięgnęła po klucz – Knopf dał jej go, żeby sprzątała dom pod jego nieobecność.

Weszła do środka.

– *Halo? Herr Knopf?*

Miała nadzieję, że usłyszy pijackie chrapanie, ale w domu panowała cisza. Zapaliła świeczkę – temu draniowi niczego nie zbywało, nawet świeczek i zapalek, choć były na wagę złota. Ruszyła przez wielki dom, zaglądając po kolei do każdego pokoju.

Wyglądało na to, że Knopfa rzeczywiście nie było. Może źle usłyszała, że przeżył? Serce skurczyło się jej na samą myśl – nie ze współczucia dla obleśnego lajdaka, ale dlatego, że nie widziała dla Hansiego innego ratunku.

Chciała już wracać, kiedy jej uwagę przykuło masywne dębowe biurko w gabinecie. Knopf był na jego punkcie dziwnie przeczulony. Nigdy nie pozwalał jej nawet się do niego zbliżyć. Kiedy chciała je raz odkurzyć, wydarł się na nią jak obłąkaniec. Wiedziała, co to znaczy. Trzymał tam swoje tajemnice. A niektóre tajemnice były teraz warte więcej niż cukier, mąka czy kasza.

Nie wahała się długo. Zamek w szufladzie puścił już po trzeciej próbie przy użyciu kuchennego noża. W środku było metalowe pudełko z tytoniem. Otworzyła wieko i przysunęła świecę.

Na dnie pudełka, pod warstwą tytoniu, było jedno zdjęcie. Pamiątka z frontu. Zostało zrobione gdzieś na Wschodzie.

Ericę przeszedł dreszcz. Wiele słyszała o strasznych rzeczach, które działy się na wschodnim froncie, ale czegoś takiego się nie spodziewała.

Nie potrzebowała już pomocy Knopfa. Była pewna, że za to zdjęcie komendant Osipowicz zapłaci każdą cenę.

4

To nie była żadna osobista niechęć, tylko żelazna logika: za wszystkim stał Kostrzewa.

Prawda, że Kwasigroch gościa nie lubił. Widział w nim typowego przedwojennego „salonowca”. Tak nazywał młodych inteligentów, którzy nigdy nie wstawali przed ósmą rano, żyli Bóg wie z czego, a całe dni spędzali w drogich restauracjach, gdzie normalnego człowieka nie stać byłoby nawet na śledzia z pięćdziesiątką. Kwasigroch znał kiedyś takiego jednego – syna siostry, po studiach we Lwowie. Matematykę skończył czy coś. Bez jednej przerwy bazgrał po serwetkach jakieś liczby i przesiadywał po kawiarniach z podobnymi do siebie. Wieczorami natomiast łąził po operach, żeby słuchać różnych wyjców. Z wojny wrócił kulawy, ale od razu zabrał się do robienia „konspiracji”. Polegało to na tym, że znowu przesiadywał całymi dniami po knajpach i kawiarniach w towarzystwie koleżków. Podobno teraz Londyn za to płacił. Rodzonego wuja nigdy do konspiracji nie zaprosił, choć Kwasigroch też chętnie napiłby się czasem na koszt Londynu. Kostrzewa był wypisz wymaluj taki sam. Ciągłe gęba skrzywiona, jakby miał łajno pod nosem, a jeśli już się odezwał, to tylko po to, żeby człowieka obrazić. Kwasigroch dałby sobie rękę uciąć, że ten też konspirował w czasie wojny na całego, a przed wojną – kto wie, czy tak samo jak inni „salonowcy” nie łąził do opery.

Dobra, nie życzył draniowi dobrze, ale to wcale nie znaczy, że nie umiał osądzić go według faktów. A te były dla Kostrzewy nieubłagane.

Po pierwsze: tylko on nie pojawił się na pogrzebie, choć sam całą sprawę wymyślił. Wniosek: działał w porozumieniu z tymi, co rzucali granatami. Nieważne, że sam w tym czasie wpadł już w ręce ruskich. Tylko potwierdzało to taką wersję wydarzeń. Kostrzewa zaplanował zamach, wydał rozkazy swoim ludziom, podczas gdy sam próbował dać nogę na Zachód. To było typowe dla salonowców opłacanych przez Londyn. Zawsze wyręczali się frajerami.

Po drugie: tamtego ranka, kiedy znaleźli trupa szwabskiego burmistrza, Kostrzewa zjawił się z obandażowaną głową. Twierdził, że spadł ze schodów przy szabrowaniu, ale było jasne, że ktoś dał mu w nocy po łbie. Jaka była szansa na to, że nocna bójka Kostrzewy nie miała nic wspólnego z nocnym zabójstwem

Friedkego? Dziesięć do jednego? Wniosek: Kostrzewa zabił Friedkego, ale przy okazji też trochę oberwał.

Po trzecie: Bender został ukatrupiony, kiedy Kostrzewa siedział razem z Kwasigrochem i Wasilewskim za kratami w komendanturze, więc własnymi rękami go nie zabił. Drugie morderstwo miało jednak wyraźny związek z pierwszym – sam Kostrzewa to przyznawał. Wniosek: zabójcą musiał być wspólnik Kostrzewy, który dostał od niego wskazówki, co i jak robić. A kto mógł być jego wspólnikiem? Kwasigroch w pierwszej kolejności obstawiałby Wasilewskiego, bo ci dwaj od początku trzymali się razem. Ale Wasilewski też w tym czasie siedział. Musiał to być zatem ktoś z tych, którzy pozostali na wolności: Waszyngton, Poezja oraz Lońka. Poezja raczej nie, bo między nim a Kostrzewą ciągle iskrzyło... W tym miejscu Kwasigroch doznał olśnienia. Oszukali go, kozie syny. Od początku grali przed nim komedię. Wszyscy trzej byli wspólnikami Kostrzewy. Znali się od dawna i tylko udawali, że skaczą sobie nawzajem do gardeł. Kto wie, czy Bender nie był razem z nimi w tej samej bandzie. Zabili go, bo czymś się im naraził.

Wniosek końcowy: Kostrzewa, Waszyngton, Lońka, Poezja i pewnie też oświecimiak Wasilewski tworzyli jedną bandę. Musieli znać się od dawna, ale odgrywali komedię, że dopiero się spotkali. Ich hersztem był Bender. Kwasigroch został przydzielony do grupy dla kamuflażu – jako oficjalny dowódca potrzebny był ktoś z prawdziwym nazwiskiem i politycznie słusznym życiorysem. Były berlingowiec nadawał się do tego celu w sam raz.

Po co banda została wysłana do Swinemünde – tego Kwasigroch jeszcze nie wiedział. Przypuszczał, że chodziło o jakiś zakopany skarb. Niemiecki burmistrz pierwszy stanął im na drodze, więc musiał zginąć. Być może na tym tle doszło między nimi do jakiejś kłótni i dlatego Bender przyjechał na miejsce, żeby wziąć sprawę w swoje ręce. Kostrzewa kazał go jednak także załatwić, a potem za jednym razem wykończyć całą resztę władzy w mieście: zarówno Niemców, jak i Rosjan.

Kwasigroch zobaczył to wszystko w jednym przeblýsku zrozumienia, kiedy leżał jeszcze ogłuszony na cmentarzu ewangelickim, a wokół wolno podnosił się dym po niespodziewanym ataku. Pobliskie drzewa były upstrzone ludzkimi szczątkami jak choinki na Boże Narodzenie – tyle tylko zostało ze Stanzla, niemieckiego landrata. Kwasigroch przeraził się, że rozumuje z taką jasnością jak nigdy dotąd. Mogło to

oznaczać, że nadeszły jego ostatnie chwile, zwłaszcza że zaraz po tym, jak poraziła go prawda o Kostrzewie, wokół zaczęła zapadać ciemność, a przecież nie było jeszcze południa.

Na szczęście ocknął się w szpitalu – z paskudnie poszarpaną przez odłamki nogą, ale żywy. Czuł, że musi natychmiast podzielić się swoją objawioną wiedzą z komendantem, który osobiście oglądał skutki zamachu.

– Towarzyszu pułkowniku, to Kostrzewa... – wycharczał przez wysuszone gardło.

Niestety, oprócz żelaznej logiki nie miał nic na poparcie swojej teorii. Zresztą Osipowicz nawet nie pozwolił mu przedstawić całego toku rozumowania i wyszło na to, że Kwasigroch znowu wyrwał się ze zwykłym donosem.

Potrzebowali dowodów. Wiedział nawet, jak je zdobyć. Rozejrzał się po sali. Leżały tu wyłącznie ofiary porannego zamachu – oprócz Kwasigrocha sami Niemcy.

– Ty, rudy! – zawołał po polsku Kwasigroch do lekko rannego Markusa, który zajmował łóżko pod drzwiami. – Krzyknij tam na lekarza!

– Was? – spytał Markus, pokazując na migi, że nie rozumie ani słowa.

– Lekarz – wycedził wolno. – *Wracz. Doktor. Panimajesz?*

Markus skinął głową i wyszedł na korytarz. Po chwili wrócił z doktorem Spitzgauem.

– O co chodzi? – spytał Spitzgau po rosyjsku.

– Gdzie jest Wasilewski – ten drugi Polak, co był na cmentarzu?

– W izolatce. Ciężko ranny w głowę.

– Muszę z nim mówić.

– To niemożliwe. Nie odzyskał przytomności.

– Chcę go zobaczyć. Podstaw mi tu jakiś wózek.

Pokazał oburącz, że zamierza sam popychać koła wózka inwalidzkiego. Spitzgau zrozumiał od razu, o co mu chodzi.

– Musicie leżeć. Rana może się otworzyć...

Kwasigroch złapał go znienacka za fartuch pod szyją.

– Wózek, rozumiesz, kozi synu? Teraz. *Jetzt.*

Irytująca była ta germańska nacja – po dobroci nic nie można było z nimi załatwić, ale złap tylko jednego za gardło, a nieba ci przychyli. Oczywiście, wózek znalazł się bez trudu. Nawet pomogli mu na niego wleźć.

– Zawieź mnie do Wasilewskiego – rozkazał Kwasigroch.

– Już mówiłem, jest nieprzytomny...

Kwasigroch chwycił go mocno za rękę.

– Trzeci raz nie będę powtarzał.

Szpitalne korytarze były zatłoczone łózkami i tobołkami. Leżeli tu pacjenci najniższej kategorii, którzy nie zasługiwali na miejsce na sali, a więc głównie przesiedleńcy z Prus Wschodnich, którzy utknęli w Swinemünde na dobre. Nie było mowy o tym, żeby pomieścić w szpitalu nadciągającą falę dipisów powracających na zachód z więzień i obozów. Spitzgau widział tylko jedno wyjście – ulokować ich w budynku gimnazjum męskiego. Jedno skrzydło wciąż nadawało się do użytku...

– Stój!

Na jednym z korytarzowych łóżek leżał jakiś szczeniak z obandażowaną klatką piersiową. Kwasigroch rozpoznał go od razu. To był rajzer – włóczęga, który przypłynął razem z nimi na wyspę.

– Ty! – zawołał zaskoczony i uradowany zarazem. Nareszcie szczęście zaczęło mu sprzyjać. Rajzer też mógł należeć do bandy Kostrzewy.

Chłopak patrzył na niego z przerażeniem, zlany potem. Oddychał szybko.

– Co tu robisz?

– Wasi mnie postrzelili...

– Jacy nasi?

– Ten drab z talerzówką...

– Poezja? Gdzie oni są?

– Nie wiem...

– Kto was tu wszystkich przysłał? Kostrzewa czy Bender?

– Co?

– Znaleźliśmy go pod szpitalem – wtrącił się Spitzgau. – Rana postrzałowa klatki piersiowej.

– Nie ciebie pytam! – Kwasigroch był coraz bardziej podniecony odkryciem niespodziewanego świadka. – Odpowiadaj, szczeniaku: Kostrzewa jest waszym szefem, tak?

Nacisnął ranę na piersi chłopca.

– Gadaj!

Rajzer krzyknął z bólu, ale nic nie odpowiedział. Złana potem głowa opadła na poduszkę.

– Zemdlał – stwierdził Spitzgau.

Kwasigroch zaklął pod nosem. Musiał przyznać, że trochę go jeszcze ponosiło podczas przesłuchań; musiał nabrać więcej doświadczenia.

– Macie go pilnować – rozkazał. – To jest ważny świadek.

Spitzgau nie odpowiedział. Nagle poczuł, że musi wlać w siebie przynajmniej ćwiartkę spirytusu, żeby przeżyć resztę tego dnia. Musiał jak najszybciej pozbyć się kłopotliwego pacjenta.

Przed izolatką zatrzymał wózek i wszedł do środka pierwszy. Po chwili wyszedł na korytarz.

– Możecie go zobaczyć, ale tak jak powiedziałem, nie odzyskał jeszcze...

W tym momencie korytarzem nadbiegł pielęgniarz.

– Panie doktorze, z Knopfem coś się dzieje! Jakby się dusił!

Pierwszą myślą doktora był oddalający się obraz blaszanego kubka ze spirytusem. Spitzgau westchnął ciężko. Mimo wszystko wolał iść na salę operacyjną, niż dalej przebywać z nieobliczalnym zbirem, za którego uważał Kwasigrocha.

Sierzant wjechał sam do izolatki. Była to wąska klitka bez okna, która pierwotnie służyła raczej za schowek na bandaże niż za pomieszczenie dla pacjentów. Z trudem mieściło się tu jedno łóżko otoczone stojakami na kroplówki.

Wasilewski leżał nieruchomo z obandażowaną szczelnie głową. Niemal w każdy otwór miał wetkniętą jakąś rurkę. Żaloszny był to widok.

– Oświęcimiak, słyszysz mnie? – powiedział Kwasigroch. – Wiem, że z tobą marnie, ale tym bardziej powinno ci zależeć, żeby załatwić tych, co cię tak urządzili. Źle mówię?

Trudno było odgadnąć, czy w Wasilewskim tli się jeszcze jakaś zdrowa chęć zemsty. Nadal ani drgnął.

– Bo ja już wszystko wiem – ciągnął sierżant, niezrażony brakiem reakcji. – Tak, tak, Kwasigroch was przejrzał, kozie syny!

Nawet ta deklaracja nie zrobiła na Wasilewskim żadnego widocznego wrażenia. Powieki się nie poruszyły. Żadna rurka nie wypadła mu z ust.

Kwasigroch nachylił się do niego.

– Wystawili cię – powiedział. – Trzymałeś z nimi, a oni nawet cię nie ostrzegli, żebyś nie przyłaził na ten cmentarz. Chcieli się ciebie pozbyć. Nie byłeś więcej potrzebny Kostrzewie.

Czy mu się zdawało, czy też prawa powieka drgnęła lekko, kiedy wymienił nazwisko Kostrzewy?

– Nie kryj go – nalegał. – Chcę tylko, żebyś potwierdził przy komendancie, że to Kostrzewa był waszym szefem. Wystarczy, że ruszysz lekko palcem. Dawaj.

Patrzył w napięciu na wychudłe dłonie Wasilewskiego na białej pościeli. Na próżno. Palce leżały nieruchomo.

Kwasigroch był już bliski wybuchu, ale przypomniał sobie, że złość nie była podczas przesłuchań najlepszym doradcą. Poza tym Wasilewski mógł rzeczywiście go nie słyszeć. Właściwie to wyglądał, jakby już wykitował.

– Pogadamy później – mruknął Kwasigroch i wytoczył się z izolatki.

Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Poszarpana odłamkami noga krzyczała z bólu. Chciał w drodze powrotnej zahaczyć jeszcze o rajzera, ale nie miał już sił. Ledwo popychał koła wózka inwalidzkiego. Musiał odpocząć.

Przejechał przez klatkę schodową na trzecim piętrze szpitala. Tylko tutaj nie było jeszcze żadnych pacjentów. Szerokie kamienne schody prowadziły stromo w dół. Całe szczęście, że nie musiał zjeżdżać na niższe piętra. Od samego patrzenia w dół kręciło się w głowie.

Nagle ktoś zarzucił mu koc na głowę. Jednocześnie wózek ruszył gwałtownie z miejsca, popchnięty obcą ręką.

Kwasigroch krzyknął, próbując pochwycić napastnika za ubranie. Na krótką chwilę mu się to udało, ale zaraz potem wózek runął z trzeciego piętra jak kamień w studnię.

List, który nadszedł z poranną pocztą, wyrócił życie pułkownika Arłama Osipowicza do góry nogami.

Drogi Mężu – pisał niespodziewany nadawca. – Wielką niespodzianką była dla mnie wiadomość, że żyjesz i sprawujesz urząd komendanta wojennego w niemieckim mieście Swinemünde, koło Stettina. Z początku nie chciałam dać temu wiary, bo przecież niemożliwe, aby mój Arłam nawet marnej kartki nie napisał, jakby legalny akt zawarcia związku małżeńskiego dwunastego sierpnia 1937 roku w Mińsku nic dla niego nie znaczył. Twój dowódca też nadziwić się nie mogli takiemu postępowaniu. Taki generał Kolcew, na przykład, z którym los bliżej mnie zetknął w minionych czasach, powiedział nawet, że jest to niegodne enkawudzisty, i chciał od razu Cię ściągnąć do domu. „Chcesz, Anuszką, to raz-dwa go stamtąd sprowadzę – powiedział. – Co to znaczy, że wojna skończona, a męczyzna do żony nie wraca!” Całe szczęście, że udało mi się towarzysza generała przekonać, że Ty nie jesteś z tego gatunku męczyzn, a nie piszesz, bo pewnie myślisz, że Twoja ślubna pod bombami zginęła. Otóż z radością donoszę Ci, drogi mężu, że mam się dobrze, tak samo jak i Twój prawowity syn Anton, urodzony we wrześniu 1939 roku. Dużo by opowiadać, co się z nami w tych ostatnich latach działo, a i papieru szkoda. O wszystkim powiem Ci osobiście, kiedy już zamieszkamy razem w mieście przez Ciebie zarządzanym. Generał Kolcew mówi, że jak najbardziej jest to wskazane i że już dawno powinieneś nas do siebie ściągnąć. Napisz zatem, kiedy możemy z Antonem przyjechać. Rozumiem, że potrzebujesz trochę czasu, żeby uporządkować swoje sprawy, ale przecież nie więcej niż jeden miesiąc, prawda? Twoja żona Anuszką z synem Antonem.

Zaskoczenie było całkowite. Osipowicz poczuł się, jakby ktoś zdzielił go znienacką w łeb. Owszem, wiedział, że gdzieś tam na świecie pewnie żyją sobie i Anuszką, i Anton, ale były to duchy z zamierzchłej przeszłości, a kto by się przejmował duchami? W ciągu ostatnich lat zmieniło się tyle, że było wręcz nieludzkie wymagać, żeby człowiek wracał do swojego dawnego życia. Anuszkę widział ostatni raz przed wojną. Chociaż nie – przespał się z nią raz, kiedy był na kursie dywersyjnym w Moskwie. To wszystko. A Antona w ogóle nie pamiętał.

Niby dlaczego miał teraz przyjąć tych dwoje obcych pod swój dach? A co ze Swietą i Pietią?

Przeczytał list drugi raz. Aż zatykało go z oburzenia. Anuszką wyraźnie groziła mu interwencją u Kolcewa, bładź jedna. Nie dość tego, dawała mu miesiąc na pozbycie się obecnej kochanki, bo co innego mogło znaczyć, że miał „uporządkować swoje sprawy”? Osipowicz zupełnie nie wiedział, jak się ratować. Na razie wsadził list do kieszeni i ruszył do piwnicy, gdzie od zeszłego dnia trwało przesłuchanie Neuperta.

Na widok Pietii ucieszył się jak nigdy. Co z tego, że nie był to jego rodzony syn. Najważniejsze, że swój i odchowany. Poza tym było z niego coraz więcej pożytku. Naprawdę się starał. Można już było zostawić na jego głowie nocne przesłuchanie, a samemu iść spokojnie spać. Ciepłe uczucia ogarnęły go na widok śmiertelnie zmęczonego chłopaka.

– No jak tam, Pietia? Ilu wsypał? – rzucił, pokazując głową na nieprzytomnego Neuperta.

– Właśnie to jest dziwna sprawa... – zaczął niepewnie Pietia. – Nie gniewajcie się...

– O co chodzi?

– Im dłużej nad nim pracuję, tym gorzej. Nie dość, że żadnych nazwisk nie podał, to jeszcze odwołał poprzednie zeznania.

– Co takiego?

– Wybaczcie, towarzyszu pułkowniku. Ja wiem – dupa ze mnie, nie śledczy.

– Co znaczy, że odwołał?

– No, mówi teraz, że nie zabił Friedkego i Bendera... Wybaczcie, ja się chyba do niczego nie nadaję.

– Przestań mi tu jęczeć. Możesz iść. Powiedz sprzątacze, żeby tu zaszła ze szmatą.

– To już nie będziecie go przesłuchiwać?

– Nie twoja w tym głowa.

– Wybaczcie, Dziadziu Arłamie – wymamrotał raz jeszcze Pietia. Zdawał sobie sprawę, że to już naprawdę koniec jego krótkiej kariery śledczego: zawiódł na całej

linii. Gdyby choć komendant zwymyślał go na czym świat stoi, a nie tak na chłodno, jakby nawet słów było na niego szkoda.

Osipowicz machnął pobłaźliwie ręką.

– Paszoł won – powiedział bez gniewu, ale chłopak zrobił taką żalospną minę, jakby miał się rozplakać, więc dodał od razu: – I zajrzyj po drodze do matki. Cały dzień tam sama siedzi.

Pietia rozpromienił się.

– Tak jest! – Trzasnął obcasami i wyszedł.

Osipowicz trącił butem nieprzytomnego Neuperta. Trzeba było przyznać, że Pietia naprawdę się nad nim napracował. Szyper ledwo przypominał człowieka.

– Neupert? Słyszycie mnie?

Szyper skinął ciężko głową.

– Podobno odwołaliście zeznania. Że nikogo nie zabiliście.

– Nie zabiłem – wychrypiał Neupert.

– I Werwolfu też nie chcecie wydać.

Neupert pokręcił głową.

– Tu nie ma Werwolfu.

– Czyli kto rzucał granatami?

– Też nie ja...

Osipowicz pokiwał głową.

– A ja was nawet rozumiem. Pewnie żeście sobie pomyśleli, że jak przyznacie się do wszystkiego, to szast-prast was rozstrzelamy i po kłopocie.

Neupert podniósł na niego wzrok.

– Co, dobrze mówię? Ale u nas nie ma szast-prast. Każda sprawa musi być dokładnie zbadana. Tyle że widzicie – człowiek jest tylko człowiekiem. Czasem ma zwyczajnie gorszy dzień, pracować mu się nie chce. A ja właśnie mam najgorszy dzień w życiu i na samą myśl o tym, że miałbym się z wami dalej użerać, niedobrze mi się robi. Dlatego pójdę wam na rękę i sprawę załatwimy po waszej myśli – szast-prast. Nie chcecie powiedzieć, kto jest w Werwolfie – trudno. Wszystkich zakładników z wami rozstrzelamy, całą setkę. Wartownik!

Z korytarza do pokoju zajrzał nalany na twarzy żołnierz.

– Odprowadzić więźnia.

Żołnierz dźwignął zmaltretowanego Neuperta z podłogi i popchnął do drzwi.

– Wieseborn – powiedział nagle Neupert, obracając się do komendanta.

– Co mówicie?

– Wieseborn jest w Werwolfie.

Osipowicz odprawił gestem wartownika.

– Kto jeszcze?

– Ten Polak, co prowadził śledztwo.

– Kostrzewa?

– Nie znam nazwiska.

– Jak Polak może być w Werwolfie?

– To volksdeutsch. Przysłali go do nas jako kuriera.

– Ciekawie mówicie. Kto jeszcze?

Na listę trafiło jeszcze jedenaście nazwisk. Organizacja Werwofu w mieście okazała się wyjątkowo dobrze zakamufLOWANA: wszyscy jej członkowie byli do tej pory uznawani za pożytecznych Niemców, którzy aktywnie współpracowali z komendanturą. Neupert potwierdził zeznanie własnoręcznym podpisem i niemal dwudniowe przesłuchanie dobiegło wreszcie końca.

Osipowicz kazał wyprowadzić więźnia. Wreszcie został sam. Przebiegł wzrokiem po trzynastu nazwiskach. Lista brzmiała dosyć absurdalnie. Kostrzewa kurierem Werwofu? Niezłą fantazją popisał się ten Neupert. Wszystko to nie miało jednak żadnego znaczenia. Egzekucja trzynastu członków Werwofu była mu potrzebna jak powietrze. Kostrzewa tak czy inaczej nie umarłby ze starości. Równie dobrze mógł więc zostać powieszony jako kurier Werwofu.

Rozległo się ciche pukanie.

– Wejść!

W progu stała Erica Pohl z wiadrem i szczotką.

– A, to wy. Możecie brać się do roboty, ja już wychodzę.

Erica szykowała się do tej rozmowy przez całą noc. W kieszeni miała zdjęcie znalezione w skrytce u Knopfa.

– Chciałam powiedzieć, że Hansie jest niewinny – wypaliła. – On tylko dużo gada.

– Jaki Hansie?

– Mój syn.

– To wy macie syna?

– Nie mieszka ze mną.

– A gdzie jest?

– Teraz u was. Ale chciałam powiedzieć...

W tej samej chwili do pokoju wpadł Pietia.

– Ty jeszcze tutaj? – zdziwił się Osipowicz. – Do domu miałeś iść.

– Dzwonili ze szpitala, towarzyszu pułkowniku. Knopf jednak wyciągnął nogi.

Osipowicz pokręcił głową z irytacją. Pięknie. Czyli były już dwie ofiary śmiertelne zamachu. Z doświadczenia wiedział, że jedna ofiara nie robiła nigdy w raportach większego wrażenia. W partyzantce zawsze mówiło się, że jeden zabity to tak, jakby nikt nie zginął. Co innego dwóch. O, dwóch zabitych – to już brzmiało poważnie. Taki raport zawsze czytano w sztabie z uwagą.

Erica niemal poczuła, jak zdjęcie w jej kieszeni w jednej chwili traci na wartości. Skoro Knopf nie żył, co kogo mogła obchodzić jego przeszłość?

– Aha, i jeszcze ten ranny milicjant Kwasigroch zwał się ze schodów w szpitalu i nie wiadomo, czy się wyliże – dodał Pietia, ale widząc, że komendant nie ma więcej ochoty na złe wiadomości, wycofał się szybko, mamrocząc: – Wybaczcie, musiałem wam powiedzieć...

Osipowicz zaklął na głos. Za dużo tego wszystkiego zważyło mu się na głowę, jak na jeden poranek.

– Na co się gapicie?! – huknął na sprzątaczkę. – Bierzcie się do roboty!

Erica była zupełnie zbita z tropu.

– Hansie nic nie zrobił – powtarzała nadal, choć nie miała już nic na sprzedaż. – On tylko dużo gada...

– A, ten wasz syn – przypomniał sobie Osipowicz i sięgnął po listę z nazwiskami.

– Hans Pohl to on?

Erica skinęła z przerażeniem głową.

– Jest w Werwolfie. Jutro będzie powieszony razem ze wszystkimi – powiedział krótko Osipowicz i rzucił w drzwiach: – Bierzcie się do roboty.

Erica osunęła się na podłogę brudną od zakrzepłej krwi szypra Neuperta.

VIII KIEDY ROZUM ŚPI

1

Chyba też miał wtedy na imię Adam. Nie nosił jednak wytartego płaszcza i butów z dziurawymi zelówkami, lecz garnitur uszyty na miarę w pracowni krawieckiej Sandberga i starannie wypastowane pantofle od Baty. Nie palił skrętów z rosyjskiej machorki i „Gazety Lubelskiej”, lecz najwyżej od czasu do czasu kanaryjskie cygaro, bo na kubańskie przy pensji aspiranta policji państwowej nie mógł sobie pozwolić. Nie pił samogonu ani spirytusu, a jego jedynym nałogiem było chodzenie do opery. Biegał do Teatru Wielkiego niemal codziennie po służbie, z czego brała się potrzeba stałej elegancji. Przysparzało mu to sporo kłopotów, ponieważ musiał stawiać się w pracy ubrany stosownie na wieczorny spektakl, a nierzadko w ciągu dnia trzeba było wycierać się po brudnych spelunach na Pradze. Operowy nałóg wcale nie był więc tak nieszkodliwy, jak mogłoby się wydawać. Może nie rujnował mu zdrowia, ale z pewnością prowadził go do ruiny finansowej. Na same bilety wydawał fortunę, a do tego jeszcze za każdym razem kazał posyłać za kulisy kosz z czerwonymi różami. Nie stać go było na podobne wydatki, ale nie miał dość siły, żeby wyrwać się z zamkniętego kręgu własnej udręki.

Udręka nazywała się Mira Szymańska i była fenomenalnym sopranem koloraturowym w zespole Teatru Wielkiego. To do niej wędrował po każdym przedstawieniu kosz z czerwonymi różami i bilecikiem wizytowym od pewnego młodego melomana, zapewniający w kwiecistych słowach, jak drogi jego sercu jest talent wielkiej artystki. W rzeczywistości zarówno serce, jak i cały organizm Adama wypełniał nie tylko głos Miry, ale także – a może przede wszystkim – jej twarz, włosy, ramiona, piersi, biodra oraz nogi. Choć zakrawało to na niemiłosierny banał, rodem z wodewilu, a nie z poważnego dramatu, Adam był po prostu beznadziejnie zakochany.

Beznadziejność sytuacji wynikała stąd, że szanse Adama na szczęście ze swoją wybranką były zdecydowanie mniejsze niż na główną wygraną w Totalizatorze. Podczas spektaklu, kiedy Mira fruwała nad sceną z rozwianymi włosami i mieczem w ręku, dzieliło ją od pierwszego rzędu, w którym zawsze siedział Adam, nie więcej niż dwadzieścia metrów. Poza spektaklem odległość ta była natomiast nieskończona. Tych dwoje dzieliło w zasadzie wszystko, co tylko mogło dzielić ludzi w Warszawie w roku 1939. Adam był anonimowym funkcjonariuszem policji państwowej, a Mira międzynarodową sławą, za którą podążali wszędzie wielbiciele, łowcy autografów i fotoreporterzy. Adam zarabiał miesięcznie dwieście pięćdziesiąt złotych, podczas gdy Mira dostawała mniej więcej tyle za jedno przedstawienie, a i tak była to tylko część jej dochodów. Adam wynajmował dwa pokoje z kuchnią w kamienicy czynszowej niejakiego Baumana; Mira posiadała własną kamienicę. Adam był młodym człowiekiem na początku swojej policyjnej kariery i nie ukończył jeszcze trzydziestego roku życia; Mira była kobietą dojrzałą i skończyła właśnie czterdzieści cztery lata. Adam był kawalerem, a Mira – to, niestety, wydawało się największą przeszkodą w ich ewentualnym wspólnym pożyciu – miała męża, i to nie byle jakiego. Od lat była żoną znanego fabrykanta, który działał w wyjątkowo dochodowej branży. Należała do niego Wytwórnia Wódek i Likierów, położona pod Otwockiem.

Adam zdawał sobie sprawę z przepaści, jaka dzieliła go od świata Miry Szymańskiej, ale nie umiał zrezygnować z marzeń. Przekonywał sam siebie, że przecież pieniądze szczęścia nie dają, choćby to było nawet dziesięć tysięcy miesięcznie, a tyle pewnie przynosiła otwocka Wytwórnia Wódek i Likierów. Któregoś dnia Mira dostrzeże to wreszcie i porzuci fabrykanta w diabły. Tylko dlaczego niby miałyby to zrobić? Im bardziej Adam wdawał się w swoich fantazjach w szczegóły, tym silniejsza opanowywała go gorycz. Był głupcem. Prawa rządzące światem musiałyby zostać zniesione, żeby Mira znalazła się u jego boku.

I właśnie dokładnie to się stało.

Jeszcze dzień wcześniej nic tego nie zapowiadało. Wieczorem poszedł do Teatru Wielkiego na kolejne przedstawienie *Walkirii* Richarda Wagnera. Jak zwykle usiadł w pierwszym rzędzie i przez bite trzy godziny nie odrywał wzroku od Miry w skąpym kostiumie germańskiej wojowniczkii. Na początku trzeciego aktu, kiedy Mira jako Brunhilda, córka boga wojny, fruwała po scenie z rozwianymi włosami

i mieczem w rękę, ogarnęło go takie wzruszenie, że łzy kapały mu w głąb serca jak gorące krople wosku. Potem jak zwykle poszedł za kulisy z koszem czerwonych róż i jak zwykle został odprawiony z kwitkiem przez inspicjenta. Zostawił kosz i wrócił do domu.

Nazajutrz już z samego rana przy goleniu poczuł, że coś się zmieniło. Mimo wczesnej pory w całej kamienicy Baumana trwał ożywiony ruch. Bez przerwy ktoś wbiegał i zbiegał po schodach. W mieszkaniach słychać było podniesione głosy, czasem płacz. Woda w łazience ledwo co leciała, jakby wszyscy mieszkańcy jednocześnie odkręcili krany.

Na korytarzu spotkał wychodzących ze swojego mieszkania sąsiadów – pana Jasińskiego z osiemnastoletnim synem Michałem. Obaj mieli na sobie nowiutkie zielone mundury i plecaki. W progu stała zapłakana pani Jasińska.

– Nie płacz, kobieto – uspokajał ją mąż. – Najwyżej dwa tygodnie cała awantura potrwa, jeśli w ogóle do czegoś dojdzie. Sąsiada spytaj, jak nie wierzysz. Pan jej powie, panie komisarzu.

– Ile razy mam powtarzać, że nie jestem komisarzem – zirytował się Adam. – Ale życzę panom wielu orderów.

Zbiegł ma dół nieco uspokojony, że całe zamieszanie nie dotyczyło niczego nowego, ale sprawy, którą od dawna żyła Warszawa: przygotowań do wojny z Niemcami. Nie interesował się tym zbyt. Uważał, że niemieckich pohukiwań nie należy brać poważnie. Hitler i jego świta wydawali mu się postaciami z kiepskiego kabaretu. Miał żal do żurnalistów, że niepotrzebnie szerzyli panikę.

Na mieście też panowało niezdrowe ożywienie. Kobiety dźwigały ze sklepów siatki wypełnione niewiarygodną ilością mąki i cukru. Smarkacze biegali z wiadrami wody, a gazeciarze jeszcze bardziej podgrzewali atmosferę. „Wojna pewna! Niemcy stawiają Polsce ultimatum!” – darł się na cały głos sprzedawca „Kuriera”. Adam miał ochotę przemówić mu do rozumu, ale dał za wygraną. Było to jak walka z wiatrakami.

Minął radosną kolumnę harcerzy maszerujących do kopania rowów przeciwlotniczych, jakby ruszali do epickiej bitwy, po czym wskoczył do tramwaju numer dwanaście, który akurat stał na przystanku.

– Nie jedzie! – ostrzegł go konduktor, który stał pośrodku wagonu otoczony wianuszkami młodych dziewcząt.

- Zepsuty?
- Szkolenie jest.
- Jakie szkolenie?
- Konduktorek. Mężczyźni idą w kamasze, to kobiety muszą nas zastąpić.

Mrugnął filutersko do swoich uczennic. Dziewczęta zachichotały.

Nie było rady na wojenną psychozę. Adam poszedł do pierwszego komisariatu pieszo.

Spóźnił się dobry kwadrans, więc chciał przemknąć się chyłkiem do pokoju, który dzielił z dwoma innymi aspirantami. Niestety, nadkomisarz Strzelczyk był czujny. Drzwi jego gabinetu otworzyły się nagle, kiedy Adam próbował przejść obok nich na palcach.

- Pan pozwoli na słowo, panie aspirancie.

Gabinet nadkomisarza Strzelczyka przypominał muzeum rybołówstwa. Wszystkie ściany były obwieszane rybimi głowami. Szczupaki, sumy, łososie i jesiotry spoglądały na wchodzącego Adama z rozwartymi paszczami. Nadkomisarz był zapalonym wędkarzem. Startował nawet z powodzeniem w międzynarodowych zawodach. Sam przypominał rekordowego suma. Jego zupełnie łysa głowa łączyła się bezpośrednio z masywnym tułowiem i była ozdobiona staroświeckim wężem w kształcie podkowy. Toporna powierzchowność skrywała jednak błyskotliwy umysł. Nadkomisarz Strzelczyk był legendą kryminalistyki. To on doprowadził do zatrzymania pary kanibali z Wilna, która miała na swoim koncie ponad trzydzieści ofiar. To on osobiście aresztował mordercę ordynata Bogusławskiego, niezwykłego zbrodniarza, którego umysł był potem przedmiotem badań światowej psychologii. Lista dokonań nadkomisarza Strzelczyka była bardzo długa. Każdy detektyw chciałby osiągnąć choćby jedną dziesiątą tych sukcesów.

– Bardzo przepraszam za spóźnienie, panie nadkomisarzu – wypalił od razu Adam. Była to jedyna strategia. Ze Strzelczykiem łgarstwa nie miały żadnych szans. Widział i wiedział wszystko, niczym jasnovidz Ossowiecki^[52]. – Tramwaj...

Nadkomisarz przerwał mu stanowczym gestem.

– Wiem, mobilizacja. Sam omal się nie spóźniłem. Wezwałem pana, bo ciągle ten okradziony minister Zbyszewski do mnie wydzwania. Ustalił pan coś?

– Owszem. Okradł go niejaki Zylber, prawdopodobnie metodą na wuja z Ameryki.

– Minister twierdzi, że został obezwładniony.

– Łże ze wstydu. Zylber uprawia ten proceder od dawna. Dzwoni najpierw do frajera i przedstawia się, że jest jego dalekim wujem, stryjem czy innym krewnym i że właśnie przyjechał do Warszawy z Ameryki w poszukiwaniu swoich korzeni. Od niechcenia napomina, że dorobił się sporego majątku, tyle że nie ma komu go zostawić. Frajer połyka przynętę i idzie na spotkanie. Wuj z Ameryki upija delikwenta, po czym oskubuje go do czysta.

– Więc gdzie ten Zylber? Dlaczego jeszcze nie siedzi?

– Kapuś ma dzisiaj ustalić jego aktualny adres. Jutro będziemy go mieli za kratkami.

Nadkomisarz Strzelczyk pokiwał refleksyjnie swoją wielką głową.

– Dobrze mi się z panem pracowało. Zawsze można było na pana liczyć.

Adam przeraził się nie na żarty.

– To znaczy, że jestem... zwolniony?

– Źle mnie pan zrozumiał. Proszę dopilnować tej sprawy.

Wziął do ręki egzemplarz „Ekspresu Porannego” i zanurzył się w lekturze. Wcale nie zainteresował go jednak krzykliwy artykuł na pierwszej stronie „Wzmocnienie pogotowia zbrojnego Rzplitej”^[53], ale prognoza pogody na ostatniej. Było to pocieszające, że taki tęgi umysł też najwyraźniej uważał, że żadnej wojny nie będzie.

– Ci żurnaliści nie znają umiaru – powiedział Adam porozumiewawczo.

– Co pan ma na myśli?

– No, ta panika w prasie – odarł Adam nieco zbity z tropu. – Przecież wiadomo, że do wojny nie dojdzie. Anglia i Francja...

– Wojna jest pewna – przerwał mu brutalnie nadkomisarz. – A wynik zależy od pogody.

– W jakim sensie?

– Całkiem dosłownym. Jeśli spadnie deszcz, będziemy uratowani. Ale jeśli utrzyma się ten upał, to niestety, już po nas.

Adam patrzył na niego kompletnie zaskoczony. Z otwartymi ustami musiał chyba przypominać w tej chwili jedno z trofeów wędkarskich nadkomisarza Strzelczyka. A więc to była prawda? Świat naprawdę był bliski rozpadu, a on nawet tego nie zauważył?

– Coś jeszcze, panie aspirancie?

– Nie, nic – bąknął Adam i wyszedł z gabinetu oszołomiony.

Poszedł do siebie na miękkich nogach. Stępień i Jakubiak naklejali na okna po przekątnej paski białego papieru.

– Jest nasz Sercu! – zawołał na jego widok Jakubiak. – Czemu ukrywałeś, że jesteś Rumunem?

– To raczej Turek – powiedział Stępień. – Sercumemu.

Obaj parsknęli niepoohamowanym śmiechem.

– Darujcie sobie swoje głupie żarty. Co robicie z tymi oknami?

– Zalecenie władz. Żeby szyby nie wyleciały od bomb. Naklejasz taki paseczek i siedzisz sobie w czasie bombardowania jak u pana Boga za piecem. – Stępień się zaśmiał.

– Sercu nie ma czasu czytać zaleceń, a w czasie bombardowania i tak będzie w operze.

– Nie wasza sprawa, co robię po służbie.

– Nie pyskuj, Sercu, bo listu nie dostaniesz.

– Mów do niego poprawnie, po turecku: Sercumemu – poprawił go Stępień.

– Co was opętało, jakiego listu?

– Jest jeden list do ciebie. – Jakubiak i Stępień spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Najwyraźniej dobrze bawili się jego kosztem.

– Od kogo?

– A, tego to już my nie wiemy. Dla nas tajemnica korespondencji rzecz święta.

– Amen – potwierdził Stępień i przeżegnał się teatralnie.

– Gdzie ten list?

Jakubiak wyciągnął z kieszeni elegancką kopertę z czerpanego papieru, bez znaczka. List musiał więc trafić na komisariat nie zwykłą pocztą, lecz przez posłańca. Serce zabiło Adamowi szybciej.

– Może najpierw usiądź, bo blady się zrobiłeś.

Adam wyrwał mu kopertę z ręki. W środku był bilet wizytowy ze złotymi floresami i odręczną wiadomością napisaną w dosyć osobliwej formie.

Sercu

memu miły,

wielbicielu wierny,

tysiąc ukłonów

tudzież

pytanie:

Zajrzy pan jutro

do mej garderoby

po spektaklu wieczornym?

MS

Adam nie wierzył własnym oczom. Były to słowa Miry skierowane wprost do niego. Tylko do niego. Mira chciała go poznać!

– I co, Sercu, zajrzysz? – spytał Jakubiak, siląc się na obojętny ton.

– Sercumemu może nie mieć jutro czasu. – Stępień pokręcił głową. – Po Zylbera trzeba iść.

– Jesteście skończone durnie – powiedział Adam. – A jak jeszcze raz przeczytacie korespondencję do mnie, to przysięgam, zabiję obu ze szczególnym okrucieństwem, a ciała porąbię na małe kosteczki.

Nie było w tym ani cienia wściekłości. Właściwie to miał wręcz wielką ochotę ucałować obu kpiarzy. Mira chciała go poznać. Może i świat rzeczywiście był bliski rozpadu, ale jeśli w ten sposób zniknie przepaść, która dzieliła go od tej kobiety – to niech się rozpadnie.

Przez całą noc układał w głowie, co powiedzieć Mirze przy powitaniu. Od tego mogła przecież zależeć reszta jego życia. Czy powinien być szarmancki i dostojny, czy też bezceremonialny i dowcipny? I jak właściwie zakończyć to pierwsze spotkanie – może zaprosić ją na kolację? Brzmiało to dość ryzykownie: w końcu była mężatką. Co innego jednak mógł zrobić – podziękować i wyjść, żeby znowu znaleźć się w tym samym punkcie?

Oczywiście, ze snu nic nie wyszło. Do świtu nie zmrużył nawet oka, a o piątej rano było już zbyt późno i zbyt jasno, żeby w ogóle próbować zasnąć. Wstał, zrobił sobie kawę i usiadł przy oknie. Na samą myśl, ile czasu dzieliło go jeszcze od wieczoru, ogarnęła go rozpacz.

Około szóstej trzasnęły głośno okiennice na ulicy.

– Jezu, ludzie! – krzyczała histerycznie stara kobieta w szlafroku. – Wojna! Włączcie radio! Wojna!

Kobieta zniknęła z powrotem w głębi swojego mieszkania, ale jej krzyk musiał dotrzeć do kilku osób, ponieważ po dłuższej chwili za ścianami rozległy się odbiorniki radiowe. Adam też włączył swojego philipsa.

– *...nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory – mówił ktoś podniosłym głosem^[54]. – Weszliśmy w okres wojny. Wysilek całego narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym: walka aż do zwycięstwa!*

Adam skamieniał. Pierwszą jego myślą, do której wstydział się potem przyznać sam przed sobą, było: czy wieczorny spektakl zostanie odwołany? Zresztą zupełnie nie wiedział, co myśleć. Siedział tylko niczym uderzony obuchem i słuchał, jak wiadomość wędruje z mieszkania do mieszkania. Po chwili w całej kamienicy wrzało jak w ulu.

Wreszcie wziął się w garść, ubrał i wyszedł. Mimo wczesnej pory na ulicy panował już ożywiony ruch. Zdawało się, że czas nabrał gwałtownego przyspieszenia. Dorożki jeździły szybciej, ludzie pędzili na złamanie karku, nawet stróż w kamienicy machał miotłą dwa razy szybciej niż zwykle. Poranne gazety rozchodziły się w mgnieniu oka. Sprzedawca „Ekspresu Porannego” ledwo nadązał z wydawaniem pachnących świeżym drukiem egzemplarzy.

Adam rzucił się na gazetę, tak jak wszyscy. Na pierwszej stronie nie było jednak ani słowa o tym, że wybuchła wojna. „Nikczemność, która przerazi świat – głosił główny artykuł numeru. – Dokument bandytyzmu politycznego Niemiec w 16 haniebnych punktach «propozycji» dla Polski”^[55].

– To jest już wojna czy nie? – natarł Adam ze złością na Bogu ducha winnego gazeciarza.

– Panie, ja tylko gazety sprzedaję – wystraszył się chłopak.

Adam odszedł na bok, przeglądając nerwowo gazetę strona po stronie. Wreszcie coś znalazł: „Wróg numer jeden – głosiły wielkie litery. – Nasze okłady borowinowe są wrogiem numer jeden twojego artretyzmu i reumatyzmu...”. Była to tylko reklama jakiejś firmy, która oferowała swój niezwykły specyfik w sprzedaży wysyłkowej. Z tej samej strony krzyczały też do czytelnika inne reklamy – o tym, że Palmolive stoi na straży jego skóry, a prezerwatywy Olla ochronią go przed kłopotliwą niespodzianką.

Adam uspokoił się. Mimo wszystko wolał takie wyzwania jak artretyzm, oparzenia słoneczne czy nawet „kłopotliwa niespodzianka”. Dowodziło to, że życie wcale nie przestawiło się na „specjalne tory”, jak zapowiadał głos w radiu. Oczywiście, gazety mogły pójść do druku jeszcze przed wybuchem wojny, ale przyjemnie było wierzyć, choćby tylko przez chwilę, że właściwie nic się nie stało, a wieczorem wszystkie spektakle odbędą się zgodnie z planem.

To piękne złudzenie nie trwało długo. Około siódmej z nieba dobiegł ponury pomruk. Wszyscy przechodnie stanęli w miejscu z zadartymi głowami. Nerwowy przyspieszony ruch w mieście zamarł na dłuższą chwilę jak zacięty film w kinie. Wreszcie film ruszył. Po bezchmurnym niebie sunęło z jednostajnym pomrukiem stado samolotów.

– Bombardują! – krzyknął ktoś histerycznie.

Przechodnie natychmiast rozpierzchli się na wszystkie strony, szukając schronienia w bramach. Tylko Adam pozostał na środku ulicy z głową zadartą, jakby wciąż nie dowierzał, że to wszystko prawda. Stał tak nadal, kiedy spadły pierwsze bomby gdzieś na Okęciu, a zaklejone białymi paskami szyby zaczęły drżeć od dalekich eksplozji.

Poszedł do pracy. Wojna czy nie, nikt nie zwolnił go przecież z tego obowiązku. W komisariacie nigdy nie było tak tłoczno. Przyszli nawet ci, którzy mieli urlopy.

Rozdawano maski przeciwgazowe.

– I co, Sercu?! – zawołał na jego widok Jakubiak. – Mówiłeś, że wojny nie będzie.

– Odczep się – burknął Adam, wziął swoją maskę i poszedł prosto do gabinetu szefa. Musiał się upewnić, że instrukcje z poprzedniego dnia nadal obowiązują.

Nadkomisarz Strzelczyk studiował prognozy pogody w niemal wszystkich porannych gazetach z tego dnia.

– Niech pan siada – rzucił, nie podnosząc na niego wzroku. – Nie jest dobrze. Wszędzie bez opadów, powietrze suche, kontynentalne...

– O wojnie na razie nie piszą – zauważył Adam.

– A pan ciągle żyje nadzieją – zdziwił się Strzelczyk. – Ale to dobrze. Nadzieja to najcenniejszy dar, jaki można otrzymać od drugiego człowieka. Ja, niestety, nie mam nic do ofiarowania.

Adam poczuł się zakłopotany. Nie miał ochoty słuchać intymnych zwierzeń nadkomisarza. Wszyscy wiedzieli, że jego prywatne życie to nieprzerwane pasmo katastrof. Żona odeszła do młodszego, starszy syn popełnił samobójstwo, a on sam zmagał się z nieuleczalną chorobą.

– Przyszedłem zapytać, czy w nowej sytuacji dostaniemy jakieś nowe zadania, czy mamy dalej prowadzić swoje sprawy.

– Dopóki komisariatu nie przejmą Niemcy, róbcie to, co zawsze.

– Niemcy?

– Przy tej pogodzie za dwa, góra trzy tygodnie powinni zająć Warszawę. Do tej pory wykonujcie swoje obowiązki. Niech pan aresztuje tego Zylbera.

Adam patrzył na swojego szefa z gorzkim rozczarowaniem. Do tej pory widział w nim świętą ikonę kryminalistyki, a teraz zobaczył żałosnego starszego jegomościa, który najchętniej poddałby się bez jednego wystrzału. Jakim prawem Strzelczyk przesądzał o ich wspólnym losie? W końcu był detektywem, a nie jasnowidzem.

Odwrócił się bez szacunku i wyszedł, żeby zająć się sprawą Zylbera. Jakoś trzeba było przetrwać do wieczora, kiedy okaże się, czy spektakl w Teatrze Wielkim zostanie odwołany, czy też nie.

Sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę. Wkrótce do komisariatu zaczęły docierać gazety wydrukowane z samego rana. Potwierdzały to, co powiedziano w radiu: Niemcy przypuścili atak na wszystkich granicach, wdzierając się w głąb kraju. Nie trzeba było zresztą czytać gazet, żeby nabrać absolutnej pewności, że tak właśnie się stało. Przez cały dzień co rusz rozbrzmiewały syreny przeciwlotnicze i personel komisariatu raz po raz zbiegał do piwnicy. Bomby nie spadały jeszcze w centrum miasta, ale nikt nie miał wątpliwości, że to tylko kwestia czasu.

Okolo piątej Adam miał pojechać pociągiem do Otwocka, żeby spotkać się z informatorem, który obiecał wystawić mu Zylbera, ale Niemcy pokrzyżowali także te plany. Kolejny alarm przeciwlotniczy wypędził wszystkich do schronu. Tym razem głucho detonacje dochodziły właśnie ze wschodu, z okolic Otwocka.

– Pojedziemy jutro – pocieszał kolegów Jakubiak.

– Nie wiadomo, czy będzie po co – zauważył Stępień. – Obu drani mogły już bomby rozszarpać.

– No to sprawiedliwości stanie się zadość.

Parsknęli śmiechem. W rzeczywistości byli przerażeni tak samo jak reszta, ale nadrabiali miną.

– Najważniejsze, że knajp jeszcze nie zamknęli, bo muszę się dzisiaj napić – powiedział Stępień.

– No i opery – dodał Jakubiak.

– Prawda.

– Skąd wiecie? – ożywił się Adam.

– Po twoim gajerku. Przecież jakby było zamknięte, tobyś się tak nie stroił.

Znowu zarechotali na cały głos, aż komisarz Piasecki musiał przywołać ich do porządku. Zapewne ich ochota do żartów znacznie by osłabła, gdyby wiedzieli, że jeden z nich już za trzy miesiące zginie od strzału w tył głowy, a drugi umrze na tyfus w drugim roku wojny.

Do końca dnia bomby omijały śródmieście. Owszem, wojna była faktem, ale wciąż jawiła się Adamowi jako daleki pomruk, mająca w oddali ponura sylwetka, tępy wstrząs. Nadal miał na sobie garnitur uszyty na miarę w pracowni krawieckiej Sandberga i pantofle od Baty. Nie widział powodu, żeby nie iść o siódmej do Teatru Wielkiego na jeszcze jedno przedstawienie. Mira Szymańska

chciała go przecież poznać. Na samą myśl o tym, że być może jeszcze tego wieczoru dotknie jej dłoni, oblewała go rozkosz.

Teatr Wielki był zamknięty. Na drzwiach wejściowych wisiał łańcuch z solidną kłódką, a w środku panowały ciemność i głucha cisza. Adam poczuł się nagle głupio w swoim garniturze i wypastowanych pantoflach. Całe jego ciało przeszły rozdzierający ból. Zdał sobie bowiem sprawę, że nigdy więcej nie będzie już szansy, żeby zbliżyć się do Miry. To właśnie była wojna – ostateczny koniec banalnych ludzkich marzeń.

3

Hitlerwetter – „pogoda Hitlera” utrzymywała się przez cały wrzesień. Dni były długie, słoneczne i suche. Zazwyczaj takie warunki do prowadzenia wojny panują tylko na mapach sztabowych, toteż niejednemu z dowódców pancernego Blitzkriegu przeciwko Polsce mogło się wydawać, że Bóg rzeczywiście był z nimi, jak głosiły napisy na klamrach wojskowych pasów^[56]. Żadne błota nie hamowały impetu pancernych jednostek. Wyszłe koryta rzek nie wymagały budowania czasochłonnych przepraw. Doskonała widoczność od rana do wieczora pozwalała na jeden nalot bombowców za drugim.

Wkrótce cały pierwszy komisariat, w ślad za swoim szefem, żył już tylko prognozami pogody. Wszyscy słuchali zagranicznych stacji z nadzieją na gwałtowną zmianę frontu atmosferycznego. Nic więcej im nie pozostało. Anglia i Francja nie przysły z pomocą. Czerwona Rosja zaatakowała od tyłu, zagarniając wschodnią połowę kraju. Niemieckie bomby codziennie spadały na Warszawę. Spłonął Zamek Królewski w samym sercu miasta. Z gmachu opery zostały gruzy. Tylko głos angielskiego spikera w radiu wieszczącego ulewne deszcze nad Europą Środkową wciąż krzepił, zwłaszcza że zaraz potem nadawano jazzową muzykę.

Ale ulewy nie nadchodziły. Był natomiast następny nalot i znów cały komisariat zbiegał do piwnicy. Normalna policyjna robota dawno już zamarła. Zajmowali się głównie przyjmowaniem skarg na kradzieże podczas nalotów.

Mira nie tyle zniknęła z życia Adama, ile zamieniła się w bolesną pustkę, która dawała o sobie znać przy najdrobniejszej czynności – podczas porządkowania akt, parzenia herbaty czy banalnej rozmowy. Pocięszał się, że prawdopodobnie

wyjechała z miasta, a może nawet i zagranicę – jej męża fabrykanta na pewno było na to stać. Po stokroć wolałby jednak, żeby podczas nalotów siedziała u jego boku. Obejmowałby ją mocno i osłaniał przed kawałkami gruzu.

W normalnych czasach byłaby to tylko banalna mrzonka zadurzonego młokosa. Pewnie dręczyłaby go przez jakiś czas, a potem rozwiała się bez śladu. Bomby wszystko jednak zmieniły. Każdy kolejny wybuch mógł być ostatni. Bardzo wzmacniało to wyobraźnię. Obraz Miry siedzącej u boku Adama stał się potężną wizją o sile tak samo realnej jak grawitacja. Wkrótce wizja ta zaczęła przyciągać zdarzenia, które naprawdę doprowadziły Mirę Szymańską do jego boku.

Pragnienia Adama zaczęły spełniać się od tego, że wreszcie spadł deszcz. Przebiegu kampanii to nie zmieniło, ale nieco popsuło paradne wejście Wehrmachtu do Warszawy. Żołnierze szli Alejami Jerozolimskimi przemoknięci, kałuże tryskały spod maszerującej kolumny. Adam patrzył na to z przeczuciem, że nie był to tylko kolejny najazd „odwiecznego wroga”, o którym mówił w radiu prezydent^[57], ale że tym razem coś zmieniło się na zawsze.

Jeszcze tego samego dnia dostali telefon z komendantury wojennej, że nazajutrz pierwszy komisariat zostanie przejęty przez władze niemieckie.

– Co to znaczy, panie nadkomisarzu? – spytał Adam. – Czy mamy spodziewać się aresztowania?

– Myślę, że nie wszyscy i nie od razu. Ale nie zaszkodzi iść dzisiaj do spowiedzi.

Miał to chyba być żart, ale wypadł fatalnie. Strzelczyk był znany ze swojego ateizmu, więc zachęta do spowiedzi z jego strony nic dobrego nie wróżyła. Wszyscy poszli spać w ponurych nastrojach. Był to w zasadzie ostatni dzień starego świata.

Niemcy zjawili się punktualnie o dziewiątej rano. Było ich trzech: czterdziestoletni major Kaufman i dwaj porucznicy. Wiedzieli, że spoczywa na nich wielka odpowiedzialność – każdym gestem musieli udowodnić, że należą do wyższej i doskonalszej rasy, która nie ma nic wspólnego ze słuchającą ich hołotą. Nie było to łatwe zadanie, ponieważ Kaufman był tęgi i łysy, a jego przybocznicy też nie grzeszyli urodą i przypominali raczej poborców podatkowych niż budzących grozę germańskich najeźdźców. W przemówieniu Kaufmana dużo było więc strojenia min i lichego teatru. Wynikało z niego, że wszyscy polscy policjanci

zostają powołani rozkazem dowódcy SS do służby w nowej policji miejskiej pod nadzorem niemieckim. Kto się nie podporządkuje, tego czeka kara śmierci.

Po tych słowach w komisariacie zapanowało poruszenie. Nikomu nie uśmiechało się wstępować do niemieckiej policji, ale wyglądało na to, że nie mieli wyboru.

– Czy to znaczy, że będziemy nadal prowadzić sprawy kryminalne? – zapytał Jakubiak całkiem niezłą niemczyzną.

Kaufman odwrócił się z wściekłością w stronę, z której dobiegło pytanie. Do tej pory nie był zadowolony z przebiegu spotkania: wyglądało to jak zebranie starych pracowników z nowym właścicielem fabryki. Dopiero teraz nadarzała się okazja, żeby pokazać, jak będą wyglądać nowe zasady. Kiwnął głową w stronę swoich poruczników. Obaj doskoczyli jednocześnie do Jakubiaka i bez słowa zaczęli okładać go pięściami, a kiedy upadł – kopać po twarzy.

Wreszcie Kaufman znów kiwnął głową. Porucznicy dźwignęli półprzytomnego Jakubiaka i wyprowadzili z komisariatu.

– Jeszcze jakieś pytania? – Kaufman rozejrzał się z drwiną po sali. Widział na ich twarzach, że teraz w końcu zrozumieli. Nie będzie żadnych pogawędek, dialogów, nawiązywania stosunków. Pokonani mogą liczyć tylko na cios pięści albo kopniak: takie są nowe zasady.

Nieco inaczej przybysze w mundurach układali sobie natomiast stosunki z Żydami. Zaczęło się od żartów. Szczególnie popularny był przez pewien czas żart z obcinaniem brody i pejsów: jeden obcinał, a drugi robił w tym czasie zdjęcie. Zdarzały się też żarty bardziej wyszukane – Adam widział raz, jak zaprzęgnięto dziesięciu Żydów do wozu i fotografowano ich wśród śmiechów i pisków. Pierwsze zarządzenia władz też miały w sobie coś z praktycznych żartów: ni z tego, ni z owego zakazano lombardom zwracania Żydom zastawionych przedmiotów. Albo taki obowiązek noszenia opasek z żydowską gwiazdą. Czy można było traktować poważnie pomysł znakowania ludzi?

– Na razie się bawią – orzekł pewnego dnia nadkomisarz Strzelczyk. – Nigdy nie widzieli tylu Żydów w jednym miejscu^[58] i dostali małego rozumu. Ale żarty wkrótce się skończą.

Jak zwykle, miał rację. Od dłuższego czasu Adam nie kwestionował już prognoz nadkomisarza. Ale nawet nadkomisarz nie przewidział, że sprawa ta będzie miała tak bolesne skutki dla całego pierwszego komisariatu.

Było to podczas pierwszej wojennej zimy. Z samego rana Strzelczyk wezwał Adama do siebie. W nieogrzewanym gabinecie ich oddechy parowały w powietrzu. Obaj siedzieli w paltach i rękawicach.

– Przyszło pismo od naszych panów – zaczął cierpko nadkomisarz Strzelczyk. – Mamy organizować pogromy.

– Słucham?

– Dokładnie nazywają to „zajścia antyżydowskie”. Jest nawet instrukcja, jak się do tego zabrać: trzeba zaangażować „elementy kryminalne”. Z Berlina przyjeżdża nawet specjalna ekipa filmowa, która będzie to rejestrować.

– Pan żartuje.

– Niestety, panie aspirancie, tak jak przewidziałem – żarty właśnie się skończyły. Podał mu pismo z Ordnungspolizei^[59].

– Nie może pan tego ode mnie wymagać – powiedział Adam.

– Nie wymagam. Chcę poznać pańskie zdanie.

– Na temat pogromów?

– Jak powinniśmy się zachować.

– Mogę mówić tylko za siebie. Ja na pewno nie wezmę w tym udziału.

– Proszę się zastanowić. Wie pan, co grozi za odmowę.

Adam wzruszył ramionami.

– Chyba i tak nie chcę dłużej na to wszystko patrzeć. Straciłem zainteresowanie. Nadkomisarz Strzelczyk wstał i podał mu dłoń.

– Dziękuję. Dobrze pana oceniłem.

Adam skinął głową i chciał już wyjść, ale nadkomisarz zatrzymał go w drzwiach.

– Niech pan zaczeka!

– Nie zmienię zdania.

– Wcale tego nie oczekuję. Odpowiedź wyślę po południu, więc powinni przyjść po nas dopiero z rana. Ma pan sporo czasu na ucieczkę.

– A pan?

– Nie dam rady. Przygotowałem dla pana kilka adresów – w Budapeszcie i w Rumunii. To moi przyjaciele z dawnych lat. Pomogą panu przedostać się do Francji.

– Zawsze pan mówił, że Francja też zostanie podbita.

– Może. Nie jestem jasnowidzem. Niech pan jedzie. Będzie mi łatwiej oprzeć się odwiecznej ludzkiej pokusie, żeby skończyć jako świnia.

Adam złożył kartkę z nazwiskami i schował do kieszeni palta.

– Dziękuję, panie nadkomisarzu.

Ucieczka wcale nie była złym pomysłem, zwłaszcza jeśli miało się pewne kontakty za granicą. Adam wrócił czym prędzej do domu, żeby zająć się przygotowaniami. Potrzebował przede wszystkim ciepłych ubrań. Kto wie, jak długo zajmie mu przedzieranie się przez góry. Nie miał w tym żadnego doświadczenia. Nawet na nartach nie potrafił jeździć. Prawdopodobnie cała eskapada skończyłaby się aresztowaniem przez straż graniczną, ale wypadki przybrały zupełnie inny, zdumiewający bieg.

Był już prawie gotowy do drogi, kiedy rozległo się ciche pukanie do drzwi. W pierwszej chwili pomyślał o Gestapo, ale ci zazwyczaj pukali bardziej zdecydowanie.

W drzwiach stała dojrzała kobieta o smagłej karnacji, z rozwianymi brunatnymi włosami, ubrana w nieco sfatygowane futro ze srebrnych lisów. Na prawym ramieniu miała opaskę ze starannie wyhaftowaną złotą nicią gwiazdą Dawida.

Adam poczuł serce w gardle. W progu jego mieszkania stała Mira Szymańska.

– Czy pan mnie wpuści? – spytała, rozglądając się lękliwie po korytarzu.

Adam otworzył szeroko drzwi. Wciąż nie mógł wykrztusić słowa. To naprawdę była ona. Tylko dlaczego miała na ramieniu żydowską opaskę?

Mira weszła czym prędzej i z ulgą oparła się o zamknięte drzwi. Dopiero teraz Adam zauważył, że miała ze sobą sporą walizkę, jakby wybierała się w daleką podróż.

– Pan wybaczy, nawet się nie przedstawiłam. Jestem...

– Wiem, kim pani jest – przerwał jej Adam.

– Ach, pan mnie pamięta. Jak to dobrze! Czy mogłabym prosić o szklanekę wody?

Adam wprowadził ją do jadalni, podsunął krzesło i podał szklanekę z wodą. Mira rozejrzała się dyskretnie. Jej wzrok padł na spakowany do drogi plecak.

– Ale pan wyjeżdża, a ja przeszkadzam!

– Właśnie wróciłem – skłamał Adam, choć właściwie nie było to kłamstwo. Nie miał już najmniejszej ochoty do opuszczenia świata, w którym działały się tak niewiarygodne cuda.

– To dobrze. – Mira odetchnęła z ulgą. – Czy mogę się rozebrać?

Adam zerwał się, żeby pomóc jej zsunąć z ramion futro. Dreszcz przebiegł mu po plecach, kiedy poczuł ciepło jej ciała pod palcami.

– Czy panu jest to niemiłe? – spytała Mira, pokazując na opaskę na futrze. – Że przyjmuje pan u siebie Żydówkę.

– Niemiłe jest mi tylko takie pytanie, szanowna pani.

– Dziękuję, że pan tak mówi. Sama nie wiem, jak bym na pańskim miejscu postąpiła. Jeszcze pół roku temu biegałam po scenie jako germańska wojowniczką.

– Wiem. Byłem na każdym przedstawieniu.

– Oczywiście, przecież to pan przysyłał mi ciągle te kwiaty!

– Nadal mam kartkę od pani – powiedział Adam, wyjmując z portfela liścik, który zamierzał zabrać ze sobą w świat.

Mira przebiegła wzrokiem po swoim zaproszeniu za kulisy.

– To naprawdę urocze, że pan mnie pamięta... – Nagle Mira chwyciła oburącz jego dłoń. – Wielbicielu, sercu miły, czy mogę zatrzymać się u pana przez czas jakiś?

Adam oniemiał. Choć najchętniej wziąłby ją w ramiona bez żadnych dalszych wyjaśnień, to zwykła przyzwoitość wymagała, żeby chociaż zapytać o przyczynę tej nagłej namiętności Miry Szymańskiej do skromnego aspiranta byłej policji państwowej. Niestety, jak się okazało, powodował nią raczej rozsądek niż szalone uczucie.

– Tylko tutaj nie będą mnie szukać – wyjaśniła Mira. – Jest pan obcym mi człowiekiem i absolutnie nic nas nie łączy. Ani interesy, ani uczucie.

– Rozumiem – odparł Adam, ukrywając rozczarowanie. – A kto i dlaczego miałby pani szukać, jeśli wolno spytać?

– Niemcy, rzecz jasna.

– Za to, że jest pani Żydówką?

– Za to, że zabiłam zastępcę gubernatora Warszawy, Standartenführera Kiskego^[60].

Dalsze wyjaśnienia były równie szokujące.

– Wszystko przez tę przeklętą sławę – ciągnęła Mira, biorąc łyk wody. – Oddałabym wszystko, żeby być zupełnie nikim. Żebym mogła wyjść na ulicę i żeby nikt mnie nie rozpoznał. Zazdroszczę panu.

– Że jestem nikim? O, to bardzo łatwo osiągnąć.

– Och, proszę wybaczyć, ale pan wie, o czym mówię. Moja twarz jest moim więzieniem. Zrozumiałam to, kiedy weszli Niemcy. Zaraz na drugi dzień pojawił się w moim mieszkaniu ten przeklęty Kiske. Też mój wielbiciel. Taki sam jak pan.

– Chyba jednak nie taki sam.

– Och, pan wie, o czym mówię. Chodził na każde moje przedstawienie, jak tylko był w Warszawie. No i teraz przyjechał do nas na stałe.

– Czego chciał?

– A czegoż chcą wielbiciele? Wszyscy tego samego – żeby ze mną zamieszkać. Och, proszę tego nie brać do siebie, to jest zupełnie inna sytuacja.

– Rozumiem, że pani groził.

– Postawił sprawę jasno: albo się do niego przeprowadzę, albo wyciągnie na jaw moje żydowskie pochodzenie. Był przygotowany, miał ze sobą papiery – kto, kiedy i z kim w mojej rodzinie był skoligacony. Wiedział na ten temat więcej ode mnie.

– I wyciągnął?

– Chciał mnie upokorzyć tą żydowską opaską. Ale cały czas przychodził i mówił, że to dopiero początek – że niedługo jako Żydówka będę musiała wyprowadzić się do specjalnej dzielnicy, gdzie wszystkich zamierzają zagłodzić na śmierć.

– Uwierzyła pani?

– Roześmiałam mu się w nos. I wtedy wpadł w szal. Rzucił się na mnie i zaczął dusić gołymi rękami. W życiu nie widziałam u nikogo takiej nienawiści. Każdy reżyser operowy powinien to zobaczyć...

– Jak go pani zabiła?

– Lichtarzem. Nawet nie wiedziałam, że czaszka jest taka krucha...

– Kiedy to było?

– Może jakąś godzinę temu.

Adam zaczerpnął powietrza. Miał wrażenie, że stacza się po stromym zboczu na łeb na szyję.

– To znaczy, że ciało leży nadal...

– A co miałam z nim zrobić? W pierwszej chwili wpadłam w rozpacz. Chciałam nawet sama zgłosić się na policję, ale wtedy pomyślałam o panu.

– O mnie?

– „Policja – mówię do siebie. – Zaraz, przecież jest jeden miły policjant, który na pewno mi pomoże”. Rzucam się do biurka – gdzie są te wszystkie bileciki, które Pan przypinał do kwiatów? Jest jeden. „Pan Adam – mówię do siebie – mój wielbiciel wierny, on mi na pewno pomoże”. Chwytam za telefon i dzwonię po komisariatach – czy taki a taki u was pracuje. Już za trzecim razem trafiłam. Więc kazałam podać sobie pański adres...

– W komisariacie podali pani mój adres?

– Proszę się nie martwić – byłam bardzo przebiegła. Udawałam niemiecki akcent i powiedziałam, że dzwonię z biura Generalnego Gubernatora. Dyżurny chyba stanął na baczność. Od razu zabrał się do szukania. I *voilà*, oto jestem.

Uśmiechnęła się rozbrajająco, jakby przyjmowała go po spektaklu w swojej garderobie za kulisami. Adam patrzył na nią, wciąż oszołomiony jej bliskością i osłupiały.

Nagle Mira spoważniała.

– Ja wiem, że sytuacja jest kłopotliwa: obca kobieta przychodzi do pana z walizką i mówi, że chce z nim zamieszkać...

– Bardziej kłopotliwy jest w tej chwili trup tego Standartenführera w pani mieszkaniu. Niedługo cała policja w Warszawie zacznie pani szukać.

Mira ujęła znów oburącz jego dłoń. Ciepły dreszcz przeszedł mu po plecach.

– Ja wiem, panie Adamie, sercu miły, że dużo wymagam. Czy pan pomoże?

Ukrywanie zabójczynie wysokiego niemieckiego urzędnika, i do tego Żydówki, w czynszowym mieszkaniu w samym centrum miasta musiało skończyć się katastrofą. Adam pewnie i tak rzuciłby się w przepaść głową w dół, ale w tym momencie wydarzyło się coś, co sprawiło, że zapragnął znaleźć się w tej śmiertelnej otchłani jak najprędzej: spod sukienki Miry wyrzała końcówka nylonowej pończochy.

– Oczywiście – powiedział bez wahania. – Może pani na mnie liczyć.

Mira zerwała się z krzesła i objęła go z głęboką ulgą. Cała nonszalancja opadła z niej, jak płatki z róży. Została tylko śmiertelnie przerażona kobieta na łasce zupełnie obcego człowieka.

– Dziękuję – szepnęła.

Adam z wahaniem położył delikatnie ręce na jej plecach. Trzymał Mirę w ramionach: czy to nie było warte wojny światowej?

4

A jednak, choć z początku Adamowi wydawało się to niemożliwe, cena za spełnienie jego najskrytszych pragnień była zbyt wygórowana. Zrozumiał to już nazajutrz rano, kiedy poszedł jak zwykle do pracy. O ucieczce nie mogło już być mowy, przynajmniej przez jakiś czas. Musiał zapewnić Mirze schronienie, a więc udawać, że nic się nie stało, i posłusznie wypełniać swoje obowiązki, nawet jeśli były haniebne.

Kiedy dotarł na komisariat, trzech cywile w skórzanych płaszczach prowadzili właśnie nadkomisarza Strzelczyka do samochodu. Zupełnie zaskoczył go widok Adama. Nie spodziewał się więcej go zobaczyć. Spotkali się wzrokiem tylko na chwilę, ale w oczach nadkomisarza wyraźnie malowało się rozczarowanie.

Adam spuścił wzrok i wszedł do komisariatu. Panowała tu grobowa atmosfera. W każdej chwili spodziewano się przyjazdu nowego szefostwa.

– Ty? – zdziwił się Stępień. – Myślałem, że zwiąłeś.

– Źle myślałeś – odparł Adam, nie patrząc mu w oczy.

– Stary mówił, że też nie weźmiesz udziału w tej antyżydowskiej hecy.

– Stary nie jest jasnowidzem! – wybuchnął Adam i odwrócił się plecami, żeby ukryć płonące ze wstydu policzki.

Udział Adama w antyżydowskich zajściach w okolicach Wielkanocy 1940 roku ograniczył się w zasadzie do odbioru z dworca ekipy filmowej, przysłanej specjalnie z Berlina. Nowy szef, komisarz Bocian, przesiedlony świeżo z Poznania, kazał Adamowi przywitać dostojnych gości i zawieźć ich do hotelu Victoria na Jasnej^[61]. Zadanie podłe, ale jednak nieco lepsze od namawiania praskich

kryminalistów do wybijania szyb w żydowskich sklepach, czym miał zająć się Stępień.

Ekipa filmowa składała się z trzech osób – operatora kamery i dwóch reżyserów, a właściwie jednego reżysera w dwóch osobach. Ulrich i Lukas Pompe byli bowiem nie tylko braćmi, ale też tandemem jednomyślnych artystów. Nawet wyglądali podobnie: każdy z nich ważył ponad sto pięćdziesiąt kilo.

W dorożce do hotelu bracia Pompe żywo komentowali wygląd warszawskich ulic – że za mało kolorów, że światło do niczego, że przechodnie niezbyt fotogeniczni. „Panie Krebbs, da się coś z tym zrobić?”, zagadywali ciągle operatora, który przez całą drogę usiłował zasnąć. Miał ponad sześćdziesiątkę i nic nie robiło już na nim wrażenia. „Będzie dobrze”, mamrotał tylko w odpowiedzi i zamykał z powrotem oczy.

Na widok warszawskich Żydów bracia reżyserzy omal nie oszaleli z radości. Zaczęli skakać po dorożce, jak dwa goryle w klatce. „Patrz, patrz!”, krzyczeli jeden przez drugiego, pokazując palcami malownicze postacie w czarnych chałatach, jakby urodzone do filmu.

– Oni są po prostu piękni! – zachwycił się Ulrich, kadrując brodatego mężczyznę z gwiazdą Dawida w prostokącie złożonym z palców obu dłoni.

Adam poczuł, że dłużej tego nie zniesie.

– A niemieckie władze twierdzą, że Żydzi roznoszą tyfus – wypalił.

Bracia Pompe spojrzeli na niego, jakby dopiero teraz go dostrzegli. Obu wydało się dosyć zuchwałe, że autochton mówi w ich języku i w dodatku zwraca im uwagę. Ale w końcu obaj byli artystami, ludźmi otwartymi na świat, więc bez trudu powstrzymali się od tego, żeby dać mu w pysk.

– Dlaczego Polacy są takimi antysemitami? – spytał Ulrich ze szczerym zainteresowaniem. W końcu przyjechali nakręcić film o polskich atakach na Żydów, więc warto było czegoś się najpierw dowiedzieć.

– Dlaczego najczęściej pytają o to akurat Niemcy?

Ulrich spąsował. Kultura kulturą, ale temu tubylcowi ktoś naprawdę powinien po prostu obić mordę.

– Pan ma obowiązek udzielić nam wszelkiej pomocy! – wybuchnął. – Proszę odpowiadać na pytania!

– Zostaw, Ulrich – uspokoił go brat. – Nie warto.

Dał mu głową znak, że rozsądniej będzie zameldować o zachowaniu miejscowego przewodnika, niż wdawać się w niegodne artysty pyskówki.

Film dokumentalny o zjściach antyżydowskich w Warszawie w roku 1940 wyszedł całkiem wiarygodnie. Kamerzysta Krebbs stanął na wysokości zadania, głównie dlatego, że ekipa była zawsze dokładnie uprzedzona, gdzie i kiedy rozpoczną się kolejne rozruchy. Dzięki temu żaden kamień ani żadna pałka, które spadły na głowę Żyda, nie umknęły kamerze. Udało się nawet uchwycić w zwolnionym ujęciu rozpryskującą się wielką szybę wystawową. Owszem, było trochę problemów z kryminalistami machającymi do kamery, ale bracia Pompe jako doświadczeni reżyserzy potrafili poradzić sobie z naturalnym zapędem amatorów do gwiazdorzona. Film został pokazany w Berlinie z komentarzem, że trudna sytuacja Żydów na wschodzie zmusza niemiecką administrację do utworzenia specjalnych żydowskich dzielnic, odgradzonych murem dla ochrony ich mieszkańców przed antysemitkami atakami.

Adam nie brał już w tym wszystkim udziału. Jego rola szczęśliwie skończyła się na dowiezieniu braci Pompe do hotelu Victoria. Ledwo bowiem wrócił na komisariat, dostał inne zadanie: razem z Kripo^[62] miał prowadzić śledztwo w sprawie brutalnego zabójstwa Standartenführera Kiskego, którego ciało znaleziono w mieszkaniu byłej solistki Opery Warszawskiej, Żydówki Miry Szymańskiej. Ucieszył go ten przydział. Było to najlepsze, co w obecnej sytuacji mogło mu się przytrafić. Z jednej strony chroniło go przed uwikłaniem w rozmaite antyżydowskie akcje niemieckiej administracji, które z każdym miesiącem przybierały na sile, a z drugiej dawało pełny wgląd w stan poszukiwań Miry.

Na razie Kripo nie wiedziało nic. Z dyskretną pomocą Adama śledztwo szło w kierunku ucieczki sprawcy za granicę, ale żadnych szczegółów wciąż nie udawało się ustalić.

Wszystko to – hańbę, wstyd i nieustający strach – dałoby się znieść, gdyby tylko w domu czekały na Adama otwarte ramiona Miry. Niestety, każdego wieczoru czekała tam na niego jeszcze większa udręka: kobieta, dla której poświęcił samego siebie, traktowała go najwyżej jak kogoś w rodzaju miłosiernego samarytanina. Pewnego razu, kiedy jedli ziemniaki z maślanką, powiedziała to wprost.

– Wie pan, Adamie sercu miły, czasem mam wrażenie, że wracamy do czasów biblijnych.

– Chodzi pani o plagi egipskie? – spytał z przekąsem Adam. Znów czuł ten sam płynny ołów w sercu, co każdego wieczoru, kiedy zerkał na kobietę po drugiej stronie stołu.

– Proszę spojrzeć na nasze potrawy: jemy jak uczniowie Jezusa.

– O ile wiem, uczniowie Jezusa ziemniaków nie znali. Maślanki chyba też nie.

– Och, niech pan nie będzie taki dosłowny! Mówię ogólnie. Pan, na przykład, jest jak prawdziwy Samarytanin.

– W jakim sensie?

– Pan nie zna tej przypowieści? To jest bardzo piękna historia. Muszę się panu przyznać, że zaczęłam czytać Biblię. Tyle czasu tu sama siedzę, a nie wiadomo, ile jeszcze upłynie, zanim mąż się odnajdzie...

– Biblia nikomu nie zaszkodzi – przerwał jej ostro Adam. Z coraz większym trudem opanowywał się na te nieustanne wspomnienia o mężu.

– Otóż ten Samarytanin to był wędrowiec, który jako jedyny udzielił pomocy napadniętemu przez zbójców...

– Znam przypowieść o Miłosiernym Samarytaninie.

– Nawet nie był Żydem – ciągnęła Mira niezrażona – a opatrzył temu obcemu człowiekowi rany, nakarmił go, напоił, tak samo jak pan...

– Wcale nie tak samo! – wybuchnął Adam i rąbnął pięścią w stół. – Miłosierny Samarytanin to był zwykły frajer, a pani żadni zbójcy nie załatwili, tylko odwrotnie!

Sam nie wiedział, co go opętało. Zawsze rozmawiali ściszone głosami, a wszystkie zakupy przynosił w plecaku, żeby nikt w kamienicy nie nabrał podejrzeń, że nie mieszka sam. Teraz wszystkie te starania zniweczył w jednej chwili. Najgorsze jednak, że nie poznawał samego siebie. Mówił jak ulicznik, a nie aspirant państwowej policji. Za nadkomisarza Strzelczyka groziły za coś takiego poważne kary finansowe. Ale Strzelczyka już nie było. Od kilku miesięcy siedział na Pawiaku.

Mira spojrzała na niego głęboko urażona.

– Widzę, że stałam się dla pana ciężarem. Zapewniam pana, że kiedy tylko powróci z wojny mój mąż...

Nie potrafił przestać. Zupełnie jakby złośliwy sufler wciskał mu przemocą do gardła kolejne podłe słowa.

– Jakiej wojny, jaki mąż! – syknął z wściekłością. – Wojna dawno już skończona, a pani mąż gnije gdzieś w polu!

Dopiero teraz otrzeźwiał. Nawet nie przypuszczał, że jest zdolny do takiej podłości.

– Przepraszam, pani Miro. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

Ale było już za późno. Mira wstała od stołu z wilgotnymi oczami i wyszła bez słowa do drugiego pokoju. Tego wieczoru nie odezwała się więcej.

Nazajutrz przez cały dzień żył w strachu, że kiedy wróci wieczorem do domu, Miry już nie będzie. Co jakiś czas odzywał się też nikczemny sufler, podpowiadając mu, że takie rozwiązanie byłoby właściwie najlepsze, ale Adam nauczył się już z nim walczyć. Jasno dał mu do zrozumienia, co wtedy robi: jeśli Mira odejdzie, sam przyzna się do zabójstwa Kiskego. Wcale nie chciał przeżyć za wszelką cenę i nie zamierzał słuchać podobnych podszeptów.

Nie odeszła. Zgodnie z ustalonymi zasadami siedziała w ciemnym mieszkaniu, starając się nie chodzić po skrzypiącej podłodze, nie stukać szklankami ani nie zapalać światła. Odetchnął głęboko.

– Jest pani! – zawołał z radością. – Pani Miro, ja nie wiem, co mnie wczoraj naszło...

– Nie musi pan przepraszać. Ja to wszystko przemyślałam: pan nie jest Samarytaninem. Raczej królem Salomonem. A ja Szulamitką.

Stale czymś go zaskakiwała.

– Proszę?

– Dzisiaj o tym przeczytałam – powiedziała, pokazując na egzemplarz Biblii. – Szulamitka była młodą pasterką, w której zadurzył się król Salomon.

– Wie pani – bąknął zmieszany Adam – do nas to chyba nie bardzo pasuje.

– Ale pan darzy mnie uczuciem, prawda?

Adam osłupiał.

– Otóż to – ciągnęła Mira. – Król Salomon też starał się zdobyć względy Szulamitki, ale dziewczyna nie mogła na te zabiegi odpowiedzieć.

– Dlaczego? – spytał Adam ze ściśniętym gardłem.

– Ponieważ czekała na powrót ukochanego pasterza.

– Przepraszam za to, co powiedziałem wczoraj o pani mężu. Oczywiście, że może nadal żyje. Jeśli walczył na Wschodzie, tak jak pani mówi, to pewnie siedzi teraz w jakimś sowieckim obozie, a stamtąd raczej wiadomości nie docierają...

– Opowiadam panu tylko historię Salomona i Szulamitki.

– Jak się skończyła?

– Salomon pozwolił dziewczynie wrócić do domu.

Adam zamilkł na dłuższą chwilę.

– Nie będę pani zatrzymywał. Jeśli tylko pojawi się jakaś możliwość...

– Ale ona źle postąpiła! – przerwała mu Mira. – Takie jest moje zdanie.

– Tak? – spytał Adam z nadzieją.

– Oczywiście. Powinna zaczekać.

– Na co?

Mira zaczęła przeszukiwać zaznaczone w Biblii strony.

– Gdzie to było... O, proszę posłuchać, sama o tym tutaj mówi: „nie budźcie i nie płoszczcie miłości, dopóki sama nie zechce”^[63].

– Przyznam, że nie bardzo rozumiem.

– Sama przyznała, że może nadejść czas, kiedy „sama zechce”.

Adam poczuł, że łydki zaczynają pod nim drżeć.

– Tak pani uważa?

– Salomon też głupio postąpił. Powinien ją zatrzymać.

Adam przysunął się do niej na drżących nogach. Serce dzwoniło mu jak zegar ścienny. Niemożliwe, żeby nie usłyszeli go sąsiedzi za ścianą.

– Ale ma pan rację, że do nas ma się to nijak – podsumowała Mira, zatrzasnąwszy Biblię. – Ani pan nie jest potężnym władcą, ani ja młodą dziewczyną. Ugotowałam rano coś w rodzaju krupniku – coraz lepiej mi to idzie. Zjemy?

Tego wieczoru w życiu Adama rozpoczęło się wielkie oczekiwanie. Potężna nadzieja, jaką rozbudziła rozmowa o Szulamitce, przysłoniła mu swastyki plugawiające warszawskie ulice, a nawet widok spalonego Zamku Królewskiego. Złagodziła też palący wstyd, jaki odczuwał, pokazując się u boku „kolegów” policjantów w esesmańskich mundurach. Grał swoją rolę najlepiej, jak umiał, żeby

tylko odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia. Oczywiście, śledztwo w sprawie zabójstwa Standartenführera Kiskego tkwiło bezpiecznie w miejscu.

W domu Mira taktownie przestała wspominać swojego męża. Do poprzedniej rozmowy też nie wracali. Wszystko toczyło się zwykłym trybem – do powrotu Adama obowiązywała bezwzględna cisza i zaciemnienie. Potem jedli razem, grali w karty, rozmawiali o tym, co dzieje się na mieście, a później szli spać. Każde do swojego pokoju. Ciężar w piersi było jednak łatwiej znieść, wierząc, że którejs nocy, być może już niedługo, to się zmieni.

Na razie wszelkie zmiany szły zdecydowanie w złym kierunku. Niemcy zajęli Belgię, Holandię, Francję i szykowali się do wielkiego desantu na Anglię. Jednocześnie pozwoliło im to odwrócić powszechną uwagę od tego, co robili w Polsce, a robili niemało. Przede wszystkim zabrali się na poważnie do *Intelligenzaktion*. Adam szybko odkrył w raportach Kripo, że pod tą nazwą kryły się masowe egzekucje wszystkich, którym mógłby w przyszłości choć przyjść do głowy pomysł zorganizowanego oporu. Do podwarszawskich lasów zaczęto więc wozić adwokatów, profesorów, księży, urzędników, lekarzy, poetów, sportowców, przemysłowców i w ogóle każdego, kto się czymś wyróżniał. Była to podróż w jedną stronę. O niektórych egzekucjach można było czasem przeczytać lakoniczne obwieszczenia na murach, po innych ślady zostawały tylko w policyjnych archiwach. Adam natrafiał na nie raz po raz. Zwłaszcza jedna lista zrobiła na nim wstrząsające wrażenie. Na górze widniała nazwa „Palmiry” oraz data oznaczająca dzień rozstrzelania. Na pozycji 52 figurowało nazwisko „Jan Strzelczyk”.

Tego dnia nie wrócił prosto do domu. Poszedł do zadymionej knajpy przy placu Unii i wypił tam ćwiartkę wódki. Nigdy wcześniej tego nie robił. Nie był żadnym abstynentem, ale ordynarne trunki napawały go wstrętem, podobnie jak pospolite otoczenie i towarzystwo. Zawsze wierzył, że jego przeznaczeniem jest piąć się w górę, cokolwiek to znaczyło, a oto siedział nad otwartą flaszką między dziwkami i folksdojczami, a najgorsze, że właściwie był tutaj u siebie.

Kiedy rozum śpi, budzi się hołota – zwykł mawiać nadkomisarz Strzelczyk. Dopiero teraz Adam zrozumiał proroczy sens tego bon motu. Gdy wywiozą już do lasu wszystkich, którzy na to zasługują, kto wtedy zostanie? A jeśli dalej pozwoli swojemu suflerowi szeptać sobie do ucha, że świństwo to rzecz ludzka, to kim obudzi się pewnego dnia?

Heroicznym gestem odsunął od siebie pustą flaszkę i zataczając się lekko, ruszył z powrotem do domu. Na miejscu był tuż przed godziną policyjną.

– Mira? – wybełkotał, zapalając światło w jadalni. – Pani Miro, jest pani?

Mira siedziała za stołem nieruchomo jak posąg.

– Myślałam, że pana aresztowali – powiedział chłodno. – Ale widzę, że pan po prostu się nie spieszył.

Pierwszy raz nie miał ochoty na rozmowę z nią. Chciał tylko położyć się jak najszybciej i przynajmniej na kilka godzin stracić pamięć.

– Zabili mojego szefa – odparł krótko. – Też powinienem leżeć z nim teraz w Palmirach. Dobranoc.

Mira zaniemówiła. Spodziewała się wylewnych przeprosin, a tymczasem Adam po prostu poszedł do siebie i zamknął drzwi. Tyle warte były uczucia mężczyzny. Przez ostatnie kilka godzin wprost umierała ze strachu o niego. A może raczej o siebie? Tak czy inaczej, chodziła od okna do okna, nie zważając ani na skrzypiące deski, ani na to, że ktoś może zobaczyć ją za firanką. Była pewna, że stało się coś strasznego. Adam został aresztowany. Może nawet już nie żył. A teraz lada chwila przyjdą po nią. Za każdym razem kiedy na schodach rozlegały się kroki, serce jej zamierało. Jeszcze nigdy nie modliła się tak żarliwie o żadnego mężczyznę.

Od tej pory patrzyła już na Adama inaczej. Być może zdała sobie boleśnie sprawę, że tylko od niego zależał teraz jej dalszy los. Albo przestraszyła się, że jego namiętność ma jednak pewną datę ważności – tego Adam nigdy się nie dowiedział. W każdym razie naprawdę zaczęła codziennie wyglądać jego powrotu, a kiedy byli razem, starała się dać mu jakiś powód, żeby nazajutrz także powrócił – uśmiech, muśnięcie dłoni, zakołysanie biodrami. Niestety, najwyraźniej to już nie wystarczało. Od egzekucji nadkomisarza Adam coraz bardziej pograżał się w cichej rozpacz. Żadne drobiazgi nie mogły rozpalić w nim dawnego ognia. Do tego potrzebna była płonąca gałąź.

Któregoś wieczoru, kiedy Adam wszedł do mieszkania i zapalił światło, Mira nie siedziała jak zwykle w jadalni. Na stole, oparty o wazon, stał natomiast elegancki bilet wizytowy, taki sam, jaki dostarczono mu kiedyś na komisariat.

Adam rzucił się na bilet, pełen najgorszych przeczuć. Z tyłu widniało odręczne pismo Miry. Wiadomość była napisana w znajomym niepowtarzalnym stylu.

Sercu miły,

*Salomonie drogi,
Szulamitka nie pragnie już odejść.
Czeka na Ciebie
W swojej komnacie.*

MS

Pot wystąpił mu na czoło. Wolno przeniósł wzrok na zamknięte drzwi drugiego pokoju.

Wszedł do środka.

5

Było to najszcześniejsze i jednocześnie najczarniejsze lato w całym życiu Adama. Nigdy przedtem ani potem nie doznał tylu uniesień i tak głębokiego niespełnienia. Do tej pory nawet nie zdawał sobie sprawy, że obie te rzeczy mogą istnieć naraz. Mogły. Przypominały dwie strony tej samej monety, której nie można było ani wydać, ani wyrzucić.

Zaczynało się zawsze tak samo: bicie serca, spoglądanie na zegarek, rozkosz rozlewająca się po całym ciele na myśl, że jeszcze trochę, a będzie można zostawić za sobą plugawy świat czarnych mundurów, koślawych krzyżyków i trupich czaszek. A potem szybki bieg do tramwaju i pełna nadziei podróż do domu – chyba najlepsza część całego dnia. Był tak podniecony, że raz czy dwa nie zauważył nawet, że usiadł w części wagonu oznaczonej tabliczką *Nur für Deutsche*^[64]. Nie, to nie była najlepsza część dnia. Najlepsze było otwieranie drzwi: ręka drżała mu tak, że ledwo mógł utrzymać klucz.

Mira stała już w przedpokoju – w satynowej halce, z kropelkami wody na szyi, jakby właśnie wynurzyła się z morza. Przywierali do siebie bez słowa. Nie, jednak to właśnie było najcudowniejsze – ten zawrót głowy, kiedy dwupokojowa czynszówka nagle zamieniała się w nieskończony ocean, w którym pływali z radosnym parsaniem aż do zupełnej utraty sił.

Gorycz przychodziła później. Tak jak wtedy, gdy pierwszy raz pojawił się między nimi temat przyszłości. Odpoczywali obok siebie, oddychając głośno. Wiatr poruszał firanką w uchylonym oknie jak żaglem. Mira z uśmiechem

odgarnęła z czoła zlepiony potem kosmyk włosów. Choć minęło już ponad pół roku, odkąd wyszła ostatni raz na światło słoneczne, jej nieopalone biodra i piersi wciąż były bledsze od reszty smagłego ciała. Nagle Adam poczuł, że gardło ściska mu niewytłumaczalna tęsknota. Zupełnie jakby Mira była nadal nieosiągalną mrzonką, a nie nagą kobietą, która leżała tuż obok niego. Położył dłoń na jej pełnej piersi.

– Jesteś jak... Buenos Aires – szepnął.

– O, dlaczego nie Paryż albo Rzym?

– Tam rządzą teraz faszyci. – Adam się skrzywił. – Poza tym to za blisko. Buenos Aires jest tak daleko, że prawie nie istnieje.

– Och, zapewniam cię, że istnieje! Byłam tam. O, to naprawdę piękne miasto. I klimat cudowny. Dziękuję ci za to porównanie.

Adam wsparł się na łokciach, wyraźnie ożywiony.

– Zaraz, byłaś tam?

– Dwa razy. W Teatro Colón. Sam Caruso^[65] tam występował.

– To znaczy, że znasz tam jakichś ludzi?

– Oczywiście, całe mnóstwo. Ciągłe mnie do siebie zapraszali, ale nigdy nie było okazji...

– Wyjedziemy tam – powiedział stanowczo.

– Och, to byłoby cudowne!

– Mówię poważnie. Nie wiem jeszcze jak, ale zajmę się tym.

– Marzycielu miły!

– To nie są puste marzenia. Tylko tam jest jeszcze dla nas jakaś przyszłość.

– Dla nas? – zaniepokoił się Mira.

– Wiecznie nie mogę cię ukrywać. W końcu ktoś na nas doniesie. Musimy myśleć o przyszłości. Nawet jeśli teraz nie ma jeszcze konkretnych rozwiązań, to warto przynajmniej wiedzieć, dokąd razem zmierzamy.

Mira spoważniała. Zarzuciła na siebie szlafrok, jakby nagle zawstydziła ją własna nagość.

– Chyba jest jeszcze trochę herbaty – bąknęła, ruszając do kuchni.

Adam chwycił ją za rękę.

- Dlaczego nie chcesz o tym rozmawiać?
- Sercu miły...
- Nie mów tak do mnie.
- Dlaczego, jesteś mi miły.
- Ale nie na tyle, żeby planować ze mną przyszłość?

Mira usiadła na brzegu łóżka.

- Po co takie słowa.
- Odpowiedz na pytanie.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie mamy żadnej przyszłości. Jesteśmy dwojgiem nieznajomych, którzy zabłądzili podczas zamieci. Kiedy zamieć się skończy, każde z nas pójdzie w swoją stronę.

Adam poczuł, jak gorąca fala obmywa mu serce. Puścił jej rękę. Tylko tym dla niej był – przypadkowym towarzyszem podczas zamieci? Zresztą po co te poetyckie porównania, powinna powiedzieć wprost, że chodzi z nim do łóżka, bo na razie ma w tym interes.

Sam nie wierzył, że takie podłe słowa w ogóle przyszły mu do głowy. Była to wina zwyrodniałego suflera, który z dnia na dzień stawał się coraz bardziej chamski i małoduszny. Adam wciąż nie dopuszczał go do głosu, ale czasem był wobec łajdaka bezradny.

Nazajutrz wszystko zaczęło się od nowa: bicie serca, zegarek, bieg do tramwaju, drzwi, krople wody na jej szyi... Ale już nie potrafił zatracić się całkowicie. Jakaś jego część pamiętała, że był jej co najwyżej „miły”, to wszystko. Choć nurzał się w jej włosach i piersiach, to przepelniała go paląca tęsknota za nią, jak gdyby jej mokry dotyk był niczym więcej jak sennym marzeniem, po którym pozostawał tylko żal.

Nigdy więcej nie rozmawiali o Buenos Aires. Na ustach wszystkich było teraz inne wielkie miasto – Londyn. Niemcy rzucili do ataku na Anglię całe swoje lotnictwo. Chmury samolotów z czarnymi krzyżami codziennie ścierały się w powietrzu z angielskimi myśliwcami. Było wśród nich sporo polskich pilotów. O ich wyczynach huczała po cichu cała Warszawa. Adam przyniósł nawet do domu radio, żeby śledzić doniesienia z wielkiej bitwy na angielskim niebie.

– Ty oszalałeś! – przestraszyła się Mira na widok odbiornika lampowego, który Adam wyjął z plecaka. – Przecież za to grozi kara śmierci!

– Jedną mamy już zagwarantowaną, więc druga nie może nam zaszkodzić. Dwa razy nas nie powieszają.

Słuchali głównie audycji BBC. Adam nie znał angielskiego, ale Mira chętnie tłumaczyła wiadomości czytane przez spikera. Leżał wtedy z głową na jej piersi i czuł rozkoszne wibrowanie jej mocnego głosu. Były to chwile niemal doskonałe: z radia płynęły po cichu obrazy spadających niemieckich samolotów, a zielona lampa mrugała przyjaźnie w ciemności jak latarnia pośrodku oceanu, po którym pływali z pasją przez pół nocy. Niestety, nigdy nie udawało mu się zagłuszyć całkowicie podejrzenia, że Mira leżała obok niego, ponieważ po prostu nie miała innego wyjścia.

Prawdopodobnie to właśnie radio stało się przyczyną ich zguby. Sącząca się za ścianą muzyka znacznie bardziej przyciągała uwagę sąsiadów niż ściszone odgłosy rozmów. Adam nigdy nie dowiedział się, kto na nich doniósł ani ile za to dostał – kilo cukru, litr spirytusu czy też przydział węgla na opał. W każdym razie sąsiedzki donos był jednocześnie nieświadomym aktem miłosierdzia: tego samego dnia Adam miał bowiem zamiar zastrzelić się ze służbowego pistoletu.

Siedział w swoim dawnym pokoju na pierwszym komisariacie, kiedy do środka wpadł rozgorączkowany Stępień.

– Słyszałeś już? – zawołał od progu.

– Coś w Anglii?

Stępień machnął lekceważąco ręką.

– A pies wachał Anglię! Awans dostaliśmy!

– Kto?

– Ja i ty. Mamy stworzyć polską komórkę Kripo. Będziemy dalej siedzieć tutaj, ale już nie pod Bocianem, a bezpośrednio pod Streckenbachem^[66].

– Co to za jeden?

– Na jakim ty świecie żyjesz? To szef całej policji w gie-gie^[67]!

– Rozumiem, że mam ci pogratulować.

– Sam sobie pogratuluj. Jutro idziemy z nimi na pierwszą akcję.

– Jaką akcję?

– Na razie tylko zabezpieczenie, nic wielkiego. Ale własne śledztwa też mamy prowadzić.

Adam obrócił się gwałtownie.

– Zabezpieczenie czego?

– Nie wiem dokładnie. Jakaś likwidacja czy coś. W Palmirach.

Adam zerwał się, przewracając krzesło, i chwycił Stępnia za koszulę na piersi.

– Ty śmieciu! – syknął.

– Czego się gorączkujesz? Posłuchaj do końca. To nie jest żadna egzekucja naszych. Pytałem kilka razy. Kilku Żydków mają rozwalić, to wszystko.

Adam rąbnął go pięścią w sam środek twarzy. Stępień krzyknął i upadł na podłogę, tamując buchającą z nosa krew.

– Skurwysynu, nos mi złamałeś!

– Poskarż się swoim Niemcom.

– Koniec z tobą, rozumiesz?

Wybiegł z pokoju.

Adam opadł ciężko na krzesło. To rzeczywiście był koniec. Tej ceny za Mirę nie mógł zapłacić. Zresztą i tak nic więcej mu nie zostało. Oddał już wszystko.

Opanował drżenie rąk i sięgnął po służbowego browninga. Sprawdził magazynek. Pozostało mu już tylko wypuścić Mirę, a potem zakończyć wszystko strzałem w usta. Innego wyjścia naprawdę nie widział.

Ostatni raz stanął pod własnymi drzwiami. Mira nie spodziewała się go o tej porze, ale był pewny, że przywita go gorącym pocałunkiem. Dreszcz przebiegł mu po plecach, ale zaraz przypomniał sobie, że przecież był dla niej tylko przypadkowym schronieniem podczas zamieci. Poczł bolesne ukłucie w sercu. To też miało się wreszcie skończyć.

Otworzył drzwi. Miry nie było ani w korytarzu, ani w jadalni. Być może spała. Ruszył w stronę drugiego pokoju, ale w tym momencie zdał sobie sprawę, że ktoś za nim stoi. Obrócił się gwałtownie.

Było to dwóch mężczyzn w skórzanych płaszczach.

– Kim panowie...

Cios pięścią w żołądek był najlepszą odpowiedzią. Drań musiał mieć w rękawiczce kastet.

– Gdzie ona jest?

– Kto? – spytał Adam, chwytając powietrze. Serce zabiło mu niespodziewaną nadzieją. Czyżby Mira nie wpadła w ich ręce?

Tajniak pokazał mu futro ze srebrnych lisów z gwiazdą Dawida na ramieniu.

– Ta żydowska zdzira, co do ciebie przychodzi słuchać radia.

Ogarnęła go szalona radość. Nie aresztowali Miry!

– Nie wiem, o czym panowie mówicie.

Kolejny cios omal nie złamał mu kości policzkowej. Bolało, ale radość wciąż znieczulała go jak morfina. Nie aresztowali Miry! Tylko co się z nią stało?

– Co to za jedna? Nazwisko.

A więc tego też nie wiedzieli. Coraz lepiej to wyglądało.

– Nie znam. Po prostu prostytutka. Przychodzi tutaj.

– I wiesz swoje kiecki w twoich szafach?

– Czasem zostaje na noc.

– Ale nie wiesz, jak się nazywa?

Kolejny cios w żołądek znowu pozbawił go na dłuższą chwilę oddechu.

– Zylber – wykrztusił, przypominając sobie nazwisko starego znajomego z policyjnych kartotek. – Haja Zylber.

– Jesteś jakimś zbrojennym? Nie umiesz sobie wziąć normalnej utrzymanki, tylko żydowską?

– To nie jest zabronione^[68].

– Hańbisz swoją rasę, ty wszarzu!

– Daj spokój, Horst – upomniał go drugi tajniak. – Jak Słowianin może hańbić swoją rasę.

– A, no tak – zreflektował się Horst.

Zawieźli go na Pawiak. Oficjalnym zarzutem było złamanie zakazu posiadania radia i słuchania wrogich ośrodków propagandowych. Owszem, za to też groziła kara śmierci, ale w gruncie rzeczy było to i tak najlepsze, co mogło się zdarzyć.

Mira zniknęła. W ciągu długich miesięcy na Pawiaku Adam rozważał na wszystkie sposoby, co mogło się z nią stać. Najbardziej prawdopodobna wersja, której trzymał się przez następne lata, wyglądała mniej więcej tak: Mira wyszła

z mieszkania tylko na chwilę. Było to wbrew wszelkim zasadom, ale zrobiła to. Może chciała po prostu spojrzeć w niebo, a może czegoś potrzebowała. Tego nie dało się już ustalić. W każdym razie zaraz miała wrócić. Nie wzięła przecież ze sobą żadnych ubrań. Kiedy zbierała się do powrotu, pod kamienicę zajechał samochód z tajniakami. Nie trudno było ich rozpoznać. Spokojnie przeszła na drugą stronę ulicy i zniknęła. Pozostało mu tylko wierzyć, że znalazła sobie inną kryjówkę na czas zamieci.

Nie skazali go na śmierć. Być może uznano jego służbę w granatowej policji za okoliczność łagodzącą. W każdym razie jesienią 1940 roku, kiedy w Anglii świętowano odparcie lotniczej inwazji III Rzeszy, a w Warszawie stawiano mury getta, Adam wylądował w pociągu towarowym zmierzającym gdzieś na południe. Wśród więźniów rozeszła się plotka, że wiozą ich do jakiegoś obozu koncentracyjnego w Niemczech. Ze zgrozą podawano sobie z ust do ust nazwy: Dachau, Mauthausen, Buchenwald, Sachsenhausen i inne. Po wielu godzinach jazdy pociąg zatrzymał się na małej stacyjce. Wszyscy więźniowie tłoczyli się do szpar w wagonie bydłowym, żeby zobaczyć, dokąd wreszcie dojechali. Odetchnęli z ulgą.

Stacja nazywała się Auschwitz^[69].

IX CZŁOWIEK BEZ DUSZY

1

Miał rację: nie udusili się, ale po dwudziestu czterech godzinach smród w celi przepełnionej jak tramwaj w godzinach szczytu był nie do zniesienia.

- Jak długo będą nas tu jeszcze trzymać! – jęknął pastor Wieseborn.
- To zależy – odparł Adam, dysząc ciężko.
- Od czego?
- Kiedy któryś zacznie sypać. Stawiałbym na tego szypra. Za długo nie wraca.
- Neupert? To jest niezłomny człowiek.
- Niezłomni sypią później, ale za to więcej.
- Pan jest cynikiem.
- To nie cynizm, tylko konkretna wiedza.
- Skończył pan psychologię?
- Nie, kilka kursów przetrwania. U was i u Sowietów.
- Neupert nic nie powie. Zresztą co miałby powiedzieć?
- Ktoś jednak te granaty rzucił.
- To wcale nie musiał być Niemiec.
- Obstawia pan Żydów?

Wieseborn spojrzał na niego z wściekłością.

- Mam już serdecznie dosyć...

Nie dokończył. W tej samej chwili otworzyły się drzwi celi. Z korytarza dobiegł głos strażnika, który zaczął wyczytywać nazwiska.

- Niedobrze – orzekł Adam. – Mają listę.
- Co to znaczy?
- Że niezłomny jednak sypnął.

– Hans Pohl! – wyczytał strażnik.

Nastoletni syn Eriki wyprężył się z godnością, posyłając Adamowi wyzywające spojrzenie, jakby chciał pokazać mu, że germański wojownik gardzi taką drobnostką jak kara śmierci.

– Jest – odparł nonszalancko i ruszył śmiało do drzwi.

– O co chodzi? – krzyknął zaniepokojony Wieseborn do strażnika. – Dokąd zabieracie tych ludzi?

– Głupio pan robi – szepnął Adam.

– Nie będę pana więcej słuchać! – wybuchnął Wieseborn. – Tu jest Europa, a nie dziki wschód. Nawet bolszewików obowiązują tu pewne zasady!

– Paul Wieseborn! – wyczytał strażnik.

– To ja – zdziwił się pastor. – O co chodzi?

– *Wychadi!* – ryknął strażnik i dodał kilka soczystych epitetów.

Wieseborn ruszył do drzwi, oglądając się bezradnie na Adama.

– Adam Kostrzewa! – brzmiało ostatnie nazwisko na liście.

To była jednak pewna niespodzianka. Adam sądził raczej, że rozprawią się z nim po cichu, a nie oficjalnie, razem z całą zgrają Niemców. Zresztą jakie to miało znaczenie? Wyszedł z zatłoczonej celi w ślad za resztą wyczytanych.

Na ulicy zalegała jeszcze poranna mgła, słońca nie było widać. Chłodne świeże powietrze odurzyło go. W pierwszej chwili była to nawet przyjemna odmiana po ostatniej dobie w smrodzie i ścisku. Przed komendanturą czekała ciężarówka z włączonym silnikiem. Adam rozejrzał się po żołnierzach, którzy prowadzili załadunek. Wszyscy wyraźnie unikali patrzenia więźniom w oczy. Nie był to dobry znak.

– Do lasu nas bierzecie? – rzucił do młodego krasnoarmiejca, kiedy ten wiązał mu ręce z tyłu kawałkiem drutu, tak samo jak pozostałym. Chłopak nie odpowiedział.

Ciężarówka ruszyła bez dalszej zwłoki. Na otwartej platformie było ich trzynastu. Przy kłapie siedziało dwóch strażników z pepeszami.

– Gdzie jest oficer? – protestował Wieseborn. – Ja muszę się widzieć z oficerem.

– To nic nie da – zwrócił mu uwagę Adam.

– Jestem niewinny. Byłem tylko wojskowym kapelanem. Nie mam nic wspólnego z zamachem – powtarzał raz za razem, jak zacięta płyta.

– Uspokój się – przywołał go do porządku Adam. – To wy narobiliście tego bałaganu na spółkę z bolszewikami. Dajcie mi przynajmniej zdechnąć w spokoju.

Wieseborn zamilkł, jakby przypomniał sobie, że jest albo przynajmniej kiedyś był osobą duchowną, i pogrążył się w modlitwie.

Nie jechali długo. Ciężarówka wjechała przez żelazną bramę na teren na wprost zburzonego Gimnazjum Męskiego im. Adolfa Hitlera^[70]. Było tu spore boisko do piłki nożnej, na którym mimo wczesnej pory zgromadził się tłum ludzi.

Na platformie ciężarówki zapanowało poruszenie.

– O co tu chodzi? – Wieseborn rozglądał się w osłupieniu dokoła.

Adam też niewiele z tego wszystkiego rozumiał. Spodziewał się lasu albo jakiegoś odludzia, na przykład nadmorskich wydm, które wprost idealnie nadawały się do masowych mordów. Ale stadion w środku miasta, w dodatku wypełniony gapiami?

Nagle zdał sobie sprawę, że dokładnie o to chodziło. To nie miała być żadna dyskretna likwidacja, ale legalna egzekucja przeprowadzona zgodnie z nowym prawem i moralnością. Miasto potrzebowało nowego początku. Nic nie nadawało się do tego lepiej niż rytualna śmierć uznanych złoczyńców.

Adam rozejrzał się po tłumie. Oczywiście, żaden z gapiów nie zjawił się na boisku z własnej woli. Wszyscy zostali tu zagonieni kolbami. Większość wygarnięto z domów: wielu trzęsło się na chłodzie w samych koszulach. Do tej pory prawdopodobnie sądzili, że nadeszły ich ostatnie chwile. Dopiero teraz, na widok związanych ludzi na platformie, wstąpiła w nich otucha – a więc to tych będą wieszać, a nie nas!

Ciężarówka podjechała pod długą belkę zawieszoną na dwóch stropach. Była to nowa konstrukcja, wzniesiona nocą rękami miejscowych stolarzy. Do ciężarówki doprowadzono Neuperta. Był ciężko pobity, ledwo trzymał się na nogach, ale ręce miał tak samo związane z tyłu jak reszta. Dwóch żołnierzy musiało podsadzić go na platformę.

– Neupert! – zawołał Wieseborn. – Co tu się dzieje?

Neupert łypnął na niego zapuchniętym okiem.

– Wybaczcie – wychrypiał cicho.

W tym samym momencie na platformę wskoczyło żywo dwóch żołnierzy z naręczem sznurów. Wszystkie były zakończone solidnymi pętlami, które wprawnie zarzucali więźniom na szyje. Drugi koniec sznura przerzucali przez belkę w górze. Kiedy robota była skończona, zeskoczyli z platformy i zabrali się do wiązania luźnych końcówek na hakach wbitych w ziemię.

Wieseborn spojrział z pogardą na Neuperta i splunął pod nogi.

– Będą nas wieszać! – krzyknął rozpaczliwie Hansie, jakby nagle opadła z niego zbroja germańskiego wojownika i oczom wszystkich ukazał się wychudzony piętnastoletni chłopiec. – Ja nic nie zrobiłem!

Rozejrzał się panicznie po swoich towarzyszach. Jego wzrok zatrzymał się na Adamie.

– Ja nic nie zrobiłem! Powiedz im, że to nie ja!

– Cicho, synu – uspokoił go Wieseborn. – Pomódl się.

Rada pastora ostatecznie pogrążyła Hansiego – skoro nawet taki mądry człowiek nie potrafił powiedzieć nic lepszego, to był naprawdę koniec. Chłopiec rozplakał się jak dziecko.

Adam przełknął ślinę, być może po raz ostatni. Znał tę metodę: Rosjanie musieli przejąć ją od Niemców, a może odwrotnie – te dwie wielkie nacje zawsze inspirowały się nawzajem. Widział podobną egzekucję w małym miasteczku na wschodzie i był pod wrażeniem sprawnej organizacji. Na dźwięk gwizdka samochód po prostu ruszył z miejsca i czterech partyzantów zawisło na belce.

Rozejrzał się za człowiekiem z gwizdkiem. Oczywiście, był nim sam pułkownik Arłam Osipowicz. Na krótką chwilę spotkali się wzrokiem. Obok niego stał doktor Spitzgau, jak przystało na legalną egzekucję. Odwrócił głowę w drugą stronę.

– Boże, przebacz nam wszystkim! – zawołał pastor Wieseborn w przeczuciu nadchodzącego końca.

Rozległ się gwizdek. Ciężarówka wolno ruszyła z miejsca. Nogi więźniów zatupotały gwałtownie na platformie jak stado spłoszonych ptaków. Wszyscy rzucili się jak najdalej od krawędzi.

Może i niektórym w takiej chwili rzeczywiście przewija się przed oczami całe życie, ale Adam zobaczył z niego tylko jedną chwilę: kiedy otwierał z bijącym sercem drzwi własnego mieszkania, za którymi czekała na niego Mira.

Czy nadal na niego czekała?

Sznur szarpnął go mocno za gardło. Nie chciał dłużej walczyć. Puścił burtę ciężarówki. Sznur ciągnął go nieubłaganie w stronę krawędzi platformy.

Nagle zaterkotała seria z pepeszy. Ciężarówka zatrzymała się gwałtownie.

Hansie Pohl obrócił się z nadzieją i niedowierzaniem: czyżby rzeczywiście Werwolf miał ich odbić?

Ale to nie był Werwolf. Ani nikt, kogo można by przynajmniej o to oskarżyć. Strzelał Pietia Fedoruk.

Ni z tego, ni z owego pojawił się obok Osipowicza. Pierwszą serię z pepeszy oddał w powietrze, ale drugą najwyraźniej zamierzał posłać w głowę komendanta. Wyglądał jak zbieg z *psychuszki*^[71]: rubaszkę miał rozchełstaną, wzrok błędny.

– Sukinsynu! – krzyczał ile sił w płucach. – Bydlaku!

Osipowicz dał znak swoim ludziom, żeby pod żadnym pozorem nie strzelali. Nie pierwszy raz miał do czynienia z wariatem z pepeszą. W partyzantce co rusz komuś odbijało. Ale żeby Pietia? Coś musiało się stać.

– Spokojnie, Pietia. Odłóż pepeszę.

– Gnoju! Chciałeś się nas pozbyć!

– Odłóż pepeszę, Pietia. Wszystko będzie dobrze.

– Dlaczego to zrobiłeś, kanalio?!

– Spokojnie, Pietia. Co zrobiłem?

– Tamtych też załatwiłeś, szubrawcu!

Sięgnął do kieszeni i cisnął w Osipowicza garścią czegoś, co z daleka wyglądało jak odpadki z rzeźni.

W tej samej chwili jeden z żołnierzy stojących za Pietią rzucił się w jego stronę i z impetem rąbnął go kolbą w tył głowy. Pietia padł nieprzytomny na ziemię.

– Zamknijcie go – rozkazał Osipowicz i odwrócił się do Spitzgaua, jakby chciał wytłumaczyć się z dziwnego zajścia. – Chory człowiek. Nie wie, co gada. Będziecie musieli się nim zająć.

– Chyba jest następne morderstwo – powiedział Spitzgau, wpatrzony w ziemię.

– Gdzie?

Spitzgau pokazał na leżące na ziemi krwawe odpadki, którymi Pietia cisnął w komendanta. Były to trzy ludzkie palce.

2

Dwie dorosłe mewy żerowały pracowicie na tarasie nadmorskiej willi. Rzadko kiedy trafiał im się świeży trup, toteż kiedy drzwi na taras otworzyły się z trzaskiem, niechętnie poderwały się do lotu.

– Swietaaa! – ryknął Osipowicz, płosząc mewy, które przysiadły na chwilę na pobliskiej sośnie.

Jego wojenna żona leżała na boku z rozrzuconymi ramionami. Jej ręce były niemal całkowicie pozbawione palców. Morderca pozostawił tylko lewy kciuk. Twarz była już niemal zupełnie wydziobana przez ptaki.

Osipowicz sięgnął po pistolet i ze wściekłym rykiem wystrzelał cały magazynek w okoliczne drzewa obsiadłe przez ptaki, które czekały, aż skończy się przerwa w żerowaniu. Kiedy rozległ się suchy trzask iglicy, komendant cisnął bezużyteczny pistolet w oszklone drzwi prowadzące na taras. Szyba pękła z głośnym brzękiem i rozsypała się w drobne paciorki.

– Zgon musiał nastąpić nie dalej niż dwie godziny temu – orzekł doktor Spitzgau, oglądając ciało. – Jak byliśmy na stadionie.

– Jaki zgon, ty szwabski pomocie! – ryknął mu Osipowicz prosto w twarz, chwytając go za ubranie na piersi. – Masz ją wyleczyć, rozumiesz?

– Ona nie żyje, towarzyszu komendancie... – wyszeptał przerażony lekarz.

Osipowicz popchnął go z całej siły. Spitzgau pośliznął się na zakrzepłej smudze krwi i upadł na taras. Komendant chciał zaprawić go jeszcze kopniakiem w żołądek, ale zdał sobie sprawę, że nie może zachowywać się jak wariat. Ludzie patrzyli: szofer Mikutin i lejtnant Jakowlew stali w drzwiach, a pozostali przyglądali się całej scenie z wnętrza domu. Zwłaszcza teraz musiał pokazać, że panuje nad wszystkim. Kopanie doktora niczemu nie służyło. Tylko co innego niby miał teraz zrobić? Pierwszy raz w życiu Osipowicza dopadło rozpaczliwe poczucie całkowitej bezradności. Swieta leżała martwa kilka kroków dalej, Pietia stracił zmysły, a morderca nadal robił, co chciał, i śmiał się w kułak z jego aresztowań i pokazowych egzekucji, jak widz w teatrze kukielkowym.

– Towarzyszu pułkowniku, może wieszanie ja sam dokończę – zaoferował się wyrozumiale młody lejtnant Jakowlew, jakby czytał w myślach komendanta.

Osipowicz spojrział na niego, jakby ocknął się z głębokiego letargu. Wiedział już, co zrobić. Był przecież jeden człowiek, który mógł go z tego bagna wyciągnąć. Na szczęście jeszcze żył.

– Na razie wieszania nie będzie – zdecydował.

– Nie? – spytał Jakowlew, lekko zawiedziony. Od dawna szukał okazji, żeby zasłużyć się w oczach starego, ale teraz, w czasach pokojowych, nie było to już takie łatwe.

– Zamknij wszystkich z powrotem.

– Gapiów też?

– Oskarżonych mam na myśli. I przywieź mi tu natychmiast Kostrzewę.

– Tego Polaka z Werwolfu?

Osipowicz zignorował pytanie. Rzeczywiście, nie najlepiej to wyglądało, żeby korzystać z pomocy szwabskiego dywersanta: trzeba będzie zmienić to w aktach.

– Jakby nie był potrzebny, tobym nie kazał ci go przywozić! – odparł z irytacją.

– Tak jest!

Jakowlew trzasnął obcasami i odjechał czym prędzej, żeby wypełnić nowe rozkazy. Osipowicz widział w twarzach swoich ludzi, że była to dobra decyzja – wyraźnie odetchnęli z ulgą, przekonani, że dowódca jednak panuje nad sytuacją.

Kostrzewę przywieziono gazikiem niespełna kwadrans później. Ręce miał wciąż związane z tyłu drutem.

– Rozwiązać go – rozkazał Osipowicz. – Jak ma badać miejsce zbrodni?

– Myślałem, że towarzysz pułkownik chce go tylko przesłuchać – wyjaśnił Jakowlew.

– Ty mi swoich myśli nie opowiadaj, Jakowlew, bo ja nie jestem ciekawy.

– Tak jest.

Adam z ulgą rozmasował ręce.

– Jest nowe morderstwo – wyjaśnił krótko Osipowicz.

– Dlaczego mi to mówicie?

– Zabili moją żonę.

Adam udawał, że wciąż masuje poranione drutem przeguby, ale jego umysł przez cały czas pracował gorączkowo. A więc o to chodziło! Tylko dlaczego Pietia

oskarżał o to zabójstwo komendanta? Tak czy inaczej była to dla niego szansa, żeby nie tylko uratować życie, ale też opuścić przeklętą wyspę raz na zawsze. Musiał tylko dobrze to rozegrać.

– Współczuję wam, ale co ja mam z tym wspólnego?

– Wrócisz do śledztwa.

– Przecież jestem dywersantem z Werwolfu.

– Ja tu decyduję, kto kim jest. Teraz mówię, że rozwiążesz tę sprawę, zrozumiałeś?

– A potem mnie powiesicie czy rozstrzelacie?

– Potem zobaczymy. Bierz się do roboty. Tam.

Popchnął go w stronę otwartych drzwi na taras.

Na widok martwej Swiety Adam stanął jak wryty. Przez krótką chwilę wydało mu się, że gdzieś widział już tę kobietę. Trwało to tylko ułamek sekundy. Wrażenie prysło niemal natychmiast, jak bańka mydlana. Musiało mu się zdawać. Na swojej pamięci od dawna nie mógł już polegać. Zwłaszcza że twarz ofiary miała niemal zupełnie wydziobane oczy i policzki.

– To mewy – wyjaśnił stojący obok doktor Spitzgau.

– Widzę. Może pan określić, kiedy nastąpił zgon?

– Jakieś dwie–trzy godziny temu.

Adam pochylił się nad zwłokami. Wyraźnie czuć było tę samą woń co przy poprzednich ofiarach.

– Fenol – potwierdził Spitzgau. – Też poczułem. Tylko że tym razem obciął prawie wszystkie palce. Dziewięć.

Pokazał na okaleczone ręce Swiety.

– A palce poprzedniej ofiary?

– Przy zwłokach nie było. Myślę, że to te, które rzucił ten żołnierz...

Spojrzał bojaźliwie w stronę Osipowicza.

– Pietia! – uświadomił sobie Adam. Teraz zrozumiał sens sceny, której świadkiem był na stadionie.

– Pietia zwariował z rozpacz – wyjaśnił Osipowicz.

– To on znalazł zwłoki?

– Tak gada.

– Dlaczego was oskarża?

– Przecież mówię, że zmysły postradał. Umysł ludzki to jest delikatna maszyna. Niejednemu śrubka się obluźowała, jak zobaczył swoją matkę w takim stanie.

– Te palce, co w was rzucił, znalazł przy zwłokach?

– A czort go wie.

– Kazałem je zabrać – wyjaśnił Spitzgau. – Ale raczej nie da się już sprawdzić, czy należały do poprzedniej ofiary. Ciało Friedkego i Bendera zostały prawie całkowicie rozerwane w tym zamachu...

– Może o to draniowi chodziło – podsunął Osipowicz.

– Niemożliwe – zawyrokował Adam. – Morderca cały czas chce, żebyśmy wiedzieli, że to on za wszystkim stoi. Myślę, że zamach to nie jest jego robota.

– A czyja? – ożywił się Osipowicz.

– Przecież już to ustaliliście – powiedział wyzywająco Adam, patrząc mu w oczy.

Osipowicz z trudem się pohamował, żeby nie strzelić go w bezczelny białopolski pysk. Gadzina dopiero co stała ze stryczkiem na szyi, a pięć minut później znowu się odszczekuje!

– Rób dalej swoje – rzucił przez zaciśnięte zęby.

Adam podszedł do ciała. Ostrożnie uniósł głowę. Z tyłu widniała rozległa rana po tępych narzędziu.

– Też to samo co ostatnio – powiedział cicho Spitzgau. – Myśli pan, że tutaj została zabita?

Adam rozejrzał się po licznych smugach krwi na tarasie.

– Na to wygląda.

Spojrzał na pokrwawioną sukienkę bez żadnych kieszeni.

– Nic przy sobie nie miała – powiedział Spitzgau, jakby czytał w jego myślach. – W jamie ustnej też nic.

Adam wyprostował się.

– Skończyłeś? – spytał Osipowicz.

– Na razie tak.

– Mamy do porozmawiania. – Pułkownik kiwnął na niego głową i wszedł do gabinetu.

Adam ruszył za nim.

– Siadaj – rozkazał Osipowicz.

Gabinet był właściwie dobrze wyposażoną biblioteką. Niemieckie książki wypełniały szczelnie regały ustawione na wszystkich ścianach. Adam udawał, że ogląda tytuły książek, ale kątem oka obserwował Osipowicza, który wyciągnął z biurka opróżnioną do połowy butelkę whiskey, wziął spory łyk i odstawił butelkę z powrotem.

– Czyli chciałeś wiać na Zachód – skwitował pułkownik. – Demokracja ci się nie podoba?

– Bardzo podoba. Właśnie dlatego próbowałem wyjechać.

– Jesteś poszukiwany czy jak?

– Nikt mnie nie szuka. Po prostu to już nie jest mój kraj.

Osipowicz poczuł przyjemne ciepło alkoholu łagodzącego skołatane nerwy. Może i nie powinien pić za dużo o tej porze dnia, ale z drugiej strony – co znaczy za dużo? Ostatnio życie go nie pieściło. Sięgnął znów po butelkę.

– Nie obchodzi mnie, co masz na sumieniu. Nasza umowa będzie taka – zadecydował, odrywając się od whiskey. – Masz dwa dni na znalezienie tego łajdaka. Jak ci się uda, osobiście wsadzę cię do transportu Czerwonego Krzyża, gdy będzie wracać do brytyjskiej strefy.

– Na filmach zwykle dają trzy dni.

– Ja filmów nie oglądam.

Adam milczał przez dłuższą chwilę.

– A jeśli mi się nie powiedzie?

Osipowicz rozłożył bezradnie ręce.

– Szubienica już gotowa.

– Resztę więźniów też wtedy powiesicie?

– Przecież to szkopy. Żal ci się zrobiło towarzyszy z Werwolfu?

– Oni mają tyle samo wspólnego z Werwolfem co ja. Dobrze o tym wiecie.

– Ktoś ten zamach zrobił. Na razie niech siedzą. Jak znajdziesz zabójcę, to może ich puszczę. Zobaczymy. Dwa dni.

– Muszę mieć swobodę poruszania.

– Zamieszkaś z powrotem u wdowy. Po mieście możesz łązić, jak chcesz. Ale jeśli spróbujesz znowu zwać, zastrzelimy na miejscu. Więc jak będzie?

– Chcę najpierw przesłuchać waszego Pietię.

– Mówię ci, że we łbie mu się pomieszało!

– Sam muszę to stwierdzić.

Osipowicz zawahał się, ale w końcu machnął ręką.

– Siedzi w areszcie. Mikutin cię zawiezie.

Adam wstał już do wyjścia, ale Osipowicz podał mu whiskey.

– Gólnij sobie. Też miałeś nerwowy poranek.

Pokusa była silna, ale Adam zdał sobie sprawę, że wcale nie chodzi tylko o poczęstunek – było to coś w rodzaju pasowania na czerwonego rycerza.

– Nie piję przed południem – odparł chłodno.

3

Najboleśniej upada się z najwyższego szczebla drabiny. Pietia Fedoruk przekonywał się o tym na każdym kroku, odkąd przywieziono go ze stadionu do komendantury. Ludzie, którzy do tej pory nadskakiwali ulubieńcowi komendanta, teraz hojnie rozdzielali mu kopniaki i szturchańce. Aż dziw, że nie zatłukli go na miejscu, ale jeszcze łeb zabandażowali – musiało to chyba być osobiste polecenie pułkownika. Pietii było jednak wszystko jedno. Jego życie skończyło się tak czy inaczej.

Nie protestował, kiedy wyciągnięto go z celi i wepchnięto do pokoju przesłuchań. Sprawiał żałosne wrażenie: bez pasa, z obandażowaną głową, z oczami zdychającego kundla. Nieco ożywił się dopiero na widok śledczego. Za biurkiem siedział bowiem Adam Kostrzewa.

– Teraz wy będziecie mnie bić po mordzie – skwitował.

– Po mordzie to ja mogę dać ci prywatnie – odparł Adam. – Na przesłuchaniach na ogół nie biję. Siadaj.

Pietia usiadł obojętnie na krześle.

– Was też już przekabacił – zauważył z drwiną.

– Mówisz o komendancie?

– O mordercy mówię! O szubrawcu ostatnim!

– Czekaj – powstrzymał go Adam. – Dopiero co miałeś go za wcielenie samego Lenina.

– To jest zwykły morderca! To on ich wszystkich pozabijał, a potem jeszcze ten zamach zorganizował, żeby ślady przykryć!

– Zdaje się, że ty też brałeś w tym udział.

Pietia zamilkł na chwilę.

– Oszukał mnie. To jest diabeł. On nie ma duszy. Wszystkich potrafi przekabacić. Wy też dopiero co staliście pod szubienicą, a teraz jecie mu z ręki.

– Z ręki to ja ci mogę strzelić w pysk, chociaż to jest wbrew moim zasadom! – wybuchnął Adam. – Zgodziłem się tylko odnaleźć zabójcę.

Pietia nachylił się do niego, ściszej głoś.

– Bierzcie nogi za pas, dobrze wam radzę.

– Dlaczego uważasz, że komendant zabił twoją matkę?

– Sami mnie nauczyliście, jak rozpoznać miejsce zbrodni.

– To, że zabito ją w domu, nie znaczy, że zrobił to Osipowicz.

– Przeczytajcie najpierw list, to pogadamy.

– Jaki list?

– Nieważne. I tak psu na budę to wasze śledztwo.

– Jak sobie chcesz. Ale jeśli to naprawdę on zabił, to w ten sposób tylko mu pomagasz.

Pietia zawahał się.

– Żona do niego napisała.

– Twoja matka?

– Jego prawdziwa żona. Znacząca ślubna. Z Rosji napisała, że przyjeżdża. Z synem.

- Osipowicz ma w Rosji prawdziwą żonę i syna?
 - „Ślubną” powiedziałem! My byliśmy prawdziwi. Tamtych nie widział od początku wojny.
 - To dlaczego do siebie piszą?
 - Bo to sukinsyn jest! Chciał się nas pozbyć, żeby dla tamtych zrobić miejsce. No to matkę załatwił, a ze mnie zrobił wariata.
 - Skąd wiesz o tym liście?
 - Leżał u niego na wierzchu w gabinecie, to zajrzałem. Baba przyjeżdża najdalej za miesiąc.
 - I to jest ten dowód?
 - A czego jeszcze chcecie?
 - W najlepszym razie odkryłeś motyw.
 - Co?
 - Powód zabójstwa. Ale też marny. Po co Osipowicz miałby robić z wami takie ceregiele? Jeśli chciał się was pozbyć, wystarczyło wsadzić was do transportu do Rosji i po kłopotcie.
 - Rodziną byliśmy! – ryknął Pietia, zraniony do żywego. – Wy tego nie rozumiecie, co żeśmy razem przeżyli w lesie!
- Adam odprężył się na krześle. Był już prawie pewien, że oskarżenia Pietii, choć pełne pasji, wzięły się z jego zranionych uczuć. Osipowicz rzeczywiście okazał się niezłym łajdakiem, ale całkiem innego rodzaju niż zabójca Swiety, Bendera i Friedkego.
- Uspokój się. Ustalmy fakty. To ty znalazłeś ciało?
 - Ja.
 - Czego tam szukałeś?
 - Chciałem powiedzieć matce o tym liście, jak jego nie będzie w domu. No to poszedłem z samego rana, przed tą hecą na stadionie.
 - Która to była godzina?
 - Nie wiem, ósma, może wcześniej.
 - Komendanta już nie było?
 - Dopiero co drań wyszedł.

- Widziałeś, jak wychodził?
- Nie.
- To skąd wiesz?
- Bo papieros jeszcze się tlił w popielniczce.
- Jaki papieros?
- A jaki ma być? Z tytoniem.
- Ruski czy amerykański?
- A, nie – z tych dobrych, amerykańskich.

To wreszcie była jakaś konkretna wskazówka. Adam zapisał w zeszycie notatkę: „Popielniczka w domu Osipowicza”.

- Ciało leżało już na tarasie?

Pietia pokręcił gwałtownie głową, jakby chciał wyrzucić z niej potworne wspomnienie, które zagnieździło się tam na resztę życia.

- Myślałem... myślałem, że zemdlą, ale jak zobaczyłem te obcięte palce...
- Skup się teraz, bo to bardzo ważne: jak były ułożone ręce?

Pietia wzruszył ramionami.

- Normalnie leżały, nie żeby jakoś ułożone.
- Jesteś pewny?
- Wiem, co widziałem.

Adam wyciągnął z biurka zawinięte w gazetę trzy szerniałe palce, należące prawdopodobnie do Bendera.

- Na stadionie rzuciłeś tym w Osipowicza. Gdzie to znalazłeś?
- W jej kieszeni.
- W której?
- Tu, na boku.
- Czemu grzebałeś w kieszeniach?
- O co wam chodzi?
- To trochę dziwne przeszukiwać zwłoki własnej matki.
- Chciałem wiedzieć, czy to ten sam zabił! Pewnie przypomniałem sobie, co mówiliście o następnej ofierze – że będzie miała przy sobie palce Bendera.
- I znalazłeś je w bocznej kieszeni?

– Przecież mówię.

– Pięknie. Tylko że twoja matka miała na sobie sukienkę bez kieszeni.

– No to nie w kieszeni! Nie wiem. Może leżały na podłodze. Co to za różnica?

– Chcę ustalić fakty.

– Fakty są takie, że Dziadzia Arłam ją załatwił! Najpierw przywalił w głowę, a potem wbił szprycę w serce.

Do pokoju wszedł komendant. Nawet nie spojrzął na Pietię, jakby był to kolejny anonimowy aresztant.

– Powiedział coś?

W tej samej chwili Pietia rzucił się na niego z furią jak dzikie zwierzę.

– Morderco!

Osipowicz uchylił się zręcznie, chwycił mosiężną lampę z biurka i walnął napastnika w głowę. Pietia zwałił się nieprzytomny na podłogę.

– Mówiłem, że wariat – skwitował Osipowicz. – Co gadał?

Adam patrzył w osłupieniu, jak komendant daje krok nad ciałem Pietii. Wciąż zdumiewały go obyczaje zwycięzców.

– Upiera się, że to wy zabiliście jego matkę.

– Widzicie, jaka to jest delikatna rzecz ludzki umysł? Wystarczy, że jakaś jedna śrubka się obluzuje...

– Mówi, że chcieliście się ich pozbyć – przerwał mu Adam. – Że z Rosji przyjeżdża niedługo wasza prawdziwa żona i syn.

Chciał zapytać o list, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Jeśli Osipowicz rzeczywiście był mordercą, takie pytanie mogło być śmiertelnie niebezpieczne. Całe szczęście, że go nie zadał.

– No i sami widzicie, jakie bzdury gada. Normalny wariat – orzekł Osipowicz. – Dalej, jedziemy. Spitzgau dzwonił, że już pokroił Swietę i coś tam znalazł.

Znów zrobił krok nad nieprzytomnym Pietią i podszedł do drzwi, dłubiąc sobie w zębach.

– Na co czekacie?

Adam pierwszy raz spojrzął na komendanta z prawdziwą fascynacją: oto był człowiek, który rano stracił dwoje najbliższych, a kilka godzin później już o tym

nie pamiętał. Jeśli nowe sowieckie życie niosło ze sobą tak niezwykle dar zapomnienia, to może nie warto było się przed nim opierać?

4

Umrzeć z pragnienia w mieście otoczonym ze wszystkich stron wodą – co za ironia! Spitzgau przeklinał dzień, w którym przyjechał z Friedkem do Swinemünde. Z drugiej strony nie miał w tej sprawie wiele do powiedzenia. Od lat to Friedke zawsze mówił, co mają robić. Teraz Spitzgau dotarł do kresu wytrzymałości, a w całym szpitalu nie było już ani kropli spirytusu. Wypił wszystko. Leżał na kozetce w swoim gabinecie zlany potem i targany przez dreszcze. Boleśnie zdał sobie sprawę, że nigdy nie przystosuje się do nowego życia. Nie miał żadnych pożytecznych talentów. Nie wiedział, jak zbudować aparaturę do pędzenia bimbru ani jak poruszać się po czarnym rynku. Taki Pietia na jego miejscu w pięć minut „zorganizowałyby” butelkę samogonu. Spitzgau nie nadawał się do niczego. Znał się tylko na anatomii i chorobach. Zasługiwał na swoje żałosne cierpienie.

Szczerze ucieszył się na widok pułkownika Osipowicza i polskiego detektywa. Udało mu się częściowo zapanować nad drżeniem rąk.

- A wam co? – zaniepokoił się komendant.
- Gorączka alkoholowa – odparł bez ogródek Spitzgau. To jedno naprawdę podobało mu się u Sowietów: wyrozumiałość dla pijaków.
- Doktor jest pijący – wyjaśnił Osipowicz Adamowi. – Po obozie się rozpił.
- Właśnie muszę się napić, towarzyszu komendancie. Może byście wspomogli...
- Potem dostaniesz flaszkę. Gadaj, co tam odkryłeś.
- Wolałbym czysty spirytus niż tę amerykańską whiskey, co ostatnio...
- Nie przeciągaj struny, doktorze! Żonę mi zabili, a ty tylko o wódce.
- Wybaczcie. Zrobiłem sekcję, tak jak kazaliście.
- Fenol? – spytał Adam.
- Dwa wkłucia. Za pierwszym razem nie trafił w serce. Pewnie mu się wyrwała i wypadła na taras. Tam dopadł ją po raz drugi.

Osipowicz zaklął z nienawiścią pod nosem i obrócił się do Adama.

– Masz go znaleźć, rozumiesz? Każę mu skórę pasami zrywać.

– Chwileczkę, Friedke i pan siedzieliście w Dachau, zgadza się? – spytał nagle Adam.

– A co to ma rzeczy? – zirytował się Osipowicz. – Friedke nie żyje, a ten cały czas był rano ze mną.

– Miałem prowadzić śledztwo, więc prowadzę.

Osipowicz machnął lekceważąco ręką.

– Powiedz mu – rzucił do Spitzgaua.

– Już pan mnie o to pytał. Przyjechaliśmy tu razem zaraz po wyzwoleniu. Nie miałem nikogo oprócz Günthera. Wszyscy moi bliscy zginęli pod bombami w Dreźnie.

– Co konkretnie robiliście w obozie?

– Nie rozumiem. Byliśmy więźniami.

– Pytam o funkcje.

– To znaczy Günther pracował w administracji...

– Jako kapo czy blokowy?

– W ewidencji. Można to sprawdzić.

– A pan był lekarzem obozowym?

– Pielęgniarem. Lekarzami byli esesmani.

– Czyli tylko im pan pomagał?

– Można tak powiedzieć.

– W robieniu zastrzyków?

– Czasem.

– Z fenolu też?

– Kostrzewa, pytaj z sensem – zniecierpliwił się Osipowicz. – Co ty myślisz, że ja naszych szkopów nie sprawdziłem? Doktor ma zaświadczenie denazyfikacyjne od Amerykańców, że żadnych świństw w Dachau nie robił. Inaczej by go nie zwolnili.

– W porządku, odpowiem – powiedział Spitzgau. – Zastrzyki robił doktor Eisele^[72], SS-Hauptsturmführer. To też można sprawdzić.

– Zadowolony jesteś? – zirytował się Osipowicz.

– O nic go nie oskarżam. Chcę tylko dowiedzieć się czegoś więcej o tych zastrzykach. Morderca chyba nieźle zna ten temat, więc i my powinniśmy.

– Co pan chce wiedzieć?! – wybuchnął Spitzgau. – Jak wyglądały pokoje zabiegowe? Zwyczajnie – białe ściany, czysto, sterylnie. Eisele kazał tam przyprowadzać sobie „pacjentów” – niezdolnych do pracy, chorych, dzieci... Dwóch kapo chwyciło człowieka pod ramiona, a on wkłuwał mu w serce długą igłą fenol, karbol, heksobarbital, strychninę albo po prostu powietrze. Często nie trafiał i płyn wlewał się do płuc albo osierdzia. Człowiek wyrywał się i konał, chodząc po ścianach! Dalej mam opowiadać?

– Wystarczy – zdecydował Osipowicz. – Przesłuchamy teraz pacjentów po zamachu. Po spirytus zgłoś się na komendanturę. Powiedz, że ja cię przysłałem.

– Dziękuję, towarzyszu komendancie – powiedział Spitzgau z głęboką wdzięcznością.

– A Świętę ładnie pozszywaj – dodał Osipowicz. – Pogrzeb jej wyprawimy.

– Oczywiście.

– Chcę porozmawiać z polskimi milicjantami – powiedział Adam.

– To niemożliwe. Jeden wciąż nie odzyskał przytomności, a drugi... miał właśnie wypadek.

– Jaki wypadek?

– Spadł ze schodów na wózku. Ostrzegałem go, że powinien leżeć, ale chciał koniecznie widzieć się z tym drugim...

– Mówił pan, że Wasilewski jest nieprzytomny.

– I jemu też to powiedziałem, ale się uparł. Kazał zawieźć się do niego na wózku.

– I wtedy miał ten wypadek?

– Mnie przy tym nie było. Musiałem zająć się w tym czasie Knopffem.

– Knopff wyciągnął nogi – wyjaśnił rzeczowo Osipowicz. – A szkoda, bo chyba coś wiedział o zamachu. Przed samą śmiercią gadał o jakimś Szulcu. Mówi ci coś to nazwisko?

Adam miał wrażenie, że ktoś podłączył mu serce do prądu.

– Szulc?

– Mówił, że to „Szulc ich wszystkich nasłał” czy coś takiego. Wy, doktorze, też nie wiecie, o kogo chodzi?

– Obawiam się, że nie – odparł Spitzgau.

– Trudno – westchnął Osipowicz. – Może bredził po prostu. Idziemy do tych milicjantów.

Adam z wysiłkiem oderwał nogi od podłogi. Znow uniknął pewnej śmierci, ale tym razem uczucie ulgi było znacznie silniejsze niż po porannym ocaleniu. Stojąc na platformie ciężarówki, ze stryczkiem na szyi, wciąż był tylko anonimową ofiarą na wspólnym stosie. Pogodził się z takim losem. Nie było już normalnego świata, nie było miast, policji, sklepów, kin, restauracji – właściwie nic już nie było. Skoro nie mógł opuścić tego koszmaru, po co miałby dalej w nim trwać? Ale umowa z Osipowiczem wszystko zmieniła. Buenos Aires już nie było mirażem wiecznego uciekiniera, ale realną szansą.

Czy wciąż na niego czekała?

Musiał zrobić wszystko, żeby Osipowicz dotrzymał umowy. A to oznaczało, że komendant nie mógł nigdy poznać prawdy na temat jego przeszłości. Dlatego pytanie o Szulca tak nim wstrząsnęło. Oczywiście, że znał tego człowieka.

Alfred Szulc: tak w rzeczywistości nazywał się porucznik Janusz Bender.

5

Nigdy nie dowiedział się, dlaczego Bender, a właściwie Szulc, postanowił go wtedy uratować. W obozie takich pytań się nie zadawało.

Było to na wiosnę, kiedy przyszły roztopy i taczki co rusz grzęzły w błocie. Praca w *Baukommando*^[73] dawno już przekroczyła granice ludzkiej wytrzymałości. Z każdej dniówki przywozili trzy do pięciu trupów. Szczęśliwcy umierali na atak serca, pozostali po prostu padali z wycieńczenia i dobijał ich łopata kapo Lubitsch. Z transportu Adama przy życiu została nie więcej niż połowa. On sam nie rozumiał, w jaki sposób udało mu się wytrzymać tak długo. Wielu silniejszych i sprytniejszych od niego dawno już przeniosło się do *Himmelkommando*^[74], jak nazywano to w obozowym języku. Napędzała go głównie nadzieja na wiadomość

zza drutów, że Mira jest bezpieczna. Że nie zapomniała. Że czeka. Tylko dlatego podnosił się z zawieszanej pryczy i wybiegał z bloku dzień za dniem.

Teraz jednak przyszła kolej także na niego. Całe jego ciało pokrywały ropne pęcherze, nogi miał spuchnięte jak balony, męczył go *Durchfall*^[75]. Nie był jeszcze kompletnym muzułmanem^[76], ale zdawał sobie sprawę, że został mu najwyżej tydzień, góra dwa. Któregoś dnia upadnie pod ciężarem worka z cementem albo przewróci się z taczka i Lubitsch zatłucze go łopata. Jedynym wyjściem było zgłosić się do Krankenstuby^[77], ale to z kolei oznaczało znacznie powolniejszą śmierć w zaduchu i smrodzie.

Była jeszcze jedna możliwość i ta wydawała się Adamowi najlepszym rozwiązaniem: druty. Ogrodzenie okalające obóz znajdowało się przez cały czas pod wysokim napięciem. Wystarczyło rzucić się na druty podczas przerwy obiadowej. Adam widział raz desperata, który odważył się na ten krok. Wszystko trwało nie dłużej niż minutę. Na pewno było to lepsze niż powolne konanie w Krankenstube. Musiał tylko zdecydować się teraz, póki jeszcze zostało mu dość siły, żeby rzucić się pędem do ogrodzenia.

Druty kusily swoją bliskością. Adam odstawił na bok miskę z zupą. Po co jeść, skoro za chwilę wszystko i tak miało się skończyć? Myśl o Mirze włączała się natychmiast jak hamulec. A może już następnego dnia przyjdzie wyczekiwana wiadomość?

– Ty jesteś tym policmajstrem z Warszawy? – rozległ się w pobliżu czyjś głos.

Adam odwrócił się. Za jego plecami stał wysoki więzień z czarnym winklem^[78] na piersi i niskim numerem. Mimo całkiem młodego wieku włosy miał białe jak śnieg. Adam zadrżał. Każdy w obozie znał Pfliegera^[79] Szulca, przynajmniej z opowiadań. To on faktycznie rządził Krankenstubą. Różnie mówiło się na jego temat. Jedni twierdzili, że był folksdojczem z Poznania i siedział za kłusownictwo; inni – że był Niemcem z Ukrainy, a do obozu trafił za *Rassenschande*^[80]. I jedni, i drudzy zgadzali się natomiast co do tego, że dostanie się w jego łapy nie oznaczało nic dobrego.

– Byłem policyjnym detektywem – odparł cicho Adam. Zaprzeczanie nie miało sensu. W obozie siedział pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Byle Schreiber^[81] w Politische Abteilung^[82] mógł w każdej chwili sprawdzić jego przeszłość.

Odpowiedź najwyraźniej bardzo przypadła Szulcowi do gustu. Może był miłośnikiem powieści detektywistycznych, a może po prostu ostatnie lata nauczyły go szacunku dla funkcjonariuszy władzy. W każdym razie od razu zobaczył w Adamie interesującego człowieka.

– *Mensch*^[83], ale ty jesteś na wykończeniu! – zawołał. – Dlaczego nie jesz? Musisz jeść.

– Powiedzmy, że się odchudzam – burknął opryskliwie Adam. Chciał jak najszybciej pozbyć się natręta i wykonać swój plan. Przerwa obiadowa zbliżała się do końca. Podobna okazja mogła już więcej się nie powtórzyć.

Niestety, efekt był wręcz przeciwny. Szulc parsknął śmiechem. W jednej chwili interesujący człowiek awansował w jego oczach na człowieka, którego warto uratować.

– A to dobre! – zarykiwał się ze śmiechu. – Skóra mu wisi na kościach i jeszcze żarty sobie robi! *Mensch*, ja ciebie wezmę do Krankenstuby. U nas dojdiesz do siebie.

Z początku Adam wcale nie zobaczył w tym szansy. Przeciwnie, w jego uszach zabrzmiało to jak groźba. Ogarnęła go panika. Nie miał zamiaru zgnić w Krankenstuby. Druty były o niebo lepszym rozwiązaniem.

Zerwał się z miejsca i resztką sił rzucił się w stronę ogrodzenia.

– *Mensch*, co ty? – zdumiał się Szulc, patrząc na nowego znajomego, który truchtał wyraźnie w stronę drutów.

Adam nie odpowiedział. Ze wszystkich sił parł w stronę drutu kolczastego. Zdawało mu się, że pędzi z zawrotną prędkością, lecz w rzeczywistości ledwo człapał przed siebie.

Nagle upadł twarzą w błoto, podcięty z tyłu przez Szulca. Pfleger nachylił się nad nim.

– Opanuj się, bo wartownik patrzy – syknął mu do ucha. – Teraz spokojnie wstaniesz i pójdziesz ze mną do Krankenstuby, jasne?

Adam mrugnął powiekami. Tylko na tyle wystarczyło mu jeszcze sił. Stracił przytomność.

Nie pamiętał, jak znalazł się w Krankenstuby. Polski lekarz zdiagnozował u niego ogólne wycieńczenie, niewydolność nerek i jednostronne zapalenie płuc. Można więc powiedzieć, że w porównaniu z resztą pacjentów był względnie

zdrowy. Mógł jeść i samodzielnie chodzić do kibla, a wysoka gorączka skutecznie znieczulała go na takie niedogodności jak trudny do wytrzymania smród i wszy.

Szybko przekonał się, że obozowy szpital zasłużył na swoją reputację. Była to w zasadzie fabryka trupów pracująca pełną parą na potrzeby pobliskiego krematorium^[84]. Salowi wynosili od pięciu do dziesięciu nieboszczyków dziennie, a specjalne komando ładowało ich na drabiniasty wóz na dziedzińcu. Niemal za każdym razem, kiedy Adam odzyskiwał przytomność po długich okresach maligny, na sąsiednich pryczach leżeli już inni ludzie. Miejsce mężczyzny, który bełkotał w gorączce jakieś konspiracyjne pseudonimy, zajął teraz chłopak, z płaczem wzywający swoją matkę. Przy kolejnej odsłonie płaczący chłopak zniknął, ustępując miejsca mężczyźnie, któremu wydawało się, że jest w konfesjonale, i spowiadał się głośno.

Wszystko to działo się jednak obok Adama, który przebywał tu na specjalnych prawach. Jako „przyjaciół” Szulca dostawał nie tylko prawdziwe lekarstwa, ale też podwójną supę i dodatkową porcję chleba. Jego specjalną pozycję podkreślały też stałe wizyty Szulca, który nieraz własnoręcznie wycierał mu pot z twarzy.

Adam nie protestował. Chciał wierzyć, że Pfleger nie był tym, za kogo miała go obiegowa opinia. Ludzie zawsze obgadywali lepszych od siebie. A Szulc z całą pewnością nie był łajdakiem. Gdyby nie on, Adam udałby się już dawno w *Himmelfahrt*^[85] przez dymiący stale komin w pobliskim krematorium.

Złudzenia prysły w nocy po pierwszej selekcji. Poprzedniego dnia na salę wkroczyła nagle świta złożona z Lagerarza^[86], w białym kitlu narzuconym na mundur SS, blokowego, pisarza oraz Szulca i drugiego Pflegera.

– *Achtung!* – krzyknął salowy i zameldował lekarzowi SS stan sali.

Dla Adama był to zwykły przegląd chorych. Ci, którzy trzymali się sami na nogach, podchodzili do ustawionego pod oknem stołu, za którym Lagerarzt oglądał karty chorobowe i porównywał wpisy ze stanem pacjentów. Słabszych koledzy ciągnęli do stołu za ramiona.

Adam podszedł chwiejnie do komisji. Kręciło mu się w głowie, ale w porównaniu z resztą był w całkiem niezłym stanie. Lagerarzt kazał mu się obrócić.

– Ten dojdzie do siebie, Herr Hauptsturmführer – podsunął ostrożnie Szulc.

Lagerarzt kiwnął zdawkowo głową i machnął ręką, jakby odganiał natrętnego komara. Adam spojrział na Szulca: jego oczy promieniowały radością. Najwyraźniej był bardzo zadowolony z przebiegu „badania”.

Adam wrócił na swoją pryczę i zapadł z powrotem w ciężki sen. Kiedy obudził się w środku nocy, z początku sądził, że jest to dalszy ciąg sennego koszmaru – zobaczył nabrzmiałą z wysiłku twarz Szulca, który dusił paskiem chorego z sąsiedniej pryczy. Drugi Pfleger trzymał pacjenta za nogi, a blokowy przygniatał go kolanem. Mimo to ludzki strzęp na pryczy walczył jak lew. Życie tkwiło w jego lichym ciele jak zardzewiały gwóźdź i w żaden sposób nie dawało się go wyciągnąć.

Szulc zdał sobie sprawę, że Adam patrzy na niego ze zgrozą.

– Czego patrzysz?! – wybuchnął z wściekłością. – Nie patrz!

Adam odwrócił posłusznie głowę.

Nazajutrz rano Szulc przyniósł mu kawałek prawdziwego sera, jakby chciał przeprosić za swoje zachowanie w nocy.

– Bardzo dobrze wypadłeś na selekcji – powiedział. – Jak tak dalej pójdzie, to wyjdiesz przed końcem miesiąca.

– Jak nazywał się ten obok?

– A co ci do tego?

– Chcę tylko wiedzieć, jak się nazywał.

– Nie wiem. Bender czy jakoś tak.

– Bender – powtórzył Adam, jakby skrętnie zapisywał nazwisko nieznanego w pamięci.

– Nazwisko jak nazwisko – powiedział Szulc, wzruszając ramionami. – Nie przeszedł selekcji. Ty martw się o siebie.

Adam nie odpowiedział. Zjadł ser. Pozwolił nawet wytrzeć sobie pot z czoła, a potem odwrócił znów głowę i zapadł w ciężki sen.

Dziwny związek z Szulcem trwał nadal po wyjściu Adama z Krankenstuby. Nigdy nie wracali do tego, co tam się wydarzyło, a nazwisko Bendera padło między nimi dopiero kilka lat później, kiedy spotkali się niespodziewanie w Urzędzie Bezpieczeństwa w Pile. Wpływy Szulca w obozie były olbrzymie. Dzięki niemu Adam został przeniesiony z morderczego *Baukommando* do kuchni

esesmańskiej. Sam stał się teraz ważną personą, z dostępem do prawdziwej kiełbasy i masła. Uczęszczał też na zaawansowany kurs niemieckiego w bloku numer 2, na którym pewien profesor z uniwersytetu w Krakowie czytał na głos książki Karla Maya^[87]. W wolnym czasie grał w karty z najważniejszymi ludźmi w obozie, zdarzało się, że z samym Brodniewiczem^[88]. Wszystko wskazywało na to, że przeżyje do samego końca – cokolwiek miało to znaczyć. Wiosną 1943 roku wydarzyła się jednak katastrofa, której nawet Szulc nie potrafił zaradzić: numer Adama został wyczytany na porannym apelu.

Nie tylko on był w głębokim szoku. Szulc pobladł, jakby chodziło o niego samego. Reszta więźniów spojrzała na Adama w osłupieniu: choć powszechnie uważano go za członka obozowej elity, nikt mu źle nie życzył. W przeciwieństwie do innych prominentów Adam nie donosił i nie płaszczył się przed strażnikami. Czasem nawet podzielił się z kimś białym chlebem z esesmańskiej kuchni. A teraz wzywano go do Wydziału Politycznego. Wiadomo, co mogło to znaczyć: najpierw przenosiny na blok 11, a potem randka z Palitzchem^[89] pod ścianą^[90].

Po apelu, kiedy wszyscy rozpiechli się do swoich komand, Adam został na placu sam. Nikt do niego nie podszedł. Wezwanie do Politische Abteilung było bardziej zaraźliwe niż tyfus. Nawet Szulc nie zdecydował się podać mu ręki na pożegnanie. Popatrzył tylko na niego z oddali, po czym odwrócił głowę i odszedł w inną stronę. Adam boleśnie przypomniał sobie, że dwa lata wcześniej sam postąpił podobnie – odwrócił głowę, kiedy jego sąsiad w Krankenstube walczył o życie.

Pierwsze przesłuchanie było nadzwyczaj łagodne. Potwierdzono tylko jego tożsamość i zakomunikowano mu, że zostanie wkrótce przewieziony do Warszawy na śledztwo w jego sprawie. Adam poczuł, jakby ktoś ścisnął mu serce żelaznymi obcęgami. Musiało chodzić o Mirę. Nie chciał nawet dopuścić do siebie myśli, że wpadła w ich ręce.

Choć Wydział Polityczny nie dostał w sprawie Adama innych wytycznych niż sprawdzenie, czy więzień o jego nazwisku rzeczywiście znajduje się w rejestrze obozowym, było jasne, że Warszawa nie pyta o niego z ciekawości. Musiał to być zbrodniarz wyjątkowej rangi, toteż zasługiwał na wyjątkowe traktowanie. W oczekiwaniu na dalsze instrukcje zaaplikowano mu na wszelki wypadek godzinę súpka. Związano mu z tyłu ręce i powieszono za nie na haku na obozowym dziedzińcu. Daremnie próbował sięgnąć stopami ziemi. Mdlął co parę minut, ale

potworny ból rozrywających się ścięgien z powrotem przywracał mu świadomość. Kiedy był już pewny, że więcej nie wytrzyma, zdjęto go z haka i umieszczono w specjalnej celi w bloku 11, która bardziej przypominała klatkę na dzikie zwierzę. Było to pomieszczenie szerokie na metr i wysokie na dwa metry. Nadawało się tylko do stania. Powietrze wpadało przez mały otwór przesłonięty kawałkiem podziurkowanej blachy. Zwykle pakowano do środka cztery osoby, ale dla Adama zrobiono wyjątek. Stał tutaj samotnie przez kilka dni i nocy, aż nadeszło z Warszawy kolejne pismo nakazujące bezzwłoczne przewiezienie więźnia do aresztu śledczego Gestapo w Warszawie.

Adam ledwo trzymał się na ławce ciężarówki, kiedy wyjeżdżał z obozu główną bramą pod napisem *Arbeit macht frei*, ale nie myślał o zbliżającym się końcu ani w ogóle o sobie. Nurtowało go tylko jedno pytanie: czy Mira była bezpieczna.

Odpowiedź dostał jeszcze tego samego dnia. Ciężarówka zawiozła go prosto na Szucha, gdzie czekało już na niego dwóch śledczych: Piebke, mały blondyn o jowialnej rumianej twarzy, i Kraus, stary okularnik, który bez ustanku kopcił jak komin. Byli przygotowani na jego przyjazd – na biurku leżało kilka prętów i pałek, które miały skłonić aresztanta do mówienia, a obok stało wiadro wody.

– Od jak dawna znasz Mirę Szymańską? – zaczął Kraus.

Adam spokojnie wytrzymał wzrok obu śledczych, choć miał wrażenie, że w głębi jego umysłu zapanowuje zamęt.

– Kogo?

Kraus dał znak blondynkowi. Piebke chwycił ochoczo pierwszą lepszą pałkę i zdzielił aresztanta w głowę. Adam spadł ze stołka.

– Chodzi o tę artystkę Szymańską? – spytał, podnosząc się z podłogi.

– Już ci się pamięć poprawiła? – zadrwił Kraus. – Nie spiesz się tak, bo nie będziemy mieli o czym jutro rozmawiać.

Piebke roześmiał się na cały głos, uderzając się po udach.

– Szef jak coś powie! – zawołał z uznaniem.

– Gadaj! – rzucił Kraus do Adama.

– Jeśli chodzi o śpiewaczkę operową Mirę Szymańską, to znam ją tak samo jak wszyscy...

Piebke już chciał rąbnąć go ponownie, ale Kraus chwycił go za rękę.

– Czekaj. Niech się najpierw zapozna z dowodami.

Obrócił się do Adama.

– Jesteś oskarżony o ukrywanie morderczyni zastępcy gubernatora Warszawy, Standartenführera Kiskego.

– To jakaś pomyłka. Od początku wojny siedzę w obozie.

– Nie od początku, ale od połowy czterdziestego roku – odparł Kraus, zaglądając do akt. – Szymańską ukrywałeś wcześniej. Twoja sąsiadka zeznała...

– Już powiedziałem: Mirę Szymańską znam tak samo jak wszyscy wielbicieli jej talentu.

Kraus rzucił na biurko pocztówkę z widokiem Buenos Aires.

– Innym wielbicielom ona jakoś pocztówek nie przysyła.

Serce Adama załomotało nadzieją. Czy to możliwe?

– Nigdy nie dostałem takiej pocztówki.

– Przyszła niedawno na twój warszawski adres. Możesz sobie przeczytać.

Adam wstrzymał oddech, obracając pocztówkę na drugą stronę. Od razu rozpoznał pismo Miry i jej styl.

Sercu miły,

Pamiętaj wierną

Szulamitkę swoją:

971 Avenida 5 de Julio

Ja nigdy czekać

Nie przestanę.

Twoja

MS

Fala błęgiego ciepła przetoczyła się po całym ciele Adama.

– Nadal twierdzisz, że nie ukrywałeś w swoim mieszkaniu Żydówki i morderczyni Miry Szymańskiej?

Adam spojrzał na śledczego z politowaniem. Jak mogli zmusić go do zeznań teraz, kiedy wiedział, że Mira czeka na niego w Buenos Aires?

– To jakaś pomyłka – oświadczył z determinacją, jakby rzucał wyzwanie nie tylko tym dwóm zbirom z Szucha 25, ale wszystkim śledczym nowego koszmarnego świata.

X JEDNO ŚWIĘTE SŁOWO

1

No i wyszło na to, że tatko miał rację, kiedy mówił, że za dużo wiedzy może człowieka pociągnąć na dno. Kwasigroch nie chciał go wtedy słuchać, ale teraz widział wyraźnie, że była to święta racja. Wiedza o tym, kto był mordercą Friedkego, Bendera, Swiety, a może jeszcze wielu innych ofiar, ciążyła mu u szyi jak kamień młyński i ciągnęła go nieubłaganie w czarną otchłań. Daremnie próbował uchwycić się jakiegoś występu w skalnej ścianie. Spadał głową w dół i w żaden sposób nie mógł się zatrzymać.

– Kwasigroch, słyszysz mnie? – doleciał nagle jakiś daleki głos. – Kwasigroch?

– On w ogóle żyje? – dobiegł z oddali drugi głos. – Bo nie widzę, żeby oddychał.

– Puls jeszcze jest – odparł trzeci człowiek.

Dotyk ciepłej dłoni zatrzymał spadanie. Kwasigroch zdał sobie sprawę, że zawisł tuż nad ziejącą otchłanią, z której cuchnęło szpitalem. Spojrzał w górę. Z wysokiego urwiska patrzyło na niego trzech mężczyzn. Ich twarze były zamazane, ale dobrze wiedział, kim są: stali tam komendant Osipowicz, doktor Spitzgau i Kostrzewa.

– Chyba nas widzi.

– Wątpię.

– Powieki mu drgają.

– Pewnie mózg ma uszkodzony.

– Dlaczego nie weźmiecie go na operację?

– Nie jestem neurochirurgiem.

– Czyli co, wykończy się?

– Rokowania nie są dobre. Złamana podstawa czaszki. Do tego liczne urazy po zamachu...

– A ty co mu robisz z tą ręką, Kostrzewa?

– Coś trzyma.

– Co?

– Panowie, zaciśnięte dłonie to jest typowy objaw urazu neurologicznego...

– Mam!

– Co to jest?

Na rozwartej dłoni Kwasigrocha leżał kawałek pasiastego materiału.

– Moim zdaniem urwana kieszeń – orzekł Kostrzewa.

– Ale na cholere on to trzymał w łapie?

– Przypuszczam, że oderwał ją napastnikowi. Czyli całkiem możliwe, że mordercy.

– Myślisz, że go widział?

– Niewykluczone.

Osipowicz nachylił się nad krawędzią w górze. Jego głos ledwo docierał do Kwasigrocha leżącego na dnie wielkiej studni.

– Kwasigroch, słyszycie mnie? Mówi pułkownik Osipowicz, komendant wojenny!

– To na nic, towarzyszu komendancie. On jest nieprzytomny.

Osipowicz zaklął pod nosem.

– A ty sam nie możesz dojść, komu tę kieszeń urwał? – zwrócił się z irytacją do Adama.

– Nie jestem jasnowidzem.

– Przecież w policji robi się takie rzeczy: bada pod mikroskopem i tak dalej.

– A macie u siebie laboratorium?

– Co mamy?

– Rozumiem. Czyli pozostaje nam zgadywanie. Na razie możemy tylko stwierdzić jedno: ktoś napadł naszego dzielnego towarzysza sierżanta.

– Bili się?

– Raczej była to rozpaczliwa obrona niż bójka. – Adam obrócił się do Spitzgaua.

– Podobno spadł razem z wózkiem, zgadza się?

Spitzgau ocknął się. Był spocony jak mysz, dreszcze zaczynały wstrząsać całym jego ciałem, a zbawiennej butelki wciąż nie było widać.

– Co? A, tak. Niefortunny wypadek.

– Możliwe, że morderca chciał się go z jakiegoś powodu pozbyć.

„Głupcy!” – krzyczał Kwasigroch z głębi czarnej studni. Słyszał wszystko, co mówili na krawędzi urwiska w górze, ale nic nie mógł zrobić. Brakowało mu nawet sił, żeby dźwignąć powieki. Całą resztę spożytkował na przechowanie w dłoni koronnego dowodu. Całe szczęście, że w końcu go znaleźli. Tylko dlaczego wciąż nie widzieli tego, co było oczywiste?

Adam przyglądał się kawałkowi tkaniny pod światło.

– Moim zdaniem to pochodzi z piżamy – orzekł.

– Co za dureń stroi się w piżamę!

Adam rozejrzał się znacząco dokoła. Ze wszystkich stron sali patrzyli na nich pacjenci w identycznych szpitalnych piżamach.

Osipowicz zrozumiał. Morderca Swiety był pacjentem. Być może patrzył teraz na nich z jednego z łóżek i śmiał się w kułak.

– Wszyscy wychodzić! – krzyknął z wściekłością i obrócił się do Spitzgaua. – Za pięć minut każdy pacjent ma stać przed szpitalem, rozumiałeś?

– To niemożliwe, towarzyszu komendancie. Niektórzy są w bardzo złym stanie...

Osipowicz chwycił go za kitel na piersi.

– Zrozumiałeś?

– Tak jest.

Adam musiał przyznać, że z czysto policyjnego punktu widzenia sowiecki sposób prowadzenia śledztwa miał swoje zalety. W normalnych warunkach sprawdzenie ponad dwustu pacjentów trwałoby od świtu do nocy i trzeba by do tego zaangażować cały komisariat. Tymczasem Osipowicz w pół godziny zgromadził na dziedzińcu wszystkich podejrzanych, włącznie z nieprzytomnymi oraz konającymi.

– To wszyscy? – upewnił się pułkownik.

– Został tylko ten Polak w izolatce – odparł Spitzgau.

– Co ci powiedziałem? Dawaj go tu.

– Ale jego naprawdę nie można ruszać! To może go zabić. Zresztą on na pewno nikogo nie zepchnął. Jest cały czas w śpiączce.

Osipowicz zawahał się.

– Idź go sprawdzić – rzucił do Adama. – Ja zajmę się resztą.

Adam wszedł do szpitala i ruszył na trzecie piętro. Jego kroki odbijały się ponurym echem w opustoszałym gmachu.

W izolatce panował nieznośny zaduch. Czuć było tutaj smród papierosów – najwyraźniej pielęgniarki nie przestrzegali zakazu palenia przy chorych. W pierwszej chwili Adam chciał otworzyć okno, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza, ale przypomniał sobie, co Spitzgau mówił o stanie pacjenta. Wasilewski rzeczywiście wyglądał, jakby jego zgon był kwestią najbliższych godzin. Obnażony do pasa ludzki szkielet przywoływał najgorsze wspomnienia Adama z Krankenstuby. Nagle poczuł silną więź z tym żalonym człowiekiem, który jeszcze niedawno snuł fantastyczne plany swojego przyszłego życia na wyspie zero. Poklepał go lekko po ramieniu i wyszedł zawstydzony, zamykając za sobą ostrożnie drzwi.

Chciał już zbiec z powrotem po schodach, kiedy nagle zauważył, że na łóżku w korytarzu leży porzucona bluza od piżamy. Najwyraźniej ktoś pozbył się jej w pośpiechu. Jedna z bocznych kieszeni była oderwana.

Tymczasem przegląd pacjentów na szpitalnym dziedzińcu zaczął przynosić zadowalające rezultaty, przynajmniej według komendanta Osipowicza. Aż dwudziestu czterech miało na sobie mniej lub bardziej porwane czy postrzępione piżamy. Co ciekawe, było wśród nich tylko siedmiu Niemców, ale pułkownika specjalnie to nie zdziwiło. Robota w NKWD przyzwyczaiała go, że najwięcej łajdaków zawsze wykrywało się we własnych szeregach. Rzecz jasna, wszyscy tłumaczyli się, że dostali piżamy w kiepskim stanie, kiedy przyjmowano ich do szpitala. Osipowicz zastanawiał się już, jak usprawnić przesłuchania, żeby jak najszybciej znaleźć winnego. Wiadomo, że Kostrzewa nie wchodził w grę. Do tej roboty potrzebny był ktoś, kto nie bawił się godzinami w psychologię, ale pracował szybko i skutecznie. Taki Jakowlew, na przykład. Ten potrafiłby papieża nakłonić, żeby przyznał się do chędożenia małych dziewczynek. To, niestety, był pewien problem, bo pułkownikowi wcale nie zależało, żeby cała dwudziestka okazała się mordercami. Do raportu wystarczył mu tylko jeden. Może by jednak wziąć do przesłuchań Kostrzewę? Ci dwaj mogliby pracować razem – jeden umiejętnie

zadaje pytania, drugi skutecznie wyciąga odpowiedzi. O, to był wreszcie jakiś pomysł.

Pułkownik Osipowicz miał już posłać po ciężarówkę do komendantury, kiedy ze szpitala wyszedł szybkim krokiem Kostrzewa. W uniesionej ręce niósł bluzę od piżamy, jakby pokazywał z oddali myśliwskie trofeum.

– Bluza naszego przyjaciela – oświadczył Adam. – Porzucił ją na korytarzu.

Choć Osipowicz był na ogół dowódcą otwartym na sugestie podwładnych, to z początku nowy trop wcale nie przypadł mu do gustu. Za bardzo przyzwyczyił się już do planowanych przesłuchań. Poza tym był po ludzku ciekaw, co wyniknie ze współpracy twardogłowego Jakowlewa z białopolskim detektywem.

Adam spojrzał na dwudziestu czterech zrezygnowanych nieszczęśników w podartych piżamach. Sowieckie metody śledcze nie przestawały go zaskakiwać.

– Widzę, że znaleźliście kolejny oddział Werwolfu.

Osipowicz miał szczerą ochotę wpakować mu ze trzy kulki, ale jako człowiek otwarty musiał przyznać, że drań miał sporo racji: sprawa z Werwolfem nie najlepiej się ostatnio zakończyła.

– Skąd wiesz, że to ta piżama?

– Kieszeń jest świeżo naderwana, jakby w wyniku szarpaniny. Poza tym właściciel najwyraźniej nie chce się do niej przyznać, więc chyba ma coś do ukrycia.

Pułkownik ze złością wyrwał mu bluzę z ręki i potrząsnął nią przed oczami Spitzgaua.

– Czyje to jest?

– Nie wiem, towarzyszu komendancie, przysięgam... – odparł, słaniając się na nogach. Trzepało nim już na dobre. Nie było mowy, żeby wrócił tego dnia do pracy, jeśli naprawdę zaraz się nie napije. – Przepraszam, ale ja już nie mogę dłużej...

– Stul pysk, pijaczyno – zgasił go Osipowicz i obrócił się z powrotem do Adama. – Mówisz, że gdzie to znalazłeś?

– Leżało na łóżku na korytarzu.

Nagle Spitzgau doznał olśnienia. Jego zdesperowany umysł oświeciła jasna myśl.

– To ten chłopak!

– Jaki chłopak? – spytał Osipowicz.

– Ten z raną postrzałową. Jakies dwanaście lat, może więcej. Znaleźliśmy go pod szpitalem. Chyba Polak.

Adam ożywił się. Opis pasował do rajzera.

– Gdzie on jest?

Spitzgau rozejrzał się po pacjentach na dziedzińcu.

– Tu go nie ma. Chyba... uciekł.

Tego było już dla Osipowicza za wiele. Wiedział, że powinien trzymać nerwy na wodzy, ale takiego zaniedbania po prostu nie mógł puścić płazem. Trzasnął Spitzgaua na odlew w twarz.

– Co ci powiedziałem, szwabski wieprzu? Wszyscy mieli tu być. O spirytusie możesz zapomnieć!

Spitzgau spojrział na niego z bezdenną rozpaczą. Gdyby miał choć odrobinę nadziei, że to coś da, objąłby sowieckiego pułkownika za nogi i błagał o przebaczenie. Ale za dobrze go znał. Patrzył więc tylko w milczeniu, jak Osipowicz i Kostrzewa oddalają się od szpitala, a on pozostaje sam na szpitalnej wyspie, nieodwołalnie skazany na śmierć z pragnienia.

2

Naprawdę uważa pan, że dwunastoletni chłopak mógł zabić w ten sposób troje ludzi?

Gdyby nie zginął pan na samym początku wojny, panie nadkomisarzu, wiedziałby pan, że i tego nie można już wykluczyć.

W takim razie dlaczego nie podzieli się pan tą wiedzą ze swoim nowym szefem?

To nie jest żaden mój szef.

Blaszany gazik^[91] z czerwoną gwiazdą na boku trząsł się i hałasował na brukowanej ulicy, jak puszka z gwoździami. Sowiecka technologia była dla Adama równie zdumiewająca jak organizacja. Rzeczy, które zgodnie z prawami natury

i zdrowego rozsądku nie powinny działać, w rękach Sowietów sprawdzały się doskonale. Licha atrapa samochodu terenowego radziła sobie lepiej od amerykańskiego dzipa, a NKWD była sprawniejsza od jakiejkolwiek policji na świecie, choć nie zatrudniała geniuszy dedukcji, lecz opierała się głównie na półanalfabetach i psychopatach.

Osipowicz obrócił się do Adama, jakby urażony jego przemyśleniami.

– Dlaczego wcześniej nie powiedziałeś mi o tym smarkaczu?

– Nie było o czym. Zabrał się z nami na kuter, a potem zniknął, to wszystko.

Adam zawahał się, czy nie wyjawic, że to rajzer pomógł mu zwiac z niemieckiego aresztu, ale uznał, że nie ma takiej potrzeby. Knopf i Stanzel nie żyli, Wasilewski i Kwasigroch byli nieprzytomni, a Waszyngton, Poezja i Lońka przepadli bez śladu. Nikt nie mógł poświadczyć, że coś łączyło go z dwunastoletnim przybłądą.

– Czego jeszcze mi nie mówisz?

– Myślałem, że to ma być śledztwo, a nie spowiedź święta.

– Do dupy takie śledztwo. Wszystko sam muszę za ciebie robić.

– Ja was o pomoc nie prosiłem. Za dwa dni będziecie mieli swojego mordercę.

– A może ja już mam?

– O czym mówicie?

Osipowicz wolno sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął złożony starannie w kostkę rysunek Swieta. Był to widok z jakiegoś okna na dziedziniec obozu, na którym więzień w pasiaku odbywał karę słupka.

– A o tym.

Adam poczuł, że przebiega go dreszcz. Więzień na rysunku miał jego twarz.

– Co to jest?

– Ano Swieta narysowała to przed śmiercią. Z pamięci. Przyznacie, że dobrą miała pamięć. Wypisz wymaluj ta sama gęba.

Przystawił rysunek do jego twarzy dla porównania.

– To mam być ja? – Adam zaśmiał się nerwowo.

– Ślepy by nie zauważył. Dlaczego łzecie, żeście nie byli w obozie? Skoro szkopy tak was tam traktowały, to chyba nie byliście żadnym kapo czy innym sukinsynem.

– Nie byłem w żadnym obozie – odparł zdecydowanie Adam. – Wasza żona musiała widzieć kogoś podobnego. Poza tym co niby miałbym robić w kobiecym obozie w Ravensbrück?

Argument był celny. Osipowicz zdawał sobie sprawę, że rysunek nie miał żadnej wartości jako dowód, ale od kiedy to samymi dowodami dochodzi się prawdy? Złożył z powrotem rysunek, ukrywając irytację. Czujny był drań, musiał przyznać.

– Macie jeszcze jakieś inne rysunki? – spytał Adam, przechodząc do kontrofensywy.

– Święta całymi dniami coś rysowała. Bo co?

– Chętnie bym je przejrzał. Każdy szczegół może być ważny.

Osipowicz nachylił się do kierowcy.

– Mikutin, zajedź no jeszcze po drodze pod mój dom.

Osobisty szofer komendanta skinął głową i skręcił w stronę nadmorskiej dzielnicy.

Adam odwrócił głowę pod wiatr, żeby ukryć, że twarz płonie mu z emocji. Rysunek Święty gwałtownie przywrócił mu pamięć. Strumień obrazów buchał z otwartego kranu i zalewał mu oczy. Pamiętał wszystko – każdą minutę spędzoną na słupku, każdy kamyk pod stopami, które rozpaczliwie próbowały sięgnąć ziemi, a przede wszystkim tamtą twarz w oknie na strychu, gdzie od pewnego czasu urządzano obozowy Puff^[92]. Na razie przyjmowała tam tylko jedna kobieta, i to wyłącznie elitę powyżej pisarza blokowego. W przyszłości miała to być rozrywka dostępna dla wszystkich, toteż tajemnicza kobieta, która już teraz dawała rozkosz nielicznym, rozpaliała wyobraźnię całego obozu. Wszyscy o niej marzyli, ale mało kto wiedział, jak wygląda. Jej twarz w oknie na strychu była dla Adama jak objawienie. Wydała mu się wtedy nieskończenie piękna. Teraz znów zobaczył ją tak samo wyraźnie, jak podczas koszmarnej godziny pod słupkiem. To była Święta, wojenna żona komendanta Osipowicza.

Musiała zapamiętać go równie dobrze, skoro po latach potrafiła odtworzyć jego twarz. Rozumiał, dlaczego skłamała komendantowi, że siedziała tylko w Ravensbrück. Nie miał zamiaru wyprowadzać go z błędu. Tym bardziej że musiałyby wtedy wyjawić za dużo o sobie.

– Idziesz czy nie? – ocucił go nagle głos Osipowicza.

Gazik stał już pod nadmorską willą z kolumnami, a pułkownik patrzył na niego pytająco.

– Tak, tak. Pokażcie te rysunki.

W domu trwało pracowite usuwanie nie tylko śladów gwałtownej śmierci Swiety, ale też jej życia u boku komendanta. Adam z zaskoczeniem zobaczył na tarasie swoją gospodynię Ericę, która ścierała szmatą zakrzepłą krew. Spotkali się na chwilę wzrokiem. W salonie stały pudła wypełnione ubraniami Swiety, przygotowane do wyniesienia. Wszystko to zrobiło na Adamie przygnębiające wrażenie – zapewne dlatego, że Swieta nie była już dla niego nieznaną ofiarą, ale świętą z Puffu, która objawiła mu się w jego najczarniejszej godzinie. Pietia nie mylił się: Osipowicz rzeczywiście nie miał duszy. Można było bez ryzyka postawić karton lucky strike'ów na to, że wieczorem zaśnie jak suseł w domu, w którym rano zginęła jego żona. A jeśli Pietia nie tylko w tym jednym miał rację? Popielniczka, przypomniał sobie Adam. Pietia twierdził, że kiedy wszedł rano do domu, w popielniczce tlił się jeszcze amerykański papieros.

Adam rozejrzał się po salonie za popielniczką. Stała na kredensie. Opróżniona i umyta do czysta. Trzeba było spróbować czegoś innego.

– Dacie zapalić? – poprosił zniechęcony.

Osipowicz rzucił mu paczkę rosyjskich papierosów z szerokim ustnikiem i wrócił do przeszukiwania jednego z pudeł wypełnionych rzeczami Swiety.

– A może coś bardziej podobnego do papierosów?

– Amerykańce mi się skończyły. Pal albo głowy nie zawracaj.

Adam wyjął jednego papierosa zakończonego tekturowym ustnikiem zamiast filtra. Miał poważne wątpliwości, czy w środku kryje się tytoń. Papieros cuchnął jak suszone łąjno.

– I od rana to palicie?

– Jest! – zawołał z triumfem Osipowicz, wyciągając z pudła plik rysunków. – Dobrze, że jeszcze nie wyrzuciłem.

Adam wziął od niego rysunki Swiety. Były to szkice obozowych scen i twarzy. Adam dobrze rozumiał, po co je rysowała. Chciała wyjąć je sobie z głowy raz na zawsze.

Oczywiście, że wszystko to rozgrywało się w Auschwitz. Bez trudu można było rozpoznać znajome bloki i budynki. Większość scen przedstawiała widok z okna na

obozowy dziedziniec. Najwyraźniej Swieta, między jednym klientem a drugim, patrzyła na świat przez szybę w Puffie, a wszystko, co wtedy zobaczyła, wbiło się jej boleśnie w pamięć jak okruchy szkła. Dlatego właśnie twarze na dziedzińcu były wyraźne jak na fotografii.

Nagle kartka z kolejnym szkicem omal nie wypadła Adamowi z ręki. Szkic przedstawiał dwóch mężczyzn w pasiakach, którzy stali na dwóch końcach szpadla położonego na gardle jakiegoś nieszczęśnika, jak na huśtawce. Jednym z nich był Poezja, a drugim Waszyngton.

Adam sięgnął po zapalki i zaciągnął się mocno sowieckim papierosem. Smak nie miał teraz żadnego znaczenia. Musiał się czymś na chwilę zamroczyć.

– Coś tam znalazłeś ciekawego? – zainteresował się Osipowicz.

– Wasza żona miała talent, ale to tylko fantazja – odparł, wypuszczając z płuc ostry dym o wyraźnym posmaku spalenizny.

3

Żeby ucieszyć się na widok Polaka – tego Erica Pohl nigdy się po sobie nie spodziewała. Ale też nie był to zwykły Polak: przystojny jak Amerykanin, czysty jak Anglik, kulturalny jak Francuz i do tego mówił po niemiecku prawie jak rodowity Niemiec. Erica musiała sięgnąć po wszystkie swoje stereotypy, żeby jakoś rozgrzeszyć się sama przed sobą z przyspieszonego bicia serca na widok Adama Kostrzewy. Zakochała się w nim czy co? Nawet nie chciała dopuszczać takiej myśli. Po prostu była to jej ostatnia deska ratunku – tylko on mógł uratować Hansiego. To dlatego mu nadszła. A że podobał się jej jako mężczyzna? Cóż, to nie był czas na podobne sprawy.

Wrócili razem z willi komendanta. Kostrzewa szedł szybko długim krokiem, a ona dreptała za nim metr z tyłu. Nawet to jej się podobało: podążanie za mężczyzną, który wie, dokąd zmierza. Serce trzepotało jej jak u nastolatki. Czowała, że idzie za kimś wyjątkowym. Gdyby tego zażądał, oddałaby mu się w najbliższej bramie i nie chciałaby za to nawet paczki cameli.

Adam nie miał jednak wobec Eriki żadnych zamiarów. W ogóle nie pamiętał, że Niemka drepcze za jego plecami. Był za bardzo pochłonięty polemiką

z nadkomisarzem Strzelczykiem, którą toczył w myślach po wyjściu z willi komendanta.

Niechże pan w końcu się zdecyduje, panie aspirancie: raz stawia pan na chłopca, raz na komendanta, a teraz znowu na tych dwóch milicjantów.

Robię tylko to, czego mnie pan nauczył: idę za tropem bez względu na to, dokąd prowadzi.

Ten zaprowadzi pana raczej na manowce.

To, że Waszyngton i Poezja byli oprawcami w Auschwitz, uważa pan za nieistotne dla sprawy?

Oglądał pan rysunki chorej kobiety, to wszystko.

Ta chora kobieta sporo jednak zapamiętała. Na przykład mnie.

Skoro chce pan w to wierzyć, proszę bardzo. Na pańskim miejscu skupiłbym się jednak na żyjących świadkach. Na przykład na tej kobiecie za pańskimi plecami.

Jakiej kobiecie?

Adam obejrzał się, jakby przypomniał sobie o swojej towarzyszce. Erica uśmiechnęła się do niego lekko.

A co ona może wiedzieć?

Mieszka tu od dawna. Sprząta u komendanta. Na pewno znała Friedkego. Na pańskim miejscu zacząłbym od samego początku.

Na szczęście nie jest pan na moim miejscu, panie nadkomisarzu.

To było podłe. Adam zawstydził się ostatnią uwagą. Wcale nie cieszył się z tego, że już nigdy naprawdę nie porozmawia z nadkomisarzem Strzelczykiem. Po prostu zirytowała go myśl, że istotnie kręcił się w miejscu. Nowe tropy wcale nie przybliżały go do rozwiązania sprawy. Rada, żeby powrócić do samego początku, nie była taka zła.

– Pani znała burmistrza Friedkego? – spytał, niechętnie obracając się do swojej gospodyni.

– Pastora? – ożywiła się Erica. – Tak, tak. Sprzątałam w ratuszu. U niego w domu też.

- Jaki to był człowiek?
- Nie wiem, o co pan pyta.
- Spitzgau twierdzi, że anioł, a jego była żona, że łajdak.
- Spitzgau to pijaczyna. Za butelkę wódki każdego będzie wychwalał.
- Czyli Friedke był łajdakiem.
- Tego nie powiedziałam. Miał ludzkie cechy.
- Na przykład jakie?
- Był dobrze zorganizowany.
- To raczej cecha niemiecka, a nie ludzka.
- Chciałam powiedzieć, że miał różne talenty – poprawiła się Erica. – Pisał książki...
- Jedną widziałem. O tym, że Jezus był prawdziwym Aryjczykiem.
- Miał świetną pamięć. Zwłaszcza do liczb.
- Jakich liczb? – zaciekawiał się Adam.
- Pamiętał wszystkie daty, statystyki, numery...

Nagle Adam stanął jak wryty. Numery! Oczywista myśl poraziła go swoją jasnością i prostotą. Nadkomisarz Strzelczyk zawsze powtarzał, że po tych dwóch cechach można rozpoznać właściwy trop.

Teraz pan rozumie?

Wszystkie trzy ofiary były więźniami niemieckich obozów...

Czyli?

Numerami!

Nareszcie.

Głos Eriki przywrócił go do rzeczywistości.

– Dobrze się pan czuje?

Adam przeniósł na nią zdziwiony wzrok, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. Numery! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? To nie wyjaśniało jeszcze, kto był mordercą, ale pozwalało stwierdzić, kto na pewno nim nie był.

– Pobladł pan – zaniepokoiła się Erica. – To na pewno z głodu. Mam w domu ziemniaki. Zje pan i od razu lepiej się poczuje.

Miała wielką ochotę, żeby wziąć go pod ramię, ale on nagle obrócił się i ruszył szybko przed siebie, jakby słabe samopoczucie przeszło mu w jednej chwili.

W domu Erica od razu nastawiła patelnię i wrzuciła na nią ziemniaki z poprzedniego dnia. Adam usiadł w kuchni i w skupieniu bazgrał na kartce papieru jakieś liczby. Może to był dobry moment, żeby poprosić o ratunek dla Hansiego?

– Pan pytał o Friedkego – zaczęła, stojąc nad skwierczącą patelnią. – On właśnie tak samo jak pan siedział w swoim gabinecie i wypisywał różne liczby.

– Mówi pani o rachunkach?

– Nie. Po prostu jakieś liczby cały czas chodziły mu po głowie. Raz go nawet o to spytałam.

– Co powiedział?

– Że nosi ich za dużo w głowie i musi część z siebie wyrzucić, żeby dalej żyć. Myślę, że to jakieś wspomnienia z obozu go prześladowały.

– Opowiadał pani o obozie?

– Nigdy. To znaczy raz.

– Co powiedział?

– Właściwie to też nic. Przyszłam do niego do domu, żeby posprzątać, a on siedzi na podłodze, wszędzie porozrzucone karteczki z jakimiś liczbami, i płacze. Pytam, co się stało, a on: „Te numery chcą mnie zabić, pani Pohl!”. Myślałam, że zwariował, ale raz-dwa doszedł do siebie, a nazajutrz normalnie poszedł do pracy.

– To ciekawe, co pani mówi. – Adam podniósł na nią wzrok z wyraźnym zainteresowaniem. – Sprząta pani też w komendanturze, prawda?

Erica pochyliła się nad patelnią, mieszając ziemniaki. Rozmowa zaczynała przybierać niebezpieczny obrót.

– Czasami.

– I u komendanta Osipowicza w domu.

– Przecież pan widział – odparła z lekką irytacją.

– U kogo jeszcze?

– Czy to ważne?

– Prowadzę oficjalne śledztwo, więc proszę odpowiadać.

- Chodziłam jeszcze do Knopfa.
- Tego szefa policji pomocniczej?
- Niech mu ziemia lekką będzie.
- Ci dwaj chyba nie żywili do siebie przesadnego szacunku?
- Kto?
- Burmistrz Friedke i Knopf.
- Tego nie wiem.
- Trzymali się nawzajem w szachu. Musieli wiedzieć o sobie coś, co nie powinno dotrzeć do komendanta Osipowicza.
- Nie interesuję się takimi sprawami – powiedziała Erica, stawiając przed Adamem dymiący półmisek odsmażonych ziemniaków. – Robię swoje i wychodzę.
- A komu pani melduje o tym, co widziała i słyszała? Tylko komendantowi?
- Proszę jeść, bo wystygnie.
- Proszę odpowiedzieć: donosiła pani na nich obu do komendanta?
- Na nikogo nie donosiłam!
- Co takiego wiedzieli o sobie nawzajem Friedke i Knopf?
- Przysięgam, że nie wiem!
- Myślę, że nie była pani ze swoim czerwonym führerem zupełnie szczerą. Podejrzewam, że jego też pani szpiegowała. Nie wiem tylko, czy płacił pani za to Friedke czy Knopf.
- To nieprawda! Knopf złamanego grosza mi nie płacił.
- A więc jednak Knopf. Rozumiem, że wiedział o pani synu.
- Erica wybuchnęła płaczem. I pomyśleć, że jeszcze przed chwilą miała ochotę oddać się temu człowiekowi. Wszyscy mężczyźni byli jednak takimi samymi draniami, bez względu na rasę czy narodowość.
- Czego pan ode mnie chce?!
- Tylko prawdy, Frau Pohl. Jeśli pomoże mi pani w śledztwie, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wydostać pani syna z ruskiego aresztu, choć Bóg mi świadkiem, że wcale nie mam serca do tego początkującego faszysty.
- Erica spojrzała na niego z nadzieją.
- Hansie nie jest faszystą.

– W porządku. Założmy, że to uroczy, grzeczny chłopiec. Więc jak będzie, Frau Pohl?

Erica otarła łzy.

– Znalazłam coś u Knopfa, jak był w szpitalu. Chciałam pokazać to komendantowi, ale potem Knopf zmarł, więc uznałam, że to już nieważne...

– Co takiego?

Erica wyszła z kuchni. Po chwili wróciła ze zdjęciem w ręku.

– Myślę, że to on zrobił, jak był na wojnie. Nie mam pojęcia, czy to się panu do czegoś przyda, ale naprawdę nic więcej nie wiem.

Adam znieruchomiał. Czarno-białe zdjęcie przedstawiało czterech ludzi, których całkiem dobrze znał: Szulca/Bendera, Waszyngtona, Poezję i Lońkę. Wszyscy byli ubrani w mundury Sonderkommando SS. Szulc miał stopień Unterscharführera, Waszyngton – Rottenführera, a Poezja i Lońka byli Sturmmanami. Pozowali uśmiechnięci na tle rozłożystej jabłoni, obwieszanej ludźmi jak świąteczna choinka. Wisielcy byli najwyraźniej jedną rodziną, która tuż przed zrobieniem zdjęcia zajmowała płonącą w tle wiejską chałupę: ojciec, matka i sześcioro dzieci w różnym wieku. Kaci zadali sobie sporo trudu, żeby każdego powiesić na innej wysokości. Zdjęcie zostało zrobione gdzieś na Wschodzie.

– Czy to się panu do czegoś przyda? – spytała z nadzieją Erica.

Adam wolno przeniósł na nią osłupiały wzrok. Niemal słyszał ogłuszający trzask kolejnych drzwi otwierających się w głębi mrocznego korytarza, który prowadził w przeszłość.

– Nawet pani nie wie, jak bardzo – wykrztusił.

Erica odetchnęła z ulgą. Miała ochotę ucałować Adama w policzek, ale w tej sytuacji byłoby to raczej niestosowne. Nic nie mogła poradzić na to, że jej lokator znów wydał się jej zniewalająco przystojny.

4

Im dalej posuwali się w głąb niemieckiej wyspy, tym silniejsza ogarniała ich gorycz i zniechęcenie. I wcale nie chodziło o to, że łupy były słabe. Przeciwnie, grasowali po dziewiczych terytoriach, których nie zdążyła nawet splądrować

zwycięska Armia Czerwona. Zwykły szabrownik jeszcze tu nie dotarł. Nic dziwnego więc, że wszędzie napotykali niezwykłą wręcz obfitość: cukier bielił się bezwstydnie w kuchennych kredensach, pełne apteki wabiły nietkniętymi szybami, angielskie skóry lśniły na kanapach. Chyba nigdy tak dobrze nie jedli i nie pili, nawet przed wojną. Spali w puchowych kołdrach, stroili się codziennie w nowe ubrania, myli wyłącznie w gorącej wodzie. A jednak nic ich nie cieszyło. Spełniony sen, który śnili w obozie i na froncie, okazał się koszmarem bez końca. Nie można było się z niego obudzić. Każdego dnia czekało ich to samo rabowanie, tłuczenie szyb i napychanie worków, które i tak były już przecież pełne. Czy właśnie to mieli robić przez resztę życia?

Tylko Lońka Kacap był wciąż w doskonałym nastroju. Nie podzielał rozterek swoich towarzyszy. Przerażało go coś dokładnie przeciwnego – że grabieżczy rajd przez niemieckie wsie i miasteczka może się kiedyś skończyć.

– Ciekawym, jak to będzie – zastanawiał się na głos, kiedy szli we trzech pustą ulicą przez miasteczko Heringsdorf, w poszukiwaniu kwatery na noc. Na głowie miał cylinder, który zabrał z domu jakiegoś eleganta. – Znowu na szóstą chodzić do roboty. Ja już bym chyba tak nie mógł.

– Teraz już tak nie będzie – odparł ponuro Poezja, zapatrzonej w swoją wizję przyszłości.

– A jak? Ludzie nie będą chodzić do roboty?

– Nie będzie roboty. Nawet jak ktoś będzie miał posadę, to i tak z niej nie wyżyje.

– Co ty znowu za bzdury gadasz – zirytował się Waszyngton. Jego dwaj towarzysze coraz bardziej działali mu na nerwy. Już trzeci rok ciągnęli się za nim jak smród po gaciach. Miał ich obu serdecznie dosyć. – Nową przepowiednię wyczytałeś?

– Nie muszę czytać, mam swój rozum – odparował Poezja. Nie podobało mu się, że Waszyngton coraz częściej stroił sobie z niego żarty. – Więcej ludzi teraz umiera, niż się rodzi, a jak przyjdzie lato, to z tych wszystkich trupów, co leżą po polach i lasach, wybuchnie cholera i jeszcze mniej rąk do pracy zostanie.

– Czyli z czego ludzie będą teraz żyli? – zaniepokoił się Lońka.

– Z szabru.

– Wszyscy?

– Nie słuchasz, co mówię. Nie ma rąk do pracy, więc ilość towaru na świecie się nie powiększa. Żeby przeżyć, musisz zabrać komuś to, co już jest.

– I tak już zawsze będzie?

– Sto lat najwyżej. Potem wymrą wszystkie narody i trawa zarośnie miasta.

– Tu przenocujemy – przerwał im Waszyngton, pokazując na narożny dom z pięknie utrzymanym ogrodem.

– Czy ja wiem – powiedział z wahaniem Lońka. – Taki sobie domek. Mały trochę.

– To poszukaj sobie stodoły – zirytował się Waszyngton i wszedł do środka, nie oglądając się na swoich towarzyszy.

Dom był schludny i przytulny, a co najważniejsze, z kranu z napisem *warm* leciała ciepła woda. Przy okazji Waszyngton odkrył, że w szafie w łazience schowali się gospodarze – para przerażonych sześćdziesięciolatków.

– E, ze szkopami – jęknął rozczarowany Lońka. Nie lubił, kiedy zastawali na miejscu niemieckich mieszkańców. Wolał puste domy, w których były tylko zdjęcia poprzednich właścicieli i ich monogramy na sztukach.

– A co ci szkopy przeszkadzają? – odparł Waszyngton. – Wyrzuci się ich na noc. Chyba że Poezja chce sobie kobietę zatrzymać.

Poezja poczerwieniał z wściekłości, dotknięty do żywego. Od pewnego czasu cierpliwie znosił kpiny i przytyki, ale tego było już za dużo. Miał chędożyć wysuszoną na wiór starą babę z paszczą szczura?

– Sam sobie możesz ją wziąć – warknął i wyszedł z łazienki.

Lońka chciał w pierwszej chwili parsknąć śmiechem, ale wyraz twarzy Poezji kazał mu zamilknąć. Jego towarzysz wyraźnie zbliżał się do granicy wytrzymałości. W jednej chwili potrafił zmienić się wtedy w bestię. Na froncie wschodnim Lońka widział to nie raz. Rozjuszony Poezja był zdolny gołymi pięściami powalić trzech, czterech, ba! – nawet pięciu mężczyzn. To właśnie temu zawdzięczał swoje przezwisko – była to wówczas poezja, nie człowiek. Waszyngton powinien wiedzieć o tym znacznie lepiej i nie drażnić bestii kijem. W końcu znali się dłużej: podobno byli razem w obozie.

Salon urządzone nader skromnie – bez skórzanych kanap, bez obrazów na ścianach.

– Na jedną noc się nada – zdecydował Waszyngton. – Zostajemy.

Lońka rozejrzał się niechętnie po ascetycznym wnętrzu.

– Ani jednego obrazka – zauważył rozczarowany. – I nawet fortepianu nie ma.

– Na cholerę ci fortepian – ofuknął go Waszyngton. – Chyba żeby do niego nasrać!

– A choćby nawet! – ryknął Poezja. Właściwie nie bronił Lońki. Po prostu jego nerwy były w takim stanie, że każda kolejna kpina mogła spowodować wybuch. I to właśnie się stało. – Cały czas się nas czepiasz! Nie jesteś już naszym dowódcą, zasrańcu!

Waszyngton zdał sobie sprawę, że tym razem przesadził. Owszem, ci durnie irytowali go, ale był na nich skazany, przynajmniej na razie. Podniósł ręce, jakby się poddawał.

– W porządku. Nie chcecie tu zostać, poszukamy czegoś innego.

W ten sposób państwo Potthast, właściciele narożnego domu bez fortepianu, nie tylko przedłużyli swój pobyt we własnym domu, ale też uniknęli znacznie gorszego losu.

Spór o kwaterę w Heringsdorfie miał znacznie poważniejsze skutki, niż mogłoby się z początku wydawać. Wcale nie o kwaterę tu zresztą chodziło. Iskrzyło między nimi już od dłuższego czasu, a od śmierci Knopfa, którego na froncie wschodnim znali pod całkiem innym nazwiskiem, otwarcie rzucali się sobie do gardeł. Było to tym dziwniejsze, że przez ostatnie lata wszyscy trzej zgodnie żyli nadzieją na odnalezienie i ukatrupienie swojego byłego Scharführera. Tymczasem wiadomość o tym, że wyciągnął nogi w szpitalu w Swinemünde, nawet specjalnie ich nie ucieszyła. Owszem, upili się z tej okazji, trochę pośpiewali, ale nazajutrz obudzili się z gorzkim przekonaniem, że nic się nie zmieniło. Od tej pory zaczęły się gwałtowne kłótnie. Płomyk to buchał żywym ogniem, to znów przygasał. Wszystko wskazywało na to, że tak będzie i tym razem. Nie było.

Między Waszyngtonem a Poezją narastała wrogość. Błaha sprawa kwatery w Heringsdorfie uświadomiła im obu, jak bardzo nienawidzą się nawzajem za wszystkie lata, kiedy byli na siebie skazani. W gruncie rzeczy żaden z nich nie miał przecież z drugim nic wspólnego. Waszyngton wciąż uważał się za tego samego człowieka, jakim był przed wojną – kulturalnego, obytego w świecie, wzorowego męża i ojca. To, że nie miał szans na ponowne zatrudnienie na stanowisku kierownika banku oraz że jego żona została zastrzelona przez Niemców, a córki

zgwalczone i zakłute przez Rosjan, nie zrównało go przecież z pospólstwem pokroju ludowych milicjantów. Z kolei Poezja miał serdecznie dosyć traktowania go jak półgłówka. Sam widział w sobie człowieka zasługującego na szacunek – czytanego, wyrobionego politycznie, zorientowanego, co dzieje się na świecie, krótko mówiąc – takiego, który chciał w życiu czegoś więcej niż tylko dolarów.

Lońka zdawał sobie niejasno sprawę, że zbliża się jakaś katastrofa. Kiedy szli dalej brukowaną uliczką w stronę morza dwoił się i troił, żeby załagodzić spór. Niepotrzebnie wybrzydzał na narożny dom ze szkopami. Trzeba było się przymknąć.

– Czuję, że tu nam się poszczęści z tymi organami – powiedział, żeby zmienić temat.

– Zobaczysz swoje organy jak świnia gwiazdy – burknął Poezja. – Za mała mięcina. Dalej trzeba pojechać.

– To nie są żadne organy – rzucił z irytacją Waszyngton.

– Wiem, wiem – przytaknął Lońka. – Tak sobie mówię. Maszyna licząca.

– Tabulacyjna – poprawił go Waszyngton.

– No, no. A co ona właściwie liczy? Znaczy, tabuluje czy jak to się mówi.

– Ludzi.

– To już mówiłeś, ale po co?

– Dla statystyki.

– Jak?

– To jest za trudne, żeby wytłumaczyć jednym zdaniem.

– Pan Waszyngton mówi, że jesteś za głupi, żeby to zrozumieć – wtrącił się Poezja.

– Nic takiego nie powiedziałem. – Waszyngton zmroził go wzrokiem.

– Ale pomyślałeś.

– A ty co, jasnowidzący jesteś? No tak, nowy Ossowiecki się znalazł. Proszę, co ta socjalistyczna demokracja robi z ludzi.

– Demokracja może zaraz tak dać ci w mordę, że się nogami nakryjesz.

Lońka był zrozpaczony. Cokolwiek by powiedział, jeszcze bardziej pogarszało to sytuację.

– Dajcie spokój! – zawołał. – Gównu mnie obchodzą te organy! Czy tam maszyna tabulująca.

– Tabulacyjna – poprawił go Waszyngton.

– Tak tylko spytałem, bo ciekawię się, czemu Scharführer taką górę forsy chciał za to płacić.

– Już się nie dowiesz – powiedział Poezja.

– Tak samo chcieliście go dopaść jak ja! – wybuchnął Waszyngton.

– Bo nam bez przerwy kładłeś to do głowy! W kółko żeś powtarzał, że „jedno jest tylko święte słowo – zemsta”. I co ci przyszło z tej zemsty? Dołożyliśmy nowych trupów, jakby jeszcze mało było zabijania.

– Chłopaki, na litość boską! – zawołał błagalnie Lońka. – Przecież dobrze nam idzie. A jak znajdziemy organy, znaczy maszynę, to sprzeda się ją za sto tysięcy dolarów, tak jak Scharführer mówił!

Rozpaczliwie wymachiwał im obu przed rozpalonymi twarzami kolorowym zdjęciem maszyny tabulacyjnej DEHOMAG. Niestety, tylko rozjuszyło to Poezję, który wyrwał mu zdjęcie z ręki i ryknął:

– Czy ty nie rozumiesz, ruski pomocie, że nawet jak to znajdziemy, to nikt tego szajsu nie kupi?! Jeden był tylko na to kupiec, ale żeśmy go utłukli. Wiesz, gdzie możesz to sobie teraz wsadzić? No to ci pokażę!

Zmiał zdjęcie w kulkę i wepchnął ją zaskoczonemu Lońce do gardła.

– Puść go! – rozkazał Waszyngton, sięgając po pistolet.

Poezja cisnął w niego Lońką jak workiem z ubraniami. Obaj upadli z głuchym jęknięciem na bruk. Poezja kopnął pistolet z taką siłą, że ten poszybował na drugą stronę ulicy i rąbnął w ścianę.

– Jeszcze raz podniesiesz na mnie broń, zasrańcu...! – warknął Poezja i ruszył przed siebie.

Potłuczony Waszyngton wstał z bruku. Rozejrzał się za pistoletem. Leżał kilka metrów dalej. Na szczęście był cały.

Waszyngton spojrzał z nienawiścią na oddalające się szerokie plecy Poezji. Właściwie był draniowi wdzięczny, że przypomniał mu własne credo, dzięki któremu przetrwał obóz, służbę na froncie wschodnim i niekończące się wędrówki po spalonej ziemi: jedno było tylko święte słowo – zemsta.

5

Sprawa była właściwie rozwiązana, ale nadkomisarz Strzelczyk nawet po śmierci musiał wtrącić swoje trzy grosze.

Nie rozumiem, z czego pan jest taki zadowolony, panie aspirancie. Odkrył pan paru kolaborantów, to wszystko. Wątpię, czy to wystarczy, żeby ten bolszewik pozwolił panu wyjechać na Zachód. Poza tym dziwię się, że naprawdę bierze pan pod uwagę współpracę z diabłem.

Muszę mu powiedzieć, kto stoi za tymi morderstwami. Taka była umowa.

Gdzie jest dowód, że to właśnie tych trzech?

Wszystko układa się w logiczny ciąg. Po pierwsze, skład tej całej grupy operacyjnej nie był przypadkowy. Bender, czyli mój Pfleger Szulc, dobrze ich znał najpierw z Auschwitz, a potem ze wspólnej służby na Wschodzie.

Niby jak wydostali się z Auschwitz? Zwolniono ich za dobre sprawowanie?

Może pan sobie darować sarkazm, panie nadkomisarzu. Na pewno jest jakieś wyjaśnienie. Jak pan widzi, ja też się stamtąd wydostałem.

Dobrze, niech pan mówi dalej.

Dla niepoznaki Bender dołączył do grupy kilka przypadkowych osób: Kwasigrocha, Wasilewskiego i mnie. Prawdopodobnie mieli się nas pozbyć na miejscu, co zresztą częściowo się udało.

Chwileczkę. Czyli twierdzi pan, że to Bender wysłał tych trzech do Swinemünde. Po co?

Razem z Knopfem, swoim dawnym niemieckim przełożonym, mieli prowadzić zorganizowany szaber na wielką skalę.

I dlatego zabili Bendera, mózg całej operacji? Pańska teoria nie ma sensu, panie aspirancie.

Nie wszystko potoczyło się po ich myśli. Przypuszczam, że Knopf nie chciał współpracować. Być może prowadził już własny interes i nie zamierzał dzielić się z nowymi współnikami. Pierwsza ofiara miała go przekonać, że przybysze nie żartują. Celowo wybrali Friedkego, najważniejszego urzędnika w mieście, i porzucili ciało na głównym placu.

A odcięty palec?

Wiadomość dla Knopfa. Jedyńka to pewnie początek numeru, który coś dla nich wszystkich znaczył – może ich oddziału na Wschodzie. W każdym razie przekaz musiał być dla Knopfa jasny: albo zgodzi się na ich warunki, albo wydadzą go Rosjanom.

To nie wyjaśnia, dlaczego zabili potem Bendera.

Myślę, że to zabójstwo było przypadkowe. Bender przyjechał, żeby osobiście zażegnać kryzys. Nie chciał więcej trupów.

Prawdziwy humanista.

Raczej realista. Morderstwo niepotrzebnie ściągnęło uwagę sowieckiej komendantury i naraziło całe przedsięwzięcie. Bender chciał przywołać swoich ludzi do porządku, ale nie wziął pod uwagę, że nie byli już jego podwładnymi. Jestem pewny, że to zabójstwo nie było zaplanowane. Zabili go podczas kłótni, a ciało wykorzystali, żeby wysłać kolejną wiadomość Knopfowi. Trzy odcięte palce to zapewne kolejna cyfra w numerze, który mu tą drogą przekazywali.

A co miał znaczyć plakat propagandowy w gardle ofiary?

Typowy fałszywy trop. Sprawa nabrała już za dużego rozgłosu, więc chcieli w ten sposób zatuszować swoją wewnętrzną korespondencję z Knopfem.

No dobrze. Jak pan w takim razie wytłumaczy trzecie zabójstwo? Co kochanka bolszewickiego komendanta mogła mieć wspólnego z bandą byłych esesmanów?

Myślę, że nic.

Jak to?

Długo się nad tym zastanawiałem. Trzecie morderstwo jest tylko pozornie podobne do poprzednich. Ofiara nie została porzucona w miejscu publicznym, a jej ręce nie zostały ułożone tak samo. Wszystko wskazuje na to, że morderca Swiety starał się tylko naśladować poprzednika.

Sądzi pan, że ten cały Pietia Fedoruk mógł mieć rację?

Wszystko na to wskazuje.

Ale przecież przy tej Rosjance znaleziono palce Bendera. Skąd komendant miałby je wytrzasnąć?

Tego właśnie nie rozumiem.

Adam wpatrywał się w zdjęcie wesołej kompanii z SS-Sonderkommando coraz bardziej przekonany, że nagłe olśnienie, jakiego doznał w pierwszej chwili, wcale nie było przeblyskiem geniuszu. Człowiekowi, który błądzi po omacku w ciemności, każdy płomyk wydaje się wyjściem z tunelu. Cała teoria była dziurawa jak sito. Gdyby nadkomisarz Strzelczyk żył, Adam nie odważyłby mu się jej przedstawić.

Erica postawiła na stole parującą filiżankę z prawdziwą kawą. Trzymała ją na specjalną okazję i właśnie doszła do wniosku, że lepszą okazję trudno sobie wyobrazić: jej przystojny lokator wrócił spod szubienicy, żeby uratować Hansiego.

– Proszę bardzo – oznajmiła uroczyście.

Adam pociągnął nosem.

– Przecież to jest kawa! – zawołał z niedowierzaniem.

– Komendant dał mi kiedyś paczkę. Niech pan pije, proszę.

Adam upił ostrożnie łyk. Była to pospolita kawa Varrington House z paczek Unry, ale w tej chwili jej smak nie mógł się z niczym równać. Adam odłożył na bok fotografię, żeby skupić się wyłącznie na zawartości filiżanki.

– Myśli pan, że komendant zwolni Hansiego? – spytała Erica, ośmielona błogim wyrazem twarzy swojego lokatora.

– Już pani powiedziałem, że zrobię, co w mojej mocy. Dotrzymuję umów.

– Dziękuję – powiedziała Erica z ufnością.

Drażniło go całe to jej zaufanie. Patrzyła w niego jak w obrazek, a przecież naprawdę niewiele mógł jej pomóc. Osipowicz robił, co chciał. Sam powiedział, że nie wie, czy zwolni niemieckich zakładników, czy też każe ich jednak powiesić jako członków Werwolfu. Równie dobrze mógł ich skierować na roboty przy odbudowie Związku Sowieckiego, co było przecież równoznaczne z wyrokiem śmierci. Tak czy inaczej los Hansiego wisiał na cienkim włosku i wcale nie zależał od tego, co Adam powie komendantowi.

Pociągnął znów rozkoszny łyk kawy i wziął z powrotem do ręki fotografię, żeby nie patrzeć w oczy Eriki. Dla niej był to jednak jeszcze jeden dowód na to, że Hansie wkrótce wróci do domu. Rozumowała logicznie: skoro fotografia znaleziona u Knopfa była taka ważna, to komendant Osipowicz też powinien to docenić. Żałowała tylko, że sama nie wręczyła mu jej wcześniej. Może Hansie od razu zostałyby zwolnione.

Adam starał się chłodno ocenić, co z jego dziurawej teorii wytrzymało próbę rozumu, ale z każdą chwilą był coraz bardziej przekonany, że trzeba powrócić do poprzedniego punktu wyjścia: wszystkie ofiary łączyło to, że były więźniami niemieckich obozów koncentracyjnych. Friedke – Dachau. Bender – Auschwitz. Swieta Fedoruk – Auschwitz i Ravensbrück. Więźniowie, czyli numery. Morderca też przypisał każdej ofierze jakiś numer: Friedke – jeden, Bender – trzy, Swieta – dziewięć...

Nagle jego rozważania przerwało walenie do drzwi.

– Rosjanie! – krzyknęła z przestachem Erica, chwytając Adama kurczowo za ramię.

– Puść. – Adam odepchnął ją szorstko. Wcale nie miał ochoty zostać obrońcą niemieckich kobiet, ale sytuacja rzeczywiście go do tego zmuszała. – Siedź tutaj. Ja to załatwię.

Ruszył do drzwi. Było trochę za wcześnie na sowieckich maruderów. Zwykle zaczynali grasować na mieście po zapadnięciu zmierzchu.

Walenie ustało. Adam odczekał chwilę, a potem otworzył gwałtownie drzwi, gotowy powalić pierwszego napastnika pięścią i zabrać mu broń, zanim jego kompani – jeśli nie był sam – połapią się i otworzą ogień.

Pod drzwiami leżał półprzytomny rajzer. Dyszał ciężko, daremnie próbując wstać.

– To ty! – Adam chwycił go pod ramię i wciągnął do domu. Chłopak jęknął z bólu. – Już dobrze, zaraz cię zawiozę do szpitala!

– Nie... – wyszeptał rajzer. – Do szpitala nie...

Adam przypomniał sobie o własnych wątpliwościach. W sumie nic nie wiedział o tym smarkaczu.

– Dlaczego stamtąd zwiąłeś?

Głowa chłopca opadła bezwładnie na brodę. Z kuchni wyjrzała bojaźliwie Erica.

– Kto to jest?

– Mój znajomy. Proszę przygotować łóżko. Zostanie tutaj.

– Przecież to włóczęga. Tyfus może roznosić.

– Pościel łóżko, słyszysz?!

Erica zabrała się posłusznie do pracy.

– I proszę przynieść mu wody – dodał Adam łagodniejszym tonem, jakby sam zawstydził się swojego pohukiwania na bądź co bądź właścicielkę domu, w którym był tylko gościem.

Adam ułożył rajzera ostrożnie w pokoju zwolnionym przez Kwasigrocha. Chłopak odzyskał przytomność. Otworzył oczy, rozglądając się przestraczem dokoła.

– Spokojnie, nic ci nie grozi. Kto cię postrzelił, ruscy?

– Nie, twoi – wychrypiał chłopiec.

– Jacy moi?

– Te milicjanty w mordę kopane...

– Waszyngton i Poezja?

– Ten ze złotymi zębami też tam był...

– Lońka.

– Magazyn ich odkryłem... Wszystko tam mają, sukinsyny. Nawet cytryny.

– Chciałeś ich okraść i wtedy cię postrzelili?

Rajzer zamierzał odpowiedzieć, ale w tym momencie do pokoju weszła Erica z blaszanym kubkiem w rękę.

– Woda – powiedziała.

Rajzer zamilkł, przypatrując się jej szeroko otwartymi oczami.

– To nasza gospodyni, pani Pohl – wyjaśnił Adam. – Pani Pohl nikomu nie powie, że się tutaj zatrzymałeś, prawda, pani Pohl?

– Jak pan sobie życzy – odparła Erica i wyszła z pokoju.

– Pij – powiedział Adam, podsuwając chłopcu kubek.

Rajzer uniósł się na łokciach, odprowadzając Ericę wzrokiem.

– To ona! – wyszeptał.

– O czym ty mówisz?

– Miałem ci pokazać tę babę, co wtedy wychodziła w nocy z ratusza. To ona.

XI TRANSPORTE

1

Z chrześcijańskiej religii najbardziej podobała się Osipowiczowi tragiczna historia egipskiego faraona, który przez własną głupotę dał się pokonać bandzie niejakiego Mojżesza. Pułkownik czytał o tym, kiedy jeszcze był zwykłym kapitanem, to znaczy w partyzanckich czasach na Białorusi. Co innego było do roboty w długie wieczory w chłodnej ziemiance? Albo wódka, albo miłość, albo właśnie czytanie. Historia zrobiła na nim wtedy spore wrażenie. Uważał, że o błędach faraona powinno się uczyć na kursach NKWD. Był to wręcz podręcznikowy przykład, jak można doprowadzić do upadku nawet najlepiej funkcjonujący łagier. Jako komendant wojenny Osipowicz stale pilnował się, żeby nie pójść tropem egipskiego faraona. Dobrze pamiętał, do czego doprowadziły tego nieszczęśnika ustępstwa wobec starożytnych zeków^[93]. Tylko trochę im popuścił i co mu z tego przyszło? Plagi zaczęły na niego zsyłać. A to zarazę, a to szarańczę. Skończyło się na tym, że wszyscy nawiali mu koncertowo, a on jeszcze potopił swoje wojsko podczas pościgu.

Ta właśnie historia stanęła Osipowiczowi żywo przed oczami, kiedy dostał z terenu meldunek, że do Ostswine^[94] po drugiej stronie rzeki dotarli już dipisi i czekają na przeprawę. Komendant od razu przypomniał sobie o plagach egipskich, o których czytał w partyzanckiej ziemiance. Dipisi byli gorsi niż szarańcza, bo oprócz jałowej ziemi pozostawiali po sobie smród i choroby. Osipowicz najchętniej pozostawiłby ich w Ostswine, aż wyszabrują tam wszystko i pozdychają z głodu, ale rozkaz był rozkazem. Wsiadł razem z Jakowlewem na przygotowaną do transportu ludzi barkę i popłynął na drugą stronę rzeki.

Na miejscu czekał na niego zatrważający widok. Dipisi opanowali już dworzec kolejowy oraz główną uliczkę w portowym osiedlu. Wszędzie toczyło się zawzięte plądrowanie. Z drewnianych domów, zbudowanych w uzdrowiskowym stylu, raz po raz wylatywały przez okna rozprute poduszki i meble. Niemcy biegali w kółko

zrozpaczeni, szukając pomocy u kilku rosyjskich żołnierzy, którzy przyglądali się wszystkiemu bezradnie. Co mieli biedaki zrobić? Strzelać do zachodnich obywateli nie wolno, po łbie też nie można dać, więc pozostawało tylko czekać, aż się wyszumią i zmęczą. Najgorsze jednak, że od strony Misdroy^[95] wciąż nadciągali nowi. Były ich setki. Szli gromadami, a każda z nich wymachiwała swoją flagą narodową. Wyśpiewywali w różnych językach, a to po francusku, a to po angielsku. Oczywiście, większość miała już nieźle w czubie, co jeszcze bardziej utrudniało sytuację.

– Towarzyszu komendancie! – zawołał błagalnie jakiś starszyna na widok najwyższego dowództwa. – Pozwólcie strzelać, bo wszystko rozkradną! Potem się mówi, że Armia Czerwona rabuje i gwałci, a co tu Armia Czerwona winna!

– Zgwałcili kogoś? – zainteresował się Osipowicz.

– A jakże.

– Zgwałconą ubili?

– Nie, tam stoi. – Starszyna wskazał ręką na kobietę w podartej sukience, która trzęsa się pośrodku ulicy niczym uciekiniarka z psychuszki. – Znowu będzie na Zachodzie gadanie, że to nasza robota.

– A co wy się tak tym Zachodem przejmujecie? – natarł na niego lejtnant Jakowlew. – Do burżuazji was ciągnie?

Starszyna pobladł ze strachu. Po to przeżył wojnę, żeby teraz podpaść NKWD?

– Kiedy ja mam Zachód w dupie, towarzyszu lejtnancie! Żebym tak jutra nie doczekał. Tylko o sprawiedliwość mi chodzi.

Na szczęście komendant Osipowicz nie zamierzał drażnić tego tematu.

– Przyprowadźcie mi tę zgwałconą – rozkazał.

– Tak jest!

Starszyna ochoczo rzucił się po obdartą Niemkę. Kobieta sprawiała wrażenie ogłuszonej po bombardowaniu. Nic do niej nie docierało.

– Podobno was zgwałcili? – spytał Osipowicz po niemiecku.

Niemka rozglądała się wokół wzrokiem spłoszonego zwierzęcia.

– Odpowiadaj, szwabska suko, jak towarzyszu komendant pyta! – ryknął jej do ucha Jakowlew. – Zgwałcili cię?

Kobieta kiwnęła głową.

– Kto? Gadaj.

– Czekał, Jakowlew. Baba się boi – upomniał go Osipowicz i zwrócił się łagodnie do zgwałconej Niemki: – Nie bójcie się. Postawimy drania przed sądem wojennym. Powiedzcie tylko, który to.

Kobieta ostrożnie wyciągnęła rękę w stronę mężczyzny, który wymachiwał pośrodku ulicy francuską flagą i wydzierał się w swoim języku na cały głos.

– Ten Francuz?

Niemka skinęła głową.

– Aresztować – rozkazał komendant Jakowlewowi.

– Tak jest.

Po chwili starszyna, który dbał o reputację Armii Czerwonej, już prowadził zaskoczonego Francuza do komendanta.

– *Que se passe-t-il?*^[96] – spytał aresztowany.

– Po francusku się nie dogadamy – odparł Osipowicz. – Ale niemiecki na pewno znacie.

– Trzy lata siedziałem w Auschwitz, więc musiałem się nauczyć. Czego ode mnie chcecie?

Osipowicz spojrzał na obozowy pasiak pod wyszabrowaną gdzieś skórzaną kurtką. Nad jego kieszenią widniał fioletowy trójkąt.

– Jesteście Jehowy?

– Byłem, ale straciłem wiarę.

– Ja was nawet rozumiem – siedzieliście w obozie, macie prawo się mścić. Ale nie w moim mieście.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Ta kobieta twierdzi, żeście ją zgwałcili.

– Przecież to jest nazistka. Znalazłem w jej mieszkaniu zdjęcia z esesmanami.

– I dlatego żeście sobie pofolgowali? Rozumiem, ale w moim mieście takich rzeczy być nie może, trudno się mówi.

Francuz patrzył z przerażeniem, jak Osipowicz sięga do kabury po pistolet. Był już pewny, że to jego ostatnia chwila, kiedy komendant niespodziewanie skierował broń w powietrze i wystrzelił trzy razy.

Na ulicy zaległa cisza. Gorączka plądrowania opadła. Wszyscy dipisi zamarli, wpatrzeni w sowieckiego oficera z pistoletem.

– Jestem pułkownik Arłam Osipowicz, komendant wojenny tego miasta! Za chwilę rozpocznie się załadunek na barkę, która przewiezie was na drugą stronę rzeki. Nie będę tolerował żadnych gwałtów ani rabunków. Każdy, kto dopuści się podobnych przestępstw, zostanie rozstrzelany.

Obrócił się do aresztowanego Francuza.

– Nazwisko i narodowość.

– Jean Labout, Francuz...

– Ten tutaj obywatel francuski Jean Labout – ciągnął swoją przemowę Osipowicz – został właśnie aresztowany za gwałt na mieszkance Ostswine i za chwilę będzie rozstrzelany. Czy ktoś jeszcze chciałby do niego dołączyć?

Pogłębiła się cisza na usłanej rozerwanymi poduszkami uliczce Ostswine. Dipisi bali się nawet poruszyć, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi.

– Ochotników nie widzę – skonstatował komendant. – Jakowlew, zaczynaj załadunek.

– A tego rozwalić? – spytał Jakowlew, wskazując na śmiertelnie przerażonego Jeana Labouta.

– Ja się nim zajmę.

– Tak jest.

W jednej chwili dipisi przypomnieli sobie zasady musztry wpojone im przez ostatnie lata w rozmaitych obozach i więzieniach. Beładne gromady sprawnie sformowały czwórkową kolumnę, która pomaszerowała pod komendą Jakowlewa na nabrzeże, gdzie czekała barka transportowa.

Osipowicz obrócił się do Jeana Labouta. W ręku wciąż trzymał dymiący pistolet. Francuz osunął się na kolana.

– Błagam, ja nic nie zrobiłem!

– Już powiedziałem: u mnie żadnych gwałtów nie będzie.

– Mam żonę w Marsylii, dwoje dzieci. Wszyscy przeżyli, dostałem wiadomość z Czerwonego Krzyża. Zaraz, pokażę panu zdjęcie...

Drżącą ręką wyjął z kieszeni kopertę ze zdjęciami, która najwyraźniej była jego najcenniejszym skarbem.

– To jest wasza żona? – spytał Osipowicz, spoglądając z pewnym zainteresowaniem na portretową fotografię kobiety z kopiałą fryzurą, nader hojnie obdarzonej przez naturę. – Dużo włosów ma.

– O, tak, piękne włosy! – przytaknął gorliwie Jean Labout, szczęśliwy, że udało mu się zainteresować pułkownika. Skoro zadawał takie pytania, to chyba nie miał naprawdę zamiaru go zastrzelić. – Bardzo piękna kobieta.

– No i cyce jak wiadra – orzekł ze znawstwem Osipowicz.

Jean zawahał się, ale nie był to najlepszy moment, żeby obrażać się na uwagi na temat własnej żony, zwłaszcza że wygłaszał je sowiecki człowiek z pistoletem w ręku.

– O, tak, wspaniałe piersi! – zgodził się posłusznie.

– Więc co ci przyszło do łba, żeby wsiadać na taką suchą szkapę, jak ta Niemka! W dodatku one wszystkie mają francę. Chcesz swoją kobietę zarazić?

– Nie! Błagam, niech pan mi daruje. Nie wiem, co mnie napadło. To ze złości raczej, a nie z pożądania. Ale pan mnie nie rozstrzela, prawda?

– To od ciebie zależy.

– Co mam zrobić, niech pan tylko powie.

Osipowicz wolno schował pistolet do kabury. Ani przez chwilę nie miał zamiaru strzelać do Francuza. Miał wystarczająco dużo kłopotów. Cała szopka była na użytek gapiów. A poza tym wiedział, że przyda mu się oddany informator.

– Na razie dołącz do reszty.

Jean Labout patrzył na niego, jakby nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

– No, na co czekasz? Paszoł won.

Francuz rzucił się z bijącym sercem za maszerującą kolumną dipisów, przepraszając w duchu swoją żonę Madelaine, że dopuścił się wobec niej tak bezsensownej zdrady, gdyż ta nie dość, że nie dała mu żadnej przyjemności, to jeszcze o mały włos nie stracił przez nią życia. Przyrzekł też sobie, że kiedy tylko pojawi się okazja, przebadają się pod kątem chorób wenerycznych.

Osipowicz zabrał się na barkę w pierwszej turze. Było już ciemno, kiedy ruszyli na drugi brzeg. Wysoka jak drapacz chmur latarnia^[97], uruchomiona ponownie przez niemieckich specjalistów, oświetlała szerokie ujście Swine, wysyłając snop światła głęboko w morze. Komendant stał na dziobie, wiatr chłostał mu twarz, a on

wdychał z lubością ostre morskie powietrze. Na chwilę ogarnęło go poczucie niewysłowionego szczęścia – z wielu powodów. Po pierwsze dlatego, że w ogóle przeżył wojnę. Po drugie, że władał całym miastem, jak egipski faraon, ale jednocześnie wcale nie przypominał tamtego durnia, którego pokonała banda Mojżesza. Jego niewolnicy siedzieli posłusznie na pokładzie barki i ani myśleli o buncie. No i po trzecie...

– To było dzieło sztuki, towarzyszu pułkowniku – powiedział do niego z zachwytem lejtnant Jakowlew.

– Co? – Osipowicz wyrwał się z kontemplowania bladej poświaty na rzece.

– To, jak żeście zapanowali nad tą hołotą.

Osipowicz przez skromność nic nie odpowiedział, choć trudno było mu nie zgodzić się z taką oceną.

– Ale tego Francuza żeście jednak nie rozstrzelali? – dopytywał się Jakowlew.

– Zgodził się donosić – wyjaśnił Osipowicz.

– Ach tak! – powiedział ze zrozumieniem Jakowlew i dodał z jeszcze większym zachwytem: – Dzieło sztuki.

Nagle Osipowicz poczuł nieprzyjemne ukłucie w sercu. Całe szczęście prysnęło w jednej chwili, jak przekłuty balon. Zachwyt Jakowlewa przypomniawszy mu o Pietii Fedoruku, któremu jeszcze niedawno też udzielał nauk. Myśl o Pietii z kolei przypomniawszy mu o tym, że Swieta leży w zimnej kostnicy, a do miasta ma wkrótce zjechać ta bladź Anuszka. I z czego tu się cieszyć? Nawet władza nad milionami nie dawała żadnego szczęścia, jeśli nie można było się nim podzielić przynajmniej z jednym człowiekiem. O tym też mówiła coś chrześcijańska religia, ale Osipowicz nie mógł przypomnieć sobie dokładnie co, a poza tym barka przybijała właśnie do ciemnej przystani w Swinemünde.

2

Gdyby się nad tym zastanowić, to Erica Pohl pomogła Adamowi odkryć, na czym polegał sukces komunizmu. Chodziło o ewolucję, a właściwie o jej skuteczne odwrócenie. Miliony lat upłynęły, zanim człowiek stanął na dwóch nogach. Przyniosło mu to pewne korzyści, ale postawa wyprostowana wymagała też sporo

wysiłku i samozaparciu. Ludzka istota nigdy nie pozbyła się pierwotnej tęsknoty, żeby opaść z powrotem na cztery kończyny. Dopiero komunizm dał jej taką szansę. W sowieckim państwie robotników i chłopów każdy mógł do woli brykać na czterech łapach – jako świnia, szczur albo mała człekokształtna. Komunizm nie stawiał nikomu wygórowanych wymagań co do człowieczeństwa. Wręcz przeciwnie, zachęcał obywateli, żeby dali sobie spokój z dalszą ewolucją własnego gatunku. Milionom ludzi przyniosło to niewysłowioną ulgę – wreszcie oficjalnie można było być świnia między innymi świniami.

Niezbitego dowodu na tę teorię dostarczyło Adamowi jego własne zachowanie wobec Eriki. Po rewelacjach rajzera przez całą godzinę rozważał, co powinien zrobić z kobietą, która okazała się żmiją. Brał pod uwagę różne możliwości. Rozum, pod postacią nadkomisarza Strzelczyka, podpowiadał mu, żeby nie zdradzać się przed nią ze swoją wiedzą i śledzić każdy jej kolejny ruch. Rozsądek przypominał, że czas przydzielony przez komendanta szybko się kończył, więc należało raczej sięgnąć po inne środki. Jakie? Policyjne doświadczenie podsuwało wciągnięcie kobiety w grę psychologiczną i zapędzenie jej w kozi róg. W tym momencie rozsądek zaprotestował, zwracając uwagę, że mogłoby to trwać za długo, a czasu naprawdę było niewiele. Lepiej zagrać z Frau Pohl w otwarte karty: zadać kilka celnych pytań i wydobyć zeznania.

A potem Adam zwyczajnie chwycił Ericę za gardło. Sam nie wiedział, że jest do tego zdolny. To musiał być wpływ komunizmu i przestawania z NKWD. Zwłaszcza że słowa, które przy tym wykrzykiwał, zupełnie do niego nie pasowały.

– To ty mi dałaś po łbie w ratuszu! Gadaj, gdzie jest zeszyt Friedkego, bo cię tu zatłukę, faszystowska żmijo!

Erica zaczynała się dusić. Oczy wyszły jej na wierzch, twarz nabrzmiała.

– Gadaj! – ryknął Adam.

Ręce kobiety były coraz słabiej i wolniej, jakby uchodziło z nich życie. Adam oprzytomniał. Puścił jej gardło.

Erica osunęła się na podłogę, usiłując odzyskać oddech, podczas gdy Adam patrzył w osłupieniu na własne ręce. Co się z nim działo? Musiał czym prędzej wydostać się z sowieckiego świata, jeśli nie chciał stać się kimś takim jak Osipowicz.

– Nie wiedziałam, że to pan... – wykrztusiła wreszcie Erica.

Gniew znowu powrócił na wspomnienie pierwszej nocy na wyspie, ale tym razem Adam zdołał się opanować.

- Gdzie jest zeszyt? – rzucił tylko szorstko.
- Zabrałam. Chciałam, żeby Hansie wyjechał na Zachód...
- Zeszyt!
- Ale tam nic nie ma...
- Więcej nie będę powtarzał.
- Zaraz. Mam go tutaj...

Adam poczuł, że serce mu przyspiesza. Jego wiara w zeszyt Friedkego stała się niemal fanatyczna.

Erica dzwignęła się z podłogi, podeszła do kuchennego stołu i otworzyła szufladę pod obrusem. W środku leżał czarny zeszyt z napisem *Transporte*.

– Proszę...

Adam rzucił się na swoją świętą księgę. Jej zawartość była zaskakująca. Stronice wielkiego zeszytu wypełniały niekończące się kolumny jakichś numerów zapisanych odręcznie maczkiem.

– Ja też myślałam, że to będzie coś innego – powiedziała Erica. – Jakieś informacje o transportach na Zachód – o statkach, ciężarówkach.

– Co to za numery?

– Nie mam pojęcia. Widziałam tylko, że pastor ciągle je zapisywał w tym zeszycie, więc myślałam, że to ważne...

– Coś to musi znaczyć! – wybuchnął Adam. Wiara w cudowne ocalenie dzięki zeszytowi Friedkego właśnie legła w gruzach, niczym dawny kościół pastora.

– Friedke był chyba niespełna rozumu – powiedziała ostrożnie Erica. – Po tym obozie. Mówiłam już panu, co raz powiedział...

– A to co jest? – Na tylnej okładce przyklejony był taśmą jakiś klucz.

– Klucz.

– Widzę. Do czego?

– Nie wiem, przysięgam. Pewnie do jakiegoś pokoju w ratuszu albo szafki. Chciałam zakraść się tam jeszcze raz po śmierci pastora, ale panowie tam cały czas siedzieli, a potem ten zamach...

- Proszę się ubrać – zdecydował Adam. – Idziemy do ratusza.
- Teraz?
- Jest już pani z kimś umówiona?
- Mam na myśli, że niebezpiecznie o tej porze.
- Wiem. Odczułem to na własnej głowie.
- Naprawdę nie wiedziałam wtedy, że to pan. Przestraszyłam się.
- Proszę się ubrać.

Przed wyjściem Adam zajął do rajzera. Chłopak spał w najlepsze. Czoło miał rozpalone, ale oddychał regularnie.

- To jest ktoś z pańskiej rodziny? – zaintrygowała się Erica.
- Kto, ten? W ogóle go nie znam.
- Bo pan tak się o niego troszczy...
- Obiecał, że doprowadzi mnie do bandyty, który omal nie rozwalił mi czaszki.
- Ja nie chciałam...
- Idziemy.

Noc owinęła ich jak mokra szmata. Drobny zimny deszczyk wdzierał się bezlitośnie pod ubrania. Choć szli pod rozłożystymi koronami drzew, po kilku przecznicach oboje byli już całkiem przemoczeni, a do pokonania został jeszcze kawał otwartej przestrzeni w samym środku miasta, od dawnego placu Adolfa Hitlera aż do ratusza. W dodatku pojawiła się znacznie poważniejsza przeszkoda niż deszcz: od nabrzeża portowego ciągnął milczący pochód dipisów z flagami narodowymi. Były ich setki. Wyglądało to na zorganizowaną inwazję.

– Boże, bądź miłościw... – szepnęła ze zgrozą Erica, przekonana, że do miasta nadciągają ze wszystkich stron świata osadnicy, którzy mają zastąpić dotychczasowych mieszkańców.

- Dipisi. Niech to szlag, Osipowicz też tu jest.

Schowali się oboje w najbliższej bramie przy Göringstrasse, czekając, aż przejedzie gazik z komendantem Osipowiczem.

- Tu się już nie da żyć – szepnęła Erica.
- Spokojnie, oni wcale nie zamierzają tu zostać.

– To przyjdą inni. Niech pan pomoże mi wyjechać z Hansiem. Przecież pan też chce uciekać na Zachód. Razem wyjedziemy.

– I założymy szczęśliwą rodzinę?

– Będziemy udawać rodzinę na punktach kontrolnych. Tak będzie łatwiej.

– Dziękuję za propozycję, ale mam już inne plany.

– Pan kogoś szuka. Kobiety, prawda? A może ona nie żyje?

Adam z trudem opanował się, żeby znów nie pochwycić Eriki za gardło.

– Wystarczy tych zwierzeń. Zaczekamy tu, aż wszyscy przejdą.

Pochód dipisów był wyjątkowo zdyscyplinowany. Żadnego tłuczenia szyb, żadnego wydzierania się na całe gardło czy podkładania ognia. Adam pierwszy raz widział coś takiego. Zwykle gromady byłych więźniów, jeńców i robotników przymusowych brały po drodze odwet za lata swoich cierpień. Często dipisi odgrywali się na przypadkowo spotkanych Niemcach. Tymczasem tutaj pokornie ciągnęli kolumną czwórkową jak komando wracające po pracy do obozu. Musiała to być zasługa pułkownika Osipowicza. Adam poznał już na tyle jego metody, żeby rozpoznać strach w oczach maszerujących w ponurym milczeniu dipisów.

Wreszcie ulica opustoszała. Adam i Erica ruszyli ostrożnie wzdłuż Göringstrasse, przemykając chyłkiem od bramy do bramy. Do ciemnej bryły ratusza dotarli zziębnięci i przemoczeni. Do środka weszli bez przeszkód – drzwi były otwarte. Erica zapaliła latarkę. Z ciemności wyłonił się przepastny hol ze schodami.

– Proszę świecić na podłogę – upomniał ją Adam. – Lepiej, jeśli ludzie Osipowicza nas tu nie nakryją.

– Myślałam, że pan z nimi współpracuje.

– Ja pracuję tylko dla siebie.

Wyjął z kieszeni klucz znaleziony w zeszycie Friedkego. Oczywiście, wcale nie musiał pasować do żadnego z zamków w ratuszu, ale od czegoś trzeba było zacząć.

Przez blisko godzinę sprawdzali drzwi do pokojów, szafki z zamkami i szuflady. Na próżno.

– Jest jeszcze piwnica – przypomniała Erica.

Zeszli na dół. Tu sytuacja była znacznie ułatwiona, ponieważ drzwi do wszystkich pomieszczeń stały otworem. Adam rzucał tylko snop światła w głąb

każdego z nich i przechodził do następnego. Erica zauważyła, że jego profil w świetle latarki wyglądał szczególnie szlachetnie. Nie miała do niego żalu za to, że omal jej nie udusił. Ona też omal nie roztrzaskała mu czaszki. Miał prawo się wściec.

– Czego właściwie szukamy? – spytała.

– Skąd mam wiedzieć – zirytował się Adam. – Czegoś, co wasz burmistrz bardzo chciał ukryć.

– Tutaj tego nie ma. Same rupiecie.

Adam nie odpowiedział. Wciąż świecił w głąb jakiejś graciarni, próbując wypatrzeć coś wartościowego.

– Wracajmy, pan jest cały przemoczony. Trzeba się przebrać.

Nagle latarka wyłoniła z głębi komórki coś, co wydało się Adamowi znajome. Był to potężny żelazny kredens wypełniony jakimiś bateriami i drutami. Równie dobrze mogła to jednak być jakaś maszyna o trudnym do odgadnięcia przeznaczeniu.

– Co to jest? – spytał Adam.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Adam podszedł do urządzenia, oświetlając je ze wszystkich stron. Na górze było zamontowane coś w rodzaju maszyny do pisania, z której wystawała wstęga papieru. Adam poświecił na papier latarką: widniały na nim długie szeregi cyfr, z których nic nie wynikało. Najwyraźniej maszyna miała z burmistrzem Friedkiem coś wspólnego: łączyła ich ta sama obsesja na punkcie numerów.

Z boku niezdarne mebla Adam zauważył wbudowany zamek patentowy. Włożył w niego klucz: pasował jak ulał.

– Niech pan nie przekręca – przeraziła się Erica. – To może być bomba.

Adam przekręcił klucz. Nic się nie stało. Trudno było o bardziej rozczarowujące rozwiązanie: zeszyt Friedkego, przez który omal nie stracił życia, prowadził donikąd.

Pozostało już tylko jedno wyjście: dotrzymać umowy z Osipowiczem i w ciągu pozostałej doby odnaleźć mordercę.

– Trafilibyś tam, gdzie cię postrzelili? – spytał Adam rajzera, kiedy wrócili z Ericą z ratusza.

Chłopak wcale nie wyglądał dobrze. Wciąż gorączkował, ale nawet nie chciał słyszeć o powrocie do szpitala. Trudno było nie przyznać mu racji.

– Co miałbym nie trafić.

W drzwiach stanęła Erica ze szklanką wody w ręku. Rajzer uniósł się niespokojnie na łóżku. Po tym, co wyjawiał Adamowi, nie spodziewał się zobaczyć jej więcej wśród żywych.

– Spokojnie, wszystko sobie z Frau Pohl wyjaśniliśmy – uspokoił go Adam. – Mów, gdzie to jest.

Chłopak opadł z powrotem na poduszkę.

– Sam nie trafisz. Muszę cię zaprowadzić.

– W tym stanie nie przejdziesz nawet stu metrów.

– Martw się o siebie – odparł rajzer i wstał z wysiłkiem z łóżka. Po dwóch krokach nogi ugięły się pod nim, jakby były z wosku. Adam złapał go pod ramiona i z pomocą Eriki położył z powrotem do łóżka.

– Powinien iść do szpitala – zauważyła Erica. – Jeśli wda się zakażenie...

– Do żadnego szpitala! – zaprotestował rajzer. – Powiedz swojej nowej dziewczynie, żeby się odwaliła!

– To nie jest moja dziewczyna. Leż spokojnie. Na razie zostaniesz tutaj, dopóki nie wrócę, a potem zobaczymy.

– Mówię ci, że sam nie trafisz...

– Gdzie jest ten ich magazyn?

– W takiej eleganckiej żaglówce. Nawet kanapy do spania tam mają i kibel.

– Nad morzem?

Rajzer pokręcił głową.

– To jest przystań nad jeziorem. Po drugiej stronie widać wieś. Całą już złupili, gołe ściany tylko zostały...

– Jak się ta wieś nazywa?

– Kurwant czy jakoś tak.

– Korswandt^[98] – poprawiła go Erica. – Wiem, gdzie to jest. Ja z panem pojedę.

– No i gra muzyka. Twoja dziewczyna z tobą pojedzie. Ja już swoje zrobiłem. Pamiętaj, co mi obiecałeś.

Adam skinął głową. Chłopak rzeczywiście nie nadawał się na przewodnika, zwłaszcza że na miejscu mogło zrobić się gorąco. Trójka byłych esesmanów na pewno nie zamierzała po prostu oddać się w jego ręce.

– Będzie mi potrzebna jakaś broń – powiedział do Eriki, kiedy znaleźli się w kuchni.

– Właściwie po co chce pan tam jechać? Niech Rosjanie zrobią obławę.

– Nie doniosę na swoich rodaków NKWD.

– Przecież ci trzej to łajdacy.

– Ale nasi łajdacy. Sam muszę się z nimi rozprawić. Ma pani w domu jakiś pistolet?

– To jest zabronione.

– Proszę posłuchać, Frau Pohl: została mi już tylko doba, żeby odnaleźć mordercę Friedkego, Bendera i żony komendanta. Jeśli tego nie zrobię, Hansie wróci na boisko tego waszego pięknego gimnazjum imienia Adolfa Hitlera, ale bynajmniej nie po to, żeby zagrać w piłkę.

Erica zamilkła na chwilę. Na wspomnienie własnego syna z pętlą na szyi przeszedł ją zimny dreszcz.

– Pistoletu nie mam, ale coś panu pokażę – powiedziała cicho i kazała mu iść za sobą do piwnicy.

Sięgnęła za regał z rupieciami i wyjęła coś, co w bladym świetle latarki przypominało rurę z dużą żelazną gruszką na końcu.

– Hansie prosił, żebym to schowała na wszelki wypadek. Rozdawali im w Volkssturmie.

Adam wziął rurę do ręki. Był to Panzerfaust 30 – jednostrzałowy granatnik przeciwpancerny.

– Przyda się?

Było mało prawdopodobne, żeby Waszyngton, Poezja i Lońka poruszali się po wyspie czołgiem, ale jako argument granatnik mógł rzeczywiście okazać się

przekonujący.

– Może być.

Wrócili do kuchni. Adam zrobił ze sznurka prowizoryczny pasek i zarzucił sobie granatnik na plecy. Spojrzał na zegarek. Dochodziła już północ.

– Jak długo będziemy szli? – spytał.

– Nie będziemy szli.

– Samochód nie wchodzi w grę. Jest ich trzech, więc muszę ich wziąć z zaskoczenia. Poza tym Rosjanie od razu by nas zatrzymali.

– Nie myślałam o samochodzie.

– A o czym?

– Jeździ pan konno?

– To konie też wam w Volkssturmie rozdawali?

– Pod miastem mój ojciec ma gospodarstwo. Kiedy go ostatni raz widziałam, miał jeszcze dwa konie.

Jeździectwo nigdy nie było ulubionym sportem Adama, ale musiał przyznać, że pomysł był przedni. W ten sposób mogli dostać się na miejsce, w ogóle unikając dróg i jednocześnie nic nie tracąc na prędkości.

Rozbudzony w środku nocy ojciec Eriki miał nietęgą minę na widok córki w towarzystwie eleganta w płaszczu i kapeluszu, z przewieszonym przez plecy panzerfaustem. Nie zadawał jednak zbyt wielu pytań. Wystarczyło mu wyjaśnienie Eriki, że jest to jedyna szansa na uratowanie Hansiego. Bez wahania osiodłał dwa gospodarskie konie i oddał je nocnym gościom.

Erica wskoczyła na koński grzbiet zwinnie jak wiewiórka. Adam patrzył na to zaskoczony.

– Jedzie pan?

Dosiadł swojego siwka. Nie był to żaden rączy rumak, ale Adam nie stawiał mu wygórowanych wymagań. Chabeta człapała posłusznie przed siebie i tylko to się liczyło.

Pojechali przez las, pod którym stało gospodarstwo ojca Eriki, po czym wynurzyli się z niego i znaleźli na polu. Pełny księżyc oświetlał drogę jaśniej niż latarnia morska. Erica podążała kilka metrów za Adamem, od czasu do czasu podając mu tylko wskazówki, w którą stronę jechać. Serce biło jej z podniecenia.

Nie mogła oderwać wzroku od ciemnej sylwetki jeźdźca w kapeluszu, z panzerfaustem przewieszonym przez plecy, z jasnym księżycem w tle. Sama przed sobą tłumaczyła się z fascynacji swoim lokatorem. To nie była żadna fascynacja: po prostu potrzebowała tego człowieka. Tylko on mógł uratować Hansiego. Musiała jednak przyznać, że Adam przyciągał ją jak magnes. Nigdy nie spotkała kogoś takiego. Nie był podobny ani do Rosjan, ani do jej rodaków, choć z drugiej strony miał wiele wspólnego i z jednymi, i z drugimi. Był zimny jak Niemiec, ale wpadał w szal jak Rosjanin. Żadne stereotypy nie nadawały się jednak do opisanego dziwnego szaleństwa, jakie w nim tkwiło. Kto inny ruszyłby z jednym panzerfaustem na trzech zawodowych morderców tylko dlatego, że tak dyktowały mu jakieś wewnętrzne zasady? Krótko mówiąc, w świetle księżyca pod Korswandt Erica Pohl wpatrywała się w sylwetkę jeźdźca z panzerfaustem na plecach z takim samym uwielbieniem, z jakim sześć lat wcześniej na ulicy Swinemünde pozdrawiała Führera^[99].

Po niespełna godzinie jazdy w oddali pojawiła się błyszcząca blacha jeziora Wolgastsee.

– Pomost jest po tej stronie. Zwykle tutaj cumowały większe żagłówki.

– Zostanie pani przy koniach – zdecydował Adam. – Jeśli nie wrócę za godzinę, niech pani jedzie z powrotem sama.

Wcale nie zabrzmiało to jak rozkaz, przynajmniej w uszach Eriki. Troszczył się o nią!

– Niech pan będzie ostrożny.

Adam wszedł w las, przez który prześwitywało srebrzące się w świetle księżyca jezioro. Po kilkuset metrach zauważył drewniany pomost i kolebiący się łagodnie spory jacht z opuszczonymi żaglami. Zdjął z pleców panzerfaust i podkraść się cicho pod sam pomost.

W kabinie jachtu migotał płomyk świecy. Ktoś był w środku.

– Waszyngton! – krzyknął Adam. – Mówi Kostrzewa. Jesteście otoczeni. Wychodźcie bez broni, z podniesionymi rękami!

Jego głos zadudnił w odludnej okolicy jak w studni. Nikt mu nie odpowiedział.

– Waszyngton! – powtórzył Adam. – Nie macie żadnych szans!

Znowu odpowiedziało mu tylko głuche milczenie lasów okalających jezioro.

– Dobra, powiem to waszym językiem – oznajmił Adam. – Mam rusznicę przeciwpancerną. Jak pierdolnę w ten jacht, to nawet smród z was nie zostanie!

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie spełnić swojej groźby choćby częściowo i nie rozwalić szczytu pomostu. Miał jednak tylko jeden strzał i nie mógł poświęcić go na zwykłą demonstrację siły ognia.

W kabinie coś poruszyło się, zatrzeszczało i po chwili na pokład wytoczył się Lońka. Był ciężko ranny, ledwo trzymał się na nogach.

– Nie strzelajcie! – zawołał. – Oni nie żyją...

Upadł na pokład. Adam zawahał się. To mogła być pułapka, ale postanowił zaryzykować. Wszedł ostrożnie na pomost. Deski zadudniły pod jego stopami.

– Oni nie żyją... – powtórzył Lońka. Dyszał ciężko, na piersi miał wielką plamę krwi.

– Zabiłeś ich?

– Sami się wykończyli...

Adam wskoczył na pokład. Szybko obszukał rannego. Lońka nie miał przy sobie żadnej broni.

– Gdzie oni są?

Lońka z trudem uniósł palec w stronę kabiny. Adam zajrzał do środka. W migotliwym płomieniu świecy dojrzał obraz po prawdziwej jatce. Ściany pomieszczenia były zbryzgane krwią. Waszyngton i Poezja leżeli na podłodze szczepieni w śmiertelnym uścisku. Najwyraźniej po wystrzeleniu całej amunicji próbowali wykończyć się nawzajem gołymi rękami.

– Co dokładnie tu się stało?

– Bez przerwy skakali sobie do gardeł... W końcu poszło o tę maszynę. Waszyngton chciał jej dalej szukać, a Poezja wiać na Zachód.

– Jaką maszynę?

Lońka daremnie próbował sięgnąć po coś do kieszeni. Adam wyciągnął z niej zakrwawione zdjęcie. W świetle księżyca widać było na nim żelazny kredens kubek w kubek podobny do sprzętu, który odkrył niedawno w piwnicach ratusza.

– Co to jest?

– Maszyna tablująca... czy jakoś tak.

– Co?

– Dokładnie nie wiem. Waszyngton się na tym znał. Mówił, że to jest warte górę dolarów... Pomóż, Valentino, nie chcę tu zdechnąć.

– Gdzie są palce?

– Jakie palce?

– Żony komendanta.

– Nie wiem, co do mnie gadasz. Zabierz mnie do tego szwabskiego doktora...

– Który z was wbijał im szpilę w serce? Niech zgadnę: Waszyngton. Ty „organizowałeś” fenol, a Poezja przynosił ciała, zgadza się?

– Jaką szpilę, ja nic nie wiem...

– O tym, co robiliście razem z Benderem na Wschodzie, też już zapomniałeś?

Lońka zamilkł na chwilę.

– Skąd o tym wiesz?

– Mów prawdę albo zostawię cię tu, żebyś zdechł.

– Na ochotnika do SS nie wstąpiłem. Byłem w ruskiej partyzantce. Jak mnie złapali, to miałem do wyboru – albo iść pod mur, albo w szwabskie kamasze. To co byś wybrał?

Adam chętnie rąbnąłby rannego Lońkę pięścią, ale miał wrażenie, że nadkomisarz Strzelczyk trzyma go za rękę.

– Mów dalej.

– Nie ma co. Robiło się, co kazali. Tak samo jak u ruskich.

– Knopf był waszym dowódcą?

– On się wtedy nazywał Stolcke. SS-Scharführer Manfred Stolcke. Kawał sukinsyna. Zostawił nas na pewną śmierć, ale udało nam się dać nogę z okrażenia.

– I dlatego tu przyjechaliście, żeby go załatwić?

– Szulc, znaczy Bender, nie chciał się mścić. Wysłał nas, żeby dobić z draniem targu.

– I dobiliście?

– Z początku tak. Ale jak zabrakło Bendera...

– Co znaczy zabrakło! Zabiliście go.

– To nie my, jak Boga kocham. Po co mielibyśmy go zabijać? Chronił nas przed ruskimi i przed ubecją. Zresztą oni dwaj patrzyli w niego jak w obraz. Byli razem

w Auschwitz i tam Szulc, znaczy Bender, załatwił, że wszyscy trzej poszli na ochotnika do tego specjalnego oddziału SS przeciwko ruskiej partyzantce.

Adam nie mógł oprzeć się pokusie, żeby z nieskrywaną satysfakcją nie rzucić w myślach okiem na nadkomisarza Strzelczyka. A więc wcale jednak tak bardzo się nie pomylił.

– Burmistrza załatwiliście, żeby wam nie przeszkadzał w szabrowaniu, tak?

– Kiedy to nie nasza robota! Od początku wszystko szło nie tak. Szulc, znaczy się Bender, niepotrzebnie wsadził nam na głowę tego durnia Kwasigrocha, który ciągle się do wszystkiego wtrącał i chciał rządzić. Ten oświęcimiak Wasilewski też do niczego nie był nam potrzebny.

– Waszyngton i Poezja znali go z obozu?

– Nie wiem. Szulc miał chyba miękkie serce do wszystkich po obozie, dlatego go wziął. On w ogóle był uczuciowy. Dobry człowiek. Jak go zabrakło, to od razu wszystko się rozsypało. Już nie wiadomo było, co robić: mścić się czy szabrować. Waszyngton i Poezja całkiem zgłupieli.

– Ale w końcu się zemściliście?

– W końcu tak. Ale to głupi pomysł był z tym zamachem. Co z tego, że ubiliśmy Scharführera, skoro trzeba się było teraz cały czas ukrywać. Waszyngton i Poezja zaczęli skakać sobie do oczu. Codziennie się kłócili – szukać dalej tej maszyny czy nie. Poezja mówił, że żadnej maszyny nie ma, a Scharführer tylko nam mydlił oczy...

– To mnie nie interesuje. Co wiesz o zabójstwie żony komendanta?

– Żonę mu zabili?

– Nie przeciągaj struny.

– Kiedy ja nic o tym nie wiem! Po zamachu daliśmy nogę ze Swinemünde i więcej tam żeśmy nie wrócili... Zabierz mnie do doktora, Valentino. Zimno mi...

– Najpierw się przyznasz. Gdzie schowałeś palce?

Lońka pokręcił wolno głową. Utrzymywał przytomność jak linoskoczek równowagę.

– To nie my... – wycharczał.

Adam wskoczył z irytacją do zakrwawionej kabiny. Była po brzegi wyładowana zrabowanym towarem: wszędzie leżały worki z wyciętymi skórami, drogie futra,

stosy srebrnej i złotej biżuterii. Cały ten sezam nie miał dla Adama żadnej wartości. Liczyły się tylko obcięte palce Swiety, fenol, strzykawka albo jakikolwiek namacalny dowód, że martwi łajdacy na podłodze jachtu stali nie tylko za zamachem na Alter Friedhof, ale też za trzema zabójstwami.

Nie znalazł nic.

Wyszedł z powrotem na pokład.

– Dobra, załóżmy, że wy jesteście tylko bandytami i złodziejami... – Przerwał, ponieważ Lońka patrzył na niego znieruchomiałymi oczami i nie dawał znaku życia. Żyjesz? – Trącił go ostrożnie butem. Głowa Lońki opadła ciężko na piersi.

Księżyc srebrzył się na lekko pomarszczonej skórze jeziora. Był to tak piękny widok, że miało się ochotę wyciąć go nożem i schować do worka.

XII TEORIA NUMERÓW

1

Było to ryzykowne, ale musiał złożyć komendantowi raport z ostatnich wydarzeń. Wahał się zwłaszcza, czy pokazać mu zdjęcie z antypartyzanckiej akcji, które znalazła Erica. Widok Bendera w esesmańskim mundurze w zasadzie unieważniał wszystko, co człowiek ten zrobił czy powiedział jako późniejszy porucznik Urzędu Bezpieczeństwa. Nie było jednak innego wyjścia.

– Pięknie! – zawołał Osipowicz, wpatrując się w zdjęcie. – Znam tych powieszonych. Lachowicze się nazywali. Nie raz żeśmy stawali u nich na nocleg.

– Pewnie dlatego ich powiesili.

– Sukinsyny. Na żywym ogniu kazałbym ich gotować.

– Już się smażą gdzie indziej.

– A tego małego ze złotymi zębami to jakbym gdzieś już widział.

– Lońka Kacap. Nazywali go tak, bo przedtem był w waszej partyzantce.

– Łajdaków nigdzie nie brakuje. Skąd to macie?

– Znalazłem w mieszkaniu Knopfa – skłamał Adam. Nie chciał demaskować swoich informatorów. – Właściwie u Scharführera Manfreda Stolckiego, bo tak się naprawdę nazywał.

– Zaszrani Amerykanie! – wybuchnął Osipowicz. – To oni wydali mi zaświadczenie, że zostałem ranny pod Stalingradem.

– Stalingradu to on raczej na oczy nie widział. Podejrzewam, że to jego wysłali do Auschwitz, żeby przeprowadził rekrutację kryminalistów do oddziału antypartyzanckiego. W ten sposób poznał się z Banderem, a właściwie Szulcem, oraz Waszyngtonem i Poezją. Prawdziwych nazwisk tych dwóch nie udało mi się ustalić, ale to raczej nieistotne.

– No dobra, czyli który z tych sukinsynów ubił Świętę?

– Żaden. Oni zrobili tylko zamach na cmentarzu. Z morderstwami Friedkego, Bendera i waszej żony nie mieli nic wspólnego. Właściwie to morderca nawet pokrzyżował im szyki. Gdyby nie zabił Bendera, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej.

– To wiesz czy nie wiesz, kto Swietę załatwił?

– Daliście mi dwa dni, żeby to ustalić. Mam jeszcze dwadzieścia cztery godziny. Osipowicz z wściekłością cisnął w niego fotografią.

– To co mi tu przynosisz?! Jakieś bajdy o martwych esesmanach! Ja widzę, że z ciebie taki sam detektyw jak milicjant, Kostrzewa czy jak ty się tam naprawdę nazywasz!

Sprawy zaczynały przyjmować niebezpieczny obrót. Tak jak się tego obawiał, Osipowicz powrócił do dawnych wątpliwości. Nie było żadnych gwarancji, że dotrzyma umowy. Naraz Adam zdał sobie w popłochu sprawę, że w nowym sowieckim świecie coś takiego jak gwarancje po prostu nie istniało. To u Niemców zapowiedź rozstrzelania co dziesiątego zakładnika była zawsze spełniana z matematyczną dokładnością. U Sowietów zawsze mogło się zdarzyć, że dowódca plutonu egzekucyjnego nie umiał liczyć albo że po prostu w ostatniej chwili zmienił zdanie. Całe szczęście, że nadkomisarz Strzelczyk przyszedł Adamowi z pomocą.

Niechże pan powie mi o swojej teorii.

Ale to jest tylko hipoteza.

Co panu zawsze powtarzałem?

Że pierwsza myśl jest zawsze najlepsza.

Właśnie. Poza tym może pan nie mieć już więcej okazji, żeby to powiedzieć.

– Właściwie to wiem, kto zabił – wypalił Adam.

Osipowicz zamarł w napięciu.

– To czemu nie gadasz?

– Nie znam nazwiska, ale wiem, jak je ustalić.

– Mów, człowieku!

– Wszystkie ofiary łączą dwie rzeczy: przeszłość i sposób, w jaki zginęły. Wszystkie były więźniami niemieckich obozów koncentracyjnych i wszystkie zabito zastrzykiem z fenolu. Każdej odcięto też palce: Friedkemu jeden, Benderowi trzy, waszej żonie dziewięć. Ułożone po kolei dają liczbę sto trzydzieści dziewięć.

– No i co z tego?

– Moim zdaniem jest to numer obozowy. Albo początek numeru, bo wcale nie wiemy, czy nie będzie więcej zabójstw. Morderca zapisuje w ten sposób własny numer albo numer kogoś bliskiego. W każdym razie gdyby dało się ustalić nazwiska więźniów, których numer w Auschwitz zaczynał się od stu trzydziestu dziewięciu, mielibyśmy naszego mordercę.

– Dlaczego w Auschwitz? Friedke siedział w Dachau, a Swieta w Ravensbrück.

Adam niemal poczuł, jak nadkomisarz dotyka jego ramienia, przypominając mu o ostrożności. Oczywiście, że nie mógł powiedzieć Osipowiczowi o Swiecie. Za dużo musiałby wyjawiać o sobie.

– Jestem pewien, że chodzi o numer z Auschwitz, zaufajcie mi – odparł wymijająco. – Macie jakieś możliwości, żeby to sprawdzić? W końcu to wyście ten obóz wyzwolili.

Osipowicz zamilkł na dłuższą chwilę, jakby rozważał, czy dopuścić Adama do tajemnicy.

– Chodź ze mną – zdecydował w końcu, wstając zza biurka.

Zeszli do piwnicy. Niemal wszystkie pomieszczenia były zastawione po sufit skrzyniami, których wyładunek Adam obserwował z okna aresztu. Osipowicz otworzył jedną z nich. Była wypełniona po brzegi kartami perforowanymi.

– Większość kartoteki dranie spalili – wyjaśnił Osipowicz. – Ale trochę udało nam się odzyskać.

Adam wyjął ze skrzyni jedną z kart. Dziurki i cyfry tworzyły misterny wzór, który najwyraźniej zawierał jakieś zaszyfrowane informacje.

– Co to jest?

– Karta perforowana z informacjami o konkretnym więźniu. Tu na górze masz jego numer i nazwisko. Dziurki mówią, kim był i tak dalej. Na przykład, ten tutaj to numer czterdzieści pięć tysięcy trzysta sześćdziesiąt siedem – Dawid Krochmalny. Żyd, polityczny, stolarz z zawodu, zastrzelony podczas próby ucieczki.

– Skąd to wszystko wiecie?

– W tych dziurkach jest zapisane. Piękny wynalazek, co! – zachwycił się Osipowicz. – Cały naród można w ten sposób oznaczyć.

– Po co?

– Jak po co, żeby wiedzieć kto, co, gdzie mieszka i tak dalej. Te wszystkie skrzynie tutaj to są więźniowie Auschwitz. Niestety, do czytania tych kart potrzebna jest specjalna maszyna. Dehomag się nazywała. Nijak nie mogę takiej znaleźć. Bez maszyny będziemy szukać tego twojego numeru kilka tygodni, ale nie myśl, że w ten sposób uda ci się przedłużyć termin. Jak do jutra rana nie znajdziesz mordercy, to wracasz za kratki. Może z tym Werwolfem to wcale nie była taka zupełna bzdura, skoro ty z Benderem trzymałeś.

Tym razem nadkomisarz niemal popchnął Adama do kolejnego desperackiego wyznania.

– Wiem, gdzie jest taka maszyna.

– Gdzie?! – krzyknął Osipowicz, chwytając go za poły płaszcza.

Na tej informacji zależało mu znacznie bardziej niż na wykryciu zabójcy Święty Fedoruk. Tamto była zwykłą prywatą, a to dawało mu przepustkę do wiecznego rządzenia miastem. Moskwa ciągle naciskała w sprawie tych Dehomagów. Niestety, na całej wyspie Usedom było ich mniej więcej tyle samo co jednorożców.

Adam opowiedział mu o swoim znalezisku w ratuszu. Pominął sprawę czarnego zeszytu Friedkego. O roli Eriki też nie wspomniał.

– Skąd wiesz, że to nie jest coś innego?

Adam wyjął z kieszeni zakrwawioną fotografię maszyny tabulacyjnej firmy Dehomag, którą miał przy sobie Lońka Kacap.

– Chodzi o coś takiego?

Osipowicz wyrwał mu zdjęcie z ręki.

– Skąd to masz?

– Lońka miał przy sobie. Twierdził, że oni też tego szukali.

Osipowicz odwrócił wzrok, starannie składając zdjęcie maszyny i chowając je do kieszeni.

– Jedziemy – rzucił krótko i ruszył do wyjścia, nie oglądając się za siebie.

W nagłym przebłysku Adam zdał sobie sprawę, że zleceniodawcą, dla którego pracowali Lońka, Waszyngton i Poezja, nie mógł być nikt inny niż pułkownik

2

Mimo wszystko odkrycie, że byli esesmani kradli i rabowali z cichym przyzwoleniem sowieckiego komendanta wojennego, zrobiło na Adamie spore wrażenie. Do tej pory sądził, że nawet wśród ruin i czerniejących trupów istniała jakaś granica łajdactwa, której przekroczenie grozi ostateczną zagładą tego, co jeszcze pozostało. Tymczasem niczego takiego nie było. Knopf nie mógłby łupić bezkarnie swoich rodaków bez przyzwolenia wyższej władzy. Lońka *et consortes* pracowali dla Knopfa, przynajmniej na początku, a więc także i dla Osipowicza.

Adam wysiadł z sowieckiego gazika, zdziwiony celem podróży. Podjechali pod na wpół zburzony gmach gimnazjum męskiego przy Steinbrückstrasse.

– Po co tu przyjechaliśmy?

Osipowicz zignorował pytanie. Dwóch enkawudzistów pod szerokimi drzwiami zasalutowało na jego widok.

– Wszystko w porządku, chłopcy?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku!

– Jakowlew gdzie się ulokował?

– Na pierwszym piętrze, towarzyszu pułkowniku. Naprzeciwko schodów.

Adam wszedł za komendantem do środka. Uderzył go ludzki tłok i zaduch. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że znowu znalazł się na bloku w Auschwitz.

– Co ci jest?

– Nic. W głowie mi się zakręciło.

– To do smrodu. Żeby tylko jakaś zaraza tu nie wybuchła.

Wszystkie ocalałe z bombardowania sale i korytarze były wypełnione po brzegi dipisami. Ludzie leżeli nawet na schodach. Trudno było kogoś nie nadepnąć w tym rojowisku. Adam brnął ostrożnie między uchodźcami, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Wśród nich byli przecież więźniowie Auschwitz. Ktoś mógłby go rozpoznać, a wtedy z całą pewnością nie doprowadziłby swojego śledztwa do końca.

Lejtnant Jakowlew zajął dawny gabinet dyrektora. Zdążył już doprowadzić go do porządku, a nawet wstawić palmę w doniczce, którą jego ludzie znaleźli w rupieciarni na dole. Właśnie rąbał młotkiem kafel gorzkiej czekolady z Unry, wysłuchując donosu Jeana Labouta, kiedy w otwartych drzwiach stanął komendant.

– No, Jakowlew, bardzo ładnie się urządziłeś – pochwalił Osipowicz, rozglądając się po gabinecie.

Jakowlew odłożył młotek i trzasnął obcasami. Jean Labout też wstał na wszelki wypadek. W końcu miał przed sobą człowieka, który dopiero co trzymał pistolet przy jego skroni.

– Melduję, że sprawdził się ten Francuz, towarzyszu pułkowniku. Właśnie wykrył jednego nazistę.

Jean nie znał rosyjskiego, ale domyślił się, że jest mowa o nim.

– Herr Kommendant – powiedział po niemiecku. – Poznałem jednego drania z warszawskiego Gestapo. Wytatuował sobie numer na ręku i udaje że siedział w Auschwitz.

– Później się tym zajmiemy – odparł Osipowicz. – Teraz mam dla ciebie ważniejsze zadanie. Rozejrzysz się, czy nie ma tu kogoś, kto obsługiwał w jakimś obozie maszynę Dehomaga. Zapamiętasz nazwę? De-ho-mag.

– Ależ, towarzyszu komendancie, ja byłem operatorem Dehomaga! Nawet innych szkoliłem.

Osipowicz omal nie ucałował Francuza z radości. Wreszcie sprawy zaczynały się układać. Nie dość, że Dehomaga w końcu znalazł, to jeszcze operator sam pchał mu się w ręce. Na chwilę zapomniał nawet o takich przykrościach jak śmierć Świety i zbliżający się przyjazd Anuszki.

Odwrócił się do Adama.

– Zabierz go ze sobą. Niech Mikutin przywiezie do komendantury maszynę i bierzcie się do roboty.

Adam był już razem z Francuzem w drzwiach, kiedy dobiegł go jeszcze głos komendanta.

– I pamiętaj, co ci powiedziałem: masz czas tylko do jutra rana, więc jeśli łziesz z tym numerem, to tylko sam sobie stryczek zakładasz.

Wyszli z zatłoczonego dipisami gimnazjum i wsiedli do gazika.

– Pan jest Polakiem, prawda? – spytał po drodze Jean.

– Poznał to pan po kroju mojego płaszcza?

– Kamień spadł mi z serca! Bo ja cały czas się zastanawiam, czy dobrze robię, że zgadzam się na współpracę z Rosjanami. No, ale skoro nawet Polacy z nimi trzymają...

– Ja z nikim nie trzymam, panie...

– Labout. Jean Labout. Przecież jest pan tu jakimś funkcyjnym.

– Jeszcze wczoraj rano stałem pod szubienicą. I wszystko na to wskazuje, że jutro tam wrócę.

– *Mon Dieux!* To znaczy uważa pan, że komendant mnie nie wypuści, jak zrobię, co każe?

Adam spojrział na Francuza z politowaniem. Dureń niepotrzebnie zdradził się ze swoimi umiejętnościami. Gdyby pozostał przy zwykłym donoszeniu na dipisów, miałby szansę wyjechać razem z resztą, kiedy nadejdzie czas. Po prostu nie byłby więcej Osipowiczowi potrzebny. Teraz jednak, jako operator maszyny tabulacyjnej, powinien raczej przygotować się na przymusową emigrację do Związku Sowieckiego, gdzie spędzi resztę życia, prowadząc ewidencję niewolników w łagrach i gułagach.

– To zależy, czy sprawdzi się pan jako operator tego całego Dehomaga – skłamał Adam. Niemal natychmiast w jego głowie odezwał się nadkomisarz Strzelczyk.

To dość podłe, co pan robi, nie uważa pan?

Nie chcę odbierać mu nadziei. Sam pan kiedyś powiedział, że nadzieja to najcenniejszy dar, jaki można dać drugiemu człowiekowi.

Przecież pan po prostu chce ratować własną skórę!

– O, to w takim razie mogę spać spokojnie! – zawołał Jean. – Jestem najlepszym operatorem, jaki mógł się im trafić. Niemcy nie mogli się mnie nachwalić. Mój szef w Politische Abteilung kiedyś powiedział, że ja gram na Dehomagu, jak Bach na organach.

– Gratuluję – odparł cierpko Adam. W jednej chwili stracił całe współczucie dla Francuza.

Pojechali najpierw do ratusza, żeby nadzorować transport maszyny. Jean Labout przez cały czas przechwalał się swoimi nadzwyczajnymi osiągnięciami w obozowej ewidencji, jakby w ten sposób chciał zagwarantować sobie powrót do Francji. Zamilkł dopiero na widok maszyny w piwnicy ratusza.

– Piękny egzemplarz! – zawołał, dotykając urządzenia z wręcz nabożną czcią. – Proszę się nie dziwić, że tak mówię, ale ja tej maszynie zawdzięczam życie. Trzymali mnie do samego końca tylko dlatego, że byłem niezastąpiony w obsłudze.

– No to ma pan szansę powtórzyć ten sukces – mruknął Adam zniechęcony trajkotaniem operatora.

Maszyna została przewieziona do największego pomieszczenia w komendanturze, do którego enkawudziści od rana znosili z piwnicy skrzynie wypełnione kartami perforowanymi.

– Karty ustawiać tutaj, koło sortera! – dyrygował Jean. Był w swoim żywiole. Zachowywał się jak kierownik zespołu badawczego, a nie więzień, którego każdy z enkawudzistów mógł bezkarnie kopnąć w tyłek. Może właśnie dlatego żadnemu z nich nawet nie przyszło do głowy, żeby to zrobić.

Wkrótce całe pomieszczenie było wyładowane stosami kart po sufit.

– Doskonale! – podniecał się Jean Labout. – Czyli co robimy, *monsieur* funkcyjny?

– Najpierw niech pan sprawdzi, czy tę maszynę da się uruchomić, a potem podam panu numer, którego szukamy.

– Liczniki wydają się całe, czytnik kart tak samo...

– Niech pan mi oszczędzi szczegółów – przerwał mu szorstko Adam, po czym usiadł pod ścianą i zamknął oczy.

Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Już drugą noc nie zmrużył oka, a po konnej wyprawie nad Wolgastsee bolały go wszystkie kości. Najchętniej położyłby się gdziekolwiek i zasnął. Bał się jednak, że tym razem sen bezpowrotnie wytrze z jego pamięci, kim właściwie był i do czego zmierzał. 971 Avenida 5 de Julio: najważniejsze to nie zapomnieć tego adresu. Tam czekała na niego Mira. Spodziewał się też, że na portowym nabrzeżu powita go nadkomisarz Strzelczyk.

Długo panu to zabrało, panie aspirancie.

Przepraszam, ale miałem kłopoty z pamięcią.

To nieważne. Tutaj zaczniemy wszystko od zera. Na początek musimy nazwać wszystko od nowa...

Nadkomisarz zaniósł się gwałtownym kaszlem. Dopiero teraz Adam zauważył, że jest przeraźliwie chudy i zupełnie niepodobny do siebie, a pod marynarką ma pasiastą obozową bluzę oznaczoną czerwonym trójkątem i numerem 971 Avenida 5 de Julio...

– *Monsieur* funkcyjny! – krzyczał do jego ucha obozowy kapo.

Adam otworzył oczy. To nie był kapo. Nad nim stał Jean Labout, promieniejąc z radości.

– Co się stało?

– *Voilà!* – oznajmił z dumą Francuz, wskazując na maszynę Dehomaga, która też zdawała się przebudzona z głębokiego snu. Mruczała i migotała drobnymi światełkami. – Jestem gotowy. Proszę powiedzieć, jakiego numeru szukamy, bo muszę nastawić liczniki.

Jaki to był numer? Pamięć Adama, jak zwykle po przebudzeniu, była zupełnie pustym pokojem. Spokojnie, powoli zaczynały pojawiać się obrazy, jak dziurki w karcie perforowanej Dehomaga. Mira. 971 Avenida 5 de Julio. Wyspa zero. Friedke – jeden odcięty palec.

– Jeden – wychrypiał.

– Jak?! – zawołał spod mruczącej maszyny Jean Labout. – Jeden?

Podniósł kciuk, upewniając się, czy dobrze zrozumiał. Adam już miał potwierdzić, kiedy nagle widok uniesionego kciuka poraził go swoim oczywistym znaczeniem.

– Niech pan to zrobi jeszcze raz!

– Co takiego?

– Niech pan pokaże na palcach „jeden”!

Francuz niepewnie znów podniósł kciuk, chowając resztę palców.

– O to chodzi?

Adam poczuł, jak serce przyspiesza mu gwałtownie. Oczywiście, informacją nigdy nie były schowane palce, ale ten, który pozostał. Źle odczytał wiadomość od mordercy. Odcięty kciuk Friedkego nie miał żadnego znaczenia. Liczyły się

pozostałe palce – to dlatego ofiara miała ręce ułożone na piersiach. Morderca pokazywał w ten sposób cyfrę...

– Dziewięć! – zawołał Adam.

– To co mam nastawić: jeden czy dziewięć?

– Dziewięć! – powtórzył Adam.

Jean zabrał się do ustawiania liczników w Dehomagu, podczas gdy Adam kipiał z podniecenia. Odcięte palce służyły tylko do przekazania, że kolejne cyfry pochodzą od tego samego adresata.

– Co dalej?

Drugie morderstwo: Bender, trzy palce odcięte, pozostało...

– Siedem!

Jean skinął głową i obrócił się z powrotem do maszyny. Adam czuł, że pot oblewa mu plecy, choć w pomieszczeniu było właściwie dość chłodno. 97. Z jakiegoś powodu początek numeru wydał mu się niepokojący. Coś mu przypominał.

– A dalej? – spytał Francuz.

Trzecie morderstwo: Swieta. Dziewięć palców uciętych, a więc mordercy chodziło o cyfrę...

– Jeden! – Ledwo wypowiedział to na głos, ostry ból przeszył mu serce, jakby przekłuto je długą szpilą.

971. Czy nie był to początek adresu Miry w Buenos Aires? A może całość stanowiła jakiś numer? Avenida 5 de Julio. Piątka, potem Julio, czyli lipiec, siódmy miesiąc roku, a więc siódemka...

– To wszystko?

Adam zawahał się.

– Niech pan jeszcze wpisze pięć i siedem.

– Proszę bardzo.

Adam oparł się o ścianę, zlany potem jak w fińskiej saunie, choć w pokoju było nie więcej niż kilkanaście stopni. Nie wiedział, po co właściwie podyktował Francuzowi dwie ostatnie cyfry. To nie miało żadnego sensu. Skąd morderca miałyby znać adres Miry w Buenos Aires?

– Trochę to teraz potrwa – oznajmił Jean Labout. – Na oko jakieś trzy, cztery godziny. Ale jeśli tylko jest gdzieś tutaj karta z tym numerem, to już ja ją na pewno znajdę. Mój szef w Auschwitz zawsze mówił: Jean, ty grasz na Dehomagu...

– Już pan to mówił – przerwał mu z irytacją Adam. Miał dosyć przechwałek Francuza. Poza tym chciał skupić się na własnych myślach.

– Byle kto mnie nie chwalił – ciągnął niezrażony Jean. – Friedke to był prawdziwy mistrz w tym fachu. Miał genialną pamięć, szczególnie do numerów. Mówiło się, że on cały obóz ma w głowie...

Adam wzdrygnął się, jak podłączony do prądu.

– Pan powiedział „Friedke”?

– Tak, Günther Friedke, Niemiec.

– Pastor Friedke?

– A, tak, zdaje się, że był przed wojną pastorem. Znał go pan?

– Pastor Günther Friedke siedział w Auschwitz?

– Przecież mówię. To był największy spec od tych Dehomagów. Nauczył się obsługiwać je w Dachau. Przysłali go do Auschwitz, żeby szkolił innych. No i mnie sobie upatrzył. Dobry człowiek, chociaż Niemiec. Nie wie pan, czy przeżył wojnę?

Adam zignorował pytanie.

– Co pan jeszcze o nim wie? Narobił tam sobie jakichś wrogów?

– Friedke? Skąd! Mówię panu, że to był dobry człowiek.

– Przyjaźnił się z kimś?

– Miał takie swoje kółko – sami pisarze, uczeni, ludzie kulturalni. Wszyscy im zazdrościliśmy.

– Czego?

– Bo oni ciągle dostawali przepustki do burdelu. Chyba ten niemiecki doktor im załatwiał, bo on Friedkego bardzo poważał.

– Jaki doktor?

– Spitzgau, zdaje się.

– Doktor Spitzgau siedział w Auschwitz?

– Nie siedział, tylko był lekarzem obozowym. Też przyjechał z Dachau, tak samo jak Friedke. A co, jego też pan zna? Ale to nie był dobry człowiek. Chodziły słuchy, że przyjechał szkolić Pflegerów w szpilowaniu...

Adam nie słuchał więcej. Rzucił się do drzwi, pozostawiając osłupiałego Jeana przy pracującym pełną parą Dehomagu.

3

Aż żal ścisnął Osipowicza za serce od samego patrzenia, jak fachowo Jakowlew prowadzi przesłuchanie podejrzanego. Czemu Pietia nie mógł być choć trochę do niego podobny? Dureń miał takie możliwości i wszystko zaprzepaścił. Osipowicz wciąż nie wiedział, co zrobić z nieszczęsnym synem Swiety. Wiadomo, że obcego postawiłby po prostu pod sąd i sprawa załatwiona, ale Pietię Fedoruka nadal uważał za własną rodzinę. No, może już nie za syna. Raczej za kogoś w rodzaju siostrzeńca, który zszedł na złą drogę.

Gdyby nie przykre wspomnienia nieudanej próby wychowania Pietii na wzorowego enkawudzistę, Osipowicz z pewnością pochwaliłby Jakowlewa za sprawne wyciąganie zeznań. Człowiek wskazany przez Francuza jako były gestapowiec już przyznał się, że nigdy nie siedział w żadnym obozie, a numer na przedramieniu wytatuował sobie sam, bo chciał zabrać się z dipisami darmowym transportem. Oczywiście, była to wierutna bzdura, ale wszystko wskazywało na to, że lada chwila podejrzanym pęknie, i to chyba nawet dosłownie, bo Jakowlew młócił go tak, że krew bryzgała mu z gęby raz po raz.

Osipowicz dał lejtnantowi znak, żeby przerwał na chwilę.

– No to jeszcze raz: wasze prawdziwe nazwisko? – spytał po niemiecku.

– Kraus – wycharczał podejrzanym. – Dieter Kraus. SS-Hauptsturmführer. Dyrektor kryminalny w Geheime Staatspolizei Warschau^[100], wydział czwarty.

Jakowlew rozpromienił się, spoglądając triumfalnie na szefa. Kto inny w całej komendanturze wydobyłby takie eleganckie zeznanie w tak krótkim czasie? Nie oczekiwał za to medalu, ale jakieś ciepłe słowo od Dziadzi Arłama w rodzaju „dobra robota” albo „masz dryg, chłopcze” czasem by się przydało. Nie zdawał

sobie sprawy, że im bardziej był skuteczny, tym dobitniej przypominał komendantowi o jego pomyłce co do Pietii Fedoruka.

Tym razem Osipowicz też nie zamierzał Jakowlewa chwalić. Kiwnął tylko głową, jakby było to coś oczywistego, że podejrzany w pół godziny wyśpiewał wszystko jak słowik, i kazał mu posadzić go na stołku.

– No i bardzo dobrze – skwitował. – Jakbyście od razu to powiedzieli, to więcej zębów by wam zostało.

– Nie wiedziałem, że mam do czynienia z kolegami po fachu.

– Nie jesteśmy żadnymi twoimi kolegami, swołocz!

– Oczywiście, proszę wybaczyć porównanie – powiedział szybko Kraus, żeby uniknąć kolejnych ciosów. – Nasze służby nie mogą się z waszymi równać.

– Żebyś wiedział – mruknął Osipowicz, udobruchany. – Dobra, no to gadaj, jacy tu jeszcze faszyści się ukrywają.

– Po co?

Osipowicz sądził, że się przesłyszał.

– Coś ty powiedział?

Jakowlew ruszył już z powrotem na bezczelnego aresztanta, ale Kraus zawołał szybko:

– Panowie, ja będę współpracował! Mówię tylko, że na pewno interesują was znacznie poważniejsze sprawy niż jakiś pierwszy lepszy uciekinier.

– Nie tobie o tym sądzić, hitlersynu! Mów, kto jeszcze się tu ukrywa, albo lejtnant tak ci przywali, że mózg ci uszami wypłynie.

– Już mówię, tylko o którą stronę wam chodzi?

– Co?

– Kto się ukrywa po naszej czy po waszej stronie?

– Jakowlew, popraw mu, bo nie mam do drania cierpliwości.

– Ten Polak, co z wami przyjechał, za kogo się podaje?

Osipowicz powstrzymał Jakowlewa, który już zamierzał się do ciosu.

– Czekał. Znasz Kostrzewę?

– Jak się teraz nazywa?

– Adam Kostrzewa.

– A co tu z wami robił?

– Ja tu zadaję pytania! – Osipowicz trzasnął ręką w biurko.

– Chciałem tylko wiedzieć, czy podaje się za komunistę, bo jeśli tak, to łże jak pies.

Jakowlew spojrzał na komendanta, z trudem ukrywając błysk triumfu w oku. Od początku uważał, że tego Kostrzewę powinno się porządnie przesłuchać, a nie pozwalać, żeby Pietia sobie na nim poćwiczył. Ale co miał powiedzieć? Że Dziadzia Arłam stracił wyczucie, gdy szło o ludzi?

Osipowicz doskonale zrozumiał spojrzenie podwładnego. Aż zatrzęsł się w środku z wściekłości. Nigdy Jakowlewa specjalnie nie lubił, ale teraz stracił do niego resztę sympatii.

– Skąd znacie Kostrzewę? – spytał, odwracając wzrok do Krausa.

– Był zamieszany w zabójstwo zastępcy gubernatora Warszawy.

– Czyli jednak antyfaszysta.

– Niezupełnie. To była sprawa kryminalna. Wicegubernatora zabiła kochanka waszego milicjanta, niejaka Mira Szymańska, Żydówka. Ukrywała się u niego.

Osipowicz natychmiast przypomniał sobie inicjały na pocztówce z Buenos Aires, którą zabrał Adamowi. „MS” – Mira Szymańska. Wszystko się zgadzało. Wyjął złożoną pocztówkę z kieszeni i podsunął ją Krausowi.

– To wam coś mówi?

– Oczywiście! To był główny dowód w sprawie. Nasze służby przechwyciły to na warszawskiej poczcie. Pocztówka została wysłana na adres tego waszego Kostrzewy, kiedy już siedział w Auschwitz.

– Kostrzewa był w obozie! – wykrzyknął Osipowicz. – Wiedziałem.

– A powiedział panu również, że pracował dla Kripo?

Osipowicz zaniemówił. Za dużo było tego wszystkiego na jeden raz.

– Po kolei. Opowiadajcie, co o nim wiecie.

Kraus ożywił się. Słuchali go – to najważniejsze. Znowu uwierzył, że uda mu się wyjść z tego wszystkiego cało. Nie był przecież żadnym „zbrodniarzem wojennym”, jak to się teraz nazywało, ale zwykłym policyjnym fachowcem, a tacy z pewnością będą teraz w cenie, zwłaszcza u Sowietów. Spokojnie opowiadał więc o czynnościach, które podjął w Warszawie w kwietniu 1943 roku w sprawie

zabójstwa wicegubernatora Warszawy. Pocztówka z Buenos Aires była wówczas przełomem w śledztwie trwającym od ponad dwóch lat. Agent nadzorujący cywilną pocztę natychmiast przekazał ją Gestapo ze względu na podejrzaną treść, która mogła jego zdaniem zawierać zaszyfrowaną wiadomość. Nie mylił się, choć nie chodziło bynajmniej o żaden meldunek wywiadowczy.

– A o co?

– Można? – spytał Kraus, pokazując na widokówkę. Osipowicz podsunął ją w jego stronę.

– Dziękuję. Widzi pan tutaj: „971 Avenida 5 de Julio”?

– Co mam widzieć. Baba podaje mu swój adres.

– Też tak z początku sądziłem. Ale pracował u nas jeden kolega urodzony w Argentynie i dobrze znał Buenos Aires. Tam nie ma żadnej ulicy o takiej nazwie. Jest Avenida 9 de Julio. Stoi przy niej Teatro Colón – Opera Argentyńska. Od razu skojarzyłem to z główną podejrzaną w sprawie zabójstwa wicegubernatora – Żydówką Mirą Szymańską, śpiewaczką operową. Podpis to potwierdzał. „Twoja MS”.

– Czyli co, pomyliła się w adresie?

– Nie, celowo przekręciła tę cyfrę.

– Po co?

– Żeby przekazać mu numer dziewięćdziesiąt siedem tysięcy sto pięćdziesiąt siedem.

– A skąd ostatnia siódemka?

– *Julio* to po hiszpańsku lipiec, siódmy miesiąc roku.

– Co to za numer?

– Długo się nad tym zastanawiałem. W końcu zrozumiałem, że ona nigdzie nie wyjechała, przynajmniej nie do Argentyny.

– To czemu nie mogliście jej przez dwa lata znaleźć?

– Słuszne pytanie. Po prostu moi poprzednicy nie wzięli pod uwagę, że ona może już być w naszych rękach.

– Obóz?

– Właśnie. Pocztówka przysłała w kopercie, na której był stempel poczty w Krakowie. A najbliższej Krakowa jest...

– Auschwitz!

– Dla ścisłości Auschwitz-Birkenau. Od razu kazałem sprawdzić numer 97157 w obozowej ewidencji. Niestety...

– Nie było jej tam?

– Już nie.

– Rozumiem, zmarła na serce.

– Na płuca. W obozie przebywała od czterdziestego pierwszego roku. Przywieziono ją z jakiejś ulicznej łapanki. Żaden dureń z Wydziału Politycznego nie pofatygował się, żeby sprawdzić, czy nie ciąży na niej jakieś kryminalne zarzuty. Albo przeciwnie – któryś specjalnie ją krył. To była atrakcyjna kobieta, wie pan, co mam na myśli. W każdym razie tę kartkę musiała wysłać tuż przed śmiercią.

– Nie mogła normalnie napisać, że siedzi w obozie pod takim a takim numerem?

– Chyba chciała, żeby wierzył, że naprawdę czeka na niego w Buenos Aires.

– To po co w ogóle zapisała mu ten numer?

– Ludzie przed śmiercią różne dziwne rzeczy robią. – Kraus zaśmiał się nagle, jakby przypomniał sobie dobry dowcip. – Opowiadał mi kolega, że jedna Żydówka przed samym wejściem do komory dała mu adres, pod którym ukrywali się jej znajomi. Da pan wiarę? A przecież zaraz i tak miała wyciągnąć nogi!

Osipowicz patrzył na wesołka z obrzydzeniem. Jeśli miał wobec niego jakieś inne plany, to właśnie postanowił, że wysłucha go tylko do końca, a potem każe powiesić. Parszywiec nawet na kulkę nie zasługiwał.

Kraus spoważniał zaniepokojony brakiem reakcji ze strony sowieckich śledczych.

– No tak, ale panowie na pewno znają takie historie.

– Mów dalej – rozkazał chłodno Osipowicz.

– No więc, rzecz jasna, kazałem od razu sprawdzić, czy adresat... Jak on się teraz nazywa?

– Kostrzewa.

– No więc czy ten Kostrzewa nadal żyje, bo w jego aktach było, że został wysłany do Auschwitz w czterdziestym roku za słuchanie radia. Na szczęście żył: kamień spadł mi z serca! Od razu kazałem go ściągnąć z obozu do Warszawy.

– Po cholere?

– Na przesłuchanie, ma się rozumieć.

– Przecież i tak byście go rozwalili. Więc co za różnica, czy zdechłby w obozie czy na Gestapo w Warszawie?

– Nie rozumiem. Teraz miał zupełnie inne zarzuty...

Osipowicz machnął lekceważąco ręką, patrząc porozumiewawczo na Jakowlewa, jakby chciał powiedzieć, że Niemcowi nigdy nie przemówi się do rozumu.

– Dobra. Czyli oboje siedzieli w tym samym czasie w Auschwitz i każde z nich myślało, że drugie jest na wolności, tak?

– Zabawne, prawda? – Kraus znów się zaśmiał, ale natychmiast spoważniał.

– I co, nawiał wam – westchnął z irytacją Osipowicz. Niemiecki „kolega”, mimo obiecującego początku, wydawał mu się coraz bardziej beużyteczny. I cóż takiego się do niego dowiedział? Że Kostrzewa jednak siedział w obozie i był przedwojennym policjantem, a nie żadnym prywatnym detektywem? Od dawna się tego domyślał. Nie przeczuwał jednak, że Kraus trzyma w rękawie prawdziwego asa.

– Nic podobnego.

– To jakim cudem chodzi jeszcze po świecie?

– Wszystko przez propagandę.

– Mów do rzeczy, bo zaczynasz mnie nudzić.

– Śledztwo było już na ukończeniu. Gość przyznał się, że świadomie ukrywał zabójczynię wicegubernatora, i lada dzień byśmy go rozstrzelali, ale, niestety, to był kwiecień czterdziestego trzeciego. Pamięta pan, jaka afery wtedy wybuchła.

– Jaka znowu afery – zachnął się Osipowicz.

– Mówię o Katyniu.

Osipowicz zeszywniał. Tego rzeczywiście się nie spodziewał.

– Jakowlew, możesz już iść.

Lejtnant Jakowlew spojrział niepewnie na szefa. O co mu chodziło?

– Głuchy jesteś? Sam poprowadzę dalej przesłuchanie.

– Tak jest – bąknął Jakowlew, urażony do żywego, i wyszedł z gabinetu.

Kraus był najwyraźniej zadowolony z wrażenia, jakie zrobił na komendancie.

– Nie chciałem przy młodszej szarzy, bo nie wiedziałem, czy jest wprowadzony w sprawę – powiedział, porozumiewawczo zniżając głos.

– Co ma wspólnego Kostrzewa z Katyniem? – spytał ostro Osipowicz.

– No więc jak nasi odkryli w Katyniu, żeście rozstrzelali te dziesięć tysięcy polskich oficerów...^[101]

– To była wasza robota!

– Kiedy ja was nie osądzam. Jest wojna, to się rozstrzeliwuje. Uważam, że to podłość ze strony naszych władz, że tak to rozdmuchali w gazetach. Przecież byliśmy wtedy sojusznikami i wszystko razem ustalaliśmy na konferencjach. Ja sam byłem na takiej jednej – we Lwowie. Może nawet się tam spotkaliśmy...

– Katyń to jest wasza robota! – powtórzył z naciskiem Osipowicz.

– Ja rozumiem, ale teraz prywatnie rozmawiamy.

– To nie jest rozmowa, tylko przesłuchanie, ty kanalio!

– Tak jest.

– Mów o Kostrzewie. Dlaczego żeście go nie rozwalili.

– Tak jest. No więc przyjechał z Berlina taki spec od propagandy, podobno od samego doktora Goebbelsa, i zaczął organizować tę wycieczkę.

– Jaką znowu wycieczkę?

– Do Katynia. Polacy nie wierzyli, kiedy pisaliśmy, że to wyście im tych oficerów rozstrzelali...

– I słusznie!

– ...więc jacyś geniusze od propagandy wpadli na pomysł, żeby wysłać tam polskie wycieczki: księży, pisarzy, jeńców, więźniów, oczywiście tylko wybranych – takich, co się do tego nadają.

– I Kostrzewa się nadawał?

– Tak uznał ten berliński spec od propagandy. Przejrzał akta i stwierdził, że to idealny kandydat. Nic nie mogłem zrobić. Zamknąłem śledztwo i kazałem dołączyć łajdaka do wycieczki. Ten dureń oddał mu nawet pocztówkę – że niby taki gest dobrej woli wobec pokrzywdzonego przez was narodu.

– Co z tą wycieczką? Była w Katyniu?

– Była.

– Ale Kostrzewa już do was nie wrócił?

– Zwiął w drodze powrotnej i słuch o nim zaginął. Przypuszczam, że poszedł do partyzantki. Dzisiaj widziałem go pierwszy raz od dwóch lat.

Osipowicz podszedł do okna. Mewa przelatywała właśnie z krzykiem w stronę miasta, jakby miała do przekazania mieszkańcom wyjątkowo alarmujące wieści. Kostrzewa znał prawdę o Katyniu. W takim razie musiał znajdować się na czołowym miejscu listy poszukiwanych.

– Jak on się naprawdę nazywa?

XIII KŁOPOTY Z PAMIĘCIĄ

1

Ocknął się na podłodze pokoju, którego nie znał, wśród rodzinnych fotografii ludzi, których nie pamiętał. W ogóle nic nie pamiętał: ani jak się tutaj znalazł, ani jak nazywał. Wiedział tylko, że zdarza mu się to nie po raz pierwszy i że wystarczy cierpliwie poczekać, a biała pustka w jego głowie znów wypełni się wspomnieniami.

Tym razem wspomnienia nie powracały.

Może fotografie na ścianach zawierały jakąś podpowiedź? Dźwignął się z podłogi i w tej samej chwili poczuł przeszywający ból w tyle czaszki. Nie wiadomo, dlaczego pojawił mu się przed oczami obraz sowieckiego oficera, który strzela mu w potylicę z pistoletu. Czy to było jakieś wspomnienie? Owszem, miał na potylicy zakrzepłą krew, ale nie była to żadna rana postrzałowa. Ktoś musiał mu po prostu nieźle przywalić tępym narzędziem.

To już było coś: stracił przytomność po ciosie w tył głowy. Tylko po co tutaj właściwie przyszedł? Brak miejsca do spania wskazywał, że wąski pokój służył gospodarzom do dziennego użytku. Stała tu skórzana angielska kanapa i dwa fotele do kompletu. Biblioteka? Palarnia? Raczej to drugie, bo książek było tu niewiele, a meble wyraźnie przesiąkły zapachem tytoniu.

Dotknął pikowanej kanapy. Skóra była wytarta, ale cała, bez żadnych wycięć. Po co ktoś miałby wycinać skórę z kanapy? Nie wiedział, skąd mu to przyszło do głowy. Może był złodziejem i został przyłapany na gorącym uczynku. Włamał się tutaj, ale gospodarz zdzielił go pałką. To oznaczało, że wcale nie był bezpieczny. Gospodarz pewnie pobiegł po pomoc i mógł w każdej chwili wrócić.

Rzucił się do białych drzwi. Były zamknięte na klucz. Wyjście przez okno też nie wchodziło w grę: zamontowano w nim solidną ozdobną kratę, zapewne jako zabezpieczenie przez złodziejami. Znalazł się w potrzasku.

A zatem był tutaj więźniem. Gospodarz przyłapał go na próbie kradzieży, zdzielił pałką i zamknął w pokoju, a sam pobiegł na policję. Brzmiało to całkiem logicznie, ale niezbyt przekonująco. Wcale nie czuł się złodziejem. Klucz do zagadki, a zarazem do wyjścia z pokoju tkwił w jego pamięci. Musiał ją odzyskać.

Fotografie. Wszystkie ściany były obwieszane rodzinnymi fotografiami. Gdyby udało mu się kogoś na nich rozpoznać, na pewno uruchomiłoby to ciąg skojarzeń. Zabrał się z zapalem do pracy.

Niestety, wszystkie twarze były mu zupełnie obce. Na próżno wpatrywał się żarliwie w każdą po kolei. Ludzie na fotografiach odpowiadali mu obojętnymi spojrzeniami albo w ogóle na niego nie patrzyli. Staruszka w ogrodzie była bardziej zajęta dwójką rozbrykanych dzieci niż pozowaniem do zdjęcia. Chłopiec w krótkich skórzanych spodenkach tulił się do owczarka alzackiego i wcale nie miał zamiaru przerywać zabawy tylko dlatego, że jakiś nieznajomy chciał poznać jego imię. Młody mężczyzna w mundurze niemieckiego marynarza patrzył co prawda w obiektyw fotografa, ale z jego oczu można było co najwyżej wyczytać, że jest dumny ze swojego munduru.

Nie, nie znał nikogo z ludzi na zdjęciach. Potwierdzało to tylko niezbyt atrakcyjną hipotezę, że był rzeczywiście złodziejem, który zakradł się do domu obcych sobie ludzi. Nie chciał jednak poddać się tak łatwo. Przyszło mu do głowy, że ludzie zwykle podpisują fotografie na odwrocie. Skoro twarze nic mu nie mówiły, to może przemówią do niego słowa.

Miał rację. Już pierwszy portret marynarza przemówił po zdjęciu ze ściany. Na odwrocie widniał podpis: „Rolf, 1938 Swinemünde”. Żadnego Rolfa nie pamiętał, ale nazwa miasta sprawiła, że serce zabiło mu szybciej. Ależ tak – znał Swinemünde! Przyjechał tu... Nie potrafił przypomnieć sobie kiedy ani po co. W każdym razie był to wyraźny krok do przodu.

Przez dobry kwadrans zdejmował fotografie ze ścian i czytał napisy na odwrocie. Większość została zrobiona w latach trzydziestych. Tylko jedna pochodziła z roku 1941 i właśnie ta okazała się najcenniejsza. Była na niej grupa rozebranych do pasa niemieckich żołnierzy kąpiących się ze śmiechem w jakiejś szerokiej rzece. Podpis z tyłu ujawniał, że była to fotografia Konrada na froncie wschodnim we wrześniu 1941 roku.

Znów ogarnęło go podniecenie. Czuł, że lada chwila wspomnienia powrócą. Zdawało mu się, że nabrzmiewają jak lawina. Front wschodni. Wojna. Oczywiście,

że była wojna. Z Niemcami. Z Sowietami. A może z jednym i drugim? Na razie nic więcej nie przychodziło mu do głowy, ale lawina wyraźnie nabrzmiwała coraz bardziej.

Postanowił nie zmuszać umysłu do nadmiernego wysiłku. Skutek mógł być odwrotny. Należało raczej uspokoić się i uporządkować myśli. Usiadł na pikowanej kanapie. Na stoliku obok stała taca z otwartą butelką amerykańskiej whiskey i czystą szklanką. Było to jak zaproszenie. Nie opierał się. Nalał sobie porcję trunku. Po chwili przyjemne ciepło wypełniło mu żołądek.

A zatem trwała wojna, a on zakradł się do niemieckiego domu w Swinemünde... Nie, wojna już się skończyła. Coś zaczynało mu wreszcie świtać, ale wciąż nie mógł przypomnieć sobie najważniejszego – jak się nazywał. Na pewno nie był Niemcem. Fotografie niemieckich żołnierzy na ścianach budziły w nim wręcz odrazę, a więc musiał być raczej po przeciwnej stronie. Rosjanin? To rozwiązanie wydało mu się jeszcze bardziej nieprzyjemne.

Nagle olśniła go banalna myśl. Dokumenty. Oczywiście, niepotrzebnie stracił tylko czas na badanie fotografii ludzi, których prawdopodobnie nie widział nigdy w życiu. Musiał przecież mieć przy sobie jakieś dokumenty z imieniem i nazwiskiem.

Sięgnął do bocznej kieszeni płaszcza. Coś w niej było, jakby podłużne naboje do karabinu.

To nie były naboje. Na jego dłoni leżało pięć świeżo odciętych palców czyjejś prawej dłoni.

Zrozumiał. Był mordercą.

2

Osipowicz nie mylił się: prawdziwe nazwisko Kostrzewy znajdowało się na specjalnej liście poszukiwanych, która przez cały czas spoczywała w sejfie w komendanturze. W innych warunkach pułkownik nie posiadałby się z radości, ale teraz naprawdę nie widział, z czego tu się cieszyć. Sprawa była skomplikowana. Instrukcja wyraźnie mówiła, że schwytane osoby ze specjalnej listy należy w trybie natychmiastowym, bez przesłuchiwania, przewieźć do centralnej siedziby NKWD

w Moskwie przy placu Dzierżyńskiego^[102]. W każdym innym przypadku Osipowicz wykonałby to bez szemrania, ale Kostrzewy nie mógł po prostu ot, tak zapakować do pociągu. Zupełnie nie leżało w jego interesie, żeby wzięli go w obroty na Łubiance i wycisnęli z niego, że pracował dla komendanta wojennego miasta Swinemünde. Przy okazji wyszłoby na pewno na jaw, że ten sam komendant zatrudnił na stanowisku szefa policji pomocniczej byłego SS-Scharführera, a na burmistrza wzięł duchownego i autora antysemitycznych ksiązek. W toku przesłuchań doszliby pewnie i do tego, że pośrednio dla komendanta pracowali także dwaj byli esesmani oraz jeden dezertier z Armii Czerwonej. Aż pot oblewał pułkownika Arłama Osipowicza na samą myśl, czego jeszcze mogli dowiedzieć się na Łubiance za sprawą przekłętą Kostrzewy.

Nie, żadną miarą nie mógł pozwolić na to, żeby jego prawdziwe nazwisko wyszło teraz na jaw. Sprawę trzeba było załatwić dyskretnie, bez żadnych świadków. Całe szczęście, że w porę zachował się przytomnie i wyrzucił Jakowlewa za drzwi podczas przesłuchania gestapowca. Gdyby nie to, Jakowlewa też należałoby rozwalić, a tak po prostu wystarczyło wydać mu stanowczy zakaz zbliżania się do Krausa.

– Tylko ja mogę go przesłuchiwać, zrozumiałeś?

Jakowlew trzasnął obcasami, ale widać było, że decyzja Dziadzi wcale nie jest mu w smak. W końcu to on wyciągnął z gestapowca przyznanie się do winy. A teraz proszę – paszoł won, Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść.

Komendant nie przejął się urażonymi uczuciami podwładnego. Miał znacznie poważniejsze zmartwienia. Nazywały się „Adam Kostrzewa”. Choć znał już prawdziwe nazwisko Białopolaka, wolał nie używać go nawet w myślach, przynajmniej dopóki nie znajdzie jakiegoś wyjścia z sytuacji.

Na razie jedyne rozsądne rozwiązanie, jakie przychodziło mu do głowy, to pozbyć się Kostrzewy po cichu. Pewnie, że mógłby po prostu spełnić swoją groźbę i kazać powiesić go jako członka Werwolfu, ale było to dosyć ryzykowne. Polskie Bezpieczeństwo mogłoby wtedy przeprowadzić dochodzenie i nie daj Boże prawdziwe nazwisko Kostrzewy wyszłoby na jaw po jego śmierci. A kto zatrudnił poszukiwanego faszystę na śledczego? Osipowicz. Kto nie zachował czujności? Osipowicz. Kto nie dopilnował? Pułkownik Arłam Osipowicz, ma się rozumieć.

Oczywiście, sprawę trzeba było załatwić osobiście. Osipowicz wyjął z kabury pistolet, wyciągnął magazynek, oddał suchy strzał, żeby sprawdzić, czy broń działa

prawidłowo, i włożył pełny magazynek z powrotem.

Po drodze na parter, skąd dobiegał równomierny stukot pracującego pełną parą Dehomaga, pułkownik obmyślał, w jaki sposób wyciągnąć Kostrzewę na jakieś odludzie, gdzie mógłby bez świadków strzelić mu w łeb. Nie było to w zasadzie nic trudnego. Zawsze mógł posłużyć się pretekstem, że znaleziono nowy trop w śledztwie czy coś w tym rodzaju.

Kostrzewy nie było na dole. Jean Labout przyglądał się z błogim zadowoleniem pracującej maszynie Dehomaga, jak ojciec obserwujący pierwsze kroki swojego dziecka.

– Gdzie Kostrzewa? – rzucił Osipowicz.

Jean ocknął się, wyrwany z kontemplacji.

– Ten Polak? Wszedł, a właściwie wyleciał jak oparzony.

– Dokąd?

– Nie wiem. Jest już wynik, panie komendancie, chce pan zobaczyć?

– Czytaj.

Jean wziął do ręki wydruk z elektrycznej maszyny do pisania zamontowanej na urządzeniu.

– Numer dziewięćdziesiąt siedem tysięcy sto pięćdziesiąt siedem...

– Co? – Osipowicz natychmiast rozpoznał numer odszyfrowany przez Krausa z argentyńskiej pocztówki.

– To on podał mi takie cyfry. Wyszło nazwisko...

– Mira Szymańska?

– Skąd pan wie? – zdumiał się Jean.

– Co tam masz jeszcze?

– Narodowość: żydowska. Zawód: artystka. Przyczyna zgonu: zapalenie płuc. Czas zgonu: styczeń tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego.

Osipowicz nic z tego nie rozumiał. Po co Kostrzewa kazał Francuzowi sprawdzać obozowy numer swojej kochanki? Przecież wiedział, że nie żyje... Nagle pułkownik doznał olśnienia. Kostrzewa był jak popsuty szwajcarski zegarek. Przeżył obóz, przeżył gestapo, ale rozregulował się całkowicie. Wszystkie trybiki w jego umyśle kręciły się w przeciwnych kierunkach. Część pracowała tak, jakby Mira Szymańska żyła nadal i czekała na niego w Buenos Aires. W tym samym

czasie inna część zgrzytała nieustannie z żalu i rozpacz. Tym, co sprawiało, że cały mechanizm pozornie trzymał się jeszcze kupy, była pamięć o utraconej kochance. Wszystko, co Kostrzewa robił, wiązało się w jakiś sposób z Mirą Szymańską. Prawdopodobnie to z jej powodu w ogóle znalazł się w Swinemünde. W jego szalonym, rozregulowanym umyśle ta kobieta jednocześnie wzywała go do wspólnego życia w Buenos Aires oraz do zemsty za swoją śmierć „na płuca” w niemieckim obozie.

– Muszę powiedzieć, panie komendancie, że ten Polak dziwnie się zachowywał – powiedział Jean, jakby czytając w myślach Osipowicza. – Bardzo wypytywał mnie o różnych ludzi z Auschwitz.

– O kogo, na przykład?

– O Günthera Friedkego przede wszystkim, mojego szefa z ewidencji obozowej. Tego, co mnie szkolił w obsłudze Dehomagów...

– Czekaj! Günther Friedke siedział w Auschwitz?

– Właśnie ten Polak tak samo się zdziwił. A jak mu powiedziałem, że Spitzgau był tam lekarzem obozowym...

Osipowicz chwycił Francuza za ubranie na piersi.

– Łzesz! Spitzgau to porządny Niemiec, tylko pijak!

– Pan komendant go zna? Ja tylko mówię, jak było, zgodnie z prawdą...

– Co jeszcze o nim wiesz?!

– Ale na własne oczy tego nie widziałem, tylko ludzie mówili...

– Gadaj!

– Podobno przysłali go z Dachau, żeby uczył Pflegerów, znaczy sanitariuszy, jak się robi szpilowanie.

– Fenolem?

– To też pan komendant słyszał? W każdym razie to nie był całkiem zły człowiek. Na przykład załatwiał nam przepustki do Puffu.

– Do czego?

– Do burdelu w obozie. Chodziliśmy tam głównie do jednej Rosjanki. Piękna była kobieta, tylko trzeba było uważać, bo donosiła. Raz doniosła na jednego klienta, że był obrzezany, a w obozie siedział jako Polak. Też głupota z jego strony, że poszedł do burdelu, ale nikogo nie chciał słuchać, chociaż to był człowiek

wykształcony, profesor. No i doigrał się. Swieta doniosła, że był Żydem, i jeszcze tego samego dnia wzięli go na szpilowanie.

– Jak powiedziałaś?

– Na szpilowanie.

– Jak nazywała się ta Rosjanka, pytam!

– Swieta. Pięknie rysowała, no ale na oglądanie rysunków żeśmy do niej nie chodzili. Dobra była w te klocki, po prostu...

Osipowicz wpadł w szał. Z furią zaczął okładać osłupiałego Francuza. Już po pierwszym ciosie pięścią Jean upadł, a potężne kopnięcie odebrało mu oddech i nie mógł wydusić nawet słowa na swoją obronę.

– *Swołocz!* Swieta nie była nigdy w Auschwitz! Siedziała w Ravensbrück, rozumiesz, gnido?

Jean Labout daremnie próbował złapać oddech, zasłaniając oburącz głowę. Kolejny kopniak pozbawił go przytomności, ale Osipowicz nie przestawał go okładać, miotając przekleństwa po rosyjsku. Opanował się dopiero wtedy, kiedy do pomieszczenia zajrzał zaalarmowany hałasem Jakowlew.

– Zamknij tę francuską szmatę do mojego powrotu! – rozkazał.

– Tak jest – odparł ze służbowym chłodem lejtnant. Wciąż miał Dziadzi za złe, że potraktował go jak psa przy przesłuchaniu Krausa. Rozważał nawet, czy nie wysłać jakiegoś anonimu do Moskwy, ale w końcu uznał, że to za duże ryzyko. Wiadomo, że prędzej czy później fachowcy ze stolicy ustalą, kto jest autorem donosu.

Osipowicz wyszedł z komendantury, wstrząśnięty do głębi. Swieta szmaciła się w obozie. I to nie tylko ciałem, ale i duchem. Nic dziwnego, że wróciła w takim stanie. Gdyby o tym wiedział, udusiłby ją własnymi rękami. Może i dobrze, że Spitzgau dopadł ją pierwszy.

Co do tego, że to właśnie doktor Spitzgau był mordercą, pułkownik nie miał żadnych wątpliwości. Wszystko się zgadzało. Friedke, Bender i Swieta siedzieli jednak w Auschwitz, a Spitzgau był tam szwabskim doktorem-szpilownikiem. Cała trójka musiała mu się czymś paskudnie narazić, skoro jego nienawiść przetrwała tak długo. Dopadł ich dopiero w Swinemünde, kiedy sam stał się już chodzącym wrakiem.

W swoim zacierzewieniu Osipowicz zupełnie zapomniał, że jeszcze przed chwilą upatrywał mordercy raczej w Kostrzewie. Zupełnie pominął też jeden szczegół, który wykluczał Spitzgaua jako sprawcę trzech zabójstw. W nocy kiedy zginął Friedke, doktor był przecież razem z komendantem w podróży. Teraz nie miało to jednak żadnego znaczenia. Osipowicz był gotów wpakować doktorowi kulę w łeb bez żadnego procesu ani nawet przesłuchania.

Wpadł do szpitala, wciąż rozwścieczony. Po kolei przeszukiwał sale, pytając o doktora. Nie było go nigdzie. Od pacjentów dowiedział się tylko, że zaledwie godzinę wcześniej szukał go także Kostrzewa.

Wreszcie została mu do sprawdzenia już tylko kostnica. Otworzył kopnięciem drzwi i wpadł do środka.

– Spitzgau! – krzyknął.

Doktor leżał na stole do sekcji z otwartymi oczami i ustami. Ręce i nogi miał skurczone, jakby skonał w potwornych konwulsjach. U prawej dłoni brakowało mu wszystkich pięciu palców.

Nagle, patrząc na wygiętego monstrualnie trupa, który trzymał w górze obie dłonie, Osipowicz zrozumiał, o co tu od początku chodziło. Ofiary były oznaczane liczbą palców, które morderca im pozostawiał. Martwy Spitzgau pokazywał piątkę – przedostatnią cyfrę z argentyńskiej pocztówki Kostrzewy.

A jednak to Kostrzewa się mścił. Za Mirę. Wszystkie trzy ofiary – Friedke, Bender i Swieta – musiały ponosić jakąś prawdziwą lub urojoną winę za jej śmierć. Kogo to zresztą obchodziło! Liczyło się tylko to, że teraz Osipowicz mógł już bez żadnych przeszkód pozbyć się raz na zawsze problemu, który ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem Adama Kostrzewy.

3

Może był to skutek whiskey, a może szoku wywołanego ostatnim odkryciem – nieważne. Nagle poczuł, że pamięć powraca. Najpierw były to pojedyncze obrazy: dziób kutra tnący rzekę, polska flaga zatknięta na plaży, ciało niemieckiego burmistrza na głównym placu miasteczka, sowiecki pułkownik Osipowicz, a może Osipowicz... A potem wszystkie drzwi i okna puściły jednocześnie, grzebiąc go

w jednej chwili pod lawiną wspomnień. Uderzenie było tak gwałtowne, że przysiadł na pikowanej kanapie, żeby nie upaść.

Pamiętał. Nazywał się Adam Kostrzewa i doskonale wiedział, jak się tutaj znalazł. Zobaczył samego siebie, jak wybiega z komendantury, roztrzásając w myślach odkrycia ostatniej godziny.

971 Avenida 5 de Julio. Friedke siedział w Auschwitz. Został tam wysłany z Dachau jako specjalista od obsługi Dehomaga. W tym samym czasie do Auschwitz przyjechał też inny specjalista – doktor Spitzgau. Miał szkolić sanitariuszy w szpilowaniu: uśmiercaniu więźniów dosercowymi zastrzykami z fenolu. W szkoleniu na pewno brał udział Szulc, czyli późniejszy Bender. Ci trzej musieli więc dobrze się znać. Należeli do obozowej elity, przed którą zwyczajny Häftling^[103] musiał odczuwać zabobonny lęk. Byli prawdziwymi panami życia i śmierci. Friedke, spec od obozowej ewidencji, mógł jedną dziurką w perforowanej karcie do Dehomaga ocalić człowieka albo skazać na zagładę. Szulc, wpływowy Pfleger, którego rad słuchali esesmani. I doktor Spitzgau, mistrz szpilowania, przyzwoity lekarz, który stoczył się na samo dno człowieczeństwa i zdawał sobie z tego sprawę. Z jakiegoś powodu trzymali się razem. Może grali w karty, może pili wódkę w gabinecie Spitzgaua. Na pewno łączyła ich wspólna namiętność do Rosjanki Swiety, którą odwiedzali w Puffie dzięki bliskim kontaktom Spitzgaua z władzami obozowymi.

Nie trwało to długo. Wkrótce do obozu przyjechali „kupcy” z SS, którzy werbowali wybranych więźniów do specjalnego oddziału antypartyzanckiego. Na froncie wschodnim działo się coraz gorzej. W dodatku rosła w siłę sowiecka partyzantka, zwłaszcza w zachodniej Białorusi. Tymczasem ludzkie zasoby Wehrmachtu i SS zaczynały topnieć w oczach. Każdy żołnierz był na wagę złota, nawet kryminalista. Szulc zgłosił się bez wahania i został przyjęty, być może za protekcją doktora Spitzgaua, któremu asystował przy szpilowaniu. Razem z nim do SS-Sonderkommando z obozu wyjechali dwaj inni więźniowie, którzy później dali się Adamowi poznać jako Waszyngton i Poezja.

Nie sposób było ustalić, kim właściwie byli ci ostatni – Polakami, Niemcami czy Ukraińcami. Prawdopodobnie trafili do obozu za pomniejszych przestępstwa kryminalne – nielegalny handel, kłusownictwo czy coś w tym rodzaju. Gdyby było to coś poważnego, nigdy nie dostaliby broni do ręki. Nie miało to już zresztą żadnego znaczenia. Dość, że wyjechali razem z Szulcem na Białoruś, gdzie trafili

do oddziału dowodzonego przez Scharführera Manfreda Stolckego, późniejszego Edwina Knopfa. Po pewnym czasie dołączył do nich dezertor z Armii Czerwonej, zruszczony Polak, o pseudonimie Lońka Kacap. Tym, co na lata scementowało ich dziwny związek, była prawdopodobnie jakaś akcja bojowa, w której Scharführer Stolcke nie popisał się dowodzeniem. Wskutek jego fatalnych błędów on sam został ciężko ranny, a cały oddział rozbity. Uratowali się tylko Szulc, Waszyngton, Poezja i Lońka. Żaden z nich nie wrócił więcej nie front. Czterej szczęśliwcy zdezerterowali i uciekli w głąb Generalnego Gubernatorstwa, a Stolcke wyjechał na rehabilitację do nadmorskiego kurortu Swinemünde, gdzie pozostał do końca wojny, nie spodziewając się nawet w najgorszych snach, że jeszcze zobaczy swoich byłych podwładnych.

Tymczasem w Auschwitz Friedke i Spitzgau stali się praktyczne nierozłączni, mimo iż formalnie dzieliła ich przepaść nie do pokonania: jeden był więźniem, a drugi obozowym lekarzem. Spitzgau nie miał jednak uprzedzeń klasowych. Obaj byli przecież Niemcami, a poza tym doktor prawdopodobnie uzależnił się w tym czasie całkowicie od alkoholu. U Święty nie mógł już szukać pocieszenia: została wywieziona do Ravensbrück. Pozostał mu tylko Friedke. Był gotów zrobić wszystko, o co spec od ewidencji go poprosi. Za jego namową załatwił im obu przeniesienie do Dachau. Friedke wracał więc na stare śmieci, a Spitzgauowi i tak było wszystko jedno. Dla obu okazało się to jednak bardzo fortunne rozwiązanie. Po wyzwoleniu obozu przez Amerykanów pojechali razem do Swinemünde, rodzinnego miasta Friedkego, gdzie jeden został z sowieckiego nadania burmistrzem, a drugi ordynatorem miejskiego szpitala. Niestety, Auschwitz nigdy ich już nie opuściło. Friedkego w dzień i w nocy dręczyły chmary obozowych numerów, które przerabiał na Dehomagu. Próbował pozbyć się ich, wyrzucając wszystkie z pamięci i zapisując w czarnym zeszycie, który oznaczył lakonicznym napisem *Transporte*. Kiedy zaś odkrył, że jedna z piekielnych maszyn tabulacyjnych znajduje się na stanie ratusza, ukrył ją w rupieciarni, a klucz do niej schował. Nie chciał, żeby mieszkańcy Swinemünde stali się numerami, tym razem w sowieckim państwie.

Spitzgau był w jeszcze gorszym stanie. Nie dręczyły go statystyczne numery, ale konkretne twarze jego ofiar, wykoślawione w potwornych mękach po dosercowym zastrzyku fenolu. Pił coraz więcej, ale nic to nie pomagało. Jedynym ukojeniem

były dla niego spotkania z Friedkem. Tylko on go rozumiał, tylko on widział w nim człowieka. Aż w końcu go zabił.

Tak przynajmniej sądził Adam, kiedy szedł szybkim krokiem z komendantury do szpitala. Był podniecony odkryciem, że Spitzgau nie tylko przebywał razem z Friedkem w Auschwitz, ale też całkiem oficjalnie zajmował się tam szpilowaniem więźniów. Nie znał jeszcze motywu, ale kto inny miałby zamordować trzy kolejne ofiary zastrzykiem z fenolu, jak nie fachowiec, który zgładził w ten sposób setki, jeśli nie tysiące ludzi?

Teoria runęła w gruzy w szpitalnej kostnicy, gdzie Adam dotarł w końcu w poszukiwaniu doktora. Spitzgau leżał martwy na stole sekcyjnym. Musiał zostać zabity zaledwie chwilę wcześniej. Krew na prawej dłoni, z której morderca uciął tym razem wszystkie pięć palców, ledwo zdążyła zakrzepnąć. W kieszeni zakrwawionego fartucha znajdowało się dziewięć szerniałych kikutów należących do Swiety, tak jak można się było spodziewać. Ale była także pewna nowość: oderżnięte równo skalpelem palce Spitzgaua wcale nie zniknęły, lecz leżały na podłodze, jakby morderca o nich zapomniał. A może coś go spłoszyło? Adam schował palce Spitzgaua do kieszeni i wyszedł z kostnicy, żeby powiadomić komendanta o nowej ofierze.

Dopiero na ulicy dogoniła go oczywista myśl. Palców pozostało tym razem pięć, a to była przecież kolejna cyfra z argentyńskiej pocztówki Miry. 971 Avenida 5 de Julio. Do kompletu brakowało już tylko jednej ofiary. Adam nie miał żadnych wątpliwości, że zostanie znaleziona z trzema odciętymi palcami. Będzie to siódemka – *Julio*.

Tylko dlaczego morderca oznaczał swoje kolejne ofiary cyframi z adresu Miry?

Nagle Adam zauważył na domku jednorodzinny po drugiej stronie ulicy jeden z plakatów, który powiesił dla własnej orientacji pierwszego dnia w Swinemünde. Właściwie była to połowa propagandowego plakatu. Reszta została zdarta. Nie byłoby w tym nic szczególnego – po prostu ktoś z mieszkańców wreszcie zdobył się na odwagę. Był to jednak szczególny plakat: Adam powiesił wtedy tylko jeden tego rodzaju. Przedstawiał socjalistycznego olbrzyna, któremu pałętał się pod nogami plujący złośliwie karzełek z tabliczką „AK” na szyi. Na płócie zostały tylko nogi olbrzyna, reszta została zdarta.

To właśnie kawał tego plakatu morderca wcisnął do gardła drugiej ofiary – Bendera. Adam zawahał się, czy iść do komendantury po tamten fragment, żeby

dopasować go do resztek na ścianie. Zdał sobie jednak sprawę, że w nowych czasach takie procedury nie miały sensu. Nie potrzebował żadnego nakazu sądowego, żeby przeszukać podejrzany dom. Wystarczyła wola działania.

Pchnął furtkę i podszedł do drzwi stylowego domu z kolumnami. Były zamknięte, ale dzięki umiejętnościom nabytym na kursie dywersyjnym uporał się z zamkiem w kilka minut.

Wszedł ostrożnie do środka. Właściciel nie grzeszył przysłowiowym niemieckim zamięłowaniem do porządku. Wszędzie wałały się brudne męskie ubrania i puste butelki.

Otworzył drzwi do pokoju, który wyglądał na bibliotekę albo na palarnię. Wszystkie ściany były upstrzone rodzinnymi fotografiami. Zajrzał do środka i w tym samym momencie poczuł potężne uderzenie w tył głowy.

Tak właśnie to wszystko wyglądało. Potem ocknął się w zamkniętym pokoju i przez dobre pół godziny jego umysł był białą próżnią, niezmaconą ani jednym wspomnieniem. Na szczęście pamięć wreszcie powróciła. Za długo to tym razem trwało. A może naprawdę był obłąkany? To wyjaśniałoby, dlaczego ofiary tworzyły adres z argentyńskiej pocztówki. Zabijał je podczas przerw w pamięci, które stawały się coraz dłuższe. Potem wracał do dawnej osobowości i prowadził śledztwo we własnej sprawie.

Nie, nie był mordercą. Odrzucił zdecydowanie tę myśl. To prawdziwy morderca z rozmysłem mącił mu w głowie. Trzeba było działać, a nie poddawać się jego woli.

Chciał wstać, żeby zająć się zamkiem przy drzwiach, ale ugięły się pod nim nogi, a wzrok zaszedł mgłą. W pierwszej chwili pomyślał, że to skutek uderzenia w głowę. Po prostu za szybko chciał się podnieść. Odpocznie chwilę i siły powrócą. Ogarniała go jednak coraz większa słabość. Zsunął się bezwładnie z kanapy na podłogę. Pokój pływał mu jeszcze przez chwilę przed oczami, a potem zapadła ciemność.

Najpierw poczuł dym papierosowy, a potem z mlecznej mgły przed oczami wyłoniła się zamazana sylwetka. Ktoś pochylał się nad nim z troską.

– Adam? Słyszysz mnie?

Znał ten głos. Twarz wyostrzyła się, jakby ktoś wyregulował mu wzrok specjalnym pokrętelem. Stał nad nim Wasilewski z papierosem w ręku.

– Nareszcie! – zawołał z ulgą. – Już myślałem, że przesadziłem z tym środkiem nasennym.

To nie było żadne urojenie w rodzaju nadkomisarza Strzelczyka. Nad nim rzeczywiście stał Wasilewski, cały i zdrowy. Wciąż był wychudły jak szczapa i miał na sobie ten sam waciak, w którym przyjechał do Swinemünde, ale wcale nie wyglądał na człowieka, który ledwo trzymał się życia. Przeciwnie, był wyprostowany i swobodny, z papierosem w ręku, jakby stał w kularach podczas jakiejś konferencji naukowej i prowadził dowcipną konwersację z kolegami z zagranicznych uniwersytetów.

– Swoją drogą to zabawne, jaką magiczną moc przyciągania ma w naszej kulturze alkohol – powiedział, wypuszczając z lubością kłęb dymu. – Gdybym zostawił ci karafkę z wodą, mógłbym czekać w nieskończoność, aż ją wypijesz.

Adam wciąż wpatrywał się w postać Wasilewskiego, jakby nie był pewny, czy wyobraźnia znów nie prowadzi go na manowce.

– Widzę, że jesteś w szoku, to zrozumiała reakcja. Postaram się nie trzymać cię długo w tym stanie. Obiecuję, że odpowiem na każde twoje pytanie, więc pytaj.

– To ty, kanalio... – wychrypiał Adam. Chciał rzucić się na Wasilewskiego, ale w tym momencie zdał sobie sprawę, że jest przywiązany do krzesła. Nie mógł wykonać nawet ruchu.

– Miały być pytania, a to jest raczej dygresja – upomniał go Wasilewski ze swadą wytrawnego dyskutanta. – Zacznijmy inaczej: co jest ci najtrudniej przyjąć teraz do wiadomości? Widzę, że patrzysz na mojego papierosa. Rozumiem – przecież omal nie zakaszlałem się na śmierć, prawda? To akurat było najprostsze. Aktorstwo. Ogólnie jestem w całkiem niezłym stanie, ale nie zaniedbałem niczego, żeby wzmocnić wasze schematy percepcyjne. Wszyscy byliście przekonani, że pozostało mi niewiele życia.

– Żadnym profesorem pewnie też nigdy nie byłeś, łajdaku. „Dunin-Wasilewski”. Jak się naprawdę nazywasz?

– O to samo mógłbym zapytać ciebie, ale jakie to ma dziś znaczenie? Na tym polega piękno tych czasów, że każdy może stać się, kim tylko zechce.

– Na przykład mordercą i zamachowcem.

– Ten zamach na cmentarzu to nie moja robota. Choć bardzo mi się przysłużył. Była to doskonała okazja, żeby zniknąć wam z oczu. Spitzgau umieścił mnie w izolatce i od tej pory mogłem poruszać się niemal swobodnie. Musiałem tylko wracać na dzień do izolatki i udawać umierającego.

– Spitzgau był twoim współnikiem!

– Raczej narzędziem. Czasem topornym, ale ogólnie wykonał swoje zadanie.

– Sukinsynu! Zabiję cię.

Adam szarpnął z wściekłością więzami.

Wasilewski zaśmiał się, wyginając rękę z papierosem, jakby usłyszał całkiem niezły żart podczas bankietu.

– Rozumiem twoją frustrację. Jesteś zawodowym detektywem, a też nie wzięłeś pod uwagę, że na cmentarzu zostałem tylko lekko draśnięty. Żadnemu z was nie przyszło to nawet do głowy.

– Kwasigrochowi przyszło.

– Mylisz się. Kwasigroch to kretyn. Zepchnąłem go ze schodów, bo donosił na ciebie do komendanta, a nie mogłem pozwolić, żeby Rosjanie za wcześnie cię zlikwidowali. Byłeś – co ja mówię – jesteś najważniejszym człowiekiem w rozpoczynającej się właśnie historii tej wyspy. Prawdziwym Adamem nowego świata. Zrozumiałem to już w pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem.

– Ja miałem cię od razu za ludzkie ścierwo.

– Twardy, ale jednocześnie sentymentalny – ciągnął Wasilewski, zasłuchany we własną prelekcję. – Przystosowany, ale i zbuntowany. Do tego siedziałeś w Auschwitz...

– Nigdy ci tego nie powiedziałem.

– Powiedziałeś. Już pierwszego dnia na ciężarówce. Mówisz przez sen, mój drogi. Wszyscy to mamy. Szeptaleś jakiś numer. Byłem pewny, że to twój numer z obozu, ale wtedy znalazłem przy tobie tę pocztówkę podpisaną „MS”. To twoja żona? Ukochana?

– Nie twój interes.

– Raczej ukochana. W każdym razie pocztówkę schowałem ci z powrotem do kieszeni, ale numer zapamiętałem. 971 Avenida 5 de Julio. Julio to po hiszpańsku lipiec, siódmy miesiąc roku, a więc pełny numer to dziewięćdziesiąt siedem tysięcy sto pięćdziesiąt siedem. Pięć cyfr. A ja przewidywałem pięć ofiar. Wtedy właśnie przyszedł mi do głowy ten pomysł z odciętymi palcami. Każda z ofiar będzie kolejną cyfrą w twoim numerze.

– Gratuluję.

– Dziękuję – mówił dalej Wasilewski, niewzruszony kpiącym tonem Adama. – Wydawało mi się, że to oczywisty sposób, żeby skierować podejrzenia na ciebie. A po tym, jak zorientowałem się w twoim zanikach pamięci...

– Nie mam żadnych zaników.

– ...byłem pewny, że sam uwierzysz, że zabiłeś te gnidy. Niestety, nie wziąłem pod uwagę, że wszyscy źle odczytacie moje wiadomości i będziecie liczyć odcięte palce zamiast tych, które każda z ofiar wyraźnie pokazywała!

Wasilewski skrzyżował dłonie na piersi, naśladując ułożenie rąk kolejnych ofiar.

– Ale myślę, że z czasem komendant do tego dojdzie. Może zostawię jakąś dodatkową wskazówkę przy tobie.

– Co chcesz ze mną zrobić?

– Będziesz siódemką, oczywiście. Muszę ci zatem odciąć trzy palce. I niestety, muszę to zrobić teraz, zanim popełnisz samobójstwo dożylnym zastrzykiem fenolu.

Wasilewski sięgnął po ogrodowy sekator, który leżał na okrągłym stole obok strzykawki wypełnionej mętnym, oleistym płynem.

Adam szarpnął się na krześle ze wszystkich sił. Nogi ani drgnęły, ale rękami związanymi za poręczą krzesła udało się lekko poluzować sznur. Musiał zdobyć więcej czasu.

– Zaczekaj! – krzyknął. – Przynajmniej mi wyjaśnij. Skoro wszystko ma iść ma mój rachunek, to chociaż tyle jesteś mi winien.

Wasilewski westchnął niechętnie.

– Zgoda, ale krótko. Muszę iść do izolatki. Planowałem, że dopiero jutro w cudowny sposób odzyskam przytomność i wrócę między żywych. Co chcesz wiedzieć?

Adam zaczął gorączkowo wodzić związanymi z tyłu rękami po drewnianej poręczy krzesła w poszukiwaniu ostrych krawędzi. Przypomniawszy to sobie z kursu dywersyjnego.

– Friedke. Dlaczego on?

– Jeśli chcesz wszystko wiedzieć, to muszę zacząć od Auschwitz.

– Na razie nigdzie się nie wybieram.

Wasilewski uśmiechnął się ze szczerą sympatią.

– Naprawdę cię polubiłem. Wcale nie zamierzałem tak tego zakończyć. Spitzgau miał być ostatnią ofiarą, a ty miałeś po prostu zniknąć.

– Sam nie wiem, jak ci dziękować.

– Niepotrzebnie tu za mną przychodziłeś. Musiałem zmienić plany. Miałeś być nieuchwytnym mścicielem, a tak musisz skończyć jako szaleniec, który zabił siebie tak samo jak swoje ofiary. No, niezupełnie tak samo, bo przecież sam siebie byś nie zaszpilował. Wstrzykniesz sobie fenol dożylnie.

– Już się na to cieszę. Miałeś mówić o Friedkem. Co takiego zrobił w Auschwitz?

– O to chodzi, że nic. Zupełnie nic. Już filozof Burke^[104] mawiał, że zło triumfuje wtedy, kiedy dobrzy ludzie nic nie robią.

– Czego więc Friedke nie zrobił?

– Mógł pomóc prawdziwemu Wasilewskiemu! – wybuchnął oświeceniakiem, potrząsając sekatorem przed oczami Adama. – Oni wszyscy mogli! Wystarczyłoby, żeby nie doniósł do Szulca ani Spitzgaua. Albo żeby od razu przenieśli tę rosyjską dziwkę do innego obozu! Mogli przecież to zrobić!

– Prawdziwy Wasilewski to był jakiś twój krewny?

Wasilewski chwycił go za koszulę na piersi.

– Profesor Dunin-Wasilewski, ty ignorancie! Wielki polski antropolog! Siedział pod fałszywym nazwiskiem i do końca nikt nie dowiedziałaby się o tym jego żydowskim pochodzeniu. Ale ta prostytutka doniosła Friedkemu, że był obrzezany!

– Święta?

– Prosiłem, zaklinałem, żeby nie chodził do Puffu, że to niebezpieczne. Ale zawsze powtarzał, że w razie czego koledzy z klubu go wybronią.

– Jakiego klubu?

– Mieli tam takie swoje inteligenckie kółko do wspólnego picia: Friedke, Szulc, Spitzgau, Ludwik i paru innych.

– Ty do niego nie należałeś?

– Mam żelazną zasadę: nie ufać nikomu, kto skończył więcej niż siedem klas szkoły powszechnej. Wszystkie badania potwierdzają, że inteligencja idzie w parze ze zdradą. Tylko prymityw trzyma się swojej wspólnoty, kiedy przestaje przynosić mu to korzyści. Dlatego uważam, że bolszewizm to mimo wszystko ciekawy eksperyment, i zamierzam wziąć w nim czynny udział.

Palce Adama natrafiły na wyszczerbienie w drewnie. Drzazga wbiła mu się w palec. Wzdrygnął się lekko z bólu.

– Czyli kim był dla ciebie ten Wasilewski? – Musiał jakoś odwrócić teraz uwagę mordercy.

– Kim, kim! Kim staje się dla ciebie człowiek, z którym dzielisz pryczę, miskę i wszy? Najpierw towarzyszem, potem bratem, a na końcu tobą! Przestajesz widzieć go jako obcego. Naprawdę tego nie rozumiesz? Przecież też tam byłeś. Wasilewski był moim ostatnim łącznikiem ze starym światem. Moralną kotwicą, dzięki której nie poszedłem na dno.

– Raczej poszedłeś.

– Ale przynajmniej pociągnąłem ich wszystkich za sobą! Od jego śmierci nie było dnia, żebym o tym nie myślał. Tylko dzięki temu przetrwałem do końca obozu. Nawet marsz śmierci^[105] mnie nie wykończył, bo po drodze cały czas powtarzałem sobie: „Idę do Niemiec, tam odnajdę Spitzgaua i Friedkego, a jeśli mi się poszczęści, może także Szulca”.

– I poszczęściło ci się.

– Jeszcze jak! Najpierw natrafiłem na trop Spitzgaua i Friedkego. W Czerwonym Krzyżu dowiedziałem się, że wyjechali nad morze do Swinemünde. Chciałem znaleźć się tam legalnie, więc zgłosiłem się do Urzędu Bezpieczeństwa w Pile. Nie wyobrażasz sobie mojej radości, kiedy zobaczyłem tam Szulca. Drań nazywał się teraz Bender i był porucznikiem.

– Poznał cię?

– W Auschwitz się nie znaliśmy. Byłem w innym bloku, poza tym ci z obozowej arystokracji nie zwracali większej uwagi na takie robaki jak ja. Zresztą Szulc długo

ze mną nie siedział. Słyszałem, że zgłosił się na ochotnika do SS. Podobnie jak ci dranie, Waszyngton i Poezja.

– Ich też znałeś z Auschwitz?

– Tylko z widzenia. Co ciekawe, wtedy jeszcze nie byli takimi chamami.

Ostrożnie, starając się nie poruszać ramionami, Adam zaczął pocierać sznur na rękach o krawędź wyszczerbionego drewna.

– Mogłeś ich wsypać.

– A cóż to za słownictwo! Oczywiście, mogłem zadenuncjować i Bendera, i tych dwóch, ale co by mi to dało? Wolałem rozpoznać sytuację na miejscu. I miałem rację, bo tu czekała na mnie największa nagroda.

– Święta?

– Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek jeszcze spotkam tę łajdaczkę. Była najgorsza z całej tej czwórki. Donosiła za dodatkową porcję zupy.

– Ale Friedkego zabiłeś w pierwszej kolejności.

– To był specjalny ukłon w stronę naszego doktora. Był z Friedkiem bardzo związany.

– Tak jak ty z Wasilewskim?

– Chciałem, żeby poczuł to samo co ja w obozie.

– Podejrzewałem cię wtedy, ale nie sądziłem, że w pojedynkę mógłbyś przenieść ciało dorosłego mężczyzny na środek miasta.

– Myślisz schematami. W obozie codziennie dokonywało się takich cudów, żeby przeżyć. Poza tym nowa cywilizacja nie zaczyna się od niczego. Znamy już takie wynalazki jak koło, a nawet taczki.

– Dlaczego Friedke wpuścił cię do mieszkania? Przecież wcześniej okładałeś go razem ze wszystkimi w ratuszu. I dlaczego nie poznał cię z obozu?

– Nie słuchasz mnie – zachnął się z irytacją oświęcimiak. – Elita to ci, którzy mają przywilej niepamiętania twarzy swoich kierowców i sprzętaczek. W obozie nie było inaczej. Poza tym Friedke siedział zawsze przy tej swojej maszynie i prawie nie widywał nikogo oprócz esesmanów i swojego „klubu”. Przedstawiłem się jako volksdeutsch w przebraniu milicjanta, który poszukuje swojego dobrego znajomego sprzed wojny, doktora Spitzgaua.

– Czym go uderzyłeś?

– Liczyłem na ciekawsze pytania. Młotkiem. Zadowolony? Chyba nie będziemy tracić czasu na to, skąd wziąłem strzykawkę i fenol. Apteki są tu wyjątkowo dobrze zaopatrzone. Coś jeszcze? Bo jeśli nie, to zajmiemy się tą ostatnią siódmką.

Sznur na rękach Adama wyraźnie zahaczył o krawędź wyszczerbienia. Chyba pękło pierwsze włókno. Gorąca nadzieja zalała mu serce. Musiał zyskać więcej czasu.

– Bender! – zawołał. – Jego przecież nie mogłeś zabić. Siedziałeś wtedy ze mną w areszcie.

– No tak – przyznał oświęcimiak, opuszczając sekator. – To była prywatna inicjatywa Spitzgaua. Trzeba jednak przyznać, że nie miał innego wyboru, bo Bender, znany nam obu jako Pfleger Szulc, obrał sobie za hotel ten właśnie dom, a tutaj mieszkał już Spitzgau.

– Poznali się?

– Z całą pewnością. Nie wiem, co dokładnie się tamtej nocy stało. W każdym razie Spitzgau zrobił to, na co wcześniej się zgodził.

– To znaczy?

– Obiecał, że pomoże mi zabić Bendera i Świętę, a w zamian za to ja zapomnę o tym, co on robił w Auschwitz.

– Dlaczego nie wydał cię Rosjanom?

– A jak myślisz? Zresztą bez Friedkego nie potrafił zrobić samodzielnie jednego kroku. Potrzebował prywatnego führera.

– Ty nim teraz byłeś.

– Nawet dosłownie. Wiodłem go na zagładę, a on jeszcze był mi za to wdzięczny. Ale przez pewien czas nasz układ był korzystny dla obu stron.

Adam poczuł, że pęka kolejne włókno sznura. Serce załomotało mu radośnie. Jeszcze chwila i uwolni rękę.

– Świętę też zabił Spitzgau? Bo wyglądało to na fuszerkę.

– Dziękuję ci bardzo. Po prostu się spieszyłem. Z reguły nie wychodzę za dnia z izolatki. Dzisiaj to też wyjątkowa sytuacja, bo zapasy mi się skończyły, a przecież Spitzgau już mi nic nie przyniesie. Wtedy musiałem uwinąć się przed końcem waszej egzekucji na boisku. W dodatku ta dziwka walczyła jak lwica. Spitzgau miał przenieść potem ciało w jakieś publiczne miejsce, ale za wcześniej ją znaleźli.

– Spitzgaua też zamierzasz wystawić na widok publiczny?

– To nie będzie już konieczne. Miałem zabić go tutaj, w jego domu, ale postanowiłem nie czekać z tym do wieczora. Robił się coraz bardziej nieprzewidywalny. Mógł w każdej chwili zgłosić się do komendantury albo po prostu wygadać się po pijanemu. No, ale wystarczy tych wyjaśnień.

Adam wpadł w popłoch. Nie był jeszcze gotowy. Sznur na rękach wciąż trzymał się mocno. Na szczęście morderca zatrzymał się w pół drogi.

– Chociaż ja też mam jedno pytanie – powiedział z wahaniem.

– Byle nie zbyt osobiste.

Oświęcimiak uśmiechnął się.

– Szkoda, że tu przyszedłeś. Chciałem dać ci szansę na ucieczkę.

– A pytanie?

– Jak właściwie tutaj trafiłeś?

– Plakat – odparł Adam. – Wepchnęliście Benderowi do gardła kawał plakatu. Powiesiłem tylko jeden taki w całym mieście. Na tym domu.

– Wiedziałem! To głupiec! Mówiłem mu, że to niepotrzebne. Twierdził, że odwróci od nas uwagę. I proszę, jak odwróciło!

– Bardzo mi przykro.

Morderca się opanował. Zdał sobie sprawę, że w całym jego dziele była to zaledwie nic nieznacząca literówka.

– Nic nie szkodzi, naprawimy to – powiedział, ruszając na Adama z sekatorem.

– Zaczekaj! I to wszystko dla zwykłej zemsty?

Oświęcimiak spojrzał na niego z wyraźną urazą w oczach.

– Wcale nie chodziło tylko o zemstę.

– A o co?

– Chciałem przywrócić porządek.

– Bredzisz, oświęcimiak. A przecież to ja mam zostać szalonym zbrodniarzem.

– To nie jest żadne szaleństwo! To była święta przemoc. Ale nie wymagam od ciebie, żebyś to zrozumiał.

– Daj mi szansę, bo na razie rzeczywiście widzę w tobie tylko wariata, któremu obóz pomieszało w głowie i ubzdurało mu się, że jest uczonym.

– Co powiedział Kajfasz do arcykapłanów?! – ryknął oświecimiak, zmieniając się na twarzy.

– Wyleciało mi z głowy.

– „Lepiej jest dla was, gdy jeden człowiek umrze za lud, niż miałyby zginąć cały naród!”^[106]

Adam zaczął szybko pocierać sznurem o szczelinę. Nie dbał już o to, że jego ramiona poruszały się przy tym wyraźnie. Pozostało mu zaledwie kilkanaście sekund, nie więcej.

– Potrzebowałem ofiar, które są winne ponad wszelką ludzką wątpliwość, rozumiesz? To był rytuał, a twoje numery to nic innego jak znaki ofiarnicze! – krzyczał oświecimiak, wymachując sekatorem. – Zrobiłem to, żeby zbudować tutaj nową wspólnotę, wolną od nienawiści i przemocy! Tak trudno ci to pojąć?

Nagle Adam poczuł, że ostatnie włókno przetartego sznura puszcza. Szarpnął, żeby się oswobodzić.

Nic się nie stało. Sznur musiał przerwać się w niewłaściwym miejscu. Gorycz zalała mu serce. W końcu nie dopadli go ani Niemcy, ani Sowietci, ale jeden szaleniec.

– Jesteś chory. Powtarzasz słowa z jakichś uczonych książek, których nawet nie rozumiesz – powiedział zrezygnowany. – Twierdzisz, że mordowałeś tylko winnych, a co ja ci zrobiłem, kanalio?

Oświecimiak uspokoił się. Spojrzał na niego z godnością, jak Kajfasz przemawiający do arcykapłanów.

– Nikt, kto przeżył, nie jest niewinny – oznajmił głucho.

Ruszył na niego z sekatorem, kiedy drzwi do salonu otworzyły się z trzaskiem. W progu stał pułkownik Osipowicz z pistoletem w ręku.

– Rzuć to! – zawołał.

Oświecimiak zamarł na chwilę. Zdawał sobie sprawę, że w walce z komendantem nie ma żadnych szans.

– Słyszysz, swołocz? Rzuć to! – powtórzył Osipowicz.

Oświecimiak spojrział na skępowanego Adama z wyraźnym żalem. Dzieło nie było jeszcze ukończone.

Nagle cisnął sekatorem w pułkownika i pochwycił strzykawkę z fenolem. Jego własny los nie miał znaczenia, ale był absolutnie przekonany, że powrót powszechnego porządku zależał od dopełnienia ofiary. Już miał wbić igłę w serce Adama, kiedy kula z pistoletu Osipowicza odstrzeliła mu połowę czaszki.

Zwalił się na podłogę, tuż pod nogami swojej niedoszłej ostatniej ofiary.

Adam podniósł wzrok na Osipowicza, ale komendant wcale nie miał zamiaru opuścić pistoletu. Przeciwnie, wyraźnie skierował teraz lufę w jego stronę.

5

Boisko Gimnazjum Męskiego imienia Adolfa Hitlera znów wypełniło się publicznością. Część widzów zagoniono tutaj po raz drugi, a więc mieli całkiem niezłe pojęcie o czekającym ich przedstawieniu. Większość stanowili jednak dipisi, dla których była to rzecz nowa i niezwykle emocjonująca. Wokół boiska panował więc gwar, jak przed meczem piłkarskim.

Na dziurawej murawie stała ta sama szubienica co ostatnio. Lejtnant Jakowlew roztropnie nie rozkazał jej rozebrać, za co doczekał się wreszcie pierwszej wyraźnej pochwały od komendanta.

– Dobrze żeście zrobili, lejtnancie – powiedział Osipowicz. – Przyda się teraz jak znalazł.

Jakowlew rozpromienił się z dumy. Oczywiście, że dobrze zrobił. Znał się na swojej robocie. Wiedział, że skazańcy mogą się zmieniać, ale dobra szubienica zawsze się przyda. Właściwie nikt nie musiał mu tego mówić, ale Dziadzię Arłama nadal miał, mimo wszystko, w wielkim poważaniu. W jednej chwili zapomniał o swoich urazach. Życzliwe słowa komendanta zupełnie zmieniły jego nastawienie do świata. Rano obudził się w podłym nastroju i tylko myślał o tym, żeby się napić, a teraz miał ochotę śpiewać na całe gardło, jak baba w cerkwi.

– Tak jest, towarzyszu komendancie! – zawołał.

Z entuzjazmem zabrał się do niezbędnych przygotowań. A było co robić: sznury przyszykować, szkopów wygarnąć z domów i zapędzić na boisko, ciężarówkę dla skazańców sprawdzić technicznie, żeby się nie okazało, że w kluczowym momencie stanie i nie będzie można jej uruchomić. No i najważniejsza sprawa:

aktorów przedstawienia trzeba było zmienić. Komendant kazał mu zwolnić bandę Werwolfu i dołączyć do widzów na boisku. Jeszcze godzinę temu Jakowlew oburzyłby się na taką decyzję, ale teraz nawet się nie skrzywił. Dziadzia Arłam wiedział przecież, co robi. Skoro kazał zwolnić bandę Werwolfu, to znaczy, że to już nie była banda Werwolfu, ale kupa nieszkodliwych szkopów. Zresztą propagandowo też to lepiej wyglądało, żeby powiesić tylko jednego, ale za to prawdziwego faszystę z krwi i kości.

Otwarta ciężarówka z nowym skazańcem na platformie podjechała wolno pod szubienicę. Na jego szyi wisiał karton z napisem po niemiecku: „Byłem hitlerowskim katem”. Był to też oryginalny pomysł Jakowlewa. Z początku chciał po prostu wypisać na kartonie nazwisko skazanego, ale co kogo obchodził jakiś Dieter Kraus? Takie niby-wyznanie bardziej działało na wyobraźnię – był katem, a teraz proszę, jedzie prosto w ręce kata.

Wśród publiczności zapanowało poruszenie. Niemcy milczeli, ale dipisi zachowywali się jak kibice piłkarscy na widok wchodzących na boisko rywali: buczeli i wykrzykiwali przekleństwa.

Adam siedział w gaziku z czerwoną gwiazdą obok komendanta Osipowicza i patrzył w milczeniu na rozpoczynający się spektakl. Wcale nie miał poczucia, że tym razem znalazł się po właściwej stronie – nie na scenie, lecz na widowni. Cóż z tego, że sowiecki komendant całkiem niespodziewanie postanowił dotrzymać słowa i wyprawić go do amerykańskiej strefy razem z transportem dipisów? Mira nie czekała na niego w Buenos Aires. Mógł równie dobrze wyjechać, jak pozostać albo dać się powiesić razem ze swoim dawnym znajomym z warszawskiego Gestapo Dieterem Krausem. Zresztą to przekleństwo towarzyszyło mu, odkąd rozpadł się stary świat – nigdy nie był ani po stronie ofiar, ani bohaterów, ani na lewicy, ani na prawicy.

Pułkownik Osipowicz zerknął na siedzącego obok Adama. Długo zastanawiał się, co z nim zrobić. Odesłanie go na Łubiankę nie wchodziło w grę. Oficjalne rozstrzelanie – tak samo. Cicha likwidacja – może, ale co znaczy cicha? Jakieś ślady zawsze pozostawały. Ten przeklęty Katyń był na to najlepszym dowodem. A potem nagle go olśniło – co z tego, że gość był na specjalnej liście poszukiwanych, skoro tylko Osipowicz o tym wiedział? Tamten człowiek równie dobrze mógł zginąć, a ten tutaj nazywał się Adam Kostrzewa i był ludowym milicjantem, sojusznikiem. W dodatku okazał się naprawdę pożyteczny. Osipowicz

dostał właśnie szyfrogramem oficjalną pochwałę z Moskwy. Wyrażali zadowolenie z przywrócenia porządku w mieście, a przede wszystkim ze zdobycia cennej niemieckiej maszyny firmy Dehomag. Dziadzia Arłam znał dobrze ten język. Wiedział, co to znaczy: owszem, cieszyli się, że znalazł mordercę, ale byli wprost wniebowzięci, że znalazł im Dehomaga. A wszystko to dzięki Kostrzewie. Co z tego, że kiedyś inaczej się nazywał? Wystarczyło powiesić Krausa, a pies z kulawą nogą więcej prawdziwego nazwiska Kostrzewy nie wspomni. Jeśli dobrze się zastanowić, to właściwie Osipowicz nawet nie musiał wysłać Białopolaka za granicę.

– Jeszcze się zastanów – powiedział. – Był tu już Niemiec szefem policji pomocniczej, to może być i Polak.

– Macie Kwasigrocha. Wylize się i będzie z niego kawał detektywa.

– Ty na Kwasigrochu psów nie wieszaj. Jakby nie zobaczył tego Wasilewskiego przez okno w szpitalu, to już byś nie żył.

– To tylko potwierdza moją pochlebną opinię.

– Jak sobie chcesz.

Osipowicz wzruszył ramionami. Zresztą może to i lepiej, że więcej tego Kostrzewy nie zobaczy. Do ludzi nie można się przyzwyczajać. Do Pietii się przyzwyczaił i co mu z tego przyszło?

Platforma z Krausem podjechała pod szubienicę. Dwaj młodzi enkawudziści sprawnie założyli mu pętlę na szyję i przerzucili sznur przez belkę w górze. Jeden z nich zeskoczył na ziemię i zabrał się do wiązania drugiego końca sznura.

Osipowicz sięgnął do kieszeni na piersi, jakby nagle o czymś sobie przypomniał.

– Masz. Pomyślałem, że będziesz chciał to zatrzymać.

Podał mu biały kartonik. Była to karta perforowana oznaczona numerem 97157 oraz imieniem i nazwiskiem „Mira Szymańska”. Misterna sieć dziurek zawierała podstawowe informacje o jej życiu i śmierci.

– Dziękuję – odparł Adam głucho.

Osipowicz spojrzał na szubienicę. Enkawudziści kiwali w jego stronę głowami na znak, że wszystko gotowe. Komendant sięgnął po gwizdek. Ciężarówka ruszyła przed siebie.

Kraus zawisł swobodnie. Przez chwilę jeszcze machał nogami, jakby próbował chodzić w powietrzu, ale zaraz znieruchomiał. Kołysał się tylko jak na huśtawce,

podczas gdy wokół rozlegały się oklaski i gwizdy.

Tuż po przedstawieniu rozpoczęła się ewakuacja dipisów. Adam miał wyjechać pierwszym transportem, zgodnie z umową z komendantem. Wsiadł do ciężarówki razem z Ericą, jej zwolnionym z aresztu synem Hansiem oraz rannym rajzerem. To także była część umowy. Adam pomógł rajzerowi ułożyć się wygodnie na sienniku. Chłopak wciąż gorączkował, ale wyglądał na szczęśliwego.

– Jak tam jest? – spytał, kiedy Adam poprawiał mu poduszkę.

– Gdzie?

– W Buenos Aires.

– Ciepło.

– To dobrze. – Rajzer westchnął. – Mam dosyć zimna.

Adam usiadł obok Eriki, która ani na chwilę nie przestawała trąkotać o cudownej przyszłości czekającej ich wszystkich w domu jej siostry w Bremen. Miasto to wydawało się jej rajską krainą dobrobytu. Nie mogło być zresztą inaczej. Odzyskała jedyne go syna i miała u boku mężczyznę, który go uratował. Nie podejrzewała, że spotka ją jeszcze w życiu tyle szczęścia. Nawet klęska Niemiec wydawała się jej warta tej chwili.

W przeciwieństwie do matki Hansie nie odzywał się ani słowem. Czuł się pohańbiony i skompromitowany. Płakał przecież w obecności Polaka. Gorycz ścisnęła mu krtań – całkiem podobna do tej, którą odczuwali weterani pierwszej wojny po powrocie do pokonanej ojczyzny.

Adam zamknął oczy, starając się nie słuchać paplaniny Eriki. Zdał sobie sprawę, że znalazł się znów na początku drogi donikąd. Kiedy wyjeżdżał z milicjantami do Swinemünde, przynajmniej łudził się jeszcze nadzieją, że w końcu dotrze do swojego miejsca przeznaczenia. Tymczasem takiego miejsca po prostu nie było.

– Zobacz pan – paplała Erica, biorąc go pod ramię. – Teraz zacznie się prawdziwe życie. Bez oglądania się za siebie, bez przeszłości. Nie będzie już Niemców ani Polaków. Zaczniemy wszystko od samego początku, jak pierwsi ludzie na ziemi. To jest nasza *Stunde Null* – godzina zero!

Adam otworzył oczy i spojrzał na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. Nagle zrozumiał z porażającą jasnością, co powinien teraz zrobić. Podniósł się zdecydowanie z platformy ciężarówki i zeskoczył na ziemię.

– Co pan robi? – zawołała zaniepokojona Erica.

– Nie chcę żyć bez przeszłości – odparł. – To jest wszystko, co mi zostało.

Rajzer uniósł się na łokciach.

– Nie jedziesz? – jęknął rozczarowany.

– Poradzisz sobie.

– Obiecałeś, draniu...

Adam dał znak kierowcy, że samochód jest gotowy do odjazdu. Ciężarówka ruszyła z miejsca. Erica patrzyła ze środka, osłupiała i zraniona do głębi. Na twarzy rajzera pojawiło się coś, co z daleka przypominało łyżę, choć pewnie był to tylko zwyczajny pot. Po chwili samochód zniknął w głębi Steinbrückstrasse.

Adam ruszył przed siebie szybkim krokiem. Nie potrzebował już kierować się plakatami, którymi oznaczył ulice. Całkiem niezłe poruszał się po tym mieście. Jego pamięć od kilku dni funkcjonowała bez zarzutu. Nie budził się już w przerażającej pustce. Wiedział, kim jest, nawet jeśli nie było to prawdą.

Dotarł nad kanał. Po drugiej stronie szerokiego ujścia Swine wznosiła się strzelista latarnia. Krzykliwe mewy obsiadały wystające z rzeki kominy i maszty wraków jak roje białych much. Z jakiegoś powodu przed oczami pojawiła mu się zapłakana twarz rajzera w odjeżdżającej ciężarówce. Czy to w ogóle możliwe, żeby mógł obudzić w kimś inne uczucie niż pragnienie zemsty? Nawet Mira była z nim, dopóki nie znalazła innego wyjścia. W gruncie rzeczy nic do niego nie czuła.

Bzdury pan wygaduje, panie aspirancie. Ile trzeba było siły i poświęcenia, żeby poprosić kogoś poza obozem o wysłanie tej pocztówki!

Nadal nie rozumiem, po co to zrobiła.

Żeby dać panu nadzieję. Co więcej można dostać od drugiego człowieka? Ocaliła panu w ten sposób życie.

Nadkomisarz Strzelczyk jak zwykle miał rację. Bez niezłomnej wiary w zbawienie czekające w Buenos Aires pod nieistniejącym adresem 971 Avenida 5 de Julio Adam nie przetrwałby obozu, przesłuchań na Szucha ani wszystkiego, co nastąpiło później. To prawda, że pocztówka darowała mu życie, ale co niby miał z tym życiem teraz zrobić? Chciał zadać to pytanie nadkomisarzowi, ale jego głos zamilkł, a on sam zniknął raz na zawsze.

Adam wyjął z kieszeni kartę perforowaną. Wolno podarł ją na drobne kawałeczki i pozwolił, żeby wiatr zdmuchnął mu je z dłoni. Poszybowwały nad rzeką w stronę morza jak spóźniony majowy śnieg.

Postawił kołnierz płaszcza i ruszył z powrotem do miasta. Znowu zanosilo się na deszcz.

POSŁOWIE

Urodziłem się w Świnoujściu. Było to, oczywiście, całkiem inne miasto niż to, po którym chodzi Adam Kostrzewa w *Wyspie zero* i kolejnych moich powieściach z tego cyklu – bez niemieckich mieszkańców i bez strażów rozlegających się w środku nocy. Moje Świnoujście jawiło się jako ciche, bezpieczne i boleśnie nudne: ot, zwyczajne prowincjonalne miasteczko, które powróciło do Polski po tysiącletniej niemieckiej okupacji, jak głosiła oficjalna propaganda.

Wszystko zmieniło się – przynajmniej dla mnie – pewnego lipcowego popołudnia. Do piaskownicy na naszym podwórzu przywieziono świeży piasek. Było to jedno z niewielu naprawdę ekscytujących wydarzeń w małomiasteczkowym życiu. Niestety, piasek okazał się zanieczyszczony. Pełen brunatnych kawałków kości. Znalazła się nawet dziurawa czaszka, która wywołała powszechne poruszenie. Padła propozycja, żeby roztrzaskać ją cegłą, ale nikt nie zdobył się na odwagę. W końcu najzuchwalszy z naszej paczki dziesięciolatków wyrzucił czaszkę z piaskownicy za pomocą patyka.

Czaszka przeleżała na podwórzu kilka dni. Było ją widać z okna każdego mieszkania. Nie przyjechała policja, nie ogrodziła terenu, nie przeprowadziła dochodzenia. Nie przyjechała też żadna ekipa archeologów, żeby zabezpieczyć ślady niedawnej przeszłości. Ludzkie kości nie były wtedy niczym nadzwyczajnym. Często znajdowano je na placach budowy albo przy pogłębianiu rzeki. Zwykle przyjmowano, że są to nie tyle kości ludzkie, ile „szwabskie”, i budowa toczyła się dalej.

Nie mogłem przestać myśleć o dziurawej czaszce na podwórzu. Leżała tam jak ślad potężnej przeszłości ukrytej pod powierzchnią naszego banalnego życia. Zadawała pytania. Czy naprawdę należała do fanatycznego „hitlerowca”, którego spotkała dziejowa sprawiedliwość? A może do sowieckiego żołnierza zastrzelonego przez chłopca z Volkssturmu w ostatnich dniach wojny? Albo do polskiego osadnika, który podobnie jak moja rodzina przyjechał do Świnoujścia ze spalonej doszczętnie Warszawy? A jeśli tak, to kim był morderca? Może kłaniał się

nam codziennie w drodze do piekarni? Choć wszystkie te pytania pozostały bez odpowiedzi, to uświadomiły mi prawdę, której miałem trzymać się przez całe swoje świadome życie: jeśli nie ma przeszłości, to terażniejszość traci jakiegokolwiek znaczenie.

Piszę to w czasie, kiedy pytania o przyszłość wydają się znacznie ważniejsze niż rozpamiętywanie dawno minionych wydarzeń. Świat przestał być bezpiecznym i przewidywalnym miejscem, za jakie do tej pory go uważaliśmy. Straciliśmy pewność, co przyniesie jutro. Zamknięci w swoich mieszkaniach śledzimy wiadomości i oglądamy filmy. Wcale nie różnimy się tak bardzo od mieszkańców powojennego Swinemünde, powtarzających z lękiem ludowe przepowiednie. Przeszłość, choćby najmroczniejsza, krzepi samą swoją naturą: niezbiecie dowodzi, że każde zło w końcu mija.

Nie wiem, co stało się z czaszką na podwórzu. Pewnego dnia po prostu zniknęła. Żałuję, że nie pochowałem jej na zboczu starego cmentarza Alter Friedhof, kilkaset metrów od naszego domu. W pewnym sensie robię to dopiero teraz – za pomocą swoich mrocznych świnoujskich historii, które próbują rzucić światło na całkiem współczesne lęki i niepokoje o dzień jutrzejszy.

Jarosław Sokół

PRZYPISY

- [1] Obecnie ulica Armii Krajowej.
- [2] Potoczna, zniekształcona nazwa karabinu maszynowego Diegtiariowa.
- [3] Autentyczny plakat propagandowy z roku 1945.
- [4] Obecnie ulica Monte Cassino.
- [5] Dzisiejszy plac Wolności.
- [6] Obecnie plac Rybaka.
- [7] *Mützen ab!* (niem.) – „Czapki zdejmij!” Część morderczej musztry w obozie w Oświęcimiu.
- [8] *Mützen auf!* (niem.) – „Czapki włóż!” Jak wyżej.
- [9] *Morgenstunde hat Gold im Munde* (niem.) – odpowiednik naszego przysłowia „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”. Dosłownie: poranki mają złoto w ustach.
- [10] *Na ja!* (niem.) – „No tak!” Potoczny zwrot konwersacyjny.
- [11] Kleiner Markt, czyli obecny plac Wolności, nosił w czasie panowania partii nazistowskiej nazwę Adolf-Hitler-Platz.
- [12] Obecnie liczbę ofiar II wojny światowej szacuje się na ponad 60 mln.
- [13] UNRRA (pot. Unra) – pełna nazwa: United Nations Relief and Rehabilitation Administration. Międzynarodowa organizacja udzielająca pomocy materialnej obszarom wyzwolonym spod niemieckiej okupacji.
- [14] *Auf der Flug erschossen* (niem.) – „Zastrzelony podczas próby ucieczki”. Formuła zwyczajowo wpisywana do akt zabitego więźnia w niemieckich obozach koncentracyjnych i aresztach policyjnych.
- [15] Kripo – Kriminalpolizei. W czasie niemieckiej okupacji policja kryminalna. Na ulicy Daniłowiczowskiej w Warszawie mieścił się komisariat Kripo oraz główny areszt.

[16] Mianem „legiony” sowieccy partyzanci na Białorusi określali oddziały Armii Krajowej.

[17] W sowieckim żargonie – biały Polak, czyli przedstawiciel polskiej klasy średniej.

[18] Chodzi o gazety wydawane przez nowe komunistyczne władze, których pierwsza siedziba mieściła się w Lublinie.

[19] Chodzi, rzecz jasna, o bitwę pod Monte Cassino.

[20] Rozmówca ma na myśli polskie audycje radia BBC z Londynu.

[21] Informator nie był zatem zbyt wiarygodny. Po kapitulacji III Rzeszy Himmler ukrywał się na południu, a nie na północy Niemiec. Został pojmany przez Brytyjczyków 22 maja 1945 roku, a następnego dnia popełnił samobójstwo, zażywając cyjanek. Akcja powieści dzieje się w połowie maja 1945 roku. Plotki i teorie spiskowe trafiały wtedy na szczególnie podatny grunt.

[22] To już nieco bardziej prawdopodobne. Martin Bormann, generał SS i jeden z najbardziej zaufanych ludzi Hitlera, zniknął po śmierci wodza i nigdy nie został schwytyany przez aliantów. Przez wiele lat spekulowano, że ukrywa się w Ameryce Południowej. Czy rzeczywiście tam dotarł i jaką drogą – nie wiadomo.

[23] Chodzi o Poncjusza Piłata, rzymskiego prefekta Judei w I wieku n.e.

[24] Niezupełnie. Wspólna parada zwycięstwa Armii Czerwonej i Wehrmachtu odbyła się w Brześciu 22 września 1939 roku.

[25] Kwasigroch mógł oczywiście nie wiedzieć o pakcie Ribbentrop-Mołotow, podpisanym 23 sierpnia 1939 roku w Moskwie. Oficjalnie był to układ o nieagresji między Związkiem Sowieckim a III Rzeszą, ale w rzeczywistości dzielił między te dwa państwa wschodnie terytoria Europy.

[26] Oskar Dirlewanger – niemiecki dowódca specjalnej jednostki karnej SS, przeznaczonej do zwalczania partyzantki. Brał także udział w tłumieniu powstania warszawskiego, odznaczając się szczególnym barbarzyństwem wobec ludności cywilnej.

[27] *praszczaj* (ros.) – żegnaj

[28] *De lege artis* (łac.) – według reguł sztuki

[29] Niemiecka nazwa Piły.

[30] Chodzi o samochód osobowy marki Citroen, powszechnie używany w latach powojennych przez Urząd Bezpieczeństwa.

[31] Obecnie ulica Niedziałkowskiego. Mieści się przy niej Liceum Ogólnokształcące im. Mieszka I.

[32] Obecnie ulica Uzdrowska.

[33] Odległość z Piły do Świnoujścia to około 200 km.

[34] Komunistyczna partyzantka w okupowanej Polsce (1942–1944). Z jej szeregów rekrutowało się później wielu prominentów powojennego państwa.

[35] PPR – Polska Partia Robotnicza. Organizacja komunistyczna utworzona podczas niemieckiej okupacji w Warszawie z inicjatywy Stalina. Po wojnie PPR objęła pełnię władzy w Polsce.

[36] W rzeczywistości konferencja ta odbyła się 17 lipca 1945 roku w Poczdamie. W jej toku przywódcy koalicji antyhitlerowskiej z grubsza ustalili wschodnią granicę Niemiec.

[37] Dzisiaj plac Słowiański.

[38] Jedna z tzw. ustaw norymberskich, sankcjonująca rasizm w życiu publicznym.

[39] *Mischling* (niem.) – mieszaniec. Kategoria rasowa wprowadzona do prawa niemieckiego przez ustawy norymberskie. Mischling I stopnia to Żyd półkrwi.

[40] Obecnie ulica Józefa Piłsudskiego.

[41] *Meine Ehre heist Treue* (niem.) – Moim honorem jest wierność.

[42] Dehomag – Deutsche Hollerith-Maschinen Gesellschaft. Niemiecki oddział amerykańskiego koncernu IBM, zajmującego się w tym czasie produkcją tzw. maszyn Holleritha, służących do katalogowania i analizy informacji statystycznych, których nośnikami były papierowe karty perforowane.

[43] Dzisiejsza ulica Wilków Morskich.

[44] Dipisi – skrót od Displaced Persons, termin używany głównie przez aliantów na oznaczenie ludzi, których wojna rzuciła poza granice własnych krajów.

[45] Smutne, ale to fakt. Podobne zalecenia można znaleźć w traktacie Lutra *O Żydach i ich kłamstwach* (1543).

[46] *Herrenvolk* (niem.) – rasa panów. Określenie Niemców w nazistowskiej propagandzie.

[47] Dzisiaj ulica Staszica.

[48] *Wie der Koch, so der Brei* (niem.) – Jaki gospodarz, taki dom.

[49] Stary cmentarz ewangelicki. Obecnie zmieniony w park z urządzeniami do ćwiczeń fizycznych przy ulicy Chopina.

[50] W Katyniu, ok. 18 km od Smoleńska, Rosjanie wymordowali ponad 20 tys. polskich jeńców, głównie oficerów wojska i policji wziętych do niewoli po ataku na Polskę przeprowadzonym w porozumieniu z III Rzeszą w 1939 roku.

[51] Tzn. na początku marca 1945 roku.

[52] Stefan Ossowiecki (1877–1944) – słynny warszawski jasnowidz.

[53] To autentyczny nagłówek z „Ekspresu Porannego” z 31 sierpnia 1939 roku.

[54] Komunikat ten odczytał prezydent Warszawy Stefan Starzyński.

[55] To także autentyczne teksty z pierwszej strony „Ekspresu Porannego” z 1 września 1939.

[56] *Gott mit uns* (niem.) – „Bóg jest z nami”. Ten tradycyjny napis, przejęty z Królestwa Prus, rzeczywiście widniał na klamrze niemieckiego pasa wojskowego w czasie II wojny światowej.

[57] Chodzi o przemówienie prezydenta Ignacego Mościckiego wygłoszone 1 września 1939, zaczynające się od słów: *Obywatele Rzeczypospolitej! Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego, co stwierdzam wobec Boga i Historii.*

[58] Warszawa była przed wojną drugim po Nowym Jorku skupiskiem Żydów na świecie. Mieszkało tu ponad 350 tys. osób tej narodowości.

[59] Ordnungspolizei (niem.) – policja porządkowa.

[60] Postać fikcyjna.

[61] Budynek już nie istnieje. Został zburzony podczas powstania warszawskiego w 1944 roku.

[62] Kripo (niem.) – potoczna nazwa Kriminal Polizei – policji kryminalnej.

[63] Pieśń nad pieśniami 2:7.

[64] *Nur für Deutsche* (niem.) – Tylko dla Niemców. Segregacja rasowa w tramwajach była jednym z pierwszych niemieckich zarządzeń w Warszawie.

[65] Enrico Caruso (1873–1921) – słynny włoski tenor.

[66] Bruno Streckenbach (1902–1977) – wysoki oficer SS. W latach 1939–1941 dowódca policji i służby bezpieczeństwa w Generalnym Gubernatorstwie.

[67] Popularna nazwa Generalnego Gubernatorstwa.

[68] Wydarzenia te rozgrywają się późnym latem 1940 roku. Warszawskie getto powstanie dopiero za kilka miesięcy (październik–listopad 1940), a kara śmierci za pomoc Żydom zostanie wprowadzona ponad rok później (10 listopada 1941 roku).

[69] Obóz nie zdążył jeszcze zapracować na swoją ponurą sławę – dopiero powstał i zwożono doń pierwsze masowe transporty, złożone głównie z polskich więźniów politycznych.

[70] Obecnie mieści się tu Liceum Ogólnokształcące im. Mieszka I.

[71] W Związku Sowieckim tak określało się potocznie szpital psychiatryczny.

[72] Hans Eisele (1912–1967) – postać prawdziwa. Lekarz SS w KL Dachau. Po wojnie skazany na śmierć, ale wyroku nie wykonano. Zbiegł do Egiptu, gdzie otrzymał azyl.

[73] *Baukommando* (niem.) – komando budowlane.

[74] *Himmelkommando* (niem.) – komando niebiańskie.

[75] *Durchfall* (niem.) – biegunka.

[76] W obozowej gwarze „muzułman” to więzień, który stracił wolę życia.

[77] *Krankenstube* (niem.) – izba chorych.

[78] Czarny trójkąt – oznaczenie więźnia „aspołecznego”.

[79] *Pfleger* (niem.) – pielęgniarz.

[80] *Rassenschande* (niem.) – zhańbienie rasy. Pojęcie wprowadzone do prawa niemieckiego podczas rządów nazistowskich przez tzw. ustawy norymberskie, które zabraniały m.in. utrzymywania intymnych kontaktów z Żydami.

[81] *Schreiber* (niem.) – pisarz.

[82] *Politische Abteilung* (niem.) – Wydział Polityczny. Obozowa komórka Gestapo.

[83] *Mensch* (niem.) – człowiek.

[84] Wydarzenia te rozgrywają się wiosną 1941 roku, a więc zanim w Auschwitz powstała pierwsza komora gazowa i rozpoczęły się masowe mordy Żydów. W obozie przebywali wówczas głównie polscy więźniowie polityczni.

[85] *Himmelfahrt* (niem.) – podróż do nieba. „Śmierć” w gwarze obozowej w Auschwitz.

[86] *Lagerarzt* (niem.) – lekarz obozowy.

[87] Karl May (1842–1912) – niemiecki powieściopisarz. Autor cyklu popularnych powieści o indiańskim wodzu Winnetou i jego białym przyjacielem traperze Old Shatterhandzie. Ulubiony pisarz Adolfa Hitlera.

[88] Bruno Brodniewicz (1895–1945) – więzień numer 1 w Auschwitz, pełniący funkcję starszego obozu (*Lagerältester*). Kryminalista, urodzony w Poznaniu. Pod koniec wojny przeniesiony do obozu Bergen-Belsen, gdzie został zlinchowany przez współwięźniów.

[89] Gerhard Palitzsch (1913–1944) – rolnik spod Drezna. Jeden z najokrutniejszych zbrodniarzy z załogi KL Auschwitz. Osobiście zastrzelił z broni małokalibrowej ok. 1500 osób.

[90] Chodzi o ścianę straceń przy bloku 11, gdzie odbywały się egzekucje.

[91] Samochód terenowy GAZ-67, produkowany w czasie II wojny światowej w Fabryce Samochodów im. Mołotowa w Gorkim.

[92] *Puff* (niem.) – burdel. W Auschwitz dom publiczny dla więźniów funkcjonował od połowy 1943 roku.

[93] Zek – potoczne określenie więźnia sowieckiego obozu pracy.

[94] Dzisiejszy Warszów, dzielnica Świnoujścia położona po wschodniej stronie Świny.

[95] Dzisiejsze Międzyzdroje, uzdrowisko w pobliżu Świnoujścia, na wyspie Wolin.

[96] *Que se passe-t-il?* (franc.) – O co chodzi?

[97] Porównanie przesadzone, ale zgodne z prawdopodobnymi standardami komendanta Osipowicza w roku 1945. Latarnia w Świnoujściu ma 67 metrów wysokości i po dziś dzień pozostaje jedną z najwyższych latarni morskich na świecie.

[98] Korswandt – niemiecka gmina na wyspie Uznam, położona nad jeziorem Wolgastsee, ok. 5 km od Świnoujścia.

[99] Hitler przebywał w Świnoujściu z oficjalną wizytą w marcu 1939 roku.

[100] Czyli warszawskie Gestapo.

[101] W lesie katyńskim Sowieci rozstrzelali wiosną 1940 roku ponad 20 tys. polskich jeńców, wziętych do niewoli w 1939 roku podczas ataku na wschodnią Polskę, broniącą

się w tym czasie przed inwazją niemiecką. Wśród ofiar było około 10 tys. oficerów wojska i policji.

[102] W czasach sowieckich była to oficjalna nazwa placu Łubiańskiego, przy którym znajdowała się osławiona siedziba NKWD i areszt śledczy, tzw. Łubianka.

[103] *Häftling* (niem.) – więzień.

[104] Edmund Burke (1727–1797) – irlandzki filozof oświeceniowy. Autor *Rozważań o rewolucji we Francji*.

[105] Chodzi o pieszą ewakuację więźniów Oświęcimia do położonego ok. 70 km na zachód Wodzisławia Śląskiego, skąd miały ruszyć transporty kolejowe w głąb Rzeszy. Działo się to w styczniu 1945 roku. Podczas marszu zginęło ok. 15 tys. więźniów.

[106] Ewangelia wg św. Jana 11:50.



Jest maj 1945. Poniemieckie Świnoujście na wyspie Uznam leży w gruzach. Na ulicach grasują bandy uzbrojonych szabrowników. Brakuje wody i prądu. Panuje głód, chaos i strach.

W mieście rządzi żelazną ręką sowiecki komendant Osipowicz. Ale nawet on nie jest w stanie powstrzymać narastającej fali zbrodni. Ktoś zabija byłych więźniów obozów koncentracyjnych – Polaków, Rosjan, Niemców. Tylko jeden człowiek może pomóc w schwytaniu mordercy. Jest nim Kostrzewa, przedwojenny polski policjant, którego detektywistyczne umiejętności okazują się nie do przecenienia. Jego dotychczasowym celem była ucieczka do Argentyny śladem miłości swojego życia. Teraz jednak będzie musiał zmierzyć się nie tylko z psychopatycznym zabójcą, ale także z koszmarami własnej wojennej przeszłości.

Każdy, kto lubił film Prawo i pięść, pokocha tę książkę!

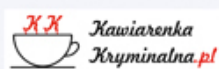
Juliusz Machulski, reżyser, scenarzysta, dramaturg

*W świecie po apokalipsie trzeba dotrzeć do prawdy,
żeby ruszyć dalej z podniesioną głową.*

Wyspa zero tętni życiem. Dobra robota, proszę o więcej!

Michał Komar, pisarz, scenarzysta, dramaturg

Patronat medialny:



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6049-2

EAN 9788327160492

U.WD.KRW114.1.01.01